

Rozgrywki 2008/2009 V. liga koszalińska:

W drużynie w całym sezonie najczęściej grali: Krzysztof Bołdysz, Przemysław Borowski (bramkarz), Paweł Czubernat (bramkarz), Michał Dębski, Łukasz Dębski, Łukasz Gałosz, Adrian Gorzka, Maciej Górniak, Paweł Kibitlewski (4 bramki), Bartłomiej Kryczka (1), Piotr Krzysztofiak (4), Damian Lewandowski (2), Łukasz Mazurek (1), Bartłomiej Oleszkiewicz, Szymon Pastuszek (2), Paweł Proniuk (bramkarz), Paweł Przytarski (8), Marcin Resiak (11), Paweł Rogowski, Grzegorz Ryba (1), Tomasz Ryba, Damian Suska (10), Tomasz Suska (1), Marcin Szczepanik, Dariusz Ściborski, Marcin Tomczak (2), Tomasz Tomczak (12), Mariusz Wojtowicz, Bartłomiej Woźniak (5).

Trenerzy: jesień Janusz Ziętkiewicz / Dariusz Łacny, wiosna Dariusz Łacny.

Drużyna zdobywając 54 punkty i mając bramek 67 strzelonych oraz 37 straconych zajęła czwarte miejsce w tabeli pozostając w tej samej klasie rozgrywek.

Rozgrywki 2009/2010 V. liga koszalińska:

W drużynie w całym sezonie najczęściej grali: Sławomir Baczyński, Krzysztof Bołdysz, Mariusz Borkowski, Przemysław Borowski (bramkarz), Paweł Czubernat (bramkarz), Łukasz Gałosz, Adrian Gorzka, Maciej Górniak (3 bramki),

Paweł Jurewicz (2), Paweł Kibitlewski (2), Bartłomiej Kryczka, Damian Lewandowski, Jakub Łacny, Łukasz Mazurek, Bartłomiej Oleszkiewicz, Szymon Pastuszek (2), Marcin Resiak (14), Paweł Rogowski, Tomasz Ryba, Damian Suska (16), Marcin Tomczak (2), Tomasz Tomczak (9), Bartłomiej Woźniak (4), Patryk Wilczyński (bramkarz).



06.X.2009r.

Trener Dariusz Łacny.

Drużyna zdobywając 56 punktów i mając bramek 59 strzelonych oraz 32 straconych zajęła drugie miejsce w tabeli i uzyskała awans do klasy wyższej IV ligi zachodniopomorskiej.

W dniu 6 października 2009 roku drużyna Lecha w ramach rozgrywek V. ligi piłkarskiej na własnym stadionie podejmowała zespół Bałtyku Koszalin, lidera tabeli rozgrywek. Bałtyk Koszalin stracił w Czaplinku pierwsze punkty w sezonie, w meczu kolejki nie doczekano się goli, były za to aż trzy czerwone kartki.

Redaktor Jacek Wójcik pisał w „Głosie Koszalińskim”: *Po ośmiu zwycięstwach z rzędu piłkarze Bałtyku Koszalin byli faworytem potyczki z Lechem, który świetnie rozpoczął sezon, ale później spuścił z tonu. Spotkanie w Czaplinku, podobnie jak większość w regionie, odbywało się w trudnych warunkach. Szczególnie w pierwszej połowie zawodnikom dokuczał wiatr i deszcz. Na boisku było dużo walki w środku pola i niewiele klarownych sytuacji podbramkowych. Ze strony Bałtyku jedną miał Marcin Chyła. Po wolnym znalazł się 8 m przed bramkarzem Przemysławem Borkowskim, ale nie opanował piłki. Z kolei Marcin Rozdał zakończył kontratak zbyt słabym uderzeniem, by zaskoczyć dobrze dysponowanego bramkarza Lecha. Inna sprawa, że nie dostrzegł będącego na lepszej pozycji Michała Koziarskiego. Lech odgryzł się uderzeniem Marcina Resiaka z wolnego, po którym piłka prześlizgnęła się po poprzeczce. Szczęścia próbował również Damian Suska, ale z 16 m strzelił obok słupka. Bałtyk w drugiej połowie zaatakował bardziej zdecydowanie, ale dyrygowana przez Łukasza Mazurka defensywa Lecha nie pozwalała na wiele.*

Dużo akcji gości kończyło się spalonymi. Nie potrafiliśmy wejść z drugiej linii i obronić się przed tymi spalonymi, powiedział po meczu trener Bałtyku Wojciech Megier. W 70. min drugą żółtą kartkę obejrzał Maciej Stańczyk i Bałtyk został w „10”. Końcówka to sporo stałych fragmentów gości. M.in. po rogu Koziarski popisał się pięknym wolejem pod poprzeczkę z ok. 20 m. Borowski obronił jednak pięściami. W 86 min faulowany z tyłu przez Tomasza Tomczaka, Koziarski skoczył do rywala. Doszło do przepychanki, w której aktywny udział wziął również Paweł Kibitlewski. Efekt to czerwone kartki dla Koziarskiego i Kibitlewskiego. W 4. min doliczonego czasu Lech mógł pogrążyć gości. Atakujący Bałtyk został skontrowany i Suska stanął oko w oko z Dawidem Boryszewskim. Górą w tym pojedynku był golkipera z Koszalina. Skład Lecha: Przemysław Borowski, Łukasz Mazurek, Paweł Kibitlewski, Tomasz Ryba, Bartłomiej Woźniak, Marcin Tomczak, Tomasz Tomczak, Bartłomiej Kryczka, Szymon Pastuszek, Damian Suska, Marcin Resiak.

„Głos Koszaliński” z dnia 21.06.2010 r.

„Finisz na miarę IV ligi”

Piłka nożna V liga: Raseł Dygowo - Lech Czaplinek 0:3 (0:1). Po dwóch sezonach przerwy piłkarze z Czaplinka wracają do czwartej ligi.

Świetna końcówka sezonu zapewniła piłkarzom Lecha Czaplinek drugie miejsce i awans do IV ligi. W pięciu ostatnich meczach podopieczni trenera Dariusza Łacnego zdobyli 15 punktów (komplet) i 19 goli nie tracąc żadnego. Druga lokata przypadła zatem w pełni zasłużenie młodej drużynie z Czaplinka.

Ostatni mecz sezonu rozpoczął się od dobrej okazji dla gospodarzy. Piotr Suchwałko próbował lobować Przemysława Borowskiego, ale uczynił to nieprecyzyjnie. W odpowiedzi (12.) goście byli blisko powodzenia po rzucie wolnym. Później gra toczyła się głównie w środku pola. Dopiero w 24. min zaspali obrońcy Rasela i nie atakowany Bartłomiej Woźniak spokojnie przymierzył w długi róg z 20 metrów. Ten gol wyraźnie rozluźnił spiętych dotąd graczy z Czaplinka. Do pierwszej bramki zawodnicy mieli trochę związane nogi. Stawka meczu zrobiła swoje - powiedział trener Dariusz Łacny. W dodatku po chwili na stadion w Dygowie dotarła wiadomość z Wałcza, gdzie walczący o drugie miejsce zawodnicy Orła przegrywali z Darłowią Darłowo 0 : 1. Kilka minut później ponownie mocno uderzył Woźniak, ale obok słupka. Raseł poderwał się w końcówce. W 41. min Jacek Chołys zagrał na lewą stronę do Suchwałko. Ten jednak z kilku metrów zagrał w ręce bramkarza Lecha. Dwie minuty później Chołys sam próbował wykończyć akcję, ale piłka przeleciała wzdłuż pola bramkowego.

Po zmianie stron Raseł na 10 min mocno przycisnął jednak bez efektów. Później gracze Lecha opanowali sytuację. Dobrze spisywał się przesunięty z obrony na środek pomocy Bartłomiej Oleszkiewicz. W ataku, pod nieobecność najlepszego strzelca Damiana Suski, szarpał Tomasz Tomczak. W 78. min losy awansu rozstrzygnął Oleszkiewicz. Swoją dobry występ zakończył celnym, mierzonym strzałem z 17 m po wycofaniu piłki przez Marcina Tomczaka. Wygraną gości przypieczętował trzy minuty później Marcin Resiak. Dopadł piłki odbitej przez obrońcę i w swoim stylu uderzył lewą nogą w długi róg.

- Mecz nie był może porywającym widowiskiem. Było sporo błędów własnych z obydwu stron, ale uważam, że wygraliśmy pewnie i zasłużenie podsumował

trener Łacny. On i działacze Lecha muszą zrobić teraz wszystko, by wzmocnić zespół personalnie i organizacyjnie, tak by przygoda z IV ligą nie okazała się jednosezonowa.

Bramki strzelili: 0:1 Woźniak (24.), 0:2 Oleszkiewicz (78.), 0:3 Resiak (81.).

Lech: Borowski (87. Wilczyński), Ryba, Kibitlewski (77. Kryczka), Mazurek, Jurawicz (65. Galosz), Górniak, Oleszkiewicz, Woźniak, M. Tomczak, T. Tomczak. (red. Jacek Wójcik).



W tym samym sezonie występowały następujące zespoły piłkarskie:

- klasa okręgowa seniorów Koszalin grupa południe 12 miejsce Lech II 28 pkt; 49:53, trener Zbigniew Kibitlewski „J”,
- junior mł. klasa I. 3 miejsce Lech 33 pkt; 42:13, trener Krzysztof Bóldysz,
- trampkarze klasa I. 6 miejsce Lech 13 pkt; 33:53, trener Jerzy Czarnecki,
- młodzik klasa I. 7 miejsce Lech 14 pkt; 25:53, trener Łukasz Mazurek.

Prezisi Klubu.

Od momentu powstania klubu prezesami byli:

- 1945 - 1968 Stanisław Kibitlewski, Władysław Warsiński, Edmund Samsel, Józef Legay;
- 1968 - 1972 Ryszard Paś;
- 1973 - 1980 Jan Gąszcz;
- 1981 - 1983 Józef Komorowski, Andrzej Kownacki;
- 1984 - 1987 Marek Witczak;
- 1988 - 1992 Cezary Pączek;
- 1993 - 1994 Jerzy Ważny;
- 1995 - 1999 Cezary Pączek;
- 2000 - 2001 Marek Witczak;
- 2002 - 2002 Filip Skowron;
- 2003 - 2007 Janusz Ziętkiewicz;
- 2008 - nadal Andre Gerstner.

Członkowie Zarządu oraz Komisji Rewizyjnej klubu.

- 1968 - 1980 Józef Komorowski, Tadeusz Rychliczek, Franciszek Pugacz, Stanisław Dębowski, Ewa Sieczko, Leon Gonczarko, Leon Krzykacz, Leon Pączek, Gabriel Grochowski, Zygmunt Pawłowicz, Tadeusz Szczanowicz (księgowy), Andrzej Kownacki.
- 1981 - 1985 Gabriel Grochowski, Roman Rymar, Zygmunt Pawłowicz, Szczepan Zając, Cezary Pączek, Władysław Mazur, Kazimierz Trenka, Zdzisław Ślusarczyk, Andrzej Sapiński, Leon Krzykacz, Stanisław Kibitlewski, Zbigniew Kibitlewski, Józef Komorowski, Mieczysław Roszuk, Andrzej Kownacki, Waldemar Wiśniewski, Bogdan Stećków, Wiesława Szumska.
- 1986 - 1990 Gabriel Grochowski, Roman Rymar, Zygmunt Pawłowicz, Józef Komorowski, Mieczysław Roszuk, Henryk Polak, Jacek Kosobudzki, Stanisław

Chmielewski, Marek Młynarczyk, Kazimierz Solarek, Jerzy Tomczak, Zbigniew Kibitlewski, Wincenty Pawłowicz, Kazimierz Zborowski.

1991 - 2002 Gabriel Grochowski, Roman Rymar, Zygmunt Pawłowicz, Marek Młynarczyk, Jacek Kosobudzki, Kazimierz Solarek, Jerzy Tomczak, Zbigniew Kibitlewski, Wincenty Pawłowicz, Kazimierz Zborowski, Bronisław Miłowski, Walenty Kapysz, Alfred Popowski, Wojciech Pauliński, Janusz Ziętkiewicz (wiceprezes ds. sportowych w latach 1999 - 2000).

Ponadto Kol. Janusz Ziętkiewicz w latach 1994 - 2000 był, jednym z dwóch przedstawicieli województwa koszalińskiego, Delegatem na Zjazd Krajowy Polskiego Związki Piłki Nożnej.

2003 - 2007 Filip Skowron (v-ce prezes ds. sportowych), Wojciech Pauliński (v-ce prezes, skarbnik), Mariusz Wilczek (sekretarz), Andrzej Przytarski (kierownik biura i 1. zespołu) oraz członkowie Zarządu: Ryszard Handel, Ireneusz Gacki, Andre Gerstner, Gabriel Grochowski, Krzysztof Kusa, Maciej Wójcik, Maciej Zakrzewski, ks. Leszek Ziola. Ryszard Dąbrowiecki (przewodn. Komisji Rewizyjnej) oraz Zbigniew Kibitlewski „j” i Bogdan Gabrys członkowie Komisji Rewizyjnej.

2008 nadal: Filip Skowron (wiceprezes ds. sportowych), Wojciech Pauliński (wiceprezes ds. finansowych), Zbigniew Florczak (sekretarz) oraz członkowie Zarządu: Dariusz Łacny, Jerzy Gański, Tomasz Ryba, Mieczysław Roszuk, Jarosław Wójcik, Maciej Zakrzewski, Jan Majchrzak. Komisja Rewizyjna: Marcin Tomczak (przewodniczący) oraz członkowie: Magdalena Cieśla, Jerzy Czarnecki.



Aktualny (niepełny) Zarząd Klubu „LKS Lech” Czaplinek. Stoją od lewej: Wojciech Pauliński (wiceprezes ds. finansowych), Filip Skowron (wiceprezes ds. sportowych), Andre Gerstner (prezes), Mieczysław Roszuk (członek Zarządu) i Zbigniew Florczak (sekretarz).

Trenerzy.

Od chwili powstania klubu trenerami byli:

- 1945 - 1965 Stanisław Kibitlewski, Franciszek Wasilewski;
 1965 - 1966 Nędzarek;
 1967 - 1967 Piotr Buca;
 1968 - 1968 Stanisław Rogowski;
 1969 - 1971 Stanisław Chmielewski;
 1972 - 1973 Jerzy Gański;
 1974 - 1977 Stanisław Chmielewski, Jerzy Olechnowicz;
 1978 - 1978 Jerzy Olechnowicz;
 1979 - 1980 Eugeniusz Domagała;
 1981 - 1985 Stanisław Chmielewski;
 1986 - 1987 Cezary Pączek;
 1988 - 1988 Mieczysław Roszuck;
 1989 - 1994 Janusz Ziętkiewicz;
 1995 - 1995 Janusz Ziętkiewicz, Zbigniew Kibitlewski;
 1996 - 1996 Zbigniew Kibitlewski;
 1997 - 1997 Zbigniew Kibitlewski, Filip Skowron;
 1998 - 1998 Filip Skowron, Stanisław Chmielewski;
 1999 - 1999 Grzegorz Kwiatkowski;
 2000 - 2000 Grzegorz Kwiatkowski, Janusz Ziętkiewicz;
 2001 - 2001 Janusz Ziętkiewicz;
 2002 - 2002 Dariusz Baran;
 2003 - 2003 Dariusz Baran, Dariusz Łacny;
 2004 - 2007 Piotr Kibitlewski,
 2008 - 2008 Piotr Kibitlewski, Dariusz Łacny;
 2009 - nadal Dariusz Łacny.

„Od Pogoni do Błoni” (fragmenty).

Minął okres 13 lat istnienia w województwie szczecińskim, najwyższej ligi tego regionu. 13-tka to szczęśliwa lub pechowa liczba, można się zabawić w jej podsumowanie: od 13.08.1995 do 22.06.1997 IV liga szczecińska;

od 09.08.1997 do 19.06.1999 IV liga makroregionalna (grupa północna) obejmująca całe woj. Szczecińskie i koszalińskie, część pilskiego, gorzowskiego, zielonogórskiego i poznańskiego;

od 15.08.1999 do 22.11.2008 IV liga zachodniopomorska.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
1	Pogoń Barlinek	12	638	1,62	(+)177	394	704:527	185	83	126
2	Gryf Kamień Pomorski	12	597	1,55	(+)61	386	636:575	176	69	141
3	Pogoń Szczecin II	10	587	1,72	(+)253	342	717:464	172	71	99
4	Arkonia Szczecin	12	549	1,35	(-)51	406	601:652	157	78	171
5	Energetyk Gryfino	11	531	1,51	(+)96	352	571:475	152	75	125
6	Błękitni Stargard	7	507	2,1	(+)419	242	689:270	157	36	49
9	Darzbór Szczecinek	7	371	1,53	(+)76	242	451:375	107	50	85

14	Astra Ustronie Morskie	5	286	1,68	(+)98	170	325:227	82	40	48
15	Drawa Drawsko Pom.	7	274	1,22	(-)87	224	321:408	80	34	110
16	Lech Czaplinek	7	258	1,08	(-)153	240	343:496	72	42	126
20	Gwardia Koszalin	4	203	1,72	(+)107	118	279:172	62	17	39
21	Orzeł Wałcz	5	199	1,28	(-)48	156	231:279	60	19	77
23	Wielim Szczecinek	4	181	1,27	(-)30	142	214:244	49	34	59
49	Pogoń Połczyn Zdrój	2	62	0,91	(-)112	68	64:176	19	5	44
54	Olimp Złocieniec	1	39	1,08	(-)21	36	39:60	10	9	17
61	Błonie Barwice	1	9	0,26	(-)109	34	22:131	2	3	29

Uwaga:

W kolumnach: 1-miejsce, 2-nazwa klubu, 3-ilość sezonów, 4-punkty, 5- średnia punktowa, 6-różnica bramek, 7-ilość meczów, 8-stosunek bramek, 9-zwycięstwa, 10-remisy, 11-porażki.

(Opracował Adam Forell z Kamienia Pomorskiego).

Podsumowanie:

Przekazując do rąk kibiców i sympatyków LKS „Lech” Czaplinek niniejsze opracowanie chciałem przybliżyć informacje o powstaniu i dziejach klubu, a szczególnie piłki nożnej, na ziemi Czaplineckiej. Sięgnąłem po wiadomości o klubie, które zawarte są w jego archiwach, a także korzystałem z innych źródeł takich jak: wycinki prasowe, wspomnienia, zdjęcia.

Dziękuję kolegom piłkarzom, którzy udostępnili swoje domowe albumy fotograficzne, szczególne podziękowania należą się także rodzinom nieżyjących już działaczy i piłkarzy za pomoc w opracowaniu tego tekstu.

Z braku możliwości dostępu do innych materiałów, zdjęć i dokumentów materiał ten ma pewne luki, za które przepraszam. Liczę na to, że kolejne wydanie np. za pięć lat będzie ciekawsze i bogatsze.

Dlatego już dziś zachęcam do spisywania wspomnień, wyszukiwania zdjęć i innych pamiątek, aby przedłużyć życie wszystkim tym, którzy są, lub powinni być wymienieni w niniejszym opracowaniu.

*Wacław Mierzejewski
Czaplinek, lipiec 2010 rok.*

4. ŻEGLARSTWO - WIATR ZAMIAST ŚCIAN, NIEBO ZAMIAST DACHU...

W twardym trudzie żeglarskim hartują się charaktery.

Gen. Mariusz Zaruski

Wspaniały świat żeglarstwa odkryto w XVII w. w Holandii i stąd pochodzi słowo *yacht* (ang. *yacht*). Początkowo uprawiali je tylko bardzo zamożni ludzie. W końcu XIX w. zaczęły powstawać kluby żeglarskie i związki żeglarskie. W ciągu ponad trzech wieków, dzielących pojawienie się jachtów i żeglowania dla przyjemności, żeglarstwo stało się sportem uprawianym dla własnej sprawności fizycznej, dla godziwego spędzenia wolnego czasu, dla odnowienia sił po pracy zawodowej, poznania piękna jezior, rzek i mórz, dla rozwinięcia szlachetnych cech charakteru.

W Polsce, na długo przed odzyskaniem niepodległości, mimo niesprzyjających warunków, potrzebę żeglowania odczuwało wielu Polaków, znajdując w pięknym i szlachetnym sporcie przyjemność konieczną dla ludzi pracy i walki. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., przykładano w Polsce do spraw morza ogromną wagę. Głoszono tezę: „*Nie ma dla Polski niepodległości bez dostępu do morza*”. W jej imię zbudowano gdyński port, uruchomiono linie żeglugowe, obsługiwane przez najnowocześniejsze transatlantyki „*Piłsudski*”, „*Batory*” i „*Pułaski*”. Powstała Wyższa Szkoła Morska, jak grzyby po deszczu powstawały kluby żeglarskie i przystanie. Światli ludzie jasno dostrzegali wybitne walory wychowawcze sportów i turystyki wodnej. W wywiadzie dla „*Morza*” w 1933 r. tak mówił dyrektor Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego:

„Sporty wodne i turystyka wodna bezwzględnie kryją w sobie nieprzeciętne wartości wychowawcze. Z punktu widzenia kultury fizycznej są ćwiczeniem wymarzonym. Pozwalają sporty wodne rozwijać wszechstronnie i harmonijnie cały organizm i odbywają się w idealnych warunkach higienicznych. Przebywanie na świeżym powietrzu, na słońcu, w turystyce wodnej, częste nocowanie w prowizorycznym namiocie, zwalczanie pewnego niebezpieczeństwa, którem jest zawsze żywioł, zbliżenie do przyrody, poznawanie kraju, a do tego życiowa lekcja odwagi, panowania nad sobą, zimnej krwi, energii, a więc wychowywania cech, którebyśmy chcieli widzieć w każdym młodym Polaku - to tylko urywkowo rzucone wspaniałe duchowe oblicze sportów i turystyki wodnej”.

Pierwszy klub żeglarski powstał w 1919 r. w nieodległych Chojnicach i rychło dorobił się przystani nad jeziorem Charzykowskim, 120 członków i 22 jachtów. W 1924 r. założony został Yacht Klub Polski. Powstała Liga Morska i Kolonialna – organizacja społeczna, którą kierował gen. Mariusz Zaruski. Stawiała ona sobie za cel propagowanie zagadnień morskich wśród społeczeństwa, działała na rzecz rozbudowy floty morskiej i uprawiania sportów wodnych, a szczególnie żeglarstwa. Prowadziła też zbiórkę pieniędzy na Fundusz Obrony Morskiej, czego rezultatem m.in. było zbudowanie okrętu podwodnego „*Orzeł*”. Wydawała kwartalnik „*Sprawy morskie i kolonialne*” oraz miesięcznik „*Morze*”, który osiągnął nakład 150 tys. egz. W 1939 r. liga liczyła prawie 1 mln członków! Święta Morza, których organizatorem była liga, obchodzono powszechnie we wszystkich zakątkach kraju. Ten wspaniały rozwój polskiego żeglarstwa przerwała wojna, a Liga Morska i Kolonialna zaprzestała swej działalności.

Wojna jeszcze szalała, gdy w Lublinie 20 października 1944 r. odbyło się pierwsze zebranie reaktywowanej ligi pod nazwą Liga Morska. Zlikwidowano ją w 1953 r., przyłączając do Ligi Przyjaciół Żołnierza, przekształconej później w Ligę Obrony Kraju (Ligę Morską reaktywowano w 1981 r., a 19 marca 1999 r. przekształcono w Ligę Morską i Rzeczną. Jej prezesem był do 2007 r. Bronisław Komorowski, a po nim stanowisko to objął kpt. ż.w. Andrzej Królikowski, dyrektor Urzędu Morskiego w Gdyni). W 1945 r., jeszcze przed kapitulacją III Rzeszy i ustaleniem nowych granic Polski, wznowiły działalność dawne kluby żeglarskie w Gdyni i w Gdańsku, a w Szczecinie w sierpniu tego roku powstał pierwszy jachtklub Ligi Morskiej.



Przystań Klubu LPŻ.

13 km, szerokości 10 km, o nierównym dnie, falistym, a raczej nawet „górzystym”. Obok miejsca o głębokości 4 m spotykamy głębiny. Wiatr po nim hula – i budzi ducha jeziora... Wiatry naroczańskie znane są dobrze tym wszystkim, którzy na fale jeziora puścili się czy to na żaglu, czy nawet łodzią, a tem bardziej kajakiem. Ot, wyjedziesz sobie przy lekkim wiatereku, o zaledwie zmarszczonej powierzchni wód, a zaledwie wychyliłeś się na jezioro, uderza silny poryw wiatru w żagiel – i biada ci, o ile nie obliczyłeś dokładnie siły natarcia – i jesteś w wodzie... Radzą sobie miejscowi żeglarze w ten sposób, że zamiast gęstego płótna żaglowego używają zwykłej lnianej surówki. Żagiel taki „puszcza” wiatr... Narocz nadaje się, jako miejsce obozów żeglarskich, dla doświadczonych żeglarzy”.

Czaplinek był przed wojną dużym ośrodkiem sportów wodnych. Było tu wtedy zarejestrowanych 2700 różnych jednostek pływających. Po wojnie pozostało wiele sprzętu żeglarskiego i wybudowany w 1925 r. drewniany hangar na kajaki i łodzie. A. Tołłoczko, przepojony przedwojennymi ideami, zaopiekował się sprzętem żeglarskim, oraz zainicjował powołanie koła Ligi Morskiej. K. Krupiński, burmistrz Czaplinka, tak o tym pisze w swym sprawozdaniu za rok 1945: „Zorganizowano Ligę Morską, której Prezesem był sędzia Żmudziński, a doświadczony marynarz Tołłoczko borykał się nad zabezpieczeniem przed wyszabrowaniem łodzi...”. Jego czujność i poświęcenie uratowały część sprzętu żeglarskiego przed zniszczeniem, a budynek Ośrodka Sportów Wodnych przed zrujnowaniem (po przekazaniu go Lidze w 1947 r.). Pozbawione takiej opieki, uległy zniszczeniu „Pięć Pomostów”, „Dom Ludowy” i inne poniemieckie obiekty. Tołłoczko był też pierwszym organizatorem zajęć z młodzieżą. Szkolił ją, uczył wiedzy żeglarskiej, miłości i szacunku dla przyrody. Po przeszkoleniu młodzi żeglarze posiadali wszelki potrzebne umiejętności żeglarskie jak budowa jachtów, roboty skutnicze, roboty bosmańskie, manewrówka, nawigacja, meteorologia, ratowanie tonących, sygnalizacja i wiele innych rzeczy.

W maju 1945 r. osiedlił się w Czaplinku Antoni Tołłoczko (1915-1992). Przed wojną należał do Ligi Morskiej i Kolonialnej, uczestniczył w obozach i szkoleniach żeglarskich w Nowych Trokach, Brasławiu, Ignalinie, nad jeziorami Narocz i Świtez, gdzie zdobywał patenty żeglarskie. Jezioro Drawsko przypominało mu Narocz, jedno z najpiękniejszych jezior Wileńszczyzny, skąd pochodził. Tak opisuje to jezioro, zwane „Matką jezior wileńskich”, przedwojenny przewodnik: „Owalne – długości

W 1953 r. w miejsce Ligi Morskiej powstała Liga Przyjaciół Żołnierza, a w 1962 r. Liga Obrony Kraju. Te zmiany nie zakłóciły pracy czaplineckiego klubu. Wychowankami A. Tołłoczki zostało wielu znamienitych czaplineckich żeglarzy i działaczy, a m.in.: Cz. Chamarczuk, E. Giwojno, Z. Gonczarko, M. Jurewicz, S. Kiryszewski, J. Koremba, E. Nagórski, J. Serwach, E. Szulc, M. Wach i inni. W klubie panowała demokracja, ale i wielka dyscyplina. Pięcioosobowy Zarząd klubu i jego przewodniczącego wybierali członkowie spośród siebie. Przewodniczącymi w kolejnych kadencjach byli: Antoni Tołłoczko, Marcin Jurewicz, Jan Koremba, Stanisław Kiryszewski i Zbyszek Gonczarko. Na przystani prowadzona była rygorystycznie książka pływania, w której zapisywano kierunek i siłę wiatru, stan jeziora i nieba, kto i o której godzinie wypływa, na jaki akwen i kiedy planuje wrócić - żeby było wiadomo, gdzie w razie czego szukać. Antoni Tołłoczko wpajał młodym żeglarzom zasadę: „*Szanuj wodę, to i ona będzie ciebie szanować*”.



Regaty o Srebrną Kotwicę w klasie Omega.

Zasadnicze zmiana zaszła w 1966 r. kiedy to ośrodek przejęło kuratorium Oświaty i Wychowania w Koszalinie. Poza sezonem ośrodek służył czaplineckiej młodzieży, która uczyła się tu żeglarstwa, konserwowała i remontowała jachty, pomagała rozbudowywać przystań i wyzwalala swoją energię. Latem organizowane były szkółki żeglarskie, głównie dla młodzieży szkolnej z Koszalina. W tym czasie w ośrodku zbudowany został hangar na sprzęt z warsztatem szkutniczym oraz świetlica z zapleczem, przybyło dużo jachtów. W czynie społecznym zaczęto też przedłużać półwysep, na którym znajduje się ośrodek. Przez wiele lat dyrektorem Młodzieżowego Ośrodka Sportów Wodnych był Michał Koremba, a „bosmanili” w nim Antoni Tołłoczko, Marcin Jurewicz, Sławomir Zasławski i inni.

Niezależnie od tej działalności utworzone zostało w Czaplinku w 1960 r. Koło Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, skupiające głównie wodniaków, dysponujące kilkoma kajakami i jedną łodzią wiosłową. 25 kwietnia 1963 r. powołany został Oddział PTTK w Czaplinku i dokonano wyboru Zarządu Oddziału. Założycielami byli: Seweryn Cieślarczyk, Piotr Kasprowicz, Andrzej Kownacki, Henryk Kraśniewski, Józef Komorowski, Stanisław Kasiński, Jacek Kujawski, Kazimierz Lemisz, Waclaw Mirowicz, Henryk Piasecki, Tadeusz Rychliczek, Henryk Stępiński, Bogdan Stępiński, Jan

Szymański i Władysław Tuchalski. Pierwszym prezesem został Piotr Kasprowicz, po nim Henryk Stepiński, a po jego wyprowadzeniu się z Czaplinka Andrzej Kownacki. Nastąpił szybki rozwój działalności, szczególnie wodniackiej. Przy oddziale powstał w tym samym roku Klub Żeglarski PTTK „*Conrad*”, a jego Komandorem został Jacek Kujawski. Klub otrzymał na początek nową „*Omegę*” i piękną mahoniową łódź żaglową skandynawskiej konstrukcji „*Elf*”. Potem wzbogacił się jeszcze o 5 „*Omeg*”, kajaki i motorówkę P 36 z silnikiem „*Niesob*”.

W tamtych latach Okręgi Polskiego Związku Żeglarskiego z Wrocławia i Łodzi organizowały nad j. Drawsko letnie „Szkółki Żeglarskie” (w „*Podkowie*” i na wyspie Bielawie). Natomiast Okręg Koszaliński PZZ organizował rejsy stażowe na stopień sternika jachtowego, ponieważ tylko na j. Drawsko można było je robić.

W 1968 r. powstał nowy klub żeglarski przy utworzonym poprzedniego roku Oddziale Zamiejskowym ZPE „*Kazel*”. Przejął on klub „*Conrad*” i przyjął nazwę „*Kaper*”. Rychło rozrósł się do liczby 60 członków, wśród których było: 4 instruktorów żeglarstwa, 15 sterników jachtowych, 15 żeglarzy jachtowych, 3 sterników motorowych II kl. i 10 sterników motorowych III kl. Klub dysponował 8 *OMEGAMI*, łodziami żaglowymi *RAMBLER* i *ELF* oraz 3 motorówkami. Działały też koła PTTK przy Państwowym Ośrodku Maszynowym i Zasadniczej Szkole Zawodowej. Kluby i koła te, uczestniczyły w wielu regatach, m.in. na j. Trzesiecko w Szczecinku, na Zalewie Zegrzyńskim, na j. Lubie, a także były współorganizatorami regat na j. Drawsko.

Tak pisał wówczas (1972 r.) „*Głos Pomorza*” o czaplineckim żeglarstwie: „*Jezioro Drawsko od dawna jest rajem dla żeglarzy, dlatego też Czaplinek powoli zdobywa sobie rangę wojewódzkiej stolicy tego sportu. Wzorem lat ubiegłych, również w tym roku odbywać się tam będą Żeglarskie Mistrzostwa Okręgu Juniorów i Seniorów w klasach Finn, Hornet, Latający Holender, Cadet, Okay Dinghy. W regatach tych, które odbędą się w dniach 16-20 bm., startować też będą czaplineccy żeglarze. Natomiast w miejsce tradycyjnych regat o Złotą Kotwicę, rozgrywane będą drugie z kolei zawody o puchar ziemi czaplineckiej, w których zapowiadają swój udział także żeglarze z innych województw*”.

Po 1990 r. działalność żeglarska w Czaplinku załamała się. Upadły zakłady sponsorujące kluby żeglarskie, osłabła aktywność ośrodków wypoczynkowych i stanic (Piaseczno, Stare Drawsko, Uraz), a władze miejskie odebrały ostatniemu klubowi żeglarskiemu „*Kaper*” użytkowany przez niego od wielu lat domek na plaży. Po reformie oświaty i administracji terenowej władze miejskie ochoczo przekazały MOSW powiatowi, i zmienił on wtedy nazwę na Powiatowy Młodzieżowy Ośrodek Sportów Wodnych. Przesztano go dofinansowywać – miał się utrzymywać sam.

Na początku 2004 r. Zarząd Miasta i Gminy Czaplinek odkupił od Zarządu Powiatu ośrodek za sumę 221.130 zł. Negocjacje i transakcje towarzyszyły górnolotne słowa o czaplineckiej młodzieży. Słomiany zapał burmistrza i radnych skończył się rychło po „odzyskaniu” ośrodka. Nie było żadnej koncepcji, co z nim dalej zrobić, więc przekazano go w użytkowanie Zarządowi Nieruchomości Miejskich Sp z o.o., a ten robił wszystko by zminimalizować koszty. Najpierw zniknął z nazwy zbędny już przymiotnik Młodzieżowy, a potem sama młodzież, która sprawiała tylko kłopot. Powstała natomiast tawerna, w której często odbywały się libacje. Krążyły wtedy wieści, że burmistrz zamierza sprzedać ośrodek prywatnej osobie.

Po wyborze nowych władz przyporządkowano ośrodek Czaplineckiemu Ośrodkowi Kultury, Sportu i Rekreacji. Pod rządami nowego komandora Andrzeja Cogla nastąpiła

też w tym czasie reaktywacja Czaplineckiego Bractwa Żeglarskiego. Ośrodek ożył. Wyremontowany został sprzęt pływający, w tym „Biała Dama” i „Wielki Trener”, który uzyskał romantyczne miano „Czarny Książę”. „Europa” przeszła poważny remont i stanowi dzisiaj poważne źródło dochodu. Świetlica została pięknie wyremontowana, wymienione zostały okna i drzwi.



Na Mistrzostwach Bojerowych Polski.

Odnowiono elewacje budynków i dach starego hangaru. Doposażone zostało zaplecze i część hotelowa. Rocznie wydaje się na prace remontowo-modernizacyjne około 50 tys. zł. Planuje się zmodernizowanie sanitariatów w starym budynku oraz wykonanie nowego ogrodu.

I znów zaczęła przychodzić do ośrodka młodzież, organizowane są kursy na stopnie żeglarskie, odbywają się kilka razy w roku regaty i integracyjne rejsy oraz występy zespołów szantowych. Coraz więcej jachtów kotwiczy przy pomostach, coraz częściej zaglądają tu mieszkańcy Czaplinka. Nie jest to jeszcze świetność z lat siedemdziesiątych, ale jest nadzieja, że żeglarstwo ponownie zacznie się w Czaplinku rozwijać. Już kilkunastu mieszkańców miasta stało się armatorami jachtów żaglowych. Żeglarze mają nadzieję, że znajdą się środki budżetowe na zakup jachtów i dofinansowanie kursów żeglarskich dla młodzieży szkolnej. Niestety nie rozwinęła się działalność żeglarska w szkołach. Stronią od wody nauczyciele wychowania fizycznego i chyba żaden z nich, poza Władysławem Kiryszewskim, nie posiada kwalifikacji żeglarskich. Kiedyś istniała w Liceum Ogólnokształcącym „klasa żeglarska”, lecz cudzysłów najlepiej charakteryzuje jej działalność i wyniki.

Władze miasta czyniły przymiarki do rozbudowy ośrodka i nawet odbyły się z żeglarzami owocne konsultacje koncepcji rozbudowy, lecz zabrakło na ten cel 2 mln zł (budowa hali sportowej kosztowała ok. 5 mln zł) w zadłużonym budżecie. Może kiedyś władze miasta i gminy uznają rozwój sportów wodnych za priorytet, i znajdą niezbędne na ten cel środki. Nasi sąsiedzi, a szczególnie Szczecinek bardzo stawiają na rozwój sportów i turystyki wodnej i inwestują znaczne kwoty w tę dziedzinę. Pora by i Czaplinek poszedł po rozum do głowy i zaczął korzystać ze skarbów, którymi obdarzyła go natura. W przeszłości są ku temu dobre wzory.

W książce „Razem bracia do lin” autor M. Siurowski tak odpowiada na pytanie „Po co żeglujemy?”:

„Aby po rejsie, z cichą radością w sercu, uściskać dłoń i pożegnać przyjaciela, do niedawna zwykłego znajomego. I aby zaznać radości powrotu do domu, od którego odrywa się czasem tak daleko, aby zrozumieć, jak bardzo bliski...[.].”

Im dłużej człowiek żyje, tym bardziej przekonuje się, niekiedy poprzez bolesne doświadczenia, że udane życie to dbałość o rzeczy podstawowe. Tak ich niewiele: uczciwość, honor, wiedza i samopoznanie, wiara, miłość, dobro, prawda...

Żeglowanie uczy robić dobrze rzeczy proste, skupiać się na sprawach elementarnych i cieszyć się nimi, jak kubkiem gorącej herbaty, podanej w środku długiej, męczącej wachty...”

A oto kilka sylwetek nestorów czaplineckiego żeglarstwa, którzy znają odpowiedź na powyższe pytanie:

WIERNY MŁODZIĘNCZYM IDEAŁOM

(Antoni Tołłoczko - pionier czaplineckiego żeglarstwa)

Urodził się 15 sierpnia 1915 r. w Kołupiu, pow. Dwińsk w rodzinie Wiktora i Jadwigi z d. Jacuńska. W końcu 1920 r., po wojnie polsko-bolszewickiej, rodzina przeprowadziła się do Wilna, a niezadługo potem do Landwarowa k/Wilna, gdzie Antek rozpoczął naukę w Szkole Powszechnej. Po jej ukończeniu uczył się do 1934 r. w gimnazjum w Wilnie.

Już w szkole podstawowej dowiedział się Antek z geografii, że świat jest wielki, barwny i piękny. Są wysokie góry, pustynie, puszcze. Jest Afryka, Ameryka, Indie. A droga do nich wiedzie przez morza i oceany. Czytał „Morze” i uczestniczył w obchodach Święta Morza. W 1930 r. wstąpił do Ligi Morskiej i Kolonialnej. Uczestniczył w obozach i szkoleniach żeglarskich w Nowych Trokach, Brasławiu, Ignalinie i nad jeziorami Narocz i Świtez. Wtedy to pokochał żeglarstwo i przyswoił sobie głoszone przez Ligę Morską i Kolonialną idee.

L. dz. 1022 16

POTWIERDZENIE ZAMELDOWANIA

Przezran - Zachodnie województwo Szeregowiec powiat Czaplinek miejscowość

Nazwisko i imię Tołłoczko Antoni

Data i miejsce urodzenia 15.8.1915 w Kolupiu Woj. Wilno

Osobiste miejsce zamieszkania Landwarow

Data zameldowania się 8 maja 1945

Zyknąc się w dniu dzisiejszym na powyższy, Zamieszkał w Czaplinku

orz. ul. Długiej Nr. 31

Czaplinek, dn. 06 1945 r.

Ref. Meldunkowy
/Domanski Boleslaw/

V. Zarządca
/Krupinski Kazimierz/

Potwierdzenie zameldowania w Czaplinku.

Po ukończeniu gimnazjum zgłosił się na ochotnika do Marynarki Wojennej. Niestety nie został przyjęty, bo trzeba było mieć „końskie” zdrowie. Dopiero w lutym 1937 r. został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej w 1 Dywizji Piechoty Legionowej. Z kursów żeglarskich znał alfabet Morse’a, więc został przydzielony do kompanii telegrafistów. We wrześniu 1938 r. został przeniesiony do rezerwy. Niedługo

cieszył się cywilnym życiem i żeglarstwem. 24.08.1939 r. został zmobilizowany i niezadługo ruszył na fronty Wojny Obronnej Polski. 26 września dostał się do sowieckiej niewoli, i do 14 stycznia 1940 r. przebywał w przejściowym obozie jenieckim w Szepietówce na Ukrainie. Po zwolnieniu z niewoli wrócił do Landwarowa.

Podjął pracę na kolei, lecz po roku zwolnił się. W 1942 r. Litwę zajęli Niemcy, i wtedy Antek nawiązał kontakt z konspiracją. W połowie 1944 r. Niemcy zostają wypędzeni i Antek, bojąc się grożących sankcji za AK-owską przeszłość, podjął starania o ewakuację do Polski. W styczniu 1945 r. zgłosił się do Związku Patriotów Polskich w ZSRR i po miesiącu gorączkowego oczekiwania, otrzymał kartę ewakuacyjną. W maju przekroczył nową granicę Polski i zaczął poszukiwać swego miejsca na ziemi. Rok trwała jego wędrówka po miastach Polski - na odwrocie karty ewakuacyjnej jest 7 pieczęci Punktów Etapowych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Wreszcie w maju 1946 r. dotarł do Czaplinka i zachwycony pięknem okolic, przypominających mu rodzinną Wileńszczyznę, postanowił osiąść tu na stałe. Zachował się dokument zameldowania Antoniego Tołłoczki z dniem 8 maja na ul. Długiej 31.

Podjął pracę w kinie „Bałtyk”. Czaplinek był przed wojną dużym ośrodkiem sportów wodnych. Pozostało dużo sprzętu żeglarskiego, o który nikt nie dbał, pojawili się

szabrownicy. Antoni, pomny przedwojennych doświadczeń i idei, zaopiekował się sprzętem żeglarskim, oraz zainicjował powołanie koła Ligi Morskiej, następczyni przedwojennej organizacji, której był wieloletnim członkiem. Antek zorganizował zajęcia z młodzieżą, szkolił ją, uczył wiedzy żeglarskiej, miłości i szacunku dla przyrody. Wkrótce Liga Morska połączyła się z Ligą Lotniczą tworząc Ligę Przyjaciół Żołnierza, lecz Antek pozostał „na wachcie”.

W 1949 r. przeszedł do pracy w Zespole Rybackim w Czaplinku, by łatwiej godzić pracą społeczną z pracą zawodową. W 1954 r. ożenił się i przyszedł na świat syn Mariusz. Po reorganizacji Zespołu Rybackiego został w 1957 r. przeniesiony do pracy w Złocińcu, gdzie pełnił obowiązki z-cy głównego księgowego. Ale i tam natychmiast podjął pracę wychowawczą z młodzieżą. Był jednym ze współorganizatorów i działaczy Klubu Żeglarskiego „ZEFIR” w Złocińcu.



Giżycko. Drugi od lewej A. Tołłoczko.

Szkolił młodzież na stopnie żeglarskie, a w sezonie letnim zajmował się młodzieżą górniczą przebywającą na obozach żeglarskich nad j. Lubie. W czasie urlopów uczestniczył w rejsach morskich organizowanych przez Centralne Ośrodki Żeglarstwa Morskiego w Trzebieży i w Jastarni. Ale nie zapomniał o Czaplinku, który stał się jego małą ojczyzną i nadal działał w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych.

Całe życie marzył o zbudowaniu jachtu pełnomorskiego. Żył więc wyjątkowo asceetycznie, starając się zgromadzić niezbędne środki. W 1977 r. zawiązał maszoperię pod nazwą „*Towarzystwo Budowy Jachtu*”. Korespondował z konstruktorem Julianem Strawińskim w sprawie budowy pełnomorskiego jachtu klasy „*BRUCEO*”. Gromadził materiały i czynił starania o środki finansowe. Ale nie były to łatwe lata i nie udało się zrealizować tej pięknej inicjatywy.

Przez wiele lat brał jednocześnie udział w komisjach sędziowskich i zespołach organizujących regaty żeglarskie na terenie województwa koszalińskiego. Pełnił odpowiedzialne funkcje członka zarządu, kierownika wyszkolenia, głównego sędziego i inne. Był jednym z niewielu znawców sportu bojerowego na terenie województwa koszalińskiego. Po przejściu na emeryturę został zatrudniony jako Instruktor Żeglarstwa w Młodzieżowym Ośrodku Sportów Wodnych w Czaplinku. Spędzał tam każdy dzień, nie szczędząc trudu i czasu. Był lubiany przez młodzież, której przekazywał swą wiedzę, doświadczenie i żeglarską pasję. W tamtych latach żeglarstwo rozwijało się w Czaplinku, przybywało klubów, jachtów i świetnie wyszkolonych żeglarzy. Wszyscy starzy żeglarze z sentymentem wspominają te dobre czasy i Antoniego Tołłoczkę - ojca chrzestnego czaplineckiego żeglarstwa.

Niestety bezduszni ludzie, niepomni jego wielkich zasług dla żeglarstwa i wychowania młodzieży, zwolnili go z pracy w ośrodku, a nawet zakazali przebywania na jego terenie. Jego syn Mariusz wspominał, że ojciec nie mógł przeboleć tej bezduszości. Mówił mu, że wynagrodzenia nie musiał otrzymywać, że on zajmował by się młodzieżą społecznie.

Zapewne ten cios skrócił życie tego szlachetnego człowieka. Zmarł 5 marca 1992 r. i został pochowany na złocińskim cmentarzu. Na łamach prasy wojewódzkiej zęgnął go słowa działacza żeglarskiego, Grzegorza Rawęskiego z Klubu Tramp w Koszalinie:

„...z przykrością informujemy koszalińskie środowisko żeglarskie, że odszedł na WIECZNĄ WACHTĘ kol. Antoni Tołłoczko z Czaplinka. Był długoletnim skarbnikiem w KOZZ i działaczem żeglarskim w południowych rejonach województwa. Jachtowy sternik morski - uczestnik wielu rejsów, sędzia żeglarstwa I klasy, współorganizator zło-cienneckiego i czaplineckiego żeglarstwa, instruktor i wykładowca żeglarskiego kunsztu. Swoją praktykę żeglarską rozpoczynał przed wojną na jeziorze Świtez. Jego uczynność, skromny styl życia, pogodę ducha i oddanie się umiłowemu żeglarstwu, pamiętają starsi i młodszy żeglarze. Był kawalerem najwyższego polskiego odznaczenia żeglarskiego „Zasłużony Działacz PZZ”. Był również egzaminatorem KOZZ. W zmarłym straciliśmy nie tylko nestora koszalińskich żagli, ale i prawego, wartościowego człowieka, cenionego wychowawcę wielu pokoleń żeglarzy.”

Był bardzo skromnym i niestety niedocenianym w Czaplinku człowiekiem. Mimo tyłu zasług nigdy lokalne władze nie uhonorowały go jakimkolwiek wyróżnieniem. Może kiedyś, w lepszych dla czaplineckiego żeglarstwa czasach, Ośrodek Sportów Wodnych otrzyma imię Antoniego Tołłoczki.

ŻYCIE MIAŁEM BOGATE (Wspomnienia Marcina Jurewicza)

Urodziłem się w Holszanach na Białorusi w listopadzie 1939 r., ale trwała wojna i ochrzczono mnie dopiero 3 stycznia 1940 r., i ta data przyjęta została jako data urodzin. Moja mama Maria Jurewicz pochodziła z bardzo licznej rodziny, gdzie było 11 dzieci. Jej rodzeństwo to: Józef, Stanisław, Aleksander, Jan, Emilia (po mężu Żegalska), Julia. Jan został w Holszanach, tam zmarł i został pochowany. Wczesną wiosną 1946 r. matka ze mną, swoim ojcem, siostrą Julią i moim starszym o 4 lata bratem Józefem (mieszka w Szczecinku), przyjechali do Polski i osiedlili się w Żabicach koło Kostrzyna. Otrzymaliśmy bardzo ładny domek jednorodzinny z ogrodem, który sięgał do odrzańskich wałów przeciwpowodziowych. Było w tej wsi tylko kilka rodzin polskich. Pamiętam z tego czasu wydarzenie, które mogło się skończyć źle. Otóż w okolicy znajdowała się ogromna masa broni i mój brat i brat stryjeczny Józef Żegalski, znaleźli gdzieś karabin maszynowy, wleźli z nim na strych i zaczęli pracować seriami w wał odrzański. A stała niedaleko jednostka rosyjska i zaalarmowany strzałami przyjechał patrol wojskowy. Jak nas dorwali, a pasów wleli, darliśmy się niemiłosiernie. Miałem wtedy 6 lat i oberwało się i mnie, chociaż byłem niewinny.



M. Jurewicz w młodości.

Moi stryjkowie Józef i Stanisław osiedlili się natomiast w Czaplinku i po paru miesiącach przyjechali do nas i zabrali do siebie, bo uważali, że będzie nam lepiej razem z rodziną. Dzisiaj uważam, że głupstwo zrobiliśmy, bo to był bardzo ładny domek jednorodzinny. Zamieszkaliśmy w domku przy ulicy Górnej 14, gdzie mama mieszka do dzisiaj. W 1947 r., gdy skończyłem 7 lat poszedłem do szkoły podstawowej na Słonecznej. Pamiętam, że w starszych klasach uczyli nas Badziągowski, Miszewska, Czajka i inni.

Kiedy przyjechaliśmy do Czaplinka w 1946 r. pływać nie umiałem, w Holszanach była tylko mała rzeczulka. Ale od początku garnąłem się z kolegami do wody i szybko nauczyliśmy się pływać „na dziko”. Wody nigdy nie bałem się. W tamtych czasach była inna młodzież. Jakże inaczej jest dzisiaj, kiedy nad wodą prawie nie widać młodych ludzi. Może było tak wtedy dlatego, że nie było ani telewizji, ani internetu, radia

miało niewielu i jezioro było jedynym miejscem, gdzie mogliśmy się wyżyć. Pływałem bardzo dobrze i z kolegą klubowym Ekhardem robiliśmy wyścigi na drugą stronę jeziora i z powrotem. Próbowaliśmy też robić maraton pływacki do Bielawy. Udało mi się do niej dopłynąć, przy asekuracji łodzi wiosłowej. Także później, w starszym wieku, pływałem codziennie po kilka kilometrów, m.in. do plaży lub *Drawturu* i z powrotem. Na długich dystansach lubię pływać krytą żabką.

W 1948 r., gdy byłem w drugiej klasie szkoły podstawowej, Witek Klenczon, nieco starszy ode mnie i jego brat, którzy byli zapalonymi wodniakami, wciągnęli mnie do żeglarstwa. Mnie i Marka Witczaka, Dolegę Bogdana i innych chłopaków. Najpierw byliśmy takimi pomagierami i wylewaliśmy wodę z łodzi. Stopniowo nabieraliśmy wiedzy żeglarskiej. Byłem jednym z najmłodszych. Starsi ode mnie to byli: Wiesiek Soszko, Michał Suszko, Rachański, Stefan Jurewicz i wielu, wielu innych jak: Majda, Janek Koremba, Tadek Matyka, Janek Babski (był potem taksjarem w Warszawie), Stasiak Kiryszewski. To była nasza kadra. Oni nas szkolili. Potem doszli Sławek Zasławski, Józek Serwach i inni. Było tam nas dużo młodych chłopców.

Moimi kolegami byli Witek Klenczon, Marek Witczak, Bogdan Dolega, Wiesiek Soszko, Zbyszek Gonczarko, Rachański, Olek Kuc, Stefan Jurewicz (późniejszy felczer – jakaś daleka rodzina mojego dziadka), Antoś Tołłoczko. Utworzyliśmy Ligę Morską, a zapoczątkował ją Antek Tołłoczko, który przed wojną należał do Ligi Morskiej i Kolonialnej i posiadał uprawnienia żeglarskie. Siedziba Ligi była tam, gdzie dzisiaj jest za hangarem policyjnym plac zabaw, a wtedy stał Dom Ludowy. Była w nim duża sala widowiskowa ze sceną. Zabudowania były od strony ul. Jeziornej – bufety i inne pomieszczenia. Mieliśmy małą „kapciore” pod sceną, w której trzymaliśmy żagle. A łodzie „20”, wydobyte z dna jeziora, trzymaliśmy za ogrodem, tam gdzie dzisiaj jest posesja p. Orzechowskiego. Nie było tam pomostów, tylko powbijane pale – „dalby”. Nie było tam falowania.

Dopływaliśmy tam smołowaną łodzią nazywaną przez nas „Żydem”, taklowaliśmy łodzie, przepływaliśmy przez zatokę i wypływaliśmy na jezioro. Organizowanych było wiele biwaków, nocnych rejsów. Zanim zdaliśmy egzamin na sternika jachtowego byliśmy świetnie opływanymi żeglarzami. Nieraz wiatr dmuchał z siłą 5°, 6°, czy nawet 7° B, a mnie to nie przerażało. Jachty były drewniane, niezatapialne, i nawet gdy przewróciły się, pół burty było na wierzchu, a drewniany maszt leżał na wodzie. Było także jedno utonięcie. Utopił się Franek Lachowicz, który późno, w październiku, kiedy woda była bardzo zimna, wypłynął z Michałem Suszko. Wiatr był silny i wyłożyli się gdzieś na środku jeziora. Lachowicz chciał dopłynąć do brzegu, ale uległ wyiębieniu, stracił siły i utonął. Suszko został na przewróconej łodzi i uratował się. To był w tamtych latach jedyny przypadek utonięcia żeglarza.

Dopiero później, ale jeszcze za Ligi Morskiej, przejęliśmy drewniany hangar stojący do dzisiaj w Ośrodku Sportów Wodnych. Później przeistoczyła się ona w Ligę Przyjaciół Żołnierza (LPŻ), a po nim w Ligę Obrony Kraju (LOK). Współpracowaliśmy wtedy z klubem LOK w Szczecinku, tam był Benek Purczyński, Andrzej Lasak, Janek Chomicz (znany później żaglomistrz), Piechociński, Benek Boniewicz, Hareza. Większość z nich już nie żyje, dużo żeglarzy już odeszło. Organizowaliśmy wspólne regaty i inne żeglarskie imprezy. Przyjeżdżali też do nas żeglarze z Koszalina: Grześ Rawęski, Broniek Szmidt i inni. Organizowaliśmy co roku latem kursy żeglarskie dla młodzieży z Koszalina. Ich poziom był bardzo wysoki. Uczono budowy kadłuba, wiosłowania, sygnalizacji, nawigacji i wielu innych pożytecznych rzeczy.

W naszym klubie panowała demokracja – komandora klubu wybieraliśmy spośród siebie i jedną kadencję, i ja nim też byłem. Był też komandorem Janek Koremba. Chłopaki zrobili mu kiedyś kawał. Stasiek Kiryszewski, który ma zdolności artystyczne wyrzeźbił z dużego kartofla medal z napisem: „*Za zasługi dla profesora ... J. Koremby*”. Medal został ładnie pomalowany i umieszczony w ozdobnym pudełku. Zebraliśmy się wszyscy i mówimy poważnie „*Janek, my tu za twoje wniesione zasługi medal chcemy ci wręczyć*”. On bardzo przejęty bierze ten medal, czyta napis i wreszcie wściekły rzuca medal i depcze go. A my wszyscy w śmiech.



Wspinanie się na maszt. Na dalszym planie Jurewicz.

ne maszty wyskrobane, nasycone gorącym pokostem i polakierowane.

Początkowo mieliśmy tylko budynek drewniany obecnego hoteliku w OSW. U dołu był hangar, gdzie mieliśmy swój sprzęt. Na górze była świetlica do szkoleń i do „*potupajek*”, „*kabina*” bosmańska, bokówka i strych. Z czasem, jak ośrodek przejęło kuratorium, powstały nowe obiekty. Natomiast cypel, którego kiedyś nie było (woda dochodziła prawie do wrót hangaru), zaczęli sypać żeglarze już na początku istnienia klubu. To był w większości gruz z rozbiórek budynków. Żeglarze także własnymi siłami budowali i remontowali pomosty.

Po przejęciu OSW przez kuratorium w Koszalinie założyliśmy wspólnie z Jackiem Kujawskim i Stefanem Jurewiczem Klub Żeglarski PTTK „*Kaper*” w którym działałem do ożenku w 1964 r. Stefan Jurewicz był pierwszym żeglarzem w Czaplinku, który zbudował własną żaglówkę. Dopiero wiele lat po nim zbudowali bracia Korembowie następny jacht typu „*Konik morski*”, a po nich Stasiek Kiryszewski zbudował kolejny jacht. Podjął

Ja przeważnie byłem skarbnikiem klubu – pilnowałem kasy. Co się kolegom ode mnie udawało wyrwać to wyrwali, a reszta szła do kasy – na farby, na liny szkle i inne cele. Dotacje dla klubu otrzymywaliśmy z LOK tylko w naturze, najczęściej farby, rozpuszczalniki, pędzle, liny itp. Resztę dorabialiśmy sobie. Współpracowaliśmy np. z uzdrowskiem w Połczynie Zdroju. Kuracjusze przyjeżdżali do Czaplinka, zwiedzali miasto, a po tym myśmy zawozili ich *DZ*-etą do Starego Drawska, skąd autobus zabierał ich do Połczyna. Mieliśmy wtedy w klubie jedną *DZ*-etę, trzy „*20*” („*Ryś*”, „*Szkwał*” i „*Delfin*”). Łodzie te miały maszty o wysokości 7,2 m, powierzchnię żagli 20 m² i kadłuby klepkowe z mahoniu. Potem otrzymaliśmy „*Dinghy*”, które miały poszycie zakładkowe. Była przy tym na wiosnę robota, żeby uszczelnić kadłuby – najpierw upychało się szczeliwo, a potem moczyło. Wszystkie łodzie były zawsze wylakierowane, wypucowane, drewniane

też próbę budowy jachtu morskiego Antoni Tołłoczko i została nawet zawiązana w tym celu maszoperia, ale nic z tego nie wyszło. Potem, jak się ożeniłem, odszedłem od żeglarstwa, bo nie starczało mi na nie czasu.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1955 r. podjąłem naukę w Zasadniczej Szkole Budowy Okrętów w Szczecinie na Wydziale Ślusarz Remontowy Urządzeń Przemysłowych. Gdy już kończyłem szkołę powstawało Technikum Budowy Okrętów. Ze mną był jeszcze w tej szkole Bogdan Dolega i on został w technikum, po ukończeniu którego studiował na Politechnice. Potem był na kontrakcie w Niemczech. Już nie żyje. Po skończeniu szkoły pracowałem na budowach w Bydgoszczy na Łęgnowie. Później poszedłem na kolej do Szczecinka. Tam zrobiłem papiery ślusarza parowozowego. Była tam duża parowozownia. Pracowałem w niej na różnych wydziałach 2,5 roku. Nas, młodych pracowników, co pół roku w ramach praktyki, rzucano na inny dział, a następnie kierowano do technikum kolejowego, gdzie uczono na maszynistów kolejowych.



M. Jurewicz za sterem.

Pracowałem więc u kotlarzy, na spodach, na armaturze i w kuźni, a także na tokarni pół roku. W końcu pracowałem u kotlarzy. To była paskudna praca, bo nieraz trzeba było wejść do gorącego paleniska, z którego popielnika wygarnięto tylko żar. W dwusciennym kotle parowozu są tzw. „zespórki”. Czasem one pękają i wtedy pojawia się przeciek wody, która zalewa palenisko i parowóz nie

może uzyskać właściwego ciśnienia pary, a więc mocy. W takim przypadku dokonywano naprawy bieżącej. Trzeba było wskoczyć do gorącego paleniska, przy rusztach złapać powietrze, wziąć młotek, specjalny okrągły, toczony klin, zabić go w otwór młotkiem i uciekać. W czasie wykonywania tej pracy, robotnik był asekurowany, bo w palenisku była wysoka temperatura i gazy, i mógł on stracić przytomność i zginąć.

W remoncie średnim, wykonywanym już na zimno, nieraz 20, 30 rozpórek trzeba było wymienić w kotle. Przed tym czyściło się ścianki drucianymi szczotkami i nie wolno ich było myć wodą. Jednak, gdy majster nie widział, podłączaliśmy węże do sąsiedniego parowozu i myliśmy pod ciśnieniem 13 atmosfer, oszczędzając sobie brudnej harówki. Aby wykonać naprawę trzeba było przewiercić obie ścianki kotła ciężką wiertarką, potem rozwiercić otwory, nagwintować, wkręcić nową zespórkę i obsztamować – wszystko pneumatycznie. Dopiero wtedy spawacz przysięgły obspawywał nowe rozpórki. To była najcięższa praca w parowozowni.

Pamiętam jak do parowozowni przyjechał parowóz, który za godzinę miał iść w trasę i kierownik zmianowy mówi: „*Panie Jurewicz proszę uszczelnić urządzenie odiskierne*”. Otóż w pierwsze komorze parowozu jest tzw. dymnica, a w niej jest siatka odiskierna, która wylapuje iskry ze spalin, przed ich wylotem z komina. Jak się wypalą dziury, trzeba przymocować drugą siatkę. Ja odpowiadam: „*Ja tam nie pójde,*

musi być ktoś, kto mnie zaasekuruje. Kto mnie wyciągnie gdybym zasłabł?” I nie poszedłem. Na drugi dzień zwolniłem się z pracy.

Podjąłem pracę w akurat powstałym w Czaplinku oddziale Wielobranżowej Spółdzielni Pracy „*Drawa*” (przy ul. Złocienieckiej), która robiła tzw. „wozy *Drzymały*”. Pracowałem w niej dwa lata, nie tylko przy wozach, ale także przy remontach gorzelni, między innymi w Drahimku. Do roboty pływałem wtedy kajakiem, a po drodze łowiłem niezłego szczupaka, a było ich wtedy w bród. Po przeniesieniu spółdzielni do Złocieńca w jej miejsce powstała Techniczna Obsługa Samochodów (TOS), której pierwszym kierownikiem został Jacek Kujawski. Zwolniłem się więc z pracy w spółdzielni i przeszedłem do TOS. Byłem ślusarzem, ale nie w motoryzacji. Ze mną przyszli do pracy Stasiek Narewski, Stanisław Majewski, Stasio Aleszko, który był elektrykiem, Władek Sokolnicki, który był mechanikiem samochodowym, Fornal, który został elektrykiem, Narcyz Wójtowicz, który został mistrzem zmianowym.



Konkurs picia spirytusu przez słomkę.

pojazdy, wystarczyło mieć młotek i śrubokręt, żeby to robić. Pracowałem tam prawie 3 lata. To była ciekawa praca, ciągle nowe sprawy i kontakty z klientami. W trakcie pracy ukończyłem w Szczecinku półroczny kurs i zrobiłem dodatkowo papiery mistrzowskie ślusarza remontowego silników. Egzamin zdawaliśmy razem ze Staśkiem Aleszką. Praktyczny egzamin trwał trzy dni, i w tym czasie trzeba było rozebrać „w drobny mak” silnik samochodowy, doszlifować i dotrzeć zawory, i całość złożyć. Egzamin teoretyczny trwał dwa dni. Jako pracę dyplomową zrobiłem półprzekrój skrzyni biegów „*Warszawy*”. Korbką się kręciło, włączało biegi i dokładnie było widać jak się wszystkie koła zająbiają na poszczególnych biegach.

Jakoś jesienią, po powrocie z urlopu, kierownik zmianowy Goryszewski mówi mi: „*Panie Jurewicz weźmie pan ludzi i będzie robił remonty „Starów*”. Praca ta polegała na tym, że rozbierało się samochód na podstawowe zespoły: silnik, tylny most, skrzynia biegów itd., które przewoziło się do specjalistycznych zakładów, gdzie je remontowano. Pozostałe elementy nadwozia i podwozia trzeba było skrobać i malować. Po remoncie przywożono podzespoły i ponownie je montowano. Proponowana przez Goryszewską praca była dla mnie nieciekawa, więc zwolniłem się i poszedłem do POM do dyrektora Rychliczka, pytać czy nie potrzebują mechanika samochodowego.

Oni w tym czasie tworzyli transport samochodowy. Była dopiero jedna hala – ta wzdłuż ul. Poznańskiej (obecnie zajmuje ją BS – „wiaderka”). Tam już pracowali Weryho Mietek, Zubrzycki, Mietek Adamczyk i ja do nich dołączyłem. Zacząłem starać się

Mnie i Staśka Narewskiego wysłali do TOS-u do Człuchowa na szkolenie i praktykę. Gdy my szkoliliśmy się, w Czaplinku szykowano halę. Po powrocie z Człuchowa objąłem stanowisko przeglądów gwarancyjnych wszystkich pojazdów: motocykle *WFM*, *SHL*, *Junaki*, samochody *Syreny*, *Stary*, *Warszawy*. To były proste

o lepsze stanowisko i otrzymałem kawałek hali, gdzie była potem diagnostyka. Był tam wtedy dział, na którym wykonywano zbieracze nadkładu torfowego. To były ogromne maszyny na gaśienicach. Maszyna taka szła po torfowisku i pierwszą warstwę zbierała, odkładając ją na bok. Z czasem diagnostyka samochodowa zaczęła się rozwijać i w końcu całą halę na nią zająłem. Ściągałem nowoczesne urządzenia jak diagnostyki, analizatory spalin, wyważarki do kół, lampy stroboskopowe. Byłem wysyłany na szkolenia do Instytutu Transportu Samochodowego w Warszawie i Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach.

Tam przepracowałem bodaj 25 lat. Zrobiłem też wtedy papiery konserwatora dźwigów, żurawi, suwnic i urządzeń dźwigowych. Co trzy lata musieliśmy odnawiać uprawnienia. Najpierw za dodatkową pracę przy urządzeniach dźwigowych mi płacono. Potem kazano mi dokonywać przeglądów w ramach obowiązków – bez dodatkowej zapłaty. To ja, kiedy wysłano nas na okresowe egzaminy do Szczecinka, na egzaminie celowo zacząłem wypisywać bzdury i go oblałem. Po powrocie do POM na drugi dzień przyszedł do mnie dyrektor Rychliczek i pyta: „*No i co, zdałeś Marcin?*” Ja mu na to, że nie umiałem obliczyć wytrzymałości liny i nie zdałem. To było w czasie, kiedy odłączyła się od nas Wojewódzka Baza (późniejszy „*Rolmat*”) i stamtąd sprowadzali konserwatora dźwigów płacąc mu więcej, jak wcześniej dla mnie.



Od lewej: Tadeusz Matyka, Stanisław Kirszewski, Marcin Jurewicz.

Oprócz pracy zawodowej pełniłem różne funkcje społeczne. Byłem sekretarzem miejskiej organizacji ZMS, i z ramienia tej organizacji radnym powiatowym w Szczecinku. Byłem na różnych czasach szkoleniowych - seminariach dla młodych radnych na Mazurach, w Podczelu k/Kołobrzegu, kursie instruktorskim w Osieku Koszalińskim. Po mnie, jak odszedłem z ZMS, była Grzelińska Krysią. Za tę działalność otrzymałem odznaczenie Janka Krasickiego. Byłem też sekretarzem zakładowej organizacji partyjnej.

Jak się tworzył w 1980 r. związek zawodowy „Solidarność” zostałem jego przewodniczącym w POM-ie. Z tego powodu, już po stanie wojennym, byłem trochę gnębiony. Ciągano mnie do SB w Drawsku Pomorskim i straszono zamknięciem w więzieniu, a nawet kiedyś oberwałem trochę. Znali wszelkie nasze działania, bo był między nami donosiciel. Miałem też w tym czasie, po każdym wypadku samochodowym, surowe kontrole milicyjne prowadzonej przez mnie stacji kontroli pojazdów. Szczegółowo sprawdzano wszelkie rejestry badań technicznych i próbowano złapać mnie na jakiejś nieprawidłowości. Mając już tego dosyć zwolniłem się z pracy w POM i zatrudniłem się jako maszynista stacji pomp w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej (MPGK).

Ale tam już długo nie pracowałem, bo mnie groźna choroba onkologiczna przycisnęła. Dzięki mądrej lekarce powstrzymano postępy choroby, ale od ponad trzydziestu lat jestem pod kontrolą lekarską i przechodzę okresowe zabiegi zapobiegające nawrotowi choroby. Choroba zmusiła mnie do przejścia na rentę, jeszcze przed osiągnięciem wieku emerytalnego. Po pomyślnej kuracji zacząłem pracować, w niepełnym wymiarze godzin, w Ośrodku Sportów Wodnych jako bosman. Przepracowałem tam pod szefostwem Michała Koremby ponad 10 lat. Latem prowadziliśmy obozy żeglarskie, na których pełniłem funkcję ratownika i instruktora. Praca ta urwała się po przejęciu ośrodka przez starostwo powiatowe..

Już w LPŻ za Tołłoczki, a potem Zbyszka Gonczarki (był kilka kadencji, najdłużej urzędującym komandorem), na szkoleniach, zrobiłem patenty, najpierw żeglarza, a potem sternika jachtowego. Kiedyś przed rokiem 1964, kiedy byłem jeszcze kawalerem, będąc w Szczecinku, spotkałem kolegę, który mówi: „*Sluchaj Marcin PCK poszukuje chętnych na kurs ratowników wodnych.*” To ja natychmiast pogoniłem do PCK i zapisałem się na ten kurs. To był lipiec, dwa tygodnie w Sopocie, to był dla mnie raj. Oprócz mnie pojechali na kurs Zbyszek Gonczarko, Kramarczyk i Zasławski. Kurs odbywał się w Centralnym Ośrodku Szkolenia Sanitarnego PCK w Sopocie, w pałacyku zaraz koło Opery Leśnej. Trenowaliśmy codziennie po trzy godziny na basenie „Arki” w Gdyni - dostawaliśmy nieźle w kość! Potem wracaliśmy do Sopotu na obiad, a po nim mieliśmy trzy godziny kursu sanitarnego. Potem krawatka i na miasto na piwo, i na podryw.

Pierwsza drużyna WOPR powstała przy ORMÓ (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej) i korzystała z hangaru milicyjnego na nabrzeżu, który istnieje do dzisiaj. Tam działali Białek, Wojciech Zakrzewski. Byłem w tej drużynie gospodarzem całego sprzętu. Mieliśmy dwie łódki „Romana” i dwa „Wichry” zdezelowane. Z różnych przyczyn nie zagrzałem tam zbyt długo miejsca. Niezadługo potem drużyna przestała istnieć. Wtedy zaangażowałem się w organizację nowej Drużyny Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, i udało się ją powołać w 2000 r. Jestem jej kierownikiem do dzisiaj. Dorobiliśmy się ciężką pracą niezłej przystani, 3 dzielnych motorówek i bardzo dobrego



M. Jurewicz.

imienia. Dorobek ten może ulec zatraceniu, o ile w najbliższym czasie nie nastąpi profesjonalizacja ratownictwa wodnego na wzór GOPR. We współczesnych czasach czysta działalność społeczna skazana jest na niepowodzenie.

Jeszcze w okresie pracy w TOS w 1964 r. ożeniłem się. Świadkiem na ślubie cywilnym był ówczesny komandor klubu Zbyszek Gonczarko. Ja z kolei miałem być świadkiem na jego ślubie, ale on zabił się na SHL-ce. Po zawarciu małżeństwa zamieszkałem na ul. Kamiennej i pomagałem teściowi prowadzić gospodarstwo rolne, które liczyło 12,5 ha ziemi. Gdy je zdał za rentę wzięłem w dzierżawę 3,5 ha ziemi, którą uprawiałem i hodowałem konie, krowy, świnie, kury, nutrie. Szybko przyswoiłem sobie wiedzę rolniczą i nie miałem żadnych kłopotów z prowadzeniem gospodarki. Z tytułu prowadzenia gospodarki rolnej mam nawet niewielką emeryturę z KRUS. Zajmowałem się też nieoficjalnie naprawą samochodów i kilka zawsze stało na moim podwórzu. Dzięki ciężkiej pracy nieźle zarabiałem i powoli dorabiałem się. Najpierw było mnie stać na rower, potem kupiłem nową *WS-kę*, a wreszcie, w czasie pracy w POM, „*Warszawę*” garbusa, potem drugą, potem dwa „*Fiaty 125p*”, dwa „*Polonezy*”. Zawsze lubiłem samochody, bo znacznie ułatwiały życie.

Po 3 latach mieszkania z teściami przeprowadziłem się z rodziną do matki na ul. Górna, a potem do zastępczego mieszkania na ul. Sikorskiego. Wstąpiłem też do spółdzielni mieszkaniowej i otrzymałem mieszkanie w nowym bloku przy ul. Długiej. Żona urodziła 2 synów: Krzysztofa, który ukończył w Kołobrzegu szkołę średnią i mieszka w Czaplinku, i Mariusza, który skończył studia na Politechnice Szczecińskiej i mieszka w Szczecinie. Krzysztof ma córkę i syna, a Mariusz córkę. Mariusz jest żeglarzem. W tym roku zdobył patent sternika motorowodnego.

Moja działalność społeczna w tamtych latach była wysoko oceniana i otrzymałem za nią tytuły zasłużonego dla miasta Czaplinka, dla Ziemi Szczecineckiej i dla Województwa Koszalińskiego.

WYRYWAŁEM SIĘ W ŚWIAT (Wspomnienia Jana Koremby)

Urodziłem się 1 kwietnia 1938 r. na obecnej Ukrainie, w słynnym kiedyś Chocimierzu w woj. stanisławowskim. Dziadek był osadnikiem wojskowym, miał gospodarstwo, które jako legionista dostał od J. Piłsudskiego. Mój dziadek Jan miał syna Stefana – mojego ojca, a Stanisław, brat stryjeczny dziadka, też miał syna Stefana. Ten drugi po pierwszej wojnie światowej był w polskim wywiadzie i naraził się wtedy sowietom, bo zwalczał ich propagandę na tamtych terenach i wyłapywał ich agitatorów.

Mama miała na imię Anastazja i pochodziła z zasłużonej dla kraju rodziny Jaworskich z Chocimierza. Jej wujek leży na cmentarzu zasłużonych w Krakowie. Mama w szkole uczyła się z Żydówkami i dobrze przyswoiła sobie ich język, perfekt. A ojciec był znanym na całą okolicę tancerzem – wodzirejem. Do dzisiaj pamiętam jego tańce w Czaplinku, jak hołubce wywijał. Często zapraszano go na zabawy w roli wodzireja. W młodości uczył się parę lat zawodu tkacza i robił potem na warsztacie dla Ukraińców różne, bogato zdobione płótna i inne tkaniny na koszule, ręczniki i obrusy. Inni w rodzinie pracowali na roli, lecz on tym się nie zajmował. Oprócz mnie mieli rodzice synów Michała, Stanisława (mieszka w Warszawie, ma 2 m wzrostu i jest najwyższy z nas, pracował w LOT) i Andrzeja. Bracia rodzieli się regularnie, co 4 lata: w 1942 r. w Chocimierzu Michał, w Czaplinku w 1946 r. Stachu i w 1950 r. Andrzej.

Gdy w 1939 r. wkroczyli sowietci mój dziadek położył się do łóżka i oświadczył, że musi umrzeć, bo Moskale przyszli. I do dwóch tygodni umarł, mimo że był zdrowym,

potężnym, wyższym ode mnie chłopiskiem. Wiedział, że jako uczestnik wojny polsko-bolszewickiej będzie aresztowany. I rzeczywiście, kiedy dziadka już pochowaliśmy, wpadli sowieci, nie wierzyli, że on nie żyje. Kiedy wójt pokazał jego mogiłę, chcieli ją rozkopywać. To teraz z kolei zaczęli szukać Stefana Koremby i aresztowali ojca, będąc przekonani, że to jest ten drugi Stefan, który walczył z ich agitatorami. Zamknęli go w Tłumaczu w piwnicy i matka nosiła mu jedzenie. Po dwóch tygodniach przesłuchań Sowietci, będąc pewni, że mój ojciec to ten drugi Stefan, postawili go „*pod stienku*”. Jakimś cudem ojca nie rozstrzelali. Bóg nad nim czuwał. Wpadł jakiś Rosjanin i wstrzymali egzekucję. Zamiast niego rozstrzelali jakąś szesnastoletnią Żydówkę.



Biwak w Starym Drawsku.

Ojca w nocy wygnali z aresztu i musiał wracać z Tłumacza do Chocimierza 18 km. A już w tym czasie tworzyły się banderowskie bandy, które mordowały Polaków. Więc iść nocą mógł bezpiecznie tylko banderowiec. Bronił się więc ojciec przed marszem nocą, ale mu powiedzieli, że jeśli nawet go zabiją to „*mielocz*” (drobiazg). W parę miesięcy potem uciekliśmy do Stanisławowa, gdzie mieliśmy swoje mieszkanie i tam dotrwaliliśmy do końca wojny. Nieraz tam cierpieliśmy głód, ale zagrożenie od banderowców było mniejsze. Gdy przyszli ponownie Rosjanie, nadal pa-

nował głód, bo przydziały żywności dostawali tylko ci, którzy przyjmowali obywatelstwo radzieckie. Ojciec dorabiał piłowaniem drewna dla Rosjan i poważnie zranił się wtedy w rękę, wywiązało się zakażenie i potrzebna była interwencja wojskowego chirurga.

Przed Wielkanocą 1946 r. wyjechaliśmy z rodzinnych stron. Po miesięcznej podróży znaleźliśmy się na Ziemi Lubuskiej. Mama nie chciała tam zamieszkać, bo w jej przekonaniu to tereny poniemieckie, a panowała wtedy taka psychoza, że Niemcy wrócą i wypędzą polskich osiedleńców. Mama mówi: „*nie tu przy granicy niemieckiej*”. Dogałała się z kolejarzami i za bimber doczepili wagon do składu, i jedziemy do Szczecinka. Tam stanęliśmy na bocznicy i mama poszła wybierać domy. Znalazła dom naprzeciw stadionu, tam były piękne wille. Mogliśmy ten dom dostać, bo zostawiliśmy w Stanisławowie majątek – ziemię i zabudowania, mieliśmy kartę repatrianta, w której było opisane wszystko co mieliśmy, i mówiono nam przed wyjazdem, że dostaniemy w Polsce to, co tam zostawiamy. Ale ojciec nie, lubił przestrzeń i miał dość mieszkania w Stanisławowie. i mówi do niej tak: „*dość mam miasta, nie będę tu mieszkał*”. No to do Czaplinka. Małe miasteczko. Przywieźli tu nasz jeden wagon. Była z nami rodzina Żakiewiczów, takie stare małżeństwo z naszych stron. Też uciekali przed Moskalami.

Wysiedliśmy tu w Czaplinku. Dostaliśmy dom na Poznańskiej, w którym nie było okien, podłogi były powyrywane, wały się porozrywane pierzyny, podwórze było zryte, rozkopane - jednym słowem ruina. W takim stanie zostawili dom Rosjanie, którzy wcześniej w nim stacjonowali. Ja biegałem po Grunwaldzkiej i Poznańskiej, które jeszcze były niezamieszkałe i szukałem ram okiennych. Na szczęście Niemcy mieli większość okien znormalizowanych i nietrudno było znaleźć ramy, które pasowały do naszych okien. Ojciec niewiele mógł robić, bo mu jeszcze ręka się nie zagoiła, mimo, że w czasie jazdy koleją na napotkanych punktach sanitarnych, miał zmieniane opatrunki. Naszymi sąsiadami były dwie rodziny ze Skierniewic, zajmowały dom, gdzie Jasińscy i Romańczukowie teraz mieszkają. Pierwszymi, którzy tu przyjechali byli Sobkowski, Tancer, Krauze, Łazar, Trzeciński i inni. Kwitł szaber. Jak tu przyjechaliśmy, porządnych ludzi mało było. Trwało rabowanie, rozbijanie i wywożenie. Milicją zawiadował Sobkowski, mieli kilka karabinów. Każdy z mieszkańców musiał w nocy stać z karabinem, pilnować na placu. Kiedy na ojca przypadła warta, karabin oparł o drzewo na rynku i z kijem chodził. W nocy przyszedł Sobkowski i pyta: „*panie Koremba, a gdzie karabin*”. A on na to: „*A tam stoi pod drzewem*” i ojca już więcej nie brali na noc.

Dowiedział się ojciec, że organizują tartak, a że wszystkim się interesował i był z niego taki majster klepka, postanowił tam się zatrudnić. Przyjechał kierownik, niejaki Kozikowski, człowiek wykształcony – leśnik drzewiarz i ojciec się z nim dogadał. Znaleźli młodego mechanika, niejakiego Stasia Bierzgalaskiego, który miał 28 lat i akurat wrócił z robót z Niemiec. Jego rodzina dotąd mieszka na rogu Grunwaldzkiej i Poznańskiej. I tak tych trzech ludzi zaczęło organizować tartak. Brakowało transportu, ale oni znaleźli ciągnik *Lanz Bulldog*, cóż, kiedy nie mieli przyczepy. Kiedy dowiedzieli się, że w Mirosławcu było lotnisko, pieszo poszli tam na zwiady i znaleźli wielką przyczepę do wożenia samolotów. Ojciec poszedł do Czaplinka, wrócił ciągnikiem i przyholował tę przyczepę. Teraz zaczęli szukać traków. W tamtym czasie na Wałęckiej, tam gdzie teraz stoi szkoła podstawowa, był ogromny, piękny tartak, który Rosjanie rozszabrowali. Potem W. Mirowicz, robiąc boisko przy ZSZ, nawiózł tam i rozplantował duże ilości ziemi, tak, że nawet śladu po fundamentach tartaku nie zostało. Trzeci tartak, największy, był za torami - jadąc do Broczyna.

Jakieś pół roku potem, po zdobyciu traków, tartak ruszył i ojciec zaczął w nim pracować. Cóż, kiedy brakowało pieniędzy i wynagrodzenie otrzymywał w naturze. Inni mieli pieniądze, mieli je ci, co sprzedawali, handlowali, rabowali. Tacy byli Łazar i Trzeciński, który później założył w Warszawie firmę przewozową taksówek. Pracował w niej potem Janek Babski, który dostał licencję na taksówkę. Tak to kiedyś



Dwudziestka.

było. I w tym tartaku ojciec dożył emerytury. Zmarł w roku 1978, po przeżyciu 96 lat. Jesteśmy długowieczną rodziną. Mama dożyła 94 lat i zmarła w 2007 r.

Moja edukacja zaczęła się, gdy poszedłem do rosyjskiej szkoły. Polskie dzieci były w niej bite za byle co przez Moskalkę, która nas uczyła. Ona po rosyjsku mówiła i ja jej

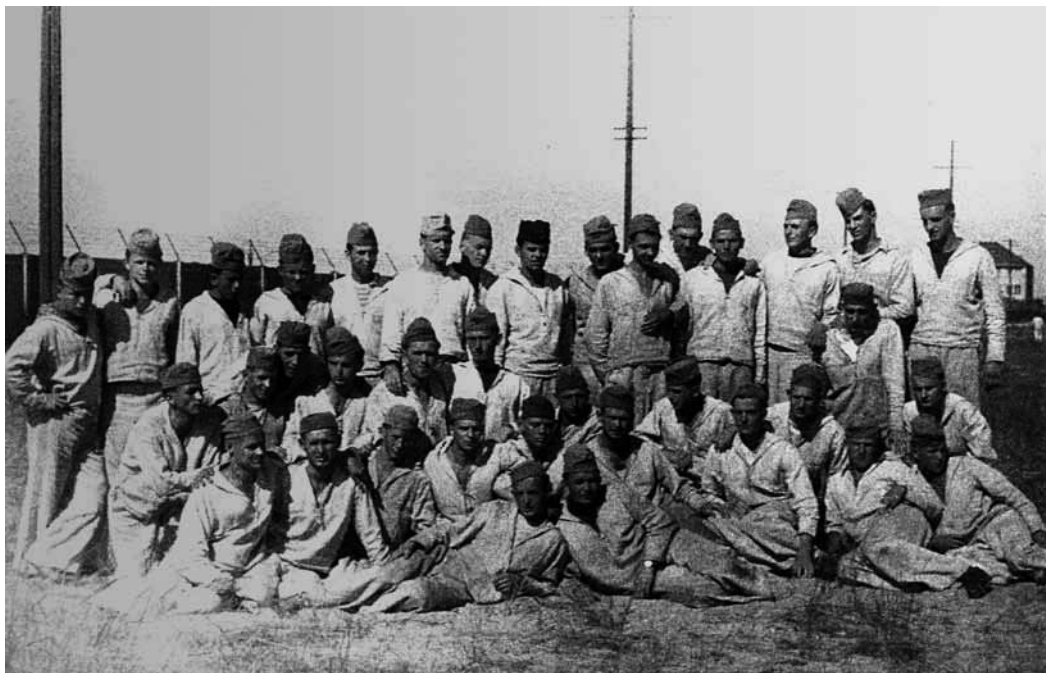
zupełnie nie rozumiałem. Za złe odpowiedzi biła po łapach, biła kijem. Po 3 miesiącach takiego uczenia dzieci, miejscowi ludzie, bardzo rzutcy Polacy, otworzyli szkołę polską. To była piękna szkoła, teraz jest tam podobno pałac kultury. Nie byłem tam dotychczas. Poszedłem więc do tej polskiej szkoły. Zapisany zostałem jednocześnie do przedszkola – po to by było co zjeść, bo tam karmili. Do szkoły chodziłem na przełomie roku 1945/46 - do wyjazdu do Polski. Kiedy tu przyjechałem mama zaprowadziła mnie do szkoły. Był w niej Mirowicz, Plichta, Badziągowski, Leśniewska. Plichta wziął mnie na egzamin i mówi: „*Co ty tak po rosyjsku mówisz?*” A ja mu na to: „*Muszę mówić, bo byłem bity za mówienie po polsku*”. On zrobił wielkie oczy, bo to był Polak z „*Centrali*” i co on wiedział o Rosjanach? Tam ludzie płakali, gdy Rosjanie wkraczali, wierzyli im. Dopiero Mirowicz wyjaśnił mu jak to było na Kresach. Więc po egzaminie Plichta mówi: „*No to co, pójdziesz do drugiej klasy.*” Ale mama mówi nie, w drugiej klasie będzie mu ciężko, pójdzie do pierwszej.

Tam gdzie mieszkałem przed wojną była górską rzeka Bystrzyca, odnoga Dniestru. Nie dało się w niej pływać. Pamiętam jak płynęły nią poćwiartowane przez banderowców zwłoki Polaków z niedalekich wsi. Szczątki ludzkie toczyły się po kamieniach, niesione wartkim nurtem. Po kilku latach zamieszkania w Czaplinku, pamiętam, to było 5 maja 1950 r., poszedłem na skwer, koło dawnego TOS, tu gdzie jest przechylony ogromny kamień. W tamtych czasach, cała ta góra, była pięknie ukwiecona. Były alejki, tarasy i wszędzie rosły bratki i bławatki. Patrząc z góry, a na jeziorze jakieś łódki pływają – tam gdzie była sala Domu Ludowego. Poszedłem tam, stanąłem, popatrzyłem i tam poznałem Klenczonów, Soszkę, Stefana Jurewicza, Żukowskiego i wielu innych. Większość z nich już nie żyje. Któryś z nich zauważył mnie i mówi: „*I co smarku jeden, jazda wodę wylewać!*”. No i tak się zaczęła moja przygoda z żeglarstwem - od wylewania wody. Później już sam przychodziłem. Na początku nie miałem prawa pływania, a jedynie wodę wylać, piasek wybrać - ziarenka piasku nie mogło być i mogłem odprowadzić łódkę pod sad. Tam łódki stały na bojach, a tu nie było miejsca, zresztą fala była i tłukło. Żagle trzymane były w piwnicy pod salą Domu Ludowego.

Żeglarstwo rozpoczął w Czaplinku sędzia Sądu Grodzkiego Żmudziński. To on założył Ligę Morską, to on ściągnął młodzież urodzoną w latach trzydziestych. Członkowie Ligi wyciągali zatopione łodzie, reperowali. Nie wiedzieli jak maszt zrobić. Pamiętam jak ś.p. Broniek Żukowski mówi: „*Taka jedliszka by mi była potrzebna na maszt*”. Myśmy nie wiedzieli, że tak nazywają w okolicach Suwałk, skąd on pochodził, jodły. Żagiel mocowaliśmy do takiego masztu na okrętce. I tak to się zaczynało żeglarstwo w Czaplinku.

Później sędzia tak się postarał, że przydzielili nam, stojący wtedy pusto, przedwojenny hangar na kajaki (obecny hotelik OSW). Tam też nie było okien. Jak dom stał pusty, każdy wybierał, co mu było potrzeba. Była tam kiedyś piękna przystań skifów. Były piękne pomościki - niziutkie, podwójne, między które skify wpływały. To było pięknie zrobione. Jednak skify były już tak zamulone, postrzelane przez Rosjan, że cośmy wyciągnęli to się rozpadały. Tylko parę wiosel odzyskaliśmy. Hangar podremontowaliśmy. Po odejściu sędziego Żmudzińskiego do Człuchowa powstało bezkrólewie. Wiesiek Soszko i część starszej młodzieży zaczęła chodzić do szkoły zawodowej. Stefan Jurewicz wyjechał do Słupska na szkołę medyczną. Przyszedł wtedy Antoni Tołłoczko, przedwojenny żeglarz z Wilna, który był w tym czasie księgowym w Gospodarstwie Rybackim. Był wtedy dyrektorem gospodarstwa rybackiego Henryk Stępiński, który lubił wodę, więc musiał i nas polubić. Myśmy mu pilnowali sprzętu, wiedział, że żaka nie podniesiemy, więc nam

pomagał jak mógł. Po pewnym czasie Antek Tołłoczko odszedł z klubu i wrócił tam, dopiero kiedy powstał MOSW, którym kierował mój brat.



J. Koręba i S. Kiryszewski na kursie specj. morskich Jastarnia.

Antoni Tołłoczko lubił dzieci i był ich dobrym opiekunem. Wysłał mnie na kilka kursów żeglarskich. Początkowo byłem jungą, a dopiero potem żeglarzem. Pierwszy kurs, na który uczęszczałem, był na stopień żeglarza. Zdało go tylko 4 żeglarzy z Czaplinka, a reszta odpadła. Wymogi były takie, że później wprowadzony stopień sternika III klasy odpowiadał wcześniejszemu stopniowi żeglarza. Żeglarz musiał znać nawigację, locję, światła, prawo drogi, sygnalizację semaforem. Pamiętam jak kułem i płakałem. Do dzisiaj, mimo upływu lat, znam każdą literę międzynarodowego kodu morskiego, który nieco różnił się od kodu Marynarki Wojennej. Porozumiewaliśmy się na jeziorze tym kodem.

Po szkole podstawowej bardzo chciałem pójść do Szkoły Morskiej, ale rodzice nie wyrazili zgody. Ojciec wybił mi te chęci z głowy paskiem. Poszedłem więc do Technikum Handlowego w Szczecinku. Ale byłem niespokojny duch i tak, jakoś przed maturą, zadarłem z dyrektorką, która była drugim sekretarzem komitetu powiatowego partii. To by lata pięćdziesiąte, a ja byłem pyskаты i za dużo powiedziałem. Chcieli mnie zrobić na siłę przewodniczącym ZMP, a ja odmówiłem. Dyrektorka powiedziała mi: „*Jak ty maturę zdasz, to mi kaktus na dłoni wyrośnie*”. Bronił mnie polonista, bronił mnie kolega starego Daniuka, matematyk Werstak taki stary kawaler, ale nic nie pomogło, ona była mocniejsza. Dopiero później skończyłem średnią szkołę, bo mi było wstyd. W któreś wakacje, kiedy jeszcze uczyłem się w technikum, przeczytałem wywieszone w mieście ogłoszenie, że LPŻ organizuje w Lesznie kurs spadochroniarsko-szybowcowy dla młodzieży od 14 do 18 lat. Bardzo się do tego zapaliłem, cóż, kiedy potrzebna była zgoda rodziców, a tej na pewno bym nie dostał. Mimo tego napisałem podanie, podszrajbowałem za mamę, za tatę i w pociąg, i jestem w Lesznie. Ale jak pisałem to podanie, to nie wyrzuciłem brudnopisu i mama go znalazła po moim wyjeździe. Byłem na kursie już trzy czy cztery dni, kiedy

matka przyjechała. Jakże ja miałem lanie! A wstydu kupę! I tak mi matka wybiła szybownictwo z głowy. Musiało tak być jak matka i ojciec chcieli.

W 1955 r. pojechałem na kurs do Szczecina Dąbia i zdałem egzamin na sternika III klasy. W rok później przyjechał z Koszalina Broniek Szmidt i zaproponował nam udział w kursie na sternika II klasy w Giżycku. Mieliliśmy wypływając, większą niż wymagana, ilość godzin. Była w klubie prowadzona bardzo dokładnie księga pływania i Wiesiek Soszko, który to robił, srogo pilnował ścisłości zapisów. Oprócz mnie zgłosili się na kurs Janusz Daniuk pseudo „Kiszka”. Pojechaliliśmy na ten kurs i uzyskaliśmy stopnie sterników II klasy. Jakoś tak w tym czasie organizowano w Polsce spartakiadę międzynarodową w Giżycku i Broniek Schmidt zaproponował mi udział w tej spartakiadzie. Ja już wtedy pracowałem – byłem księgowym w PGR w Zawadzie, ale dzięki Bronkowi zostałem urlopowany - nie tylko na spartakiadę, ale również na miesięczny obóz przygotowawczy w Mielnie. Na obozie był ze mną Józek Serwach.

Po spartakiadzie już nie wróciłem do pracy w PGR. Akurat potrzebowali na Torfowni księgowego, technika norm, kasjera i ówczesny główny księgowy, którym był Stefan Wierzbiński, mówi mi: „Janek, ty się marnujesz, chodź do mnie”. Na moje tłumaczenie, że się na tym nie znam, przypomniał mi, że przecież pracowałem tam w wakacje razem z Tadkiem Matyką, ładując baloty torfu na wagony. No więc poszedłem i byłem takim normowszczykiem i kasjerem jednocześnie. Do cholery tych funkcji, kłopotów co niemiara, siedziałem tam całymi dniami i na jezioro nawet nie mogłem wyskoczyć, a zarabiałem raptem 1212 zł. Rychło Wierzbiński został kierownikiem, bo poprzednik Noga odszedł. Kiedy Wierzbiński zachorował na płuca i pojechał na leczenie do sanatorium, miałem urwanie głowy z ludźmi.



Kurs w Jastarni. W środku J. Koremba.

Wtedy jeszcze nie umiałem z takimi ludźmi pracować, a pracownicy torfowni to był „element” - to byli różni ludzie z Polski, i uciekinierzy i kryminaliści i diabli wiedzą, kto tam jeszcze. Ciężka, nisko płatna praca. Oni tam mieszkali w barakach i milicjant by nie przyszedł, bo się bał. Jakoś dawałem sobie radę, ale dawali mi tam, szczególnie z normowaniem, w kość. Ale zrobiłem jedną rzecz w życiu, że wykorzystałem prawo dla poprawy ludziom bytu, co mam sobie za plus. Mianowicie były na torfowni takie normy, że ten, który odbierał z prasy i woził taczka baloty mokrej wełnianki ważące 90 kg i układał je w kilka warstw, miał od jednego balota 20 groszy. Na zmianę musiał ułożyć 120 balotów. Chłop się utrywał, a dostawał grosze. A kobiety, obszywające płótnem

baloty suchej wełnianki na eksport, miały od balota złotówkę. Powiedziałem sobie, że tak nie może być. Pojechałem do Szczecinka do dyrektora Tylmańczyka, który jednak nie chciał mnie słuchać. Dopiero moja interwencja w Centralnej Radzie Związków Zawodowych umożliwiła naprawienie tej krzyczącej niesprawiedliwości. Przy wypłacie wynagrodzeń na koniec miesiąca miałem wtedy okropną awanturę kobiet, które poczuły się pokrzywdzone obniżeniem im akordowej stawki. Musiałem się ratować ucieczką przez okno, przed rozwścieczonymi niewiastami. Dopiero kierownik załagodził tę sprawę. Jednak dłuższy jeszcze czas potem, idąc do samochodu, który dowoził nas do pracy nadkładałem drogi, by ominąć domy, w których mieszkały te panie, bo bałem się, że mi cegłą głowę rozwalą.

Po tej spartakiadzie tak szło. Regaty nie regaty, żeglarstwo stało się w tym czasie moją pasją. Sezon zaczynał się 1 maja, a kończył 1 listopada kąpielą. Cały czas było jezioro. I przez to jezioro, to miałem problemy. Młodzieży w klubie było dużo – był czas, że dochodziło do 60. Jednak, chociaż to może się wydać dzisiaj dziwne, ale my młodzi żeglarze nie piliśmy wódki, nie paliliśmy papierosów, nie chuliganiliśmy. Była dyscyplina, jak to mówiono „linki”. Kolega, kolegę pilnował, a jak było trzeba przyłożył linką. Jeden drugiego szanował. I wyda się to nieprawdopodobne, ale myśmy nie bluźnili – nie było u nas przekleństw. Dopiero później, kiedy się LOK skończył przyszło rozprzężenie, zaczęła młodzież używać wulgaryzmów.

Po odejściu Antka Tołłoczki prowadziłem klub, jako przewodniczący pięcioosobowego zarządu - nie było u nas funkcji komandora. Funkcję tę pełniłem do czasu powołania mnie do wojska. Przewodniczącym po mnie został Stasio Kiryszewski, a gdy i jego powołano do wojska, został nim Zbyszek Gonczarko. Przed powołaniem do wojska odbyłem, razem ze Stasiem Kiryszewskim, szkolenie na stopień sternika-nawigatora w Jastarni. To było przygotowanie do „marwoja”. Wojskowa Komenda Rejonowa szkoliła specjalistów morskich przed pójściem do wojska. Robili to po to, by rekruci nie siedzieli niepotrzebnie w Ustce przez rok i przygotowywali na miesięcznych intensywnych kursach nawigatorów, sygnalizatorów, mechaników na potrzeby wojska.

Pojechaliśmy więc ze Stasiem do Jastarni i tam dostaliśmy niezłe w kość, zdaliśmy egzaminy no i do „marwoja”. Myślałem, że chociaż w tej postaci spełni się moje chłopięce marzenie. Ale mama, jak to mama, nadal nie chciała żebym został marynarzem, a ponadto dowiedziała się, że służba w marynarce trwa o rok dłużej niż w innych wojskach. Przekonała więc prośbą i groźbą Łacnego, który był wówczas członkiem komisji wojskowej i Przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Czaplinku, by nie dawał mi powołania do Marynarki Wojennej. Ja nic o tym nie wiedząc staję na komisję w Szczecinku po kartę powołania, a Łacny mi mówi tak: „*To twoje zaświadczenie, to świadectwo, to o dupę potłuc. Ja nie chcę z twoją matką zadzierać. Co ty myślisz, że ja chcę żeby mi Korembowa mordę obila?*”. Moja



Pierwsza łódź Korembów.

mama to była bojowa kobieta, ona z Galicji pochodziła. I Łacny postawił się całej komisji i ze złości dano mi kartę powołania nie do marynarki, a do czołgów. Aż się popłakałem, jak wyszedłem z komisji. Okazało się jednak, że nie do czołgów trafiłem, a do artylerii w Braniewie, i to do plutonu dowodzenia i byłem w nim topografem. No, bo znałem nawigację. Po roku, kiedy przyjechałem na pierwszy urlop, pojechałem do WKR żeby się zameldować, bo taki był obowiązek. Spotkałem komendanta, a ten mówi: „*Co czołgisto?*” (miałem czarny otok wojsk pancernych na czapce). A ja mu na to: „*Nie czołgi, panie komendancie, a artyleria i to pluton dowodzenia. Jestem starszy topograf*”. Komendant o mało apopleksji nie dostał.

Po wojsku podjąłem pracę na poczcie, na okienku. Obok drugie okienko obsługiwał Leon Gonczarko. W tym czasie Władysław Warsiński założył w Czaplinku drużynę piłki siatkowej. W ramach Ludowych Zespołów Sportowych (LZS) tworzyliśmy taką drużynę z Szulcami, Stasiem Narewskim i innymi, a że brakowało trenera, zarząd wojewódzki wysłał mnie na kurs do Przemyśla. Jak skończyłem ten kurs trenerski zająłem się siatkarzami.

Przyjechał kiedyś do Czaplinka Dyrektor Okręgowej Poczty i Telekomunikacji w Szczecinku i mówi: „*Panie Koremba, jak naczelnik Truszkowski odejdzie na emeryturę, zostanie pan w jego miejsce na poczcie. Jest pan po wojsku, rodzinę pan założy, ma pan mieszkanie na górze, a Leon ucieknie.*” (Gonczarko już się przymierzał do Prezydium MRN – kaperowali go tam na księgowego). Ale niezadługo przyjechał z Tychowa Bekisz, który skaperował ze Szczecinka najlepszych siatkarzy, i w tamtejszym POM zorganizował dobrą drużynę. Firma był solidna i bogata. Zaproponował mi, że jeśli podejmę się trenowania tej drużyny, to dostanę dobrą pracę i mieszkanie. Ponownie przyjechał po mnie samochodem i zabrał do Tychowa. Już prawie byłem zdecydowany, kiedy dostałem oferty pracy z mleczarni w Tychowie i od wiceprezesa PZGS (Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni) w Białogardzie, niejakiego Sztarka. Dobrze znał moją matkę, która jak wspominałem, znała język żydowski. Był on wcześniej prezesem Gminnej Spółdzielni (GS „Samopomoc Chłopska”) w Czaplinku, a jego zastępcą był Kowalski, z którym wspólnie organizował w Białogardzie Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni. To byli bardzo porządni ludzie. Otóż Sztark zaproponował mi posadę kierownika gospody w Tychowie z mieszkaniem w części hotelowej na piętrze. Po powrocie mówię rodzicom o tych propozycjach, a matka na to: „*Jak już tak nie chcesz tej poczty znać, to idź do GS-u*”.

I tak w tym GS-ie kupę lat zmarnowałem. Trenowałem tychowskich siatkarzy i byliśmy w koszalińskim bardzo mocną drużyną. Miałem świetną drużynę. Nawet „*Pogoń*” Szczecin w turnieju o „*Błękitną Wstęgę Bałtyku*” żeśmy rozwalili, choć oni byli przodownikiem I ligi siatkarskiej. W tym Tychowie tylko wody mi brakowało. Przyjeżdżałem czasem do Czaplinka, żeby zobaczyć co w klubie, ale tu już nie było tego co wcześniej. Po mnie prezesem zarządu był krótko Stasio Kiryszewski, ale rychło przeszedł do organizującego się klubu „*Kaper*”. Całe szczęście, że później mój brat Michał wziął to w swoje ręce.

W czasie pracy w Tychowie skończyłem kursy gastronomiczne i naprawy radioodbiorników i telewizorów. Mniej więcej



Dalman Gerard.jpg

w tym czasie poznałam moją przyszłą żonę Janinę, która pracowała na okienku na poczcie. Nie chwalebę się, ale wziąłem „najładniejszą dziewczynę ze wsi”. Konkurentów miałem wielu, próbowali mnie nawet nocą, po wiejsku, napadać. Raz zastąpiło mi drogę czterech kawalerów z kołkami, ale ja się nie dałem i sprawiłem im łomot. Za dwie godziny zjawili się u mnie w hotelu z litrem wódki na zgodę. Ślub wzięliśmy w 1962 r.

W tej gospodzie w Tychowie płacili mi zaledwie 1200 zł miesięcznie, co było bardzo mało, więc uciekłem do melioracji. Dojeżdżałem także wieczorami do Białogardu, gdzie skończyłem kurs naprawy telewizorów i radioodbiorników i potem wykonywałem naprawy sprzętu RTV, dorabiając do pensji. Po pewnym czasie miałem już dość wsi, jaką było Tychowo i w 1970 r. wróciłem do Czaplinka, który był dla mnie jak miasto rodzinne. Żona jeszcze w Tychowie została, bo czekała na zwolnienie się miejsca na okienku na poczcie w Czaplinku. Podjąłem pracę jako ustawiacz automatów tokarskich w Wydziale Zamiejscowym „Telfa”, który potem przekształcił się w ZPiUT „Telkom-Telcza”. Po rozpoczęciu budowy ośrodka wypoczynkowego (obecny „Drawtur”) zostałem tam przeniesiony na stanowisko magazyniera i po trosze bosmana.

Wtedy toomalże nie doszło do kupna pełnomorskiego jachtu „Ogar”, którym pływał znamienity żeglarz polski Kuba Jaworski. W owym czasie był to najszybszy jacht na Bałtyku. Dyrektor Zjednoczenia „Telkom” Ryszard Grochocki był bardzo za zakupieniem tego jachtu. Mówił mi tak: „Jest tu was kilku żeglarzy. Jacht po jeziorze pływać nie będzie, ale przrzucimy go na Morze Śródziemne do Jugosławii. „Telcza” dostanie określoną ilość miejsc w wybranych miesiącach, a resztę miejsc ja zabiorę i między innymi i ja będę. Wy tam będziecie jako stała załoga, przez cały sezon i zimę”. To byłoby coś wspaniałego. W tym czasie wiele zakładów pracy tak robiło i żeglarstwo się rozwijało i miało sukcesy. Mieliśmy w tamtych czasach wielu kapitanów jachtowych. Jeździłem wtedy z Józkiem Serwachem do Szczecina, na oględziny jachtu i negocjacje cenowe. Wynegocjowaliśmy niewygórowaną cenę 1,4 mln, czyli około 50 tys. USD. Niestety zakup nie mieścił się w planie inwestycyjnym i ówczesny dyrektor inwestycyjny „Telczy” Andrzej Szwaja, bojąc się odpowiedzialności za naruszenie dyscypliny finansowej, zablokował ten zakup. A szkoda, bo być może dzisiaj czaplineckie żeglarstwo byłoby na dużo wyższym poziomie.

Pod koniec lat siedemdziesiątych odszedłem z tego ośrodka i do czasu wprowadzenia stanu wojennego w 1981 r., prowadziłem kiosk „Ruchu”, z którego wyrzucono mnie za organizację strajku w Czaplinku. W międzyczasie żona dostała pracę na poczcie i wykonywała wielorakie obowiązki, nawet zastępując naczelnika. Wynagrodzenie było jednak niskie, więc po kilku latach przeniosła się



J. Koremba (z prawej) uczy Wacha śrubkowania.

do GS-u, a po dwóch latach do „Telczy”, gdzie prowadziła zakładowy sklep z reglamentowanymi produktami spożywczymi. Tę pracę bardzo sobie chwaliła i często mówiła, że

ciężko trzeba się narobić, ale tam jest inna atmosfera. Po stanie wojennym wróciłem do „Telczy”, znów na stanowisko ustawiacza automatów tokarskich.

Po kilku latach pracy przeszedłem do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej na magazyniera i stąd, po kilku latach pracy w 1989 r. przeszedłem na rentę. Żona pracowała w „Telczy” do chwili przejścia na emeryturę. W 1963 r. urodziła się nam córka Agnieszka, a w 1968 r. syn. Oboje za moją namową skończyli Technikum Gastronomiczne, ale nie czuli powołania do tego zawodu. Córka przeprowadziła się do Warszawy, gdzie skończyła studia i wyszła za mąż. Pracowała w Instytucie Matki i Dziecka, a obecnie na Uniwersytecie im. kard. Wyszyńskiego, gdzie prowadzi sekretariat. Jej mąż Marian P. Romaniuk, jest autorem książek o Cmentarzu Bródnowskim i pochowanych na nim wybitnych Polakach. Mają syna Łukasza, który studiuje na uniwersytecie. Mój syn Adam mieszka w Czaplinku i pracuje jako kierowca TIR-a. Jego syn Konrad jest uczniem Gimnazjum w Czaplinku.



Konik Morski zbudowany przez braci Korembów.

ludowej. Jego dwie córki i syn ukończyli studia wyższe w Warszawie.

Najmłodszy z braci Andrzej, po skończeniu Technikum Drzewnego w Jarocinie, pracował początkowo jako nauczyciel zawodu w ZSZ w Czaplinku, a potem założył własny zakład szkutniczy. Braci Michała i Andrzeja zaraziłem bakcyłem żeglarstwa i uzyskali oni stopnie sterników morskich i instruktorów żeglarstwa, odbyli też długie staże morskie. Michał zbudował samodzielnie jacht sklejkowy typu „Konik morski”. Wspólnie tzn. Michał, Andrzej i ja zbudowaliśmy stalowy jacht pełnomorski klasy „Bruceo” (konstrukcja amerykańska), którym zamierzaliśmy popłynąć na 200-lecie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Niestety, załamanie naszych dochodów za rządów Hanny Suchockiej, uniemożliwiło nam zakończenie budowy w planowanym terminie i organizację tego rejsu.

W 1997 r. przeprowadziłem się z żoną do Siemczyna, gdzie kupiłem mały domek i gdzie mieszkamy do dzisiaj.

WIATR W ŻAGLACH I FAŁA ROZCINANA STEWĄ JACHTU (Wspomnienia Stanisława Kiryszewskiego)

Rodzice moi pochodzili z Kresów, z okolic Winnicy. Matka Janina z domu Czerwińska urodziła się w listopadzie 1915 r., a pochodziła z Nowego Miasta. Tato Józef Kiryszewski pochodził też z tych okolic, a urodził się w październiku 1911 r. Po wojnie polsko-bolszewickiej tereny te należały do Republiki Ukraińskiej. To było tuż przy przedwojennej granicy Polski. Mama opowiadała czasem, że będąc dzieckiem w wieku szkolnym widziała polskich ułanów.

W 1936 r., w czasach terroru stalinowskiego, Polaków wywożono stąd do Kazachstanu. Wywieziona też została cała rodzina mamy, ale ją ominęło to nieszczęście, bo w tym czasie studiowała w Instytucie Pedagogicznym w Leningradzie matematykę. Ojca też nie wywieziono, bo był buchalterem i jako taki fachowiec był władzom potrzebny. Ojciec był człowiekiem bywałym i jak opowiadał, pracował w wielu miejscach, nawet w Nowosybirsku.



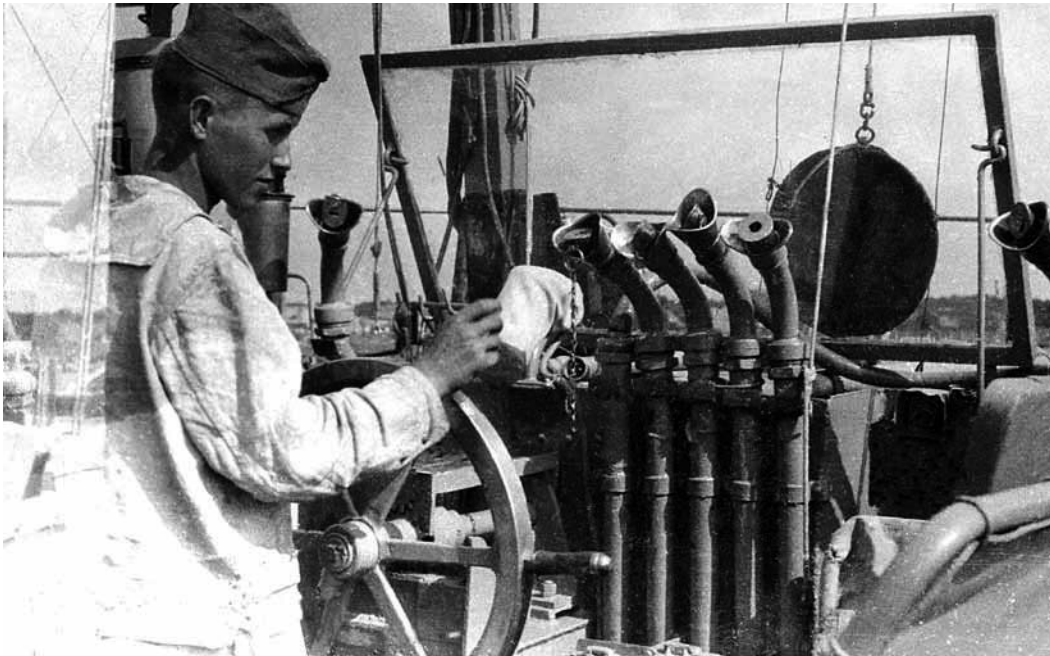
08.07.1958 r. Żeglarska brać. Trzeci z lewej W. Soszko, drugi z prawej stoi S. Jurewicz.

Rodzice pobrali się w 1936 r. Urodziło się im 6 synów: 20.02.1937 r. Witold, 14.07.1938 r. Stanisław - czyli ja, 29.02.1940 r. Leon, 28.09.1946 r. Jan, 25.05.1951 r. Wacek i 25.03.1957 r. Włodek. Przed wybuchem wojny mieszkaliśmy we wsi Osiczna, gdzie mama pracowała w szkole jako nauczycielka. Ojciec był buchalterem i pasjonował się fotografią. Miał aż 7 aparatów fotograficznych i robił dużo zdjęć. Po wojnie opowiadał, że nieraz, jak robił zdjęcia w ciemni, miał ręce po łokcie mokre od wywoływacza.

Dramatycznie zaczęła się dla nas napaść Niemiec na ZSRR. O świcie 22 czerwca zaczęła się kanonada artyleryjska i przez przypadek zginął mój dziadek. Jak zaczął się ostrzał wszyscy ludzie ze wsi uciekli do wykopu po glinie. Matka też pobiegła tam. Niosła mnie na rękę i ciągnęła za rączkę Witka, a kule smugowe śmigały wokół nas i cud, że jakaś nas nie trafiła. Miałem wówczas niecałe 4 lata, ale pozostały mi takie fotograficzne przebliski i zachowane są one gdzieś w pamięci. Pamiętam łunę palącej się wsi. Spłonął wtedy i nasz dom, a w nim wiele fotografii i cały sprzęt fotograficzny ojca. Pamiętam też jak Niemcy walili z dział do pasącej się nad wykopem krowy, bo brali ją za czołg. Stoi mi też w oczach ojciec przebrany za kobietę, z chustką na głowie. Uczynił tak, kiedy szukali go Niemcy, gdy zwał im z kopania okopów. Wyrzucili nas wtedy Niemcy do sąsiedniej wsi, gdzie zakwaterowano nas z kilkoma jeszcze rodzinami w dużej chałupie. Drugą jej połowę zajmował sztab niemiecki.

Był tam jakiś młody żołnierz niemiecki w czarnym mundurze, ale to nie było Gestapo, może wojska pancerne. Przyszedł do nas w Boże Narodzenie i dał każdemu dziecku,

a było nas chyba ośmioro, po czekoladzie. Dał też matce czekoladę ze słowami: „*Dla tego, co na piecu*”. A na piecu ukrywał się ojciec i on o tym wiedział. I powiedział jeszcze do matki: „*Jak on chce palić, to niech wtedy pali, kiedy i my palimy*”. Bo ojciec dużo palił. To mi się wryło w pamięć. Jak już się front przewalił to było potem raczej spokojnie.



S. Kiryszewski za sterem - kurs w Jastarni.

Kiedy w 1944 r. tereny te zostały wyzwolone ojciec poszedł do Wojska Polskiego. Na froncie został ranny, kula przeszła go na wylot. Po wyleczeniu był potem w warsztatach remontowych – naprawiał czołgi. Opowiadał, że radzieckie czołgi, przywożone z frontu do naprawy, miały głębokie wgniecenia w pancerzu, ale mało przestrzelin. Wymieniali w nich silniki, gąsienice itp. Został zdemobilizowany dopiero w 1946 r. Otrzymał odznaczenia za Odrę, Nyse, Bałtyk i inne. Po demobilizacji wrócił na Ukrainę, a tam repatriacja była już w toku. W kwietniu 1946 r. zabraliśmy, co się dało i po załadowaniu na towarowe wagony ruszyliśmy do nieznanej Polski.

Najpierw zawieźli nas pod Kostrzyń, a tam komarów od cholery. Była akurat Wielkanoc. Ludzie z naszego eszelonu zorganizowali święta. Zrobili wielki stół, ustawili go poniżej nasypu i ułożyli na nim potrawy i napitki wielkanocne, bo było, nie było, wieźli przecież i świnię i bydło, i inne rzeczy. Kiedy dorośli urzędowali przy świątecznym stole, dzieciarnia zaczęła rozrabiać. Niejaki Gajewski z bratem Witkiem gdzieś znaleźli sporą oponę, chyba od traktora i zaczęli ją turlać, aż zleciała ona z nasypu i walnęła prosto w świąteczny stół. Najgorsze, że



Stanisław Kiryszewski.

trochę bimbru się wylało. Za to, to nie ojciec, ale babcia im przylała.

Staliśmy tam ponad tydzień. Po rozejrzeniu się po okolicy cały eszelon zdecydował, że tam nie zostajemy. Ktoś zaproponował jako miejsce osiedlenia się Czaplinek. Może to był Janek Przegaliński, który będąc w wojsku szedł przez Czaplinek. To był brat ciocieczny mojego ojca. Matka Janka, Anastazja była siostrą mojego dziadka. Jej mąż Adam Przegaliński, ojciec Janka, był wujkiem mojego ojca. Anastazja i Adam jeździli potem czaplineckim „*dyliżansem*”. Tak więc po tygodniowym postoju pod Kostrzyniem ruszyliśmy do Czaplinka i dotarliśmy tu w maju 1946 r.

Przyjechali z nami Coglowie, Kapyszowie i inni - dużo ludzi z naszych rodzinnych stron. Najpierw zamieszkaliśmy na ul. Żymierskiego (potem nazywała się Świerczewskiego, a obecnie Leśników), koło Blicharskiego. Ojciec pracował kilka lat w gminie jako rachmistrz. Wójtem był wtedy niejaki Wojtczak – jego córka Edyta była potem znaną prezenterką telewizyjną. Potem poszedł pracować do kina. Pracował też w mleczarni, w GS, a wreszcie w Gazowni. Przez pewien czas pracował też, jako urzędnik stanu cywilnego. Zdarzyło się wtedy, że przyszedł do niego najstarszy z synów Witek i mówi: „*Tato daj mi jutro ślub.*” Mama domem się zajmowała.

Gdy przyjechaliśmy do Czaplinka miałem 8 lat i poszedłem do drugiej klasy. Wcześniej do szkoły nie chodziliśmy, lecz mnie i brata uczyła matka, która była przecież dyplomowaną nauczycielką. Witek poszedł od razu do trzeciej klasy. Przyjmował nas do szkoły Waław Mirowicz i nie omieszkął sprawdzić naszych umiejętności. Dał mi coś do przeczytania, a kiedy ja zacząłem trajkotać jak grochem o ścianę, mitygował: „*Nie tak szybko, nie tak szybko!*”.

Po szkole biegałem z chłopakami nad Czaplinko lub małe jeziorko łapać ryby albo się kąpać. Tam, gdzie mieszkaliśmy przed wyjazdem do Polski, było jeziorko i rzeczka i chodziłem tam już na ryby. Jak nie było haczyków, to szpilki wyginałem. Ale pływać nauczyłem się dopiero w Czaplinku. Nad j. Drawsko chodziło się rzadko. Tam, gdzie dzisiaj jest hangar policyjny, była Sala Ludowa, a przy niej stała przycumowana przy brzegu



Żeglarska ferajna.

duża motorówka, zwaną pięćdziesiątką, bo podobno mieściła tylu pasażerów. Obsługiwał ją niejaki Krauze, polski restaurator, który trochę znał się na silnikach. Miał on restaurację tam, gdzie w późniejszych latach był zakład fotograficzny „*Foto-Czepe*” przy ul. Sikorskiego. Jako dzieciak zapamiętałem napis w witrynie tej restauracji „*Lody Miś – tylko dziś*”. Krauze organizował dla mieszkańców miasta majówki i biwaki na Bielawie i w innych miejscach jeziora. Dwa razy byliśmy z rodzicami na takich imprezach. Każdy brał kosz z jadłem i napitkiem i skrzyneczkę piwa. Po dobieciu do brzegu towarzystwo bawiło się i ucztowało, a wieczorem następował powrót do miasta. Potem, kiedy Krauze

wyprowadził się do Złocieńca, nie miał kto naprawiać psującego się silnika motorówki i w końcu wymieniono ją z LPŻ w Wałczu na 4 nowiutkie *Dinghy*.

Kiedyś w roku 1950, a miałem wówczas 12 lat, poszedłem po Witka na przystań Ligi Morskiej (znajdowała się ona wówczas tu, gdzie dzisiaj jest Ośrodek Sportów Wodnych). On już wtedy pasjonował się żeglarstwem. Bardzo mi się tam spodobało i odtąd już tylko tam biegałem. Od czasu do czasu kazano mi wodę wybrać, albo zęzę łodzi wyczyścić, ale czy z Witkiem, czy z Szulcem, czy z innymi starszymi chłopakami od razu zacząłem pływać.

Było tam dużo młodzieży, a wśród nich także młodzi Niemcy: Edek Szulc (miał jeszcze 2 braci Stanisława i Manfreda, wszyscy wyjechali do Niemiec w 1958 r.) i Gerard Dalman, syn czaplineckiej akuszerki (pisała o niej kiedyś Jadwiga Badziągowska). Szulcowie mieszkali tam, gdzie dzisiaj jest dworzec autobusowy, ulica nazywała się wtedy Armii Czerwonej, a dzisiaj Zbożowa. Ich dziadek miał tam piekarnię. Gdy w marcu 1945 r. do Czaplina zbliżył się front, dziadek który miał wówczas 80 lat, był umierający i oni nie zdążyli uciec. Natomiast akuszerka Dalmanowa mieszkała z synem na Młyńskiej, (pierwszy dom od Jagiellońskiej). Gdy zmarła w połowie lat pięćdziesiątych jej syn wyjechał do Niemiec. I Szulcowie i Gerard Dalman nauczyli się dobrze mówić po polsku, chodzili do polskiej szkoły i niczym się nie różnili od polskich chłopaków.



Mielno.

Koło Ligi Morskiej w Czaplunku organizował Antek Tołłoczko i Sędzia Grodzki Żmudzinski. Sędzia ani uprawnień, ani doświadczenia żeglarskiego nie miał, tyle, że lubił wodę. Natomiast Antek posiadał przedwojenne patenty i uprawnienia, i był pasjonatem żeglarstwa, na niego więc spadła cała praca organizacyjna i szkoleniowa. Gdzieś zachowała się jeszcze, wystawiona przez niego, moja legitymacja klubowa z 1950 r. Antek długi czas chodził ubrany w białe spodnie, bluzę marynarską i białe „pepegi” (tak nazywano tenisówki od skrótu nazwy „PePeGe” Polski Przemysł Gumowy Towarzystwo Akcyjne w Grudziądzu). Przykład z niego brali także inni żeglarze np. Olek Kuc, który jeszcze dla zadania szyku zakładał na dodatek białe getry.

Początkowo kursu żeglarskiego nie przechodziliśmy, tylko starszy uczył młodszego. Pływałem z różnymi sternikami, i z Wieśkiem Soszko (pływał na „*Szkwale*”, na którym ja potem byłem sternikiem), i z Majdą, a i z Antonim też się pływało. Moi rodzice byli tolerancyjni i nie zabraniali mi pływania - nawet jak się wróciło późnym wieczorem. Czasem pływaliliśmy na tzw. „pustki”, jak zwano opuszczone sadyby z sadami. Jak już dojrzewały owoce, to się nieraz cały kosz przywiozło, no i w domu mieli ze mnie jakiś pożytek. Potem nauczyłem się w czasie pływania łódką łapać ryby. Wyrzucałem blachę na szczupaka i zawsze jakiegoś się złapało. Jak na trasie do zatoki Siemczyńskiej nie złapałem pięciu, czy sześciu, to był dla mnie słaby połów. Często też siadałem do kajaka - żyłkę w zęby i za ucho, i mały rejs po jeziorze. Nie takie jak dzisiaj były wtedy ryby!

Pierwsze uprawnienia żeglarskie zdobyłem w 1952 r., a w rok potem miałem już stopień dawnego sternika III klasy. W 1957 r. zdobyłem stopień sternika II klasy, który był

potem równoważny stopniowi sternika morskiego. Niestety, kiedy wprowadzano nowe stopnie żeglarskie, byłem w wojsku i nikt mi o tym nie powiedział. I tak zostałem przy stopniu sternika jachtowego.



Główny sędzia regat Antoni Tolloczko wręcza puchar S. Kiryszewskiemu.

Oprócz rejsów, biwaków i szkoleń robiliśmy też sobie regaty na *Dinghach*, początkowo tylko na „*Szkwale*” i „*Rysiu*”. Po wyremontowaniu „*Delfina*” i on dołączył do tej dwójki. Przy remoncie tej łodzi pomagałem trochę, bo przy ojcu, który majsterkował i ja wciągnąłem się w stolarskie rzemiosło. W tamtych latach jedynie nasze jezioro w woj. koszalińskim było dopuszczone do stażu na sternika III klasy, i z tego powodu gościliśmy wielu żeglarzy ze Szczecinka i Koszalina. W 1953 r. w miejsce Ligi Morskiej powołano Ligę Przyjaciół Żołnierza, a następnie Ligę Obrony Kraju. Mimo tych zmian organizacyjnych nasze Koło funkcjonowało bez zakłóceń. Jego przewodniczących wybieraliśmy demokratycznie, i ja pełniłem też tę funkcję.

W 1952 r., po skończeniu szkoły podstawowej, miałem uczyć się dalej w ogólniaku w Drawsku Pom., ale gdzieś tam moje podanie zapodziali. Podjąłem więc naukę w Państwowej Szkole Elektrycznej w Czaplinku (poprzedniczka ZSZ). Dzięki temu miałem więcej czasu na uprawianie żeglarstwa. Po ukończeniu szkoły zawodowej ojciec namówił mnie do zapisania się na odbywający się w Czaplinku kurs piekarniczy. Były wtedy ciężkie lata stalinowskie i ojciec, myśląc racjonalnie, mówił: „*Zdobądź sobie uprawnienia piekarza. Jak nawet coś złego będzie się działo, to i tak chleb stale będziesz miał*”. I tak po skończeniu półtorarocznego kursu zacząłem pracować jako piekarz.

Byłem w wieku poborowym. Przed powołaniem do wojska poszedłem w 1958 r. z Jankiem Korembą na kurs sterników-nawigatorów, organizowany w Jastarni przez LOK. Janek szkolił się na sygnalistę, a ja na sternika-nawigatora. Po tym kursie zamierzałem



Na Ramblerze. Od prawej: H. Krzywicka, S. Kiryszewski, J. Serwach, A. Piskozub.

pójść do Marynarki Wojennej, ale najpierw otrzymałem przydział do Bałtyckiej Brygady Wojsk Ochrony Pogranicza i służyłem na strażnicy w Jarosławcu. Kiedy już mieli nas wszystkich przeszkolonych brać do marynarki, wyperswadował mi to do dowódca strażnicy, stary frontowiec. Gdy przyszedłem do niego w tej sprawie spojrział na mnie i rzekł: „Gdzie ty się pchasz? Za dwa miesiące podoficer gospodarczy odchodzi. Zobacz, to wszystko z lubelskiego. Którego z nich ja na gospodarczego wezmę, kogo w jego miejsce posadzę? A to ty nim będziesz. 4 godziny służby tygodniowo, a reszta - pilnować, żeby wojsko miało jedzenie”. I tak, zamiast marynarzem, zostałem podoficerem gospodarczym. A potem zastępowałem nawet szefa strażnicy.

Po powrocie z wojska poszedłem do pracy w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, na stanowisko referenta rolnego. Było mniej czasu na pływanie, bo szczyt moich obowiązków przypadał akurat latem. Mimo tego na początku lat sześćdziesiątych zdobyłem patent sternika motorowodnego II klasy. W 1964 r. uczestniczyłem w kursie instruktorów żeglarstwa, zorganizowanym przez Polski Związek Żeglarski w Jastarni, a w czerwcu 1965 r. otrzymałem, zatwierdzone przez Ogólnokrajowy Sejmik Żeglarski, uprawnienia.

W 1965 r. przeszedłem do pracy w PTTK. Po tej zmianie pracy miałem więcej czasu na uprawianie ulubionego żeglarstwa. Zdałem egzaminy sędziowskie i otrzymałem licencję Sędziego Żeglarskiego II klasy (obecnie jest to licencja Sędziego Sportowego II klasy). W tamtych czasach czaplineccy żeglarze uczestniczyli w wielu regatach rozgrywanych na wielu akwenach Polski. Najbardziej znane były regaty Związku Zawodowego Metalowców w klasie „Omega” o „Srebrną Kotwicę” Ministra Przemysłu Maszynowego. Zajmowałem w nich dwukrotnie II miejsce, dwukrotnie III i raz VI. Jeździliśmy na regaty rozgrywane na Zalewie Zegrzyńskim, Zalewie Otmuchowskim, jeziorach Gardno, Lubie, Trzeciecko, Jamno. Szczególnie zaciekle regaciliśmy się z kolegami „zza miedzy” - ze Szczecinka. Nie zapomnę, jak kiedyś nasz klub otrzymał nowe „Omegi”, a oni zabrali nam jedną z nich. Niezadługo potem na jeziorze Trzeciecko odbyły się regaty systemem

turniejowym tzw. „przesiadkowe”. Polegały one na przesiadaniu się załóg z jachtu na jacht w kolejnych biegach (wyścigach). Liczy się wtedy nie doskonałość jachtu, a tylko kwalifikacje załóg. Antek Tołłoczko stale nas uczył: „*siadasz na łódkę – patrz na żagle*”. Zgodnie z tą nauką siadając na kolejną „*Omegę*” trzymowaliśmy żagle (były w nich wtedy specjalne trymlinki), ale tak, by konkurencji tego nie widzieli. Po biegu, niespostrzeżenie, żagiel roztrzymowywaliśmy. Staraliśmy się też po przejściu mety złapać na miecz zielisko, by załoga przejmująca jacht wolniej płynęła w kolejnym biegu. Taktyka sprawdziła się i wygraliśmy wszystkie biegi, ku wściekłości szczecineckich żeglarzy.

Uczestniczyłem też w wielu rejsach morskich na sławnych jachtach „*Petrel*”, „*Perseusz*” i „*Neptun*”. Oprócz rejsów i regat uczestniczyłem w szkoleniu żeglarzy na kursach i w szkółkach żeglarskich. W połowie lat sześćdziesiątych skończyłem kurs ratownictwa wodnego w Szczecinku, i z chwilą organizacji drużyny WOPR w Czaplinku wstąpiłem do niej.



S. Kiryszewski na motorówce.

Niestety w końcu 1965 r. zdecydowano odgórnie, że nasz Klub LOK w Czaplinku zostanie rozwiązany, a baza (ośrodek) i sprzęt zostaną przejęte przez Kuratorium Oświaty Okręgu Koszalińskiego. Ja akurat wtedy byłem przewodniczącym klubu i na mnie spadł smutny obowiązek oddania w styczniu 1966 r. naszej przystani, hangaru i sprzętu. Na jego bazie Kuratorium utworzyło Młodzieżowy Ośrodek Sportów Wodnych, którego kierownikiem był potem przez wiele lat Michał Koremba. Jednak nasza klubowa działalność nie upadła, bo znaleźli się ludzie we władzach miejskich, którzy nam pomogli. W ramach Oddziału PTTK w Czaplinku, założyliśmy wtedy Klub Żeglarski „*Kaper*”, którego pierwszym komandorem został Jacek Kujawski. Władze miejskie przydzieliły nam na siedzibę klubu domek na plaży. Sprzęt żeglarski otrzymaliśmy od władz PTTK (*Omegi*, *ELF*, motorówka, kajaki).

W 1967 r. powstał w Czaplinku Oddział Zamiejscowy ZPE *Kazel* i *Kaper* przekształcił się w 1968 r. w klub zakładowy. Jego pierwszym Komandorem został Józek Serwach. Klub szybko rozwijał się, zakupując z dotacji Ministra Przemysłu Maszynowego nowy sprzęt żeglarski. W październiku 1971 r. podjąłem pracę w tym zakładzie, który w międzyczasie stał się Wydziałem Zamiejscowym *ZWST Telfa*. Początkowo byłem gospodarzem, w budującym się wówczas na Pięciu Pomostach ośrodka wypoczynkowym. Omalże nie doszło wtedy do kupna jachtu pełnomorskiego, sławnego „*Spaniela*” znamienitego konstruktora jachtowego i żeglarza Kuby Jaworskiego. Byliśmy już po rozmowach handlowych z właścicielem jachtu – stocznia jachtową im. L. Teligi w Szczecinie.

Klub „*Kaper*” prowadził bardzo ożywioną działalność, póki nie zakończyła się budowa ośrodka wypoczynkowego. Potem sprzęt zakładowy trafił do ośrodka i tam był czarterowany. Klub „*Kaper*” pozostał tylko przy sprzęcie będącym własnością PTTK. I to ograniczyło jego działalność. Józek Serwach wyjechał do Bielska Białej i po nim ja zostałem komandorem klubu.

W tym też czasie zostałem bosmanem w Ośrodku Wypoczynkowym „Telkom”. W 1973 r. zacząłem budowę sklejkowego jachtu typu „Rambler”, który mi służył do końca lat osiemdziesiątych. W roku 1982 zacząłem budować jacht *Aster 703* (konstrukcja znamienitego konstruktora Andrzeja Skrzata z 1981 r.). 26 kwietnia 1986 r. nastąpił wybuch elektrowni atomowej w Czernobylu. Po dwóch miesiącach ciężko zachorowałem na astmę i musiałem przerwać budowę, i przejść na rentę inwalidzką. Budowę jachtu, z pomocą braci, dokończyłem później i pływam nim do dzisiaj.



S. Kiryszewski.

Znów, jak w młodości, często przychodzę do Ośrodka Sportów i wspominam żeglarską przygodę młodości. Ale i dzisiaj, mimo ciężaru przeżytych lat i nienajlepszego zdrowia, radość sprawia mi wiatr w żaglach i woda rozcinana stwą jachtu.

ŻEGLARZE BYLI ŻYCI JAK RODZINA

(Wspomnienia Witolda Kowalewskiego)

Urodziłem się 4 lipca 1944 r. w Alten Treptow w Niemczech, gdzie rodzice moi Marian i Janina byli na robotach przymusowych. Pochodzili oni spod Sulejowa w woj. łódzkim. Po wyzwoleniu rodzice wrócili w 1946 r. do Polski i osiedlili się w Czaplinku przy ul. Jeziornej. W 1953 r. urodziła się moja siostra Danuta, a w 2 lata później brat Zdzisław.

Tu w 1951 r. poszedłem do szkoły. Z nauczycieli, którzy mnie uczyli, pamiętam panie: Czajkową, Ungierhajer i Daniukową. Mieszkając na Jeziornej często chodziłem na brzeg j. Drawsko. Blisko naszego domu stała wtedy Sala Ludowa, w której odbywały się wszystkie akademie pierwszomajowe, 22 lipca, Rewolucji Październikowej, zabawy i wszelkie inne uroczystości. Moja mama sprzątała tę salę, a tato pracował w GS (Gminna Spółdzielnia). Tu, gdzie teraz stoi hangar policyjny, była przystań, taki pomost z szatnią, wybudowany jeszcze przez Niemców, do którego dobijały żaglówki. To było praktycznie

W 1989 r. dokonana się w Polsce transformacja ustrojowa. Dla czaplineckich żeglarzy oznaczała ona koniec działalności klubowej. Już raz w 1966 r. odebrano nam przystań, ale mimo to przetrwaliśmy dzięki pomocy, a chyba i mądrości ówczesnych władz miejskich, które użyczyły nam przystani i domku na plaży. Klub zmienił wtedy nazwę i przynależność organizacyjną z LOK na PTTK. W 1992 r. ówczesny burmistrz zabrał (według mojej wiedzy bezprawnie) przydzielony w 1966 r. domek i przystań, pozbawiając klub możliwości dalszego działania. Przerwana została działalność żeglarska, zapoczątkowana w Czaplinku przez przedwojennego żeglarza Antoniego Tołłoczkę w 1946 r. Dopiero w końcu 1999 r. powołane zostaje Czaplineckie Bractwo Żeglarskie (jestem w grupie jego założycieli), które po dwóch latach zmuszone jest zawiesić swoją działalność. Dopiero w 2006 r., następuje reaktywacja Bractwa i jest nadzieja, że będzie ono rozwijać się ku pożytkowi miasta. Jednak regres, który nastąpił po 1992 r. trudno będzie nadrobić.

przy naszym ogródku i widok żagli to była dla mnie codzienność. Natomiast na końcu Sali Ludowej było takie podpiwniczenie, w którym żeglarze trzymali swój sprzęt. Żaglówki trzymane były po drugiej strony zatoki, przy ogrodzie, gdzie ma teraz swoją siedzibę p. Orzechowski.

Działalność ta prowadzona była w ramach Ligi Morskiej, której założycielami w Czaplinku byli sędzia grodzki Żmudziński i Antek Tołłoczko. Mój ojciec pływał z nimi po jeziorze łodzią „Dwudziestką” o nazwie „Delfin” z przyczepnym amerykańskim aluminiowym silnikiem „Champion”. Podobne silniki mieli w Czaplinku jeszcze Stanisław Hojdys i Stefan Jurewicz. W klubie były jeszcze dwie „Dwudziestki”, w tym o nazwie „Szkwał”, które pływały pod żaglami. Po pewnym czasie udało się Żmudzińskiemu i Tołłoczce uzyskać od władz miejskich drewniany hangar, w którym dawniej składowano kajaki i łodzie wiosłowe (dzisiaj jest w nim hotelik OSW). Pamiętam jak dziś, jak żeglarze rozbierali drewnianą szatnię na pomoście i spławiali deski wodą, a potem budowali przy hangarze pomost. Wszystkie prace wykonywane były społecznie, łącznie z biciem pali. I tu przeniesiony zostały cały sprzęt pływający i osprzęt do niego. Obok hangaru, od rzeczki, znajdowało się boisko, gdzie starsi przychodzili grać w siatkówkę. Tołłoczko wymyślił, by wybudować w głąb jeziora, ku mieliźnie, molo-falochron. Na ul. Sikorskiego (wtedy Bieruta), obok „Czaplinianki” stały w tym czasie ruiny domu, który spalili szabrownicy w 1945 r. (dzisiaj stoi tu czteropiętrowy budynek nr 22). Tołłoczko uzyskał zgodę, by gruz z rozbiórki ruin wywożono na budowę tego mola, oraz na podniesienie terenu boiska, który był podmokły. Potem, w kolejnych latach, pokolenia żeglarzy kontynuowały wydłużanie, rozpoczętego przez Antka mola.

Najpierw biegałem moczyć się z chłopakami w jeziorze - tam gdzie rosły na jego brzegu wierzyby, między którymi były piaszczyste zatoczki. I tam nauczyłem się pływać. Widząc mokre włosy, czy majtki rodzice krzyczeli: „*Kapaleś się. A utop się!*”. Gdy trochę podrosłem i miałem 8 lat zacząłem chodzić na przystań. Początkowo nie wolno mi było popływać żaglówką, a jedynie wylewać z nich wodę, czyścić z piasku i myć zęzę. Potem pozwolono mi pływać bączkiem wiosłowym, których było kilka na przystani, ale bliźutko przy pomoście. Dopiero zacząłem samodzielnie żeglować jak były „*Dinghy*”. Pamiętam jak dziś, jak kiedyś siedziałem na pomoście, z takim nieodżałowanym Józkiem Witkowskim i Leonem Kiryszewskim (starszy brat Stasia, mieszka w Krakowie), a tu słyszę: „*No, przepłynąłbyś się?*” Miałem wtedy 10 lat i trochę się bałem, bo to nie był bączek, ale łódka pod żaglami. Więc ruszyłem, ale trochę pechowo, bo niewiele upłynąłem, kiedy mi wanta poszła. Ale poradziłem sobie, zrzuciłem żagle i maszt nie poleciał. Przypląnąłem do przystani i na szczęście nikt mnie nie opieprzał. I od tego momentu zaczęło się już takie prawdziwe żeglowanie. W 1961 r. poszedłem na kurs na stopień żeglarza, a w 1962 r., mając 18 lat, zdobyłem patent sternika jachtowego. I dopiero wtedy pozwolono mi samemu żeglować na „*Dwudziestce*”. Rodzice trochę protestowali przeciw moim żeglarskim zajęciom, bo nigdy mnie nie było w domu i nie było ze mnie żadnego pożytku. Jak potrzebowała mnie matka, to przychodziła na przystań i wołała: „*Witek chodź do domu*”. Siostra i brat nie zainteresowali się żeglarstwem jak ja. W zasadzie i ja wołałem, żeby oni nie przychodzili na przystań, bo nie chciałem żeby wiedzieli, co ja tu robię.

Na kursach uczono wszelkich umiejętności żeglarskich jak: budowa jachtów, roboty skutnicze, roboty bosmańskie, manewrówka, nawigacja, meteorologia, ratowanie tonących, sygnalizacja i wielu innych rzeczy. Antoś z chorągiewkami latał po pomoście.



Pole biwakowe przy hangarze.

wiadomo, gdzie w razie czego szukać. Antek Tołłoczko zawsze nam powtarzał: „*Szanuj wodę, to i ona będzie ciebie szanować*”. Zdarzyło się tylko jedno utonięcie żeglarza czaplineckiego – Franka Lachowicza w 1953 r. Otóż wypłynął on późną jesienią z Suszką „*Dwudziestką*”, najprawdopodobniej na ryby, i wyłożył się gdzieś na wysokości Zatok Nowodrawskiej (Ptasiej). Było by wszystko w porządku, gdyby on nie popłynął do brzegu. Z powodu zimna stracił siły i utonął. Miał około 20 lat. Suszko został przy łodzi i doczekał się pomocy. Później nam wpajano, że pierwszą zasadą po wywrotce jest nie odpływać od łodzi, a nawet przywiązać się do niej. Zdarzyło się też kiedyś wywrócenie starej drewnianej „*DZ-ty*”, ale to tylko przez głupotę naszych chłopaków i bez złych następstw. Samo szkolenie pod okiem Tołłoczki to było ciężkie doświadczenie, bo rzadko się pływało, dużo wiosłowało. A na „*DZ-cie*” wiosła ważyły chyba po 18 kg. W jedną stronę trzeba było ciągnąć na wiosłach, a później płynęło się pod żaglami z wiatrem.

Były też organizowane regaty, najpierw na małą skalę, bo były tylko dwie „*Dwudziestki*”. Później dopiero jak były „*Dinghy*” można było wypuścić 4 dwuosobowe obsady, które się zaciekle regaciły. Nie każdego dopuszczali do tego. Każda łódka miała swojego sternika i swoją załogę. Przyszedł szef, czy był to Marcin Jurewicz, Janek Koremba, czy Zbyszek Gonczarko, to wiedział czyja to jest łódka i od kogo wymagać, żeby żęza była czysta i żeby wszystko zadbane było. Także wiosną wiedział, kto jest przydzielony do łódki i kto ma ją remontować. To było inaczej jak dzisiaj, kiedy jest plastik, który się wymyje i po robocie. Kiedyś to było skrobanie, opalenie starej farby, zależnie od tego jak zarządził przewodniczący. Zarządził, że trzeba farbę opalić, to trzeba ją opalić. Ciężka robota była. Nie było papieru ściernego i trzeba było skrobać szkłem. Ciągłe brakowało materiałów skutniczych. Lepsze deski leżały po sąsiedzku na bazie (PGRyb.), przy płocie, gdzie robiono z nich łódki rybackie. Nieraz wieczorem, jak ciemno było, to się wyciągało lepsze deski i na przystani cięło na kawałki, a na drugi dzień nosiło z powrotem na warsztat do obróbki. Po jesień to się płynęło do lasu, wycinało upatrzone zgrabne drzewo, łupało na przystani, a obrabiało, po znajomości, u Roszuka, który naprzeciwno miał stolarnię i nigdy nie odmawiał pomocy. Tam się cięło materiał na wręgi czy inne niezbędne elementy łodzi. Gorzej, gdy naprawić trzeba było „*Dinghy*”, które były z mahoniu, a ten trudno było dostać.

Bardzo często organizowaliśmy rejsy połączone z biwakami. Sternik mówił, że może popłynęlibyśmy na rejs, wtedy załoga się skrzykiwała i płynęliśmy w sobotę, a wracali w niedzielę wieczorem. Płynęliśmy na Drawę, lub gdzieś indziej. Jedzenie swoje, czy też

Po wypłynięciu łódki ćwiczyliśmy chorągiewkami. Teraz już nikt się tego nie uczy, bo są telefony komórkowe, by się na odległość porozumiewać.

W klubie prowadzona była rygorystycznie książka pływań, w której zapisywano kierunek i siłę wiatru, stan jeziora i nieba, kto płynie i o której godzinie, przybliżona godzina powrotu i akwen, na który się płynęło, żeby było

razem gotowaliśmy, to zależy, jakie były ustalenia. Pijaństwa żadnego nie było, Antek Tołłoczko był pod tym względem bardzo rygorystyczny i bardzo nas pilnował. Pamiętam jak kiedyś znalazł w piecu na górze, gdzie była sala, ćwiartkę wódki. Oficjalnie wziął ją na pomost i wyrzucił do wody. Ale żeglarze patrzyli, gdzie ją rzuca i po jego odejściu natychmiast po butelkę zanurkowali. Antek sam nie pił, no może czasem lampkę wina i pijaństwo strasznie tępił. Nigdy go nie widziałem nietrzeźwego. Zawsze był elegancki, ubrany w biały mundur z marynarskim kołnierzem. Antek najpierw mieszkał w Starym Drawsku u Niemca – rybaka Haimana, a później przeprowadził się do Czaplinka do Roszuków i tu się ożenił. Urodził się im syn, a później jego żona wyprowadziła się do Złocieńca. Potem Antek zamieszkał na ul. Kościuszki, nad Stępińskim, z takim „*matrosem*”, repatriantem z ZSRR, który pływał gdzieś tam po Morzu Czarnym. Po wyprowadzeniu się Stępińskiego, Antek zajął jego mieszkanie i mieszkał tam, aż do śmierci. Pamiętam jak kiedyś popłynęliśmy do Starego Drawska i byliśmy u Antka, kiedy ten jeszcze mieszkał u Haimana. Głodni żeglarze znaleźli u niego w szafie wędzoną szynkę i cały udziec obgryźli.

Antek Tołłoczko może wydawał się niektórym dziwakiem, ale zawsze bardzo kochał wodę i żeglarstwo. Mógł nie jeść, nie pić, aby tylko pływać i uczyć. Przede wszystkim uczyć. Spotkałem go kiedyś w Zatoce Drawskiej, kiedy pływał tam ze studentami. Był już wtedy starszy, a mimo tego w krótkich spodenkach, bez koszuli, zawsze na słońcu, zawsze miał coś do powiedzenia na temat żeglarstwa. Zawsze uczył, zawsze wszystkiego uczył: jak sterować, jak szoty wybrać, jak wiatr wieje, wszystko starał się wytłumaczyć. I trzeba było do tego się przystosować. Ale za to, później, z manewrówką, z dobijaniem, wydawaniem odpowiednich komend nie było żadnego problemu. Kiedy, tak przeszkoleni żeglarze, zdawali egzamin to w zasadzie nie zdarzało się by go oblali.

Tak te lata szły. Początkowo była Liga Morska, potem LPŻ, a później LOK. Długo podlegaliśmy pod Szczecinek. Zmieniały się nazwy, ale zawsze było to żeglarstwo i grupa tych samych ludzi. Wybieraliśmy sami swego przewodniczącego, sami się zarządzili, składki płacili. Jak kogo nie było stać na składkę, to musiał pływać z wycieczkami do Starego Drawska z kuracjuszami z Połczyna. Bywało i tak, że popłynęli z kuracjuszami do Starego Drawska, a wracali bez pieniędzy. Był tam sklep z winem i zdarzało się, że kiedy „*DZ-ta*” przyplęwała stał już tam na brzegu z motorem Zbyszek Gonczarko (potem zginął na tym motorze), zwany „*Szyprem*” i jak kuracjusze już wyszli mówił: „*Dawać tu pieniądze*”. Inni też mieli pseudonimy: Marcin Jurewicz zwany był „*Rakiem*”, Janek Koremba - „*Dębusem*”, Staszek Kiryszewski - „*Kwaternistrzem*” (bo zawsze zajmował się kwaternistrzostwem), a także „*Moskalem*”. Staszek pracował przez pewien czas w Urzędzie Miejskim, był chyba jakimś poborcą podatkowym. Kumpłował się blisko z Tadkiem Matyką. Zakładali się czasem, że któryś z nich przez dwa tygodnie nie zejdzie z łódki na brzeg. Ten drugi przynosił mu wtedy jedzenie.

W klubie mieliśmy też żeglarki. Pamiętam Danczewską, późniejszą nauczycielkę w LO, Ankę Szachta, Łacną, Olę Branicką. W tamtych czasach mało dziewczyn uprawiało żeglarstwo i niesłusznie podejrzewano nas nawet o niecne zachowanie wobec naszych koleżanek. W związku z tym pamiętam jak kiedyś, w ostatni dzień wakacji zorganizowaliśmy w dwie „*DZ-ty*” i „*Dwudziestkę*” biwak na Drawie. Uczestniczył cały skład osobowy klubu, także dziewczyny. Wpłynęliśmy w rzekę, stanęliśmy w poprzek niej. Zaczęło się gotowanie, kąpiele, zabawy i co tam jeszcze. Gdy przyszła noc pozakładano specjalne brezenty na „*DZ-ty*” i dziewczyny poszły spać w jednej, a chłopcy w drugiej

łodzi. Szyper pilnował porządku i gdy zobaczył, że któryś z chłopaków do dziewczyn się zakrada, to go szotem jakimś przez głowę walił. Była piękna pogoda i jedna dziewczyn nie chciała spać na łódce i poszła, bez opowiedzenia się szyprowi, na sąsiednie pole, gdzie stały kopki zboża. Kiedy szyper kazał odliczać i okazało się, że jej nie ma, zaczęły się poszukiwania. Jeden z kolegów myślał, że w kopce śpi dziewczyna i objął ją całą rękoma. Okazało się, że zamiast na dziewczynę, trafił na kopkę ostu i miał całą pierś nadzianą jego kolcami. Było śmiechu, co niemiara. Obowiązywał niepisana zasada, że dorośli żeglarze mogą robić, różne rzeczy, ale nie tu i nie teraz. Aby nie mówiono, że żeglarze zachowują się źle. Pamiętam też drugą przygodę na tym biwaku. Obraliśmy kocioł ziemniaków i jeden z kolegów zaczął je płukać, ale robił to stojąc na dwóch łodziach, które się rozjechały. No i trzeba było nurkować i zbierać ziemniaki z dna rzeki.

Oprócz członków klubu było wielu sympatyków, którzy licznie przychodzili na przystań latem. Część z nich to byli nasi dawni członkowie, którzy po ukończeniu studiów zamieszkali w innych miastach, że wymienię: Janusz Daniuk dyrektor melioracji w Kołobrzegu, Janusz Nowicki też z Kołobrzegu, Józek Witkowski stoczniowiec ze Szczecina i inni.

Prace remontowe zawsze zaczynaliśmy w marcu, bo 1 maja wszystkie łódki musiały już być na wodzie i tego dnia następowało otwarcie sezonu żeglarskiego. I nie było „zmiłuj się”. Drobne prace remontowe, które można było wykonać w hangarze wykonywaliśmy wcześniej. Ale prace przy kadłubach można było rozpocząć dopiero, kiedy była dobra pogoda i łódzie można było wyciągnąć spod zadaszania, w którym leżały zimą. Po wyciągnięciu następowały oględziny, co trzeba zrobić, szukanie materiałów skutnicznych. Potem skrobanie, wydlubywanie starego szczeliwa spomiędzy klepek, ponowne uszczelnianie i malowanie. Sternik sprawdzał czy robota jest dobrze zrobiona, np. czy nie za mocno upchano szczeliwo, które mogło, po namoknięciu, rozsadzić burtę łodzi. Jak ktoś podpadł to nie miał pływania – przychodził na przystań, ale nie mógł wejść na łódkę. Przestrzegano tego rygorystycznie. Przewodniczący, czy to był Marcin Jurewicz, czy Janek Koremba, czy też Zbyszek Gonczarko, jak zobaczył, że ktoś z zakazem pływa to dokładał delikwentowi. Jeszcze większą karą był zakaz wstępu na przystań – ukarany mógł chodzić tylko za płotem – to było straszne. I to nie to, że chłopcy popłynęli gdzieś dalej i wzięli na łódkę. Tego nie było – jak już byłeś podpadnięty to sam nie chciałeś płynąć, bo kara by się przedłużyła.

Na porządku dziennym były prace bosmańskie. Wokół były ścieżki, które trzeba było wyhakać, wygrabić. Były też pnie po wyciętych lipach i każda załoga dostawała swój przydział do karczowania. Większa załoga „DZ-ty” dostawała trzy, lub cztery pnie, a starsi żeglarze z „Dwudziestek” dostawali przeważnie mniej. Robiliśmy też płot, który do dzisiaj stoi. Pamiętam jak pan Łacny, który był wtedy przewodniczącym Miejskiej Rady, pozwolił nam wyciąć w lasku miejskim (był tam gdzie teraz jest OW „Omega”) drzewa na pale na pomost. Po wycięciu musieliśmy drzewa



Przed startem w regatach.

przywieźć na przystań, okorować, zakonserwować, zaostriżyć i wbić pale. Każdy miał odliczone ileś godzin pracy społecznej i jeśli jej nie wykonał, to nie miał co liczyć latem na pływanie.

Sezon żeglarski kończyliśmy jesienią. Łódki wyciągaliśmy we wrześniu i październiku i chowaliśmy je w hangarze i pod wiatą. Łódki musiały być dokładnie umyte. Ciężkie „DZ-ty” wyciągał nam traktorem Genio Nagórski z bazy rybackiej. Zakończenie sezonu było zawsze w „Meduzie”. Jak przewodniczącym był „Szyper” Zbyszek Gonczarko, to dla młodzieży były ciastka tortowe, a starsi pozwalali sobie na inne rzeczy. Zimą też schodziliśmy się od czasu do czasu w klubie, mimo, że hangar był nieogrzewany i nieoświetlony, bo nie mieliśmy na drewno, a prąd był wyłączony by wykluczyć pożar. Zawsze było jakieś zajęcie. Trzeba było sprawdzić czy łódź nie przejeżdża na pomost i w razie potrzeby go obrąbać. Wtedy lody były nie takie jak teraz, a pomost był dłuższy od obecnego.

Szkoła natomiast zawsze uważała, że całe zło się mieści tutaj w klubie, że tu się zbiera taki bardziej nieposłuszny element. Ale z perspektywy tych lat widzę, że właśnie ci, którzy tu przychodzili zdobyli i wykształcenie i pracę, i są porządnymi ludźmi. Nikt się nie stoczył. Jakoś to życie nauczyło ich koleżeństwa i pracy w zespole. Ci, którzy przychodzili na przystań to byli z sobą zżyci jak rodzeństwo. Nie ważne, kto co miał zrobić - jeden drugiemu zawsze pomógł. Tak samo było na wodzie. Był sternik odpowiedzialny za łódkę, za załogę i nie zdarzyło się by ktoś odmówił mu wykonania polecenia. To koleżeństwo trwa do dzisiaj i jeden do drugiego może zawsze pójść i liczyć na pomoc. Żeglarstwo było uważane wtedy za elitarne, nie każdy mógł pływać, chyba, że po znajomości i w zasadzie nikogo nie stać było na dobrą łódkę. Co prawda zbudował sobie niewielką ładną jolkę Stanisław Hojdis, a i Karol Jarosz, który był stolarzem robił znajomym małe łódki z poszyciem słomkowym. I jeszcze Stefan Jurewicz zbudował sobie ze sklejk niewielką motoróweczkę. To nie było szkutnictwo, ale hobby.

Koso patrzyli też na nas księża, bo w niedzielę młodzież zamiast na mszę szła już z rana na przystań. Ale łódek było mało i jak kto później przyszedł, to już nie miał na czym pływać. Ale czasem i księża do nas przychodzili żeby popływać. Kiedyś trafiło mi się dwóch czy trzech księży, którzy chcieli wyspę Bielawę zobaczyć. Mówię, nie ma sprawy. Popłynęliśmy na wyspę. Mieszkali tam wtedy Kujawscy i Terleccy. Idziemy do Kujawskiej i mówię jej, że to księża (byli ubrani po cywilnemu). Zaraz poleciała gdzieś tam po tych chałupkach. Przyniosła koniak jakiś i po lampce wypiliśmy. Porozmawialiśmy trochę i wróciliśmy do Czaplinka. Księżom bardzo podobała się ta wyprawa.

Czasem organizowaliśmy też dla mieszkańców rejsy w niedzielę. Nigdy nie odmawialiśmy jak przyszło paru ludzi i poprosiło o przepłynięcie się „DZ-tą”. Na wyspę często się zapływało, bo się znało jej mieszkańców. Kujawską znali wszyscy żeglarze i wołali na nią – ciotka. Tak samo często pływaliśmy do Piaseczna, gdzie był ośrodek Polskiego Związku Kajakowego. Na górze stał poniemiecki murowany budynek (stoi do dzisiaj), a już po wojnie postawiono na zboczach domki kempingowe. Był tam kierownikiem człowiek z Krakowa, nazywany przez nas wujko Wołodia. Miał motorówkę, którą przypląwał do Czaplinka po zakupy, i wtedy zawsze cumował u nas na przystani. Jak się popłynęło w rejs przed sezonem, czy po sezonie, wujko Wołodia pozwalał nam spać w domkach kempingowych, które stały w jego ośrodku. Była tam nad wodą taka belka na dwóch słupach, na którą wpuszczano się nowicjusza, czyniąc z nim zakład o pół litra wódki za przejście po niej tam i z powrotem. Belka była podparta tak zmyślnie, że każdy z amatorów półlitrowki lądował w wodzie. Największa uciecha była w niedzielę, kiedy taki frajer był elegancko ubrany.

Z przedwojny istniały jeszcze w tym czasie nad jeziorem inne pozostałości urządzeń wodnych. Np. resztki pomostów na „Pięciu Pomostach” i leżące tam na brzegu rozwalone barkasy, na których szkolili się niemieccy junkrzy z Budowa (*Ordensburg Krossinsee*). Pale z tych pomostów, które zostały powyciągane, miały zaostrome czuby okute krzyżowo płaskownikiem, by się nie tępiły przy wbijaniu. Natomiast pomost metalowy, stojący koło OSW stał pierwotnie na Urazie. Stamtąd zabrali go w latach pięćdziesiątych wędkarze i postawili w tym miejscu. Piękna plaża była też w Siemczynie. Stał tam, z południowej strony zatoki, pomost z trampoliną. W Czaplinku na plaży, oprócz słynnej „Podkowy” stały dwa pomosty, z których jeden miał trampolinę, z której skakali starsi chłopcy. Woda był bardzo czysta i pięknie to wyglądało jak skoczek szedł pod jej powierzchnią.



Regaty na j. Drawsko.

Ale w zasadzie jakiegoś chuliganienia nie było. Dyrektor Gospodarstwa Rybackiego Henryk Stępiński był bardzo cięty na kłusowników, ale ja nie pamiętam by ktoś z nas kłusował, podnosił sieci, czy żaki rybakom. Zresztą, jak się podплыnęło np. do pana Worsowicza, który był rybakom i poprosiło o ryby, to

zawsze się dostało. Pamiętam jak kiedyś wracaliśmy z rejsu, a cała załoga leżała na podłodze, bo nie było wiatru. Podплыnął do nas motorówką Stępiński z Hojdysem i pytają czy trzeba nas podholować. Sternik mówi, że nie, poderwał całą załogę i ścigaliśmy się na wiosłach z motorówką. Ku zdumieniu Stępińskiego płynęliśmy z nią łeb w łeb.

W 1958 r. zacząłem chodzić do Zasadniczej Szkoły Zawodowej Rzemiosł Budowlanych w Szczecinku, którą ukończyłem jako monter instalacji sanitarnych. W czasie nauki chodziłem często na przystań LPŻ w Szczecinku i bez problemu dostawałem łódkę, bo miałem tam starych znajomych i przyjaciół, takich jak Edek Chareża, Andrzej Lasak, Wołyniec i inni. A latem cały czas pływało się w Czaplinku. Co prawda brakowało zawsze sprzętu, bo przyjeżdżali żeglarze z LOK, albo z Koszalina, albo ze Szczecinka i jedną „DZ-tę” zabierali na swoje szkolenia. Bo tylko na naszym jeziorze można było na śródlądziu zdobywać wymagany staż na sternika jachtowego. Było to powodem tarć, że my łódkę zrobimy, a kiedy jest najlepszy sezon to oni nią pływają. Ale dzięki temu poznało się wszystkich starych żeglarzy, którzy tu pływali jako instruktorzy. Pamiętam Bronka Schmita, późniejszego kapitana jachtowego, Grzeška Rawęskiego, Gasika.

Po skończeniu szkoły zawodowej uczyłem się jeszcze dwa lata w Technikum Budowlanym w Koszalinie. Tu poznałem Stefana Karczewskiego z Kołobrzegu, z którym razem prowadziłem w Koszalinie kurs żeglarski dla harcerzy. Po odbyciu czynnej służby wojskowej podjąłem pracę w POM w Czaplinku, w dziale instalacyjnym. Była to praca w terenie – jechało się w poniedziałek, a wracało w sobotę i nie było już czasu na żeglarstwo. Nieraz człowiek patrzył z utęsknieniem. Woda połyskuje, a tu nie ma, obowiązki domowe, dzieci.

Bo w 1970 r. ożeniłem się z Jadwigą Jasińską z Czaplinka. Z początku trochę spotykałem się z kolegami, a potem w miarę przybywania obowiązków, coraz mniej.

Zresztą i na przystani wiele się zmieniło na niekorzyść dla nas, czaplineckich żeglarzy. Przejęło ją Kuratorium Oświaty z Koszalina i coraz trudniej było miejscowej młodzieży z niej korzystać. Postarzał się też Tołłoczko i miałby kłopoty z najmłodszymi, którzy stali się bardziej twardzi i nieposłuszni. Po upadku POM pracowałem jeszcze 15 lat w „EKO-MECH” w Wałczu, codziennie dojeżdżając do pracy. W 2008 r. przeszedłem na emeryturę i teraz jest już więcej czasu na wodę. Mamy dwóch synów. Maciej mieszka w Świdwinie, a Daniel w Koszalinie. Ich już nie ciągnęło do wody tak jak mnie. Mam też dwie dwuletnie wnuczki. Ta ze Świdwina bardzo lubi chodzić z ojcem na basen. Może pokocha, jak ja, żeglarstwo? Wiele mógłbym ją nauczyć.

PEŁYWANIE POD ŻAGLAMI SPRAWIAŁO MI RADOŚĆ

(Wspomnienia Tadeusza Matyki)

Urodziłem się w Zosinie Lubelskim 18 kwietnia 1937 r. w rolniczej rodzinie Jana i Albiny Matyków. Miałem dwóch braci i siostrę. W czasie I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej ojciec służył w kawalerii, i brał udział w sławnej bitwie warszawskiej. Za zasługi został awansowany do stopnia podporucznika.

Brał udział w wojnie obronnej polski we wrześniu 1939 r. Dostał się do radzieckiej niewoli i przebywał w obozie jenieckim pod Królewcem w nieludzkich warunkach. Po ucieczce z obozu przedostał się przez granicę na teren okupacji niemieckiej. Tu został aresztowany przez Niemców i nieludzko skatowany. Uratował mu wtedy życie współwięzień z celi, który okazał się polskim lekarzem. Po ujawnieniu stopnia wojskowego przewieziony został do obozu w Bornem Sulinowie i tu zatrudniany był przy pracach polowych. Udało mu się i stąd uciec i wrócić do domu. Ojciec był dla mnie bohaterem i zazdrościłem mu jego wojennych przygód.

Pod koniec wojny ojciec najął nauczyciela, by uczył mojego starszego brata, a przy okazji i mnie, mimo że miałem wówczas zaledwie 6 lat. W 1944 r., po wyzwoleniu Lubelszczyzny, poszedłem do szkoły podstawowej w Zosinie. Po wkroczeniu Armii Radzieckiej NKWD aresztowało ojca. Nie wiadomo jak by to się dla niego skończyło, gdyby nie pomoc jego przedwojennego kolegi z wojska, który okazał się członkiem Rządu Lubelskiego. W wyniku jego interwencji ojciec został zwolniony z aresztu, ale w obawie o swój dalszy los przeniósł się z rodziną w połowie roku 1945 do Dobojewa koło Człuchowa, gdzie wzięł gospodarstwo poniemieckie. Tu kontynuowałem naukę i ukończyłem szkołę podstawową. Ojciec zmarł w 1950 r. i został pochowany na cmentarzu w Człuchowie.

Mój starszy brat po odbyciu czynnej służby wojskowej zamieszkał w Czaplinku, gdzie pracował w Urzędzie Poczto-Telekomunikacyjnym, zajmując się z Aleszką łącznością (centrala telefoniczna i sieć łączności). W 1953 r. przyjechałem do niego i postanowiłem z nim zamieszkać.



To ci dopiero skok!

Miałem zaledwie 16 lat, kiedy podjąłem pierwszą pracę. Zostałem... Naczelnikiem Poczty w Siemczynie. Raptem byłem na poczcie tylko ja i jeden listonosz, ale tak to stanowisko się nazywało.

Tegoż roku sprowadziłem z Człuchowa matkę, która zamieszkała z nami. Codziennie dojeżdżałem do Siemczyna rowerem, i kiedyś o mało nie zginąłem po drodze - potrafiła mnie ciężarówka wojskowa, jadąca z Bornego Sulinowa na poligon drawski. Odzyskałem przytomność dopiero na trzeci dzień w szpitalu w Drawsku Pom. Nie chciałem dłużej dojeżdżać i poszedłem pracować jako rybak do Przedsiębiorstwa Rybackiego w Czaplinku, bo bardzo ciągnęła mnie woda. W Człuchowie było co prawda jezioro, ale nie było klubu, przystani, łodzi.

Dopiero tutaj w Czaplinku miałem dane poznać uroki żeglarsstwa. Pomógł mi Janek Daniuk, którego miałem okazję poznać jeszcze w czasie mojej nauki w Człuchowie. Otóż kiedyś uczestniczyliśmy w Olimpiadzie Matematycznej, on był kapitanem drużyny z Drawska Pomorskiego, a ja człuchowskiej. Jego drużyna wygrała tę olimpiadę, ale znajomość pozostała i odnowiła się, gdy zamieszkałem w Czaplinku. Został potem, i jest do dzisiaj jednym z moich najlepszych przyjaciół. Pływaliśmy razem na biwaki i w rejsy. Przyjaźń utrzymywała się także po jego wyprowadzeniu się do Kołobrzegu. Jeszcze kilka lat temu załatwił mi rejs jachtem „*Aquarius*” po Bałtyku. Do moich najbliższych przyjaciół zaliczali się też Staszek Kiryszewski, Marcin Jurewicz, Babski i Gonczarko.

W Klubie LPŻ (potem LOK) w Czaplinku były 3 „*Dwudziestki*” i 4 „*Dinghy*”. Po pewnym czasie stałem się sternikiem „*20*” o nazwie „*Rys*”. Pływanie pod żaglami i kontakt z łódką sprawiały mi taką frajdę, że najczęściej, o ile pogoda pozwalała, spałem na łódce. Jak miałem luz, np. w dni wolne od pracy wypływałem na całą dobę lub nawet na dłużej.

Jakoś w tym czasie, ponownie zmieniłem pacę i zatrudniłem się w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. W trakcie tej pracy ukończyłem zaocznie ogólniak. W 1955 r. zdałem egzaminy do szkoły oficerskiej, ale niedługo po podjęciu nauki rozwiązano ją (to był sławny rok 1956). Skorzystałem o tyle, że zaliczono mi służbę wojskową.

Po powrocie z wojska otrzymałem w MPGK stanowisko administratora domów mieszkalnych. Oczywiście z radością wróciłem do swojej żeglarskiej pasji. Po pracy kupowałem bochenek chleba i masło lub coś innego, i na łódkę. Wracałem do Czaplinka dopiero rano. I zdarzało mi się, gdy była flauta, spóźnić do roboty. Wtedy jeden z moich podwładnych, Bocian, który jeździł tzw. „bonanzą” – dwukołową przyczepą do przewozu śmieci, szedł do dyrektora i pytał, co ma robić, bo kierownika nie ma. Na to otrzymywał radę: „*Idź nad jezioro i zobacz czy kierownik już nie płynie*”.

W ciągu dnia pływałem z dziećmi, szkoląc je, na noc na ogół sam. W regatach mało startowałem. Nie rywalizacja, ale samo pływanie pod żaglami sprawiało mi radość. Byłem ryzykantem, nie bałem się wiatru i fali, nie było dla mnie złej pogody. Do dzisiaj pamiętam jak kiedyś, w czasie sztormowego wiatru, mój „*Rys*”, cholernie ciężka krypa, szedł w pełnym wietrze w ślizgu jak szybka motorówka. W czasie rejsów z załogą miałem dwie przygody, które mogły skończyć się źle. Otóż kiedyś nocą nie zdążyliśmy „*Rysiem*” wrócić przed burzą do przystani. Gdy zaczęły się burza posadziłem na sterze maślana, a sam jako znacznie cięższy balastowałem łódź trzymając się want i wychylając jak najdalej za burtę. I wtedy boczne odgałęzienie pioruna trafiło w maszt. Mięśnie rąk pod wpływem porażenia uległy skurczowi i wpadłem z impetem na dno łodzi. Na szczęście, mimo tego, sternik łodzi nie wywrócił. Skończyło się na siniakach.

Drugi wypadek był groźniejszy. Otóż po wypłynięciu z j. Drawsko na Żerdno w Starym Drawsku zaczęliśmy stawiać położony maszt. A biegła tam wtedy nad wodą, linia elektryczna, o czym zapomniałem. Maszt dotknął linii i jeden z załogantów został porażony prądem. Był nim syn czaplineckiego fotografa Kubiaka. Stracił przytomność i przestał oddychać. Dobiłem do brzegu, kazałem biec jednemu z chłopaków telefonować na pogotowie lub milicję, a sam wyniosłem porażonego żeglarza na brzeg i zacząłem go reanimować. Trwało dobre pół godziny zanim odzyskał przytomność i akurat wtedy milicja przywiozła lekarza z Czaplinka. Przygoda skończyła się dobrze.

W dwa lata po powrocie z wojska zawarłem związek małżeński z Marią Lewkowicz. Urodziły się nam 2 córki: Barbara i Katarzyna. Żona nie podzielała moich żeglarskich pasji, zresztą nie miała na to czasu, zajmując się domem i wychowaniem córek. Gdy córki podrosły, zabierałem je w rejsy i na biwaki. Co roku robiłem z nimi długi rejs, w czasie którego opływaliśmy brzegi j. Drawsko i położonych na nim wysp. To było blisko 100 km. Jakoś w tym czasie zrodziła się druga moja pasja – brydż sportowy. Założyliśmy z kolegami Klub Brydżowy, który miał swoją siedzibę w nieistniejącej już kawiarni „Meduza” przy ul. Wałęckiej. Należeli do niego m.in. Piotr Kasprowicz, Lebiezdki i inni. Często rozgrywaliśmy turnieje i mecze z brydżystami z Kołobrzegu, Wałcza, Słupska i nieraz wygrywaliśmy z nimi.



Na pomoście stoi Stefan Jurewicz.

W 1973 r. mój szef z MPGK inż. Andrzej Szwaaja objął w „Telkom-Telczy” stanowisko Dyrektora ds. Inwestycji i ściągnął mnie na stanowiska kierownika Wydziału Budowlanego w tych zakładach. Budowałem ośrodek wypoczynkowy (obecny *Drawtur*) i niektóre obiekty w zakładzie. Uzyskałem wtedy dyplom majstra budowlanego. Po kilku latach przeszedłem do pracy w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Szczecinku (PBRol), gdzie kierowałem dużym Zakładem Budowlanym. Podlegało mi 3 kierowników

budów i ponad 100 pracowników. Wybudowaliśmy wtedy wiele nowoczesnych obiektów rolniczych, z których wiele funkcjonuje do dzisiaj. To moje ekipy zbudowały w tamtych latach wiele obiektów i urzędzeń w Barwicach, Szczecinku, Złocińcu, a także dla Państwowego Wieloobiektowego Gospodarstwa Rolnego (PWGR) w Czaplinku.

To były piękne czasy „*Gierkowskie*”. Otwarte zostały niektóre granice dla ruchu turystycznego. Składałem wtedy w dyrekcji firmy wiele projektów racjonalizatorskich, a w nagrodę jeździłem na wycieczki zagraniczne do: Czechosłowacji, NRD, Bułgarii, na Węgry, na Ukrainę (Kijów, Morze Czarne) itd. W czasie 2 tygodni takiej wycieczki obwożono nas po najpiękniejszych zabytkach, kwaterowano w luksusowych hotelach i wyśmienicie karmiono. W uznaniu zasług otrzymałem od władz miasta i gminy „*Medal zasłużony dla miasta Czaplinka*”.

Po likwidacji PWGR na początku lat dziewięćdziesiątych przyjął mnie z powrotem do pracy w MPGK dyrektor Andrzej Kownacki. Przepracowałem tam do czasu przejścia na wcześniejszą emeryturę w 1997 r.

Po przejściu na emeryturę, mimo kiepskiego stanu zdrowia, nadal utrzymywałem kontakt z żaglami i wodą. Wspólnie z przyjaciółmi i rodziną organizowaliśmy rejsy i biwaki. Uczestniczył w nich Janek Daniuk z rodziną, jego brat z Poznania i inni przyjaciele, no i oczywiście moja córka Basia. To ona kontynuuje moje żeglarskie zamiłowania, nawet po założeniu rodziny (za mężem Radziszewska).

Doczekaliśmy się z żoną trzech wnuków, z których dwóch studiuje w Poznaniu, a trzeci zwiedza akurat Stany Zjednoczone. Czy któryś z wnuków zapali się do żeglarstwa jeszcze nie wiem, ale mam cichą nadzieję. Bo mnie pływanie pod żaglami sprawiało radość i dawało poczucie swobody.

wspomnienia opracował: Wiesław Krzywicki

VI. DZIEJE CZAPLINECKIEJ MEDYCZYNY I LUDZI SPOD ZNAKU ESKULAPA

1. POCZĄTKI

Dr Eckart Prettin

Kolejnym powojennym lekarzem praktykującym w Czaplinku i jego okolicach był dr Eckart Prettin. Urodził się w 1875 r. Po ukończeniu szkoły średniej podjął studia medyczne, które uważane były wtedy za najdłuższe i najkosztowniejsze. Studiował na uniwersytetach w Halle, Monachium i Berlinie. Po otrzymaniu dyplomu lekarza odbył, jako wolontariusz (nie otrzymywał wynagrodzenia), trzyletnią praktykę szpitalu w Dreźnie. Był to znamienity, duży (1400 łóżek) szpital i wielu lekarzy, z którymi tam się zetknął, zostało później sławami medycznymi. W czasie tej praktyki wykonał samodzielnie wiele zabiegów, m.in. odebrał 34 porody. Po jej zakończeniu zaproponowano mu stałą pracę w szpitalu. On postanowił jednak wrócić do rodzinnego Czaplinka, bo matka bardzo go o to prosiła.

Po zdaniu egzaminów państwowych musiał jeszcze przejść roczne przeszkolenie wojskowe (pierwovzór podchorążówki), w czasie którego otrzymał stopień oficerski. Wybrał Kriegsmarine (marynarka wojenna), bo wychowany nad j. Drawsko lubił wodę i sporty wodne. Po odbyciu przeszkolenia w szpitalu marynarki wojennej w Wilhelmshaven wrócił do Czaplinka.

Były wtedy dobre czasy dla lekarzy. Aby otworzyć praktykę lekarską wystarczyło zawiadomić o tym lekarza powiatowego (wówczas Czaplinek był w pow. szczecińskim). Nie było ubezpieczeń społecznych i kas chorych, i związanej z tym biurokracji. W tym czasie nie było jeszcze szpitali ani w Szczecinku, ani w Drawsku Pom. Najbliższy szpital był dopiero w Szczecinie. W promieniu 40 km od miasteczka, liczącego wówczas 4000 mieszkańców, nie było żadnego lekarza.

Pierwszą rzeczą było więc zorganizowanie dobrze wyposażonego gabinetu lekarskiego i uzyskanie możliwości podróżowania w terenie. Za środek transportu służyła doktorowi bryczka i trzy konie. Oprócz prywatnych pacjentów, leczył też robotników rolnych z folwarków okolicznych ziemian. Było wtedy wokół j. Drawsko wiele dużych majątków (2000-3000 mórg, tj. 600-1000 ha). Właściciele płacili mu 800-1500 marek rocznie za opiekę lekarską nad każdym folwarkiem. Po latach Prettin skrupulatnie wyliczył, że w czasie czterdziestoletniej praktyki jego dochody osiągnęły zawrotną sumę 100 tys. marek.

Nie lubił wszelkich formalności, i nie wystawiał żadnych rachunków i pokwitowań za swe medyczne usługi. W późniejszym czasie, gdy powstały kasy chorych i było to konieczne, sprawy te prowadziła mu żona. Praca była niełatwa. Wspominał, jak w latach 1906-1908 wybuchła w okolicach Czaplinka epidemia dyfterytu. To była wtedy bardzo ciężka choroba i zbierała wśród dzieci śmiertelne żniwo. Dr Prettin wykonał wówczas 34 *tracheotomie* (otwarcie skalpelem tchawicy i wprowadzenie do niej rurki, by umożliwić oddychanie). Asystujący przy zabiegu rodzice, przyświecający lekarzowi naftową lampą, często padali zemdleni. Zdarzały się też lekkie, lecz nie mniej absorbujące zabiegi, jak usuwanie zębów. W zasadzie zabieg ten wykonywali fryzjerzy, ale co miał zrobić bardzo cierpiący delikwent, gdy zakład fryzjerski był zamknięty? Szedł do lekarza.

Bardzo szybko okazało się, że bryczka nie pozwala szybko i wszędzie dojechać i Prettin, jako człowiek nowoczesny, kupił sobie w 1905 r. automobil. Był to ogromny, czarny *Opel*, bardziej podobny do bryki niż do samochodu. Kosztował go zawrotną sumę 8500 marek. Budził nim sensację, bo był to pierwszy na tych ziemiach automobil. Po trzech latach kupił nowocześniejszy model *Opla*, a w 1913 r. następny. Ten ostatni model był bardzo udany i przejechał nim do roku 1928, czyli w przeciągu 15 lat milion kilometrów. Jedynie opony nie wytrzymały zbyt długo jazdy po kiepskich drogach brukowanych, szutrowych i gruntowych. Budowa nowoczesnych dróg asfaltowych dopiero się zaczynała.

W maju 1918 r. nocą spalili się dom Prettinów z całym umeblowaniem i gabinetem. Jego rodzina została uratowana przez strażaków w ostatniej chwili. Po wyprowadzeniu ich z płomieni dom zawalił się. Prettin zbudował nowy dom, a gabinet, bardziej nowoczesny, otworzył w budynku przy obecnej ul. Sikorskiego 19 (po wojnie otwarto w nim Ośrodek Zdrowia). Z czasem zaczęli pojawiać się lekarze specjaliści. Pierwszą praktykę lekarską otworzył w Stargardzie Szczecińskim okulista. Otwarty też został szpital w Szczecinku, a w latach trzydziestych także w Drawsku Pom. Mimo tego dr Prettin nadal miał bardzo rozległą praktykę lekarską, a nawet po wprowadzeniu ubezpieczeń społecznych i kas chorych, pacjentów mu przybyło.

Miał duszę sportowca, i żeby jeszcze szybciej podróżować kupił w 1928 r., za 2150 marek motor *NSU*, o pojemności silnika 1000 cm³. Potrafił nim przejechać w ciągu roku 30 tys. km! Pracował dniem i nieraz nocą, a miał wówczas powyżej 50 lat, i nic dziwnego, że ciężko zachorował. W czasie długotrwałego leczenia i rekonwalescencji zastępował go w Czaplinku asystent, który niestety okazał się trunkowy i Prettin musiał powrócić do domu przed zakończeniem kuracji. Po dojściu Hitlera do władzy nie wstąpił do NSDAP i uważał się za przeciwnika nazistów.

Przed wojną, w budynku obecnej Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy ul. Grunwaldzkiej mieścił się dom starców. Przygotowując się do wojny, Niemcy urządzili w Czaplinku szpital polowy – prawdopodobnie w tym budynku. Według Strump-Wojtkiewiczza („Alarm dla miasta Gdyni” MON 1977 – str. 309) do szpitala tego 4 października 1939 r. przewieziono na dalsze leczenie polskich żołnierzy rannych w walkach o Oksywie: około 200 szeregowych i 60 oficerów.

Prawdopodobnie także w 1945 r. Niemcy mieli tu lazaret wojskowy. Po zdobyciu Czaplinka przez 7 Kołobrzeski Pułk Piechoty szpital ten został zajęty przez 3 Batalion Sanitarny, który zorganizował tu swój szpital polowy. Tu zmarli z ran kpr. Józef Koźlik z 9 pp (05.03.1945 r.) i szer. Władysław Teon z 9 pp (brak daty zgonu), pochowani na cmentarzu w Czaplinku, oraz szer. Józef Gaździutko z 7 pp (05.03.1945 r.) pochowany na cmentarzu w Szczecinku. Przymuszczalnie część nieznanymi żołnierzy pochowanych na cmentarzu w Czaplinku zmarło z ran w 3 bsan.

Po zdobyciu Czaplinka przez polskich żołnierzy dr Eckart Prettin nadal leczył mieszkańców i przybywających osadników polskich. Wzywany też był do cięższych przypadków do radzieckiego garnizonu w Czaplinku. Wspominał, że traktowano go tam uprzejmie, a kiedyś otrzymał jako wynagrodzenie, zastrzelonego w worku na jego oczach prosiaka. Niepochlebnie natomiast wspomina o swoich kontaktach z Polakami. Wyjechał do Niemiec w lipcu 1947 r. W 1949 r. opisał swoje życie w listach do przyjaciółki córki Signe Braun ze Sztokholmu.

Akuszerka Dalman

Wielu starszych mieszkańców Czaplinka wspomina Niemkę Dalman, akuszerkę, która przyjęła na świat wiele polskich dzieci. Nazwisko jej, mieszkańcy spolszczyli na

Dalmanowa. Nie było wtedy w Czaplinku izby porodowej i kobiety w zdecydowanej większości rodziły w domach. A dzieci rodziło się niemało, co widać z poniższego zestawienia liczby urodzeń w latach 1945-61:

1945 – 68; 1946 – 219; 1947 – 388; 1948 – 352; 1949 – 315; 1950 – 403; 1951 – 422; 1952 – 400; 1953 – 384; 1954 – 432; 1955 – 352; 1956 – 338; 1957 – 333; 1958 – 275; 1959 – 211; 1960 – 306; 1961 – 257. W późniejszych latach liczba urodzeń powoli malała.

Prawdopodobnie, gdy powstała izba porodowa, Dalmanowa także tam przyjmowała porody. Wychowywała ona samotnie syna Gerarda, który był zapalonym żeglarzem i przyjaźnił się z wielu chłopakami z Czaplinka. Mieszkali z matką na ul. Moniuszki. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił on na Politechnikę Szczecińską, którą prawdopodobnie ukończył. Wyjechali do Niemiec w 1956 r. lub nieco później.

LATA POWOJENNE

Już w 1945 r. otwarta została poniemiecka apteka na rogu ulic Sikorskiego i Aptecznej (stąd nazwa tej ulicy). Aptekę prowadziło dwóch warszawskich farmaceutów: Stefan Morawski i Przemysław Kowalczyk. Brakowało w niej wielu leków, co przyczyniało bólu głowy Międzypartyjnemu Komitetowi Porozumiewawczemu w Czaplinku, organizującemu życie w mieście i gminie. Także tego roku władze przejęły budynek dr Prettina, wraz ze znajdującym się w nim gabinetem lekarskim, i urządziły tam Ośrodek Zdrowia. Przyjmował w nim pacjentów Prettina i polski lekarz dr Weber. Wspierała ich poczynania placówka Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK), zabiegająca o poprawę higieny i zdrowotności mieszkańców, a szczególnie dzieci.

Z tego okresu zachowało się pismo Rejonowej Lecznicy Weterynaryjnej w Czaplinku z 24 października 1945 r., zaadresowane do „Sekretarza PPS w Czaplinku”, o treści: „Proszę łaskawie o przybycie na odprawę rzeźników, która odbędzie się 29.X.b.r. o godz. 13-tej w Rejonowej Lecz. Wet. w Czaplinku ul. Walecka 57 celem omówienia i ostatecznego uregulowania spraw ubojowych zwierząt i wyrobów mięsnych i innych ważnych spraw. Kierownik Lecznicy Weterynaryjnej Rożyński Antoni.

Zachowało się też pismo kierownika, akurat utworzonej poradni lekarskiej, z 26 lutego 1946 r. informujące Miejski Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej, że: „...została otwarta poradnia lekarska dla ludności najbiedniejszej przy ul. Waleckiej 15. Poradnia czynna

- 1) Dla ciężarnych
- 2) Dla matek i dzieci do 3 lat
- 3) Przeciwgruźlicza
- 4) Przeciwjaglicza
- 5) Przeciwweneryczna.

Przychodnia czynna codziennie od godz. 9 – 15-tej za wyjątkiem niedziel i świąt...”.

Po wyjeździe dr Webera zastąpił go w 1946 r. dr Klimaszewski, który wspólnie z dr Prettinem troszczył się o zdrowie mieszkańców. Brakowało leków, a wyposażenie ośrodka zdrowia w stosunku do potrzeb było zupełnie niewystarczające. Po wyjeździe dr Klimaszewskiego i Prettina sytuacja bardzo się pogorszyła. Zastąpił ich lekarz lub felczer Sitnicki, prawdopodobnie wojskowy. W cięższych przypadkach trzeba było wozić chorych do szpitali w Drawsku Pom. lub w Szczecinku. Nie było pogotowia, więc władze miejskie postanowiły wyremontować starą wojskową karetkę sanitarną. W związku z tym podjęte zostało następujące zobowiązanie:

„Miejska Rada Narodowa uchwałą z dnia 17 czerwca 1949 r. postanowiła w ramach czynu upamiętniającego 5-tą rocznicę Polski Ludowej, doprowadzić do użytku miejscową

karetkę pogotowia przez zakup ogumienia i częściowy remont podwozia. Koszty związane z powyższym przekraczające kwotę 200 tysięcy złotych uchwalono zebrać w drodze publicznej ofiarności, przez jednorazowe opodatkowanie się wszystkich pracowników w wysokości połowy jednodniowego zarobku, lub indywidualnego dochodu osób nie pobierających wynagrodzenia stałego.

Wierzmy, że apel Miejskiej Rady Narodowej znajdzie należyte zrozumienie i poparcie całego społeczeństwa miejscowego, co da możliwość udzielania pomocy w częstych nieszczęśliwych wypadkach przy pracy, lub ciężkich zachorzeń, przy braku na miejscu lekarza i szpitala, co powoduje często śmierć przed przybyciem pierwszej pomocy...”.

W 1950 r. weszła ustawa o jednolitych organach władzy państwowej i w związku z tym Kazimierz Krupiński, jako ostatni burmistrz Czaplinka, złożył na posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w dniu 26 czerwca tego roku sprawozdanie za okres pięciu lat od 1945 do 1950 r. Tak w nim opisał sytuację w służbie zdrowia:

„...W trosce o wychowanie zdrowego pokolenia odbudowano boisko sportowe położone również w parku miejskim, a jednym z przyszłych zadań będzie odremontowanie kąpieliska miejskiego w pobliżu boiska. Mając na uwadze, że miasto Czaplinek za okupacji niemieckiej (sic!) nie posiadało łaźni publicznej, Zarząd Miejski urządził taką w budynku przy ul. Waleckiej montując 4 wanny, 12 pryszniców i parnię. Łaźnia ta obecnie w głównej części jest wykorzystywana przez robotników tartaku i przetwórni torfu i po wprowadzenia zarządzenia o Akcji Socjalnej nie przynosi miastu deficytu.

Już w 1945 roku miasto wymagało urzędzenia szpitala, gdyż po okresie wojennym wybuchła epidemia tyfusu. Zarząd Miejski urządził wtedy i utrzymywał 2 szpitale, jeden dla chorych zakaźnie przy ul. Waleckiej i drugi dla chorób innych w obecnie zajmowanym budynku przez Ośrodek Zdrowia. Szpitale te w późniejszych latach, z braku dostatecznej ilości lekarzy i zbyt wielkiego obciążenia finansowego miasta, zostały zlikwidowane, a zorganizowano Ośrodek Zdrowia. Przy Ośrodku Zdrowia, przejętym w roku bieżącym przez Wydział Powiatowy, została uruchomiona Izba Porodowa, dająca możliwość w higienicznych warunkach opieki nad kobietami. Dla dzieci do lat trzech jest zorganizowana pomoc w Punkcie Opieki nad Matką i Dzieckiem, z której korzystają kobiety ciężarne, matki karmiące i dzieci w ilości ponad 200 osób z terenu miasta i gminy. Punkt korzysta z wydatnej pomocy Państwa dbającego o wychowanie młodego pokolenia...”.

1 maja 1951 r. nastąpiło uroczyste otwarcie żłobka miejskiego, którego kierowniczką została Helena Trumpis, a pierwszymi pracownicami Janina Małys i Gertruda Szczepańska. Był do końca swego istnienia, jednostką zaliczaną do służby zdrowia, a jego personel był zaliczany do medycznego.

Po Sitnickim ośrodku zdrowia kierował dr Dionizy Kozakiewicz, który wyjechał z Czaplinka w połowie 1956 r. Jeszcze w czasie jego pracy, po ukończeniu trzyletniej Szkoły Felczerskiej w Słupsku, wrócił do Czaplinka Stefan Jurewicz. Po wprowadzeniu go w obowiązki przez dr Kozakiewicza, rychło zyskał on sobie wśród pacjentów opinię dobrego diagnosty. Wraz z nim ukończył szkołę felczerską Wojciech Drzewicki, który podjął pracę jako felczer w Kluczewie. Po nim stanowisko to objął felczer Preisner. Pracowały wówczas w służbie zdrowia na terenie gminy 33 osoby. Po dr Kozakiewiczu krótko był dr Jastrzębski, a po nim w latach 1956-57 dr Oskroba. Jego żona Barbara była położną.

Kolejnym kierownikiem ośrodka został w 1958 r. dr Marian Matuszewski. Jego żona była magistrem farmacji i prowadziła czaplinecką aptekę. Pracowała z nią farmaceutka pani Kowalska, żona weterynarza. W 1960 r. dziennikarz z „Głosu Koszalińskiego napisał

reportaż z Czaplinka, w którym znalazł się taki akapit: „*Ośrodek Zdrowia. W poczekalni ostatni pacjent. Możemy więc z czystym sumieniem ukraść chwilę czasu dr Marianowi Matuszewskiemu.*

- Siedzę tu już półtora roku, nie najlepiej było z kulturą sanitarną. Spotkałem się z wypadkami polewania ran moczem, bo to podobno lepiej się goi. Teraz jest już lepiej. Ludzie nabrali zaufania do wiedzy”.

Natomiast czaplinecki kronikarz Piotr Kasprowicz tak opisuje sytuację w służbie zdrowia w tym 1960 r.: „*Ośrodek Zdrowia mieścił się w lokalu mieszkalnym. Jedyłą siłą pomocniczą dla lekarza i felczera Stefana Jurewicza była pielęgniarka Helena Jurewicz. Apteka, obiekt zdekapitalizowany, stoi na „słowo honoru” i tylko jego piwnice świadczą, że pochodzi z XVII w. Na poprawę warunków w Ośrodku Zdrowia i budowę nowej apteki nie ma szans. A co będzie jak się apteka rozsypie?”.*

Około roku 1961 kierownikiem Ośrodka Zdrowia został dr Franciszek Redosz, który był lubiany i ceniony przez pacjentów. Po nim przyszedł łodzianin dr Mieczysław Bolanowski.

Równoległe z ośrodkiem w Czaplinku, działał Ośrodek Zdrowia w Łubowie, które należało wówczas do gminy Czaplinek. Jego Kierownikiem była dr Janina Marcewicz, która przeniosła się do Czaplinka w roku i została po drkierownikiem ośrodka.

W 1961 r. dokonał się niewielki postęp, o czym pisze P. Kasprowicz: „*Żłobek jest tak samo jak przedszkole w budynku mieszkalnym i miejsca są w pełni wykorzystane. Za namową moją kierownik KGR St. Kasiński dokonał remontu przedszkola, a prywatny wykonawca zainstalował centralne ogrzewanie w żłobku. Przynajmniej sprzątaczką i palaczką nie będzie chodzić po salach z węglem i popiołem”.*

W 1964 r. Izba Porodowa została przeniesiona na ul. Pławieńską, do zaadaptowanego na ten cel budynku mieszkalnego. Z dniem 1 kwietnia obowiązki kierowniczkę izby objęła Halina Ciecharowska, która wcześniej pracowała w Szpitalu Powiatowym w Szczecinku. Kierowała ona izbą porodową do 1989 r. tj. do końca jej istnienia. Zamknięto ją, jak wszystkie izby porodowe w kraju, ponieważ weszły przepisy, iż porody mogą odbywać się tylko w szpitalach. W czasie istnienia izby porodowej przy ul. Pławieńskiej przyszło w niej na świat około 5.000 dzieci.

Rychło okazało się, że pesymistyczne przewidywania Kasprowicza w sprawie apteki sprawdziły się i: „*Na polecenie architekta powiatowego zlikwidowano w 1965 roku aptekę i w jej miejsce zorganizowano punkt apteczny. Teraz po wiele lekarstw trzeba jeździć do Złocieńca, Połczyna Zdroju, czy Szczecinka”.* Także modernizacja żłobka niewiele pomogła. Miasto rozwijało się, i coraz więcej kobiet pracujących zmuszonych było oddawać swe maluchy pod opiekę żłobkową: „*Żłobek z ledwością może pomieścić trzy grupy maluchów, jest ciasno i hałas uliczny nie sprzyja właściwej atmosferze, a brak wybiegu jest jego największym mankamentem. Personel żłobka składa się z: 2 pielęgniarek, 2 opiekunek dziecięcych, 6 salowych, 2 kucharek, 1 sprzątaczką, lekarza na ryczałcie, 1 woznego-palacza i 1 praczkę.*

Do najstarszych pracownic należą: Janina Małys, Lucyna Bulicka, Leokadia Syska, Henryka Wach, Gertruda Szczepańska, Jadwiga Szatrowska i Cecylia Kordialik”.

W końcu usilne starania władz miejskich i naciski honorowych obywateli spowodowały, że wybudowana została nowa, piękna apteka przy ul Długiej. Jej uroczyste otwarcie nastąpiło w dniu Święta Ludowego 21 maja 1971 r. Wzrosła liczba pracowników służby zdrowia na terenie gminy do 40 osób.

W grudniu 1973 r. utworzony został w Polsce Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia, tworzony z dobrowolnych składek, w wysokości 1% wynagrodzenia, pracowników uspołecznionych zakładów pracy. Misją funduszu było budowanie i wyposażanie nowoczesnych szpitali, ośrodków zdrowia i przychodni, żłobków i innych obiektów ochrony zdrowia. To z tego źródła sfinansowano m.in. Szpital „Centrum Zdrowia Matki”, Instytut „Pomnik - Centrum Zdrowia Dziecka” i wiele innych nowoczesnych obiektów medycznych. Tak opisał Kasprowicz nadzieje czapliniaków związane z powołaniem funduszu: *„W 1973 roku, tak jak w całej Polsce, przystąpiliśmy do zbierania składek na NFOZ i Czaplinek znajdował się zawsze w czołówce. Ulotka wydana w Koszalinie mówiła, że w pierwszej kolejności w Czaplinku powstanie przychodnia. Mieszkańcy w czynie społecznym zbudowali garaże dla podstacji Pogotowia Ratunkowego o wartości 295 tys. zł, w tym wkład pracy społecznej wyniósł 159 tys. zł”.*

Nie poprzestając na tym władze miejskie, w porozumieniu z żywotnie zainteresowanymi tym zakładami pracy, postanowiły znacząco zwiększyć ilość miejsc dla dzieci w żłobku: *„Żłobek miejski już „trzeszczał w szwach” i władze miejskie, w porozumieniu z zakładami pracy zaadaptowały budynek po Szkole Przysposobienia Rolniczego (SPR) na drugi żłobek. Oprócz deklaracji finansowych zakładów pracy zadeklarowano wiele czynów społecznych, w ramach których wykonano instalacje centralnego ogrzewania, wodno-kanalizacyjną i elektryczną oraz wymalowano budynek. Wszystko to jednak jest tylko improwizacją. Przecież oba żłobki mieszczą się w budynkach mieszkalnych i oba pozbawione są rzeczy najważniejszej – wybiegu. Ponadto żadne z pomieszczeń nie posiada krytego tarasu, gdzie dzieci mogłyby leżakować”.*

Po doktorze Franciszku Redoszu kierownikiem Ośrodka Zdrowia został z dniem 5 lutego 1975 r. dr Edmund Zajul. Przeniósł się do Czaplinka ze Szczecinka, gdzie wraz z żoną Antoniną dyplomowaną położną, pracowali w Szpitalu Powiatowym. Był świetnym specjalistą ginekologiem i położnikiem, i wiele mu czaplinianie mają do zawdzięczenia. Dr E. Zajul ma też niemałe zasługi w przygotowaniu dokumentacji budowlanej nowej przychodni lekarskiej. Dzięki dobrej współpracy kierownika przychodni z Naczelnikiem Miasta Jerzym Góralczykiem i Lekarzem Wojewódzkim dr Wróblewskim w 1979 r. można było przekazać na sesji Miejskiej Rady Narodowej dokumentację budowy przychodni, wraz z pozwoleniem na budowę

W 1978 r. przyjechał do Czaplinka dr Henryk Stachura, który wcześniej pracował w szpitalu w Kołobrzegu. Gdy dr E. Zajul zrezygnował w 1979 r. ze stanowiska kierownika przychodni, objął je dr H. Stachura (wraz z kierownictwem Pogotowia Ratunkowego). Rok później powstał Społeczny Komitet Budowy Przychodni, któremu przewodził kierownik apteki mgr Tadeusz Zakrzewski. W jego skład weszli także: Naczelnik Miasta Jerzy Góralczyk, dyrektor WBZiZ PMR (Wojewódzka Baza Zaopatrzenia i Zbytu Przedsiębiorstw Mechanizacji Rolnictwa) w Czaplinku Leon Krzykacz i nowy kierownik przychodni dr H. Stachura. Dotarli oni do Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia (NFOZ), i z wielką siłą wymusili na nim budowę przychodni. Wielu pesymistów wówczas mówiło, że im kaktus na dłoni wyrósł, jak zostanie zbudowana nowa przychodnia. Mimo ich krakania, budowa przychodni ruszyła w 1979 r. i została zakończona dwa lata później. Jej uroczyste otwarcie, z udziałem Lekarza Wojewódzkiego, nastąpiło w sierpniu 1981 r. To był nowoczesny ośrodek, dobrze wyposażony i odpowiadający wymogom końca wieku. W ośrodku zdrowia były 3 gabinety lekarskie (dr Krystyna Karluk, dr Edmund Zajul i dr Henryk Stachura), 2 gabinety

stomatologiczne, laboratorium, gabinet zabiegowy i pogotowie, 3 gabinety pediatryczne i gabinet zabiegowy pediatryczny. Nowy ośrodek budowano z uwzględnieniem potrzeb wojennych – betony, olbrzymie korytarze. Kierował nim dr H. Stachura do 1999 r.

W 1999 r. przeprowadzona została w Polsce reforma służby zdrowia i zaczęły powstawać niezależne niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej. Budynek nowej przychodni został wtedy przejęty przez miasto (komunalizacja). Piękny ośrodek zdrowia, zbudowany ze składek społecznych, który miał służyć kilku pokoleniom mieszkańców miasta i gminy, dzisiaj przedstawia żalosny widok i jest użytkowany niezgodnie z przeznaczeniem. Jest odstrasającym przykładem nieudanych reform, przeprowadzonych przez rząd Buzka, i nieudolności miejscowych urzędników. W miejsce przychodni powstało w Czaplinku kilka Niepublicznych Zakładów Opieki Zdrowotnej. Jeden z nich założyli dr Henryk Stachura oraz Krystyna i Jarosław Karlukowie (sp. z o.o.). Chcieli oni, oraz pracujący w ośrodku stomatolodzy, kupić ośrodek, lecz zaproponowano im cenę jak za salon jubilerski w centrum Warszawy.

W roku 2000 otwarty został w Czaplinku NZOZ „Eskulap” dr Ryszarda Stachury. W 2008 r. otwarta została nowa przychodnia „Eskulapa” przy ul Pławieńskiej. Ma w niej siedzibę także zakład „Ova-Med.” z Drawska Pom.

PRACOWNICY SŁUŻBY ZDROWIA W CZAPLINKU

PRZYCHODNIA LEKARSKA	
LEKARZE	- dr Janusz Radomski
- dr Mieczysław Bolanowski	- dr Franciszek Redosz
- dr Marian Gajewski	- dr Skowyra
- dr Tadeusz Gola	- dr Ryszard Skowyra
- dr Anna Goździelewska	- dr Henryk Stachura
- dr Jerzy Hojdys	- dr Weber
- dr Stanisław Hojdys	- dr Mieczysław Widła
- dr Jarosław Karluk	- dr Bogumiła Wujejk
- dr Krystyna Karluk z d. Ważna	- dr Edmund Zajul
- dr Irena Kazoń	- techn. dent. Edyta Hojdys
- dr Klimaszewski	FELCZERZY
- dr Dionizy Kozakiewicz	- Zdzisław Brzyski
- dr Bogumił Koziński	- Wojciech Drzewicki
- dr Krystyna Lasocińska	- Stefan Jurewicz
- dr Lasociński	- Jan Olczyk
- dr Janina Marcewicz	- Apolinary Prajzner
- dr Tomasz Moder	- Janusz Spertusiak
- dr Natkański	- Jan Wójcik
PIELĘGNIARKI	- Zofia Oswald
- Elżbieta Badek	- Bożena Serwach
- Stanisława Batorska	- Danuta Sobkowska
- Elżbieta Bloch-Kucal	- Krystyna Sokołowska
- Danuta Daniuk	- Alina Szymukowicz
- Barbara Dzieńis	- Halina Wasylów
- Irena Flak	- Janina Winnicka
- Maria Grzyb	- Honorata Wojtków

- Maria Hryniewicz	- Antonina Zajul
- Beata Jurewicz	- Wacława Zaorska
- Helena Jurewicz	POŁOŻNE
- Jurewicz	- Elżbieta Bloch-Kucal
- Jadwiga Kalina	- Halina Ciecharowska
- Irena Kołodziejska	- Grażyna Grzonkowska
- Halina Kramarczyk	- Zofia Kaczanowska
- Hanna Listwoń	- Hanna Krzywicka
- Helena Mierzejewska	- Krystyna Madej
- Anna Młynarczyk	- Halina Nowicka
- Zofia Niedziela	- Hanna Piskorska
- Elżbieta Niedzin	- Irena Polewacz
- Halina Ordon	- Wiesława Nawra
REJESTRATORKI	LABORANTKI
- Ewa Folga	- Dorota Dybowska-Pietrzak
- Weronika Gołębiowska	- Elżbieta Krupa
- Jadwiga Jakowicka	- Katarzyna Skonieczna
- Janina Kufel	- Katarzyna Tomaszewska
- Barbara Lutyńska	- Zdzisława Warsińska
- Maria Łuczak	- Alina Wasiniewska
- Irena Warsińska	- mgr Janina Wójcik-Janiszek
	- Danuta Krzysztofiak
PRACOWNICY SOCJALNI	FIZYKOTERAPIA
- Halina Dyškowska	- Marzena Dzienis-Gorbal
- Marzena Kowalska	
- Bożena Stachura	HIGIENA SZKOLNA
- Janina Stępień	- Danuta Daniuk
- Mariola Żwirko	- Krystyna Sokołowska
KONSERWATORZY, PALACZE	SPRZĄTACZKI
- Zbigniew Łojek	- Halina Dąbrowska
- Serwach	- Leokadia Dolny
- Sylwester Dertkowski	- Helena Grzyb
- Turowski	- Hajdasz
KONTROLER SANITARNY	- Stanisława Kowalska
- Marian Dzienis	- Jadwiga Makarewicz
	- Anna Matraszek
POMOC DENTYSTYCZNA	- Janina Piecek
- Mariola Kowalska	- Siczek
- Danuta Kwiatkowska-Grzyb	
- Ksaweryna Szymukowicz	
IZBA PORODOWA	
SALOWE	KUCHARKI

- Halina Czerwoniec	- Jadwiga Kowalewska
- Janina Daniuk	- Zofia Luśtan
- Jadwiga Giwojno	- Barbara Lutyńska
- Barbara Hryszan	PRACZKI
- Łucja Lutyńska	- Czesława Hrybowicz
- Irena Pełcherzewska	- Mariola Orlicka
	- Maria Wasiak
POGOTOWIE RATUNKOWE	
SANITARIUSZE	KIEROWCY
- Bogdan Brożek	- Józef Banasiak
- Władysław Cimachowicz	- Władysław Bieńczak
- Edward Dyśkowski	- Jan Błachuta
- Krzysztof Flantowicz	- Ryszard Giwojno
- Krzysztof Hryniewicz	- Henryk Krasoń
- Wiesław Hryniewicz	- Józef Makarewicz
- Marek Komur	- Stanisław Nicia
- Janusz Kruk	- Andrzej Niezgoda
- Leszek Kruk	- Bogdan Owczarek
- Adam Małek	- Ryszard Suska
- Jan Osmałek	- Władysław Wyka
- Kazimierz Palczewski	
- Leszek Pawłowski	
- Stanisław Topielewski	
- Saja	
- Marek Siara	

DZIEJE ŻŁOBKÓW W CZAPLINKU

„*Bawiąc się – dziecko się uczy, rozszerza swe doświadczenia, rozwija sprawność funkcji psychicznych*”. Pisał swego czasu o zabawie dziecka nasz wielki znawca prof. Stefan Szuman. Aby więc dać dziecku możliwość prawidłowego rozwoju, powinniśmy zapewnić mu warunki dobrej zabawy. Dobrej – czyli stosownie dobranej do jego możliwości wiekowych, posługującej się odpowiednimi pomocami, odbywającej się w korzystnych warunkach lokalowych i czasowych. Te warunki spełnia żłobek jako placówka opiekuńczo-wychowawcza.

W pierwszych powojennych latach w Czaplinku nie istniała żadna placówka opiekuńczo-wychowawcza dla małych dzieci. Dopiero w 1951 r. z inicjatywy miejscowego koła Ligi Kobiet otwarto żłobek. Najwięcej inicjatywy, aby zaistniała w Czaplinku tego typu placówka, wykazały panie Irena Pokora i Helena Trumpis. Założono własnymi siłami, wyposażając w niezbędny sprzęt, oraz na początku organizując żywność w swoim zakresie. Żłobek zlokalizowany był przy ul. Bieruta 14 (obecna ul. Sikorskiego). Kierowniczką żłobka była pani Helena Trumpis. Poza nią pracowały jeszcze trzy osoby. Był to żłobek dla dzieci matek pracujących, niepracujących oraz dzieci z zaniedbanych środowisk. Początkowo uczęszczało do niego około 15 dzieci w wieku od 1 roku do 3 lat.

W następnych latach zwiększała się zarówno ilość dzieci uczęszczających do żłobka jak i personelu. W związku z tym utworzono dwie grupy, tzn. grupę dzieci młodszych i starszych. W 1955 r. ilość dzieci uczęszczających do żłobka wynosiła około 35. Pierwszym lekarzem, który miał pieczę nad dziećmi żłobkowymi był dr Kozakiewicz.

W 1966 r. kierowniczką żłobka została Janina Małys (po przejściu na emeryturę Heleny Trumpis). Ilość personelu pracującego wówczas w żłobku wynosiła 14 osób, a dzieci uczęszczało około 45.

Lata 70-te to okres intensywnego rozwoju zakładów i wzrostu zatrudnienia, co wiązało się z ogromnym zapotrzebowaniem na tego rodzaju opiekę nad dzieckiem. Liczba miejsc była niewystarczająca w stosunku do potrzeb. W związku z tym, władze miasta wraz z największym zakładem pracy w mieście *Telkom-Telczą* podejmują kroki w kierunku utworzenia nowej placówki. Adaptują w 1976 r. budynek przy ul. Pławieńskiej 5 na powyższe potrzeby.

Organizatorem jak i kierownikiem żłobka nr 2 była Elżbieta Sienkiewicz. Do żłobka wówczas przyjęto 45 dzieci i zatrudniono 14 osób personelu. Był to żłobek początkowo dwuoddziałowy (dzieci młodszych i starszych) w wieku od 1 roku do 3 lat. Wówczas to pojawiła się profesjonalna kadra opiekunek dziecięcych. Zatrudnienie ich miało na celu ułatwienie realizacji programu opiekuńczego, a przede wszystkim wychowawczego. Od 1977 r. kierowniczką żłobka nr 2 była Longina Kobus. W związku z nadal dużym wzrostem zapotrzebowania na opiekę nad małym dzieckiem, postanowiono utworzyć w żłobku jeszcze trzecią grupę tzw. grupę przedszkolną. Jednocześnie ściśle współpracując z przedszkolami i realizując program wychowawczy dzieci trzyletnich.

W latach 1977-85 do żłobka nr 1 i nr 2 w Czaplinku uczęszczało około 120-130 dzieci. Obie te placówki borykały się z ogromnymi trudnościami lokalowymi, ponieważ oba te obiekty przygotowane były na przyjęcie około 80 dzieci. Kierowniczką żłobka nr 1 od 1979 r. była Antonina Zajul (po przejściu na emeryturę Haliny Małys), a następnie od roku 1982 Halina Kaczmarek.

Ogromne kłopoty lokalowe i remontowe tych wysłużonych już obiektów spowodowały, że władze miasta, jak również ZOZ w Drawsku Pom., przy udziale i wsparciu Narodowego Funduszu Opieki Zdrowotnej postanowiły wybudować nowy, piękny i nowoczesny żłobek. Żłobek ten został oddany do użytku 1 września 1989 r. przy ul. Grunwaldzkiej 5 b. Organizatorem jak również kierownikiem żłobka była Longina Kobus. W 1990 r. w związku regresem gospodarczym, wywołanym realizacją planu Balcerowicza, nastąpiła likwidacja większości zakładów pracy w naszym mieście. Powstało ogromne bezrobocie, szczególnie wśród kobiet, i zmalało zapotrzebowanie na opiekę nad małymi dziećmi. W związku z tym w 1991 r. żłobek został zlikwidowany, a jego budynek przekazany dla Przedszkola nr 1, przy którym utworzono jedynie grupę żłobkową liczącą 15-20 dzieci od 1 roku do lat 3. Z powodu dalszego zmniejszenia się liczby dzieci wymagających opieki żłobkowej, grupa ta została w 2002 r. zlikwidowana.

PRACOWNICY ŻŁOBKÓW W CZAPLINKU W LATACH 1951-2001

KIEROWNICY ŻŁOBKA NR 1	KIEROWNICY ŻŁOBKA NR 2
- Helena Trumpis 1951-1966	- Elżbieta Sienkiewicz 1976-1977
- Janina Małys 1966-1979	- Longina Kobus 1977-1989
- Antonina Zajul 1979-1982	1989-1991 nowy żłobek
- Halina Kaczmarek 1982-1989	PRACOWNICY
PRACOWNICY	- Barbara Adamska
- Teresa Bołdysz	-Elżbieta Bieniecka
- Halina Borowska	- Ewa Bocian
- Lucyna Bulicka	- Bołdysz

- Danuta Daniuk	- Anna Chachler
- Barbara Denis	- Czesława Czerwoniec
- Krystyna Gilezy	- Elżbieta Hajdukiewicz
- Helena Hajdukiewicz	- Helena Handel
- Jadwiga Iwaniczko	- Zyta Giwojno
- Halina Kaczmarek	- Leokadia Lech
- Longina Kobus	- Barbara Lis
- Cecylia Kordialik	- Stanisława Kalita
- Jolanta Król	- Irena Kałka
- Stanisław Łojek	- Halina Kozak
- Janina Małys	- Jolanta Kulik
- Zofia Olszewska	- Ewa Miłaszewska
- Kazimiera Pawłowska	- Irena Pęcherzewska
- Jadwiga Przewłocka	- Elżbieta Pobiarzyn
- Janina Sadowska	- Barbara Pośler
- Elżbieta Sienkiewicz	- Czesław Putresza
- Janina Spychała	- Wiesława Rutowicz
- Leokadia Suska	- Renata Rylik
- Jadwiga Szatrowska	- Gertruda Sasin
- Gertruda Szczepańska	- Anna Siegieda
- Maria Trzeźniewska	- Janina Spychała
- Stefan Tylman	- Janina Stępień
- Henryka Wiech	- Bożena Suska
	- Zofia Wesołowska
	- Honorata Wojtków
	- Wacława Zaorska

2. UCZYNIĆ COŚ POŻYTECZNEGO

(Wspomnienia Stanisława Chojeckiego)



Stanisław Chojecki.

Chyba rozpocznę od wczesnego dzieciństwa. Jestem 26 rocznik, imię mam Stanisław, nazywam się Chojecki. Urodziłem się w Kościanie. Ojciec mój urodzony w 1878 r. w Żółkwi, studiował geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim i służył w austriackim wojsku w Legerszek na Węgrzech. Po pierwszej wojnie światowej brakowało w Wielkopolsce nauczycieli i ojciec dostał skierowanie do Pleszewa. Stąd przeniesiono go do Kościana, gdzie wybudowano piękne gimnazjum, którego został pierwszym dyrektorem (mówił mi pan Wiktor Woś, że on uczył się w tej szkole). A mama moja, córka ziemian z Wielkopolski, była nauczycielką w tym gimnazjum. Rodzice moi pobrali się w 1924 r. W 1925 r. urodziła się moja pierwsza siostra, a w 1926 r. ja przyszedłem na świat. W 1930 r. urodziła się moja druga siostra, a nieza długo potem zmarł mój ojciec i mama, mając 30 lat została wdową z trójką dzieci, w tym dwumiesięczną córką. Nie powodziło się nam jednak najgorzej, bo mama otrzymała wysoką rentę rodzinną po mężu. Miała też dużo, dobrze sytuowanego rodzeństwa i ja często przebywałem na wioskach u swych ciotek i wujów.

Po śmierci ojca przenieśliśmy się do Poznania, gdzie w 1932 r., mając 6 lat rozpocząłem naukę w prywatnej szkole powszechnej pod wezwaniem św. Kazimierza, która mieściła się przy ul. Stolarskiej. Nie byłem zbyt pilnym uczniem, chociaż chyba zdolnym i mówiono o mnie: „*Stach jest zdolny, ale leni*”. Dopiero już po wojnie, przed maturą doszło do mojej świadomości, że jak chcesz kimś w życiu być, to musisz się uczyć. Bo bez nauki nie ma nic, jak w przysłowiu: „*Czego Jaś się nie nauczył tego Jan nie będzie umiał*”. Czasem psociłem. Pamiętam jak kiedyś, gdy byłem w czwartej klasie, pojechałem w maju do panienki koło Jarocina, gdzie wuj Konopiński (był dyrektorem Izby Rolniczej w Poznaniu) miał tzw. „resztówkę”. Założyłem się wtedy ze stangretem wuja o złotówkę, że zjem majowego chrabąszcza. No i zjadłem tego chrabąszcza, no bo jak by nie było, zakład stał o złotówkę, której nota bene nie otrzymałem. W nocy dostałem bardzo silnego bólu brzucha i następnego dnia rano przyjechał lekarz z Jaraczewa, który stwierdził zapalenie wyrostka robaczkowego. Zawieziono mnie natychmiast do Poznania, gdzie po ponownym przebadaniu dr Weise skierował mnie natychmiast do szpitala Diakonisek, i tam mnie operowano. Na drugi dzień po operacji przyszła pielęgniarka i mówi: „*Twój wyrostek zjadł pies*”. Dostałem zapalenia otrzewnej, a że nie znano wtedy jeszcze antybiotyków było ze mną trochę krucho. Ale że „złego diabli nie wezmą”, po dwóch tygodniach wróciłem do domu. Byłem bardzo słaby i nie chodziłem już do szkoły, i po wakacjach mama zapisała mnie do szkoły i pensjonatu Olgi Małkowskiej w Sromowcach – tam gdzie w tej chwili jest zaporą na Dunajcu.

Muszę tu zrobić małą dygresję, bo mało kto dzisiaj wie kim była Olga Małkowska, właściwie Olga i Andrzej Małkowscy, osoby wybitne i przed wojną wszystkim znane. Otóż Olga Drohonowska-Małkowska (01.09.1888-15.01.1979) była jedna z najbardziej zasłużonych twórczyń polskiego skautingu dla dziewcząt. Andrzej Małkowski (31.10.1888-16.01.1919), mąż Olgi był twórcą polskiego skautingu dla chłopców, oraz

wybitnym instruktorem i teoretykiem harcerstwa. Wracał do kraju statkiem, który wpadł na minę i zatonął, zabierając ze sobą w głębinę ponad 700 pasażerów. Andrzej mógł się uratować, lecz ustąpił miejsca w szalupie ratunkowej kobiecie z dzieckiem. Olga Małkowska po śmierci męża zbudowała w 1925 r. w Sromowcach Szkołę Pracy Harcerskiej zwaną „*Dworkiem Cisowym*”. Tam dzieci uczyły się w zakresie szkoły podstawowej, a także chodziły w góry, poznawały przyrodę i życie górali, pracowały w ogrodzie, uczyły się języków, miały stację meteorologiczną i pracownię stolarską, sąd koleżeński i teatr, jeździły na nartach. W kolejnych latach stanęły obok Dworku „*Orle Gniazdo*”, „*Watra*” i Dom Ludowy dla wsi.



Olga i Andrzej Małkowscy.

Tam to przebywałem do wiosny następnego roku. Olga Małkowska miała ogromne serce dla dzieci, ale jednocześnie był tam wielki porządek, doskonała organizacja i spartańskie warunki. Rano pobudka i latem polewanie miednicą lodowatej wody, a zimą nacieranie ciała śniegiem. Pamiętam wyprawę na Sokolice nad Dunajcem i odwiedziny pustelnika, który tam miał swoją chatkę, a w niej trumnę. Spał w niej rzekomo, ale kolega podejrzwał, że na strychu ma eleganckie łóżko. Był wtedy upał i w drodze powrotnej z tej wycieczki zanurzyłem głowę w lodowatym strumieniu. Musiałem być jeszcze słaby po operacji, bo dostałem zapalenia opon mózgowych. Aż z Czech przyjechał samochodem lekarz, który zaordynował zastrzyki, które mi pomogły. Latem mieszkaliśmy w Orlim Gnieździe, a zimą w Dworku Cisowym. Było nas tam około 30 dzieci, dziewcząt i chłopców z Warszawy, Radomia z Poznania i innych miast, a także dwójka dzieci powodzian, wziętych na wychowanie przez Olgę Małkowską. Naszą opiekunką była druhna Jagoda ze Lwowa, bardzo miła i dobra pani. Egzamin do piątej klasy zdawałem w Nowym Targu. Tam bardzo poprawiło mi się zdrowie i chyba dzięki temu dociągnąłem już do 83 lat, i mam zamiar żyć jak najdłużej. Ten prawie roczny pobyt pod opieką Olgi Małkowskiej miał także wielki pozytywny wpływ na mój charakter.

Do 1939 r. skończyłem 6 klas powszechnej szkoły podstawowej. Nota bene, w ubiegłym roku byłem na zjeździe naszej szkoły i mimo, że od 1939 r. nie widzieliśmy się, przyjechało jeszcze kilkadziesiąt osób, co uważam za wielki fenomen. Wybuch wojny w 1939 r. zastał nas w Głuszynie, niedaleko Poznania w majątku mojej ciotki Bąkowskiej. Gdy przyszli Niemcy, zarząd majątku objął *treuhänder*. Nie życzył sobie naszej obecności i zażądał abyśmy opuścili majątek. Przenieśliśmy się do wynajętego jednego pokoju w Poznaniu na ul. Matejki 68, u pani Grajnert.

Wspomnę tu, że po moim ojcu dyrektorem gimnazjum został pan Irzabek, zamordowany przez Niemców w 1939 r., wraz z grupą inteligencji kościańskiej na rynku przed ratuszem. Taki los spotkałby zapewne i mego ojca, gdyby nie zmarł przedwcześnie. Dziś już nic już nie łączy mnie z Kościanem. Ostatnią osobą, którą tam znałem, była pani Zosia Skorupka, nasza przedwojenna niania, która pochodziła z podkościańskiej wsi Żelazno. W czasie okupacji bardzo nam pomogła, przesyłając olbrzymie paczki z mąką, cukrem

i innymi drogocennymi wiktuałami, a nawet słodyczami, ratując nas przed głodem. Dowiedzieliśmy się potem, że pracowała ona w tym czasie u Niemców, którzy zabrali kościańskiemu winiarzowi panu Czajce jego przedwojenną firmę. Nasza niania słysząc o głodzie w Poznaniu, po kryjomu podbierała swym niemieckim chlebowodawcom wiktuały, które na przysyłała. Można powiedzieć, że Zosia Skorupka pomogła nam przeżyć wojnę. Zmarła ona niezbyt niedawno.

Moja mama początkowo zarabiała robiąc sałatki jarzynowe dla restauracji. Potem zaczęła pracować w *Arbeitsamcie* – w urzędzie pracy. Jak to było za okupacji wszyscy musieli iść do pracy, nawet dzieci powyżej 12 roku życia. Nie było szkół dla polskich dzieci. I ja zacząłem pracować już na przełomie września i października 1939 r., a było to zbieranie piłek na korcie tenisowym, za co płacili mi Niemcy 50 fenigów za godzinę. Potem, kiedy skończył się tenis poszedłem, do pracy jako grabarz na Cmentarzu Świętomarcińskim (obecne tereny Tragów Poznańskich). Tam pracowałem przez zimę 1939/40. W tym czasie mama wystarała mi się o pracę w Banku Spółek Zarobkowych, który w czasie okupacji nosił nazwę *Ostbank*. Tam pracowałem jako chłopiec na posyłki. Z żywnością dla Polaków było wtedy w Poznaniu bardzo źle. Pamiętam, że gotowano z płatków owsianych i majeranku taką maź, którą smarowało się chleb. W tym chlebie były zmieszane z mąką ziemniaki i łubin, i był on trudny do zjedzenia, ale młodemu jak ja człowiekowi i taki smakował.

Mąż koleżanki mamy, pan Kuśnierek, był w tym czasie w Iwnie, a właściwie Wiktorowie koło Kostrzyna dyrektorem majątku. Ponieważ jak wspominałem, z wyżywieniem w Poznaniu było coraz gorzej, wystarano mi się o pracę w majątku w Iwnie jako chłopca stajennego, w stajni wyścigowej. W 1942 r. byliśmy z naszymi końmi na wyścigach w Poznaniu. Potem *gauleiter* Poznania Greiser, z powody trwającej wojny zabronił organizacji wyścigów konnych. Na wiosnę w 1943 r. pojechaliśmy z końmi i trenerem panem Tuchołką do Wiednia. W Wiedniu trener sprzedał trzy konie Maltnerowi von Markov - właścicielowi dużej fabryki wódek na przedmieściu Wiednia. Jego trener, Węgier Cwikwary zażądał jednego człowieka do pracy, a że jedynie ja znałem język niemiecki, nasz trener zaproponował mi pozostanie w Wiedniu. Napisałem do domu, czy mama się zgodzi i ona wyraziła na to zgodę.

Kiedy do Wiednia zbliżył się front, zabrano mnie do kopania rowów przeciwczołgowych koło Bratysławy (zwanej wtedy Pressburgiem), lecz szybko stamtąd uciekłem. Kiedy zaczęły się bombardowania alianckie Wiednia, bomby spadły też przy naszej stajni, tłukąc wszystkie szyby. W obawie przed gorszymi następstwami dalszych bombardowań wyjechaliśmy wtedy z wszystkimi końmi do Styrii. Tam nadal pracowałem przy koniach - do chwili oswobodzenia. Najpierw przyszli Amerykanie, a potem zmienili ich Anglicy. To było nad rzeką Enz. Kiedy dowiedziałem się, że na terenie Austrii powstają obozy UNRRA zgłosiłem się do takiego, ponieważ chciałem koniecznie wracać do kraju. Do obozów przyjeżdżali z kraju oficerowie repatriacyjni, którzy opowiadali jak to jest w Polsce dobrze, jak jest ona odbudowywana itd.

W 1945 r. jednym z transportów, przez Salzburg, Regensburg, Monachium, Pragę przyjechałem do Polski - do Zebrzydowic. Moje zdziwienie wzbudziło to, że pierwszym rodakiem, który nas witał na ziemi polskiej był żebrak. Więc te opowiadania oficerów repatriacyjnych okazały się niezbyt wiarygodne. Jak się potem okazało nie było także żadnego dobrobytu. Otrzymałem 100 zł i bezpłatny bilet. Przyjechałem do Poznania, i z dworca dorożkarz zawiózł mnie z bagażami na ulicę Konopnickiej, gdzie mieszkała

mama. Zapłaciłem za kurs otrzymanymi 100 zł. Dotąd byłem przekonany, że mam dużo pieniędzy, bo sprzed wojny przypominałem sobie, że za złotówkę można było się w restauracji najeść – teraz ledwo starczyło na kurs dorożki.

Z Poznania pojechałem do Wrocławia, gdzie mój wuj profesor Konopiński był dziekanem na Wydziale Zootechniki Uniwersytetu Wrocławskiego, a jednocześnie zajmował stanowisko dyrektora Państwowego Instytutu Naukowego Go-



Lilianna i Stanisław Chojecy w młodości.

spondarstwa Wiejskiego i tam zacząłem pracować, jako kierowca, równocześnie ucząc się w gimnazjum dla dorosłych. Niestety w 1946 r. powołano mnie do wojska. Odbyłem dwa lata służby wojskowej w Toruniu, w Centralnej Składnicy Amunicji Wojsk Lotniczych. Po zwolnieniu z wojska wróciłem, już nie do Wrocławia, ale do Poznania i tam uczęszczałem do tzw. „zerówki” - to były kursy przygotowawcze na studia wyższe.

Po skończeniu tych kursów wstąpiłem na Politechnikę w Szczecinie, lecz ze względów zdrowotnych musiałem tę naukę przerwać. Wróciłem do Poznania i wstąpiłem wtedy do Akademii Medycznej w Poznaniu. Niestety nie otrzymałem stypendium i musiałem utrzymywać się z pracy. W nocy jeździłem na taksówce, a w dzień byłem na wykładach i ćwiczeniach. Trudno było godzić pracę ze studiami, więc musiałem je dwukrotnie przerywać. Na piątym roku studiów poznałem swoją późniejszą żonę. Nazywała się Lilianna Skommer i pracowała wtedy w jednym z dziekanatów uczelni. Pewnego razu spotkałem

ją na korytarzu, gdy niosła wielkie naręcze dokumentów i zaproponowałem jej pomoc. To była miłość od pierwszego spojrzenia i jak się potem okazało – z wzajemnością. W 1956 r., kiedy byłem na piątym roku studiów, wzięliśmy ślub, a w rok potem urodziła się córka Magda. W czasie studiów działałem w Zrzeszeniu Studentów Polskich, będąc zastępcą kierownika Biura Wczasów, Podróży i Turystyki. Moim szefem był Olek Antoniewicz, absolwent studiów ekonomicznych. Zaproponował mi kiedyś objęcie kierownictwa wczasów w Mikołajkach, na co się zgodziłem. Wtedy to poznałem bardzo ciekawego człowieka, który był oficerem na „Batorym”. Ukończyłem prowadzony przez niego kurs żeglarski i uzyskałem patent sternika III klasy. Wtedy i ja zacząłem szkolić młodzież, mając do dyspozycji duży jacht „Cumulus”. Połknąłem wtedy bakcyła żeglarstwa. W wiele lat potem



S. Chojecy z żoną i córką Agatą na spotkaniu z kard. Glempem.

wybrałem się kiedyś z córką Agatą i wnukiem Markiem do Giżycka. Tam wynająłem łajbę, chyba „*Tango*” i dwa tygodnie pływaliśmy po jeziorach Mazurskich. Pływałem też po naszym jeziorze jachtem „*Neptun*” prof. Heinza Packa. O mało nie zostałem jego właścicielem.

W 1963 r. skończyłem studia i zacząłem pracę na akademii Medycznej na Katedrze Protetyki, jako asystent profesora Sarazina. Niestety pensje wtedy na uczelni były tak mizerne, że trudno było utrzymać rodzinę. Poszukiwałem więc jakiejś pracy w terenie, gdzie można by było więcej zarobić. Znalazłem taką w Przemkowie w woj. zielonogórskim. Jednak warunki tam były niezbyt przyjemne, a w szczególności nie układała się współpraca z lekarzem powiatowym, który też był stomatologiem, i traktował mnie jak konkurenta oraz robił mi różne świństwa. Więc nie zabawiłem tam zbyt długo i wyjechałem do Jutrosina w pow. rawickim w Wielkopolsce, gdzie pracowałem w Ośrodku Zdrowia i jednocześnie miałem prywatną praktykę. Pracowałem tam do 1969 r.

Wówczas werbowano do pracy w NRD polskich dentyści, bo ich dentyści pouciekali na zachód. Zgłosiłem się więc, i w maju 1969 r. podjąłem pracę w tym NRD. Tam w 1971 r. urodziła się moja druga córka Agata. W 1977 r. Agata miała pójść do szkoły, ale ja nie chciałem żeby to była szkoła niemiecka, więc wróciliśmy do Polski. Po powrocie otrzymałem pracę jako stomatolog w Rydzynie koło Rawicza.

W 1980 r. doszły do nas pogłoski, że w Gdańsku powstały wolne związki zawodowe. Słyszając o tym wybrałem się do Poznania do doktora Topiłki, mojego kolegi z Akademii Medycznej, który działał tam w powstałej akurat „Solidarności”. Otrzymałem od niego wszelkie potrzebne informacje, i po powrocie pojechałem do Leszna, i w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym zrobiłem zebranie informacyjne i założycielskie wolnych związków zawodowych „Solidarność”. Rychło nasza działalność rozszerzyła się, coraz więcej zakładów się interesowało tym ruchem i przychodzono do mnie po informacje.

Z czasem powstał Międzyzakładowy Komitet Założycielski „Solidarności” w Lesznie, którego przewodniczącym zostałem ja. Dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego urlopował mnie i działałem już tylko w „Solidarności”. Jeździłem na zebrania założycielskie w takich miejscowościach naszego województwa jak: Rawicz, Kościan, Śmigiel, Gostyń, Wschowa. Wszędzie tam zakładaliśmy wolne związki zawodowe. W Lesznie otrzymaliśmy lokal na naszą działalność, oraz samochód po byłych związkach zawodowych i nasze działania coraz bardziej się rozszerzały. Często wyjeżdżałem na posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej do Gdańska i tam poznałem bardzo wielu zasłużonych i bardzo zaangażowanych wówczas ludzi, między innymi prof. Chrzanowskiego, Wielowieyskiego z KIK-u, mec. Siłę-Nowickiego, Geremka, Gwiazdę, Rozpłochowskiego. A także Lecha Wałęsę, z którym bardzo się wtedy przyjaźniłem. Poza tym, uczestniczyli w posiedzeniach „krajówki” wszyscy przewodniczący międzyzakładowych komitetów założycielskich z wszystkich województw. Mieliśmy zebrania w Gdańsku, a także sesje wyjazdowe. Kiedyś byliśmy na posiedzeniu krajówki w Politechnice Warszawskiej. Po aferze z kolegą Rulewskim byliśmy w Bydgoszczy na spotkaniu solidarnościowym. Jednym słowem było bardzo dużo wyjazdów.

13 grudnia nasz generał wypowiedział narodowi wojnę – ogłosił stan wojenny i wówczas zamknięto wielu działaczy. Byłem akurat chory na grypę i miałem zwolnienie lekarskie, ale i mnie wzięto do więzienia. Odbyło się to tak, że zawezwano nas do Leszna pod pretekstem, że komendant wojewódzki chce ze mną rozmawiać. Jego wysłannicy bardzo uprzejmie poprosili: „*Panie przewodniczący prosimy do komendanta*”. Niestety

okazało się, że to nie komendant, a po prostu wsadzili nas do więzienia. Przez noc siedzieliśmy w Lesznie, potem załadowano nas, chyba 25 osób, do takiej „suki” i zawieziono do więzienia w Ostrowie Wielkopolskim. Tam wsadzono nas do celi i siedzieliśmy do Nowego Roku. W pierwszych dniach stycznia kolegów zabrano - nie wiedziałem dokąd, a mnie zostawiono. Przyszedł strażnik i mówi, że ja pojedę na Sybir. To były takie gry na psychiczne wykończenie więźniów. Chyba 8 stycznia zawieziono mnie do Głogowa. Tam mieliśmy już znacznie lepiej, bo drzwi od celi były otwarte i mogliśmy wychodzić na korytarz. Poza tym w jednej z sal więziennych był telewizor i tam zobaczyłem jak rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban mówił, że najgorzej na tym wszystkim wyjdzie naród, bo rząd zawsze się jakoś wyżywi. Uważam, że to były niedopuszczalne rzeczy. I ten człowiek dysponuje dzisiaj gazetą. Coś tu nie gra.

W końcu marca, na skutek interwencji dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Lesznie zostałem, z kilkoma jeszcze kolegami zwolniony, ponieważ w Rydzynie nie było żadnego dentysty – ja byłem jedynym, który obsługiwał tamto społeczeństwo. Po wyjściu z więzienia niestety zachorowałem i przebywałem dłuższy czas w szpitalu. A poza tym musiałem, co tydzień w sobotę, meldować się na komendzie wojewódzkiej MO. Chodziłem tam zawsze z teczką, w której miałem pastę do zębów, bieliznę, ręcznik, bo w każdej chwili mogłem być ponownie aresztowany, jak to się stało np. w maju, kiedy aresztowano nas kilku solidarnościowców na trzy dni. Był to bardzo nieprzyjemny okres, grano na naszym strachu. Kiedyś powiedziano mi, że mam się dobrze zachowywać, bo mogą być konsekwencje dla mojej rodziny. Grożono mi, że jeśli nie będę posłuszny to moją córkę może spotkać w drodze do szkoły wypadek drogowy. Po nocach otrzymywałem telefony. Kiedyś po dwunastej dzwoni telefon, podnoszę słuchawkę i słyszę wulgarne wymyślanie. Poznałem po głosie I sekretarza partii z Leszna. Powiedziałem mu tylko – bardzo dziękuje, nawzajem.



S. Chojecki z prof. H. Packiem.

Tak trwało to do października, kiedy złożyłem wniosek do biura paszportowego o paszport. Chciałem opuścić Polskę, bo bardzo kochałem córkę i nie mogłem dopuścić, by spotkała ja coś złego w konsekwencji za moje czyny, a bierny być nie chciałem. Paszport otrzymałem, tylko z tym, że w jedną stronę – na banicję. Wyjechałem z żoną i córkami z Polski do Niemiec w październiku promem „Rogalin”. Tam osiedliłem się w Herten koło Recklinghausen. Początkowo nie było mi wolno pracować samodzielnie. Dopiero po odbyciu rocznej praktyki u niemieckiego stomatologa mogłem otworzyć w Westerwaldzie praktykę. Potem przenieśliśmy się do Altenkirchen. Tam pracowałem do 1998 r., kiedy to przeszedłem na emeryturę. Swoją gabinet i praktykę stomatologiczną przekazałem Polce zamieszkałej w Niemczech. Wróciłem z żoną do Polski i tu

szukaliśmy sobie jakiegoś domku, gdzie moglibyśmy się na starość osiedlić. Jeździliśmy po ziemiach zachodnich. Byliśmy w Ińsku, w Bornem Sulnowie, oglądaliśmy domki w Złotowie, lecz najbardziej spodobał się nam domek w Czaplinku. To moja żona zdecydowała ostatecznie, że tu się osiedlamy. Kupiliśmy za niewygórowaną cenę przy ulicy Długosza domek, z pięknym widokiem na jezioro, stając się mieszkańcami tego uroczego miasteczka. Niestety moja kochana towarzyszka życia umarła w 2001 r. i została pochowana na czaplineckim cmentarzu. Moje kości spoczną obok niej - mam już tam wykupiony grób. Jeszcze za jej życia poznaliśmy się z rodowitym czaplinianinem i Honorowym Obywatelom Czaplinka prof. Heizem Packiem. Otóż kiedyś byliśmy ze znajomymi z Niemiec w „*Elektorze*” i profesor, słysząc niemiecką mowę podszedł do nas i zapytał skąd jesteśmy. I tak się zaczęła nasza przyjaźń. Pomagałem mu potem w utworzeniu polskiej części Stowarzyszenia „*Bielawa*” i wszelkich pracach na rzecz utworzenia na wyspie ekologicznej ostoji. Był wielokrotnie naszym gościem. Byliśmy równolatkami i łatwo było nam znaleźć wspólny język.

Innym moim znamienitym przyjacielem jest prof. Stefan Stuligrosz, światowej sławy dyrygent chłopięcego chóru „*Poznańskich Słowików*”. Znajomość ta zaczęła się w czasie mojej pracy w Niemczech. Otóż pewnego razu dowiedziałem się, że niedaleko od miejscowości, w której miałem gabinet dentystyczny, w Niedermühlen przebywa na wakacjach prof. Stuligrosz ze swoim chórem. Wybrałem się tam i poznałem profesora. Rychło on zjawił się u mnie, bo go paskudnie bolał ząb. I tak się zaczęła ta przyjaźń. Miałem potem przyjemność i honor być goszczonym przez profesora w jego domu, i gościć go w Czaplinku, kiedy to dwukrotne przyjął zaproszenie i występował z chórem w naszym mieście w 2005 r. Szczególną satysfakcję miałem, gdy w styczniu tamtego roku odbył się koncert charytatywny, na rzecz pięcioletniej wówczas Agnieszki, która urodziła się bez nóżek i jednej rączki. Prof. Stuligrosz rzekł się wtedy swego honorarium, a z kart wstępu i wpłat sponsorów udało się zebrać na ten szlachetny cel 18 tys. zł. Staram się uczestniczyć we wszystkich akcjach charytatywnych organizacji „*Kiwanis International*”, mi.in. dostarczając najbiedniejszym odzież zebraną przez naszych przyjaciół z Bad Schwartau.

Całe życie starałem się czynić coś pożytecznego dla ludzi, stąd też zapewne wziął się mój wybór kierunku studiów i potem działalność w „*Solidarności*”, „*Kiwanisie*” i w „*Stowarzyszeniu Bielawa*”. Do dzisiaj działam w czaplineckim oddziale organizacji „*Kiwanis International*”, której byłem współzałożycielem i przez pewien czas wiceprezydentem. Celem tej międzynarodowej organizacji, której władze znajdują się w Stanach Zjednoczonych, jest wspomaganie biednych rodzin i dzieci. Także i dzisiaj, mimo podszerego wieku, prowadzę jeszcze w gimnazjum, szkole podstawowej i w przedszkolu prelekcje dla dzieci o higienie jamy ustnej i zębów, oraz prawidłowym odżywianiu się. Najpiękniejszą nagrodą za tę pracę są dla mnie podziękowania otrzymane od władz miasta i gminy oraz dyrekcji szkół. Dzięki nim czuję się potrzebnym, pełnoprawnym mieszkańcem naszego miasteczka.

Przez pewien czas z zamiłowaniem zajmowałem się pszczelarstwem, Zaczęło się to zupełnie przypadkowo w czasie mojego pobytu w Niemczech. Otóż któregoś dnia zaalarmował mnie kierowca naszego punktu, że w ogrodzie wisi na drzewie rój pszczół. Niewiele się namyślając, narzuciłem gazę na głowę i zebrałem ul do wiadra. Miałem gołe ręce, ale pszczoły mnie mocno nie żądliły. Wyczuły widać, że nie chcę im krzywdy uczynić. Pszczoły umieściłem w ulu podarowanym mi przez dziadka rejestratorki. Potem dorobiłem się nawet przyczepy do przewozu uli, którą sprowadziłem do Czaplinka i trzymałem w Cichorzeczu.

Bardzo mnie to pszczelarstwo pasjonowało, ukończyłem nawet specjalne kursy i mam dyplom mistrza pszczelarskiego.

Doczekałem się dwójki wnuków: Marka, który jest dyplomowanym biologiem i Maksymiliana, który jest gimnazjalistą. Troskliwą opieką otacza mnie młodsza córka Agata, i mimo wieku i przebytych chorób, nadal jestem pogodnym człowiekiem i cieszę się życiem.



Podziękowanie dla S. Chojeckiego.

3. 25 LAT NIEUSTAJĄCEGO DYŻURU

(Wspomnienia Haliny Ciecharowskiej)

Urodziłam się 30 marca 1938 r. w Mostach koło Grodna. Mój tato Antoni Jaśkiewicz był wojskowym, a mama Felicja zajmowała się domem. Poprzednio rodzice mieszkali w Nowym Dworze Mazowieckim, gdzie ojciec służył w Twierdzy Modlińskiej. Do Grodna został przeniesiony służbowo w 1937 r., gdy mama była w ciąży ze mną. Po mnie urodziły się jeszcze 3 siostry i 2 braci. Gdy wybuchła wojna i wkroczyli sowieci zaczęły się aresztowania Polaków i wywózki na Syberię. Tacie udało się po zakończeniu działań wojennych przedostać do Rumunii, a potem na Węgry. W 1945 r. przyjechalśmy do Szczecina, gdzie tato pracował na kolei. Tu ukończyłam szkołę podstawową. Potem przenieśliśmy się do Szczecinka, bo tu, po założeniu rodziny, osiedliła się moja siostra. Tato nadal pracował na kolei. Po ukończeniu ogólniaka w Szczecinku, bardzo chciałam pójść na studia na medycynę, ale nic z tego nie wyszło, bo rodzice nie należeli do partii i zabrakło mi punktów do zakwalifikowania się na studia. Postanowiłam więc wstąpić do otwartej rok wcześniej Szkoły Położnych w Słupsku. W 1956 r. zdałam egzamin wstępny i rozpoczęłam naukę. Podobał mi się obrany zawód, a nauka szła dobrze.

Szkołę ukończyłam w 1958 r. i jako dyplomowana położna podjęłam pracę na Oddziale Położnictwa i Ginekologii Szpitala Powiatowego w Szczecinku. Praca była bardzo odpowiedzialna, więc czułam i troszkę tremy, i troszkę strachu. Szpital był, jak na tamte lata, na wysokim poziomie, pracowało się bardzo dobrze i tu miałam naprawdę dobrą praktykę, która później bardzo mi się przydała. Zdarzały się, jak to w szpitalu, różne trudne przypadki, ale kiedy za plecami stoi lekarz, odpowiedzialność, a i trema są mniejsze.

Jakoś w tym czasie poznałam swojego przyszłego męża Bogdana Ciecharowskiego. Urodził się w Warszawie, także w 1938 r. Jego ojciec był przed wojną policjantem. Matka Bogdana zmarła w 1942 r., gdy on miał 4 lata. Po wojnie rodzina Ciecharowskich osiedliła się w Szczecinku, gdzie ojciec był milicjantem. Bogdan, po ukończeniu technikum mechanicznego w specjalności ślusarstwo artystyczne, służył w wojsku i często bywał w Szczecinku. Nasi rodzice znali się, i z tego powodu zostałam kiedyś zaproszona na imieniny ojca Bogdana. I tak zawarliśmy znajomość. Zaczęliśmy spotykać się, przypadliśmy sobie do serca. Po rocznej znajomości, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1960 r., zawarliśmy w dużym kościele w Szczecinku związek małżeński. Uroczystość

weselna była niemodna, bo nie w restauracji, a w domu rodziców. Było bardzo wesoło.

Po ślubie napisałam podanie o przydział mieszkania i otrzymałam pokój z nadmetrażu. A właściwie zaproponował mi je mieszkający pod rodzicami sąsiad, który bał się, że dokwaterują mu jakieś nieznanne osoby, więc wołał nas. Na początek mieliśmy więc tylko jeden pokój, co prawda duży, ale bez kuchni i łazienki - woda w miseczce, wiaderko. Mama zawsze



Halina i Bogdan Ciecharowscy.

coś nam podrzuciła, byliśmy młodzi i cieszyliśmy się życiem. Kupiliśmy sobie piękny czeski motor *Jawę 250*, wiśniową z błyskotkami, która za dnia stała przed domem, ale na noc wciągaliśmy ją do pokoju. W 1963 r. urodził się syn Mariusz, i takie mieszkanie przestało nam wystarczać, szczególnie, że trzeba było jeszcze zmieścić w pokoju wózek dziecięcy.

Zacząłam więc rozglądać się za mieszkaniem. Napisałam podanie do szpitala, ale skąd mogli wziąć dla mnie mieszkanie, skoro pracowało w nim 200 osób, z których połowa mieszkała w szpitalnym hotelu. Pracował w tym czasie w szpitalu dr Gajewski, który był jednocześnie Kierownikiem Wydziału Zdrowia w powiecie szczecineckim. Znał moje problemy mieszkaniowe i kiedyś mówi mi: „*Słuchaj. Mam dla Ciebie fuchę, z super mieszkaniem. Jedziemy do Czaplinka.*” O Chryste Panie! Gdzie ten Czaplinek? No i tu przyjechalśmy. Najpierw to bardzo chciałam to mieszkanie zobaczyć, a on pokazuje mi całą górę nad starą przychodnią lekarską przy ul. Sikorskiego (wówczas Bieruta) - sto ileś metrów! Wyremontowane, wymalowane, wycacane! Uszczęśliwiona roześmiałam się. Dzwonię z urzędu miejskiego do męża i mówię: „*Wiesz, jaki apartament! Wielki salon, 2 pokoje, kuchnia.*”. Zdecydowaliśmy się zamieszkać na trzy lata, bo po tym czasie miałam dostać mieszkanie w Szczecinku. Okazało się z czasem, że zostaliśmy tu na stałe.

W dniu rocznicy moich urodzin, 30 marca 1964 r., objęłam stanowisko kierowniczkę Izby Porodowej w Czaplinku. Rodzina została jeszcze w Szczecinku. Przede mną izbą kierowała pani Langowska. Izba Porodowa w Czaplinku była początkowo na pierwszym piętrze, nad starą przychodnią. Przed moim przyjazdem przeniesiono ją do piętrowego jednorodzinnej domu przy ul. Pławińskiej, gdzie mieściła się do końca swego istnienia. Była ona wyremontowana i w pełni przystosowana do swej funkcji. Były w niej 3 sale z 15 łózkami szpitalnymi, sala porodowa, pokój przyjęć, sala noworodków, kuchenka, pralnia. Prawie szpitalik, przy tym zgrabnie wszystko ułożone, że się nie nabiegałam. Miałam do obsługi izby 4 salowe, kucharkę i praczkę.

Podjęwając tę pracę z początku byłam przerażona. Już nie miałam nikogo za plecami. Czasem pomagał mi dr Matuszewski, który coś niecoś wiedział o położnictwie, ale w zasadzie musiałam decydować w każdym przypadku sama. Byłam więc tym wszystkim strasznie przerażona. Nie ze wszystkim było też w Izbie Porodowej najlepiej. Na górze była kuchnia na węgiel. Na dole nic nie było. Ciepłej wody nie było, grzailiśmy ją na elektrycznej maszynie ze spiralką. Grzałam garnek wody dla noworodków, dla kobiet, aby mogły umyć się. Narzędzia, strzykawki, igły gotowałam w sterylizatorze na tej maszynie. Szpital w Szczecinku miał już stosunkowo wysoki poziom, więc przerażał mnie ten prymityw w Izbie Porodowej. Drugiego kwietnia objęłam swoje obowiązki, a trzeciego nocą przyjechała moja pierwsza pacjentka - pani Nowicka, której mąż Wiktor był taksiarzem. Akurat, kiedy ją przywiózł, zepsuła się ta nieszczęsna maszyna elektryczna, i musiał mi on ją naprawić. Poród przebiegł szczęśliwie, urodziła się dziewczynka, która chyba na moją cześć, została położną. Dzisiaj mieszka w Ameryce.

A potem posypało się. To były lata wyżu demograficznego i zdarzało się, że miesięcznie rodziło w izbie 30-35 kobiet. Zdarzało się, że jednocześnie leżało w niej nawet 10 kobiet. Miałam więc co robić. Zaczął się dla mnie praktycznie 24 godzinny dyżur – non stop. Z czasem pozwolono mi zamieszkać nad izbą porodową i wtedy było już łatwiej. Na szczęście było już w tym czasie w Czaplinku pogotowie ratunkowe i w razie potrzeby można było rodzącą kobietę przewieźć do szpitala, chociaż traciło się co najmniej 50 min na dojazd karetki ze szpitala i drugie tyle z powrotem. Komplikacji porodowych zdarzało

się znacznie mniej niż obecnie. Kobiety wtedy były zdrowe i prawidłowa była fizjologia ciąży. Wydaje mi się, że ludzie byli wtedy lepiej odżywieni. Większość mieszkańców miasta i gminy pracowała i miała dodatkowo gospodarkę. Byli więc odżywieni i dzięki pracy fizycznej odporniejsi i zdrowsi. Oni nie pili tego mleka, co stoi w kartonie 3 miesiące, ale ciepłe, prosto od krowy. A jajka, czy serek, to było zupełnie coś innego niż dzisiaj.

Pomoc lekarską miałam sporadycznie. Dopiero jak przeniósł się do Czaplinka dr Edmund Zajul miałam taką fachową pomoc i było mi lżej. Bardzo dobrze nam się pracowało i sprawnie to szło. A tamta reszta, śmiałam się, to byli tacy przyuczeni. Zdarzały się też urodzenia dwojaczków, ale trojaczków to nie. Nieraz maluchy trzeba było szybko odtransportować. Później dostałam bardzo potrzebny inkubator i aparaturę tlenową. W zasadzie wczesne porody powinny odbywać się w szpitalu, ale jak przyjeżdżała kobieta w trakcie porodu, to trzeba było i taki odbierać, a noworodkowi zapewnić właściwe warunki. Bezustannie jeździłam na różne szkolenia w zakresie obsługi takiej aparatury. Z czasem bardzo poprawiło się też zaopatrzenie izby porodowej w medykamenty, środki higieniczne itp. i nigdy ich już potem nie brakowało.

Koszty utrzymania Izby Porodowej nie były wysokie. Bardzo często zdarzało się, że mąż rodzącej kobiety - gospodarz, przynosił oskubaną kurę, jajka, ser lub inne wiktuały, z których kucharka przygotowywała posiłki dla pacjentek.

W 1988 r. urodziło się w Izbie Porodowej w Czaplinku ostatnie dziecko. Była to Hania - córka dr Henryka Stachury. W całym kraju izby porodowe zostały zamknięte, ponieważ weszły przepisy, iż porody mogą odbywać się tylko w szpitalach. Kiedy w 1989 r. Izbę Porodową zamknięto, brakowało mi kilka lat do wieku emerytalnego, więc pracowałam jeszcze do 1995 r. w Ośrodku Zdrowia w Czaplinku. Nie liczyłam nigdy, ile przez te 25 lat odebrałam porodów w Czaplinku, ale sądzę, że może to być liczba zbliżona do 5 tysięcy. A więc statystycznie blisko połowa mieszkańców miasta i gminy przyszła na świat z moją pomocą!

Dopiero po dziesięciu latach, w 1973 r., urodziłam drugiego syna Grzegorza, bo wcześniej... nie miałam czasu. Mąż Bogdan po naszej przeprowadzce do Czaplinka podjął pracę najpierw w Technicznej Obsłudze Samochodów (TOS), a od 1965 r. w Zasadniczej Szkole Zawodowej, jako nauczyciel zawodu. Gdy w 1967 r. zaczął organizować się Oddział Zamiejscowy *ZPE Kazel* przeszedł do pracy w nim. W 1971 r. powrócił do zawodu nauczyciela w *ZSZ*, ukończył kursy pedagogiczne i pracował jako nauczyciel, aż do przejścia na emeryturę w 1990 r. Mąż trochę wędkował, ale jego prawdziwą pasją życiową były samochody. Po dwóch latach zamieszkania w Czaplinku sprzedaliśmy *Jawę*, dołożyliśmy pieniędzy i kupiliśmy nasz pierwszy samochód, nowiutką *Syrenkę*. Jeździliśmy nią po całej Polsce: Warszawa, Kraków, Gdańsk itd. A na poduszeczce na tylnym siedzeniu leżał i spał jak suseł Mariuszek. Następnym naszym samochodem był *Fiat 125p*. Mieliśmy też *Warszawę*, *Poloneza* i małego *Fiat 126p*.

Po przejściu na emeryturę mąż nie cieszył się długo zasłużonym odpoczynkiem, zachorował w maju 1995 r. Być może jedną z przyczyn było to, że w szkole miał klasę z trudną młodzieżą. Zmarł po trzyletniej chorobie 15 października 1998 r. i został pochowany na czaplineckim cmentarzu. Był bardzo dobrym i uczynnym człowiekiem. Nigdy nie odmawiał, gdy ktoś prosił go, by naprawił samochód. Także w domu wszystko robił, bo moja praca była bardzo absorbująca i na ogół na nic nie starczało mi czasu. W zasadzie w tej pracy nie miałam zastępstw. Prawie nie zdejmowałam białego fartucha. Noc, nie noc, trzeba było lecieć do rodzącej kobiety.

Mimo, że już tyle lat minęło, od kiedy nie pracuję jako położna, często mi się śni Izba Porodowa i wydarzenia z nią związane. To były głębokie przeżycia. Często od mojej decyzji i działania zależało zdrowie, a może i życie matki i jej dziecka. Ileż razy były trudne sytuacje, że pot zraszał mi czoło. Ale zawsze miałam jakieś wycucie, no i z czasem bardzo duże doświadczenie zawodowe. Zawsze starałam się działać szybko, czy sama coś zrobić, czy w sytuacjach bez wyjścia odtransportować rodzącą do szpitala. Kiedyś, a była to chyba godzina pierwsza lub druga w nocy, usłyszałam przez sen, że pod izbę podjechał i zatrzymał się traktor. To już wiem, o co chodzi. Zrywam się, fartuch na siebie i schodzę. Przed izbą stoi traktor z przyczepą, a na niej, na słomie leży młoda dziewczyna i krzyczy wniebogłosy. Jak się potem okazało był to jej pierwszy poród. A wokół biega młody tatuś i też wrzeszczy. Więc ja włączę na tę przyczepę, zakładam rękawice i badam. I mówię do salowej Daniukowej: *„Nie ma czasu, i jak ją zdjąć z przyczepy, ona już rodzi, przynieś to, to, wszystko po kolei”*. I na tej przyczepie odebrałam poród. Wszystko zakończyło się dobrze. Gdy było już po wszystkim przenieśliśmy matkę z noworodkiem na salę i dokończyłam, co trzeba przy matce i dziecku. A potem trzeba było ich i siebie doprowadzić do porządku, bo cali byliśmy w słomie. Pocieszenie to musiało wyglądać.

W zasadzie nie odbierałam porodów w domu, tylko na początku zdarzyło się to u Świadców Jehowy, ale trzeba było uzyskać najpierw na taki poród zezwolenie Wydziału Zdrowia. Oczywiście, gdy poród zaczął się już w domu, trzeba było jechać i odebrać go. Zdarzało mi się też odbierać porody w karetce. Kiedyś, w czasie zimy stulecia, kiedy drogi zasypało tak, że przejechać nie było można, okazało się, że trzeba przewieźć do szpitala kobietę, bo poród może być bardzo trudny i nie powinna ona rodzić w izbie. Droga do Drawska Pomorskiego była nieprzejezdna. Co robić? Chyba już tylko dla śmiechu zadzwoniłam do jednostki wojskowej do Budowa. Dyżurny oficer mówi mi, że ich



Grupa pielęgniarek na uroczystości otwarcia nowego ośrodka.

karetką też nie przejedzie, więc przyśle mi... czołg! Myślałam, że żartuje sobie ze mnie. Nie minęło wiele czasu, a ja słyszę z dala huk czołgowego silnika. Nie mógł tu, pod samą izbę, podjechać więc podwieźliśmy rodzącą na ul. Złocieniecką. Najgorsze było to, że kobieta ta zakleszczyła się we włazie czołgu. Całe szczęście, że miała śliską halkę i udało się, chociaż z trudem, wciągnąć ją do środka. Motorzyście czołgu, młodemu kapralikowi, trzęsły się ręce i myślałam, że zawału dostanie. Ja też byłam wystraszona. W czołgu było ciasno, tylko małe siedziska. Posadziłam tę kobietę i mówię jej - proszę robić tak jak będę radziła, a wszystko skończy się dobrze. No i dowieźliśmy ją, a wyciąganie poszło jakoś lepiej. I wszystko skończyło się dobrze, dziecko urodziło się zdrowe. Powinno było zostać „*dzieckiem pulku*” jednostki w Budowie, ale chyba tak się nie stało.

Zdarzyły się też w izbie porodowej chrzciny. Otóż tato noworodka był milicjantem i partyjnym na dodatek, więc nie mógł ochrzcić oficjalnie dziecka, by nie narazić się na nieprzyjemności. Przygotowaliśmy więc wszystko jak należy, przywieziono księdza i chrzest odbył się, a zwierzchnicy ojca dziecka nie dowiedzieli się o tym. Zdarzyło się tak kilka razy. Czasem nie tylko nocą, ale i za dnia przypominają mi się pocieszne wydarzenia z Izby Porodowej i śmieję się wtedy w głos, chociaż sąsiedzi mogą pomyśleć, że zwario-wałam. Pamiętam, jak kiedyś mąż rodzącej kobiety, stał przed drzwiami sali porodowej i zaglądał do środka, przez umieszczone w nich małe oszklone okienko. Wychodziłam do niego i tłumaczyłam jak przebiega poród. A rodząca zaczęła krzyżeć: „*Waldek zobacz, co oni robią!*” A on na to: „*A co, ja wszystkiego nie zrobiłem?!*” Ale żarty żartami, jak ona zaczęła krzyżeć z bólu, on nie wytrzymał i bęc, leży pod drzwiami. Mężczyźni są nieodporni na takie wydarzenia i często uciekają. Teraz jest inaczej, mężowie często chodzą do szkoły rodzenia i są przygotowani na takie przeżycia.

Po śmierci męża wyprowadziłam się z budynku przy ul. Pławieńskiej, gdzie przeżyliśmy wspólnie ponad 20 szczęśliwych lat i zamieszkałam przy ul. Leśników. Syn Mariusz skończył zootechnikę i pracował w PWGR. Po jego likwidacji wstąpił w ślady dziadka, skończył szkołę policyjną i pracował, do przejścia na emeryturę, w drogówce w Szczecinku. Drugi syn Grzegorz po skończeniu technikum weterynaryjnego we Wrześni studiował i uzyskał tytuł magistra zootechnika. Doczekałam się wnuczek Klaudii i Nikol, oraz 23-letniego wnuka Łukasza, który ukończył fizykoterapię, mieszka w Koszalinie i akurat niedawno złożył rodzinę.

Przez te lata pracowały ze mną w izbie Porodowej w Czaplinku następujące osoby:

Salowe: Janina Daniuk, Jadwiga Giwojno, Halina Czerwoniec, Łucja Lutyńska, Irena Pęcherzewska i Barbara Hryszan.

Kucharki: Zofia Luśtan, Jadwiga Kowalewska i Barbara Lutyńska.

Praczkі: Maria Wasiak, Czesława Hrybowicz i Mariola Orlicka.

Ponadto, w razie konieczności, zastępowały mnie położne: Grażyna Grzonkowska, Irena Polewacz i Hanna Piskorska ze Złocieńca.

Wszystkie je wspominam z szacunkiem i wdzięcznością. Tworzyłyśmy zgrany zespół, który radził sobie w każdych warunkach. Wszystkie mamy głęboką satysfakcję i jesteśmy dumne, że tylu mieszkańców Czaplinka przyszło na świat z naszą pomocą i bez komplikacji.

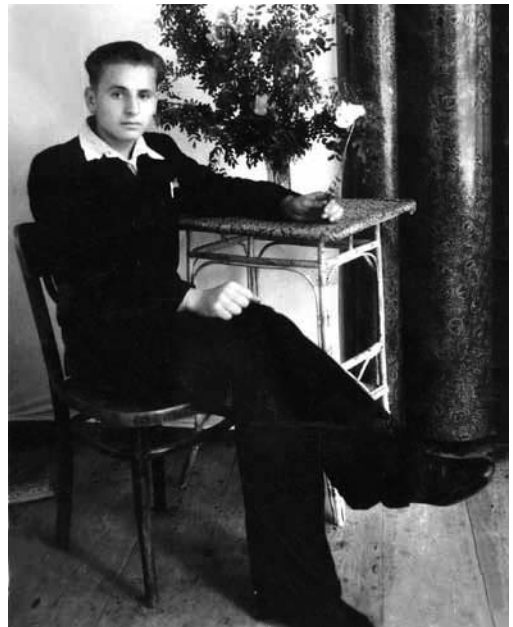
4. SZUKAJĄC OJCZYZNY, OPUSZCZALI RODZINNY KRAJ

(Wspomnienia Mariana Dzienisa)

Urodziłem 30 stycznia 1933 r. w kolonii Dajnowa (2 km od Iwieńca) na obecnej Białorusi. To była wtedy Polska, ale przez lata pisano mi w dowodzie osobistym ZSRR. 25 km dalej było Rakowo, i tam już była granica. Rodzice Stanisław i Janina byli rolnikami, i mieli ponad dziesięć hektarów ziemi, na której wzorowo gospodarzyli. Ojciec walczył w czasie I wojny światowej, najpierw w carskim wojsku, a później w legionach, i brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Zawsze się chwalił, co tam wy! - to my budowaliśmy i broniliśmy Polskę. Ojciec był także sołtysem w naszej wsi.

Jeden z braci ojca był oficerem w stopniu porucznika i służył w Grodnie. Zostało mi w pamięci jak przyjeżdżał stryjek z Grodna, i przez pół godziny skakał, żeby naciągnąć obcisłe oficerki. Taka moda w wojsku wtedy panowała. Zostały mi też jakieś przeblyski pamięci, jak była żałoba po śmierci Piłsudskiego. Miałem czwórkę rodzeństwa. Starszy brat zmarł na stole operacyjnym, po wkroczeniu Rosjan, bo nie było lekarzy i lekarstw. I miałem dwie siostry. Jedna pracowała w „Telczy”, druga mieszka w Szczecinie, skończyła uniwersytet w Poznaniu. I był jeszcze młodszy brat Bolesław.

Jak się wojna zaczęła, ojciec roznosił powołania do wojska, ale sam nie zdążył na front, zresztą był już niemłody. Brat ojca, młodszy od niego, po rozbiciu jego jednostki na froncie, przyszedł do domu i ukrywał się, bo Rosjanie chcieli go aresztować. Jak się zaczęła zima, a była wtedy sroga, wrócił do domu. Ale doniósł o tym na NKWD jeden z sąsiadów, który z nimi współpracował. Żołnierze z karabinami okrążyli nasz dom, złapali stryjka i wywieźli go do więzienia w Stołpcach. Tam go osądzono i skazano na więzienie, i może to uratowało stryjka przed wywiezieniem do Katynia. Siedział w więzieniu aż do wkroczenia Niemców w czerwcu 1941 r. Po wyjściu z „*tiurmy*” chłop, który przedtem ważył 80 kg, teraz miał nie więcej jak 45 kg – szkielet, skóra i kości.



Iwieńiec 1953 r. Marian Dzienis.

Po wkroczeniu w 1939 r. Rosjanie zaczęli obok Iwieńca budowę ogromnego lotniska. Budowały je wojskowe bataliony robocze, ale goniono też mieszkańców do przymusowej roboty. Wylewano już pasy startowe, gdy 21 czerwca 1941 r. nadleciały samoloty niemieckie, Rosjanie najpierw ucieszyli się mówiąc „*To nasi ćwiczą*”. Ale jak Niemcy zniżyli lot i z karabinów maszynowych posiali, to wszystko puciekowało. Na początku tej wojny jeden mały niemiecki czołg rozbijał wszystko. Popędzili Niemcy Rosjan aż do Smoleńska, i tam ich zdrowo przetrzepali.

Jak zaczęto budować to lotnisko, zamieszkał u nas z żoną i dzieckiem rosyjski inżynier, kierujący budową. Nasz dom bardzo im się spodobał, bo mimo że drewniany, był duży i wygodny. Czekali więc tylko kiedy nas wywiozą na Syberię, żeby cały dom zająć dla siebie. Oni nam to mówili otwarcie. Były już przygotowane listy „specpieresiełców” i za parę tygodni mieli nas wywieźć. Było więcej takich jak my skazańców. Ale nie zdążyli, bo uderzyli Niemcy i to wszystko pouciekało.

Po 1942 r. powstała na tamtych terenach bardzo duża partyzantka. Była polska Armia Krajowa, do której wstąpił stryjek, radziecka partyzantka, a na dodatek partyzantka



Uczniowie i nauczyciele wieczorowej szkoły ogólnokształcącej w Iwieńcu 1953 r.

żydowska braci Bielskich. W 1943 r. Naliboki zostały doszczętnie spalone przez Niemców (a właściwie przez Ukraińców, bo przypadało ich dziesięciu na jednego Niemca), w czasie oblawy na rosyjskich partyzantów. Jechali Ukraińcy konno przez miasteczko i strzelali do wszystkiego, co żywe. Wszystko spłonęło. Wtedy spłonęła też Dajnowa, a w niej nasz dom i nic nie udało się uratować. Także w tym czasie zginęła, żywcem spalona przez Niemców, siostra ojca z sześciorgiem dzieci. Zamknęli oni sto osób w stodole, którą podpalili i pilnowali, by nikt się z niej nie wydostał. Zginął wtedy też jeden ze szwagrów ojca, rozstrzelany w Iwieńcu. Natomiast dwie siostry ojca zostały wywiezione na roboty do Niemiec i jedna z nich zginęła koło Piły.

Trzy miesiące ukrywaliśmy się w lesie, bo Niemcy młodych zabierali na roboty. Gdy zbliżyła się zima wyszliśmy z tego lasu i poszliśmy do Kamienia, gdzie mieszkała moja babcia. Zebrała się u niej dość liczna rodzina, bo nie tylko nam spalono dom. Tam przezimowaliśmy. Ale i Kamień został spalony. Ale nie przez Niemców, a przez partyzantkę radziecką. Bo w tej wsi stacjonował oddział NSZ, który z Niemcami zawarł układ, że nie z nimi, ale z Rosjanami będzie walczyć. Rosjanie dowiedzieli się o tym przez swój wywiad, okrążyli Kamień i całkowicie go spalili. Nie spłonął tylko zabytkowy drewniany kościół, więc tak długo strzelali do niego z karabinu maszynowego, aż nastąpił wybuch i on też spłonął.

Latem 1944 r., gdy wypędzono Niemców, nastąpił pobór wszystkich młodych Polaków do 2 Armii Wojska Polskiego. Wtedy wcielono też do wojska mojego stryjka, przedwojennego oficera i żołnierza AK. Przeszedł on potem długi szlak bojowy, i walczył m.in. na Wale Pomorskim i wyzwał Czaplinek. Natomiast ojca nie powołano do wojska, bo miał w tym czasie już 60 lat. Wezwali go co prawda na komisję poborową, ale tam usłyszał „*No to stary idziesz do domu*”. Z rodziny ojca na froncie zginął jeden z braci i dwóch szwagrów, w tym jeden na Wale Pomorskim. I tak po wojnie niewielu zostało z licznej rodziny.

Miałem już wtedy 12 lat i chodziłem z ojcem ścinać piłą drzewa. Musieliśmy coś robić, gdzieś trzeba było mieszkać. Pobudowaliśmy mały domek i zamieszkaliśmy w jednej połowce, bo druga nie była jeszcze skończona. Partyzantka rosyjska zniszczyła wszystko tak, że nic nie było, jedna krowa została tylko w lesie. Po wejściu Rosjan mieszkaliśmy już w rodzinnej Dajnowej.

Po skończeniu w 1940 r. 7 lat poszedłem do białoruskiej szkoły, bo polskich tam nie było. Uczono nas cyrylicy i języka rosyjskiego. Jak wkroczyli Niemcy zaczęto uczyć nas alfabetu łacińskiego i białoruskich słów - nie wiadomo co. Jak Rosjanie wypędzili Niemców stało się dla wszystkich widome, że nasze ojczyste strony nie będą należeć już do Polski. Zaczęły się masowe wyjazdy Polaków do tej nowej Polski. Porzucali oni ojcowinę i dobytek, którego nie zdołali zabrać z sobą. Nazywało się to „*pierwsza repatriacja*”,



1958 r. Marian Dzienis przed wyjazdem z Iwieńca do Polski.

i trwała ona do 1947 r. Najpierw i my chcieliśmy wyjechać, i mama nosiła szynki i samogon do władz, żeby dostać zezwolenie na wyjazd. Ale kiedy już dostała, ojciec który słuchał ukrytego radioodbiornika, zaczął mówić: „*Po co wyjeżdżać? Niedługo Anders na białym koniu do nas przyjedzie*”. Taka obłądna polityka była. Więc mama znowu nosiła „*wziatki*” (po ros. łapówki), żeby nie jechać. I zostaliśmy, mimo że tyle tam wcześniej wycierpieliśmy.

Po skończeniu białoruskiej podstawówki zacząłem uczyć się w szkole średniej w Iwieńcu. Był to wieczorowy ogólniak z j. rosyjskim. Bo polskich szkół tam nie było. Najbliższa była chyba w Wilnie. Potem, gdyśmy jechali do Polski, poznałem w transporcie rodzinę Marcinkiewicza, którego córki opowiadały, że chodziły do polskiej szkoły w Wilnie. Mimo to język polski znałem dobrze, bo wiele czytałem polskich książek, a w domu mówiliśmy tylko po polsku. Jeszcze przed wojną, przed pójściem do szkoły, umiałem czytać po polsku. W czasie nauki w tym wieczorowym ogólniaku poznałem wielu ludzi, co potem nieraz bardzo mi się przydawało.

Gdy skończyłem tę szkołę wzięli mnie w 1954 r. do wojska i pojechałem na Sybir. Służyłem w tzw. roboczych batalionach (*stroitielnyje bataliony*). Do takich jednostek powoływano wszystkich młodych Polaków, jako podejrzanych dla władzy. Zawieźli nas do Krasnojarskiego Kraju, a potem pod granicę mongolsko-chińską. Przepływała tam rzeka Omon, dopływ Amuru. Trzy lata musiałem tam odstukać. Roboty były różne. I kamieniołomy i budowa. Kopaliśmy też takie głębokie studnie. Z wierzchu było pół metra miękkiej ziemi, a głębiej wieczna zmarzlina, którą kuliśmy do głębokości 10 m. Urobek wyciągaliśmy wiadrami. Z dna pobierano próbki do jakichś badań. Jakoś szło tam lawirować, wiadomo - Polak potrafi. Chciałem spokojnie odbyć tę służbę, wrócić do domu i uciekać do Polski. A potem w górach wydobywaliśmy mikę dla przemysłu elektrotechnicznego. Była bardzo lekka i można było w pojedynkę unieść blok wielkości stołu. I wydobywaliśmy tę mikę, i budowaliśmy fabrykę części do samolotów. I tam, po trzech latach służby, w grudniu 1957 r. zostałem zdemobilizowany, i jazda do domu!



Stanisława, Marian, Marzena i Krzysztof Dzieńsiowie.
Czaplinek 1967 r.

Po powrocie do domu dowiedziałem się, że trwa „*druga repatriacja*”, wymuszona na ZSRR przez Gomułkę, i od razu zacząłem się starać o pozwolenie na wyjazd z rodziną do Polski. Ale ciężko było z tym wyjazdem. Nasze podanie załatwiono odmownie. Powiedziałem więc sobie, że wróciłem z Syberii i dalej mnie nie wywiozą, i poszedłem do Iwieńca do pierwszego sekretarza partii. Była to kobieta z partyzantki. Siedzi przy biurku, pistolet ma za pasem i na moją prośbę odpowiada: „*Nie pojedziesz, bo nie jesteś*

Polakiem. Dawaj dokumenty". Mówię jej: „*Jakie dokumenty, przecież wszystko się spaliło i wyszliśmy tylko z tym co na sobie. Dziadek Polak, ojciec Polak, a ja kto, Żyd?*”. A ona aż czerwona się zrobiła, walnęła pięścią w stół, że o mało atrament się nie wylał i drze się, że i tak nie pojedą. A ja sobie myślę: zobaczymy, ja i tak pojedą.

Znałem wielu ludzi. Miałem znajomych urzędników, kolegów w milicji, a nawet z NKWD, którzy razem ze mną uczyli się wieczorowo w ogólniaku. Bimber pędziłem i handlowałem, i z tego żyłem. Pieniądze miałem, a za nie można było załatwić tam wszystko. Więc lżej mi było startować. Kolega z milicji dał mi w zaufaniu adres ambasady polskiej w Moskwie, więc napisałem tam pismo. I stało na moim - przyszła z Moskwy odpowiedź, że mają nas puścić. Ale dokumentów na wyjazd nam nie dawali, bo jak się okazało, mieli je trzymać do ostatniej chwili i wydać dopiero na tydzień przed wyjazdem. Chodziło o to, żeby repatrianci nie zdążył nic sprzedać, żeby wszystko zostawiali. Ale spotkał mnie kolega z biura paszportowego i mówi: „*Marian słuchaj, są już wasze dokumenty, pojedziecie do Polski, tylko jak komu powiesz, że to ci powiedziałem, to mnie wyrzucą z pracy*”. No to zacząłem działać. Co można było sprzedać to sprzedawałem, co można było kupić to kupiłem. Bo przecież po przyjeździe do Polski trzeba było z czegoś żyć.

Najpierw dowieźli nas do Białej Podlaskiej, a stąd aż do Mielenka za Drawskiem. Tam był punkt repatriacyjny, na którym nas wyładowano. Przyjechał jakiś dyrektor i proponuje nam osiedlenie się i pracę w PGR. Pojechaliśmy tam raz, i drugi. Jakaś chałupa z powybijanymi oknami. Więc mówię dyrektorowi, że ja i siostra skończyliśmy ogólniak, druga uczy się w średniej szkole, a ojciec i matka za starzy na pracę na roli, więc nie będziemy pracować w PGR. Zacząłem jeździć do Szczecinka i do Czaplinka - gdzie się dało, szukałem lepszego miejsca. Znalazłem dalszą rodzinę, która zaraz po wojnie tu się na gospodarstwach rolnych osiedliła. Proponowali mi przyjazd do siebie, ale mnie ani rolnictwo, ani zamieszkanie u nich nie odpowiadało. Bo jak by się zamieszkało u rodziny, to traciło się prawo do przydziału mieszkania.



W Ośrodku Zdrowia w Czaplinku.

Rozmawiałem kilka razy z dyrektorem tego punktu repatriacyjnego w Mielenku i wreszcie jakoś się z nim dogadałem. Byłem też kilka razy w Czaplinku, i tu na Jeziornej, niziutko nad samą wodą, stał dom dla repatriantów. Odrapany, zachlapany, nie najlepiej wyglądał, ale zawsze dom mieszkalny, co wiele znaczyło dla nas po takiej tułaczce, więc się zdecydowaliśmy w nim zamieszkać. Przywieźli nas samochodem, razem z czterema innymi rodzinami. Ale był już późny wieczór i wszystko było tu zamknięte. Myśleliśmy już, że będziemy nocować na dworze. Ale mieliśmy szczęście i stało się jak w przysłowiu: „*Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło*”. Otóż zawieźli nas na Szczecinecką do tzw. „*ambasady*”, byśmy tam zanocowali na korytarzu, bo budynek był remontowany. Rano mieli nas zawieźć z powrotem na Jeziorną.

W budynku była jeszcze brygada remontowa. Przywiozłem z sobą z Iwieńca kani-ster bimbru domowej roboty, takiego 60 %, z sokiem. Wziąłem tego bimbru, szynkę i poszedłem pogadać z budowlancami. A ci mi mówią: „*Człowieku nie idź nigdzie, ten dom też dla repatriantów*”. Na górze trzy pokoje, jeździć można było rowerem. Na dole jeszcze większe trzy pokoje, a reszta to mieszkania dwupokojowe. Nie znałem innych repatriantów, a tylko Marcinkiewicza i jemu w zaufaniu mówię, że nigdzie dalej nie jadę, zostaję tutaj. On też postanowił zostać. Jak zobaczyła reszta rodzin, że wciągamy rzeczy do mieszkań, to zajęli pozostałe mieszkania i wszyscy tam zostaliśmy. Ja wybrałem to trzypokojowe mieszkanie na górze, a Marcinkiewicz, który miał małe dzieci, wziął to największe na parterze. Rano wybuchła awantura, straszono nas milicją i prokuratorem, ale nie ustąpiliśmy i nic nam nie zrobiono, i pozostawiono w spokoju. Mieszkanie było ładne, suche. To był grudzień 1957 r., kiedy zostaliśmy mieszkańcami Czaplinka.

A teraz zacząłem szukać pracy, której w Czaplinku w ogóle nie było. Proponowali mi w urzędzie pracę w torfowni, ale tam nie chciałem, bo nakopałem się dosyć na Syberii. Nigdzie indziej pracy nie było. Wreszcie, za kolejną wizytą w urzędzie, ktoś mi podpowiedział, że dzwonił ze Szczecinka, że są tam dwa etaty w Sanepidzie - dezynfektora i p.o. kontrolera sanitarnego. Niezwłocznie tam pojechałem. Przyjął mnie dyrektor Powiatowej Stacji dr Sobkowiak, stary kawaler, Poznaniak i jak się z czasem okazało fajny chłop. Przywiozłem ze sobą podanie i życiorys. Zabrał moje dokumenty, posadził mnie przy stoliku, dał papier i kazał jeszcze raz napisać. Więc ja raz dwa napisałem, i on zdziwiony zapytał skąd tak dobrze znam język polski, skoro nie uczyłem się go w szkole. Gdy mu odrzekłem, że moja rodzina z dziada pradziada jest polska, że u nas zawsze tradycja polska była, zakończył rozmowę: „*Jest pan przyjęty do pracy od jutra*”. Obiecał mi jeszcze, że gdy uzyskam dyplom instruktora higieny, to otrzymam placówkę w Czaplinku.

I tak od 10 lutego 1958 r. zacząłem pracę, jako „p.o. kontroler sanitarny”. Nie przypuszczałem wtedy, że będę pracownikiem Sanepidu aż do emerytury. Dojeżdżałem codziennie do Szczecinka. Raniutko rowerem lub na piechotę na dworzec, a późnym popołudniem z powrotem. Jednocześnie zacząłem zaocznie się uczyć w pomaturalnej szkole w Bytomiu. Byli tam ludzie różnych profesji, także dużo felczerów, którzy byli zwolnieni z przedmiotów medycznych jak chirurgia, i z tego powodu początkowo się mądrzyli. Ale jak potem przyszło uczyć się innych przedmiotów, takich jak higiena żywienia, epidemiologia, choroby zakaźne i zatrucia, to często do mnie przychodzili, by im pomóc. Bo ja, jak się już do czegoś przyczepiłem, to lepszych nie było.

I tak odbębniłem 2 lata tej zaocznej szkoły i dostałem dyplom instruktora higieny. Dr Sobkowiak dotrzymał słowa i stworzył placówkę w Czaplinku, a ja awansowałem na instruktora sanitarnego – już bez „p.o.”. Już nie musiałem codziennie dojeżdżać do



W Dejnowej na Białorusi.

Szczecinka, wystarczało 2-3 razy w tygodniu. Dowoziłem pobrane próbki wody, żywności itp. Plące były bardzo niskie i nawet chciałem się już zwolnić, ale z czasem nieco wzrosły. Ta moja placówka musiała być samodzielna - taki mały Sanepid. To była znacznie trudniejsza praca niż w powiatowej stacji, bo tam miałem wąski zakres pracy, a tu w Czaplinku musiałem zajmować się wszystkim. I higiena żywienia, i sprawy komunalne, i epidemiologia, i częściowo higiena szkolne i higiena pracy. Trzeba było być bardzo zdyscyplinowanym. Wszystko trzeba było trzymać w garści.

Miałem swoje stanowisko pracy w ośrodku zdrowia. Na terenie powiatu Szczecinek były trzy takie placówki: Barwice, Okonek i Czaplinek. Miałem ogromny teren: gminy Czaplinek, Łubowo i Silnowo, aż do Jelenina. Różnie bywało. Pamiętam, jak kiedyś pojechałem swoim *Iżem* (przywoziłem go z ZSRR) do Starowic. Zrobiłem kontrolę w sklepie i wychodzę, a tu trzech facetów z butelkami wina i na gazie zaczyna na mnie bluzgać, że co ja tam, że sklepowa, że czego się czepiam itd. Siadam na motor i zapalam, a jeden łapie za kierownicę. Nie było wyjścia, pobiliby mnie, więc wrzuciłem bieg, kopnąłem w brzuch tego, który trzymał kierownicę i pełnym gazem zwałem. Było przypadków pobicia sporo. Miedzy innymi, strasznie pobito mojego kolegę ze Szczecinka, gdy robił kontrolę w zakładzie fryzjerskim. Podobno szczególnie niebezpiecznie było w pierwszych latach po wojnie. Później ludzie zaczęli więcej rozumieć, że jest taka potrzeba, że bez tego nie wolno, że to dla ich dobra.

Zdarzały się też poważne zmartwienia, jak np. jednocześnie zatrucie ponad 40 osób lodami i wędlinami. Zjechała wtedy cała ekipa z Koszalina. Po wnikliwym zbadaniu okazało się, że winna jest ekipa... „złoty rączek”. Otóż w GS była ekipa remontowa, która robiła wszelkie naprawy. Okazało się, że po naprawie sanitariatów zabrali się za naprawę urządzeń w lodziarni, a potem w masarni i roznieśli bakterie. Na szczęście nigdy śmiertelnego wypadku nie było. Czasem też przesadzano wówczas z rygorami sanitarnymi,



Marian Dzienis wśród krewniaków w Kamieniu na Białorusi.

jak np. z badaniami na nosicielstwo. Trzeba je było powtarzać non stop. Teraz tego już się nie robi i przy przyjmowaniu pracownika wystarcza jedno badanie. Bo przecież, jeśli ktoś jest nosicielem, to jest nim już na całe życie. Ale w szkołach były pielęgniarki, lekarz, a i sanepid nadzorował sprawy ogólne, czystość w szkole, malowanie, sanitariaty, ławki, oświetlenie. Teraz mało kto interesuje się stanem zdrowia dzieci w szkole. Więc dowiadujemy się, że tak wiele jest dzieci z wadami rozwojowymi, a szczególnie postawy. Widać nie wszystko było złe w przeszłości, jak głoszą niektórzy.

Zajmowałem się wszystkimi działami. Podlegały mi nawet szkoły. Ale szczególnie absorbująca i odpowiedzialna była higiena komunalna. W tamtych czasach nie było w Czaplinku wodociągów, a jedynie studnie publiczne, szamba i doły kloaczne. To wszystko trzeba było kontrolować i badać. Szczególnie dużo dobrego w tej dziedzinie uczynił dla miasta Gustaw Chamarczuk, który był wówczas szefem ZGK. On się nie patyczkował. Często prosił mnie bym pobrał z jakiejś studni wodę do badania, kwalifikując ją jako nowo wierconą, chociaż to była stara studnia. Chodziło o to, że na nowe studnie pieniądze były, a na stare nie. Dzięki temu drobnemu wybiegowi wykonał wiele lokalnych wodociągów. W międzyczasie uzyskałem specjalizację - higiena żywienia i przedmiotów użytku.

W 1975 r. nastąpiła reorganizacja Sanepidu. W miejsce Powiatowych Stacji powołano Rejonowe Stacje, a Czaplinek spod Szczecinka trafił pod Drawsko Pom. Kończył się rok 1975, a ja nie wiedziałem, co będzie z moją pracą. W Drawsku Pom. dyrektor poinformował mnie, że on nic nie wie o etacie dla mnie, że nie ma na taki etat pieniędzy. Potrzebna była dopiero interwencja u Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego, żebym otrzymał w Drawsku Pom. pracę od stycznia 1976 r. Objąłem tam, zgodnie z moją specjalizacją, dział żywienia i żywności. Jest on najtrudniejszy i najbardziej odpowiedzialny, ale i najciekawszy. No, bo np. w dziale epidemiologii siedzi się ciągle przy tych samych chorobach zakaźnych i cały czas jest to samo, i to samo. Do Drawska Pom. musiałem codziennie dojeżdżać, bo moje stanowisko w Czaplinku zostało zlikwidowane. Miałem też tu więcej niż poprzednio pracy i musiałem lepiej orientować się w przepisach prawnych, bo wystawiałem decyzje, upomnienia i tytuły. Zastanawiałem się wtedy czy nie zmienić pracy. Otrzymałem propozycję prezesa PSS w Złocieńcu Czarnoty, by przejść do niego na kierownika produkcji żywności. Przekonał mnie jednak dyrektor Romański, że łatwiej jest kontrolować poziom higieny, niż być za nią odpowiedzialnym.

Dojeżdżałem więc nadal do Drawska Pom., aż do przejścia na wcześniejszą emeryturę w 1993 r. Może bym jeszcze nadal trochę popracował, ale moje pobory niewiele różniły się od emerytury. Otrzymałem też wówczas niewielki dodatek do emerytury z KRUS, bo przez pewien czas uprawiałem kawałek ziemi, i przez ponad 10 lat płaciłem składki na ten fundusz emerytalny. W tym celu musiałem nawet skończyć kursy rolnicze, bo takie wtedy były wymagania. Specjaliści i komisja egzaminacyjna była z Gogólczyzna. Po zdaniu egzaminów otrzymałem dyplom, rolnika. Śmiałem się odtąd, że jestem chłoporobotointeligentem.

Kiedy jeszcze dojeżdżałem do Szczecinka, naszymi sąsiadami byli państwo Żegalscy. Mieli oni trzy córki: najstarszą Stanisławę, średnią Jadwigę i najmłodszą Annę (skończyła studia i mieszka w Gdańsku). Kiedy poznaliśmy się, przypadła mi do serca Stanisława. Chodziliśmy z sobą około 2 lat, w tym czasie, kiedy się doksztalałem i dojeżdżałem do pracy do Szczecinka.



Marian Dzienis wśród krewniaków w Dajnowej na Białorusi.

W 1960 r. moja siostra wyszła za mąż i została z rodzicami. Druga siostra uczyła się w ogólniaku w Szczecinku i mieszkała tam na stacji (potem podjęła studia w Poznaniu). A mój brat Bolek był w tym czasie w wojsku, z którego miał powrócić do rodziców. Więc mnie już tam nie pasowało. Ożeniłem się w lipcu 1961 r. Zamieszkaliśmy u teściów. 1962 r. urodziła się córka Marzena, a 26 września 1967 r. syn Krzysztof. Dzieci mieszkają w Czaplinku. Syn jest wychowawcą trudnej młodzieży. Córka wyszła za Gorbala, który jest marynarzem i pływa jako chief, na statkach Polskiej Żeglugi Morskiej do Ameryki, Kanady itd. Mają oni córkę Olgę, która studiuje w Poznaniu chemię kosmetyczną, a oprócz tego drugi kierunek inżynierski – chemię przemysłową. Krzysztof ma syna Mateusza, który chodzi do I klasy LO.

I tak czas leci szybko. Już tyle lat tu, na tej ziemi. Kto by to śnił, że tak życie się potoczy! Odwiedziłem trzykrotnie moje rodzinne strony na Białorusi, ostatnio z córką i siostrą. Mieszka tam w Iwieńcu bardzo dużo moich krewniaków. Tam tyle rodziny mam, że hej! Śmiałem się nawet, że pół Iwieńca to nasza rodzina. To jest bliska rodzina, bo na przykład moje siostry i bracia cioteczni. Piszę do nich listy, telefonuję. Teraz to oni tam mają dobrze. Większość młodych ma wyższe wykształcenie. Jeden z krewniaków jest dyrektorem metalowej fabryczki robiącej na eksport. W czasie tych odwiedzin zaliczałem po trzy wizyty dziennie. Dobrze mają, ale ciężko pracują. Mają powiązania ze wsią,

gdzie część starszych jeszcze mieszka. Hodują świnie, mają własne kresowe wędliny, bimberek pędzą. Na Łukaszenkę nie narzekają. Widziałem niedawno w telewizji, kiedy babcia zapytana, jak się za Łukaszenki żyje odrzekła: „*On charoszyj. Bo świnkę możesz zabić, mięsko, a wódki ile dusza zapagnie*”. Mówili u nas tam fałszują wybory. Ale to nieprawda. Tam wieś cała głośnie na Łukaszenkę, a i miastowi w większości. Opozycji prawie nie ma.

Za pracę zawodową otrzymałem;

- Odznakę i tytuł „Wzorowy Pracownik Służby Zdrowia”;
- Medal „Zasłużony dla Miasta Czaplinka”;
- Odznakę Honorową „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Koszalińskiego”.

Rodzice dożyli sędziwego wieku po 90 lat, i zostali pochowani na czaplineckim cmentarzu. Teraz tu jest moja, moich dzieci i wnuków mała ojczyzna. Oby nigdy nie spotkał ich taki los jak mnie, moich rodziców i rodzeństwo. Czasem pisałem wiersze. Kiedyś wracając pamięcią to tych dramatycznych lat mojej młodości napisałem wiersz „*WYPĘDZENI*”, którego dwie zwrotki tu przytaczam:

*Szukając Ojczyzny
Opuszczali ojczysty kraj,
Wyjeżdżali na zachód,
Lecz tu - też nie był raj.*

*Cieężko było zostawiać
Swoje strony rodzinne,
Piękne wsie i miasta,
Bo tutaj - są inne.*

5. PRACOWAŁAM Z ZAPALEM I BYŁAM SZCZĘŚLIWA, ŻE MOGĘ POMAGAĆ LUDZIOM

(Wspomnienia Marii Grzyb-Lutyńskiej z d. Sienkiewicz)

Urodziłam się 2 stycznia 1942 r. w Świętym Duchu w pow. oszmiańskim w przedwojennym woj. wileńskim. Rodzice Antonina i Stanisław Sienkiewiczowie mieli dziewięcioro dzieci, z których ja byłam trzecim z kolei. Do zakończenia wojny przebywaliśmy w rodzinnej miejscowości. Po przejściu frontu, latem 1944 r. ojciec został powołany do wojska polskiego i przeszedł szlak bojowy aż do Berlina. Po zakończeniu wojny i demobilizacji, ojciec zamieszkał jako osadnik wojskowy w Dąbrowicy w gm. Silnowo, pow. Szczecinek. Do rodzinnej wsi nie mógł wrócić, bo tam była teraz Białoruś. W 1946 r. sprowadził całą naszą rodzinę, mamę z czwórką dzieci i babcię do siebie - na ziemię odzyskane. Wówczas miałam cztery latka, ale byłam bardzo szczęśliwa, gdy zobaczyłam tatę. Do dziś pamiętam jak tata zapytał - „*Czy wiesz gdzie przyjechałaś?*”. Odpowiedziałam mu, że przyjechałam do taty i do *Polszy*.

Rodzice prowadzili w Dąbrowicy, przydzielone im jako osadnikom wojskowym, gospodarstwo rolne. Gospodarzyło się im dobrze i w domu był dostatek. Niestety, w niewiele lat potem, zaczęła się w Polsce tzw. kolektywizacja, kiedy to tworzone pod przymusem spółdzielnie produkcyjne (nazywane powszechnie „*kolchozami*”). Rodzice, jako jedyni w całej wsi, nie przystąpili do „*kolchozu*” i wtedy w życiu naszej rodziny nastąpił prawdziwy kryzys. Rodziców okrzyknięto „*kułakami*” i postanowiono ich „*rozkułaczyć*”.

I wtedy zdarzała nam bieda w oczy. Nasze gospodarstwo zostało poddane do oszacowania gruntów. Zabrano nam ziemię orną, a przydzielono ugór zarośnięty małym lasem brzoźowym, który należało wykarczować. I nie słuchano żadnych argumentów ojca, że był frontowym żołnierzem, że zaliczył szlak bojowy do Berlina. To były ciężkie czasy, a prawdziwa bieda zagrociła w naszym domu.



Nowy Ośrodek Zdrowia przy ul. Waleckiej.

Miałam siedem lat, kiedy w 1949 r. poszłam do szkoły podstawowej w Dąbrowicy. Niestety po roku szkoła została zamknięta, i od drugiej klasy chodziłam do szkoły w Śmiadowie. Była ona pięcioklasowa, i do klas 6 i 7 musiałam chodzić do szkoły podstawowej w Silnowie. Trzeba było codziennie, bez względu na pogodę, maszerować 7 km do szkoły i z powrotem do domu.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1956 r. rodzice posłali mnie na naukę krawiectwa. Pewnego razu w 1958 r. odwiedziła nas siostra ojca, ciocia Sobolewska, która mieszkała w Otwocku. Jak zobaczyła gromadę dzieci, a było nas już ośmiu i biedę w naszym domu, postanowiła pomóc rodzicom w wychowaniu potomstwa. Zgłosiłam

się na ochotnika, i ciocia zabrała mnie do siebie do Otwocka. I tam znów chodziłam do krawcowej uczyć się szyć. Kiedy moja nauczycielka wyprowadziła się z Otwocka do Gdańska, poprosiłam ciocię by załatwiła mi jakąś pracę. Ciocia była pielęgniarką, która w czasie wojny była sanitariuszką w wojsku. Po wojnie pracowała w Pogotowiu Garnizonowym w Warszawie. Załatwiła mi pracę w Szpitalu Klinicznym przy ul. Koszykowej w Warszawie, jako młodocianej pomocy, za którą ona poręczyła i odpowiadała. Zostałam zatrudniona od 1 stycznia 1958 r. Po przyuczeniu pracowałam jako sanitariuszka na sali operacyjnej na ortopedii do 31 sierpnia 1959 r. Szefem tego oddziału był sławny profesor gen. Marian Garlicki.

W 1959 r. postanowiłam podjąć naukę w Ośrodku Szkolenia Asystentek Pielęgniarskich w Częstochowie, prowadzonym przez Polski Czerwony Krzyż. Nauka trwała dwa lata i zakończyła się egzaminem, który zdałam z wynikiem dobrym 2 sierpnia 1961 r. Po ukończeniu tej szkoły poszłam do pracy na Oddziale Noworodków w Szpitalu Klinicznym przy ul. Lindleya w Warszawie. Przepracowałam tam tylko kilka miesięcy, bo sytuacja rodzinna zmusiła mnie do powrotu do rodziców.

Po powrocie do domu rozpoczęłam od dnia 26 września 1961 r. pracę w Ośrodku Zdrowia w Czaplinku. Pracowałam w gabinecie zabiegowym. Był to olbrzymi pokój, gdzie pracował wówczas również inspektor sanitarny (pracownik SANEPiD) Marian Dzienis. Warunki pracy były spartańskie. Jedna kozetka dla chorych, 2 sterylizatory do gotowania sprzętu do wykonywania iniekcji, zimna woda w kranach itd. itp. Moim kierownikiem był dr Matuszewski. Pracowali wtedy w Ośrodku: felczer Stefan Jurewicz i jego żona pielęgniarka Helena Jurewicz, pielęgniarka Maria Rychlewska, p. Matraszek, rejestratorka p. Łuczak. Za sprzątanie odpowiadała Helena Grzyb. Mimo tych trudności, dla nas młodych dziewczyn, wszystko było do pokonania. Pracowałam z całym sercem i zapałem, i byłam szczęśliwa, że mogę pomagać ludziom.

W roku 1962 wyszłam za mąż za Jerzego Grzyba. W 1963 r. urodziłam syna Artura,



Pracownicy czaplineckiej służby zdrowia przy budowie amfiteatru.

i po urlopie macierzyńskim w 1964 r. poszłam do pracy w żłobku. W 1966 r. urodziłam córkę Małgosię. W żłobku pracowałam do 1971 r. Praca układała się dobrze. Pracownicy były oddane dzieciom. Było miło i przyjemnie, kiedy mamy odbierały swoje pociechy do domu, i były zadowolone z naszej opieki. Opiekę lekarską nad maluchami sprawowała dr Janina Marcewicz.

W 1971 r. przeszłam do pracy w Ośrodku Zdrowia na stanowisko pielęgniarki w punkcie szczepień, i pracowałam tam do 1976 r. W tym czasie uzupełniałam wykształcenie średnie. W roku 1976 przeszłam do pracy w Pogotowiu Ratunkowym i przepracowałam w nim 19 lat - do osiągnięcia wieku emerytalnego w 1995 r. Niedługo cieszyłam się zasłużoną emeryturą. W październiku 1996 r. spotyka mnie nagły cios - umiera na zawał serca mój mąż Jerzy. Długo nie mogę pogodzić się z okrutnym losem. Odbija się to mocno na moim zdrowiu. Czuję się bardzo samotna, bo przecież dzieci mają własne dorosłe życie. Niska emerytura zmusza mnie do podjęcia pracy na ½ etatu w sklepie. W 1999 r. zaprzyjaźniłam się z wdowcem Leonem Lutyńskim. Postanawiamy dzielić swój los i 18 września 1999 r. pobieramy się. 12 lutego 2010 r. zmarł mąż Leon, pozostałam sama pod opieką córki Małgosi.

Moje dzieci założyły własne rodziny i doczekałam się 3 wnuków. Mają one lepsze życie jak ludzie z mojego pokolenia, którym wojna i politycy zniszczyli dzieciństwo, a młodość uczynili trudną i biedną.

6. Z WADOWIC DO CZAPLINKA

(Wspomnienia o Stanisławie Hojdysie)



Urodził się 25.04.1915 r. w Wadowicach jako syn Kazimierza i Leopoldy. Jego ojciec – Kazimierz, pełnił funkcję notariusza w wadowickim sądzie. Stanisław kształcił się w Gimnazjum im. Marcina Wadowity w Wadowicach. Tu jego młodszym kolegą był Karol Wojtyła, przyszły papież Jan Paweł II. Po maturze kontynuował naukę w szkole podchorążych piechoty w Krakowie. Uzyskał stopień podporucznika, lecz zrezygnował z kariery zawodowego oficera. W 1937 r. ożenił się z Edytą Heller urodzoną w 1912 r. w Ostrawie Morawskiej (miasto na terenie dzisiejszych Czech). W 1938 r. rozpoczął studia stomatologiczne w Warszawie. Studia przerwała jednak wojna. W sierpniu 1939 r. Stanisław został zmobilizowany. Przeżył kampanię wrześniową. Po klęsce udało mu się uniknąć internowania. Okres niemieckiej okupacji przetrwał pracując jako pracownik fizyczny w papierni w Wadowicach. 26 stycznia 1945 r. do Wadowic dotarł front wschodni. Wkrótce potem, Stanisław jako oficer, został powołany do wojska i przeżył kilkumiesięczny szlak bojowy. W październiku 1945 r. został zdemobilizowany, a następnie jako osadnik wojskowy osiedlił się wraz z żoną w Czaplinku. W 1949 r. rodzi się im syn Jerzy. W 1948 r. powstała w Szczecinie Akademia Lekarska (późniejsza Pomorska Akademia Medyczna). Na oddziale stomatologicznym tej uczelni Stanisław dokończył naukę przerwana przez wojnę. Aż do emerytury, na którą przeszedł w wieku 65 lat, pracował w Czaplinku jako stomatolog. Jego żona Edyta również była stomatologiem. Gabinet dentystyczny mieścił się na parterze budynku przy ul. Długiej 29. Państwo Hojdysowie mieszkali w tym samym domu na piętrze. Pracowali razem aż do jej śmierci w 1971 r. Później Stanisław prowadził gabinet dentystyczny samodzielnie, będąc przez pewien czas jedynym stomatologiem w mieście. Zdobył uznanie środowiska jako wyśmienity fachowiec. W wydanej w 1986 r. z okazji 700-lecia miasta jednodniówce „Głos Czaplinka” w artykule przedstawiającym sylwetki mieszkańców wyróżnionych medalami „Zasłużony dla Miasta Czaplinka”, tak scharakteryzowano postać odznaczonego tym medalem Stanisława Hojdysa

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO *Krakowskiego*
PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Hojdys Stanisław Antoni

urodzony dnia 25 miesiąca kwietnia
roku 1915 w Wadowicach
województwa *Krakowskiego*
wyznania *rymu-kat.*
po ukończeniu nauki w *gimnazjum*
państwowym im. Marcina
Wadowity w Wadowicach,

do którego był przyjęty
20 września roku 1935, zdawał w *Krakovie* roku 1935

gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości nowego typu klasycznego wobec
Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorjum Okręgu
Szkolnego *Krakowskiego*
pismem z dnia *10 lutego 1935* Nr. *II.1454/35* otrzymał
następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

Świadectwo z wadowickiego gimnazjum.

: „Zasłużył na wdzięczność mieszkańców miasta prowadząc ofiarnie przez wiele lat gabinet dentystyczny. Przez długi okres /.../ był jedynym stomatologiem w Czaplinku. Mimo to potrafił udzielić pomocy wszystkim zgłaszającym się pacjentom, zyskując jednocześnie opinię dobrego specjalisty”. Ta krótka charakterystyka jest trafnym podsumowaniem całego okresu aktywności zawodowej Stanisława Hojdysa.

Mimo wielkiego zaangażowania w pracę zawodową Stanisław potrafił znaleźć czas dla swych innych różnorodnych zainteresowań. Interesował się m.in. historią, geologią, turystyką, geografą. Był zapalonym wodniakiem. W latach czterdziestych, gdy Antoni Tołłoczko organizował powojenne żeglarstwo w Czaplinku - Stanisław udzielał mu istotnej pomocy. Wspólnie wydobyli wówczas z wody kilka łodzi osadzonych na dnie j. Drawsko na niewielkiej głębokości w sąsiedztwie przystani. Łodzie te, po poddaniu niezbędnej renowacji, pływały później aż do lat sześćdziesiątych po tym jeziorze, jako tzw. „dwudziestki” (czyli jednostki o powierzchni żagli 20 m²) „pod banderą” Ligi Przyjaciół Żołnierza, a później Ligi Obrony Kraju. W latach sześćdziesiątych Stanisław samodzielnie skonstruował kilka łódek. Duże zainteresowanie innych wodniaków budziła własnoręcznie przez niego wykonana żaglówka „Mewa”, oraz własnej produkcji niewielka motorówka ślizgowa, należąca w tamtym czasie do najszybszych łodzi na j. Drawsko. Zbudował również zwinną łódź wiosłową typu „bączek”. Łódź ta służyła Stanisławowi głównie do wypraw wędkarskich. Wędkarstwo było jego wielką pasją. Należał do czaplineckiego Koła Polskiego Związku Wędkarskiego. Za działalność w Związku został odznaczony Srebrną Odznaką za Zasługi dla Wędkarstwa Polskiego. Do dzisiaj na czołowej pozycji w tabeli rekordowych połowów na czaplineckich akwenach znajduje się 19-kilogramowy szczupak złowiony przez Stanisława Hojdysa w 1956 r. w j. Drawsko. Stanisław pozostawił po sobie na tym jeziorze niezwykłą pamiątkę. Jego ulubionym miejscem połowów była jedna z podwod-



St. Hojdys prezentuje możliwości łodzi motorowej własnej konstrukcji.

nych „górek” znajdująca się niedaleko obecnego ośrodka wypoczynkowego „Kusy Dwór”. Stanisława widziano tu tak często, że miejsce to zaczęto nazywać Górką Hojdysa. Nazwa ta przyjęła się w środowisku tutejszych wodniaków i mimo upływu lat funkcjonuje do dzisiaj. Niektórzy nanoszą tę nazwę na mapy j. Drawsko, jako charakterystyczne miejsce na tym rozległym akwenu.

Niezwykle interesujący życiorys Stanisława Hojdysa dodatkowo ubarwia wątek jego znajomości z Karolem Wojtyłą. Tak pisze o tym Jerzy Hojdys (syn) w artykule „Od Wadowic do Czaplinka” opublikowanym w lokalnym czasopiśmie „AVE” z czerwca 2005 r.:



St. Hojdys na skonstruowanej przez siebie żaglówce Mewa.

St. Hojdys, jako nieco starszy kolega, w grupie gimnazjalistów uczył młodego Karola Wojtyłę, zwanego przez kolegów Lolkiem, stawiania pierwszych kroków w górach. Pierwszą górą była wznosząca się zaledwie kilka kilometrów od Wadowic, niezbyt zresztą wysoka, góra zwana Leskowiec. Tam prowadziły ich pierwsze piesze wycieczki. Było to w tym czasie, kiedy na Leskowcu budowano drewniane schronisko. Karol Wojtyła, mój ojciec i grupa ówczesnych gimnazjalistów miała zresztą też swój udział w tej budowie, który polegał na tym, że każdy z nich zabierał ze sobą na szczyt deskę. Schronisko na Leskowcu do dziś stoi i służy turystom, a tablica pamiątkowa na jego ścianie upamiętnia tę okoliczność. Po Leskowcu przyszedł czas na dalsze i bardziej ambitne wycieczki i prowadziły one młodych turystów do Beskidu Żywieckiego.

Następnie przyszedł czas na narty. Pierwsze narty w latach trzydziestych w grupie wadowickich gimnazjalistów wykonał mój ojciec. Wiązania do nich pochodziły od austriackich nart wojskowych używanych przez strzelców górskich w Alpach w czasie I wojny światowej na tzw. »froncie włoskim«. Ojciec zdobył w jakiś sposób same tylko wiązania przystosowane do wojskowych butów, narty wyciął z jesionowych desek, czuby wygiął gotując końce desek w kotle z wrzątkiem i wyginając je na końcach drabiny. Po połączeniu ich z wiązaniami i dorobieniu kijków sprzęt był gotowy. Pierwsze zbrocza, po których zjeżdżał ojciec, to były zbrocza Leskowca. Jeśli chodzi o umiejętności narciarskie, to ojciec najpierw był samoukiem, a następnie w grupie wadowickich gimnazjalistów nieformalnym »instruktorem«, którego autorytet był duży, ponieważ posiadał narty.

W ten sposób młody gimnazjalista Karol Wojtyła nie tylko nauczył się jeździć na nartach, ale polubił ten sport i uprawiał go tak długo, jak długo stan zdrowia Mu pozwolił. Narty, o których mowa, ojciec przywiózł ze sobą w 1945 roku, na tych nartach również ja uczyłem się jeździć. Obecnie znajdują się one w Muzeum (w Izbie Muzealnej - przyp. Zb.J.) w Czaplinku.

Innym przedmiotem znajdującym się w Czaplinku, powiązany z Wadowicami i Karolem Wojtyłą, jest pewien obraz. Obraz ten był własnością moich rodziców i odkąd sięgam pamięcią wisiał na ścianie w moim rodzinnym domu. Obraz ten przedstawia kościół w Wadowicach, ten sam z którym tak związany był Karol Wojtyła. Na bliższym planie przedstawia mur, którego już nie ma. Historyczną ciekawostką jest fakt, że obraz ten powstał w latach dwudziestych XX wieku spod pędzla prof. Jacha, nauczyciela wadowickiego gimnazjum, który uczył rysunków Karola Wojtyłę oraz mojego ojca.

Czy po okresie młodości, nauki w gimnazjum osłodzonej smakiem wadowickich kremówek, drogi dawnych szkolnych kolegów: Karola Wojtyły i Stanisława Hojdysa nie zeszły się już nigdy?

„...mój śp. ojciec Stanisław Hojdys, pochowany w Czaplinku, pochodził z Wadowic i w młodości uczęszczał do tej samej szkoły, co Karol Wojtyła tj. do Gimnazjum im. Marcina Wadowity w Wadowicach. Była to wówczas szkoła średnia, w której nauka kończyła się maturą.

Obydwaj od młodości mieli zamiłowanie do turystyki. Mój

Otóż zeszyły się i to właśnie w Czaplinku. Szerzej na ten temat pisze Głos Pomorza nr 99 z dnia 27-28.04.1991. Ale najpierw nad światem przetoczyła się wojna. Gimnazjaliści z lat trzydziestych stali się dojrzałymi ludźmi. Tuż po wojnie Karol Wojtyła przyjął święcenia kapłańskie, natomiast mój ojciec, zdemobilizowany frontowy oficer, na rozkaz ówczesnych władz wojskowych, jako wojskowy osadnik trafił na Ziemię Odzyskane i tak znalazł się w Czaplinku. Ksiądz Karol Wojtyła dowiedział się o tym od brata ojca - Jana Hojdysa, proboszcza parafii w Międzybrodziu Żywieckim. Nie tylko odnowił znajomość z dawnym szkolnym kolegą, ale korzystał z jego pomocy w organizowaniu spływów kajakowych Drawą, widać u obydwu kolegów zamiłowanie do turystycznych wędrówek pomimo upływu lat pozostało. Czy przypominam sobie Karola Wojtyłę w domu moich rodziców w Czaplinku przy ulicy Długiej 29? Spływy kajakowe (prawdopodobnie 3 lub 4) odbyły się w latach pięćdziesiątych. Byłem wówczas małym dzieckiem. Osoby ks. Karola Wojtyły nie pamiętam, choć wiem, że u nas był. Przypominam sobie natomiast jako odległe wspomnienie z dzieciństwa taką sytuację, że w szopie na naszym podwórku było kilka kajaków, które mój ojciec z wielką starannością remontował, choć nigdy nie świadczył usług skutniczych dla innych. To musiało być właśnie wtedy...”.

Stanisław Hojdys zmarł 16 września 1989 r. Spoczął na czaplineckim cmentarzu. W pamięci mieszkańców nieustannie pozostaje jako szanowany obywatel. Jego postawa i zasługi zostały docenione. Wśród przyznanych mu odznaczeń posiada on jedno z najwyższych polskich odznaczeń państwowych, a mianowicie Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.



’Pożegnanie S. Hojdysa odchodzącego na emeryturę.

Ten biograficzny tekst poświęcony Stanisławowi Hojdysowi powstał głównie na podstawie ustnych relacji przedstawionych przez jego syna Jerzego, oraz przy wykorzystaniu jego wspomnień opublikowanych w „AVE”. Gromadząc materiały do tego tekstu zrozumiałem, że Jerzy Hojdys jest kontynuatorem rodzinnych tradycji, zarówno tych medycznych jak i żeglarskich. Ukończył studia w Pomorskiej Akademii Medycznej. Jest lekarzem o specjalności - rehabilitacja medyczna i pracuje jako ordynator Oddziału Rehabilitacji w Regionalnym Szpitalu w Kołobrzegu. Jest również prezesem Zachodniopomorskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Rehabilitacyjnego. Podobnie jak jego ojciec, pasjonuje się żeglarstwem. Po okresie fascynacji żeglarstwem morskim, na nowo odkrył walory j. Drawsko. Czuje się związany z Czaplinkiem. Przyjeżdża tu coraz częściej. Został członkiem Czaplineckiego Bractwa Żeglarskiego. Lubi wypoczywać pływając jachtem po wodach j. Drawsko. Mówi, że daje mu dużą satysfakcję pływanie po tych samych wodach, które w przeszłości przemierzał swą „Mewą” jego ojciec - Stanisław Hojdys, jeden z pionierów czaplineckiego powojennego żeglarstwa.

7. BARDZO KOCHAŁAM SWÓJ ZAWÓD

(Wspomnienia Heleny Jurewicz z d. Wyszyńskiej)



Helena Jurewicz.

Urodziłam się 26 sierpnia 1933 r. w Łańsku (dawne woj. olsztyńskie, obecnie warmińsko-mazurskie). Mój ojciec Feliks był leśnikiem, a mama Marta nauczycielką prac ręcznych w szkole. Mam jedną siostrę Lidę, za mężem Skoczylas, która też mieszka w Czaplinku. W 1939 r. jako pięcioletnia dziewczynka poszłam już do szkoły podstawowej. Poszłam po prostu na taką próbę, jeżeli będę sobie w szkole radziła to zostaję, jeżeli nie, to będzie to taki rok wstępny. W czasie wojny ojca wzięto do armii i był na wojnie. Do 1945 r. mieszkaliśmy z mamą w Łańsku.

W 1945 r. przyjechała policja i wywieziono nas do Niemiec. Prawdopodobnie ktoś naskarżył na nas, że przychodzili do nas jeńcy i pomagałyśmy im. W czasie wywózki straciłam moją matkę. Nas dzieci odłączono od transportu i tylko my, moja siostra i ja, zostałyśmy we dwie. Naszej mamy już nigdy nie odnalazłyśmy i nie wiemy gdzie jest jej grób. Byłyśmy w miejscowości Güstrow, które po wojnie znalazło się w Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD), i tam wyzwolili nas Rosjanie. Obozy zostały rozwiązane i raptem zostałam z siostrą na ulicy. Starsi ludzie pochodzący z naszej miejscowości, którzy z nami tam byli wywiezieni, zdecydowali: „*U nas są Rosjanie i tu są Rosjanie, wracamy do domu*”.



Stefan Jurewicz.

Przyjechaliśmy do domu, a domy były splądrowane. Tatuś przyszedł z niewoli w 1947 r. Był pewny, że zastanie z nami mamę. Dostał znowu leśnictwo. Przeprowadziliśmy się na leśniczówkę do miejscowości Butryny, niedaleko Olsztyna. Tam skończyłam ósmą klasę szkoły podstawowej (szkoły podstawowe były wtedy ośmioklasowe). Potem złożyłam podanie do dwuletniego Liceum Pielęgniarskiego w Olsztynie. W szkole pielęgniarskiej miałam prawie wszystko za darmo, jako półsierota. Nie płaciłam za książki. Tylko mundurek musiałam sobie kupić. Inaczej jakoś podchodzono wtedy do nas, do życia, jak w tej chwili. 15 stycznia 1952 r. skończyłam naukę w liceum i otrzymałam dyplom pielęgniarki, a wraz z nim wręczono mi nakaz pracy do Szpitala Powiatowego

w Bartoszycach. Prosto ze szkoły pojechałam więc do Bartoszyca.

Z dniem 15 stycznia 1952 r. rozpoczęłam moją pierwszą pracę. Pracowałam na Oddziale Chirurgicznym bartoszyckiego szpitala 5 lat. Byłam na bloku operacyjnym. Lekarzy było bardzo mało, więc często występowałam w roli asystenta przy zabiegach operacyjnych. W roku 1955 poznałam swego przyszłego męża Stefana Jurewicza, który jako student Liceum Felczerskiego w Słupsku odbywał praktykę w szpitalu w Bartoszycach. Znajomość szybko przerodziła się w miłość i 19 grudnia 1955 r. w Bartoszycach zawarliśmy związek małżeński.

Mąż wówczas jeszcze nie pracował, bo był na ostatnim roku szkoły felczerskiej. Nie zamierzał jednak, po uzyskaniu dyplomu felczera, pracować w Bartoszycach, lecz w Czaplinku, gdzie mieszkała jego rodzina. Podjęłam więc starania o zwolnienie się z pacy, by przenieść się do Czaplinka. Dwukrotnie składałam podanie i dwukrotnie dyrektor szpitala

niszczył je. Widać cenił mnie, bo namawiał: „*Helenka niech twój mąż przyjeżdża tu, a ty nie zwalniasz się*”. I tak miały kolejne trzy miesiące (okres wypowiedzenia pracy wynosił trzy miesiące), a ja nadal byłam pracownicą bartoszyckiego szpitala. Wreszcie w 1956 r. udało mi się zwolnić z pracy i przyjechać do Czaplinka. To było 6 lub 7 czerwca. Mąż już tu pracował w Ośrodku Zdrowia.

Stefan urodził się 2 lutego 1933 r. w Holszanach (obecnie Białoruś). Rodzice Aleksander i Weronika. Szkołę podstawową kończył już tu, w Czaplinku. Należał do tzw. przerośniętych roczników, bo w czasie wojny nie było warunków do nauki na tamtych terenach. Aby nadgonić opóźnienie niektórzy uczniowie kończyli po dwie klasy w ciągu jednego roku. Po skończeniu 9 klasy kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Szczecinku. Po uzyskaniu matury wstąpił do trzyletniego Liceum Felczerskiego w Słupsku. Uczył się z nim razem Wojciech Drzewicki, który był potem felczerem w Kluźewie, przed felczerem Preisnerem.

Po otrzymaniu dyplomu felczerskiego wrócił do Czaplinka i rozpoczął tu swoją pierwszą pracę. Lekarzem, który go wprowadzał w praktykę medyczną był dr Dionizy Kozakiewicz, którego nie znałam, bo wyjechał stąd akurat przed moim przyjazdem. Przed nim pracował tu podobno jakiś wojskowy lekarz dr Sitnicki, o którym mówił mi Stefan, ale nie był pewien, czy był on doktorem, czy felczerem. Po Kozakiewiczu, bardzo krótko, był dr Jastrzębski. Po dr Jastrzębskim pracował w latach 1956-57 dr Oskroba. Był tu z żoną Basią, która była położną. Jesienią 1957 r. przyjechał dr Matuszewski, którego żona była magistrem farmacji i pracowała w aptece, która mieściła się wówczas w starym budynku przy ul. Aptecznej. Pracowała z nią p. Kowalska, żona doktora weterynarii. Z dr Matuszewskim współpracowałam przez kilka lat, aż do jego wyjazdu z Czaplinka. Po nim kierownikiem ośrodka został dr Redosz, a następnie dr Bolanowski.



Otwarcie nowego Ośrodka Zdrowia.

Lekarze nie chcieli w tamtych czasach praktykować w Czaplinku, bo warunki pracy były tu bardzo prymitywne. Ośrodek Zdrowia został zorganizowany po wojnie, w gabinetach prywatnej przychodni lekarskiej niemieckiego lekarza dr Eckarta Prettina przy ul Sikorskiego (wówczas Bieruta). Prettin leczył mieszkańców Czaplinka do 1946 r., kiedy to wyjechał do Niemiec. W budynku tym urządzono też Izbę Porodową. Do roku 1961 chodziła po domach w Czaplinku położna Niemka Dalman i tam przyjmowała porody. Potem wyjechała ona do Niemiec.

Stefan pracował w Ośrodku Zdrowia, a potem w higienie szkolnej po 4 godziny w szkole podstawowej i zawodowej. Pracował też, jako lekarz zakładowy w POM-ie. Ja pracowałam od 1956 do 1991 r. – 25 lat w Przychodni Rejonowej w Czaplinku. Była to praca wszechstronna. Prowadziłam szczepienia w mieście i w wiejskich szkołach. Dzwoniłam do sołtysa, albo kierownika szkoły, przyjeżdżała po mnie furmanka, siadałam, okrywałam się kocem i jechałam na szczepienia. Szczepiło się rocznikami przeciw tężcowi, błonicy, gruźlicy. A były wtedy szkoły w Starym Drawsku, Sikorach, Pławnie, Psich Głowach, Siemczynie. Do Kluczewa nie musiałam jeździć, bo tam był felczer. Do Broczyna też nie, bo w tamtych czasach należało do Wałcza. Z kolei Łubowo należało wtedy do nas, ale nie musiałam tam jeździć, bo był tam Ośrodek Zdrowia, w którego kierownikiem jakiś czas była dr Janina Marcewicz. Szczepiłam też wtedy nowonarodzone dzieci. Dostawałam z Urzędu Miasta wykaz noworodków i na jego podstawie wzywałam rodziców, by zgłosili się do mnie na szczepienia dziecka. Prowadziłam wykazy, w których rejestrowałam co miesiąc 20, 23, 25 zaszczepionych niemowląt. Potem ilość ta zmniejszyła się do 15, 12.



Helena Jurewicz.

Byłam nie tylko pielęgniarką w punkcie szczepień, ale i pielęgniarką zabiegową, byłam też przeszkolona, jako laborantka medyczna i robiłam podstawowe badania – wykonywałam wszystkie funkcje pielęgniarskie, które były możliwe, a nawet szycie ran. Lekarz mówił mi: „*Pani Helu! Pani to załatwi*”. No to załatwiłam. Bo człowiek młody jest bardziej odważny, nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji, a czasem nie ma wyjścia. Jakiś czas pracowałam też z panią dr Krystyną Karluk w przychodni zakładowej *Telkom-Telczy* przy ul. Pławieńskiej. Kończyłam w przychodni pracę o pierwszej i leciałam do *Telczy*, żeby porejestrować pacjentów. Wszystko się robiło w tych czasach.

Przypominam sobie taki przypadek. Miałam dyżur w niedzielę, siedzę sobie, a było już pogotowie, otwierają się drzwi i wchodzi... wędka. Dopiero za nią wkracza człowiek z haczykiem wbitym w wargę. A z nim drugi, który niefortunnego wędkarza przywiózł na motorze. Pytam go: „*Panie, a czemu pan nie obciął tej żyłki?*”. A on na to: „*O tym nie myśleliśmy*”. Zawołałam kierowcę, by przyniósł mi kombinerki, a ten pyta: „*A po co pani te kombinerki?*”. Odpowiadam: „*Bo trzeba ten haczyk obciąć, żeby go wycofać*”. Były też różne inne przygody, czasami dramatyczne. Komplikowało sytuację to, że mój mąż jako felczer, nie miał prawa wykonywania żadnych zabiegów ginekologicznych, to było wyłączone z jego kompetencji. Jeżeli więc były jakieś krwotoki lub inne powikłania, wzywało się karetkę ze szpitala w Szczecinku. Bo w tamtych czasach, chyba do roku 1975, należeliśmy do Szczecinka.

Tak wyglądało nasze życie. Potem przeprowadziliśmy się do nowego, pięknego i nowoczesnego Ośrodka Zdrowia przy ul. Wałęckiej, wybudowanego ze składek społecznych (NFOZ). Warunki pracy były tam nieporównywalnie lepsze niż w starym. W nowej

przychodni nadal byłam pielęgniarką zabiegową. Wiele moich koleżanek było u mnie na przeszkoleniu. Tato pozostał na Mazurach. Przeniesiono go potem na leśniczówkę koło Pisz w Suwalskiem. W 1952 r. ojciec ożenił się po raz drugi. Ja z siostrą zeznawałyśmy w sądzie, że nasza mama zginęła w czasie wojny i na tej podstawie ojciec mógł ponownie ożenić się. Z drugą żoną miał dwoje dzieci: Krystynę i Huberta. Mąż Krystyny też był leśnikiem. Poznali się gdy on był praktykantem u mojego ojca. Moja przyrodnia siostra i brat już nie żyją. Hubert zmarł na raka płuc, a siostra zginęła dwa lata temu w nieszczęśliwym wypadku. Doszło do pożaru w leśniczówce, w której mieszkała, ona została bardzo mocno poparzona i po pół roku choroby i wielkiego cierpienia zmarła. Moja rodzona siostra Lidia ma teraz 82 lata i opiekuję się nią, bo jest po udarze mózgu. W 1999 r. miałam zawał i stale jestem na lekach. Mam wieńcówkę. Miałam też poważny problem z kręgosłupem, żeby wyjść po zakupy musiałam brać po 3 tabletki. Chodziłam w gorscie. I takie jest moje życie.

Stefan miał zaledwie 60 lat, kiedy zmarł w 1993 r. na raka prostaty. W tych czasach jeszcze nie bardzo rozpoznawano tę chorobę. Mąż w młodości, jeszcze gdy chodził do szkoły podstawowej, był zapalonym żeglarzem. Szkolił go Antoni Tołłoczko. Także, gdy już pracował jako felczer w Ośrodku Zdrowia, z zamiłowaniem uprawiał żeglarstwo. Napisał kiedyś do Stoczni Jachtowej w Gdańsku i przysłali mu szablonny łódki, siedział, rysował, majstrował. Zbudował najpierw motorówkę, a potem żaglówkę. Pływaliśmy razem, prawie każdego dnia, a dzieci zabieraliśmy z sobą. Wypływaliśmy w sobotę i dopiero w niedzielę



Odznaka Heleny Jurewicz.

wracaliśmy do domu. Mielimy dwie córki Elwirę i Beatę. Beata też skończyła pielęgniarstwo. Elwira pracuje w banku. Mam jedną wnuczkę Karolinę (córka Elwiry), która ma już 28 lat i jest mężatką. Kończyła w Poznaniu farmację i już pracując, ukończyła zaocznie drugi fakultet kosmetologię, i ma teraz dwa zawody.

Często wracam wspomnieniami do mojej młodości, do tamtych lat, które nie były łatwe, ale pełne nadziei i młodzieńczego optymizmu. Inny był wtedy poziom higieny. Zamiast pasty do mycia zębów używaliśmy wtedy sodkę oczyszczoną. Nie było szamponów, a do mycia włosów używaliśmy mydło szare. Mnie się zdaje, że ludzie wtedy byli zdrowsi i odporniejsi. W służbie zdrowia nie było wewnątrzszpitalnych zakażeń, bo to, że się człowiek myje 3 czy 4 razy dziennie, nie wystarcza by był zdrowszy, a być może pozbawia go to naturalnej odporności. Kto wtedy słyszał o wirusie żółtaczkowy wątrobowej C?

Niestety występowały też wtedy choroby, z którymi medycyna współczesna radzi sobie doskonale. W czasie mojej pierwszej pracy w szpitalu w Bartoszycach panował jeszcze dyfteryt. Na moich rękach zmarł chłopczyk, który miał 5 lat. Leciałam z nim na salę operacyjną, żeby lekarz zrobił tracheotomię i na moich rękach dziecko zmarło. Siedziałam na sali operacyjnej i nikt nie chciał zejść na dół powiedzieć rodzicom, że ich dzieciątko nie żyje. Bo przecież ci prości ludzie oskarżą lekarzy, że zamordowali je, bo przecież przecięli mu krtań. Takie to były czasy.

A przetaczanie krwi. Cięża pozamaciczna, krwotok, trzeba podać krew, a tej nie ma. Mieliliśmy w szpitalu takiego Stasia, który miał grupę krwi „0”. Prosimy więc go: „*Stasiu, oddaj krew, chociaż pół litra*”. Zgodził się. Dokonano bezpośredniego przetoczenia krwi

i nie było żadnego wstrząsu. Kobieta została uratowana. Zerówkę uważano wtedy za grupę uniwersalną - dla wszystkich.

Ludzie mieli do mnie i do Stefana zaufanie i często radzili się w sprawach zdrowia. Wiele osób jeszcze dzisiaj mi mówi: „*A wie pani, że zawdzięczam pani mężowi to czy tamto. A wie pani, bo pani mi powiedziało to czy tamto i syn żyje, a wszyscy mówili, że on umrze*”.

Trzy pokolenia przeszły przez nasze ręce. Pracowaliśmy w starej przychodni w tak ciężkich warunkach. Potem powstał Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia, opodatkowaliśmy się. 1% z naszych poborów szedł na NFOZ. Zbudowany został w Czaplinku nowy, piękny Ośrodek Zdrowia. A teraz do czego to doszło, do czego doszło! Teraz jest tam fryzjer, szmatex, tylko nie to, co trzeba. A przecież zbudowany był za nasze pieniądze i miał służyć naszemu zdrowiu.

Bardzo ciepło wspominam doktora Edmunda Zajula. Był zawsze bardzo rzetelnym lekarzem, on nigdy nie brał pieniędzy i niczego się nie dorobił. Była nas kiedyś garstka, ale kwitło życie towarzyskie, przychodziliśmy do siebie. Nie było zawiści, której tyle jest dzisiaj. Jeden drugiemu wszystkiego zazdrości, nie wiem, nie wiem, do czego to doszło.

Bardzo swój zawód kochałam i nie widziałam się w żadnym innym zawodzie. Od dziecka miałam już jakieś takie inklinacje, chęć niesienia pomocy człowiekowi w potrzebie. Nie żałuję wyboru zawodu i swego życia, mimo, że nie było ono łatwe.

7. MAŁE DZIECKO TO NAJWIĘKSZY SKARB, KTÓRY NALEŻY KOCHAĆ I PIELEGNOWAĆ

(Wspomnienia Longiny Kobus z. d. Hermanowicz)



Urodziłam się 22 lipca 1952 r. w Świeszynie k/Koszaliny. Szkołę Podstawową ukończyła w Świeszynie w 1966 r. W 1971 r. ukończyłam Liceum Medyczne w Koszalinie, uzyskując tytuł dyplomowanej opiekunki dziecięcej. Pierwszą swoją pracę podjęłam w 1971 r. w żłobku „Jacek i Agatka” w Koszalinie. W czasie pracy w Koszalinie poznałam Marka Kobusa i wyszłam za niego. W 1975 urodziłam syna Rafała.

W 1975 r. mąż został przeniesiony do Czaplinka na stanowisko Kierownika Gazowni. Na początku 1976 r. przeniosłam się za mężem do Czaplinka i podjęłam tu pracę, jako dyplomowana pielęgniarka w grupie dzieci 3-letnich, w żłobku Nr 1, który mieścił się przy ul. Bieruta 14 (obecnie Sikorskiego). Pierwsze wrażenia po przyjeździe nie były zachwycające. Warunki pracy były nie najlepsze, a odpowiedzialność duża, gdyż grupą 30 dzieci opiekowały się zaledwie 3 pielęgniarki. Niemniej jednak, praca z dziećmi dawała mi wiele satysfakcji i zadowolenia, a codzienny uśmiech małego dziecka sprawiał, że robiłam to z ogromną pasją i zaangażowaniem.

Po roku pracy w żłobku Nr 1 otrzymałam od dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej (ZOZ) w Drawsku Pom. dr M. Jurskiego propozycję objęcia stanowiska kierownika żłobka Nr 2, który mieścił się przy ul. Pławieńskiej. Przyjęłam ją z pewną obawą, gdyż zdawałam sobie sprawę, że będę ponosić odpowiedzialność za losy tych małych istot. Było to dla mnie ogromne wyzwanie, żłobek mieścił się w budynku zaadaptowanym i wymagał wielkich nakładów remontowych. Z tych czasów pamiętam, że co roku w okresie wakacyjnym, musiał być przeprowadzany remont.

Początkowo do żłobka, którym kierowałam, uczęszczało 45 dzieci w dwóch grupach wiekowych: od 1 do 2 lat i od 2 do 3 lat. W większości były to dzieci pracowników największego w Czaplinku zakładu „Telkom-Telczy”. Z upływem lat ilość dzieci uczęszczających do żłobka wzrosła do 70. Warunki w żłobku stały się bardzo trudne z powodu zagęszczenia i zużycia obiektu. Mimo tego, dzięki ofiarności mojej i personelu (pracowało nas wówczas 18 osób), panowała w żłobku domowa atmosfera, a rodzice mieli pełne poczucie bezpieczeństwa, oddając tu dzieci.

Jak nasza praca była bardzo odpowiedzialna, najlepiej ilustruje dramatyczne wydarzenie, które zaszło pewnego letniego dnia 1981 r. Otóż jedno z dzieci, będących pod naszą opieką, dostało nagle drgawek i zrobiło się sine, a język mu się zapadał, grożąc uduszeniem. Zawiadomiona przez opiekunkę Annę Siegiędę, natychmiast pośpieszyłam mu z pomocą. Połałam nieprzytomne dziecko wodą i kazałam wyciągnąć język. Dziecko



Gertruda Szczepańska 1953 r.



Jadwiga Szatrowska 1956 r.

przestało się dusić, ale nadal było sine i słabo reagowało na bodźce. Natychmiast wezwałam pogotowie ratunkowe, ale w związku z brakiem na miejscu karetki, zmuszona byłam zatrzymać przejeżdżający ulicą samochód, którym przewiozłam dziecko na pogotowie w Czaplinku. Stąd, po udzieleniu pomocy przez dyżurnego lekarza, przewieziono je do szpitala w Drawsku Pom. Dzięki szybkiej akcji dziecko zostało uratowane.

W związku ze wzrostem ilości dzieci w żłobku i poważnymi problemami lokalowymi, postanowiono wybudować nowoczesną placówkę, podobną do tej w Koszalinie, w której rozpoczynałam swoją pierwszą pracę. Wraz z personelem bardzo się cieszyłam z tej decyzji.

Podjęłam kolejne wyzwanie, bo teraz, oprócz kierowania żłobkiem Nr 2, jednocześnie wyposażałam i przygotowywałam do otwarcia nowy żłobek przy ul. Grunwaldzkiej 5b. Kosztowało to i mnie i cały personel wiele trudu i poświęcenia. Wykonałyśmy własnymi rękami wiele prac wewnątrz i na zewnątrz nowego żłobka. Mogłyśmy to robić, kiedy dzieci nie było w żłobku, lub kiedy odpoczywały. Piękny, nowoczesny żłobek został uroczyście przekazany do użytku 1 września 1989 r. Bardzo cieszyliśmy się z naszej nowej siedziby. Bo zawsze ja i moje



Dzieci ze Żłobka Nr 1 1955 r.

pracownicy, kierowałyśmy się szczytną maksymą: „Dziecko to nasz drogocenny skarb”.

Niestety, nie nacieszyłyśmy się długo naszym pięknym żłobkiem. W wyniku upadku zakładów pracy i szerzącego się bezrobocia zaczęła gwałtownie zmniejszać się liczba dzieci w żłobku. W związku z tym władze miejskie postanowiły w 1991 r. przenieść do naszego obiektu przedszkole, a z dzieci młodszych utworzyć jedynie grupę żłobkową.

W związku z tym utworzone zostało stanowisko z-cy dyrektora Przedszkola, które powierzono mnie. W 1996 r. utworzony został Zakład Budżetowy Przedszkoli, a ja objęłam stanowisko Kierownika Gospodarczego i jednocześnie opiekowałam się grupą żłobkową, którą ostatecznie zlikwidowano w 2002 r.

W międzyczasie ukończyłam studia ekonomiczne na Politechnice Koszalińskiej, a uzyskana wiedza pomogła w organizacji zakładu budżetowego. Nadal jednak bardzo ceniłam sobie mój pierwszy zawód opiekunki dziecięcej, i nieraz odkładałam biurową pracę, by pójść do dzieci i poprzytulać je, powiedzieć dobre słowo i uśmiechnąć się do nich.

W 2010 r. przesłam na emeryturę. Jestem osobą spełnioną zawodowo i rodzinnie. Nadal pracuję społecznie, będąc skarbnikiem Oddziału ZNP przy Gimnazjum w Czaplinku.

Jestem matką dwojga dorosłych już, wspianałych dzieci - Rafała i Moniki. Oboje ukończyli studia wyższe i założyli rodziny. Od czasu do czasu opiekuję się wnukami Maksymilianem i Julką, z których jestem ogromnie dumna. A to, co wniosłam swoją pracą i zaangażowaniem w wychowanie małych dzieci, i co dobrego dla nich uczyniłam, nie da się wymazać. Trwale napawać mnie będzie to satysfakcją i radością.

Za zaangażowanie i osiągnięcia w pracy zawodowej otrzymałam Medal „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Koszalińskiego”, Nagrodę Burmistrza i wiele nagród dyrektora.



W tym budynku mieścił się pierwszy żłobek.

9. NAJWIĘKSZĄ MOJĄ PASJĄ JEST RODZINA

(Wspomnienia Janiny Marcewicz z d. Woźniak)

Urodziłam się w 1936 r. w Bojanowie. To niewielkie miasteczko w woj. poznańskim. Moi rodzice Stanisława i Jan Woźniakowie, jak i dziadkowie byli rolnikami. Sporo o nich wiem, ponieważ prowadzę sobie takie drzewo genealogiczne i sądzę, że daleko już w tym zaszłam. Mam nawet dokładne daty ich urodzenia. Natomiast pradziadek mój był geodetą. To wiem tylko z opowiadań. Zachowało się też zdjęcie dziadka z moją mamą w wieku 3-4 lat i jakąś nianią, która zajmowała się gromadą dzieci, ponieważ w tej rodzinie było dwanaścioro dzieci. Ja również urodziłam się w rodzinie wielodzietnej, bo sześcioro nas było – jeden brat i pięć siostr. Między dziećmi nie było wielkiej różnicy wieku. Dwukrotnie po dwa lata, a potem, jak to mówiono, „co rok to prorok”.



Janeczka z lalką 1939 r.

Mimo, że mama miała mniej dzieci, to i tak niełatwo jej było z tą szóstką. Brat mamy, którego małżeństwo było bezdzietne, wyślugał w 1939 r., by dać mu jedno dziecko na wychowanie. No i tak się stało, zostałam tą wybraną, ale nie wiem, dlaczego ja właśnie. Później, w moim dorosłym życiu, było to takim wielkim znakiem zapytania, jakkolwiek mnie się może najlepiej w życiu powiodło, bo byłam praktycznie jedynaczką u wujostwa. I tak od 1 sierpnia 1939 r., na miesiąc przed wybuchem wojny, zamieszkałam u wujostwa w Poznaniu, i tam już spędziłam całe życie do wyjazdu tutaj, w te okolice. Moje losy potoczyły się więc troszeczkę inaczej jak mojego rodzeństwa. Nigdy jednak nie mówiłam do wujostwa tatuś, czy mamusia. Częsty kontakt z rodzicami był utrzymany, a do moich opiekunów zawsze mówiłam ciocia i wujek.

Wujek był szewcem, ale takim, który wyrabiał tylko wojskowe oficerki. Jako dziecko pamiętam, jego duży sklep w Poznaniu i te błyszczące buty, i tę elitę, która tam przychodziła. Zapamiętałam też doskonale wydarzenie z pierwszych dni września 1939 r., kiedy po wkroczeniu Niemców do Poznania wujkowi zarekwirowano wszystkie te piękne oficerki, a mnie zabrano moją pierwszą w życiu, piękną lalkę. Strasznie rozpaczalam i pamiętam jak ciocia prosiła, żeby mi tę lalkę zostawili, ale niestety żołnierze byli bezwzględni. Miałam wówczas zaledwie trzy latka, ale to było widocznie tak silne przeżycie, że utkwilo mi w pamięci. Całą okupację przeżyłam w Poznaniu.

W 1939 r. mojego ojca zabrano na wojnę. Dostał się do niewoli i był w niej trzy lata. Mamie w tym czasie było bardzo ciężko. Została sama z małą dziećmi. Ale i w czasie wojny kontakty z rodziną były stałe, szczególnie w czasie wakacji, kiedy bardzo chętnie tam jeździłam, bo tam było typowe wielkopolskie gospodarstwo. Były konie i inne zwierzęta, były wspaniałe żniwa, w czasie których bawiliśmy się w tych snopkach. Gromadka nas była i mimo wszystko mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo. Teraz miło te czasy wspominam. Rodzice w 1949 r. sprzedali gospodarstwo i przenieśli się do Wrocławia, i jest on teraz drugim miastem, gdzie mieszka dużo mojego rodzeństwa.

Ja natomiast w 1945 r., kiedy miałam 9 lat, poszłam do szkoły podstawowej. Od razu do drugiej klasy, a po jej ukończeniu do czwartej. I tak jakoś dziwnie się stało, że już po 3 latach nauki szkołę podstawową skończyłam. Bo był to taki czas, że istniały tzw. klasy przyspieszone, dla dzieci, które musiały nadrabiać okupacyjne opóźnienia. Mimo skróconego okresu nauki dobrze się uczyłam, mogę swoje świadectwa wnukom pokazywać, bo mam je wszystkie zachowane. Po skończeniu w 1949 r. szkoły podstawowej powstał dylemat, gdzie mam kontynuować naukę. Bardzo chciałam pójść do szkoły Urszulanek, renomowanego liceum, którego uczennice chodziły w pięknych mundurkach. Ale przyszedł do nas kierownik szkoły i z ciocie namawiał żebym tego nie robiła, ponieważ to były czasy, kiedy sprawy religii nie były dobrze widziane. Powiedział, że jeśli myślę o studiach, to raczej powinnam pójść do innego liceum.



Janina i Ryszard Marcewiczowie.

I tak znalazłam się w bardzo dobrym poznańskim liceum im. Klaudyny Potockiej. Z liceum tego wyszło wiele ciekawych postaci, a m. in. piosenkarka Urszula Sipińska, dyrygentka Agnieszka Duczmal i wiele innych. Byłam ostatnio na osiemdziesięcioleciu naszej szkoły. Z mojej klasy zebrało się tylko 13 osób. Ciężko by nam było się poznać, gdyby nie plakietki, które posiadałyśmy. Zdając maturę w 1953 r. miałam 17 lat.

Jeszcze tego roku dostałam się na Akademię Medyczną. To nie był wybór z powołania, raczej przypadkowy. Moim marzeniem była architektura i pedagogika. Chciałam być nauczycielką. Lubiłam dzieci, lubiłam te kontakty i widziałam się w tym zawodzie. Nie było żadnych rodzinnych tradycji, natomiast było na pewno marzenie moich rodziców i tych, którzy mnie wychowywali, abym została lekarzem. Ale też nie był to wybór zupełnie przypadkowy, ponieważ miałam przyjaciółkę (utrzymuję z nią do tej pory kontakt), która pochodziła z rodziny lekarskiej i zgodnie z rodzinną tradycją wybierała się na medycynę. I tak, jakoś pół roku przed maturą, zaczął dojrzewać we mnie zamiar pójścia jak i ona, na medycynę. Myślę też dzisiaj, że moje szanse dostania się na architekturę wewnątrz (bo ten kierunek najbardziej mnie nęcił), jak i skończenia ich były niewielkie, bo matematyka była zawsze moją słabą stroną.

Absolutnie nie żałuję swego wyboru, jakkolwiek brakuje mi jakiejś takiej pracy plastycznej, i ciągle gdzieś tam we mnie tkwi zamiar chociaż częściowej realizacji młodzięńczych marzeń. W jakimś stopniu moje marzenia realizują się w następnych pokoleniach, bo moja córka Dorotka jest uzdolniona plastycznie, a jej syn Mateusz Sadowski jest magistrem sztuki po Akademii Sztuk Pięknych. Byłam dumna, gdy na obronie pracy magisterskiej, na której byliśmy, otrzymał same noty celujące. Myślę, że niedługo o nim usłyszymy, bo już obecnie ma ciekawe osiągnięcia.



Janina Marcewicz 1966 r.

W czasie studiów, w 1955 r. wybrałam się na wakacje w pięknym Augustowie. Spędzałam je z moją przyjaciółką i jej mamą, która bardzo pilnowała dziewczynki, żeby się dobrze prowadziły i wracały o odpowiedniej porze. Pojechałam właściwie po to, żeby się odkochać, ponieważ na pierwszym roku zakochałam się nieszczęśliwie, a znajomość ta zerwała się. I to były takie wakacje na zapomnienie o tej płci odmiernej. No, ale stało się inaczej i stało się bardzo dobrze. Tam poznaliśmy się z moim mężem. Dla niego to były pierwsze wakacje w jego życiu po bardzo ciężkich przeżyciach. Nie był sam, lecz z całą paczką młodzieży, która zauroczyła nas tym, że była jakaś inna. Nie mogliśmy ich rozszyfrować. Chłopcy byli inni jak nasi koledzy z uczelni, było w nich dużo jakiejś poezji, jakichś refleksji. Fajne były te augustowskie wieczory. Symboliczny był bruder-saft pity wodą z jeziora czerpaną pudełkiem od zapalek. Tego też się nie zapomina! Ale wyjeżdżając, po miesiącu pobytu w Augustowie, nie byliśmy tak bardzo zakochani. Owszem była to piękna znajomość wakacyjna, ale ponieważ Rysiek był z Łodzi, a ja z Poznania to nie wiadomo było, jak to się dalej potoczy. No, ale okazało się, że mądrość mamy mojej przyjaciółki spowodowała, że skończyło się dobrze. Otóż ona powiedziała nam: „*Dziewczynki, z tymi chłopakami trzeba utrzymać kontakt. Nie wolno dopuścić, żeby wpadli w kompleksy. Oni wiele przecierpieli*”. I tak nasza znajomość nie uległa zerwaniu i bardzo szybko okazało się, że to poważniejsza sprawa, a nie przelotna znajomość.

Kiedy byłam na ostatnim roku studiów pobraliśmy się w lutym, brzemiennego dla mnie roku 1958. Już 52 lata minęło od tamtej chwili, a nasz związek trwa i uważam, że jest wspaniały. Mówię nieraz swoim znajomym i koleżankom, że gdybym miała powtórzyć życie, to tylko z tym samym mężczyzną. Tego też roku ukończyłam studia. Byłam dobrą studentką, bez poślizgów. A 30 listopada, nie mając jeszcze nawet 22 lat, zostałam matką, urodziłam oczekiwanego pierworodnego syna, któremu daliśmy imię Wojciech. Jeszcze w trakcie naszej znajomości mąż zaczął uzupełniać w Poznaniu wykształcenie, przerwane uwięzieniem. Po zdaniu matury rozpoczął studia na Politechnice Poznańskiej.



Dr Janina Marcewicz w ośrodku w Lubowie.

Ja odbywam w klinikach poznańskich w terminie wszystkie staże. To był pierwszy rok reformy Akademii Medycznej. To był rok nietypowy i musiałam odbyć dwa staże: najpierw staż przeddyplomowy, a potem staż podyplomowy. Po ich odbyciu otrzymałam w 1960 r. dyplom lekarza. Mieszkaliśmy wtedy razem z moją ciocią, i gdy urodziło się drugie dziecko, córka Dorota, zrobiło nam się w jej mieszkanku ciasno. Zaczęliśmy się zastanawiać - co dalej? Wybór pracy był ogromny, można było wybierać, ale gorzej było mieszkaniami. A ponadto jakąś wizję naszego wspólnego życia już mieliśmy, i gdzie chcemy je spędzać.

Znalazłam ofertę Powiatowego Wydziału Zdrowia w Szczecinku - gdzieś tam na ziemiach zachodnich. Ładne okolice. No, więc wzięłam sobie wolny dzień, bo chciałam zobaczyć jak to wygląda na miejscu. Przyjął mnie dr Powiłałtis dyrektor wydziału. To jest też taka barwna postać ze Szczecinka. Wziął mnie tam w obroty, wsadził

w jakiś gazik, jakiś leśniczy samochód, no i wywiózł mnie do Łubowa. Byłam zauroczona, bo w Ośrodku Zdrowia jest 4-pokojowe mieszkanie. To nieważne, że piece kaflowe, nieważne, że nie ma ubikacji, tylko gdzieś na dole, ale w perspektywie wszystko ma być. Nie było nigdy lekarza w tej wsi. Opanował mnie strach niesamowity. Jak tu decydować się na coś takiego. Ale dr Powiłałtis znalazł sposób na moje obawy, po drodze zajechaliśmy do jakiejś leśniczówki, gdzie dostałam piękny kosz grzybów prawdziwych, bo to była końcówka sierpnia. W następnym miejscu, nie pamiętam gdzie, piękną wędzoną sielawę. A na dodatek jeziora i lasy piękne. Więc jak to wszystko przywiozłam, w tym samym dniu do Poznania, to mówię do męża: „*Sluchaj! Eldorado! Pakujemy się i jedziemy. Przygoda*”.

Spakowaliśmy się i 1 września w 1961 r. wylądowali w tym Łubowie. Z perspektywy czasu bardzo miło wspominam tamten okres pracy i podziwiam swoją odwagę, bo nieraz były trudne sytuacje. Szpital był daleko, pogotowia nie było, a telefony chyba dwa w całej wsi. Książkowi nawet nie miał wtedy telefonu. Wieś była duża i mimo, że byłam bardzo młodą lekarką, to przyjęła mnie bardzo, bardzo pozytywnie. Byłam dla mieszkańców wielkim autorytetem i zawiązało się wtedy wiele przyjaźni, z których część trwa do dzisiaj. Mam satysfakcję, że do tej pory trafiają do mnie pacjenci z Łubowa. To już jest chyba czwarte pokolenie i miło mi, gdy przychodzą i wspominają dawne dobre czasy.

A ja, jako młody lekarz, dostałam tam bardzo dobry szlif. Robiłam wiele rzeczy, na które w innych okolicznościach bym się nie zdecydowała, chociażby odbieranie porodów w zimnym pomieszczeniu, i to sama. Później czasami mąż mi pomagał, i wtedy pierwszy raz w życiu widział poród. Teraz to nic nadzwyczajnego, bo mężczyźni asystują przy porodach, ale wtedy! Mąż asystował mi też dzielnie, gdy w grę wchodziły jakieś samobójcze sprawy. Zawsze ze mną chodził, bo jest człowiekiem wyjątkowo spokojnym



J. R. Marcewiczowie z wnuczkami.

i zrównoważonym. Raz nawet pacjentce ząb wyrwał! Cygance, która myślała, że to jest pan Hojdys, który dojeżdżał kilka razy do Łubowa. Skojarzyła, że skoro mężczyzna jej otwiera drzwi, to pewno jest ten dentysta. Różne przygody żeśmy tam mieli. Regułą było jeżdżenie zimą furmanką do chorych dzieci, gdzieś do Rakowa, czy do Komorza. Siarczasta noc, chłop przywoził kozuch, brało się zastrzyki, które robiło się samemu, bo tak trzeba było. Pionierskie czasy. W ośrodku w Łubowie była tylko jedna pielęgniarka, jedna rejestratorka i sprzątaczką. I to wszystko. Ale praca szła i byliśmy zadowoleni. W czasie pracy w Łubowie podjęłam specjalizację z pediatrii. Robiłam ją w szpitalu w Szczecinku. Natomiast małżonek dojeżdżał do Szczecinka, gdzie pracował w Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, jako kreślarz.

Tam w Łubowie urodziło się nam w 1963 r. trzecie dziecko, córka Jolanta. Bardzo pomogła mi przy wychowaniu dzieci śp. p. Majcher, która codziennie dojeżdżała z Czaplinka do Łubowa. Była po prostu jak członek rodziny. Jak czasem siadziemy i powspominamy

tamte czasy, to dzieci mówią, że z wczesnego dzieciństwa pamiętają najlepiej babcię z Czaplinka. Nie mówią tego, jako wyrzut. Bo mama to była na telefonach. Taką miałam wówczas pracę, że niemal każdą noc miałam zarwaną i brakowało mi na wszystko czasu. Pani Majcher pomagała mi jeszcze po naszym przeniesieniu się do Czaplinka. Zmarła w 1970 r.



*Janina Marcewicz, Hawaje
- listopad 1997 r.*

To był jeden z powodów, żeśmy chcieliśmy się przenieść gdzie indziej. No, a ciągle kuśił nas ten Czaplinek, jako, że to troszeczkę większa atrakcja, ładniejsze jeziora. Bywaliśmy tu na kempingu u państwa Legayów, na wakacjach. Mieliliśmy też tu trochę znajomych, którzy kusili nas i kusili, aż wreszcie podjęliśmy decyzję, że się jednak przenosimy. W Czaplinku był wolny etat, ale jak zaczęliśmy oficjalne starania, zaczęły się schody. Kierownikiem przychodni był wówczas dr Matuszewski, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni, ale chyba nie był zainteresowany, żeby drugi lekarz przyszedł do Czaplinka.

Chcąc nas zrazić, oferowano na byle jakie mieszkanie, ale dzięki pomocy p. Marysi Fiksińskiej żeśmy zrealizowali swój plan. Otóż podpowiedziała nam ona, że tu gdzie mieszkała przy ul. Pławieńskiej, zwalnia się ładne mieszkanie. Zagroziłam wtedy w Szczecinku, że odejdę, jeśli nie zostaną przeniesiona do Czaplinka. W efekcie wszystko się udało, i 1 września 1965 r. zamieszkaliśmy tutaj i nigdy tego nie żalowaliśmy, jakkolwiek różnie układała się współpraca z władzami w pewnym okresie. Bo ja nigdy nie byłam taka bardzo pokorna. Na początku, jak tu zamieszkaliśmy, byłam nawet dwie kadencje radną, ale później wycofałam się z pracy społecznej, bo specjalnie owoców jej nie widziałam.

Po odejściu doktora Matuszewskiego byłam krótko kierownikiem ośrodka. Praca była absorbująca, i nadal brakowało mi czasu dla moich małych dzieci, a dla mnie rodzina jest najważniejsza, jest największą wartością. Więc gdy po mnie ośrodek objął dr Redosz, byłam zadowolona, bo to ujęło mi pracy. Ale nie byłam zadowolona z istniejących w pracy układów, a ponieważ nie mam łokci, nie umiem się przepychać, i należę do osób w miarę kulturalnych i pewnym językiem też nie umiem przemawiać, w czerwcu 1978 r. odeszłam z Czaplinka. I to mimo ogromnej presji przyjaciół, a szczególnie dr Wróblewskiego, który był wówczas Lekarzem Wojewódzkim. On bardzo sympatyzował z Czaplinkiem i jest tu często wspominany. I ja bardzo mile go wspominam. Mieszka obecnie w Trójmieście i mamy z nim luźne kontakty. Była więc z jego strony wielka presja żeby zostać, i prosił bym zmieniła swą decyzję. Byłam jednak stanowcza i nie odstąpiłam od niej. Niemniej, jako miejsce pracy i ludzie, których tu poznałam, zawsze sobie bardzo ceniłam i często odbieram i o sobie pozytywne opinie.

Od czerwca 1978 r. byłam ordynatorem Oddziału Reumatologii w uzdrowisku w Połczynie Zdroju. Zrobiłam wtedy drugą specjalizację II stopnia



Szczęśliwa para.

z balneoklimatologii medycyny fizykalnej. W 1984 r. objęłam stanowisko dyrektora ds. lecznictwa uzdrowiskowego i przepracowałam na nim 7 lat - do odejścia na emeryturę w 1991 r. Pracując w uzdrowisku miałam troszkę takich swoich zawodowych sukcesów, bo byłam współorganizatorem Światowego Kongresu Immunologicznego w Połczynie Zdroju w 1988 r. Był to jak dotąd jedyny światowy kongres w tym mieście. Byłam też właściwie twórcą Ośrodka Klinicznego Reumatologii AM. Otóż, jako absolwentka AM, mająca stałe kontakty z uczelnią, zaproponowałam w 1985 r. dyrektorowi uzdrowiska utworzenia w Połczynie Zdroju Ośrodka Klinicznego Instytutu Reumatologii Poznańskiej Akademii Medycznej pod egidą prof. Marciewicza (liczące się nazwisko w reumatologii polskiej). Bo też wtedy od wielu lat w Połczynie Zdroju Ośrodek Kliniczny Ginekologii Gdańskiej Akademii Medycznej. Sławne było wtedy powiedzenie „*Chcesz mieć córkę, albo syna to jedź do Połczyna*”. Ale niestety teraz wszystko to padło, pada w ogóle idea uzdrowisk. Dzisiaj preferuje się raczej profilaktykę, a nie lecznictwo. Kiedyś w uzdrowisku kontynuowano leczenie i rehabilitację, a dzisiaj nie wiadomo, co ma się tam robić, niedobrze się dzieje.

Praca w uzdrowisku była bardzo ciekawa i ciekawe były kontakty z różnymi ludźmi. Od dwóch lat ponownie pracuję w uzdrowisku, ponieważ poszukano mnie, bo balneologów jest niewielu. Mam 25-cio łóżkowy oddział i sprawuję nadzór nad bazami zabiegowymi we wszystkich obiektach sanatoryjnych. Praca przyjemna, niestresująca, satysfakcjonująca, i w mojej specjalności. Jeździć lubię, samochód jest moją pasją nawet, czuję się dobrze za kierownicą, więc dojazdy mnie nie męczą.

Mam troje dzieci, z których dwoje związało swoje losy z Czaplinkiem. Wojtek, najstarszy z nich, jest po dwuletniej szkole radiokomunikacji morskiej. Stan wojenny spowodował, że zawodowo nie zrealizował się. Wyjechał wtedy na pięć lat do USA z zamiarem pozostania, ale stwierdził, że Ameryka to nie to, i wrócił do Czaplinka. Zdał trudne egzaminy państwowe, z czego jestem dumna, i po uzyskaniu certyfikatu, założył i prowadzi biuro nieruchomości. Syn ma jedną córeczkę, czternastoletnią Ninę.

Natomiast średnia córka Dorota skończyła Wydział Zootechniki Akademii Rolniczej w Poznaniu i zajmuje się hodowlą psów rasowych. I też jestem z niej dumna, bo byli ze swym mężem pierwszymi hodowcami tej rasy psów. Żyją z psów i jakoś sobie radzą. Córa ma syna w wieku 26 lat, spełnionego plastyka, w przeciwieństwie do córki, która jest uzdolniona plastycznie i bardzo żałuje, że za namową rodziców, nie poszła na szkołę plastyczną, ponieważ była zafascynowana w tym czasie końmi i stąd wybór zootechniki. Ja jednak uważam, że jeszcze powinna zająć się plastyką.

Natomiast najmłodsza córka pracuje w bankowości, mieszka w Słupsku i ma troje dzieci. Najstarsza nasza wnuczka, 28-letnia jest od 3 lat w Australii. Za rok będą mieli obywatelstwo australijskie. Czy na stałe tam zostaną, nie wiem, może wrócą. Wczoraj przez telefon mówiła mi, że to piękny kraj, ale tęsknota za Polską i rodziną jest ogromna, bo ona jest taka bardzo rodzinna. Może traktują swój wyjazd jako przygodę, bo mają tam nurkowanie na najpiękniejszych na świecie rafach i docierają do różnych cudownych miejsc. Ale wierzę, że wrócą kiedyś.

Czyli mam razem sześcioro udanych wnuków. A babcią zrobiła mnie najmłodsza córka, która ma trójkę dzieci, tak jak i my. Nasz drugi wnuk jest na Uniwersytecie Poznańskim i studiuje dwa kierunki jednocześnie politologię i zarządzanie sportem – to nowy kierunek powstały w ubiegłym roku, finansowany przez Unię.

Mąż pochodzi z rodziny budowlanców i zawsze jego marzeniem było mieć własny dom,

ja natomiast byłam wrogiem, bo uważałam, że wtedy tak się zwiążemy z tym miejscem, że się nie ruszymy. Kiedy po śmierci rodziców męża odziedziczyliśmy niewielki spadek, zaczęliśmy w 1975 r. budowę domu przy ul. Drahimskiej. W 1980 r. wprowadziliśmy się do niego, a w tym roku, po raz pierwszy, zrobiliśmy elewację. Troszkę jest za duży dla nas.

Na czołowym miejscu wśród moich hobby jest nadal plastyka. Ciągłe mówię sobie, że jeszcze się zrealizuję, jak... pójdę na emeryturę. A dzieci pytają: „*A kiedy mamó?*”. No nie wiem, co im odpowiedzieć. Wnuk, ten, który jest już tym magistrem, a który skończył fotografię i multimedia-internet (taki nowy ciekawy wydział), pyta mnie: „*Babciu, kiedy ty chwycisz za aparat fotograficzny?*”. I jemu też odpowiadam, że jak pójdę na emeryturę.



Uroki jesieni.

Drugą taką moją pasją jest turystyka, i to razem z mężem. Lubie podróżować. Europę prawie całą zwiedziliśmy. Trochę pozwiedzaliśmy też inne kontynenty. Byliśmy 6 razy w USA, które przejechaliśmy wzdłuż i wszerz. Ale największą frajdę to chyba sprawiła nam wyspa Oahu, Honolulu, piękne plaże hawajskie. Troszeczkę jeszcze nas ciągnie do świata, ale czy zdążymy to nie wiadomo. Wpadliśmy od trzech lat w grono młodszych ludzi, którzy zarzili nas pasją zwiedzania tego rejonu. Turystyka rowerowa i sływy. Byliśmy trzy tygodnie temu na j. Komorze, które opłynęliśmy, kończąc przygodę ogniskiem. No i jest jeszcze literatura psychologiczna i troszeczkę ta związana z medycyną. Ale największą moją pasją jest moja rodzina.

Przepracowałam 50 lat. Mój zawód nie sprawił mi zawodu. Były dobre i złe chwile. Los wcisnął mnie w świat cudownych ludzi, świat przyjaźni, świat radości. Wokół mnie było dużo życzliwości ze strony pacjentów i współpracowników. Pierwsze lata pracy zawodowej w Czaplinku utrwaliły się szczególnie. Nie sposób wymienić wszystkich, którym chciałabym podziękować, ale szczególnie dziękuję pani Edycie i Stanisławowi Hojdysom, za to, że jako pierwsi odkryli przed nami uroki tych okolic. Dziękuję za pracowitość, kompetencję zawodową, dużą kulturę osobistą i umiejętność współpracy: pani Helenie Jurewicz, pani Marii Grzyb, pani Helence Mierzejewskiej, pani Hani Krzywickiej i panu Marianowi Dzienisowi. Moim dzieciom dziękuję za duże zrozumienie specyfiki mojego zawodu i wsparcie na co dzień. A za niewyczerpaną miłość i dobroć dziękuję mojemu mężowi.

10. JESTEM BARDZO ZADOWOLONY, IŻ ZWIĄZAŁEM SVOJE LOSY Z CZAPLINKIEM

(Wspomnienia Henryka Stachury)

Urodziłem się 15 grudnia 1945 r. w Borku Wielkopolskim. Mój starszy brat Zdzisław urodził się w 1937 r., także w Borku Wielkopolskim. Nasz ojciec Wojciech, pochodził z rolniczej wielkopolskiej rodziny. Jako 17-letni ochotnik walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, został awansowany do stopnia porucznika i w 1938 r. był oficerem żywnościowym w 1 Morskim Pułku Strzelców w Wejherowie. We wrześniu 1939 r. walczył w szeregach pułku w obronie Oksywia, i za wykazane męstwo na polu walki otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. Jemu też przypadł, po śmierci chorążego, zaszczytny obowiązek ukrycia, przed kapitulacją, pułkowego sztandaru. Całą wojnę ojciec przebywał w niewoli niemieckiej, w tym w Oflagu IID Gross Born (Borne Sulinowo), gdzie doczekał się wyzwolenia. Po wyzwoleniu ojciec podjął przerwana wojną służbę wojskową. W sierpniu 1945 r. został przeniesiony do Morskiego Pułku Szkolnego w Gdyni Okywiu, gdzie w stopniu kapitana pełnił obowiązki oficera żywnościowego.

Moja mama Salomea z d. Marczevska pochodziła, jak i ojciec, z poznańskiego. Zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. W marcu 1946 r. ojciec został przeniesiony na stanowisko kierownika wyszkolenia wojskowego w Szkole Specjalistów Morskich na Okywiu, a następnie w 1947 r., po awansie na stopień majora, do Kierownictwa Administracyjno-Technicznego Marynarki Wojennej. W 1951 r. awansował na stopień podpułkownika, i został szefem sztabu Szefostwa Tyłów Marynarki Wojennej, a następnie szefem wydziału Organizacji i Planowania ds Technicznych i Uzbrojenia. W okresie rozpetanej nagonki na kierownictwo Marynarki Wojennej i pokazowych procesów, ojciec mój przeszedł w 1952 r. na emeryturę. Rodzina moja przenosi się wówczas do Borku Wielkopolskiego, z którego wywodził się ród mojej matki. Ojciec dorabiał tam do skromnej emerytury pracując w GS. Zmarł w 1960 r., w wieku zaledwie 50 lat. Jest pochowany na cmentarzu w Borku Wielkopolskim.

Do szkoły zacząłem chodzić w Borku Wielkopolskim. Po ukończeniu szkoły ogólnokształcącej w Gostyniu, podjąłem studia na Akademii Medycznej w Poznaniu. W czasie studiów było nam bardzo ciężko finansowo, bo ojciec już wtedy nie żył i mama miała po nim groszową emeryturę, mimo, że odszedł on z marynarki z wysokim stopniem wojskowym i miał wysokie odznaczenia. Był niestety oficerem przedwojennym, a nie z tych, o których mówiono „*nie matura lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera*”. Mama zmarła w 1977 r. Żyje jeszcze w moim rodzinnym miasteczku jej brat, oraz mój wujek i ojciec chrzestny, który ma obecnie 97 lat. Mimo tak zaawansowanego wieku jest absolutnie zdrowy i dotąd samodzielnie prowadzi samochód. W 1939 r., jako podchorąży dostał się do niewoli i przebywał w obozie jenieckim pod szwajcarską granicą. Nie bardzo było wiadomo, czy on z wojny wróci i ochrzczono mnie, dwulatka, na jego cześć imieniem Henryk. Ale on wrócił i zawsze, jak pamiętam coś go bolało. Po wojnie skończył leśnictwo, ale cały czas pracował w branży drzewnej, nie w lesie. W jakiejś fabryce parkietów, a potem mebli, jako technolog. Widać długowieczność się udziela, bo żyje też jego żona, która ma 90 lat. Rodzina ojca mieszkała w okolicach Kępna, i nikt już z jego pokolenia nie żyje.

Po ukończeniu Akademii Medycznej w 1969 r. trafiłem na staż do Kołobrzegu. To był mój świadomy wybór, wynikający z tego, że lata dziecięce do szóstego roku życia spędziłem nad morzem w Gdyni na Oksywiu, i mnie to morze ciągnęło. Mieszkaliśmy na osiedlu marynarki wojennej i widok wody od dzieciństwa mi towarzyszył.

Po odbyciu stażu lekarskiego zostałem lekarzem naczelnym sanatorium „Ikar”. Tam też odbyłem, jako lekarz roczną służbę w jednostce wojskowej. W tamtych czasach, chciałeś, nie chciałeś dostawałeś po studiach stopień podporucznika i wcielali cię do wojska. Nie było dyskusji, ponieważ nasza służba medyczna miała zabezpieczać Pakt Warszawski pod względem medycznym. Dlatego brano wszystkich w „kamasze”, jak to niezbyt dawno chciał zrobić wicepremier Dorn. Odbyłem rok pracy w jednostce wojskowej, w której razem ze mną było 180 osób. Było to bez sensu, ale takie były czasy. Był to stacjonujący w Kołobrzegu dywizjon artylerii raketowej, w którym podstawowym sprzętem były rosyjskie „Katusze” wyprodukowane w 1948 r. Po przeszkoleniu zostałem awansowany na stopień porucznika Wojska Polskiego, i byłem wzywany na okresowe przeszkolenia, między innymi w Budowie. Szkoda, że piękne obiekty w Budowie, jak dom komendanta, przystanie nie służą celom cywilnym. W czasie pracy w Kołobrzegu należałem do harcerskiego klubu morskiego „Joseph Conrad”. Zdobyłem w tym czasie patent morskiego sternika jachtowego i odbyłem kilka rejsów morskich.

Do Czaplinka przyjechałem powodowany względami rodzinnymi w 1978 r. Rok był pamiętny, bo wybrano wtedy naszego papieża i przyszła zima stulecia. Pracę rozpocząłem jeszcze w starej przychodni, która była bardzo ciasna i panowały w niej złe warunki. Był tam gabinet ginekologiczny, laboratorium analityczne i 3 gabinety lekarskie. Kierownikiem był wówczas dr Edmund Zajul, który niezadługo potem zrezygnował z tej funkcji i Zespół Opieki Zdrowotnej w Drawsku Pom. powołał mnie w jego miejsce. Powierzono mi wtedy jednocześnie obowiązki kierownika Pogotowia Ratunkowego.

Następnego roku powstał Społeczny Komitet Budowy nowej przychodni, któremu przewodził śp. mgr Tadeusz Zakrzewski, kierownik apteki. Zaczął on bardzo mocno działać z niezującym już Leonem Krzykaczem, Jurkiem Góralczykiem ówczesnym Naczelnikiem Miasta. W tej grupie znalazłem się i ja. Dotarliśmy do Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia (NFOZ). Z wielką siłą wymusiliśmy na nich, żeby budowa tej przychodni ruszyła. Tadeusz był takim „*spiritus movens*” przy budowie nowej przychodni przy ul. Wałeckiej. Ile się on się tam nabiegał, nachodził! Bardzo mu pomagał jego przyjaciel, Lekarz Wojewódzki Leszek Wróblewski. Także mój brat Zdzisław, który wówczas pracował w Ministerstwie Przemysłu, położył duże zasługi przy budowie przychodni, pomagając uzyskać przydziały reglamentowanych materiałów budowlanych. Wielu ludzi mówiło, że im kaktus na dłoni wyrośnie, jak zostanie zbudowana nowa przychodnia. No i na przekór ich krakaniu budowa przychodni ruszyła w 1981 r. i jakoś szczęśliwie udało się ją doprowadzić do końca. Uroczyste otwarcie nowej przychodni nastąpiło w 1981 r.

Znałem bliżej mgr Tadeusza Zakrzewskiego oraz jego żonę Żanetę. To byli znakomici ludzie. On był gdańszczaninem, a ona lwowianką. Oboje skończyli studia w Gdańsku. Ich córka Mirka ma aptekę w Koszalinie. Tę aptekę budował Zakrzewski ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia.

W nowym ośrodku zdrowia były 3 gabinety lekarskie (dr K. Karluk, dr E. Zajul i ja), 2 gabinety stomatologiczne, laboratorium, gabinet zabiegowy, i na dole pogotowie, 3 gabinety pediatryczne i gabinet zabiegowy pediatryczny. A więc było tak jak należy. Nowy ośrodek budowano z uwzględnieniem potrzeb wojennych – betony, olbrzymie korytarze.



Otwarcie nowego Ośrodka Zdrowia.

Wszyscy byli szczęśliwi przenosząc się do nowych, dobrze wyposażonych gabinetów. Kierownikiem tej przychodni byłem do roku 1999, kiedy zaczęły po reformie służby zdrowia powstawać niezależne niepubliczne zakłady opieki zdrowotnej. Założyliśmy wtedy z lekarzami Krystyną i Jarosławem Karlukami Spółkę z o.o. Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej o nazwie „*Medyk*”, którą kieruje dr J. Karluk.

Przychodząc do Czaplinka miałem specjalizację I stopnia z chorób wewnętrznych, i kiedy utworzono specjalność lekarza rodzinnego, zrobiłem w 1987 r. specjalizację II stopnia w tym zakresie. Od tej pory mam te dwie specjalizacje.

Około roku 1983 r. podjąłem decyzję budowy domu jednorodzinnego. A właściwie podjęliśmy ją wspólnie ze śp. Bolkiem Koblańskim, który był wtedy Naczelnikiem Miasta i Gminy Czaplinek. Znaleźliśmy te działki, na Dworcowej, a że Bolek był moim krajanem, wielkopolaninem i przyjaźniliśmy się, kupiliśmy sąsiednie działki i postawiliśmy domy. Ludzie się śmiali, bo kupiliśmy gotowe domy drewniane z Białogardu, a nie budowaliśmy betonowych bunkrów.

Także w Czaplinku uprawiałem żeglarstwo. Nie było jeszcze wtedy na j. Drawsko większych łódek kabinowych. Taką większą, pierwszą łódkę „*Venus*”, sprowadził tu mój przyjaciel Wojtek Lewandowski, który jest obecnie adwokatem w Złocieńcu. Myśmy razem studiowali w Poznaniu. On skończył prawo. Kiedy tę łódkę sprowadził około roku 1980, był problemy z jej zwodowaniem. Dopiero koło milicyjnego hangaru udało się to zrobić. Drugim takim zapalonym żeglarzem był Andrzej Desko, nieżyjący już. Był dyrektorem ekonomicznym w przedsiębiorstwie rybackim w Kołobrzegu. Ściągnął tu jacht z przerobionej łodzi ratowniczej ze statku handlowego. Miała żagiel gafflowy i była to bardzo dzielna żaglówka.

Tak więc związałem swoje losy z Czaplinkiem. Tu się urodził syn, który po dziadku otrzymał imię Wojciech. Skończył on w ubiegłym roku medycynę, ożenił się z lekarką i pracują razem w szpitalu w Pile. Córka Hania jest studentką IV roku chemii i II roku fizyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dzieci chyba do Czaplinka nie

wrócą, bo syn preferuje pracę kliniczną, a córka zamierza po studiach pracować naukowo.

Brat Zdzisław wraz z rodziną mieszka w Warszawie. Jak słyszałem, zaraz po wojnie, leczył ludzi w Czaplinku niemiecki lekarz dr Prettin. Po nim w 1948 r. leczył felczer Sitnicki. Wtedy już mieszkali w Czaplinku państwo Hojdysowie, którzy otworzyli gabinet stomatologiczny. W 1950 r. kierownikiem przychodni lekarskiej był dr Kozakiewicz. Zastąpił go w 1956 r. dr Matuszewski. Także w 1956 r. przyjechali, po ukończeniu szkoły felczerkiej, Stefan Jurewicz i Wójcik (który był w Broczynie). Potem przybył do Czaplinka dr Redosz i dr Oskroba – to wszystko działo się przed 1978 r.

Gdy przyjechałem do Czaplinka, pracował jeszcze śp. Stanisław Hojdys, który prowadził gabinet stomatologiczny. W 1979 r. osiedlił się w Czaplinku stomatolog dr Koziński, który pracował jeszcze z dr S. Hojdysem. Po nim przybyli do miasta stomatolodzy pani dr Lasocińska, a w rok po niej jej mąż. Mieli gabinety początkowo tam, gdzie są obecnie biura Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Wałęckiej. Potem przenieśli się do nowej przychodni. Po kilku latach wyjechali z Czaplinka. Pracował też już wtedy śp. dr Widła, który potem przeniósł się do Gorzowa i tam zapracowany umarł. Kierownikiem przychodni po doktorze F. Redoszu został w 1975 r. dr Zajul, a jego żona Antonina przełożoną pielęgniarek. Z pielęgniarek pracowały panie: Jurewicz, Krzywicka, Sobkowska, Badek, Mierzejewska, Grzyb Maria. Pracował też felczer Stefan Jurewicz i lekarskie małżeństwo Krystyna i Jarosław Karlukowie. Natomiast w tym czasie nie pracowała już pani dr Janina Marcewicz, która odeszła do sanatorium w Połczynie Zdroju. I tak tam pracowaliśmy, aż do oddania nowej przychodni.



Pracownicy przychodni. Stoi z prawej dr F. Redosz. Klęczą od prawej dr Bolanowski i M. Dzienis.

Jak przyszedłem do Czaplinka istniała jeszcze Izba Porodowa, którą prowadziła Halina Ciecharowska. Izba Porodowa przeszła wtedy remont kapitalny i istniała do 05.04.1988 r., a to wiem dlatego, że moja córka Hania jest ostatnią osobą w niej urodzoną - ostatnią czaplinianką. Potem nie było już tam porodów, bo wszedł taki przepis, że porody muszą

odbywać się w szpitalu i izby porodowe zostały zlikwidowane. Jest w tym o tyle sens, że szpital zapewnia lepszą opiekę prenatalną, a ciąż zagrożonych jest teraz dużo więcej niż dawniej. Dlatego teraz te porody muszą odbywać się w szpitalu, gdzie istnieje możliwość udzielenia szybkiej pomocy. Mój syn Wojtek natomiast, się urodził w szpitalu w Połczynie Zdroju.

Pogotowie ratunkowe w Czaplinku istniało już parę lat przed moim przyjazdem. Siedzibę miało tam, gdzie przychodziła na Sikorskiego. Była też w Czaplinku karetka – „*Nysa*”. Dyżury w pogotowiu pełnili lekarze z przychodni w Czaplinku. Potem pogotowie się przenieśli do nowego budynku przy ul. Waleckiej. A ponieważ zmieniono zasady ratownictwa, pogotowie nadal działa. Ten problem z lekarzem w pogotowiu nie jest aż tak wielki. Myśleliśmy początkowo, że będzie on większy. Do grudnia zeszłego roku lekarz rodzinny, także po godzinach pracy, musiał udzielać pomocy lekarskiej na wezwanie telefoniczne. Od 1 stycznia zaszły zmiany w pracy lekarzy rodzinnych. Teraz jest jeden lekarz dyżurny na rejon: Złocieniec, Wierzchowo, Worowo i Czaplinek.

Niestety, jak wiele lat temu, ponownie zaczyna brakować lekarzy. Nie tylko u nas. W Złocińcu brakuje 2 lekarzy. Płace są już nie najgorsze, lecz warunki pracy są tragiczne i dlatego młodzi lekarze uciekają za granicę. Bywało, jak byłem sam, że przyjmowałem ponad sto osób dziennie. A w szpitalu jest się na oddziale, ma się tę salę, czy ileś tam pacjentów. To zupełnie inna praca. Młodzi nie garną się do pracy na prowincji jako lekarze rodzinni. W zeszłym roku na szkolenia organizowane w Wielkopolsce przez Wojewódzki Ośrodek Szkolenia, na medycynę rodzinną zgłosiły się dwie osoby. Średnia wieku lekarzy w Czaplinku przekroczyła 50 lat, i kilku z ich szykuje się do przejścia na emeryturę.

Nasza przychodnia przy ul. Waleckiej pilnie wymaga modernizacji. Dotychczas wstawiono jedynie nowe okna i podjazd. Podłogi są skandaliczne. Parę razy już przychodzili i mierzyli je, mieli kłaść wykładzinę, ale nic z tego nie wyszło. Mimo, że budynek przychodni jest własnością miasta, nie ma z kim rozmawiać. W pewnym okresie nasza trójka lekarzy i stomatolodzy chcieli ją kupić, ale jak nam policzono cenę za 1 m², to wyszło tak, jak za salon jubilerski w centrum Warszawy. A przecież obiekt wybudowany został ze składek społecznych na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia - to nie były miejskie pieniądze.

Dużo zmieniło się w medycynie od czasu, kiedy podjąłem praktykę lekarską. Pamiętam słynną zimę stulecia, kiedy do porodów jeździliśmy przysłanymi przez wojsko transporterami opancerzonymi. Tylko nimi udawało się dojechać do Czarnego Wielkiego do chorego, czy do rodzącej do Trzcina. Dowieźliśmy ją do Czaplinka i poród odebrany został w izbie porodowej. W przychodni „*zimowała*” załoga karetki, która przywiozła z Radomia czy z Rzeszowa do Połczyna Zdroju na rehabilitację pacjenta i w powrotnej drodze ugrzęzła w Czaplinku.

A tak ciągle praca, praca, dom, rodzina. Przede wszystkim książki, ponadto czasopiśma specjalistyczne – ciągle coś nowego. Wiedza medyczna w ciągu 10 lat zmienia się o 100 %. To, czego nas uczono, to oczywiście poza osłuchaniem płuc, serca itd., uległo całkowitej zmianie. Diagnostyka – kiedyś nie do pomyślenia - te wszystkie metody badawcze przy chorobach serca i wielu innych chorobach. Chociażby to USG. Choćby ten super ośrodek kardiologii działający w Szczecinku. Telemetryczna łączność telefoniczna. Od razu podają czy pacjenta wieść, czy nie wieść. Pacjent w ciągu godziny jest na stole. W chorobie wieńcowej *koronarografia*, *stenty*, czy *bypassy*! Mamy już tu w Czaplinku wiele osób, którym dzięki tym nowoczesnym zabiegom uratowano życie. To jest super sprawa. I pacjent dzisiaj leży w szpitalu 3-4 dni, a nie jak kiedyś, co najmniej miesiąc.

Utrzymuję stały kontakt z kolegami ze studiów medycznych. Jakies dziesięć lat po studiach zorganizowaliśmy zjazd absolwentów Wydziału Medycznego AM w Poznaniu. Koledzy są rozsiani po całym świecie - od RPA, poprzez Australię, Stany Zjednoczone, po Niemcy. Paru z nich zostało profesorami. Teraz większość jest już na emeryturach. Ale kiedyś bardzo mi pomagali. Jak trzeba było załatwić jakieś miejsce dla pacjenta, czy gdy się gdzieś jechało. Tworzymy taką sympatyczną grupę. I to jest bardzo fajne. Lecz musi być ktoś w tym Poznaniu, kto to organizuje. Jeden z tych promotorów zajmuje się historią medycyny, przepięknie. Jeden z chirurgów, który mieszka w RPA, opowiadał nam, co się tam działo, gdy Mandela objął władzę. I mimo, że kolega ten był w szpitalu szefem chirurgii i bardzo go szanowano, to musiał dostać uzbrojoną obstawę, bo straszne rzeczy się działy. Jego żona i córki już wyjechały z RPA, a on jeszcze będzie pracował tam 2 lata, żeby uzyskać uprawnienia emerytalne i potem też wróci do Polski. Mam też kolegę ze studiów, który jest sekretarzem Związku Literatów w Polsce. Wśród moich kolegów z grupy jest też sława poznańskiej chirurgii profesor Drews, a także 3 profesorów psychiatrii. Ci, co zostali w Poznaniu, siłą rzeczy zrobili tytuły naukowe. Poziom polskiej medycyny był zawsze bardzo wysoki, tylko niestety technicznie jesteśmy jeszcze daleko. Szczególnie w onkologii, gdzie każdy dzień zwłoki w leczeniu jest tragedią. Mamy sławy absolutne, tylko nie mamy leków, które są piekielnie drogie. Nie mamy też dostatecznej ilości aparatury do naświetlań. Dokonuje się postęp, ale szkoda, że tak powolny.

Od chwili mojego przyjazdu do Czaplinka minęły już 32 lata. Z tej perspektywy oceniam je jako udane, i jestem bardzo zadowolony z podjętej wówczas decyzji.

11. ŁASKAWY LOS ZETKNAŁ NAS NA SWOJEJ DRODZE

(Wspomnienia Edmunda Zajula)

Urodziłem się 23 listopada 1938 r. w gajówce Merczanka, leżącej nad rzeką o tej samej nazwie, dopływem Wilii. To kiedyś była Polska, lecz dzisiaj należy do Litwy. Przed Litwą była to republika Związku Radzieckiego. Ojciec miał na imię Franciszek, a mama Helena. Mama pochodziła z zubożałej szlachty i zajmowała się domem. Byłem najmłodszy z trójki ich dzieci. Z rodzeństwa żyje jeszcze moja najstarsza siostra Edyta, która ma obecnie 78 lat i mieszka w Szczecinku. Miałem też średniego brata Mariana, który był inżynierem leśnikiem. Zginął tragicznie w 1959 r. w wieku 25 lat.

Ojciec był przed wojną starszym gajowym i takim, powiedzmy sobie, łowczym dla ludzi na stanowiskach. Puszcę Rudnicką znał jak własną kieszeń oraz bardzo dobrze strzelał. Prowadził na polowania znane osobistości, jak prezydent Ignacy Mościcki, Felicjan Sławoj-Składkowski i innych. Od Sławoj-Składkowskiego, jako Premiera RP, otrzymał dwa dyplomy oraz krzyże zasługi na polu łowieckim - brązowy i srebrny. Gdy po wybuchu wojny wkroczyła Armia Czerwona, ojciec musiał się ukrywać, ponieważ leśników, tak samo jak urzędników państwowych i wojskowych, wyłapywano i wywożono na „białe niedźwiedzie”, lub do Katynia. Wstąpił, do powstałego na początku okupacji, Związku Walki Zbrojnej, a później był w Armii Krajowej, w Okręgu Wileńskim. Jego oddział operował w Puszczy Rudnickiej, a jego dowódca nosił pseudonim „Żbik”, albo „Ryś”, już nie pamiętam. A że ojciec znał doskonale puszcę, aż po Białowieżę, był w partyzantce przewodnikiem. Znał wszystkie ścieżki i potrafił unikać zasadzek organizowanych przez okupantów. W czasie wojny widziałem go tylko dwa razy i to przez okno. Tylko te dwa razy udało mu się przedostać do wsi Rudniki odległej o 30 km od Wilna, w której spędziliśmy całe 5 lat okupacji.

Mama nie pracowała i było jej bardzo ciężko utrzymać trójkę dzieci. Aby jej pomóc, ciocia, której małżeństwo było bezdzietne, wzięła mnie do siebie. Praktycznie więc wychowywałem się u niej, aż do powrotu ojca z partyzantki. Z tego okresu zapamiętałem, jak pewnego dnia do naszej wioski przyjechał wzmocniony oddział niemiecki, szykując oblężenie na partyzantów i mama kazała mnie i siostrze biec do lasu, nad rzekę, gdzie biwakowali i ostrzec ich. Pobiegliśmy i powiedzieliśmy im, że Niemcy są we wiosce i szykują oblężenie. Kiedy Niemcy dostali od partyzantów łupnia, przysłali następny wzmocniony oddział, który obstał wioskę. Dwóch z partyzantów, którzy przebywali w tym czasie we wiosce uciekało przez nasz dom, który sąsiadował z lasem. Biegł za nimi potężny Niemiec, który po dobiegnięciu do domu chciał wrzucić do wnętrza trzymany w ręku granat. Na szczęście, nasza sąsiadka, która służyła u Niemców i znała dobrze ich język, przekonała go by tego nie czynił. Jednak „zgarnięto” nas i dobę byliśmy więzieni za drutami kolczastymi. Zapewne by nas wywieźli, ale ta sąsiadka znająca język niemiecki, zebrała kosz jajek i innych wiktuałów i nas wykupiła. Te dramatyczne wydarzenia głęboko zapadły mi w pamięć.

W 1944 r., gdy zbliżył się front, Wileński i Nowogrodzki Okręg AK przeprowadziły, we współdziałaniu z Armią Czerwoną, akcję wyzwolenia Wilna pod kryptonimem „Ostra brama”. Potem nakazano polskim partyzantom zgromadzić się w Puszczy Rudnickiej

i złożyć broń. Część z nich została internowana, a część, korzystając z pomocy takich jak mój ojciec przewodników, uciekła z okrażeń. Wielu z nich zostało potem żołnierzami Wojska Polskiego, a część podjęła walkę z sowietami. Ojca złapało NKWD i po skrępowaniu rąk drutem kolczastym, prowadziło prawdopodobnie na rozstrzelanie, ale na szczęście odbili go partyzanci z oddziału Narodowych Sił Zbrojnych. Od tego czasu musiał nadal się ukrywać - jak za okupacji niemieckiej.

Moje osobiste wspomnienia z tego okresu, z kontaktów z żołnierzami rosyjskimi są natomiast sympatyczne. To byli bardzo biedni ludzie, nędźnie ubrani i prawie zagłodzeni. Chodzili po mieszkaniach i prosili, by im dać coś do jedzenia. Pamiętam jak przyszedł kiedyś do nas taki żołdat, średniego wzrostu, z wąsem. Miał na imię Safin i pochodził chyba ze stepów. Zapytał ciocię: „*Mamasza, pakupisz piesok?*” A myśmy nie wiedzieli co to jest ten „*piesok*”, a to był po prostu cukier trzcinowy. To był wtedy bardzo deficytowy towar i ciocia, gdy się zorientowała o co chodzi, mówi: „*Oczywiście, kupię.*”. Wyciąga ten żołnierz „*mieszok*” z cukrem i daje cioci, która w zamian daje mu bochen chleba i kawał słoniny. A słonina tam była! Na dłoń! Taka solona słonina to była pycha! (Już po zamieszkaniu w Czaplinku robiliśmy czasem taką słoninę i bardzo nam smakowała). Jaki ten „*soldat*” był ucieszony! Niesamowicie.

Pamiętam też drugiego, który nazywał się Wasia i był kierowcą. Rozbił kiedyś samochód i był przerażony, bo groził mu sąd polowy i rozstrzelanie. Bo u nich sprzęt był droższy niż życie człowieka. A że mój ojciec chrzestny był kowalem - „*złotą rączką*”, to pomógł Wasi zreperować samochód, ratując mu życie. Pamiętam jak ten, bardzo uradowany, woła do mnie: „*Rebionok, sadiś w maszynie, pajediem*”. Wskoczyłem do kabiny i pojechaliśmy ze dwadzieścia kilometrów w stronę Wilna. Był bardzo szczęśliwy, że uratował życie. Tacy byli szeregowi żołnierze - w przeciwieństwie do NKWD, które miało białe kożuszki, czapeczki barankowe i nie wyglądało na zabiedzonych.

Po zakończeniu wojny Rosjanie stworzyli tam Socjalistyczną Republikę Litewską i postawili Polakom zamieszkującym te tereny ultimatum - albo przyjmują obywatelstwo radzieckie, albo wyjeżdżają do Polski. Nasza decyzja była jednoznaczna - wyjeżdżamy. Przyjechaliśmy do Szczecinka tuż przed Wielkanocą, w Wielką Sobotę 1946 r. Pierwsze dni spędziliśmy w Powiatowym Urzędzie Repatriacyjnym (PUR). Później ojciec znalazł mieszkanie przy ul. Winnicznej 5 i tam zamieszkaliśmy. Ojciec, obawiając się ujawnienia AK-owskiej przeszłości oraz grasujących w lasach niedobitków, nie wrócił do zawodu leśnika, lecz podjął pracę na kolei i przepracował na niej aż do emerytury.

We wrześniu 1946 r. rozpocząłem naukę w szkole podstawowej. Po jej ukończeniu poszedłem do Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinku. Zamierzałem początkowo, po skończeniu liceum, podjąć studia na leśnictwie, bo to był zawód rodzinny. Jeszcze „*za cara*” dziadek był gajowym, a ojciec przed wojną starszym gajowym. Także starszy brat obrał ten zawód, i po wojnie skończył studia na tym kierunku, zostając inżynierem leśnikiem. Dziadek był bardzo zdrowy i silny, jedną ręką podniósłby człowieka mojej postury. Zmarł w 1943 r., kiedy taka ostra zima była, kiedy to Niemcy brali bity pod Stalingradem. W czasie srogich mrozów w lutym, dziadek, przechodząc po kładce nad Mereczanką, wpadł do rzeki, dostał zapalenia płuc i w wieku 85 lat zmarł. Otóż moim planom zostania leśnikiem, jak dziadek, ojciec i brat, ostro sprzeciwiła się mama, która powiedziała: „*W rodzinie mamy za dużo leśników*”. Zgodziłem się z nią i powiedziałem dobrze, to ja idę na medycynę. Bo już wcześniej interesowała mnie biologia i anatomia. W siódmej klasie była nauka o człowieku i bardzo ten przedmiot mnie interesował. Bez kłopotów, za

pierwszym podejściem, zdałem egzamin wstępny na Wydział Lekarski Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie.

W trakcie studiów odbyłem sześciotygodniowe szkolenie wojskowe (podchorążówkę) w Stargardzie Szczecińskim. Później byłem powoływany trzy razy do wojska, ale dyrektorzy szpitala i pogotowia zawsze wybronili mnie. A już później, w Czaplinku, to po tych poligonach ciągnęli mnie wiele razy. Aż się dosłużyłem stopnia kapitana. Mieliśmy na poligonie piękne wyposażenie medyczne. Sala operacyjna to był samochód-buda, którą się potem elegancko rozkładało i miało się dwie sale operacyjne. Taka była wtedy nowoczesna technika u nas w ramach Paktu Warszawskiego. U Rosjan tego nie było. Pamiętam rok 1979, kiedy straszna zima była. Na drodze na Wałcz zasy były prawie po koronę drzew. Byłem wtedy miesiąc czasu na poligonie drawskim, gdzie ćwiczone współdziałanie naszej dywizji zmechanizowanej z dywizją pancerną radziecką. Pewnego razu przyszedł do nas radziecki pułkownik chirurg zobaczyć, jakie u „sojuźników” jest zabezpieczenie medyczne itp. Jak zobaczył naszą salę operacyjną, wyposażenie i to wszystko, zdębiał, oniemiał. Ja doskonale rozmawiałem po rosyjsku, a była tam jeszcze znająca ten język Marianna Jursa (dużo później ode mnie przyjechała z ZSRR, ukończyła tam liceum - dziesięciolatkę). Rozmawialiśmy po rosyjsku i ja mówię: „*No towarzyszc palkownik, tak ja prijedu k'wam posmotriet kakij u was zał operacyjnyj chirurgiczeskij jest*”. A on spanikowany na to: „*Niet tawariszcz, niet, niet*”. Odwrócił się i prosto w drzwi wali i wypadł w zaspę. Tak był zaskoczony. Mieliśmy wtedy bardzo wysoki poziom lecznictwa wojskowego. Jak się ostatnio dowiedziałem, szpitale wojskowe będą likwidowane. Pozostaną tylko szpitale: Nr 109 w Szczecinie oraz w Bydgoszczy i Grudziądzu, i może jeszcze jakiś. Okręg bydgoski jest wyposażony super. Ja wspominałem bardzo dobrze chirurgów wojskowych jak: Mikulski, Anusiewicz i Guzek. Pracowałem już i byłem wciągnięty, jak oni przychodzili do Szczecinka i dochodzili na specjalizację. A dr Błach, wspomniały chirurg był ich nauczycielem. I on ich wyszkolił bardzo dobrze. I oni odeszli właśnie do Bydgoszczy. Na Wojskowej Akademii Medycznej była dyscyplina, porządek i wojskowy rygor, każdy tam musiał się uczyć, nikt bez tego się nie prześlizgnął.

Po ukończeniu akademii i uzyskaniu dyplomu lekarza w 1965 r. wróciłem do Szczecinka i podjąłem w Szpitalu Powiatowym dwuletni staż. Po jego odbyciu rozpocząłem pracę na Oddziale Położniczo-Ginekologicznym, ponieważ dyrektor, a zarazem ordynator oddziału dr Łaz powiedział, że mnie nigdzie nie puści, mam zostać na ginekologii i koniec. Upatrzył mnie sobie, obserwując w czasie stażu. Już po miesiącu stażu kazał mi jeden taki zabieg zrobić, potem drugi i mówi: „*Dobrze ci to wychodzi, zostajesz u mnie na specjalizację*”. Bardzo dobrze mnie przygotował do egzaminu specjalizacyjnego, dzięki czemu zdałem go z wyróżnieniem. W tym czasie, po raz pierwszy, wprowadzono egzamin praktyczny, czego do tej pory nie było. Otrzymałem, jak to się mówi, ciężki zabieg – usunięcie macicy z przydatkami drogą brzuszną u kobiety 47-letniej, przy tym



Antonina i Edmund Zajulowie.

otylej. Myśmy określali taki ciężki przypadek „studnia”. Poszło mi bardzo dobrze i na egzaminie praktycznym i teoretycznym, tak że dr Łaz ze szczęścia się popłakał i powiedział mi: „Zdawało u mnie czterech, których wypuścilem. Ty jesteś piąty, ale żaden z nich nie zdawał tak jak ty.” Tak był zadowolony. Także członek komisji, profesor ze Szczecina, pogratulował mi i powiedział: „Tak normalnie, to dopiero po czterech latach zdaje się drugi egzamin specjalizacyjny, ale ja pana widzę już za dwa lata”.

Na studiach na pierwszym miejscu była nauka, później sport, wędkarstwo i piesza turystyka. Przez lata studiów żadna z dziewczyn nie wpadła mi w oko. I tak było w Szczecinku, aż do balu absolwentek Liceum Medycznego w czerwcu 1967 r. Zaproszony zostałem nań przez instruktorki liceum. Ten pamiętny bal odmienił całe moje życie. Poznałem na nim moja przyszłą żonę Tosię. To była miłość od pierwszego wejrzenia. To był dla mnie wstrząs i całkowita, o 180°, odmiana charakteru i losu. Będąc na stażu w szpitalu, oprócz pracy nic mnie nie interesowało. Często przebywałem na Oddziale Chirurgicznym i jak się później okazało, wpadłem wtedy w oko Tosi. Wyznała mi to po latach jej koleżanka. Tosia po prostu mnie zauroczyła bardzo skutecznie i vice versa. To był „zespół ostrego zakochania” (*syndroma amorosum* wg określenia psychiatry prof. Adama Bilikiewicza).

Po stażu lekarskim wykładałem w Liceum Medycznym chirurgię, lecz Tosi, która w zajęciach tych uczestniczyła, nie znałem. W ogóle nie wiedziałem, że jest taka panna instruktorka Antonia Mielcarek. Poznała nas na balu moja koleżanka szkolna z Liceum Ogólnokształcącego Maryla Radeberg. W tańcu zapytałem ją co to za dziewczyna, która siedzi obok niej. Ona na to, że to jej kuzynka Tosia, instruktorka z Liceum Medycznego. Na moje życzenie przedstawiła nas sobie. Zatańczyłem z nią raz, drugi i już do rana tylko z Tosią się bawiłem. Na drugi dzień spotkaliśmy się na plaży leśników, no i zaczęło się. Znajomość z balu przerodziła się w głęboką miłość. Chodziliśmy ze sobą lipiec i sierpień – to były wspaniałe, niezapomniane chwile. Zabawy w Oficerskim Klubie Garnizonowym, spotkania z przyjaciółmi.

Moja miła pochodziła z Wielkopolski, z Kościana. Jej ojciec Władysław pracował w PKP jako kasjer, a mama Czesława zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Tosia, bo tak ją wszyscy nazywali, miała dwie starsze siostry, Marię i Aleksandrę. Po skończeniu szkoły podstawowej w 1961 r. Tosia wybrała zawód pielęgniarki, a że w pobliżu Kościana nie było odpowiedniej szkoły, podjęła naukę w pięcioletnim Liceum Medycznym w Szczecinku, gdzie dyrektorką była jej ciocia pani Redeberg. Zamieszkała u niej i była traktowana jak córka. W 1966 r. skończyła naukę i otrzymała świadectwo dojrzałości Liceum Medycznego Pielęgniarstwa. Jesienią tego roku podjęła pracę w tym liceum, jako instruktorka zawodu.

Przyszedł wrzesień i moja Tosia musiała wyjechać do Kościana z uczennicami na praktyki do szpitala dla nerwowo chorych. Była tam wrzesień, październik, listopad i część grudnia. Spotykaliśmy się na dojazdach i oczywiście pisaliśmy listy do siebie. Tak się to wszystko szybko rozwinęło, że ja mówię sobie - licha, ktoś mi może ją poderwać. Odczuwałem zazdrość niesamowitą, katusze przeżywałem.

Długo tego nie wytrzymałem, kupiłem bukiet pięknych, czerwonych róż i poszedłem do jej cioci i mówię tak: „Na pewno jest pani zaskoczona moją wizytą i jeszcze z kwiatami, ale pani jest drugą mamą dla Tosi. Pani wychowuje ją, pani ukierunkowuje ją, pani czuwa nad nią itd. Proszę o jej rękę, jestem w niej zakochany.” Po ochłonięciu z zaskoczenia ona mówi mi: „Musimy się zastanowić. Ona jest taka młoda”. I zaraz pojechała do Kościana

do swojej siostry, a matki Tosi i mówi jej, taka i taka sprawa. Bo ojciec jej już nie żył. Po tej rozmowie Tosia przyjechała do Szczecinka i mówi: „*Edek przyjechałbyś do Kościana*”. Dobra mówię przyjadę.

Jest początek października, no to jest krótka znajomość, kupuję bukiet róż, wsiadam do pociągu i jadę. Ona mnie spotyka w Poznaniu. Zajeżdżam do Kościana i mówię do jej matki: „*Proszę pani. Przyjechałem poprosić o rękę Tosi. Jestem w niej zakochany. Kocham ją. Już się raz oświadczyłem pani siostrze, cioci Tosi, a teraz do pani, do jej mamy przyjechałam i proszę o jej rękę. Jestem zakochany w niej i proszę, żeby została moją żoną.*” A ona na to: „*Ona jest taka młoda, ma zaledwie 20 lat, zastanowimy się*”. Przedstawiono mnie całej rodzinie, bo z okazji moich oświadczyń zjazd rodzinny się odbył. Przyjechała najstarsza siostra ze szwagrem z Bydgoszczy, szwagier ze średnią siostrą, mama. Oceniali mnie. I co w tym było najlepsze, podają mi czerninę, bo było to najlepsze danie w Wielkopolsce. A mnie od razu Jacek Soplica się przypomniał – dostałem czarną polewkę – to było momentalne skojarzenie. A ja nie lubię czerniny, a ta jeszcze na słodko zrobiona, śliwki, nie śliwki i mówię nie, dziękuję. Jakoś udało mi się wymówić. Podali więc mi coś innego. Dwa dni trwało to rodzinne spotkanie, w bardzo miłej atmosferze.

Pożegnaliśmy się, i wyjechałem z niepokojem w sercu, ale Tosia mi list przysyła, że bardzo spodobałem się całej rodzinie, a zwłaszcza jej mamie, najważniejszej osobie. To było 4 października, a za osiem dni dostaję następny list od Tosi, w którym pisze: „*Powiedziałam mamie, że cię kocham, że chcę wyjść za ciebie za mąż*”, i tyle. Pięknie. Zaczęły nakręcać się wszystkie sprawy. Bo ona pisze o mieszkaniu i tak dalej. A ja o 180 stopni się odmieniłem. Poprzednio byłem nieśmiały, i ciągle tłumaczyłem sobie, a to nie wypada, a to, a tamto itd. Teraz skończyło się z nieśmiałością, wstydlivością itp. Dotarło do mnie, że stałem się głową rodziny. Zacząłem chodzić po urzędach o mieszkanie prosić.

Zapadła decyzja, że pobieramy się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. I przyszedł ten drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Byłem tak stremowany, jak nigdy w życiu. Kościół nabity, nabity tak, że szpilki by nie weisnął. Bo rodzina Wójcików i Mielcarków mieszkała tam od pokoleń i była bardzo znana. Dziadek Tosi był stolarzem, w Swarzędzu pracował i bardzo piękne meble produkował, znany był. W młodości był niezłym wisusem. Jeszcze pod zaborem pruskim, uciekł z domu i do Berlina pojechał, żeby zobaczyć cesarza Wilusia. Nawet na drzewo tam się wdrapał. Jej ojciec natomiast służył po I wojnie światowej w lotnictwie w Poznaniu na Ławicy. Mam jeszcze zdjęcia z okresu jego służby w tej brygadzie lotniczej, w samolocie i tak dalej. Więc rodzina bardzo znana była. I ja musiałem przez to wszystko przejść!



Antonina Zajul (z lewej).

No i pobraliśmy się i przyjechaliśmy do Szczecinka. W 1969 r. urodził się nasz syn Piotr. Po urlopie wychowawczym Tosia podjęła naukę w trzyletnim Studium Nauczycielskim Szkół Medycznych we Wrocławiu. Po jego ukończeniu nadal pracowała w Liceum Medycznym w Szczecinku. Była instruktorką i nauczycielką zawodu pielęgniarstwa.

Ja przez następne dziesięć lat pracowałem w szpitalu powiatowym. To była sama proza: dyżury, odbieranie porodów, zabiegi, operacje – samo życie. Dyżurów było dużo, bo łącznie z pogotowiem 18 -19 dyżurów stacjonarnych w miesiącu. Potem doszła do tego „gotowość do pracy pod telefonem”. Do tego izby porodowe i szpital. A w tym czasie były cztery izby porodowe: w Czaplinku, Barwicach, Okonku, i w Grzmiącej. Starsi lekarze nie kwapili się do tej harówki, ponieważ każdy z nich miał prywatną praktykę. Więc spadało to na najmłodszego, tak zwanego „pipera”- i ja nim byłem. Ta ogromna ilość dyżurów i ciągła moja nieobecność w domu dokuczała Tosi, więc pewnego dnia powiedziała: „*No nie! Dalej tak nie może być, przeprowadzamy się*”. Potem, po latach, dwie koleżanki powiedziały mi, że żona wybrała Czaplinek ze względu na mnie. Dlatego, że kocham las, że kocham wodę, kocham przyrodę, jestem zapalonym wędkarzem. Ale Tosia nie powiedziała mi tego. Nasza bardzo dobra koleżanka Danusia, jeszcze z ławy szkolnej z Liceum Ogólnokształcącego, która ukończyła później Liceum Medyczne i też była instruktorką, powiedziała mi kiedyś: „*Edek, ona przeniosła się do Czaplinka tylko dla ciebie. Ona nie chciała wyprowadzać się ze Szczecinka, gdzie miała koleżanki, znajomych, pracę*”.

I praca się znalazła, w Solcu Kujawskim, ale uwarunkowano ją przejściem za porozumieniem stron. Dyrektor szpitala w Solcu Kujawskim wysłał stosowne pismo do szpitala w Szczecinku, a tu awantura się zrobiła, że nigdzie mnie nie puszczą, takiego lekarza, dobrego pracownika, który jest zawsze punktualny i dyspozycyjny na wezwanie. Lecz szczęśliwie, akurat w tym czasie, zwalniało się miejsce w Czaplinku, bo dr Franciszek Redosz, kierownik przychodni, odchodził. Dyrektor szpitala powiedział więc, że zgadza się bym poszedł w jego miejsce. Tę zmianę miejsca pracy i zamieszkania w pełni zaakceptowała Tosia. W ten sposób znalazłem się w Czaplinku, gdzie przeprowadziliśmy się 5 lutego 1975 r. Objąłem po dr Redoszu stanowisko kierownika przychodni.

Początkowo byliśmy pełni obaw jak zostaniemy tu potraktowani. Jak personel nas przyjmie i jak społeczność czaplinecka nas przyjmie. Okazało się, że obawy nasze były płonne, że bardzo szybko nas zaakceptowano i praca ułożyła się bardzo dobrze. Tosia została przełożoną średniego personelu medycznego w przychodni. Znalazła bardzo szybko przyjaciół i była lubiana. W trzy dni po przeprowadzce zmarł mój ojciec i byłem przybity tą stratą. Lecz pracy było sporo i nie miałem czasu na trwanie w żalu. Bo i kierownictwo przychodni, rejon ogólny, poradnia „K”, którą zakładałem i Izba Porodowa. Musiałem być dyspozycyjny całą dobę. Porodów było bardzo dużo. Wszedł wtedy w okres prokreacji powojenny wyż demograficzny, a małżeństwa nie ograniczały się do jednego dziecka, jak dzisiaj. W pierwszych latach mojej pracy w Czaplinku odbyło się tu, w Izbie Porodowej, w 1975 r. 220 porodów i kolejno w następnych latach: 210, 200, znów 210, 190.

Do tej wielkiej ilości pracy dochodziły jeszcze dyżury w szpitalu w Drawsku Pomorskim (od 1977 r. zaczęliśmy podlegać nie pod



Rodzina Zajulów.

Szczecinek, a pod Drawsko Pom.). Pracowali wtedy w Czaplinku: dr Marcewicz oraz felczerzy: w Czaplinku Stefan Jurewicz, w Broczynie Wójcik, i w Kluczewie Preisner. Jeśli chodzi o samą przychodnię nie było w niej wyposażenia, z małej chirurgii - nic. Zdobyłem takie wyposażenie, załatwiłem jeszcze lekarza laryngologa dr Jarocho, który był komendantem szpitala wojskowego w Wałczu i dojeżdżał tutaj. Bardzo sympatyczny. Bardzo dużo pomógł ludziom, a w szczególności małym pacjentom.

W międzyczasie załatwiałem budowę nowej przychodni. Jakoś tak poznałem doktora Wróblewskiego, który był Lekarzem Wojewódzkim, a który bardzo pomógł, no i Jerzy Góralczyk, ówczesny Naczelnik Miasta, bardzo dużo działał w tym kierunku. W 1979 r. na sesji Rady Miejsko-Gminnej przekazaliśmy całą dokumentację budowy przychodni – już z pozwoleniem na budowę - ze wszystkim.

6 lipca 1978 r. w Izbie Porodowej w Czaplinku, urodził się nasz drugi syn Paweł. Tosia w 1980 r. odeszła z przychodni i objęła stanowisko kierowniczkę żłobka w Czaplinku. W 1983 r. ponownie zmieniła pracę i przeszła do szkolnictwa, gdzie zajmowała się higieną szkolną. W 1999 r. przeszła na emeryturę.

Kierowałem przychodnię do roku 1979. W 1977 lub 1978 r., już nie pamiętam, miałem telefon od dyrektora ZOZ doktora Jurskiego, który pytał czy nie potrzebuję lekarza. Mówię mu – jak najbardziej, ponieważ ja mam już dość tego wszystkiego, wystarczy mi obowiązków. A on na to, że jest internista dr Henryk Stachura, czy go przyjmiesz? Mówię jak najbardziej, z otwartymi rękoma go przyjmę. Po przyjściu, kolega Stachura trochę mnie odciążył. A ja zrezygnowałem z kierownictwa i przekazałem jemu.

Zająłem się bardziej poradnią K. Od początku wprowadziłem w niej badania cytologiczne. Dzięki temu zostało uratowanych wiele, wiele kobiet. To była profilaktyka raka szyjki macicy. Tego wcześniej nie było, i ja to wprowadziłem, i jestem z tego dumny. Bez tego praca poradni K ani rusz. Dzięki poradni K rodziło się w Czaplinku i okolicach bardzo niewiele dzieci z wadami rozwojowymi. Zmniejszyła się ilość porodów niewczesnych i przedwczesnych, nie było komplikacji porodowych. Przez ten okres, kiedy ja prowadziłem te sprawy, do 1995 r., w Izbie Porodowej nie zdarzył się żaden zgon noworodka, ani żadne komplikacje położniczo-ginekologiczne. Dopiero znacznie później Akademia Medyczna w Szczecinie wprowadziła badania genetyczne i wywiady środowiskowe.

Czasem, kiedy było duże obłożenie w szpitalu, przysyłali do izby pacjentki i czasem musiałem poprawiać wykonane w szpitalu zabiegi. Zapomniane gaziki, infekcje itp. I nie zdarzyły się żadne, żadne komplikacje. A podejmowałem się takich zabiegów jak kleszcze, nie kleszcze itd. Kleszczowy poród jest jednym z trudniejszych położniczych zabiegów. Nawet Danusia Sobkowska, pielęgniarka środowiskowa, urodziła pierwsze dziecko w izbie porodowej bez komplikacji, kleszczami. Szycia, takie, które w zasadzie powinny być wykonywane w szpitalu, ja sam wykonywałem.

Jestem bardzo dociekliwy. Żona nieraz mnie w nocy strofowała. Godzina druga w nocy, a ja szperam po książkach. Pyta: „*Edek co ty tam jeszcze robisz?*” Odpowiadam: „*Chwileczkę, chwileczkę, mam tu pewne niepewności, nie jestem pewny. Muszę to sprawdzić. I mówię: - zgadza się, tak jak myślałem*”. Budziłem się w środku nocy, otwierałem podręczniki i szperałem i musiałem się upewnić, że to było dobrze zrobione. Taki byłem i nadal jestem. Dociekliwy i dokładny. Bardzo to sobie ceniłem i cenię nadal, trzy rzeczy. Po pierwsze mówić prawdę, bez względu na konsekwencje, nie kłamać. Po drugie nie wolno złamać danego słowa, jest ono święte, droższe od pieniędzy – jak mówią Rosjanie: „*Słowo doroże dzień*”. I po trzecie być punktualnym. Byłem chory, jeżeli ktoś mi się

spóźniał. W Szczecinku mieszkalem daleko od szpitala, ale zawsze byłem w nim 20 minut przed godziną 8 – czasem rozpoczynania pracy. W związku z tym miałem kiedyś taką śmieszna przygodę. Przychodzę do szpitala, jest za dwadzieścia ósma. Słyszę, że na porodówce trwa poród. Szybko się przebieram i biegnę. Dyżur nocny miał dr Stanisław Kocaj, który nie mógł sobie poradzić z rodzącą. Kobieta miała przeć, a ona nie prze i mówi tak: „*Ja nie będę parla i nie urodzę dopóki pan Zajul nie przyjdzie*”. Na to ja wchodzę na salę porodową i Stasio mówi: „*Edek, no rób coś.*” I ja mówię, dobra idź już. Zbadałem rodzącą kobietę i mówię: „*No to co, przemy, rodzimy, rodzimy!*” Dwa razy poparła i urodziła zdrowe dziecko. Myślę sobie później: Staszek starszy kolega, starszy asystent, bo ja byłem młodszym asystentem. I mówię do niego: „*Przepraszam, ale co ja zrobię, że ona nie chciała ciebie słuchać?*” Odrzekł, że nie ma sprawy, ona tak chciała.

Muszę powiedzieć, tak szczerze, że pomyłki raczej mi się nie zdarzały. Jeśli byłem niepewny to wolałem skierować do szpitala, bo wychodziłem z tego założenia, że skieruj dwa razy niepotrzebnie, jak raz za późno. Tak była moja dewiza. I później, po takim skierowaniu pacjenta, konsultowałem się i na ogół okazywało się, że miałem rację. Gdy był cięższy wypadek drogowy, czy inny, nigdy nie odsyłałem pacjenta z sanitariuszem. Wsiadałem do karetki i jechałem zawsze z pacjentem. Z pracy w przychodni wracałem wtedy o godzinie 17. Bo musiałem przyjąć pacjentów do końca i dopiero wracałem.

Ja i moi starsi koledzy mieliśmy w młodości dobrych wykładowców, dobrych nauczycieli, mówili nam oni, że liczy się przede wszystkim dobro pacjenta. Pamiętam takich z Akademii Medycznej Szczecinie. Wielu z nich było przedwojennymi nauczycielami akademickimi z Kresów. Większość kadry naukowej Akademii Medycznej w Gdańsku pochodziła z Wilna, z Uniwersytetu i Akademii Medycznej im. Stefana Batorego. Część z nich znalazła się w Łodzi, m.in. doc. Michejda, którego moja mama często z wdzięcznością wspominała. Otóż mój brat urodził się ze szpotawością stóp - stópki były wykręcone do przodu. Kiedy miał sześć miesięcy mama mówi: „*No nie, tak nie może być!*”. Pojechała do Wilna, do kliniki, w której chirurgami w owym czasie byli Kieturaskis (po wojnie był w Gdańsku) i Michejda właśnie. Oni mówią: „*Proszę pani, to jeszcze za wcześnie, to jeszcze za małe dziecko*”. A mama na to: „*Nie ruszę się stąd dopóki nie podejmiecie się działań*”. No i faktycznie, zabrali się. Tak wyprostowali nóżki, że brat grał później w piłkę nożną i był bramkarzem. Wykonali zabiegi, dosłownie idealnie, nie było widać śladów szpotawości.

Byłem więc tak nauczony. Miałem dobre przygotowanie położniczo-ginekologiczne i chirurgiczne. Bo pracując w szpitalu, wtedy, kiedy nie było pracy na położnictwie, szedłem na chirurgię. Wracałem ze szpitala, jadłem obiad i z powrotem szedłem do szpitala. Wracałem do domu na godzinę 22. I jeżeli byłem potrzebny na ginekologii, czy też położnictwie to byłem, a jak nie, to byłem na chirurgii. I tak przez dwa lata stażu. Tak było.

Poradnia K, izba porodowa, dyżury w szpitalu, i tak płynęło moje życie do emerytury, na którą przeszedłem w 1997 r. Doceniono moją pracę w Koszalinie i dostałem na początku lat osiemdziesiątych medal „*ZA ZASŁUGI W ROZWOJU WOJEWÓDZTWA KOSZALIŃSKIEGO*”. Po przejściu na emeryturę pracowałem jeszcze trzy dni w tygodniu w spółce *OVAMED* doktora Piotrowskiego. Tę pracę przerwała dopiero moja choroba w 2006 r. Do tego czasu nie chorowałem, nie wiedziałem, co to choroby - absolutnie. Ot tam, kiedyś złamałem rękę, ale to nie była choroba. Byłem bardzo sprawny fizycznie. Byłem w szkole średniej podporą drużyny lekkoatletyki i piłki nożnej. W 1956 r. odbyły się mistrzostwa Polski Szkolnych Klubów Sportowych w Łodzi. Grałem wtedy w reprezentacji województwa koszalińskiego w piłce nożnej i zdobyliśmy wicemistrzostwo

Polski, a ja zostałem najlepszym strzelcem. W 2005 r. był zjazd absolwentów Liceum Ogólnokształcącego i dyrektor, który jeszcze żyje, przypomniał mnie sobie i mówi: „*A to ty wtedy byłeś najlepszym strzelcem*”. Tak do roku 2006 chowałem sprawność fizyczną. Nadal jestem sprawny fizycznie, lecz nie tak jak kiedyś. Cały czas byłem aktywny. Sport kocham zresztą po dziś dzień. Kibicuję dobrej piłce nożnej, ale nie naszej.

Niestety, w 2006 r. przyplątała się sprawa nowotworowa. Przegapiłem, bo w 2002 r. robiłem badania i były w normie. Powiniennem, co roku badania powtarzać. Po wczesnym wykryciu byłyby operacja i byłoby po wszystkim. A tak zostało wykryte przez przypadek, kiedy już było za późno. Tylko radioterapia i hormonoterapia. 7 tygodni radioterapii w Szczecinie. Później zator śluzowy – 6 tygodni w Koszalinie odleżałem, w tym 10 dni w śpiączce farmakologicznej wystąpił D.I.Z. – zespół wykrzepiania. Jakoś z tego, cudem, wyszedłem. Bo to był cud, mało, kto wychodzi z takiego stanu, w którym się znajdowałem, to się na ogół nie udaje. W czasie, gdy leżałem w szpitalu w śpiączce, Tosia mówiła koleżance, która z nią spała, że boi się odbierać telefony, bo może to być ta najgorsza wiadomość. Rozmawiały o tym jak poznaliśmy się, i to i tamto. I wtedy Tosia powiedziała, że wspólnie spędzone, przeżyte lata, to były dla niej szczęśliwe lata. I to stanowi dla mnie największą zapłatę. Los nas zetknął na swojej drodze. Przyciąganie nastąpiło. Ja siebie nie poznawałem, naprawdę.

W czasie tej śpiączki miałem dziwne przeżycie. Otóż mam pamięć fotograficzną i mimo, że po zakończeniu wojny miałem zaledwie 6 lat, zapamiętałem dokładnie tę wioskę, gdzie całą okupację spędziłem. Od tego czasu jej nie widziałem. Była tam moja mama dwa razy, była siostra, a z nią mój syn Piotrek. Wybieram się tam i ja, jak sójka za morze. Oczami wyobraźni, jak na fotografii, widzę też wkroczenie Rosjan w 1944 r. Otóż, kiedy leżałem w śpiączce farmakologicznej i była nikła szansa, że przeżyję, zaczęło mi się wszystko przed oczami przesuwac, jak film. Nigdy nie byłem w Wilnie, znałem je tylko z opisów Mickiewicza i z oglądanych rycin. A w tej śpiączce farmakologicznej widzę plac Łukiski Targ. Widzę idące kobiety ubrane w ludowe stroje, z koszyczkami itd. Widzę „*Murawiewa Wieszatiela*”, kościół Bazyliańów, Lelewela. Przypominam sobie to wszystko, „*Odeę do młodości*” itd. Idę przez to miasto, schodzę do podziemi. Olbrzymia jaskinia, ciemna. W oddali tylko światełko-pochodnia. Przedemną ciemna, szeroka rzeka – Styks, a nad nim stoi z pochodnią, przy łódce, zakapturzona postać. Podchodzę do niej i mówię: „*Dzień dobry Charonie, przewieziesz mnie na drugą stronę do krainy zmarłych?*”. A on na to: „*Tak, przewiozę cię, wsiadaj. Płyniemy.*” Kiedy dopływamy do połowy rzeki on mówi: „*Daj mi obola*”. Odpowiadam: „*Charonie! To jest XXI wiek. Ja nie mam obola, ja ci mogę dać złotówkę.*” A on na to: „*O nie, złotówka nie. Daj mi obola, to cię przewiozę.*” Ja ponownie: „*Charonie, no nie mam obola. Dam ci złotówkę.*” On: „*Nie masz obola, zawracamy z powrotem.*” I zawróciliśmy. To było niesamowite. Nigdy nie myślałem o Styksie, Charonie itp. Znałem mity greckie i to wszystko. Widać niesądzone mi jeszcze było pożegnać się z tym światem.

Wyszedłem cudem ze śpiączki, ale to nie był koniec moich cierpień. Nastąpiło opadowe zapalenie płuc, potem ropień płuc, z którym chodziłem, aż do października 2009 r. We wrześniu 2008 r. zachorowała Tosia. W tym czasie czuła się bardzo dobrze i mówiła, że jeszcze do pracy wróci, była pełna nadziei i optymizmu. Kiedy u mnie wystąpiło zaostrzenie choroby, ona na to radzi, abym poszedł do szpitala. Ja mówię nie, ja wiem, co mi jest. Ja ciebie nie zostawię i nie ma o czym mówić. Zrobiłem tylko badania, które potwierdziły moją diagnozę. Dobra mówię, w porządku!

W tym czasie Tosia była już bardzo słaba. Spałem w jej pokoju na karimacie, przy

niej, żeby na każde, nawet chrząknięcie, być, podać coś do picia. Jak jej koleżanki przychodziły to wyganiały mnie, żebym poszedł z psem na spacer. Widziały, jaki zmęczony jestem. Bo ja byłem pielęgniarką, sprzątałem, gotowałem, prałem, toaletę – wszyciutko robiłem przy niej sam. Dr Marcewicz później mi powiedziała, że była zaskoczona jak ja sobie radzę. Gotowałem jej rosół, zupę pomidorową, które bardzo lubiła. Kiedyś, w czasie odwiedzin, koleżanka zaproponowała Tosi, że jej coś ugotuje, a ona mówi, po co, Edek gotuje tak wspaniałe zupy, że nie potrzebuję waszej pomocy. Nauczyłem się bardzo dobrze gotować. Ojciec też bardzo dobrze gotował, podpatrywałem czasami. Że mężczyźni są najlepszymi kucharzami, to jest od dawna wiadome. Ludzie czasem pytali, czemu jej pan nie umieści w szpitalu. Mówię - wolne żarty, w szpitalu, przecież ja to samo zrobię, co w szpitalu robią. Mówię - żony nie oddałbym do szpitala. Absolutnie.

Byłem zmęczony, jak nie wiem. Jak Tosia zasypiała szedłem do kuchni i tam siedziałem, próbując coś czytać. Na dwa tygodnie przed jej odejściem zamknęła się, nic nie mówiła. Kompletnie się wyłączyła. Koniec. Najwyżej, gdy pytałem chcesz pić skinęła głową. Albo nie chciała, albo już nie mogła mówić, bo były przerzuty do centralnego układu nerwowego. Ostatnie dwa dni, to już tylko patrzyła tak na mnie, gdy przychodziłem podać leki, picie lub kroplówkę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Ostatniego dnia, 13 września, wystąpił obrzęk płuc i żadne leki już nie pomagały. I tak na moich rękach zmarła dokładnie o 19.37. Jest pochowana na czaplineckim cmentarzu. Tosia była wspaniałym człowiekiem, pełna życia, ciągle uśmiechnięta, z humorem, była lubiana przez koleżanki i znajomych. Dla niej najważniejsza była rodzina. Była troskliwa, opiekuńcza, kochająca, o sobie myślała na końcu. Taka pozostanie w mojej pamięci.

Nie jestem sam. Mieszka ze mną starszy syn Piotr z synową i wnukiem Erykiem. Młodszy Paweł natomiast pobudował się w Czaplinku. Ma też jednego syna - Filipa.

Wspominając trudne, a i tragiczne lata minione, osobą która nas obdarzyła swą przyjaźnią i pomocą w trudnych chwilach, była wspaniała kobieta i człowiek Helena Jurewicz, za co jestem jej wdzięczny i serdecznie dziękuję. Chcę również podziękować Pani dr Janinie Marcewicz i Ryszardowi Marcewiczowi za okazaną nam przychyłność i przyjaźń, która okazała się tak pomocna w tych trudnych chwilach.

Nie mogę też zapomnieć o wspaniałych ludziach, małżeństwie mgr farmacji J. T. Zakrzewskich, ludzi pełnych ciepła, przyjaznych i niesamowicie gościnnych, pełnych życia i poczucia humoru, niestety już nieżyjących. W poradni K, którą prowadziłem, pracowała ze mną położna Pani Hanna Krzywicka, osoba całkowicie oddana swojej pracy, sumienna, obowiązkowa, skrupulatna, punktualna. Osoba, na której sumienności mogłem całkowicie polegać. Za to jej serdecznie dziękuję.

Wspominając naszych znajomych nie mogę nie wymienić małżeństwa Orzechowskich, u których wspólnie ze znajomymi spędzaliśmy wiele miłych chwil przy ognisku. Regina i Dariusz Orzechowscy to ludzie gościnni, serdeczni. Moja znajomość z nimi trwa nadal.

Ludzie których wymieniałem, pomogli nam wrosnąć w społeczność miasta i gminy Czaplinek.

12. 30 LAT PRACOWAŁAM W APTECE

(Wspomnienia Bogumily Żurańskiej z d. Solarz)

Urodziłam się 6 stycznia 1935 r. w Stobiecku Miejskim w pow. Radomsko. Ojciec Franciszek był gajowym, a mama Wiktoria zajmowała się domem i wychowaniem dzieci, których było pięcioro - 3 córki i 2 synów. Do szkoły podstawowej chodziłam w Wymysłówku. W 1951 r. rodzina przeprowadziła się do Czaplinka, gdzie tato pracował na torfowni jako torfomistrz. Tu skończyłam szkołę podstawową i podjęłam naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Szczecinku.

W 1955 r. wyszłam za mąż za Aleksandra Żurańskiego, i zamieszkałam w Czaplinku. W 1956 r. urodziłam syna Krzysztofa, w 1959 r. córkę Iwonę (za mężem Młynarczyk), i w 1964 r. syna Tomasza. Pracowałam w tym czasie w Urzędzie Miasta i Gminy, a potem w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” jako księgowa.



Bogusława Żurańska.

Od 15 czerwca 1961 r. zaczęłam pracować, również jako księgowa, w aptece, która wówczas mieściła się w bardzo starym budynku na rogu ul. Aptecznej i Bieruta (obecnie Sikorskiego). Do 1945 r. była to własność Niemca o nazwisku Adler. W 1945 r. pracował w niej jeszcze niemiecki farmaceuta mgr Ansch. Potem aptekę przejęło dwóch warszawskich farmaceutów Stefan Morawski i Przemysław Kowalczyk. Po upaństwowieniu apteki około roku 1949, nadano jej numer 33030, a jej kierownikiem została mgr Eugenia Matuszewska. Mieszkała wraz z mężem, kierownikiem przychodni lekarskiej nad apteką. Oprócz niej, pracowały jeszcze w tym czasie w aptece mgr Maria Kowalska, technik apteczny Józefa Odważna i pracownica pomocnicza Anieła Tupalska, która w 1966 r. odeszła na emeryturę. Zastąpiła ją potem na tym stanowisku Irena Siek. Budynek apteki był w złym stanie technicznym i poza przeróbką wejścia w 1963 r., nie wykonywano w nim żadnych remontów. Któregoś razu w pokoju, w którym pracowałam odpadł kawał sufitu, ale na szczęście mnie tam wtedy nie było. Powiatowy Inspektor Budowlany wydał wówczas w 1966 r. nakaz rozbioru apteki.



Tadeusz Zakrzewski.

Zorganizowany został wówczas punkt apteczny I typu w pomieszczeniach nad Ośrodkiem Zdrowia przy ul. Bieruta. To był tylko jeden pokój i magazynek na leki. Punkt ten prowadziła Józefa Odważna technik apteczny i po niej krótko mgr Krystyna Reflińska. Punkt nie posiadał wielu leków, w tym robionych na receptę, i mieszkańcy musieli jeździć po nie do sąsiednich miast. Od 1 września 1971 r. pełniłam obowiązki księgowej. W tym czasie uzupełniałam średnie wykształcenie dojeżdżając do Szczecinka, i 23 września 1970 r. otrzymałam świadectwo maturalne.

Po długich staraniach wybudowana została przy ul. Długiej nowa apteka, którą uroczyście otwarto w 1972 r. Otrzymała ona numer 17. To, że ta apteka powstała, było wielką zasługą dyrektora Koszalińskiego Zarządu Aptek mgr Tadeusza Zakrzewskiego. Po wybudowaniu apteki został on jej pierwszym kierownikiem. To, że stał się on mieszkańcem naszego miasteczka było bardzo pomyślnym wydarzeniem, bo jemu w dużej

mierze zawdzięczamy wybudowanie w późniejszych latach nowego Ośrodka Zdrowia przy ul. Wałeckiej. Był gdańszczaninem, a jego żona Janina lwowianką. Oboje skończyli studia w Gdańsku. Mgr Tadeusz Zakrzewski zmarł w Czaplinku w 1980 r. i został pochowany w rodzinnym grobie w Gdańsku. Po zmarłym mężu kierownikiem apteki została Janina Zakrzewska, a po jej wyjeździe mgr Piotr Dybowski.

Ja też jestem winna Tadeuszowi Zakrzewskiemu wdzięczną pamięć, bo namówił mnie na naukę w 3-letnim zaocznym Studium Medycznym w Bydgoszczy. To była pomaturalna szkoła, tylko dla pracowników aptek. Zaczęłam naukę w 1972 r., a skończyłam w czerwcu 1975 r., uzyskując tytuł technika farmaceutycznego i prawo wykonywania zawodu. Od tego czasu wykonywałam, oprócz obowiązków księgowej obowiązki technika farmaceutycznego.



Janina Zakrzewska.

W nowej aptece pracowały też: mgr Bożena Żółtowska (1980-81), mgr Zofia Irena Gerlach, oraz technicy farmacji: Ewa Jasińska i Iwona Odważna (za mężem Kosecka), Liliana Kosmala (obecnie Kopańska), Regina Buca (Grad). Pracownikami pomocniczymi były Irena Siek i Krystyna Serafin. W 1988 r. podjęła pracę w aptece mgr Alicja Dettlaff, która jest jej obecną właścicielką. W 1990 r. przyszła do pracy w aptecę Lucyna Salomanowicz technik farmacji.

Pracowałam w tej aptece na stanowisku księgowej – technika farmaceutycznego do przejścia na emeryturę w 1990 r. Potem pracowałam jeszcze dorywczo w aptecę na ul. Wałeckiej u pani Ireny Borys.

Mój syn Krzysztof mieszka w Warszawie i ma syna Filipa. Córka Iwona (za mężem Młynarczyk) zamieszkała w Słupsku i ma córkę Magdalенę. Najmłodszy syn Tomasz pozostał w Czaplinku, jest przedsiębiorcą i zajmuje się produkcją łodzi i kajaków. Ma syna Kasperka.

zebrali i opracowali:

Wiesław Krzywicki

Zbigniew Januszaniec (wsp. o St. Hojdysie)

VII. BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE

1. DRUŻYNA WOPR

„...Bez względu na pogodę, porę dnia i nocy, przez okres całego roku pospieszę z pomocą ludziom, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie utraty życia na wodzie...”

z przysięgi ratownika WOPR

Z HISTORII RATOWNICTWA WODNEGO

Pierwsze nauczanie pływania zorganizowano w starożytnym Rzymie. Pływanie traktowane było jako jeden ze środków prowadzących do prawidłowego rozwoju fizycznego. Starożytnych czasów sięgają też zapisy o ratowaniu życia ludzkiego.

W 1767 r. powstało w Amsterdamie, pierwsze na świecie, towarzystwo ratowników wodnych - Towarzystwo Ratowania Ludzi Utopionych. Najstarszym polski źródłem informacji o ratowaniu na wodach jest zapis z 1604 r. o ufundowaniu w Sandomierzu przez Hieronima Gostomskiego klasztoru i szpitala, którego zakonnicy mieli za zadanie niesienie pomocy ofiarom Wisły. W 1775 r. z inicjatywy ks. Adama Czartoryskiego wydano w Warszawie pierwszą w języku polskim broszurę o ratowaniu ludzi, a w 1820 r. we Lwowie wydano książkę pt. „Nauka i sztuka pływania”, w której opisane są metody ratowania ludzi tonących. W 1839 r. na terenie Królestwa Polskiego wydano przepisy, które dopuściły stosowanie resuscytacji (ożywienie).

Pod koniec XVIII w. powołano w Krakowie Pogotowie Ratunkowe dla tonących, a w 1894 r. utworzone zostało w Kaliszu „Cesarskie Towarzystwo Ratowania Tonących”, które wydało podręcznik pt.: „Jak ratować tonących”. W 1926 r. Polski Związek Pływacki powołał Komisję Do Spraw Ratownictwa Wodnego, a dzień 29.06.1927 r. ogłosił Dniem Ratownika Wodnego. Obowiązywała też międzynarodowa konwencja o bezpieczeństwie życia na morzu, oraz rozporządzenia polskie o „zapewnienu statkom morskim obsługi łodzi i tratw ratunkowych oraz świadectwach ratowników”. Według tego przepisu ratownikiem mogła być osoba, która:

- „ukończyła 21 lat życia, a nie przekroczyła 55 roku życia;
- jest zdrowa, silna i nie wykazuje żadnych wad słuchu lub wzroku, co powinno być stwierdzone zaświadczeniem lekarskim;
- wykaże na podstawie książeczki żeglarskiej odbyłą praktykę morską poza granicami żeglugi przybrzeżnej w przeciągu co najmniej 12 miesięcy;
- wykaże się praktycznymi umiejętnościami wykonywania wszelkich czynności w zakresie spuszczenia ze statku na wodę i podnoszenia na statek łodzi i tratw ratunkowych, obchodzenia się z ich wyposażeniem i zaopatrzeniem żywnościowym, wiosłowania, żeglowania, rozpoznawania i podawania sygnałów świetlnych, dźwiękowych oraz ręcznych, jak również kierowania łodzią według rozkazów lub samodzielnie oraz wydawania i przyjmowania rozkazów”.

Po wojnie, w 1952 r. Ratownictwo Wodne weszło do programów szkolenia studentów Warszawskie Wyższej Uczelni Wychowania Fizycznego, a rychło do programów

nauczania wszystkich uczelni Wychowania Fizycznego w kraju. 11 kwietnia 1962 r. Przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki wydał Zarządzenie Nr 74 stanowiące podstawę powołania Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

POWSTANIE WODNEGO OCHOTNICZEGO POGOTOWIA RATUNKOWEGO

W miarę rozwoju form letniego wypoczynku, rosła liczba utonięć, zwłaszcza wśród młodzieży, co spowodowało zrodzenie się w Polsce idei stworzenia służby ratownictwa wodnego. W 1965 r. odbył się w Poznaniu I Sejmik Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, który wytyczył cele i zakres działania organizacji, a 9 października 1967 r.

Minister Spraw Wewnętrznych nadał jej osobowość prawną. W 1970 r. WOPR został członkiem Międzynarodowej Federacji Ratownictwa i Sportów Użytkowych (FIS), a od 1944 r. członkiem współzałożycielem Międzynarodowej Organizacji Ratownictwa Wodnego.

Dzisiaj WOPR jest specjalistycznym stowarzyszeniem o zasięgu ogólnokrajowym działającym na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej z siedzibą władz centralnych w Warszawie, które działa na podstawie Ustawy o kulturze fizycznej, Ustawy - Prawo o stowarzyszeniach i innych przepisów z zakresu ratownictwa wodnego, oraz na podstawie Statutu WOPR w oparciu o społeczną działalność

członków. WOPR posiada strukturę zgodną z podziałem administracyjnym kraju (16 jednostek wojewódzkich), oraz władze na szczeblach: centralnym, wojewódzkim i terenowym). Na terenie dawnego woj. koszalińskiego działa Środkowopomorskie Regionalne Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, posiadające osobowość prawną. Najmniejszymi jednostkami organizacyjnymi są drużyny.



Emblemat WOPR z lat siedemdziesiątych.

POCZĄTKI RATOWNICTWA WODNEGO W CZAPLINKU

Początki ratownictwa wodnego w Czaplinku są ściśle związane z początkami polskiego żeglarstwa w naszym mieście, a więc z osobą Antoniego Tołłoczki. Przeszedł on przed wojną wszechstronne wykształcenie żeglarskie w Lidze Morskiej i Kolonialnej, w której przywiązywano dużą wagę do umiejętności pływania i niesienia pomocy tonącym. W ramach szkolenia na stopnie żeglarskie uczono zasad bezpieczeństwa żeglowania na jachtach, oraz udzielania pomocy tonącym i osobom poszkodowanym na zdrowiu. Bez wiedzy i umiejętności praktycznych w tej dziedzinie nie można było zdać egzaminu i uzyskać patentu żeglarskiego. Bez

patentu, lub choćby karty pływackiej nie można było wypożyczyć nawet kajaka. Oprócz szkolenia na kursach żeglarskich, szkoleniem ratowników zajmowało się wtedy PCK. Takie szkolenie przeszli, m.in.: Marcin Jurewicz, Zbigniew Gonczarko, Kazimierz Kramarczyk i Sławomir Zasławski.

W 1969 r. grupa wodniaków z Klubu Żeglarskiego PTTK



Legitymacja WOPR z 1969 r.

„Kaper” przy Oddziale Zamiejscowym ZPE „KAZEL” założyła pierwszą w Czaplinku drużynę WOPR. Posiadam legitymację nr 64/69 wystawioną dnia 22 stycznia 1969 r., a więc zaledwie 3 miesiące po uzyskaniu osobowości prawnej przez krajową organizację WOPR. O ile dobrze pamiętam pierwszym kierownikiem naszej drużyny został Józek Serwach. Prawdopodobnie po jego wyjeździe do Bielska Białej drużyna zaprzestała działalności, lecz brakuje dokumentów umożliwiających odtworzenie jej historii.

Pierwszym ocalałym dokumentem jest protokół z 8 kwietnia 1982 r., z zebrania założycielskiego drużyny WOPR przy Klubie Żeglarskim „OPTY”, działającym przy Zakładach Podzespołów i Urządzeń Teletechnicznych „*Telkom-Telcza*”. Zebranie to odbyło się z mojej inicjatywy. Według zachowanej listy obecności drużynę zakładali: Wiesław Krzywicki, Aleksander Korzeniowski, Ryszard Lisowiec, Andrzej Piskozub, Bogusław Jakubowski, Tadeusz Janicki, Zdzisław Meszka, Adam Kawa i Wiliam Wysocki. Kierownikiem drużyny został Bogusław Jakubowski, który był także komandorem Klubu „OPTY”. Drużyna dysponowała 2 motorówkami typu „*Mirella*”, wykonanymi w Zakładach „*Polsport*” w Chojnicach (nie istnieją) przez pracowników „*Telkom-Telczy*” Czesława Balickiego i Mieczysława Kasprzyka. Motorówki posiadały dwudziestokonne silniki radzieckie „*Wicher*”. Siedziba drużyny znajdowała się w ostatnim z 3 domków na plaży miejskiej – siedzibie klubu „*Opty*”. Zachowało się pismo drużyny do Naczelnika Miasta i Gminy z 24 czerwca 1982 r. o przydział talonów na benzynę (w tym czasie paliwa były reglamentowane).

Równoległe z tą drużyną istniała w Czaplinku druga drużyna WOPR. Jej działalność związana była z Ochotniczą Rezerwą Milicji Obywatelskiej (ORMO). Jej bazą był hangar milicyjny, obok ówczesnej siedziby PGRyb. Drużyna posiadała motorówkę „*Kameo*” z silnikiem „*Wicher*”. Ratownicy z drużyny często uczestniczyli w wodnych patrolach milicyjnych.

Transformacja ustrojowa, niszcząc zakłady przemysłowe, spowodowała zanik wszelkiej działalności społecznej przez nie wspomaganej. Ponadto władze samorządowe, indoktrynowane oficjalną propagandą, że trzeba likwidować dziedzictwo państwa



B. Brelińska z WOPR Koszalin chrzci REJE..

socjalistycznego, nie sprzyjały jakiegokolwiek działalności społecznej. W 1990 r. Zarząd miasta i gminy Czaplinek postanowił sprywatyzować domki na plaży i odmówił dalszego nieodpłatnego użyczenia jednego z nich dla Klubu „*Opty*”. Na nic zdały się próby i interwencje Zarządu klubu. Jednocześnie „*Telkom-Telcza*”, znajdująca się w katastrofalnej sytuacji ekonomicznej, zaprzestała wspomagać finansowo działalność klubu „*Opty*” i związanej z nim drużyny WOPR. Spowodowało to rychłą agonię klubu i drużyny. Zakładowy sprzęt żeglarski został wyprzedany na wewnętrznych przetargach.

DZIAŁAŁOŚĆ WOPR W CZAPLINKU PO REAKTYWACJI

Rok 2000

W 2000 r., wspólnie z Marcinem Jurewiczem, postanowiliśmy reaktywować działalność Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Czaplinku. 21 marca 2000 r. odbyło się zebranie założycielskie drużyny, z udziałem przedstawicieli Zarządu Wojewódzkiego WOPR w Koszalinie (jeszcze wtedy takie było). W zebraniu uczestniczyło 10 osób, znanych w środowisku z wodniackiego doświadczenia i zaangażowania społecznego: Bujnowski Stanisław,



Na Zjeździe WOPR w Koszalinie.
Trzeci z lewej M. Jurewicz.

ówczesnego Burmistrza Czaplinka śp. Zenona Rychlicka, decyzję tę wstrzymano i użyczono hangar na pięć lat w nieodpłatne użytkowanie drużynie WOPR. Po poprzednikach drużyna „odziedziczyła” 2 stare motorówki „Kasia” z przyczepnymi, równie wiekowymi i zdezelowanymi silnikami „Wicher”. Na działalność statutową drużyna otrzymała z UMiG w Czaplinku kwotę 2.400 zł, w tym na materiały do remontu 400 zł. W trakcie roku Sąd Rejonowy II Wydział Karny w Drawsku Pom. nakazał przekazać drużynie WOPR w Czaplinku zarekwirowaną kłusownikom łódź „Jadwiga”. I to było już wszystko. Ale był jeszcze zapal założycieli drużyny.

Do jesieni tego roku, mimo bardzo szczupłych środków finansowych i mizernego sprzętu, wykonano społecznie prace o wartości ok. 12 tys. zł, a w tym: remont hangaru (w zasadzie kapitałny), ogrodzenie terenu, elektryczną linię zasilającą, instalację wewnętrzną i oświetlenie zewnętrzne, molo i pomost nawodny. Mimo często psującego się sprzętu wykonano 82 patrole, 10 akcji ratowniczych i obsłużono regaty i imprezy wodne organizowane na j. Drawsko. W trakcie roku liczebność drużyny wzrosła do 12 osób, z których 6 miało uprawnienia ratownicze, a 7 stopnie sterników motorowodnych i jachtowych.

Rok 2001

Tego roku działanie drużyny było łatwiejsze, bo hangar był już wyremontowany i istniała przystań. Niestety środki uzyskane z budżetu miasta, to było tylko 2 tys. zł. Mimo tego udało się wyremontować łódzie i silniki, wstawić nowe, mocne wrota do hangaru oraz uporządkować teren i brzeg jeziora, oraz wyciąć drzewa zagrażające obiektom.



E. Kujawski z załogą.

Przez cały sezon letni prowadzone były codzienne dyżury, wykonano 80 patroli, oraz 6 akcji ratowniczych. Liczebność drużyny wzrosła do 15 osób, z których 8 miało uprawnienia ratownicze, a 8 stopnie sterników motorowodnych i jachtowych.

A listopadzie odbyła się radosna dla drużyny uroczystość, o której tak napisał „GŁOS KOSZALIŃSKI” z 15.11.2001 r.: „O nowiutką motorówkę do patrolowania jeziora Drawsko wzbogacili się czaplineccy WOPR-owcy. W poniedziałek 12 listopada, w Ośrodku Sportów Wodnych w Czaplinku Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe odebrało motorówkę, która ufundował Zarząd Główny WOPR.

– Łódka jest warta 25 tys. zł i mam nadzieję, że będzie dobrze służyć czaplineckim

WOPR-owcom, mówił wiceprezes Środkowopomorskiego Regionalnego WOPR w Koszalinie Sławomir Pikula, przekazując kluczyki do pomarańczowej motorówki typu „Reja”. Sprzęt ten na pewno przyda się 15- osobowej drużynie ratowników wodnych, którzy mają w swojej pieczy jezioro Drawsko, największy akwen Pojezierza Drawskiego. Do tej pory jezioro patrolowali na dwóch wiekowych jednostkach lub prywatnych motorówkach.

- *Reaktywowanej przed półtora rokiem drużynie pracy – zwłaszcza w sezonie letnim – nie brakuje. Jezioro Drawsko to raj dla żeglarzy, ale potrafi być również groźne. Z porywistymi szkwałami wywracającymi żaglówki i łamiącymi maszty zetknął się niejeden wodniak. Nagłe załamanie pogody bywa niebezpieczne, zwłaszcza dla kajakarzy. Z odsieczą śpieszono też m.in. pasażerom na stateczku spacerowym „Europa”, którego na środku jeziora dopadła awaria.*
- *Chyba dobrze się spisujemy, bo w ostatnich dwóch latach nie było przypadków utonięć na naszym jeziorze – mówił Wiesław Krzywicki, członek WOPR i były dyrektor zakładów „Telcza”. Ratownicy ochotnicy, którym gmina udostępniła stanicę wodną przy trasie na Złocieniec, wyremontowali własnymi siłami hangar. Chcą również wybudować przy przystani sanitariaty i powiększyć miejsce dla kotwiczenia jachtów...”.*

Rok 2002

Otrzymanie przez drużynę nowej, dzielnej motorówki z napędem strumieniowym pozwoliło znacząco zwiększyć ilość patroli w czasie sezonu turystycznego – do 138. Drużyna dostarczyła wszystkim zainteresowanym instytucjom i gestorom szczegółowy plan dyżurów. Ponadto członkowie drużyny wykonali odpłatne usługi na rzecz UMiG, uzyskując z tego tytułu wpływy netto 600 zł. Uzyskano także dotacje: z UMiG - 2.000 zł i z zarządu WOPR w Koszalinie – 600 zł. Kontynuowane były społecznie prace remontowe sprzętu, pomieszczeń (wystrój wewnętrzny) oraz oznakowane zostały miejsca niebezpieczne dla żeglugi na j. Drawsko. Stan drużyny zwiększył się do 19 członków, w tym ratowników 8 i sterników motorowodnych i jachtowych 9.



Na patrolu.

31 lipca zawarta została umowa pomiędzy Drużyną WOPR w Czaplinku, a Komendą Powiatową Państwowej Straży Pożarnej w Drawsku Pom., w sprawie wspomagania działalności krajowego systemu ratowniczo – gaśniczego na terenie powiatu drawskiego.

Rok 2003

Podobnie jak w poprzednim roku drużyna otrzymała na sfinansowanie swej działalności: od UMiG – 2.000 zł i od Zarządu w Koszalinie 500 zł. Początek sezonu, zaczął się tego roku długim weekendem już w ostatnich dniach kwietnia. Dnia 3 maja Marcin Jurewicz kierownik drużyny zakończył dyżur o godzinie 18.00 i wracał do domu, kiedy otrzymał telefon z posterunku policji w Czaplinku, że koło Bielawy była wywrotka jachtu i trzeba udzielić pomocy jego załodze. Natychmiast wrócił do stacji i wypłynął łodzią strumieniową „Reja” w poszukiwaniu wywróconej łodzi. Wiał silny wiatr zachodni, spiętrzający wysoką falę. Należało się bardzo śpieszyć, bo było zimno i temperatura wody nie przekraczała 10° C. Woda przewodzi ciepło znacznie lepiej i ochładza organizm 20 razy szybciej niż powietrze. Organizm nie jest w stanie zniwelować tak wielkiej utraty ciepła. W literaturze spotyka

się bardzo różne oszacowania czasu przeżycia w zimnej wodzie. W wodzie o temperaturze poniżej 10 °C można przeżyć tyle minut, ile wynosi temperatura wody: np. 4 minuty w wodzie o temp. 4° C. Niska temperatura powietrza, szczególnie w połączeniu z silnym wiatrem również przyczyniają się do wychłodzenia organizmu. Wiatr o sile 3° B daje ten sam efekt, co obniżenie temperatury o 5-10° C, natomiast wiatr o sile ponad 7° B daje ten sam efekt, co temperatura niższa nawet o 20° C przy bezwietrznej pogodzie. Ponadto na wietrze występuje efekt tzw. „windchill”, polegający na przyspieszonym parowaniu powierzchni skóry, co dodatkowo ochładza organizm.

Duża fala, pod którą płynął M. Jurewicz, zalewała bryzgami łódź i bardzo spowalniała jej bieg. Poszukiwania wywróconej łodzi trwały dość długo i dopiero o godzinie 19 udało się mu odnaleźć w trzcinach 2 jachty, z których jeden był zalany, z 9 przemoczonymi i skrajnie przemarzniętymi młodymi żeglarzami, którym groziła hipotermia. Zabrał 6 z nich do motorówki (więcej się nie mieściło), okrył plandeką i zawiózł do OW „Omega” skąd pochodzili. O godzinie 19.30, kiedy było już ciemno, po uzupełnieniu paliwa i zabraniu ciepłej odzieży, popłynął z pełną prędkością z powrotem po pozostałych żeglarzy. Nagle, koło półwyspu „Czarci nos”, motorówka uderzyła lewą stroną dziobu w pływający duży pień, skreśliła ku brzegowi i uderzyła w rosnące tam drzewo. Uderzenie było tak silne, że dziób uległ zmiażdżeniu, silnik zerwał się z poduszek, a sternik uderzył bokiem w grubą przednią półkę motorówki, które pękła. Nie szło dalej płynąć więc wezwał przez telefon komórkowy, który na szczęście ocalał, pomoc. Po przyplłynięciu motorówki z OW „Omega” przekazał sternikowi ciepłą odzież i wskazał gdzie znajdują się pozostali żeglarze oczekujący pomocy. Znacznie później przyplłynęła z Czaplinka „Europa”, która zabrała M. Jurewicza i przewiozła do Starego Drawska. Ponieważ czuł się źle wezwano karetkę pogotowia, która zwiozła go do szpitala w Drawsku Pom. Po kilku dniach wystąpiły bardzo poważne komplikacje, więc przewieziono go do Szpitala Wojskowego w Wałczu, gdzie przeszedł bardzo ciężką operację.



Zebranie drużyny WOPR.

Najsmutniejsze w tym dramatycznym wydarzeniu było to, że ani sternik, ani łódź nie byli ubezpieczeni od następstw nieszczęśliwych wypadków. Utrata zdrowia przez M. Jurewicza nie została niczym zrekompensowana, a środki na remont motorówki udało się uzyskać dopiero po długim „zebraniu”. Także nieodpowiedzialni żeglarze, gestorzy ośrodka z którego pochodzili, nie ponieśli żadnych konsekwencji.

Aby uniknąć w przyszłości podobnie dramatycznych wydarzeń

skierowała drużyna wnioski do kompetentnych instytucji, lecz nie doczekały się one realizacji. Nawet ten, by po wiosennych sztormach, usuwać pływające po jeziorze pnie i resztki kładek wędkarskich.

W roku 2003 drużyna przeprowadziła 130 patroli i 5 akcji ratowniczych. Liczba członków zwiększyła się do 26, w tym 8 ratowników i 10 sterników motorowodnych i jachtowych.

Rok 2004

Ten rok zaczął się dramatycznie. 27 lutego w niedzielę o godz. 16, do spacerującego ul. Jeziorną Sebastiana Jaroszyńskiego ratownika WOPR podbiegł chłopiec prosząc o pomoc dla tonącej siostry i jej koleżanki. Po dobiegnięciu do miejsca wypadku okazało się, że pod dziewczynkami załamał się przybrzeżny, cienki lód, na który weszły. Ratownik bez namysłu wszedł do wody i wyciągnął dziewczynkę, która była na płytkiej wodzie, poruszała się i była przytomna. Przekazał ją Andrzejowi Tuziemskiemu, i Dariuszowi Sujeckiemu, którzy w tym czasie nadbiegli, a sam wszedł ponownie do wody po drugą dziewczynkę, która unosiła się na wodzie z zanurzoną w niej twarzą, nie dając znaków życia. Po wyciągnięciu dziewczynki stwierdził u niej brak oddechu i słaby puls, przystąpił więc do reanimacji. Po kilku minutach akcji zaczęła ona oddychać i odzyskiwać świadomość. W tym czasie pierwsza z uratowanych dziewczynek zaczęła krzyczeć, że była jeszcze jedna z nimi. Wtedy ratownicy zauważyli wystający spod lodu kawałek kurtki i but tego trzeciego dziecka. Było to znacznie dalej od brzegu i S. Jaroszyński zdjął mokre ubranie i próbował do niego dopłynąć, lecz szok termiczny uniemożliwił mu to. Dopiero po zaasekurowaniu przez kolegów (wykorzystali mocną psią smycz) z trudem dotarł do trzeciej dziewczynki i wyciągnął ją na brzeg. Była sina i nie dawała żadnych oznak życia. Mimo tego, z A. Tuziemskim, z ogromną determinacją reanimowali ją, stosując masaż serca i oddychanie usta-usta. Po prawie pół godzinie nadjechała karetka pogotowia i zajęła się dwoma wcześniej uratowanymi dziewczynkami, uznając widocznie, że tej trzeciej nie da się już uratować. Jednak ratujący ją mężczyźni zacięli się, i nie ustawali w wysiłkach. Ich upór i determinacja przywróciły ratowanemu dziecku życie, po blisko 30 minutach reanimacji! W tym czasie przyjechała druga karetka, R-ka wyposażona w aparat tlenowy i zabrała uratowane trzy dziewczynki do szpitala w Drawsku Pom. Były w głębokiej hipotermii, podobno druga z uratowanych miała temperaturę ciała 23° C, a trzecia zaledwie 20° C. Wszystkie wyszły z tego bez komplikacji.



Marcin Jurewicz z młodzieżą.

Po tym dramatycznym wydarzeniu WOPR zgłosił szereg wniosków pod adresem władz samorządowych, ale zostały one uwzględnione w minimalnym stopniu. Ja, pod wpływem tego wydarzenia, napisałem artykuł „*Jak postępować gdy załamię się lód*” publikowany w „*Kurierze Czaplineckim*” i miesięczniku „*Żagle*”.

W roku 2004 wykonane zostało 126 patroli, w tym 38 patroli własnymi motorówkami członków drużyny.

Przeprowadzono 6 akcji ratowniczych z udziałem 23 osób. Mimo szczególnych zasług drużyny, ówczesne władze miejskie udzieliły dotacji w wysokości zaledwie 1500 zł. Jednak dzięki wykonaniu prac zleconych drużyna uzyskała dodatkowe fundusze w wysokości 3.000 zł, a także otrzymała darowizny w kwocie 1400 zł. Dzięki temu można było wykonać wszelkie statutowe zadania, a także dokonać dalszych usprawnień w stacji wodnej. Liczba członków drużyny zmalała do 23 osób, w tym 7 ratowników i 15 sterników motorowodnych i jachtowych.

Rok 2005

Tego roku drużyna wzbogaciła się o szybką motorówkę *FUN 14* z silnikiem przyczepnym *Evinrude* 30 KM. Na sfinansowanie zakupu złożyły się środki: 2.500 zł dotacji Starostwa Powiatowego, 4.000 zł wpływów ze sprzedaży starych motorówek, 1.500 zł wpływów z realizacji zleceń UMiG i 2.630 zł oszczędności z roku poprzedniego. Zakupiona została także wciągarka elektryczna, oraz wykonano wózek i torowisko do wciągania nowej łodzi. Niestety wszelkie wnioski drużyny pod adresem władz miejskich o dofinansowanie zakupów sprzętowych pozostały nawet bez odpowiedzi. UMiG przyznało jedynie 1.700 zł dotacji na paliwo. Liczba członków drużyny liczyła 18 osób, z czego 7 miało stopnie ratowników, a 14 patenty sterników motorowodnych i jachtowych. Wykonano 103 patrole wodne i 3 akcje ratownicze.

Rok 2006

Stan drużyny zmniejszył się o jedną osobę. Wykonała ona w ciągu sezonu 97 patroli i 5 akcji ratowniczych. Po raz pierwszy została ubezpieczona od następstw nieszczęśliwych wypadków jedna z łodzi i jej załoga. Wydatki na paliwo, remonty i ubezpieczenie wyniosły 4.300 zł, z czego 2.500 zł pochodziło z dotacji UMiG, 500 zł z dotacji Zarządu w Koszalinie, 1.000 zł od członków wspierających, i 300 zł z realizacji zleceń.

Wykonano szereg ważnych prac, jak dokończenie budowy ślipu i wyciągu dla motorówki, ustawienie pomostów pływających i wykonanie pomostów drewnianych. Jesienią Starostwo Powiatowe przekazało darowiznę w postaci apteczki plecakowej niezbędnej dla właściwego prowadzenia akcji ratowniczych.

W sobotę 13 sierpnia wieczorem policja powiadomiła kierownika drużyny, iż widziano na j. Drawsko dryfującą pustą łódź wędkarską z wędkami i sztormiakiem. Natychmiast Marcin Jurewicz z Dariuszem Woźniakiem wypłynęli na poszukiwanie osób z tej łodzi. Silnik motorówki uległ awarii i dopiero po zmroku kontynuowano akcję ratowniczą, lecz bezskutecznie. Przez kolejne trzy dni jezioro było przeszukiwane, także z udziałem helikopterów, lecz wędkarza, który używał łodzi nie odnaleziono.

W połowie roku, bez jakiegokolwiek uzgadniania z drużyną, która była uprawnionym użytkownikiem terenu, decyzją burmistrza (który chyba chciał zostawić po sobie drugi pomnik) rozpoczęto budowę „*alejki spacerowej*” brzegiem jeziora - od przepompowni do WOPR. Brzeg jeziora został okrutnie zdewastowany, a ogrodzenie stancy trzeba było rozebrać. Wszelkie pisemne protesty drużyny nie doczekały się żadnej odpowiedzi burmistrza. Do dzisiaj zdewastowany brzeg szpeci i wywołuje bardzo niepochlebne uwagi turystów.

Składając sprawozdanie roczne drużyna sygnalizowała władzom miejskim i powiatowym istotne problemy ratownictwa wodnego: „*Chroniczny brak środków finansowych, obojętność władz miasta w kwestiach ratownictwa wodnego, a także lekceważący stosunek do Drużyny i jej wniosków, stawiają pod znakiem zapytania sens jej dalszego istnienia. Brak jest także jakiegokolwiek i czyjejkolwiek reakcji na wnioski Drużyny w sprawie poprawy stanu bezpieczeństwa wodniaków na jeziorze Drawsko. Nadal nikt nie usuwa rozpadających się pomostów wędkarskich i ich szczątków, pływających po jeziorze. Nadal Drawa, do jeziora Rzepowskiego, jest zatarasowana. Nadal bakuje środków na oznakowanie wszystkich miejsc niebezpiecznych dla żeglugi (w br. Urząd przeznaczył na rozstawienie i demontaż po sezonie 13 boi „zawrotną” sumę 300 zł). Nadal przez cały sezon nikogo w Urzędzie nie interesuje, jaki jest stan ratownictwa wodnego i bezpieczeństwa na jeziorze Drawsko. Zdarzyło się dwukrotnie w tym roku, że jachty, które powinny być niezatapialne (OMEGA i SPORTINA), po wywrotkach zaczęły tonąć.*

Niepokoi także Drużynę brak zainteresowania władz miasta i Dyrekcji Parku Krajobrazowego, dewastacją i zaśmiecaniem brzegów jeziora. Przez cały sezon nie można uświadczyc kompetentnego urzędnika lub strażnika przyrody na brzegach jeziora. Drużyna oferowała swe usługi w sprzątaniu brzegów jeziora, lecz także nie doczekała się odpowiedzi UMiG...”

Rok 2007

W tym roku przybyło 12 nowych członków i w końcu roku drużyna liczyła ich 27, z czego 14 miało stopnie ratowników wodnych, a 16 patenty sterników motorowodnych i jachtowych. W ciągu roku drużyna uzyskała 5.700 zł, z czego 3.000 zł pochodziło z dotacji UMiG, a 2.200 z realizacji zleceń. Z tego zaoszczędzono 1.250 zł, przeznaczając tę kwotę na zakup sprzętu ratunkowego w 2008 r. Latem, z powodu karygodnego niedbalstwa urzędnika z UMiG, w czasie ulewnych opadów, zniszczony został slip zbudowany poprzedniego roku przez WOPR-owców, i trzeba było go naprawiać.

Wykonano 85 patroli wodnych i zabezpieczano wszelkie imprezy wodne na j. Drawsko, w tym zorganizowany przez UMiG i przedsiębiorstwa turystyczne *Stady Tour* dla dziennikarzy. WOPR-owi przypadło zadanie zajęcia się Markiem Halterem redaktorem z miesięcznika „Żagle”. Zadanie wypełniono chyba dobrze, bo red. Halter opublikował w swym miesięczniku 4 obszernie artykuły o Czaplinku i okolicach pod wspólnym tytułem „*Perła wśród jezior*”.

W sezonie nie było dramatycznych wydarzeń, lecz drużyna w sprawozdaniu rocznym ponownie wskazała główne źródła zagrożeń dla przebywających na naszych akwenach wodniaków: „...*Było trochę wywrotek łodzi, ale niegroźnych, a pomoc była szybka. Nie znaczy to jednak, że na jeziorze Drawsko i innych akwenach na terenie gminy jest zapewniony należyty poziom ratownictwa wodnego. Pracujący członkowie drużyny nie mają możliwości pełnienia dyżurów i trudno na nich liczyć w akcjach ratowniczych. Ciężar ratownictwa spoczywa więc na najstarszych, którzy niezadługo zakończą swą działalność. Na świecie ratownictwo wodne opiera się na zawodowcach, a społecznicy tylko ich wspomagają. Kto z młodych ludzi zechce opłacić z własnej kieszeni kursy i poświęcać swój czas, ryzykować zdrowiem i ponosić odpowiedzialność zupełnie społecznie? Jedynym „wabikiem” jest możliwość pływania motorówką, ale bardzo ograniczona z braku pieniędzy na paliwo i skromnego, starego sprzętu. 22 sierpnia na Jeziorach Mazurskich zginęli ludzie. Część z nich zapewne by uratowano, gdyby doceniono rolę ratownictwa wodnego. A przecież gdzie nam do drużyn mazurskich! Zagrożenie potęguje niski poziom kwalifikacji i etyki żeglarskiej oraz użytkowanie niebezpiecznego sprzętu. W 28 numerze „*Pojezierza Drawskiego*” zamieszczono informację Powiatowej Komendy Straży Pożarnych o skandalicznym zachowaniu wodniaków na jeziorze Siecino, którzy przez trzy godziny nie pośpieszyli na ratunek, wołającym o pomoc pięciu żeglarzom z wywróconej „*Omegi*”. Gdyby nie ciepła woda ludzie ci by potonęli. Pomoc musiała przyjechać aż z Drawska Pomorskiego !!!...*”

Rok 2008

Na dzień 30 września drużyna liczyła 26 członków, z których 15 posiadało stopnie ratowników wodnych, a 17 patenty sterników motorowodnych i jachtowych.

Drużyna otrzymała w tym roku, wyższą niż w minionych latach, dotację z UMiG w kwocie 5.000 zł, oraz zlecenie na ustawienie boi w miejscach niebezpiecznych dla żeglugi na kwotę 2.000 zł. Łączne wpływy drużyny wyniosły 8.000 zł, a wydatki 7.000 zł. Zakupiono za 2.500 zł przyczepny silnik o mocy 6 kM do łodzi „*Wanda*”. Łódź będzie

odtąd używana do akcji pomocniczych jak ustawianie boi, znaków ostrzegawczych itp. Przedłużony został slip, co umożliwiła wodowanie i slipowanie większych łodzi. Slipy w „Drawturze” oraz w Ośrodku Sportów Wodnych, nie dają takich możliwości.

Zaoszczędzono 1000 zł, które wykorzystane zostaną na zakupy sprzętu ratunkowego w następnym roku.

Członkowie drużyny pełnili 116 dyżurów, w czasie których wykonali 116 patroli (o 31 więcej niż w 2007 r.), oraz zabezpieczano imprezy wodne organizowane na j. Drawsko.

Planowane na rok 2008 zamierzenia wykonała drużyna w całości, mimo niedoboru środków na remont sprzętu. Duże znaczenie w realizacji zadań miała praca społeczna członków drużyny i udostępnianie prywatnego sprzętu. W 2007 r. nie wydarzyły się na j. Drawsko żadne gwałtowne zjawiska meteorologiczne, a ruch turystyczny był mniejszy niż w poprzednim roku. Było trochę wywrotek łodzi, ale niegroźnych, a pomoc była szybka.

W sprawozdaniu rocznym sygnalizowała drużyna kolejne problemy w zakresie ratownictwa wodnego: „...
Od zeszłego roku obowiązują znacznie zliberalizowane



Marcin Jurewicz z pasażerami.

przepisy w kwestii uprawnień do prowadzenia jachtów i ich stanu technicznego. Często obserwuje się żeglarzy popełniających z niewiedzy błędy, zagrażające załogom prowadzonych przez nich jachtów. Nagminne jest np. niezakładanie w czasie rejsu kamizełek ratunkowych, nawet przez dzieci. Wiele jachtów jest w złym stanie technicznym, w tym niektóre nie posiadają komór wypornościowych - zapewniających ich niezatapialność. W minionych sezonach udzielano pomocy żeglarzom, których jachty po wywrotce zaczęły tonąć - mimo że powinny być niezatapialne.

Motorówki, oprócz drużyny WOPR, mają jeszcze Policja i Straż Pożarna, ale ta pierwsza ma niski limit motogodzin, a ta druga nie jest w stanie zapewnić szybkiej pomocy, bo i nie taka jest jej rola. Jedynie ratownicy WOPR, pełniąc w sezonie codzienne dyżury są w stanie zapewnić szybką i efektywną pomoc...Nadal po jeziorze, szczególnie po każdej większej wicherze, pływa dużo pni, konarów i desek po gnijących „dzikich” pomostach i kładkach wędkarskich. Szczególnie dużo jest tego na wiosnę. Stanowią one zagrożenie dla wodniaków. Także nadal, mimo akcji sprzątania środowiska (które są tylko symboliczne), brzegi jeziora są coraz bardziej zaśmiecone. Szczególnie duże ilości śmieci znajdują się na północnym brzegu jeziora za Bielawą. Zagrożenie bezpieczeństwa wodniaków (i nie tylko) powstało na półwyspie Rękawica, ponieważ buki rosnące na jego brzegach usychają i zaczynają się walić. Przyczyną usychania drzew jest uszkodzenie kory drzew w czasie wycinki lasu 3 lata temu”.

Rok 2009

Na dzień koniec roku drużyna liczyła 34 członków, z których 11 posiadało stopnie ratowników i młodszych ratowników WOPR, 18 patenty sterników motorowodnych i jachtowych, oraz 3 pletwonurków. Stan posiadanego sprzętu się nie zmienił. Wyremontowana została natomiast dyżurka drużyny i zbudowano w niej toaletę i kominek. Wzrosła kwota dotacji UMiG do 6.000 zł, oraz za oznakowanie miejsc niebezpiecznych dla żeglugi do 2.200 zł. Ponadto sponsorzy wpłacili 2.500 zł, a Starostwo Powiatowe

udzieliło dotacji w kwocie 5.000 zł na modernizację napędu łodzi „Reja”. Łącznie wpływy finansowe drużyny wyniosły w 2009 r. 15.700 zł., z czego wydatkowano na: zakup paliwa 4.800 zł, budowę sanitariatu i kominka 4.600 zł i zakup silnika przyczepnego Yamaha 40 KM 7.300 zł.

W niedzielę 31 maja utonął w j. Drawsko młody człowiek. Do dzisiaj zwłok nie odnaleziono. Opisałem wypadek w „Kurierze Czaplineckim” w artykule „Czy ten młody człowiek musiał zginąć?” Wskazałem w nim na ignorancję, nieodpowiedzialność i brak wyobraźni wielu żeglarzy. Opisałem też prawdopodobne przyczyny tragicznego wydarzenia: „...Prawdopodobnie tragiczne wydarzenia z 31 maja miały następujący przebieg: żeglarz telefonicznie informował przystań o problemach z fokiem. Poradzono mu, by wracał do przystani. Nie wrócił. Przymuszczałnie poszedł na dziób małego jachciku, by wbrew dobrej radzie, poradzić sobie z fokiem. Nie założył kamizelki ratunkowej (były na pokładzie), nie miał linki asekuracyjnej, nie holował linki za jachtem. Poślizgnął się i wypadł za burtę, a jacht odplynął. Woda była zimna, nie więcej jak 12 °C. Popłynął do brzegu, ale po 20 min wyziębione ciało odmówiło posłuszeństwa. Nie wrócił do przystani, więc nie później jak godzinę potem motorówka zaczęła szukać jachtu - znalazła pusty, z podniesionym grotem i w połowie fokiem. A wiatr był tego dnia umiarkowany.

W zeszłym roku w październiku na jeziorze Drawsko, samotny żeglarz wypadł z jachtu Venus. Jacht na szczęście nie odplynął, lecz ma wysokie burty i nie miał drabinki. Wyziębiony żeglarz, dopiero po wielu próbach, u kresu sił, wydostał się po sterze na pokład. Miał szczęście! O wielu innych takich dramatycznych wydarzeniach na ogół nie dowiadujemy się, bo nikt nie lubi przyznawać się do głupoty.

„Nie trzeba więc białych szkwałów i burz, wystarczy brak wyobraźni wynikający z niewiedzy i braku doświadczenia...”

W artykule tym radziłem też żeglarzom jak mają przygotować się do wypłynięcia, jak zachowywać w czasie rejsu i jak postępować po wywrotce, lub wypadnięciu członka załogi z jachtu.



Nowa łódź RIB, za sterem M. Romaniuk.

W sezonie wykonano 136 patroli wodnych i 6 akcji ratowniczych. Ponownie w sprawozdaniu rocznym, które otrzymują UMiG w Czaplinku, Starostwo Powiatowe, Posterunek Policji, Straż Pożarna i Zarząd WOPR w Koszalinie, sygnalizowano problemy ratownictwa wodnego, a m.in.: „Motorówki, oprócz drużyny WOPR, mają jeszcze Policja i Straż Pożarna, ale ta pierwsza ma niski limit motogodzin, a ta druga nie jest w stanie zapewnić szybkiej pomocy, bo i nie taka jest jej rola. Jedynie ratownicy WOPR, pełniąc w sezonie codzienne dyżury, są w stanie zapewnić szybką i efektywną pomoc. Niestety sprzęt ratowniczy jest niedostateczny, a główna jednostka „REJA” jest zużyta i powinna być jak najszybciej zastąpiona nową łodzią. Zakupiony w tym roku silnik Yamaha 40 zostanie wykorzystany do nowej łodzi, którą zamierza drużyna zakupić przed sezonem 2010 r.

Zastrzeżenia budzi sposób powiadamiania drużyny o potrzebie udzielenia pomocy – informacje są przekazywane przez pośrednie ogniwa i są nieprecyzyjne. Zdarzały się też

zbędne alarmowy, w sytuacji, kiedy wywrotka następowała w dobrych warunkach pogodowych, na oczach personelu przystani, który mógł nawet łodzią wiosłową, szybciej niż ratownik WOPR, udzielić pomocy załodze”.

Rok 2010

Dzięki otrzymanej ze Starostwa Powiatowego kolejnej dotacji w kwocie 8.000 zł, oraz dotacjom sponsorów Zbigniewa Bączka i Zbigniewa Dregera, dokonała drużyna zakupu ratowniczej, hybrydowej (kadłub z laminatu i pneumatyczne pływaki wzdłuż burt) łodzi motorowej RIB 440, do której zamontowano zakupiony poprzedniego roku silnik Yamaha 40 KM. Odtąd będzie można znacznie szybciej dotrzeć do wodniaków oczekujących na pomoc. Może to zadecydować o uratowaniu ludzkiego życia. Zakupiona została też



Hangar na łódź RIB.

przyczepa do przewozu łodzi, co umożliwi drużynie prowadzenie akcji ratowniczych na innych, poza j. Drawsko akwenach. Zbudowany też został w stacji hangar na tą łódź, co umożliwi błyskawiczne rozpoczęcie akcji ratowniczej. Całą tę pracę wykonał nieodpłatnie członek drużyny S. Pikula ze swoimi pracownikami.

Władze miejskie przyznały drużynie na rok 2010 6 tys. zł na zakup paliwa i materiałów eksploatacyjnych, i jest to kwota wyższa niż w minionych latach, i wystarczająca dla należytego patrolowania jeziora.

PODSUMOWANIE

Przez 11 lat swego działania Drużyna WOPR w Czaplinku stworzyła bazę ratowniczą, jedyną taką na Pojezierzu Drawskim. Dorobiła się trzech, w miarę nowoczesnych i bezpiecznych motorówek ratowniczych. Stopnie ratowników i sterników jachtowych uzyskało wielu członków drużyny. Przeprowadzonych zostało blisko 1200 patroli i wiele akcji ratowniczych, w czasie których uratowano życie co najmniej kilku osób. Zabezpieczane były pod względem bezpieczeństwa regaty i imprezy wodne organizowane na j. Drawsko. Ponadto ostrzegano i upominano wodniaków o grożących niebezpieczeństwach. Co roku drużyna oznakowywała powyżej 20 miejsc niebezpiecznych dla żeglugi na jeziorze. Prowadzona była działalność informacyjna i publikowane informacje, porady i zalecenia dla wodniaków, oraz artykuły o tematyce wodniackiej.

W czasie tych 11 lat działania drużyna uzyskała dotacje i dochody: z UMiG w Czaplinku – 29,5 tys. zł, ze Starostwa Powiatowego – 16,5 tys. zł, od członków wspierających – 4 tys. zł, od Zarządu Regionalnego 38 tys. zł (w tym sprzęt o wartości 30 tys. zł), i z realizacji zleceń i usług 12 tys. zł. Posiadany aktualnie przez drużynę sprzęt oraz urządzenia stacji mają wartość ok. 65 tys. zł. (uwzględniając dekapitalizację sprzętu i urządzeń). A więc koszty działalności drużyny, w tym zużycia sprzętu, w ciągu tych 11 lat wyniosły 35 tys. zł to jest średnio 3,2 tys. zł rocznie.

Taki był koszt ratowania ludzkiego życia w Czaplinku!

Była też drużyna współorganizatorem kursów na stopnie ratownicze i uprawiania motorowodne, a także uczestniczyła w odbiorze kąpielisk przed sezonem, oraz

pomagała w obsadzaniu ratowników na kąpieliskach. Członkowie drużyny uczestniczyli we władzach Środkowopomorskich Regionalnego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Dążąc do poprawy bezpieczeństwa wodniaków drużyna zgłosiła wiele istotnych wniosków w tym zakresie pod adresem władz miasta i gminy, powiatu oraz zarządu w Koszalinie. Z inicjatywy drużyny, co roku przed sezonem, sprawy bezpieczeństwa osób uprawiających sporty i turystykę wodną na akwenach powiatu drawskiego są tematem posiedzeń Powiatowej Komisji Bezpieczeństwa i Porządku.

Działalność drużyny jest całkowicie społeczna. Członkowie drużyny pracujący zawodowo nie mają możliwości pełnienia dyżurów i trudno na nich liczyć w akcjach ratowniczych. Ciężar ratownictwa spoczywa więc na emerytach - najstarszych członkach, którzy niezadługo zakończą swą działalność. Nie udały się podejmowane przez drużynę próby zorganizowania szkolenia na ratowników absolwentów szkół ponadgimnazjalnych.

Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest profesjonalizacja służby ratownictwa wodnego - na wzór krajów zachodnich. W pewnym stopniu tak zorganizowany jest WOPR na Mazurach, na Zalewie Zegrzyńskim i w miejscowościach nadmorskich - finansowany przez samorządy.



Złota Odznaka WOPR.

Jeśli nie nastąpią rychłe zmiany w organizacji ratownictwa wodnego, np. na wzór Straży Pożarnej, należy spodziewać się wygaśnięcia działalności WOPR w Czaplinku i zmarnowania wieloletniego dorobku drużyny.

Za swą bardzo dobrą pracę Drużyna czaplińska zawsze uzyskiwała wysokie oceny i była uznawana za jedną z najlepszych na terenie regionu koszalińskiego. Członkowie drużyny byli odznaczani srebrnymi i złotymi odznakami WOPR oraz odznakami z okazji 40-lecia i 45-lecia Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Wiesław Krzywicki

2. OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA

Jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej w Czaplinku pełni bardzo istotną rolę w systemie zabezpieczenia i likwidacji zagrożeń na terenie miasta i gminy. Jest równocześnie jednostką operacyjno-techniczną wchodzącą w skład Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego, co dowodzi profesjonalnego przygotowania jednostki do działań nie tylko na własnym terenie, ale także na terenie całej Polski. Wpływ na to mają doskonale przygotowanie strażaków, oraz wyposażenie odpowiadające najwyższym standardom. Jednostka jest przygotowana do prowadzenia samodzielnych działań podczas akcji związanych z gaszeniem pożarów, ale może również samodzielnie i skutecznie uczestniczyć przy akcjach ratownictwa drogowego, technicznego i wodnego na terenie tak licznych u nas jezior.

Aby osiągnąć tak wysoki poziom wyszkolenia i wyposażenia technicznego musiało minąć wiele lat; kilka pokoleń pracowało na to, co dzisiaj mamy.



Ogólny widok strażnicy i sprzętu.

Początki jednostki były bardzo trudne. Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. do Czaplinka zaczęli przybywać osadnicy, którzy dołączyli do przebywających tu byłych robotników przymusowych, jeńców wojennych i zdemobilizowanych żołnierzy. W mieście pozostało także kilkuset Niemców (około 400-600 osób), których podejrzewano o wywoływanie licznych pożarów. Rozważana była w tym czasie możliwość utworzenia niemieckich patroli, odpowiedzialnych za ochronę miasta przed podpaleniami.

Obok wojskowej komendantury radzieckiej, organizowały się władze polskie. W lipcu 1945 r. powołana została Międzypartyjna Komisja Porozumiewawcza (PPR, PPS i SL), która na posiedzeniu 3 listopada tegoż roku powierzyła tow. Franciszkowi Chejnickiemu „reorganizację straży ogniowej”.

Zadanie to było bardzo skomplikowane z uwagi na trudności kadrowe i prawie całkowity brak sprzętu gaśniczego. Powstała straż ogniowa miała bardzo ograniczone możliwości działania.

Nie powiódł się eksperyment z powołaniem przez władze miejskie w 1947 r. Przymusowej Straży Pożarnej. Mieszkańcy, którzy administracyjnie i bez koniecznego

przeszkolenia zostali powołani do straży, różnymi sposobami unikali wykonywania nakazanych obowiązków, i dlatego już w następnym roku ochronę przeciwpożarową ponownie powierzono ochotnikom. We wrześniu 1948 r. władzę jednostki stanowili:

Łazar Stefan – prezes, Dyszkowski Stanisław – wiceprezes,
Piasecki Franciszek – naczelnik,
Czyżyk Zygmunt – zastępca naczelnika

W sierpniu 1949 r. do Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie, przez Starostwo Powiatowe w Szczecinku, wysłane zostało podanie następującej treści:

„Na terenie m. Czaplinek jest od roku 1945 zawiązana Straż Pożarna, która do dnia dzisiejszego nie jest jeszcze zarejestrowana. Więc my niżej podpisani prosimy o zarejestrowanie naszej O.S.P.”.

Dokument ten podpisali: Doroczała Edmund, Piasecki Franciszek, Czyżyk Zygmunt, Kowalski Rafał, Pszczoła Czesław, Więckowski Ryszard, Szandynis Jan, Lebiecki Kazimierz, Kusa Ignacy, Wenelski Jan, Orlicki Zygmunt, Matusiak Ignacy, Waśniewski Jan, Lisowiec Jan, Karczewski Henryk i Kalinowski Daniel.

Osoby te należy traktować jako pionierów czaplineckiej jednostki.

Z tego pionierskiego okresu zachowało się niewiele dokumentów, zmarli lub wyjechali na stałe z Czaplinka byli strażacy i działacze społeczni. Wspomnienia żyjących uczestników tamtych wydarzeń mają charakter subiektywny, a i pamięć często zawodzi wraz z upływem lat. Zapomnieniu ulegają nazwiska, mylą się daty i zdarzenia.

Siedzibą rodzącej się Ochotniczej Straży Pożarnej były niewielkie pomieszczenia przy ul. Moniuszki, w których już w roku 1946 pojawił się samochód pożarniczy marki FORD, wyposażony w mechaniczną pompę i kilka odcinków węzowych. Wyposażenie uzupełniały wiadra i łopaty. Samochód ten stanowił podstawowe wyposażenie Ochotniczej Straży Pożarnej przez wiele lat, chociaż jego stan techniczny budził poważne zastrzeżenia. 6 czerwca 1963 r. wybuchł groźny pożar w warsztatach szkoły zawodowej. Przy jego gaszeniu, czaplinecka straż, słabo wyposażona i wyszkolona, była bezradna. Zawodziła motopompa, pękały węże gaśnicze. Po tym pożarze – jak wspomina Piotr Kasprowicz, ówczesny przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej – *nastąpiło w czaplineckiej OSP „trzęsienie ziemi”, sięgające aż do powiatu. Nastąpiły zmiany personalne w miejscowej komendzie, znalazły się środki na nowe węże i poprawiła się sprawność tutejszego oddziału. Wrócił nareszcie wóz bojowy. Nadeszła dokumentacja na nową remizę. Rozpoczęto starania o przydział drugiego wozu, zaczęto szkolić drużyny młodzieżowe.*

Jednostka otrzymała z przydziału Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Koszalinie rodzimej produkcji samochód gaśniczy STAR 25 typu GBAM. W grudniu 1967 r. czaplineccy strażacy musieli zmagać się z wielkim pożarem w centrum miasta. Wspomina Piotr Kasprowicz:

Była połowa grudnia 1967 r. Wiatr północno-zachodni szarpał dachami i urywał rynny już trzeci dzień. Od czasu do czasu do czasu przelatywała nawałnica deszczowa. Pod drzewami na rynku leżały obłamane gałęzie. Po mieście snuli się tylko ci, co musieli.

Była godzina 23.45, ktoś biegł przez rynek krzycząc: ludzie, pali się! Wstawajcie, na Długiej pożar, u Urkiela. Od ulicy Aptecznej lecą płonące wiechcie słomy aż pod mury kościoła. Nastąpiła makabryczna noc. Wiatr jakby się wzmagił. Od budynku gospodarczego ogień przerzucił się na dwa domy mieszkalne. Ulicą tłoczyły się straże pożarne, tłum gapiów i ciekawskich. Wśród nich uwijali się mieszkańcy płonących zabudowań

wynosząc swój dobytek. Wśród tej scenerii, w hałasie samochodów, krzyków, płaczu kobiet i dzieci wyrwanych ze snu.

Trzy doby strażacy dyżurowali na pogorzeliisku, gdyż wiatr rozdmuchiwał każdą iskierkę i pożar zaczynał się od nowa.

Zmagania strażaków przy wymienionym pożarze wykazały, że z ogniem nie ma żartów i straż wymaga poważnego wzmocnienia. W OSP nastąpił wyraźny przełom. Zakończona została budowa na ul. Pławieńskiej wieży do suszenia węży oraz dwóch boksów garażowych. Siedziba OSP została przeniesiona do nowych pomieszczeń i znajduje się tam do dzisiaj.

W międzyczasie rozwijało się w OSP także życie kulturalne. W latach czterdziestych i połowie pięćdziesiątych ub. w., były to głównie strażackie zabawy taneczne, które cieszyły się dużym powodzeniem i przynosiły znaczne dochody. Wiosną 1958 r. druh Władysław Florczak odnalazł w piwnicach Urzędu Miejskiego instrumenty muzyczne, które w okresie powojennym zostały zarekwirowane Niemcom na podstawie decyzji Międzypartyjnej Komisji Porozumiewawczej z dnia 29 stycznia 1946 r., i miały być przeznaczone dla orkiestry przy straży ogniowej. Strażacka orkiestra dęta powstała w 1958 r., a druh Florczak był jej opiekunem do końca swojego życia.

Orkiestra uświetniała nie tylko imprezy strażackie, ale także większość uroczystości miejskich, nie wyłączając świąt kościelnych, co nie zawsze było mile widziane przez władze partyjne. W prawie trzydziestoletnim okresie istnienia orkiestra miała swoje wzloty i upadki, ale zawsze dawała powody do dumy strażakom i miastu.

Obowiązki kapelmistrza w latach 1959-76 sprawował Jan Wiśniewski ze Szczecinka, a następnie Stanisław Kołodziejczyk i Janusz Kucharski.



Orkiestra OSP, początki lat siedemdziesiątych.

W 1986 r. patronat nad orkiestrą przejęły władze miejskie, przekształcając ją w Czaplinecką Orkiestrę Dętą, i był to – niestety – początek końca jej działalności. Niektóre

instrumenty znajdują się jeszcze w CzOKSiR, służąc jako elementy dekoracyjne sali widowiskowej.

Lata siedemdziesiąte XX w. zapamiętaliśmy jako ogromny wkład strażaków w porządkowanie miasta. Wykonywane masowo rozbiórki obiektów budowlanych szpecących miasto lub stwarzających zagrożenie katastrofami budowlanymi, oraz przygotowanie terenów pod nowe inwestycje, dały się strażakom mocno we znaki.



Rozbiórka stodoły przy ul. Szczecineckiej.

Jednostka pozyskała jednak znaczne fundusze, które mogła przeznaczyć na własną działalność statutową.

Był to okres dynamicznego rozwoju OSP. Z inicjatywy druhów Stanisława Polaka, Henryka Polaka, Stanisława Narewskiego i innych, przystąpiono do budowy sali strażackiej, a następnie Domu Strażaka. Budowa ta została zakończona w maju **1973 r.** Jednostka otrzymała sztandar oraz została uhonorowana Złotym Medalem „Za Zasługi dla Pożarnictwa”. Przy okazji otwarcia Domu Strażaka odbyły się w Czaplinku powiatowe zawody sportowo-pożarnicze, w których nasze zespoły zajęły dwa pierwsze miejsca.



Rozbudowa strażnicy przy ul. Pławieńskiej.

W lutym **1974 r.**, po reformie administracyjnej, odbył się w nowym obiekcie pierwszy w kraju Zjazd Gminny OSP, na który przyjechał płk Albin Lasoń – wiceprezes Zarządu Głównego ZOSP, co było dużym wyróżnieniem dla naszej jednostki.

Ze względu na ciągle zwiększającą się liczbę pożarów, Zarząd jednostki na czele z druhem Stanisławem Polakiem, w porozumieniu z ówczesnymi władzami, podjął decyzję

o dobudowanie kolejnych boksów garażowych, oraz starania o uzyskanie statusu jednostki typu S-3. Pomogły w tym między innymi fundusze uzyskane z rozbiórek.

Październik roku **1975 r.** okazał się dla czaplineckich strażaków niezwykle pracowitym. W nocy z 26 na 27 wybuchły na terenie miasta aż cztery groźne pożary. Ze wspomnień Piotra Kasprowicza, byłego Przewodniczącego Prezydium MRN w Czaplinku:

Październik był dla mieszkańców miasta w ogóle pechowym. Rogowscy z ul. Drahimskiej siedzieli przy kolacji, Gizulewscy u sąsiadów piją kawę, Grubizna wrócił z „Pomorskiej” i zapatrzył się w telewizor, Kamiński Lucjan stwierdził, że to jest ostatni dzień jego urlopu i już trzeba stawić się do pracy. Mieszkańcy o tej porze oglądali już serial w telewizji.

A strażacy? – każdy miał swoje sprawy i zajęcia.

Pierwszej syreny prawie nie było słycać, bo to i wieczór mglisty i film telewizyjny ciekawy. Dzieciaki układano do snu. Druga syrena wywołała niepokój. Telefony do straży i posterunku MO dzwoniły, ludzie pytali: gdzie się pali?

St. sierżant MO Stanisław Olender dyżurujący tego wieczoru, nim dobiegł do telefonu, już była trzecia syrena. Zaczęli nadjeżdżać strażacy z sąsiednich miejscowości.

Co się w tym Czaplinku dzieje? Strażacy jeszcze nie skończyli z ogniem na Drahimskiej, a już trzeba było zwijać sprzęt i gonić na Rzeźnicką. Przy tym pożarze byli Gizulewscy, Grubizna, a z nimi Kamiński, aby ratować dobytek.

Miasto przeżywa szok. Kamiński wraca do domu i po umyciu układa się do snu, myśląc, że wreszcie odpocznie. Żona jego po filmie odczuwała jakiś niepokój i zwlekała z ułożeniem się do snu.

Było już po godzinie 22. Strażacy uwijali się jeszcze koło pogorzelsk, gdy pod oknami Kamińskich rozległ się okrzyk:

- Kamiński, wstawaj, u ciebie się pali!

Mrowie ludzi i strażacy uwijali się już koło zabudowań gospodarczych.

I tak mieszkańcy Czaplinka nie spali tej nocy, a wielu powołało samorządnie straż nocną i wraz z ORMO-wcami postanowili pochwytać podpalacza. Ze to były podpalenia nikt nie miał wątpliwości.

Strażacy opadali z sił, zbierali opieszale swój sprzęt i jakby czekali na następny sygnał do pożaru. Straty pogorzalców były ogromne, sięgały setek tysięcy złotych. Taka była noc z 26 na 27 października 1975 r.

Była to najgorsza w historii Czaplinka noc od czasów powstania Ochotniczej Straży Pożarnej. Podpalacz został ujęty kilkanaście dni później.

Fala tych pożarów przyspieszyła starania strażaków o utworzenie w Czaplinku jednostki S-3. Należy pamiętać, że w tamtym czasie działalność OSP była finansowana przez Komendę Główną Państwowej Straży Pożarnej, i do niej należała ostateczna decyzja.

W roku **1976** odszedł z szeregów OSP na wieczną służbę druh Władysław Florczak – były prezes zarządu OSP, założyciel, a następnie dożywotni opiekun orkiestry dętej.

W lipcu **1977 r.** czaplineckich strażaków dotknęło następne nieszczęście: podczas pożaru budynku mieszkalnego w Pławnie uległ ciężkiemu wypadkowi druh Gerhard Zaślawski. Doznał on bardzo rozległych oparzeń drugiego i trzeciego stopnia. Dalej jest wielkim sympatykiem straży, i pomimo że nie mieszka w Polsce, jest częstym gościem czaplineckiej straży.

Wszyscy strażacy zorganizowali natychmiast akcję krwiodawstwa i oddali na rzecz uszkodowanego ponad siedem litrów krwi. Był to pierwszy i najgroźniejszy wypadek w całej historii czaplineckiej OSP. Pomimo trudnych chwil, jakie spotkały czaplineckich strażaków, dokończono rozbudowę garaży, wybudowana została stacja paliw i magazyn na podręczny



Dł Gerhard przed wypadkiem.

czasopisma regionalne i ogólnokrajowe. Typowy ślub strażacki opisał w swojej książce OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA Zdzisław L. Danecki strony 116-117 (Wydawnictwo ZW ZOSP w Koszalinie 1985r.). Cytuję: *W strażnicy, już wówczas nazwanej na zapas „Domem Strażaka” zbierali się goście weselni. Wszyscy w mundurach strażackich. Również w mundurach paradowała własna orkiestra i Pan Młody. Tylko Młoda Pani lśniła bielą. W sali ślubów oczekiwał wówczas prezes Zarządu Gminnego ZOSP, a zarazem naczelnik miasta Czaplinka Jerzy Góralczyk z insygniami władzy na piersi. Przed wejściem do sali, jeszcze na ulicy, stała kompania honorowa strażaków, w białych rękawiczkach. Skrzyżowane toporki tworzyły tunel, przez który miała przejść para młoda i goście weselni. Nim jednak to nastąpiło, do sali ślubów podążył korowód weselny ulicami miasta. Na czele na amfibii jechała orkiestra dęta OSP. Za nią na wozie osobowym wolno jechała młoda para, a potem dopiero sznur wozów bojowych z całej okolicy. W momencie najważ-*



Kapela „Płomienie” w pełnym składzie.



Jedna z wielu wycieczek.

sprzęt. Dekada lat siedemdziesiątych to nie tylko rozbudowa bazy OSP, poprawa wyposażenia, rozbiórki i akcje ratowniczo-gaśnicze. Były również wydarzenia bardziej przyjemne, integrujące strażackie rodziny:

1. Przy jednostce działała bardzo aktywnie kapela podwórkowa „Płomienie” pod kierownictwem druha Franciszka Dziewientkowskiego, która była znana daleko poza granicami województwa.

2. Zarząd OSP organizował dla swoich strażaków i członków ich rodzin liczne wycieczki krajowe i zagraniczne.

3. Słynne stały się czaplineckie śluby strażackie. Pisały o nich

najważniejszym dla młodej pary rozlegał się jeden wielki ryk syren strażackich. Były nawet dzwony w kościele... A Potem? Ten sam korowód wracał do świetlicy strażackiej, gdzie słynna kapela prowadzona przez Franciszka Dziewientkowskiego o nazwie – „Płomienie”, rznąła już marsze weselne.

Nie wszystkie śluby miały tak wielką

oprawę, ale zawsze była to (i jest nadal) uroczystość o wielkim wymiarze emocjonalnym dla uczestników, oraz duża atrakcja dla mieszkańców i turystów. W śluby strażackie „obrodził” szczególnie rok 1978. Swój stan kawalerski zmienili druhowie Jarosław Wójciszyn, Zygmunt Lewicki i Roman Komołowski. Ten ostatni miał wielki problem. Z powodu silnego mrozu i zasp śnieżnych nie dotarła na czas narzeczona i strażacy musieli donieść ją na rękach prawie dwa kilometry, gdyż żaden z trzech wysłanych samochodów nie dotarł do miejsca zamieszkania.

W roku 1978, OSP w Czaplinku rozpoczęła współpracę z jednostką straży pożarnej NRD w miejscowości Altentreptow. Przy udziale Komendanta Wojewódzkiego Straży Pożarnej w Koszalinie zawarte zostało oficjalne porozumienie o nawiązaniu współpracy. Jeszcze w tym samym roku do Altentreptow pojechała grupa czaplineckich strażaków, którzy uczestniczyli w ćwiczeniach obrony cywilnej i spotkaniach z władzami powiatu.



Strażacki szpaler.

W roku następnym strażacy, wraz z orkiestrą, kapelą „Płomienie” i zespołem estradowym brali udział w obchodach 100-lecia jednostki z Altentreptow. Rok 1978 był dla OSP w Czaplinku rokiem szczególnym także z innego powodu, Ochotnicza Straż Pożarna stała się nareszcie jednostką S-3, a to za sprawą przydziału nowego samochodu STAR 244 terenowy, typu GBA 2,5/16 / zbiornik na wodę o pojemności 2.500 l, zbiornik na środek pianotwórczy, autopompa o wydajności 1.600 l/min.

Jeszcze nie wszystkie straże zawodowe posiadały takie pojazdy, a czaplinecka OSP otrzymała go jako pierwsza w województwie. Ten samochód był dumą naszych strażaków, niejedni nam go zazdrościli, ale był to wyraz zaufania do sprawności, odwagi i poświęcenia druhów z Czaplinka.

Rok 1979 wykorzystaliśmy między innymi na rozbiórkę stodoł przy ul. Szczecineckiej i budynku mieszkalnego przy ul. Wałęckiej 4, w którym zamieszkiwała strażacka rodzina Wójciszynów. Jednostka włączyła się także bardzo aktywnie do prac przy przebudowie Placu 3 Marca i budowie przystanku autobusowego.

OSP w Czaplinku uczestniczyła we współzawodnictwie statutowym, i w skali wojewódzkiej uzyskała następujące wyniki: - **pierwsze miejsce** w latach 1973, 1975, 1978 i 1979; - **drugie miejsce** w latach 1974, 1976 i 1980. W latach następnych współzawodnictwo zostało zaniechane.

Rok 1980 upłynął w miarę spokojnie. Do grudnia nie było większych akcji i dopiero wtedy, gdy we wszystkich środkach publicznego przekazu pojawiły się relacje o wybuchu i pożarze szybu „Daszewo” koło Karlina, czaplineccy strażacy musieli przystąpić do walki z pożarem budynków gospodarskich Ryszarda Derbota na ul. Warmińskiej.

Rok 1982. W okolicach wsi Studniczka odnotowaliśmy długą serię pożarów leśnych. Zawsze w dni wolne od pracy i zawsze w godzinach południowych. Strat dużych nie było,

bowiem OSP z Czaplinka szybko i skutecznie gasiła pożary w stadium początkowym, kiedy jeszcze nie zdołały objąć większych obszarów. Sprawcy lub sprawców podpałek – bo były to ewidentne podpalenia – nie udało się wykryć. W roku tym, strażacy z Czaplinka i Machlin przeprowadzili bardzo trudną i niebezpieczną operację zdjęcia 3 dzwonów z kościoła parafialnego, gdyż konstrukcja stropu groziła zawaleniem. W operacji tej wyróżnił się druh Ryszard Polak.

Rok 1983. W okresie wiosennym ponownie wykorzystane zostały umiejętności i doświadczenie członków czaplineckiej straży, którzy pomagali przy rozbiórce dachu na kościele. Pracami kierowali doświadczeni druhowie: Henryk Polak, Stanisław Polak i Stanisław Narewski.



Prace strażaków przy dachu kościoła.

Są odczyty i koncerty, akademie i występy. KTSK-a ma spotkania, Ligi Kobiet są zebrania. Tylko ci, co CzOK stawiali najmniej korzystają z sali. Czasem tylko w dniu ich święta zagra im orkiestra dęta: „Sto lat niech strażacy żyją, rzadko niech syreny wyją”.

Uchwałą Miejskiej Rady Narodowej z dnia 5 lipca 1983 r. jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej została wyróżniona Medalem „Zasłużony dla Miasta Czaplinka”.

20 listopada, w godzinach wieczornych, wybuchł groźny pożar wytwórni mas bitumicznych Gdańskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych z Gdańska na zapasowym lotnisku wojskowym w Broczynie. Komendant lotniska zaalarmował trzy Rejonowe Stanowiska Kierowania: w Wąlczu, Szczecinku i Drawsku Pom. Pożar ugasiła samodzielnie OSP w Czaplinku, ratując majątek o wartości około 100 mln złotych. Podczas akcji strażacy wielokrotnie narażali się na utratę zdrowia, a nawet życia. W akcji gaśniczej brali udział: druh Jerzy Góralczyk jako d-ca akcji, oraz druhowie: Marian Wojteczko, Janusz Biernat, Lech Nowiński, Mirosław Dolega, Siekiera Roman, Zdzisław Matuszak, Jerzy Domadej, Józef Ulanowski. Za udaną akcję jednostka otrzymała od Dyrekcji GPRD nagrodę pieniężną w symbolicznej wysokości 9 tys. zł (był to ułamek promila wartości uratowanego majątku). Druh Jerzy Góralczyk został w dniu 10.10.1984 r. odznaczony Medalem „Za ofiarność i odwagę”.



Dh Jerzy Góralczyk.

W dziesiątą rocznicę ukończenia budowy „Domu Strażaka”, Nina Czyż napisała okolicznościowy wiersz, zadedykowany naszym strażakom: *Przy Pławińskiej, za stodolą, gdzie pokrzywy rosły wkoło, „Dom Strażaka” zbudowali, potem CzOK-iem go nazwali. W nim spotkania są wszelakie, imprezy nie byle jakie. Łza radości błysnie w oku, gdy przybędziesz tu – do CzOK-u.*

Dzieci w sekcjach czas spędzają, swe zdolności rozwijają, Radni czasem dys-

zultują, gdy na sesjach obradują. Są odczyty i koncerty, akademie i występy. KTSK-a ma spotkania, Ligi Kobiet są zebrania. Tylko ci, co CzOK stawiali najmniej korzystają z sali. Czasem tylko w dniu ich święta zagra im orkiestra dęta: „Sto lat niech strażacy żyją, rzadko niech syreny wyją”.

Rok 1985. W tym roku, po raz pierwszy w jednostce utworzono kobietą drużynę pożarniczą. Niestety – pomimo wysiłków Zarządu OSP – nie udało się jej utrzymać, ale zdobyte wtedy doświadczenia zaowocowały w latach późniejszych.

10 września zmarł druh Józef Sieradz – długoletni naczelnik OSP w Czaplinku. **Rok 1986.** OSP w Czaplinku otrzymuje ciężki samochód gaśniczy GCBA 6/32 JELCZ 004. Jest to samochód używany, z Komendy Rejonowej w Świdwinie, ale w bardzo dobrym stanie technicznym. Posiadanie takiego pojazdu, który przewoził 6 tys. litrów wody pozwoliło w wielu przypadkach na bardzo skuteczne prowadzenie akcji gaśniczych i zmniejszenie strat, zwłaszcza, że w tym okresie bardzo się nasiliły pożary lasów.

Rok 1987. 12 listopada odchodzi z szeregów OSP na wieczną służbę długoletni kierowca i działacz pożarniczy druh Tadeusz Wójciszyn. **Rok 1988** przyniósł długo oczekiwany remont samochodu GCBA, w miejsce którego straż otrzymała fabrycznie nowy samochód GBA 2,5/16. Początkowo samochód ten miał być eksploatowany w czasie remontu JELCZA, ale ostatecznie, służył Czaplinkowi do końca 2007 r. Rok ten przyniósł naszym strażakom także nowe wyzwania, gdyż straż już formalnie podjęła obowiązki udzielania pomocy przy likwidowaniu skutków wypadków drogowych. Całkowicie nowa zadana doprowadziły do zakupu pierwszych urządzeń hydrauliki siłowej, służące do rozcinania wraków pojazdów. Były to niestety urządzenia powolne i zawodne; byliśmy jednak drugą jednostką w powiecie wyposażoną w takie urządzenia hydrauliczne. **Rok 1992.** Wprowadzone zostały w życie nowe rozwiązania prawne, regulujące organizację i funkcjonowanie struktur ochrony przeciwpożarowej. Ochotnicze Straże Pożarne, w tym i nasza, miały przejść na utrzymanie i finansowanie przez samorządy lokalne, stawały się stowarzyszeniami, musiały uchwalić statut i zarejestrować się w sądzie. Czaplinecka OSP spełniła te wymogi, została wpisana w Sądzie Okręgowym I Wydział Cywilny w Koszalinie do rejestru stowarzyszeń w dziale „A” pozycja 266, i uzyskała tym samym 26 lutego osobowość prawną.

Rozpoczęliśmy funkcjonowanie w całkowicie odmienionych warunkach. Na władze gminne został nałożony obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańców, oraz innych osób przebywających na terenie miasta i gminy. Władze samorządowe musiały zapoznać się z zasadami pracy strażaków, przyjąć na stan sprzęt i pojazdy pożarnicze, dokonać zmian w budżetach. Mieliśmy obawy, że w okresie przejściowym mogą powstać poważne zakłócenia w działalności statutowej, które jednak okazały się przedwczesne. Burmistrz Wiktor Woś stanął na wysokości zadania, zrozumiał problemy strażaków i łagodził występujące trudności. Strażacy mogli rozpocząć przygotowania do podjęcia nowych zadań, w tym do udzielania pierwszej pomocy przedmedycznej i ratownictwa technicznego.

Rok 1992 zaliczał się do okresu, który strażacy określają jako *palny*. 16 maja, około godziny 13:30 zgłoszony został duży pożar w kompleksie leśnym koło wsi Psie Głowy. Na miejsce pierwsza dotarła załoga GCBA z Czaplinka. Prawdopodobnie oceniono sytuację pożarową i wezwano do pomocy znaczne siły. Na miejsce wkrótce dojechały okoliczne OSP, Zawodowa Straż Pożarna ze Szczecinka, pracownicy Nadleśnictwa i grupa żołnierzy z JW 4499 w Mirosławcu. Przybył także por. poż. Zbigniew Marek – Komendant Rejonowej Straży Pożarnej w Drawsku Pom., który około godz. 15 przejął dowodzenie akcją, chociaż teren pożaru znajdował się wówczas poza drawskim rejonem operacyjnym. Rozprzestrzenianiu się pożaru sprzyjała długotrwała susza, silny wiatr i monokultura iglasta płonącego lasu. Pożar został ugaszony i pogorzelisko zabezpieczone około godz. 20. Spłonęło prawie 80 ha młodników sosnowych, drągownicy 20-30 letniej i poszycia leśnego. Straty zostały wycenione na około 9 mld zł. Dzięki zaangażowaniu, odwadze ale i rozważności dowódców i uczestników akcji, uniknęliśmy tragedii, porównywalnej z tą,

jaka w tym czasie wydarzyła się w Kuźni Raciborskiej. W trakcie obchodów Dni Ochrony Przeciwpożarowej Złotym Znakiem Związku OSP RP odznaczony został druh Jerzy Góralczyk. Był pierwszym strażakiem miasta i gminy Czaplinek odznaczonym najważniejszym orderem strażackim.



*Dł Franciszek
Dziewiątkowski.*

1 listopada zmarł długoletni były komendant gminny OSP, tamburmajor orkiestry dętej, twórca i kierownik kapeli podwórkowej „Płomienie” druh Franciszek Dziewiątkowski. Żył 62 lata.

Rok 1993 przyniósł nowe kontakty z strażakami niemieckimi. Rozpoczęliśmy współpracę z jednostką Straży Pożarnej w Bad Schwartau. W ramach tej współpracy do Niemiec wyjechała delegacja w składzie: Wiktor Woś – Burmistrz Miasta i Gminy, oraz druhowie Adam Czernikiewicz i Ryszard Góralczyk, którzy przejęli od miejscowych strażaków samochód pożarniczy marki MERCEDES, jako dar od miasta Bad Schwartau. Samochód przez wiele lat służył naszej jednostce do ratownictwa drogowego, a następnie został przekazany do OSP w Trzciancu.

Rok 1995 przyniósł wiele wydarzeń, z których najważniejsze to: - 10 marca, na podstawie decyzji nadbrygadiera Feliksa Deli – Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej, jednostka OSP w Czaplinku została włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego, jako jedna z pierwszych w kraju.

- 15 maja na uroczystościach w Koszalinie, druh Stanisław Narewski został udekorowany przez Komendanta Głównego PSP Złotym Znakiem Związku OSP RP.

- w związku z obchodami 50-lecia powstania Ochotniczych Straży Pożarnych w gminie Czaplinek, na terenie Ośrodka Wypoczynkowego „Kleofas” w Starym Drawsku zorganizowany został strażacki piknik, w którym udział wzięli przedstawiciele wszystkich jednostek-jubilatek: OSP Broczyno, OSP Czaplinek, OSP Czarne Wielkie, OSP Kluczewo, OSP Machliny, OSP Siemczyno, OSP Sikory, OSP Trzcinięc. **Rok 1996.** Podczas jednej z akcji gaśniczych, ze względu na zmęczenie materiału, odkształceniu uległa rama samochodu GCBA i dwudziestoletni weteran nadawał się tylko do kasacji. Samochód tego typu był w jednostce niezbędny, ale nowy miał kosztować około 300.000 zł i gmina takimi funduszami nie dysponowała. Trzeba było wykorzystać wszystkie inne możliwości.

Zarząd jednostki i komendant gminny OSP wystąpili wspólnie do nadbrygadiera Ryszarda Korzeniewskiego – Komendanta Głównego PSP i druha Zdzisława Chojnackiego - prezesa Zarządu Wojewódzkiego ZOSP z prośbą o wsparcie finansowe.

Jeszcze w tym samym roku otrzymaliśmy dotację w wysokości 100.000 zł, a Burmistrz Wiktor Woś podjął decyzję o sfinansowaniu pozostałej części. **Rok 1997** okrył żałobą naszą jednostkę. Nagle i przedwcześnie opuścili szeregi OSP dwaj zasłużeni strażacy, działacze pożarnictwa, a jednocześnie koledzy i przyjaciele. W ostatniej ziemskiej podróży towarzyszyliśmy: - druhowi Stanisławowi Narewskiemu, długoletniemu wzorowemu kierowcy, członkowi Zarządu, działaczowi społecznemu, chorążemu pierwszego pocztu sztandarowego, kawalerowi Złotego Znaku Związku OSP RP, który zmarł 6 czerwca w wieku 62 lat;



Dł Henryk Polak.

- druhowi Henrykowi Polakowi, wieloletniemu naczelnikowi

jednostki i komendantowi gminnemu OSP, doskonałemu organizatorowi i szkoleniowcowi, wymagającemu przełożonemu, współtwórcy sukcesów jednostki w latach siedemdziesiątych. Zmarł 8 września. Żył tylko 53 lata.

Oba pogrzeby otrzymały pełną strażacką oprawę. Zakończenie roku miało całkowicie odmienny charakter. W dniu 6 grudnia, na czaplineckim rynku, nastąpiło uroczyste przekazanie i włączenie do podziału bojowego nowego ciężkiego samochodu gaśniczego JELCZ 014 GCBA, zakupionego ze środków budżetowych gminy i dotacji Komendy Głównej PSP. Samochodu takiego nie miała żadna jednostka w powiecie.



Nowy ciężki samochód pożarniczy JELCZ 014.

Odbyła się również uroczystość odnowienia sztandaru jednostki. Na nowym sztandarze umieszczona została data powstania OSP – 1945 r. – zgodna z zachowanymi dokumentami źródłowymi. Stary sztandar, który stał się wartością muzealną, odprowadzali członkowie pierwszego pocztu z 1973 r.: druh Ryszard Polak i druh Roman Siekiera. Zmarłego druha Stanisława Narewskiego zastąpił weteran jednostki - druh Edward Kozak. Sztandar nowego wzoru został przekazany pocztowi w skła-

dzie: - druh Artur Grześkowiak – sztandarowy, - druh Przemysław Skibicki – asysta, - druh Dariusz Dąbrowski – asysta Fundatorami nowego sztandaru byli: „AGRO-AZOTY II Włocławek Sp. z o.o. w Łące, „AKRYBIA” Biuro Projektów i Wycen Nieruchomości w Czaplinku, Bank Spółdzielczy w Czaplinku, Gminna Spółdzielnia w Czaplinku, Koło Łowieckie „MYŚLIWIEC” w Czaplinku, „LEGRO” Pracownicza Sp. z o.o. w Drahimku, Ludowy Klub Sportowy „LECH” w Czaplinku, Nadleśnictwo Czaplinek, „POMERANIA INVEST” Sp. z o.o. w Czaplinku, Stowarzyszenie „WSPÓLNOTA LOKALNA” w Czaplinku, oraz Pracownicy Gospodarstwa Rybackiego w Czaplinku – zbiorowo, Cogiell Andrzej – właściciel hotelu i restauracji „POMORSKA” w Czaplinku, Czernikiewicz Adam – Komendant Gminny OSP w Czaplinku, Góralczyk Jerzy – były prezes Zarządu OSP, a zarazem inicjator odnowienia sztandaru, Żbikowski Roman – właściciel Firmy Usługowej „ŻBIK” w Czaplinku.

W uroczystościach wzięli udział: nadbrygadier Ryszard Korzeniewski - były Komendant Główny PSP, druh Zdzisław Chojnacki – Prezes Zarządu Wojewódzkiego ZOSP w Koszalinie, Wiktor Woś – Burmistrz Miasta i Gminy Czaplinek, przedstawiciele duchowieństwa, organizacji społecznych i liczna grupa mieszkańców Czaplinka.

Rok 1998 zaczął się dla naszych strażaków bardzo nietypowo. 26 stycznia, na prośbę mieszkańców Ostrorogu, z miejscowego jeziora ratowali dzika. „Głos Koszaliński” tak opisał to zdarzenie:

Zwierz wszedł na taflę lodu prawdopodobnie poprzedniego dnia. Ślizgał się. O własnych siłach nie był w stanie dojść do brzegu. Strażacy długo głowili się jak dojść olbrzyma. Jezioro Ostroróg (urzędowa nazwa to Niewlino przyp. R.G.) było bowiem pokryte cienką warstwą lodu. Wchodząc na taflę ryzykowali kąpielą. Strażacy przemieszczali się po płasko ułożonej drabinie. Na wszelki wypadek ciągnęli za sobą łódkę. Usiłowali złapać dzika na linę. Sześciu strażakom po ponad dwugodzinnej walce udało się doholować zwierzę do brzegu. Osłabiony wierzganiem dzik szybko wrócił do formy. Uciekł do lasu.

W piątą rocznicę podpisania umowy o współpracy między Czaplinkiem a Bad Schwartau, spotkali się przedstawiciele obu miast, w tym również strażacy. Dla tych ostatnich, Panowie Raksimowicz i Groździej – właściciele Prywatnego Gospodarstwa Hodowli Zarodowej w Motarzewie zorganizowali piknik, z pieczonym prosiakiem i innymi smakołykami włącznie. Piknik był formą podziękowania dla strażaków za uratowanie mienia podczas pożaru jednej z chlewni.



Strażacy wychodzą na lód.

Zamilkły w Czaplinku syreny alarmowe wzywające strażaków do akcji. W OSP wprowadzony został system indywidualnego powiadamiania drogą radiową. Przyspieszyło to znacznie czas wyjazdu ekip ratowniczych i zapewniło spokojny sen mieszkańcom. Przy dużej ilości wyjazdów miało to bardzo istotne znaczenie.

Rok 1999 rozpoczął się bardzo nieprzyjemnie. 7 stycznia nasza jednostka dostała wezwanie do pożaru desek na terenie gorzelnii w Drahimku. Wydawało się, że będzie to jedna z łatwych, rutynowych akcji. Na miejscu okazało się jednak, że wprawdzie palą się deski, ale obok czynnego, wysokociśnieniowego kotła, i w bliskim sąsiedztwie zbiorników pełnych spirytusu. Użycie wody mogło mieć zastosowanie tylko po wypuszczeniu pary z pieca, a zawór spustowy znajdował się między płonącymi deskami.

Do akcji jako piersi wkroczyli druhowie Ryszard Góralczyk i Paweł Stróżyk, którym udało się wypuścić część pary (zawór okazał się niesprawny). Resztę pary wypuściła rota z PSP w Drawsku Pomorskim, a para ugasiła pożar desek.

Po akcji okazało się, że maski aparatów powietrznych, którymi posługiwali się ratownicy, uległy zwęgleniu, a sami ratownicy doznali licznych – na szczęście lekkich – poparzeń, bez potrzeby hospitalizacji. Był to drugi udokumentowany wypadek strażaków

czaplineckich podczas prowadzonych akcji gaśniczych.

Dwa dni po pożarze gorzelnia wznowiła produkcję, dyrekcja spółki złożyła strażakom oficjalne podziękowania, a druhom Ryszardowi Góralczykowi, Pawłowi Stróżykowi i młodszemu aspirantowi Gustawowi Chruścikowi z PSP przyznała nagrody pieniężne.

W tym samym miesiącu, na drodze krajowej 20 przy wyjeździe w kierunku Szczecinka, doszło do poważnego wypadku samochodowego, w którym poszkodowanych zostało 6 osób. Wszystkich rannych udało się wydobyć, chociaż posiadany sprzęt do cięcia blach okazał się słabym i zawodnym.

Po tym wypadku, jednostka została doposażona przez samorząd miasta w nowoczesny sprzęt hydrauliczny do ratownictwa drogowego.

Podczas odbywającego się „Turnieju Miast” pomiędzy Bornem Sulinowem, Czaplinską i Złocięcem odbyły się również zawody sportowo-pożarnicze. W trakcie tych zawodów OSP z Czapliska uzyskała w ćwiczeniu bojowym rewelacyjny czas 38 sek., i wyraźnie pokonała aktualnego mistrza powiatu drawskiego – OSP Złocieniec oraz ekipę Jednostki Ratowniczo-Gaśniczej PSP z Borneo Sulinowa.

Czasu tego nie udało się nam dotychczas poprawić, ani nawet powtórzyć.

Nadszedł sylwester 1999/2000 r. Na czaplineckim rynku zebrały się tłumy mieszkańców, aby wspólnie powitać jubileuszowy rok i początek nowego wieku.

OSP z Czapliska zabezpieczała imprezę pod względem pożarowym, a ponadto była przygotowana do awaryjnego oświetlenia Rynku. Wszyscy obawiali się skutków mileijnego wirusa komputerowego. Na szczęście nic takiego się nie stało, za to strażacy dali wspaniałą pokaz sztucznych ogni. Od tego czasu stało się to tradycją, i pokazy ogni sztucznych strażacy dają na powitanie każdego Nowego Roku, zapewniając przy tym maksimum bezpieczeństwa.

Nie można tego niestety powiedzieć o innych uczestnikach imprez, szczególnie rochoconej młodzieży, „...aby ktoś był bezpieczny, inni muszą czuwać i pracować...”

Prawda ta dotyczy również strażaków, którzy w okresach świąteczno-noworocznych, zamiast beztrudnej zabawy, muszą być w gotowości do akcji ratowniczo-gaśniczych. Statystyki wskazują na zwiększającą się w tym okresie liczbę pożarów i wypadków drogowych.

Rozpoczął się nowy wiek. Przed strażakami postawione zostały nowe zadania i nowe wymagania, którym nie wszyscy mogą sprostać. Do akcji mogą wyjechać tylko te osoby, które posiadają minimum wykształcenie podstawowe strażaka, oraz kurs ratownictwa technicznego i pomocy przedmedycznej. Praca strażaka stała się bardziej złożona, trudna i odpowiedzialna. Pierwsze lata nowego wieku to bardzo trudny okres w działalności jednostki OSP. W poszukiwaniu pracy odeszło wielu bardzo dobrze wykształconych strażaków, a pomimo niekwestionowanych sukcesów jednostki, młodzi ludzie nie wykazywali entuzjazmu do pracy i uczestnictwa w życiu OSP. Naczelnik jednostki, druh Paweł Stróżyk, dwoił się i troił, aby pozyskać nowych strażaków. Sukcesem było pozyskanie na stałe chociaż jednego członka naszego stowarzyszenia rocznie. Wielu kandydatów szybko się zniechęcało, bowiem pożarnictwo to nie tylko paradny mundur, ale głównie ciężka praca przy konserwacji sprzętu, utrzymaniu porządku w remizie i niebezpieczne akcje ratownicze, a przy tym szkolenia, szkolenia i jeszcze raz szkolenia.

W tym czasie gwałtownie wzrastała na terenie gminy ilość zdarzeń wymagających strażackiej interwencji. W roku 2000, po raz pierwszy liczba wyjazdów przekroczyła 100, a w 2003 r. było już ich 254. W okresie lat 2000-09 zarejestrowanych zostało łącznie 1.579

wyjazdów, przy czym w 2008 r. liczba ta osiągnęła astronomiczną, jak na straż ochotniczą wysokość 281 wyjazdów. Przy tak wielkiej liczbie strażackich interwencji oraz wielokierunkowych działaniach organizatorskich Zarządu, ograniczyć się muszę do opisania tylko najważniejszych. Celowo pomijam zdarzenia, które występowały w skali masowej, takie jak gaszenie wypalanych bezmyślnie łąk i nieużytków, usuwanie gniazd niebezpiecznych owadów, pomoc przy kolizjach drogowych, w których nie było poszkodowanych ludzi, lub straty materialne były niewielkie.

Kalendarium tych najważniejszych wydarzeń i działań OSP w poniższych latach obejmuje:

Rok 2000.

- w nocy 22/23 lutego, dziesięć samochodów gaśniczych (3 z Czaplinka) i 58 strażaków uczestniczyło przy gaszeniu pożaru restauracji-motelu „Paradise” przy ul. Złocienieckiej. Akcja trwała prawie 7 godzin, a straty wycenione zostały na 500 tys. zł;

- w dniu 23 lutego, przy udziale zawodowych rybaków, strażacy wydobyli z j. Drawsko ciała dwóch mężczyzn; - 24 października w pobliżu miejscowości Brzezinka, zderzyły się czołowo 2 samochody osobowe. W wyniku zderzenia zginęła jedna osoba i jedna została odwieziona do szpitala w Drawsku Pom. - 25 października w pobliżu Broczyna, samochód osobowy ford taunus z Jabłonowa zderzył się czołowo z ciężarowym Iveco PKS w Gryficach. Obrażeń ciała doznała 13-letnia pasażerka forda.



Akcja ratownicza.

Rok 2001. - 11 stycznia na wylocie z miasta drogi krajowej 20, wjechał do rowu i wywrócił się samochód-cysterna, przewożący 18 t formaliny. Występowało niebezpieczeństwo zatrucia wód j. Czaplino, ale zagrożeniu temu udało się zapobiec. Była to

pierwsza akcja ratownictwa chemicznego, w której uczestniczyli czaplineccy strażacy. Akcja trwała 12 godz. Przy przepompowaniu formaliny 2 ratowników uległo lekkim oparzeniom;

- 10 maja nad ranem wybuchł pożar klatki schodowej w oficynie przy ul. Wałęckiej, na której składowane były różnorodne, palne odpady. Po ugaszeniu pożaru okazało się, że wskutek zacczadzenia śmierć ponieśli dwaj mężczyźni w wieku 49 i 53 lat;

- 23 maja strażacy otrzymali polecenie rozebrania sześciometrowych ścian stodoły przy ul. Rzeźnickiej 7, która groziła zawaleniem, i mogła spowodować katastrofę budowlaną budynku mieszkalnego. Oba obiekty były połączone konstrukcyjnie. Mimo obiekcji jednego z właścicieli lokali, że *strażacy prowadzą rozbiórkę niefachowo, bez zezwolenia, dokumentacji i nadzoru*, cała akcja zakończyła się powodzeniem. Nikt nie odniósł obrażeń, a sam budynek mieszkalny został przeznaczony do kapitalnego remontu; - 9 czerwca, na zaproszenie dowódcy 12 Bazy Lotniczej w Mirosławcu, uczestniczyliśmy w pikniku lotniczym „Mirosławiec 2001”. Jednostka nasza prezentowała możliwości taktyczne samochodu GCBA, wyposażonego dodatkowo w sprzęt ratownictwa technicznego, oświetlenia terenu akcji, oraz pomocy przedmedycznej. Prezentacja spotkała się z bardzo dużym zainteresowaniem uczestników pikniku. Współpraca z 12 BL kontynuowana była w latach następnych i trwa nadal; - 14-15 września na drodze wojewódzkiej 173 pod Kluczewem były dniami grozy. W godzinach rannych 14 września wywróciła się cysterna wypełniona 26 tys. litrów skroplonego gazu propan-butan. Akcja ratownicza z udziałem specjalistycznych jednostek PSP trwała 36 godzin i zakończyła się pełnym sukcesem. Jednostka OSP z Czaplinka uczestniczyła w tej akcji przez 28 godzin;

- 23 września w godzinach rannych wybuchł pożar pawilonów handlowych na ul. Zbożowej. Pomimo szybkiej i sprawnej akcji, całkowicie spalił się kiosk z prasą i art. chemicznymi, oraz punkt toto-lotka. Częściowo uszkodzony został butik z odzieżą. Straty wycenione zostały na 90 tys. zł; - 29 września w Cieszynie odbył się I Powiatowy Zjazd Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP powiatu drawskiego. Do Zarządu Powiatowego ZOSP RP weszli członkowie naszej jednostki: druhowie Adam Czernikiewicz i Paweł Stróżyk. Druhowi Czernikiewiczowi powierzono obowiązki wiceprezesa; - 5 grudnia na zakręcie drogi z Czaplinka do Wałcza zderzyły się czołowo dwa samochody osobowe, polonez i nissan. Obaj ranni kierowcy zostali odwiezieni do szpitala w Wałczu. **Rok 2002.** - styczeń. Niewielki strumyk przepływający przez Kluczewo, zmienił się w wyniku roztopów i obfitych opadów deszczu, w rwący potok. Woda wystąpiła z koryta i podtopiła kilka gospodarstw w centrum wioski. Do ratowania, a następnie zabezpieczenia dobytku, zostali wezwani strażacy. W kulminacyjnym momencie akcji uczestniczyły w niej zastępy JRG PSP z Drawska Pomorskiego i Bornego Sulinowa, oraz 7 zastępów OSP. Jednostka OSP z Czaplinka była zaangażowana w akcji przez trzy doby bez przerwy: od 27 do 29 stycznia. Walcząc z wielką wodą, nasi strażacy musieli wykonać w międzyczasie swój tradycyjny obowiązek: ugasili pożar budynku mieszkalnego w Żeliszawiu; - 18 maja. W czasie powiatowych uroczystości Dnia Strażaka, druh Leon Konieczny – najstarszy czaplinecki strażak – wyróżniony został Medalem im. Bolesława Chomicza;

- 28 maja. Na drodze krajowej 20 doszło do groźnej kolizji drogowej. Kierowca samochodu ciężarowego zjeżdżał na pobocze i zahaczył przyczepą o drzewo. Przyczepa odbiła się od pnia, wprost pod nadjeżdżający z przeciwka samochód dostawczy, którego kierowca doznał licznych obrażeń ciała; - 6 sierpnia przy wjeździe do Czaplinka od strony Szczecinka, TIR na gdańskich tablicach rejestracyjnych zderzył się z osobowym BMW.

Poważne obrażenia odniósł kierowca samochodu osobowego, który został zakleszczony wewnątrz pojazdu. Z uszkodzonego pojazdu wydobyli go nasi strażacy. Do szpitala z obrażeniami głowy odwieziono także dwoje pasażerów; - 23 sierpnia. Na trasie Czaplinek-Złocieniec kierowca fiata 126p wjechał pod kombajn. Nieprzytomny, z poważnymi obrażeniami został odwieziony do drawskiego szpitala. **Rok 2003.** - 20 października. W wypadku, do którego doszło na trasie Czaplinek-Sikory zginął 18-letni kierowca opla kadetta. Nastolatek nie dostosował prędkości do warunków panujących na drodze. Zjechał nagle na lewą stronę jezdni i uderzył w przydrożne drzewo. Zmarł na miejscu. **Rok 2004.** - 25 stycznia. Do tragicznego wypadku doszło na trasie Czaplinek-Sikory. Około godz. 3:40 kierowca Volvo stracił panowanie nad pojazdem i bokiem uderzył w drzewo. Zginął kierowca i jeden z pasażerów (obaj z Czaplinka). Drugi z pasażerów – z ciężkimi obrażeniami - został odwieziony do szpitala; - 15 lutego. Strażacy odebrali ufundowaną przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie hybrydową łódź ratunkową z silnikiem zaburtowym i podwoziem do transportu, a więc bardzo mobilną. W razie potrzeby można ją wykorzystywać na każdym z jezior; - 15 października. Na ul. Złocienieckiej w Czaplinku wydarzyła się katastrofa drogowa. Autobus, którym podróżowało 45 turystów zderzył się z cysterną przewożącą paliwo. Zginęło 10 osób, 15 odniosło poważne obrażenia. Paliwo z uszkodzonej cysterny zaczęło spływać w kierunku j. Drawsko. Na ratunek ruszyli strażacy, lekarze pogotowia, policjanci, WOPR-owcy. Mieszkańcy Czaplinka z przerażeniem patrzyli na pędzące na sygnale ulicami miasta karetki i wozy strażackie.

Na szczęście były to tylko największe w tym roku na Pomorzu Środkowym ćwiczenia służb ratowniczych. Ratownicy wykazali się zaangażowaniem i wysokimi umiejętnościami, zawodził natomiast transport. St. kpt. Zbigniew Kwiatkowski – Komendant Powiatowy PSP w Drawsku Pomorskim oceniał: *Obawiam się, że gdyby do katastrofy o takich rozmiarach doszło w rzeczywistości, ranni oczekiwaliby na pomoc o wiele dłużej, a dla niektórych mogłoby to zakończyć się tragicznie. Z Czaplinka do najbliższego szpitala w Drawsku Pom. jest ponad 30 kilometrów, a do dyspozycji mieliśmy jedynie trzy karetki.*

Rok 2004 miał dla jednostki charakter nietypowy. W związku z uczestnictwem Czaplinka w telewizyjnym programie „Miasto Marzeń” nasza jednostka stała się najbardziej medialną OSP w Polsce. Większość akcji i ważniejszych wydarzeń była rejestrowana przez reporterów TV 2 i emitowana w programie ogólnopolskim. Nasi strażacy byli zapraszani do Warszawy i dwukrotnie wzięli udział w programach emitowanych na żywo.



Uszkodzona cysterna koło Siemczyna.

Strażacy zabezpieczyli teren, podjęli odpowiednie kroki w celu ograniczenia zagrożenia, oraz uprzątnęli teren z pozostałości powypadkowych. Do rekultywacji skażonego gruntu

Rok 2005. - 26 lutego. Na Rynku w Czaplinku odbyło się uroczystość przekazania i włączenia do podziału bojowego nowo zakupionego samochodu ratownictwa technicznego ford transit, który zastąpił wysłużonego mercedesa; - 24 sierpnia o godz. 5:25 w pobliżu wsi Siemczyno miał miejsce wypadek cysterny przewożącej olej napędowy. W wyniku wypadku pasażer zginął na miejscu, a kierowca trafił do szpitala.

Z uszkodzonej cysterny wyciekła duża ilość oleju napędowego, który skażył pobliski grunt.

została zobowiązana firma, do której należała cysterna;

- następnego dnia po tym tragicznym wydarzeniu, w Czaplinku, na skrzyżowaniu ulic Polnej i Szczecineckiej wywróciła się kolejna cysterna. Na szczęście kierowcy cysterny nic poważnego się nie stało, skończyło się na drobnych skaleczeniach. Zawartość cysterny również była mniej uciążliwa dla środowiska – była wypełniona mlekiem. Z całej sytuacji zadowolone były tylko koty, które tłumnie zbiegły się do płynącej ulicą rzeki mleka.



Ul. Szczecinecka, przewrócona cysterna z mlekiem.

Rok 2006. - 9 marca. W godzinach nocnych wybuchł groźny pożar budynku mieszkalnego we wsi Rzepowo. Zapaliły się strop i izolacje budynku. Aby ugasić pożar konieczna była częściowa rozbiórka stropu, ponieważ palące się belki i izolacja przylegały i przechodziły przez komin. Na szczęście mieszkańcom nic się nie stało i opuścili palący się budynek o własnych siłach; - w nocy z 21 na 22 kwietnia miał miejsce groźny pożar sterty słomy (w balotach) w pobliżu znajdujących się nieopodal zabudowań gospodarczych i obory, w której przebywały zwierzęta. Dzięki sprawnej akcji przybyłych strażaków, nie doszło do rozprzestrzenienia się ognia. **Rok 2007.** - 27 listopada. Gmina zakupiła na wyposażenie czaplineckiej OSP średni samochód pożarniczy marki mercedes. Wprawdzie pojazd nie był nowy, ale znajdował się w dobrym stanie technicznym, co pozwoliło na bezpośrednie wprowadzenie samochodu do podziału bojowego; - noc sylwestrową strażacy spędzili przy gaszeniu pożaru budynku mieszkalnego przy ul. Rzeźnickiej. W akcji brały udział 3 zastępy z Czaplinka i 2 zastępy PSP z Drawska Pom. Akcja zakończyła się dopiero o 5 rano. **Rok 2008.** - 1 stycznia. Około godz. 12:30 na trasie Czaplinek-Siemczy-no, samochód osobowy – w wyniku poślizgu – wpadł do rowu i dachował. W wypadku nie było osób poszkodowanych, ale OSP w Czaplinku zanotowała pierwszą w Nowym Roku akcję ratownictwa drogowego;

- 6 czerwca. Jednostki straży pożarnych z powiatu drawskiego (6 zastępów OSP, w tym 2 z Czaplinka, oraz 2 zastępy PSP) przy wsparciu 2 samolotów gaśniczych i 2 śmigłowców, brały udział w akcji gaszenia pożaru młodnika sosnowego w pobliżu miejscowości Studniczka. Działania filmowane były przez TVN 24. Z powodu suszy całkowitemu spaleni uległo 5 ha lasu. Akcja gaśnicza była trudna i długotrwała; - 7 czerwca. Podczas festynu rodzinnego na terenie Szkoły Podstawowej w Czaplinku doszło do pożaru pomieszczenia na drugim piętrze. Po dojeździe na miejsce zdarzenia ustalono, że w klasie znajduje się matka z dzieckiem, a droga ucieczki została odcięta przez ogień. Ewakuacja odbyła się przy pomocy drabiny ratowniczej na podwoziu IFA. Do gaszenia pożaru wprowadzone zostały dwie roty w aparatach do ochrony dróg oddechowych, które szybko opanowały sytuację. Widzowie bili brawo, bowiem był to tylko pokaz sprawności strażaków i wyposażenia OSP; - 21 czerwca. W kościele pw. Podwyższenia Krzyża w Czaplinku miał miejsce ślub strażackiej pary. Wierność małżeńską ślubowali sobie drużna Sylwia Harkaj i druż Adam Kaźmierczak; oboje z OSP Czaplinek. W tej doniosłej chwili młodożęncom towarzyszyła oczywiście strażacka asysta; - 31 grudnia o godz. 21:30 OSP w Czaplinku została zadysponowana do pożaru na zamku „Drahim” w miejscowości Stare Drawsko. Od nieszczęelnego komina doszło do nadpalenia ścian oraz poddasza w drewnianym

domku. W działaniach gaśniczych uczestniczył jeden zastęp - 4 ratowników. W tym czasie na czaplineckim rynku witano hucznie Nowy Rok.

Rok 2009. - 1 stycznia. Na powitanie Nowego Roku (około godz. 5:00) czaplineccy strażacy wezwani zostali do wypadku drogowego w okolicy Drahimka. Poszkodowane zostały dwie osoby (kobieta i dziecko), które zostały zabrane przez karetki pogotowia ratunkowego. Kierowca samochodu, który nie dostosował szybkości do warunków panujących na drodze i wjechał do rowu, nie odniósł obrażeń; - 25 kwietnia. Swój chrzest bojowy przeszły cztery druhny, które po stosownym przeszkoleniu i pomyślnie zdanych egzaminach, zostały włączone do składu jednostki operacyjno-technicznej. Były to druhny: Anna Góralczyk, Karolina Góralczyk, Joanna Szastko i Sara Łosin, które uczestniczyły w gaszeniu zadrzewienia w pobliżu Żelisławia; - 17 czerwca. Na stacji paliw „BLISKA” w Czaplinku rozszczelnił się zbiornik z gazem LPG. W działaniach straży, polegających na wyznaczeniu i zabezpieczeniu strefy bezpieczeństwa oraz zamknięciu zaworów, brały udział 3 zastępy OSP z Czaplinka. Stacja paliw została zamknięta do czasu przyjazdu serwisu i usunięcia usterki.

Rok 2010. - 2 maja obchodzony był „Gminny Dzień Strażaka 2010” połączony z jubileuszem 65-lecia Ochotniczych Straży Pożarnych na terenie miasta i gminy. Uroczystości rozpoczęły się na czaplineckim rynku. Brał w nich udział: Wiceprezes Zarządu Woj. ZOSP RP Jan Sachs, Komendant Powiatowy PSP mł. bryg. Zbigniew Kwiatkowski, Burmistrz Czaplinka Barbara Michalczyk, Komendant Posterunku Policji nadkomisarz Arkadiusz Kornacki, przedstawiciele zakładów pracy, organizacji społecznych i liczna grupa mieszkańców. W trakcie uroczystości sztandar otrzymała OSP w Siemczynie, a nowy samochód gaśniczy – OSP w Machlinach. Poświęcenia sztandaru i samochodu dokonał ksiądz proboszcz czaplineckiej parafii Kazimierz Chudziński. Po Mszy Świętej w intencji strażaków i ich rodzin, wszystkie oddziały OSP, z udziałem Świdwińskiej Orkiestry Dętej, przemaszerowały do amfiteatru na dalszy ciąg uroczystości, podczas których wręczone zostały odznaczenia i wyróżnienia, odbyły się występy zespołów artystycznych i zabawa taneczna. Dowódcą kompanii honorowej był druh Ryszard Góralczyk, a naczelnik OSP druh Paweł Stróżyk odznaczony został Srebrnym Medalem „Za Zasługi dla Pożarnictwa”;

- 17 lipca. Na terenie Ośrodka Sportów Wodnych odbyło się wodowanie nowej łodzi hybrydowej, wyposażonej w silnik 60 KM, co przy małej wadze powoduje, że jest bardzo szybka i zwrotna. Jeszcze tego samego dnia została użyta przy akcji ratunkowej na j. Drawsko.

Po zwodowaniu łodzi i kilku rejsach próbnych nastąpiło załamanie pogody, silny wiatr i deszcz z gradem, na jeziorze wystąpił tzw. „biały szkwał”. Wielu żeglarzy nie zdążyło schronić się w bezpiecznych przystaniach. Z własnej inicjatywy, na patrol wyruszyły obie strażackie łodzie. Załoga jednej z nich zauważyła wywrócony jacht



Łódź ratownicza hybryda.

i pływającego obok żeglarza. Po nawiązaniu bezpośredniego kontaktu okazało się, że pod łodzią znajdować się może jeszcze jedna osoba. Na szczęście przewracająca się łódź wytworzyła poduszkę powietrzną i uwięziona kobieta (w kapoku) miała czym oddychać. Druh Paweł Stróżyk wpłynął pod żaglówkę, uspokoił uwięzioną kobietę i pomógł jej wypłynąć na zewnątrz. Oboje poszkodowani byli bardzo wycieńczeni i zostali natychmiast odtransportowani na ląd.

Nikt nie utonął, a nowa łódź sprawdziła się rewelacyjnie podczas niebezpiecznej akcji. Ratownicy i tym razem nie zawiedli.

Poza wymienionymi wyżej zdarzeniami, do codziennych zadań strażackich należy obsługa i zabezpieczanie różnorodnych uroczystości i imprez na ziemi i wodzie: oficjalnych uroczystości ogólnomiejskich, kościelnych, kulturalno-rozrywkowych i sportowych. Jednostka organizowała także spotkania z młodzieżą szkolną, pokazy sprzętu, wycieczki i rodzinne spotkania integrujące. Wróciła tradycja strażackich ślubów, chociaż w skromniejszej formie.



Zwiedzanie strażnicy.

Co roku w miesiącu maju tłumnie zwiedza strażnicę młodzież z okolicznych szkół i przedszkoli.

Jednostka uczestniczyła we wszystkich zawodach sportowo-pożarniczych stopnia gminnego i wielokrotnie w nich zwyciężała, kwalifikując się do zawodów powiatowych, wojewódzkich a nawet centralnych.

Od 2006 r. jednostka posiada własną stronę internetową, na której zamieszczane są na bieżąco informacje i fotografie z działalności OSP. Tradycyjna nazwa **Straż Pożarna** nie odpowiada już zakresowi obowiązków i podejmowanych działań. Współczesny strażak to nie osoba, która tylko szybko rozwija węże gaśnicze i umie posługiwać się prądownicą; to wszechstronnie wyszkolony ratownik, potrafiący właściwie zachować się w każdej sytuacji, sprawny fizycznie i odporny na stres. Odrobina odwagi i rozwagi także się przydają.

Aktualny stan organizacyjny jednostki przedstawia się następująco:

– członkowie zwyczajni 39, w tym kobiety 8, z czego 7 należy do jednostki

operacyjno-technicznej, i jest to jedyny przypadek w skali powiatu;

- członkowie honorowi 5, są to druhowie: Leon Konieczny, Stanisław Polak, Ryszard Polak, Roman Siekiera i Jerzy Góralczyk;
- jednostka nie posiada członków wspierających.

Na wyposażeniu jednostki znajdują się samochody:

- samochód ratownictwa technicznego FORD;
- samochód ratowniczo-gaśniczy MERCEDES;
- samochód ratowniczo-gaśniczy JELCZ;
- samochód operacyjny POLONEZ;
- samochód kwatermistrzowski LUBLIN;
- i wiele specjalistycznego sprzętu, w tym dwie hybrydowe łodzie ratownicze z podwoziami do transportu, oraz przyczepa ratownictwa wodnego z pełnym wyposażeniem do ratowania poszkodowanych na zamrzniętych zbiornikach wodnych.

Powierzenie ochotnikom tak drogiego specjalistycznego sprzętu, dowodzi wielkiego zaufania władz samorządowych i resortowych, na które czaplineccy strażacy ciężko pracowali przez minione 65 lat.

Pracami jednostki kieruje obecnie Zarząd w składzie:

- druh Ryszard Góralczyk, prezes Zarządu od 1996 r.
- druh Paweł Stróżyk, wiceprezes, naczelnik OSP od 1995 r.
- druh Adam Czernikiewicz, sekretarz od 1996 r.
- druhna Ewelina Pernat, skarbnik od 2009 r.
- druh Tadeusz Siara, gospodarz od 2007 r.

Druh Adam Czernikiewicz pełni ponadto od 1992 r. obowiązki komendanta gminnego OSP.

Priorytetowym zadaniem na najbliższe lata staje się rozbudowa obiektów strażnicy przy ul. Pławieńskiej, i utworzenie na ich bazie Gminnego Centrum Ratownictwa.

Ryszard Góralczyk

VIII. NOTY BIOGRAFICZNE

Dębicki Jan

Góralczyk Franciszek

Januszaniec Stefan

Kobus Marek Stanisław

Kowalska Barbara

Mirowicz Helena

Perskiewicz Anna

Zajac Szczepan

(Brunon Bronk)

(Brunon Bronk)

(Zbigniew Januszaniec)

(Marek Kobus)

(Barbara Kowalska)

(Halina Mirowicz)

(Brunon Bronk)

(Brunon Bronk)

DĘBICKI Jan



Urodził się 19 grudnia 1925 r. w Samgorodku na Ukrainie. Ojciec Józef i matka Maria z d. Królikowska prowadzili gospodarstwo rolne. Miał czterech braci: Stanisława, Jakuba, Marcina (którzy zmarli będąc małymi dziećmi) i Wincentego, oraz trzy siostry: Rozalię, Bronisławę i Jadwigę. W 1930 r. rodzice wybudowali nową chatę składającą się z dużej kuchni oraz jednego dużego pokoju. W kuchni znajdował się piec chlebowy, w którym gotowano również posiłki. Na tymże piecu można było także spać. W ramach kolektywizacji, w Wielkanoc 1931 r. rodzinie Jana odebrano cały majątek wraz z inwentarzem żywym. I tak w latach 1932-33 rozpoczęła się głódówka.

W 1934 r. skończył jedną klasę w polskiej szkole, którą zlikwidowano w 1935 r., więc wszystkie dzieci musiały uczęszczać do szkoły ukraińskiej. Jego dzieciństwo upłynęło na pasieniu cudzych krów. Po skończeniu 7 klasy zapisał się do szkoły zawodowej. W czerwcu 1941 r. Niemcy napadli na Związek Radziecki. Jan dyżurował w komendanturze wojskowej. Po 2 tygodniach walki Niemcy wkroczyli do Samgorodka. W 1942 r. rozpoczęto werbunek ludności na wyjazd do pracy w Niemczech. Ponieważ nie było zbyt wielu chętnych, więc urządzano „łapanki”. Jan również się ukrywał. W 1943 r. zaczęła się organizować władza radziecka. Do wojska zabierano mężczyzn, którzy ukończyli 19 lat. Jan jako 17-latek musiał chodzić codziennie na ćwiczenia wojskowe, jako ochrona „wojenkomatu”. W kwietniu 1943 r. został wcielony do Armii Czerwonej. Dnia 20 maja 1943 r. wszystkim młodym Polakom wydano suchy prowiant i skierowano do wojska polskiego organizującego się w miejscowości Sumy na Ukrainie. Na dworcu w Sumach patrol wojskowy zabrał wszystkich do koszar. Tutaj Jan otrzymał skierowanie do szkoły podoficerskiej i przydział do baterii ciężkich moździerzy kalibru 120 mm. Mundury były rosyjskie z polskimi dystynkcjami. Dowódcą plutonu był podporucznik Dulęba. W miesiącu czerwcu 1944 r. wojsko polskie stacjonujące pod Sumami zostało przeniesione na byłe tereny polskie do woj. wołyńskiego pod Łuckiem, a już w lipcu jednostka wojskowa została przeniesiona do Lublina. Po przejściu przez rzekę Bug miejscowa ludność bardzo przychylnie witała wojsko polskie



poczęstunkiem i kwiatami. We wrześniu 1944 r. ukończył szkołę podoficerską i został skierowany do 10 pp, do baterii moździerzy 120 mm. Tam został dowódcą moździerza. W październiku 1944 r. jednostka zajęła przyczółek nad Wisłą. Po zdobyciu Warszawy



4 Dywizja Piechoty, w której walczył Jan Dębicki, przeszła szlak bojowy od Warszawy aż do Berlina. W pościgu za wojskami niemieckimi dotarł do miejsca, skąd było już tylko 3 km do Łaby. Tutaj zastał go koniec II wojny światowej. Po wojnie jednostki 4 DP zostały skierowane do wojsk wewnętrznych, zwanych Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W miejscowości Górzycy (woj. lubuskie) służył do jesieni 1946 r., następnie przeniesiony został do Wojsk Ochrony Pogranicza w Koszalinie i Darłównu. W lutym 1947 r. został zdemobilizowany. Osiedlił się w Czaplinku razem z kolegą Jankiem Przegalińskim, u którego mieszkał do kwietnia 1948 r. Przez kilka dni pracował jako rybak, ale nie miał pojęcia o rybołówstwie, więc zatrudnił się jako magazynier w Państwowych Nieruchomościach Ziemiach w majątku Henrykowo (obecnie Siemczyno). Zamieszkał razem z Marianem Lebieckim, z którym prowadził gospodarstwo i księgowość. W miesiącu lipcu majątek Henrykowo został rozparcelowany. Ziemię przejęli rolnicy z kieleckiego. Cześć majątku tzw. „resztówka” została przekazana dla GS Czaplinek. Z Henrykowa przeniósł się do Wrzosek. W tym czasie na zabawie poznał swoją przyszłą żonę Marię Sulikowską. Pobrali się 30



Maria i Jan Dębicy na ślubnym kobiercu.

października 1948 r. i zamieszkali we Wrzoscach. W listopadzie tegoż roku zamieszkali w St. Drawsku, ponieważ Jan otrzymał stanowisko brygadzysty w miejscowym PGR. Do jesieni pracował jako magazynier, potem przeniesiono go na stanowisko kierownika majątku Chmielewo. Wraz z żoną zamieszkali u dziadków w Siemczynie. Jesienią 1 listopada 1949 r. urodziła się córeczka Anna. Rodzina się powiększyła, więc wyremontowano jeden dwurodzinny budynek mieszkalny w Chmielewie, gdzie zamieszkali. Dnia 8 sierpnia 1952 r. urodziło się drugie dziecko, syn Zbigniew. Po ukończeniu kursu kierowników gospodarstw rolnych w październiku 1954 r. Jan został skierowany do PGR Liszkowo na stanowisko kierownika zakładu. Zamieszkali w pałacu. Zajęli 3 duże pokoje i kuchnię. W 1960 r. na skutek donosu do Służby Bezpieczeństwa, co tydzień musiał jeździć do prokuratora i tłumaczyć się z różnych drobnych spraw. Zarzuty się nie potwierdziły i sprawę umorzono, a donosiciele musieli opuścić zakład. Żona Maria po wielu latach leczenia otrzymała rentę w połowie lat 70-tych. W 1974 r. ukończył Technikum Rolnicze w Słupsku. Razem z żoną zamieszkali w Łubowie. W 1982 r. odrzucił propozycję objęcia stanowiska kierownika Zakładu Rolnego w Jankowie k. Drawska Pomorskiego. Po przejściu na wcześniejszą emeryturę był kierownikiem Kółka Rolniczego w Łubowie, potem w Silnowie do 1986 r. Po 1986 r. już tylko emeryt. W 2005 r. przeszedł operację wycięcia oponiaka. Rodzina ciągle się powiększa. Doczekali się dwojga dzieci, trojga wnuków i trojga prawnuków. Mimo upływu lat i wielu tragicznych przeżyć utrzymuje pogodę ducha. 19 grudnia 2010 r. skończył 85 lat.



GÓRALCZYK Franciszek



Urodził się 21 listopada 1909 roku na ziemi sieradzkiej, w rodzinie rolnika. Był najstarszym synem w liczonym rodzeństwie. Po szkole powszechnej został przyjęty na kurs Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Zduńskiej Woli. W roku 1924 musiał przerwać naukę, gdyż z całą rodziną zmuszony był podjąć prace sezonowe w Niemczech. W styczniu 1930 roku rozpoczął pracę w Urzędzie Gminy w Majaczewicach, z siedzibą w Burzynie, zaś w marcu 1931 roku został powołany do odbycia służby wojskowej w 20 Pułku Piechoty Dzieci Warszawy. Po szkole podoficerskiej - jako kapral - został przeniesiony do rezerwy. Podjął wtedy pracę w Urzędzie Gminy Bogumiłów.

W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany i wcielony do 30 Pułku Strzelców Kaniowskich, w plutonie łączności, przy dowódcy pułku, wchodzącego w skład Armii „Łódź”. W toku walk i przymusowego odwrotu w kierunku granicy rumuńskiej,



Maj 1988. Fr. Góralczyk (z lewej) i Wł. Warsiński.

koło Kowla, pułkowi przegrodziły drogę wojska sowieckie. Pod koniec działań dostał się do niewoli niemieckiej, z której po trzech tygodniach z powodu odniesionych ran został zwolniony, i wrócił do domu znajdującego się już pod okupacją, podejmując pracę w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego.

22 stycznia 1945 roku po wyzwoleniu kraju, podjął pracę w Sieradzu w spółdzielczości. W 1948 roku wyprowadził się do Barwic, podejmując pracę w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

W 1951 roku przeniósł się wraz z rodziną do Okonka i kontynuował pracę w spółdzielczości, aż do przejścia w 1974 roku na emeryturę. Niebawem przeniósł się do Czaplinka. (fot. 2)

Wraz z podjęciem pracy w spółdzielczości związał się z ruchem ludowym, będąc aktywnym jego działaczem. Był członkiem władz powiatowych i wojewódzkich, zaangażował się w prace władz lokalnych, był orędownikiem rolnictwa i wiejskiej oświaty. Z jego inicjatywy i zaangażowania, doprowadzono do kapitalnego remontu szkoły w Machlinach. Aktywnie działał w czaplineckim środowisku kombatanckim.

Za udział w walkach we wrześniu 1939 roku i zaangażowanie w pracach społecznych, został uhonorowany wieloma odznaczeniami bojowymi, państwowymi, resortowymi i społecznymi.

Otrzymał między innymi:

- Medal za Wojnę 1939 roku;
- Oficerski i Kawalerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski;
- Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianował Go z dniem 14 lutego 2001 r. na stopień podporucznika Wojska Polskiego.

Zmarł w dniu 21 lutego 2001 roku.

JANUSZANIEC Stefan



Stefan Januszaniec urodził się 12 października 1922 r. w Podbrodziu, pow. Świeciany, w woj. wileńskim. Wykształcenie podstawowe zdobył kończąc w 1937 r. 7-letnią Publiczną Szkołę Powszechną im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Podbrodziu. W domowym archiwum zachowało się świadectwo ukończenia tej szkoły, na którym przy wszystkich przedmiotach widnieją oceny bardzo dobre, z wyjątkiem rysunków z oceną dobrą. Po ukończeniu szkoły, w latach 1938-39 pracował jako posłaniec na kolei. To była jego pierwsza praca zawodowa. Nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, jak wielką rolę w jego życiu odegra w przyszłości właśnie kolej. Ale nie uprzędajmy faktów. Po wybuchu wojny, do 1942 r. pracował w tartaku, a także jako robotnik leśny. W marcu 1942 r. - podobnie jak wielu innych młodych Polaków - otrzymał wezwanie do wyjazdu do Niemiec na roboty przymusowe. Wezwanie, podpisane przez niemieckiego naczelnika Urzędu Pracy (Arbeitsamtu) w Świećcanach, zobowiązywało do stawienia się w dniu 25.03.1942 r. na dziedzińcu Urzędu Pracy. Wezwanie zawierało informację, że stąd właśnie nastąpi wyjazd „w zamkniętej grupie” oraz ostrzeżenie, że osoba, która nie stawi się tu w wyznaczonym terminie, będzie doprowadzona przez policję i będą jej grozić „najsurowsze kary”. Stefana i wielu jego rówieśników, wywieziono w głąb Niemiec, na teren Hesji do wsi Oberhone, koło miasta Eschwege, w rejencji Kassel. Tu przydzielono go do pracy w indywidualnym gospodarstwie rolnym.

Do Oberhone trafiło wielu innych robotników przymusowych, co miało istotny wpływ na dalsze losy Stefana. Przede wszystkim właśnie tu poznał swą przyszłą żonę Stefanię, pracującą w tej samej wsi u innego gospodarza. Zaczęli się spotykać, i mimo różnych ograniczeń obowiązujących robotników przymusowych udało im się wziąć ślub. Stefan zaczął się ubiegać o to, by żonę zatrudniono w tym samym gospodarstwie, w którym on pracował. Chciał być razem z nią, a ponadto chciał poprawić los Stefani, trafiła ona bowiem do gospodarza, który źle traktował przydzielonych mu pracowników, podczas gdy on pracował w gospodarstwie, w którym robotników przymusowych traktowano w sposób humanitarny. Starania te okazały się jednak bezskuteczne. W tej sytuacji młody Stefan zdecydował się na zrealizowanie odważnego pomysłu. Zaplanował wspólną ucieczkę.



Stefan Januszaniec. Rok 1943.

Rozpoczął się właśnie rok 1945, i dla wielu osób było już rzeczą jasną, że klęska Rzeszy jest przesądzona. Docierały wieści o zbliżających się frontach i o bombardowaniu przez aliantów niemieckich miast. Niemcy nie czuli się już tak pewnie jak w pierwszych latach wojny. Stefan uznał, że można wykorzystać te okoliczności i postanowił uciec wraz ze Stefanią w kierunku wschodnim, możliwie najdalej od Oberhone, by zaszyć się gdzieś w innym zakątku Niemiec i razem poczekać do końca wojny. Na decyzję o ucieczce miała także wpływ obawa przed sankcjami za niesubordynację. Stefan był bowiem młodzieńcem niepokornym i miał już za sobą kilkutygodniowy karny wyjazd na kopanie okopów na tzw. „Linii Zygryda” w okolicach Saarbrücken za to, że stanął w obronie pracującego w sąsiednim gospodarstwie Polaka, chroniąc go przed agresywnym zachowaniem gospodarza.

Zadziałała solidarność. Stefan uzyskał pomoc od pracujących na kolei przyjaciół, również robotników przymusowych, którzy pomogli uciekającej parze zdobyć bilety kolejowe. W stodole czekała ukryta w sianie przygotowana wcześniej walizeczka ze skromnym dobytkiem. Pewnego wieczora, pod osłoną ciemności Stefan wraz z żoną przedostali się na stację kolejową i wsiedli do pociągu, który - jak się okazało - wypełniony był niemieckimi żołnierzami. Mimo tej niespodzianki, ta niezwykle ryzykowna podróż zakończyła się szczęśliwie. Aby uniknąć szczegółowej kontroli, której mogli być poddani na większej stacji, wysiedli nad ranem na zupełnie przypadkowo wybranej niewielkiej stacyjce. Gdy się rozjaśniło, ruszyli w kierunku wiejskich zabudowań. To była wieś Möbisburg koło Erfurtu. Odnaleźli tam sołtysa, któremu przedstawili wymyśloną historię, według której byli zatrudnieni w miejscowości, która została doszczętnie zniszczona przez bombardowania aliantów, i że uciekają teraz przed frontem wschodnim. W tym opowiadaniu prawdziwa była tylko nazwa zbombardowanej miejscowości, którą znali z relacji Niemców. Opowiedzieli też, że gospodarz, który ich zatrudniał prawdopodobnie zginął w czasie bombardowania, więc zgłaszają się teraz, by podjąć pracę w nowym miejscu. Sołtys udając, że wierzy w tę opowieść, pomógł im zatrudniając ich u siebie, bowiem oprócz uprawy roli prowadził również firmę transportową i potrzebował pilnie nowych rąk do pracy. Przebywali tu kilka miesięcy, aż do wkroczenia wojsk amerykańskich. Stąd trafili do dużego obozu przejściowego, który Amerykanie urządzili dla robotników

przymusowych różnej narodowości w dawnych koszarach w Wildflecken.

Latem 1945 r. wrócili do kraju, osiedlając się tymczasowo w Przybysławicach koło Raszkowa, w powiecie Ostrów Wielkopolski. Stefan podjął pracę u rolnika poszukując jednocześnie rodziny, z którą stracił kontakt w trakcie zawieruchy wojennej. W wyniku poszukiwań dowiedział się, że rodzina opuściła Podbrodzie i osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych w Drawnie, które przejściowo nosiło wówczas nazwę Nowe nad Drawą. W marcu 1946 r. Stefan, z żoną Stefanią i z urodzonym w Przybysławicach synem Zbigniewem, przenieśli się do Drawna. W tym samym roku Stefan zaczął pracować na kolei, z którą następnie związał wszystkie swoje lata aktywności zawodowej. Najpierw pracował jako robotnik w Drawnie. Później zaczął dojeżdżać do Choszczna, gdzie w Rejonie Budynków, a następnie w Oddziale Drogowym stopniowo powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne funkcje w kolejowej hierarchii. Jego specjalnością stała się tzw. służba drogowa, zajmująca się utrzymaniem i naprawami szlaków kolejowych. Stefan był człowiekiem bardzo pracowitym i ambitnym. Stale się doksztalał. W domowym archiwum zachowało się wiele świadectw i zaświadczeń o ukończeniu różnych kursów i szkoleń zawodowych. Stał się cenionym specjalistą w dziedzinie technicznej obsługi torów kolejowych. Sukcesywnie awansował. W roku 1952, w związku z kolejnym awansem przeniesiony został służbowo do pracy w Oddziale Drogowym w Szczecinku. Nowe mieszkanie służbowe otrzymał w Złocińcu, dokąd przeniósł się z rodziną, powiększoną o urodzoną w Drawnie córkę Barbarę. Stąd dojeżdżał codziennie do pracy do Szczecinka. Dojeżdżanie do pracy pociągiem było w tamtych czasach normalnością dla bardzo wielu kolejarzy. W 1956 r. powierzone zostało mu stanowisko zawiadowcy Odcinka Drogowego w Czaplinku. Nastąpiła kolejna przeprowadzka. Zamieszkał wraz z rodziną w kolejowym budynku opodal czaplineckiego dworca w mieszkaniu, za którego oknami po oddalonych zaledwie o kilkanaście kroków torach, przejeżdżały pociągi. Ich turkot wyznaczał rytm życia mieszkających w tym domu ludzi.



Lata 50-te. St. Januszaniec nadzorujący prace torowe na linii Choszczno Złocieniec.

Praca na stanowisku zawiadowcy była z pewnością najbardziej aktywnym okresem w karierze zawodowej Stefana. W kolejarskim środowisku zasłynął jako dobry fachowiec i wymagający zwierzchnik. Swoje obowiązki wykonywał z wyjątkową sumiennością i zaangażowaniem. Cieszył się dużym autorytetem. Na podlegającym mu odcinku linii kolejowej (od rejonu Łubowa do rejonu Złocienca) stale utrzymywane były wzorowe parametry techniczne i jakościowe. Dzięki temu, jeżdżące tą trasą pociągi mogły rozwijać większe szybkości. Jego najbliżsi, a także współpracownicy nie mieli wątpliwości, że Stefan kochał pracę na kolei. Praca ta była jego pasją. Wciąż podnosił swoje kwalifikacje. W 1965 r. ukończył zaocznie Technikum Kolejowe w Bydgoszczy w specjalności „drogi i mosty kolejowe”. Zachowane świadectwo ukończenia tego Technikum poświadczają, że zdał on egzamin z bardzo dobrą ogólną oceną z przygotowania zawodowego. Zbiór dokumentów z okresu, w którym Stefan Januszaniec pełnił funkcję zawiadowcy, jest szczególnie bogaty. Wynika z nich, że otrzymał on za swą pracę wiele nagród i wyróżnień. W roku 1957 uhonorowany został cenioną w kolejarskim środowisku odznaką „Przodujący Kolejarz”. W zbiorze tym znajdują się również wycinki z prasy. W jednym z nich, pochodzącym z „Głosu Koszalińskiego” z 15.02.1960 r., znajdujemy wzmiankę mówiącą, że kolejarze z Czaplinka pod kierownictwem zawiadowcy Stefana Januszańca osiągnęli w roku 1959, wspólnie z kolejarzami z Człuchowa, „najlepsze wyniki w województwie koszalińskim w zakresie napraw bieżących torów”. Wśród wielu ciekawych osobistych pamiątek Stefana z tego okresu, przetrwało zaproszenie na Centralną Akademię z okazji Dnia Kolejarza, która odbyła się 9 września 1960 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Oprócz pracy, inną wielką pasją Stefana było wędkarstwo. Pasji tej poświęcał największą część swego wolnego czasu. Latem systematycznie wyruszał po pracy rowerem nad okoliczne jeziora, gdzie znał każdą kładkę. Na takie wędkarskie wyprawy często zabierał ze sobą rodzinę. Po przeprowadzce do Czaplinka często wypływał na wiele godzin łodzią na jezioro Drawsko, gdzie z dużą wprawą odnajdywał podwodne „górkę”, i rzadko wracał stamtąd bez choćby jednego szczupaka. Zimą, gdy zamarzały jeziora, łowił spod



Lata 60-te. Stefan wracający z wędkowania na j. Drawsko.

lodu. Duże wędkarskie doświadczenie sprawiło, że często odnosił w połowach sukcesy budzące zazdrość u kolegów. Co ciekawe, Stefan był wręcz przesadnym tradycjonalistą, jeżeli chodzi o sprzęt wędkarski. Najbardziej sobie cenił składane wędki wykonane własnoręcznie z leszczyny. Samodzielnie wykonywał korkowe szaławki oraz sztuczne „muchy”, a także odlewał z cyny błystki w kształcie małych rybek. Niektórzy jego koledzy -wędkarze posługujący się nowoczesnym, fabrycznie wykonanym sprzętem, podczas wspólnych wypraw na ryby często ze zdziwieniem przekonywali się, że Stefan ze swoimi wędkami własnej roboty osiąga dużo lepsze rezultaty od nich.

W latach sześćdziesiątych zaczęły mu dokuczać kłopoty zdrowotne, które z czasem przekształciły się w poważną chorobę. W listopadzie 1966 r. otrzymał orzeczenie komisji lekarskiej o całkowitej

niezdolności do pracy. Stefan tak bardzo czuł się związany ze swoim zawodem, że - ku zdziwieniu wszystkich - odwołał się od decyzji komisji. Chciał dalej pracować na swej ukochanej kolei. W wyniku tego odwołania, w styczniu 1967 r. komisja uznała, że może on nadal pracować jako instruktor służby drogowej. Przez następne miesiące prowadził szkolenia zawodowe, dzieląc się swą wiedzą z młodszymi kolejarzami. Stale pogarszający się stan zdrowia sprawił jednak, że w grudniu 1967 r. musiał przejść na rentę. Nawet wtedy, gdy już był rencistą często pomagał swojemu następcy na stanowisku zawiadowcy w rozwiązywaniu problemów technicznych związanych z naprawami torów.

W wyniku postępującej choroby, zmarł 19 marca 1976 r. w swym mieszkaniu w obecności najbliższej rodziny. Gdy odchodził na zawsze, zza okna dobiegał turkot przejeżdżającego pociągu. Pochowany został na czaplineckim cmentarzu. W kondukcje pogrzebowym zwracała uwagę wyjątkowo duża ilość kolejarских mundurów.

KOBUS Marek Stanisław

Urodziłem się 13 listopada 1949 r. w Paluchowie woj. lubelskie. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Dębie wstąpiłem do Technikum Chemicznego Nr 2 w Lublinie. W 1969 r. ukończyłem je, uzyskując tytuł technika w specjalności gazownictwo. W styczniu 1970 r. rozpocząłem pracę w Zakładzie Gazowniczym w Koszalinie. W 1975 r. zostałem przeniesiony do Czaplinka na stanowisko kierownika Gazowni. Po likwidacji Gazowni zostałem kierownikiem Rozdzielni Gazu w Czaplinku, i pracowałem na tym stanowisku do przejścia na emeryturę w 2003 r. Łącznie przepracowałem w gazownictwie 40 lat.



Marek Kobus, Koszalin 1973 r.

Praca była niełatwa i odpowiedzialna. Pełnienie funkcji kierownika znaczyło, że musiałem martwić się

o dostateczną ilość gazu i bezpieczne doprowadzenie go do odbiorców, oraz o sprawność urządzeń technicznych. Od chwili przeniesienia mnie do pracy w Czaplinku, gazownia stała się moim drugim domem, czy piątek, czy świątek czuwałem nad wszystkim. Nigdy jednak nie żałowałem swojej decyzji podjęcia pracy w gazowni w Czaplinku. Pomimo konieczności tak dużego zaangażowania i odpowiedzialności, dawała mi ona dużo zadowolenia i satysfakcji.

W czasie pracy w Koszalinie ożeniłem. Mamy dwoje dorosłych dzieci, które ukończyły studia wyższe. Doczekaliśmy się dwojga wspaniałych wnuków.

Za swą pracę otrzymałem odznaczenia:

- Zasłużony dla Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazu;
- Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi;
- odznakę Zasłużony dla Rozwoju Województwa Koszalińskiego.

KOWALSKA Barbara z d. Makowska

Urodziłam się 19 listopada 1944 r. w Czaplinku. Rodzice moi, jako młodzi ludzie (mama Stanisława Makowska z d. Soczka - 18 lat, tato Jan Makowski - 19 lat), po kampanii wrześniowej zostali wywiezieni na przymusowe roboty do Czaplinka, tu się poznali i pobrali. Oboje pracowali w byłej restauracji „Czapli-nianka” do wyzwolenia.

Szkołę podstawową ukończyłam w Czaplinku w roku 1958. W lutym tego roku zmarł mój tato. Byłam najstarszą z rodzeństwa (brat Eugeniusz Makowski – 1947 r., siostra Henryka Zasławska – 1952 r., siostra Grażyna Siek – 1955 r.). Mama zmuszona została podjąć pracę i zająć się naszym wychowywaniem. Dalszą naukę kontynuowałam w Liceum Ogólnokształcącym

im. ks. Elżbiety w Szczecinku (matura – maj 1963). Po ukończeniu liceum 15 września 1963 r. rozpoczęłam pracę jako praktykantka w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Szczecinku. Po rocznym stażu i zdaniu egzaminu w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie, zostałam skierowana do pracy w Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Czaplinku – gdzie byłam wówczas jedyną osobą z wykształceniem średnim. Pracę zawodową w administracji (kolejno jako referent ds. meldunkowych, gł. księgową, sekretarz Urzędu Gminy) kontynuowałam do 2003 roku, przechodząc na emeryturę 15 września. Łącznie przepracowałam 40 lat. W latach 70-tych zaangażowana byłam w pracach i kampaniach wyborczych do rad narodowych, działałam w Kolegium ds. Wykroczeń, oraz innych organizacjach społecznych.

Za pracę zawodową i społeczną otrzymałam wiele odznaczeń państwowych i regionalnych: Brązowy Krzyż Zasługi, Złoty Krzyż Zasługi, Medal za Zasługi w Rozwoju Województwa Koszalińskiego, Pamiątkowy Medal 700-lecia Czaplinka.

W 1966 r. wyszłam za mąż za Tadeusza Kowalskiego, a w roku 1967 urodziłam syna Roberta, który mieszka w Czaplinku. Mam jedną wnuczkę Agatę.

MIROWICZ Helena z d. Rozak

Helena Mirowicz urodziła się 28 maja 1907 r. w Święcianach, na dawnych Kresach Polski, jako najstarsza córka. Miała młodszą o cztery lata siostrę Marię. Ojciec jej Bolesław, pracował jako technik na kolei, a matka Helena zajmowała się domem.

Gdy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa jej rodzina zmuszona została do wyjazdu w głąb Rosji. Zatrzymali się w Żytomierzu, gdzie ojciec otrzymał pracę, a mała Hela zaczęła uczęszczać do szkoły powszechnej. Tam ich zastała w 1918 r. Rewolucja Październikowa. Tam też, gdy dotarli do nich wieści o odrodzeniu się Polski, chcieli do niej wracać, ale wybuchła wojna polsko-bolszewicka (25.04.1920 r.) i było to niemożliwe. Po skończeniu szkoły podstawowej Hela wstąpiła w 1922 r. do Żytomierskiej

Szkoły Pedagogicznej z polskim językiem wykładowym. (fot. 2)

Po zawarciu polsko-radzieckiego traktatu pokojowego w Rydze 18 marca 1921 r., rodzina Heli podjęła starania o wyjazd do Polski. Wrócili do ojczyzny 1 listopada 1922 r. i zamieszkali w Wilnie. Tu Hela została przyjęta do Seminarium Nauczycielskiego



Legitymacja z 1922 r.

NKWD, lecz udaje mu się uciec z transportu. Musi ukrywać się, by nie zostać ponownie aresztowanym i wywiezionym do łagru. Troska o rodzinę spoczywa na barkach Heleny.

Pomaga też partyzantom z AK, przygotowując opatrunki, szyjąc biało-czerwone opaski itp. W maju 1945 r. opuszczają Wileńszczyznę, która teraz należy do Litewskiej SSR i specjalnym transportem jadą do Polski. Docierają do Piły, której zgłiszcza jeszcze dymią, a wśród ruin rozkładają się nieoprzebane zwłoki. Postanawiają więc jechać dalej i rychło docierają do



Ślub Heleny i Waclawa Mirowiczów.

Żeńskiego im. „Królowej Jadwigi”, które ukończyła w 1923 r. Od września tego roku podjęła pracę, jako nauczycielka. W tym czasie poznała młodego nauczyciela Waclawa Mirowicza, z którym przypadli sobie do serca, i 2 października 1934 r. zawarli związek małżeński. W 1935 r. rodzi się im syn Ryszard, a w 1939 r. córka Krystyna.

Mąż uczy w szkołach w okolicach Wilna, w Pomereczu i Pikiekliszkach. Zostaje awansowany na kierownika szkoły. Po agresji ZSRR na Polskę zostaje 5.03.1940 r. aresztowany przez



Helena w Seminarium.

Czaplinka, który z czasem staje się ich nową małą ojczyzną. Dostają przydział domu na ul. Polnej 7 (obecnie 15), i tu 12 września 1945 r. zostają zameldowani. Mieszkali tu oboje do śmierci. Inspektor Oświaty w Szczecinku powierza Waclawowi Mirowiczowi organizację Szkoły Podstawowej, a Helenie stanowisko nauczycielki w tej szkole. Po oczyszczeniu budynku, w którym mieścił się wcześniej szpital polowy, wraz z Władysławą Zarębską zaczynają 20 września 1945 r., w przywróconym macierzy Czaplinku, nauczanie 130 dzieci polskich osiedleńców.

W 1949 r. rodzi się syn Janusz, i Helena musi zajmować się jednocześnie dziećmi, domem i nauką w szkole, a także doksztalcać się jako

nauczycielka. Sprowadza z Wilna swych rodziców, i ci pomagają w wychowaniu dzieci i prowadzeniu domu. W 1950 r. kończy kurs bibliotekarski dla nauczycieli szkół średnich i prowadzi bibliotekę szkolną.

Mąż w 1949 r. otrzymuje zadanie zorganizowania szkoły zawodowej w Czaplinku, i zostaje jej pierwszym dyrektorem. Helena prowadzi w tej szkole w latach 1952-53 i 1969-70 bibliotekę szkolną. Pisuje też wiersze, które stanowią obraz jej wrażliwej duszy. W wierszu „*GDZIE JEST TO MIEJSCE ?*” wyraża się jej miłość do nowej, małej ojczyzny – Czaplinka:

*Jest miejsce takie na naszej polskiej ziemi,
jest takie miejsce do którego wracam,
gdzie jeziora przejrzyste,
choć miasteczko tam małe,
gdzie las przegląda się w jeziora toni,
ale urocze, w prostocie swej piękne,
i nie skażone powietrze, przeczyste !
pełne pól, lasów, kwiatnych sadów woni.
W tym miejscu miłym latem brzęczą pszczoły
nektarem kwiatów sycone.
Jasny, słoneczny dzień tam wesoły
więc oczy zwracam w tę stronę.*

Pokochała też polskie góry, które poznała w czasie wakacyjnych wycieczek i tak wyraża to w jednym z wierszy:

*Mgła
jak mleko
przesłoniła szczyty
Gęsta jak całun biały
zakryła nieba błękity.
Gdzieś daleko
jest Klimczok, Skrzyczne i Pilsko,
nie widać ich przez mgłę,
daleko ? czy może blisko?*

MOJE GÓRY

*Mgła
nie pozwala
ujrzeć mych gór,
które kocham -
Odsuwa je, oddala...
Nagle
Promień słońca!
Przedarł się przez chmury
I rozpędził mgieł cienie
i odsłonił góry!*

*Pełne tajemnic,
groźne,
ośnieżone.
Moje góry!
Moje wyteśknione!*

W szkole pracowała do 1969 r., kiedy to przeszła na zasłużoną emeryturę. Za zasługi i długoletnią pracę otrzymała m.in. odznaczenia: „Za zasługi w rozwoju Ziemi Czaplineckiej” i „Zasłużony dla Ziemi Szczecińskiej”.

Córka Krystyna (za mężem Kubsch, nie żyje) została jak i rodzice nauczycielką. Ryszard ukończył Technikum Elektryczne i mieszka w Szczecinie. Najmłodszy Janusz, urodzony w Czaplinku skończył Technikum Mechaniczne i mieszka z rodziną w domu, w którym żyli do śmierci jego rodzice.

Helena Mirowicz doczekała się 6 wnuków. Zmarła 15 lipca 1982 r. i jest pochowana na czaplineckim cmentarzu.



*Dzieci Mirowiczów Krystyna,
Janusz i Ryszard.*

PERSKIEWICZ Anna z d. Fieško

Urodziła się 28 sierpnia 1930 r. w Swobodzie (ZSRR). W 1950 r. wyszła za mąż za Leona Perskiewicza. W 1958 r. z mężem i dwiema córeczkami przyjechali do Polski. Od 1 września 1959 r. zamieszkali w Czaplinku przy ul. Tadeusza Kościuszki 17/1. Urodziła i wychowała troje dzieci: córki Alinę i Irenę oraz syna Tadeusza. Jej mąż zmarł w 1976 r.

Ośrodek „Nowoczesna Gospodyni” został uruchomiony przez Gminną Spółdzielnię Samopomoc Chłopska w Czaplinku za prezesury Kazimierza Lemisza. Zadaniem Ośrodka było prowadzenie działalności kulturalno – oświatowej i usługowej w Gminie Czaplinek. Od samego początku Anna Perskiewicz została powołana na kierownika ośrodka. To ona od podstaw tworzyła zaplecze dla różnorodnej jego działalności. Jednocześnie doskonaliła swoją wiedzę i umiejętności na różnych kursach. W 1968 r. ukończyła kurs instruktorski I stopnia kroju i szycia oraz żywienia. W 1978 r. ukończyła w Warszawie roczny kurs dla kierowniczek ośrodków „Nowoczesna Gospodyni”.



Kurs kroju i szycia w Czaplinku.

W ośrodku „Nowoczesna Gospodyni” była wypożyczalnia sprzętu AGD, zakład krawiecki, oraz punkt przyjmowania odzieży do czyszczenia chemicznego. Ponadto świadczone tu usługi w zakresie repasacji pończoch, nabijania tuszem wkładów do długopisów, obciążania guzików z powierzonego materiału. Organizowano także różnego rodzaju spotkania z ciekawymi ludźmi, na przykład z kombatantami II wojny światowej: Zofią Pączek, Albinem Taleckim z okazji Święta Pracy i Dnia Zwycięstwa. Takie spotkania organizowano również w szkołach i świetlicach wiejskich, np. 7 maja 1986 r. w Szkole Podstawowej w Pławnie.

Wykonywano również okolicznościowe gazetki ścienne i hasła. Ważną i pożyteczną działalnością były różne kursy, których uczestnikami byli uczniowie Szkoły Podstawowej



Dzieciniec wiejski w Kluczewie.

w Czaplinku, młodzieży i dorośli. Uczestnicy tych kursów rozwijali swoje zainteresowania oraz nabywali umiejętności, które przydawały się w życiu rodzinnym. W czerwcu 1967 r. zorganizowano pierwszy kurs hafciarski dla młodzieży szkolnej. Później organizowano takie kursy, jak na przykład kurs racjonalnego żywienia oraz kurs gotowania z 1986 r., czy też kurs pieczenia z 1996 r. Na zakończenie każdego kursu organizowano wystawy najlepszych prac, pokazy i degustacje potraw rybnych, mięsnych, ciast i deserów – koktajli. W degustacjach uczestniczyli członkowie Zarządu i przedstawiciele GS oraz lustratorzy.



Kurs hafciarski dla młodzieży szkolnej i dorosłych w Kole Gospodyń Wiejskich w Machlinach.

Każdą degustację poprzedzała pogadanka na temat odżywiania. Popularyzowano warzywa mało znane, jak: skorzonera czy brokuły.

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy organizowano wystawy książek i czasopism o tematyce rolniczej, które cieszyły się dużym powodzeniem. W tej dziedzinie ściśle współpracowano z kierownictwem bibliotek. We współpracy z pielęgniarką Marią Grzyb, organizowano szkolenia w zakresie udzielania pomocy w nagłych wypadkach i pielęgnowania niemowląt.

W okresie wyteżonych prac polowych Anna Perskiewicz organizowała we wsiach dziecińce, zapewniając dzieciom właściwą opiekę i rozrywkę. Organizowała także konkursy, np: „Czystość, ład, porządek w twoim mieszkaniu i zagrodzie” oraz spotkania literackie w ramach „Listopad Literacki”, np: z Mirosławem Mieczysławem Zalewskim w dniu 20 listopada 1983 r. W dniu 12 maja 1988 r. zorganizowała spotkanie kierowników Ośrodków „Nowoczesna Gospodyni” z woj. koszalińskiego. Kronika Ośrodka kończy się wpisem uczestników spotkania: „*Przyjęcie w ośrodku „NG” przez Zarząd GS i Kierownika Ośrodka Panią Annę Perskiewicz było bardzo serdeczne. Dziękujemy za miłe przyjęcie i wspianą degustację*”. Pod podziękowaniem znajduje się 7 nieczytelnych podpisów. W 1990 r. ośrodek zlikwidowano, a Anna przeszła na zasłużoną emeryturę.

Za wzorową i ofiarną pracę zawodową i społeczną otrzymała wiele dyplomów uznania oraz odznakę Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego. Szczególnie ceni sobie Dyplom Uznania: „Za długoletnią obywatelską działalność w niesieniu pomocy społecznej ludziom w potrzebie”, przyznany 22 stycznia 1987 r. przez Radę Naczelną Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej.

ZAJĄC Szczepan



Urodził się 26.12.1928 r. w Liskach, pow. Hrubieszów. Rodzice, Jan i Maria, byli właścicielami gospodarstwa rolnego. Szczepan był jedynakiem. Szkołę podstawową ukończył w rodzinnej miejscowości. Pomagał rodzicom i jednocześnie uczył się krawiectwa.

W okresie okupacji był gońcem oddziału partyzanckiego AK, kopał również okopy. W latach 1949-53 służył w wojsku w Toruniu. Po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej JW 2129 z wynikiem bardzo dobrym, otrzymał nominację na kaprała. Ponieważ rodzinny dom uległ spaleni, zamieszkał w miejscowości Glinka, woj. wrocławskie (obecnie dolnośląskie). W 1954 r. ukończył kurs oficerów rezerwy w Wyższej Szkole Artylerii.

Po zakończeniu służby wojskowej w Górze Śląskiej spotkał swoją wielką miłość, Ewelinę, z którą ożenił się w 1953 r. Przez 5 lat mieszkali w miejscowości Glinka. Byli szczęśliwymi rodzicami dwojga dzieci: córki Hermenegildy, która urodziła się w 1955 r., i syna Bernarda urodzonego w 1958 r.

Hermenegilda mieszka z matką w Czaplinku. Jest nauczycielką i uczy matematyki w Szkole Podstawowej w Broczynie. Ma dwoje dzieci: córkę Agnieszkę, która studiuje w Lublinie i robi doktorat, oraz syna Grzegorza, który ukończył LO w Czaplinku. Syn Bernard mieszka w Świnoujściu, ukończył studia z dziedziny budownictwa, pracuje w Spółdzielni Mieszkaniowej. Szczepan rozkazem personalnym Ministra Obrony Narodowej z dnia 24 kwietnia 1962 r. został mianowany na stopień podporucznika, a 12 października 1973 r. na stopień porucznika. Pracę zawodową zaczynał w czaplineckich



Pamiątka z wojska 1950 r.

na otrzymał wiele wyróżnień, dyplomów i odznaczeń, m.in.: - medal pamiątkowy „Za Zasługi dla Powiatu Szczecineckiego” - 1975; - pamiątkowy medal 700-lecia Czaplinka – 1986; - Złoty Krzyż Zasługi – 1979. Zmarł 7 sierpnia 1986 r. i został pochowany na cmentarzu w Czaplinku. Był dobrym, uczynnym i uczciwym człowiekiem. Kochał swoją rodzinę, a nade wszystko dzieci. Szanował sąsiadów, był łagodnego usposobienia. Podziwiał przyrodę i umiał dostrzec jej piękno. Angażował się w różne formy działalności społecznej.

Zakładach Przemysłu Terenowego w 1959 r. W latach 1962-70 zatrudniony był w Gminnej Spółdzielni SCh w Czaplinku. Następnie przez rok pracował w Wojewódzkiej Bazie Zaopatrzenia i Zbytu w Czaplinku. W dniu 31 lipca 1972 r. zatrudniony został w biurze Gromadzkiej Rady Narodowej. Z dniem 1 stycznia 1973 r. został powołany przez Przewodniczącego Prezydium WRN w Koszalinie na stanowisko Naczelnika Gminy Czaplinek. W latach 1974-77 studiował zaocznie na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu na Wydziale Prawa i Administracji. Po zmianach w administracji państwowej, wynikiem których było połączenie Miasta i Gminy w jeden organ samorządowy, utracił dotychczas zajmowane stanowisko, i przez 2 lata (1980-82) pracował w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji. Od 13 grudnia 1982 r. do 20 października 1986 r. zatrudniony był w Urzędzie Miasta i Gminy Czaplinek. W 1986 r. ze względu na stan zdrowia odszedł na rentę. Za pracę zawodową i społeczną

IX. WSPOMNIENIA

1. MOJE WSPOMNIENIA Z PRACY

Ziemia przestała drżeć od wybuchów bomb, przesiąknięta krwią milionów poległych, popiołami spalonych użyźniona, gotowa była rodzić chleb dla wynędzniałych i głodnych jeszcze żyjących. Poranione, opalone kikuty murów miast wznosiły się w niebo i wołały o odbudowę. Pogrzebana po męczeństwie stolica błagała o obronę przed zapomnieniem. Praca czekała na miliony rąk.



Henryk Leszczyński 1904-1981.

Niestety, ja dopiero w czerwcu zacząłem szukać pracy. Szukałem pracy w szkolnictwie na terenie pow. skierniewickiego, lecz było to trudne, a zrezygnowałem zupełnie, gdy usłyszałem tuż przy mnie rozmowę dwóch dam – zapewne nauczycielek: „Widzi pani do czego dochodzi, już tacy pchają się do szkolnictwa”. Nie przyjąłem kierownictwa nad majątkiem Żelazna, proponowanego mi przez ówczesnego starostę – kolegę szkolnego. Przypadkowo spotkałem sekretarza Inspektoratu Oświaty i ten wskazał mi Czaplinek, osiedlany przez tutejszy Urząd Osadnictwa.

W czerwcu pojechałem do Inspektoratu w Szczecinku po angaż. Podróż trwała dwa dni. To co widziałem po drodze przerażało mnie. Zgliszcza, tu i ówdzie broń ciężka, czołgi, a nawet i trupy, zapewne już w rozkładzie. Przy torach w pobliżu stacji walizki, pościel i naczynia kuchenne. W Inspektoracie Szkolnym pan Hagiel przyjął mnie bardzo życzliwie i zapewnił pracę. Po powrocie zacząłem likwidować swoje gospodarstwo i przygotowywać się do wyjazdu. Zbywałem za grosze część gratów, a resztę porzadawałem zabierając jedynie pościel, ubranie, dwie kozy, mąkę, naczynia kuchenne. Zapewniono mnie w PUR, że otrzymam meble przy osiedleniu się na stałe.

26 lipca wyruszyłem transportem z 38 osobami – nr transportu 101. Już w drodze poznałem „kombinatora” o tym samym nazwisku co ja, imieniem Stanisław. Dałem mu kartę upoważniającą do korzystania w punktach PCK z dożywiania, ponieważ jechał w wagonie, gdzie było więcej osób. Z kartą przesiadł się w drodze na osobowy i szybciej czmychnął na Zachód (Spotkałem go później na walnym zebraniu delegatów GS-ów w Szczecinku, jako kandydata na prezesa PZGS. Wy mogłem skreślić go z listy). Podróż trwała trzy doby. W Bydgoszczy musiałem zostawić w szpitalu córkę chorą na biegunkę. W Szczecinku otrzymałem skierowanie na teren gm. Czaplinek /Tempelburg/. W tej gminie miałem wybrać sobie szkołę.

W Czaplinku było już trochę rodzin na osiedlenie, lecz więcej niestety kombinatorów i tak: byłem

nr	Nazwisko i imię	Data urodzenia	Zawód	Skąd	Do kąd
1	Michał Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
2	Leopold Zajączkowski	1903	rolnik	1	Wagrowo
3	Michał Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
4	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
5	Wacław Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
6	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
7	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
8	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
9	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
10	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
11	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
12	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
13	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
14	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
15	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
16	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo
17	Jan Tomaszewski	1905	rolnik	1	Wagrowo

świadkiem zabierania u Niemców mienia, i to przy asyście ORMO, zabierano futra i bieliznę pościelową, spotkałem biegłego w rozpoznawaniu złota, srebra i platyny. Jak się chwalił, zrobił już porządny interes.

Na dworcu spotkałem wory i walizy, które taszczyli do centralnej Polski. Prawdziwe Eldorado dla różnych mętów i niebieskich ptaszków.

Poszedłem do punktu zbiorczego w szkole i zaraz potem do Urzędu Gminy. Tam spotkałem chłopów z Siemczyna. Gdy dowiedzieli się, że chcę objąć szkołę, tak mnie urzekli warunkami panującymi w Siemczynie /Heinrichsdorf/, że zdecydowałem się tam osiedlić nie widząc wsi i szkoły. Moje postępowanie dowodzi o braku we mnie logiki i inteligencji. Trzeba było objechać teren i wybrać sobie szkołę. Były szkoły niezniszczone, gdzie jeszcze mieszkali niemieccy nauczyciele. Ja byłem zadowolony, że będę pracował w szkole, miał mieszkanie, stałą pracę. Mnie życie nie pieściło. Wiedziałem co to bezrobocie, głód, mieszkanie nawet pod mostem w Warszawie, wyżywienie dzienne za 5 groszy.

W drodze do Siemczyna miałem sposobność doświadczyć „życzliwości” od żołnierza sowieckiego, kierowcy ciężarówki. Na połowie drogi zbliżała się do nas z naprzeciwka wojskowa ciężarówka. Woźnica i ja zauważyliśmy, że ciężarówka z prawej zjeżdża na lewą stronę. Woźnica zjechał na pobocze tak, aż drabiny wozu zawadziły o drzewo, a ten drań jedzie wprost na nas. Minął przód wozu, ale zawadził o tylną oś i urwał zad wozu i wrzucił go do rowu. Drabina opadła, a cała zawartość runęła na nas. „Przyjaciół” skreślił na środek jezdni, wysunął głowę z szoferki i śmiał się ze swego czynu. Talerze potłuczone, garnki poobijane. Całe szczęście, że syn nie doznał poważniejszych obrażeń. Przywiązaaliśmy oś i jakoś dojechaliśmy do wsi.

Zaraz po przyjeździe do Siemczyna poszedłem zobaczyć szkołę. O zgrozo, co tam zastałem. Budynek parterowy o dwóch korytarzach do dwóch sal lekcyjnych, mieszkanie zapewne nauczyciela, kuchnia i ciemny pokój. Na podwórku stodółka z połamanymi deskami. W klasach na podłogach słoma, puszki, papier z książek, a na tym po kątach i na środku odchody ludzkie. Okna bez szyb, ściany pokaleczone.



Budynek szkoły w latach 60-tych.

Osiedliłem się w małym nowym domku. Zewnątrz ładny, ogrodzony ogródek, na podwórzu studnia, przy domku obórka. Wewnątrz wiała pustka. Całe umeblowanie to kredens kuchenny i pokojowy bez szuflad obydwu. Zamki powyrywane. Nie przywiozłem łóżek, więc parę dni spaliśmy na podłodze. Sołtys przydzielił nam dwa łóżka z gołymi siatkami. Rano mieliśmy na ciełe plan siatki. Po kilku dniach dał nam materace major sowiecki. Zabierał u Niemców w sąsiednim domu pościel. Zrzucił to oknem przed dom. Gdy go poprosiłem o materace, że nie mamy i śpimy na siatkach, przyszedł sprawdzić. Pokiwał głową i powiedział: „nauczyciel a tak żywiot”.

Nie dziwił się temu sołtys, którego kilka razy prosiłem. Sołtys we wsi w tym czasie był nieograniczony w rządzeniu. On przydzielał gospodarstwa, odbierał i rozdawał inwentarz, meble, narzędzia, zbierał mleko i rozdzielał, jemu oddawano określone ilości masła. Miał karabin i pistolet, a więc był nie tylko obroną, ale i postrachem wsi.



Dom Leszczyńskich.



Rodzina Leszczyńskich.

Gdy przybyłem mieszkało już wielu Polaków, ale było i wielu Niemców. Większość osiedleńców pochodziła z za Buga. Było również wielu, którzy byli tu na przymusowych robotach. Dane w dokumentacji szkoły wskazują: Huta Stepangradzka, Sarny, Jasło, Sarnok, Nowy Targ, Włoszczowa, Opatów, Kutno, Łowicz.

Sołtys Olżyński Roman i podsołtys Kluska pozostali na tych gospodarstwach, gdzie pracowali u Niemców. Wśród tutejszych osiedleńców rolników z pochodzenia i zawodu były również i niebieskie ptaszki – szabrownicy-handlarze. Tych było kilku i wkrótce odeszli, gdy brakło Niemców, wojsk radzieckich i szabru.

W początkach żyliśmy tu pod wrażeniem strachu. Co będzie? Czy pozostaniemy? Na tą niepewność składało się wiele czynników. Są jeszcze Niemcy, a niektórzy swoją postawą zdradzają pewność siebie. W lasach ukrywały się bandy uzbrojonych cywilów, w niemieckich mundurach, w płaszczach lub czapkach polskich żołnierzy. Widziała takowych Biernatowa, a nawet i moja żona. W okolicy codziennie były najścia uzbrojonych band i sowieckich żołnierzy. Nie należy się dziwić, że musieli z koloni uciec do wsi na stałe Czernicki, Krupa, Łowicz, Dubieńska, Mazurkiewicz – tyłu pamiętam.

Szerzyły się kłamliwe plotki, że tam gdzieś Niemcy wymordowali Polaków z całej wsi, to znów, że niemieckie wojska weszły na osiedlone tereny, to że Stalin układa się ze sprzymierzeńcami, co otrzyma za oddanie Niemcom tych ziem. Podobne, a może groźniejsze alarmy nadchodziły z Polski centralnej. Zaczęto stopniowo poznawać źródło i cel plotek.

Na wielu osadnikach wierzących, a szczególnie tych ze wschodu, wrażenie obcości robił brak we wsi znaków ich wierzeń. Przy byle okazji rozmowa schodziła na to, że „u nas

w Polsce była kapliczka, a u nas w Polsce mieliśmy krzyż, u nas w Polsce przy drodze był krzyż” i wzdychania o tym „u nas w Polsce”. We wsi był kościół ewangelicki, do którego klucz miała żona czy kuzynka już nieobecnego pastora. Przed kościołem pomnik poległych w latach 1914 – 1918 z „gapą” na cokole. Rzeczywiście, śladów Polski nie było.

Co zastałem w szkole? Wstyd mi było uciekać przed tym co mnie czeka. Zwyciężyła myśl, że tu ktoś musi być i to zrobić. Zacząłem od widel i łopaty. Sołtys przydzielił mi dwie Niemki do pracy. Jedna chora lub udawała, druga tęga i pyskata, a gdy popędzałem ją do pracy zagroziła, że powie to sołtysowi. No cóż, nie mogłem i nie chciałem stosować przemocy. Zgłosił się dobrowolnie Polak, i jako tako sałę oczyściliśmy ze słomy i kału. Okna oszkliłem przyniesionymi mi zapewne z innych okien szybami. Ławki zbierałem w ogrodzie, z pola, a kilka przyniesiono ze wsi. Niektóre tak były poniszczone, że robiłem z dwóch jedną. Po pomocach tylko ślady znajdowałem wokół szkoły, w ogrodzie i na polu. Cóż mogło pozostać po kilkakrotnym zatrzymywaniu się tu wojsk polskich i radzieckich.

Szkoła była bogata w pomoce naukowe do fizyki, biologii, o czym świadczyły szczątki znajdowane w okolicy szkoły. Brak tablicy zastąpiły drzwi pomalowane na czarno. Już w sierpniu dokonałem spisu dzieci w wieku szkolnym. Trudno było przewidzieć ile dzieci i które przydzielić do odpowiednich klas. Dzieci nie miały świadectw. Były dzieci ze znajomością języka rosyjskiego, niemieckiego, które należało uczyć od początku czytania i pisania po polsku. Nie było innego wyjścia, jak zacząć lekcje wcześniej i dokonać selekcji. Zacząłem w połowie sierpnia. Do klas czterech zapisanych było 47 uczniów, w tym wiele dzieci przerośniętych, np. Gałązkiewicz ukończył cztery klasy szkoły niemieckiej. Słabo mówił po polsku. Ojciec jego Polak, pozostał w Niemczech po 1918 r. i ożenił się z Niemką – chłopką z Żeliszawia.

Zarząd Gminy Czaplinek
Czaplinek, dnia 3.8.1945r.

Potwierdzenie zameldowania.

o. Heinrich Schupf, urodz. 2.5.1904 r.
w Huty, narodowości polska.
został zameldowany z rodziną składającą się z 4 osób,
we wsi Huty, Gm. Czaplinek, pow. Szczecinek i walegną do rejestru mieszkańców pod poz. 117.
na pobyt

Wojt Gminy:
(Bonsack)

Mowczun ze wschodu dobrze mówił i pisał po rosyjsku, a polski zaczął od klasy drugiej czy trzeciej. Dziewczynka około 11 lat pasła u Niemca świnie, u którego przymusowo pracowała jej matka. Przybyli z Huty Stepangrodzkiej. Nie mieszkali jednak we wsi, lecz w lesie pod opieką partyzantów i zamiast na swoje zgłiszcza, za frontem szli na zachód.

Przed 1 września byłem już przygotowany do otwarcia szkoły polskiej. Legitymacja nr kolejny 47. Ten numer

to liczba nauczycieli na terenie powiatu w dniu 10.08.1945 r. Wspomniałem już o wrażliwości mieszkańców na braki swoistych symboli wyznania. Dotyczyło to i szkoły. Dzieci już się uczyły, a jednak dla wielu rodziców była to szkoła niemiecka. Odczuwało się w tym i nienawiść do wszystkiego co niemieckie, np. w rozmowie o szkole D. z żalem wyraziła się: „Czy kiedy pomyślałam, że moje dzieci będą musiały uczyć się w szkole niemieckiej?”. Wszystko inne określali – ponemieckie. Co zrobić, by szkoła była polska. Podjąłem decyzje. Czuję, że to nie będzie mile widziane przez pewnych ludzi. Porozumiałem się z księdzem Zawadą. Zaproszenie na otwarcie szkoły wysłałem do pana Inspektora Hagła, do Urzędu Gminy, do dowódcy wojsk radzieckich w Czaplinku. Na wyznaczoną godzinę w ostatnią niedzielę wszyscy przybyli. Wejście zamykała wstęga



Od prawej: Bogdan, Henryk, Marianna Leszczyńscy, Michalina, Wasilewska z córką Helenką, Barbara Leszczyńska.

biała i czerwona, w klasie godło państwa. Przed szkołą zebrali się osadnicy wsi. Wręczając nożyce panu Inspektorowi prosiłem w imieniu stojących polskich dzieci o otwarcie nam polskiej szkoły. Słowo polskiej wymówiłem z akcentem. Ksiądz poświęcił wejście, podpułkownik sowiecki zrobił zdjęcie przecięcia wstęgi. Nie dotrzymał słowa, bo zdjęcia nie przysłał. Heretycki bóg został usunięty, szkoła stała się polską. W sali przemówiłem do zebranych. Wspomniałem o walce o tę ziemię Słowian i Polaków, o ostatniej walce i ofiarach złożonych, by ziemię wróciły do ich prawowitych mieszkańców, przy czym wskazałem bratnią mogiłę polskich żołnierzy tuż przed szkołą i dalej nie mogłem mówić. Przemówił pan Inspektor i podpułkownik. Po uroczystości zaprosiłem gości do siebie, gdzie czekało skromne przyjęcie przygotowane przez kobiety.



W szkole miałem 47 uczniów. Z niektórymi należało naukę przyspieszyć z powodu ich wieku. Jak to zrobić przy braku podręczników. Jednak wcześniej o tym myślałem i chciałem być zabezpieczony do czasu otrzymania nowych. Napisałem listy do trzech szkół i jednej parafii. Jedną ze szkół pamiętam – Puszcza Mariańska w pow. Skierniewice. Otrzymałem tylko od księdza Krepli z Zarzeczca, poczta Biała Podlaska list, a po nim paczkę, około 40 podręczników od drugiej do szóstej klasy z różnych lat i do różnych przedmiotów. Na niektórych były napisane życzenia pomyślnej nauki od ofiarodawców dla tutejszych dzieci.

W liście ks. Krepla pisał: „Panie Kierowniku – proszę mimo trudności wytrwać. Wszystko będzie dobrze! Na początku zawsze są trudności, lecz potem satysfakcja i zadowolenie po osiągnięciu celu. Trzymajcie się kochani - pionierzy Polacy!”. Nie zdobył się na te słowa żaden z kierowników szkół, do których pisałem. Może to dziecinne, ale wtedy tak nam było potrzebne słowo otuchy i wiary.

Przydzielałem jeden podręcznik kilku bliżej siebie mieszkającym uczniom zadaną lekcją. Sprawiało to trudności w sprawdzaniu zadanej pracy, tak ustnej jako i piśmiennej, bo podręczniki i materiał jednej lekcji w klasie był różny. Każde dziecko miało odrobioną lekcję. Często dzieci drugiej zmiany zostawały dobrowolnie w klasie i tu wspólnie odrabiały lekcje. Z braku zeszytów, do pisania używaliśmy wszelkie kartki, aby choć jedna strona była czysta. Najwięcej używane były listy gończe, których kilka paczek leżało u mnie na strychu. Z podobnych kart zrobiłem pierwszy dziennik. Podobne były i listy uczniów. Stopniowo otrzymywaliśmy oryginalne druki. Za atrament służył kopiowy ołówek rozpuszczony w wodzie lub farbka do prania – ta była najgorsza. Potrzeba jest matką wynalazków – mówi przysłowie. Kreda – wapno gaszone, suszone, a proszek zmieszany z gliną po wysuszeniu zastępował kredę i był może lepszym materiałem od kredy kupowanej. Ja nie nastawiałem się na szybkie dostawy potrzebnych materiałów piśmiennych, bo rząd w tym czasie miał inne potrzeby, a wszystko musiał zaczynać od zera. W pierwszym roku nie odsyłałem dzieci od półroczna do klasy piątej szkoły zbiorczej w Czaplinku, czyli klasa czwarta swój program przerabiała cały rok. Dwie klasy w roku przerabiały z kilkoma przerośniętymi uczniami od kl. pierwszej do kl. czwartej włącznie.



Praca w szkole zmuszała mnie do kontaktów z rodzicami, poznawania ich warunków życia. Z biegiem czasu osadnicy zaczęli przychodzić do mnie ze swoimi troskami. Spraw wiele należało do sołtysa, ale ten mało się wczuwał w ich troski, przekonałem się nawet, że sołtys więcej pomaga niektórym Niemcom niż Polakom. Czy dlatego, że żył z Niemką, żoną niemieckiego oficera, czy zżył się z Niemcami i przez to są mu bliżsi. Żał mi było szczególnie wdów po poległych w czasie wojny żołnierzach. W jednym wypadku

poprosiłem podsołtysa i w jego obecności, przeniósłem wdowę Mazurkiewicz z czworgiem dzieci z jednej izby, w której w rogu był dół, pozostałość po kloace, przeniósłem do dwóch pokoi i oddałem kuchnię pod jej zarząd. W drugim wypadku też wdowę zrobiłem gospodynią kuchni i obory, bo Niemiec, gdy chciała doić krowy chwycił za widły. Żyła tam co wydzielił jej Niemiec, a Niemiec wydzielał tyle, że gdy szła z pola około 1 km to odpoczywała z osłabienia. Zdziwi każdego, dlaczego nie udała się do kogo z zażaleniem. W ich imieniu ja poruszałem te sprawy u wójta Bonsteda. Usłyszałem, że sołtysa zna i wie, że on co może to daje ludziom, ale ci mają wielkie wymagania. Mówiłem w starostwie, nie samemu staroście, ale jego zastępcy, czy sekretarzowi i znów usłyszałem, że takie skargi to znają, a ja mam tyle pracy co szkole. Zrozumiałem. I mieli rację, lecz mnie sumienie nie pozwoliło milczeć. Może on nie siedział w więzieniu o 100 gramach chleba i półtora litra wody, którą nazywano zupą lub kawą. Byłem kilka razy u sołtysa. W podwórku jak we dworze Niemcy robili. W mieszkaniu 2-3 Niemki, zapach smażonego masła. Herr Roman czasem leżał rozciągnięty na kanapie, i nie raczył nawet usiąść, gdy do niego się zgłosiłem. Około 75 ha gospodarstwo nazywane kołchozem dawało warunki dobrobytu. Kury do picia dostawały pełne mleko, a tym co nie mieli krów wydzielał mleko odwirowane. Ja przywiozłem ze sobą kozę, lecz dzieci czasem wspominały o mleku krowim. Poszedłem raz zapytać, czy nie wyznaczylby mi miejsca, gdzie mógłbym dostawać litr mleka, wtedy zaproponował mi krowę, wiedząc że nie mam żdźbła paszy ani działki. Odmówiłem przyjęcia krowy i nie miałem mleka. Pod naciskiem paru osadników, bo ja o to nie prosiłem, przydzielił mi wieprza. Gdy go zobaczyłem, zdziwiony zapytałem, po co tu wpędzili tego potworka. To sołtys panu przydzielił. Wieprz około 15 kg. Głowa większa niż tułów. Wiek około 8-10 miesięcy. Nie przyjąłem. Sołtys z niewiadomych pobudek przysłał drugiego, ale ten był już podobny do rasy świni hodowlanej.

Wiosną objąłem w posiadanie około 50 arów gruntu, w tym około 20 arów łąki, choć przydzielono mi 5 ha. O krowę zwróciłem się już do gminy. Tu wysłali polecenie sołtysowi i tak otrzymałem krowę jałową już drugi rok, czyli bez mleka. Sprzedałem ją i kupiłem za te pieniądze (40 tys. zł) krowę z mlekiem. Z początkiem roku 1946 przeprowadziłem spis ludności. To pomogło mi poznać bliżej każdą rodzinę. Z czasem żywałem się z osadnikami, zyskiwałem ich zaufanie, tak że zwierzali mi się ze swymi troskami. Zaczęliśmy wrastać w grunt. Niepokoiły tylko kradzieże dokonywane przeważnie przez wałęsających się po wsi żołnierzy sowieckich, których w niedalekim „Burgu” (powojenna zwyczajowa nazwa Budowa - przyp. red.) stało około 3 tys. Ukradli mi jesionkę, którą sprzedali we wsi handlarzowi za litr wódki. Kradli nawet mokrą, przygotowaną do suszenia bieliznę. W czasie wakacji włamali się około godz. 13-tej do szkoły, skąd skradli zegar szafkowy, kozetkę i atrament. Aby to przewieźć do „Burgu” skradli ręczny wózek i na nim wieźli. Powiadomiony o tym, pobiegłem z dwoma chłopami i spotkaliśmy ich w odległości około 1 km od wsi. Jeden zaczął szybciej oddalać się w stronę „Burgu”, drugi zatrzymał wózek i położył się na poboczu - „Ja robiłem co mi kazał starszyna”. Przemocą sprowadziliśmy go do wsi. Upierał się, potem powoływał się na order, w końcu zagroził spaleniem całej wsi przez jego towarzyszy, gdy go nie wypuścimy. Chłopi tak przerazili się gróźb, że zostawili go na sali tylko ze mną. Ja też miałem zamiar ustąpić, bo chłop to był silniejszy ode mnie. Co jednak będzie, gdy to będziemy tolerować dalej, a i dowódcy prosili, by takich oddawać w ich ręce. Z żelaznym łomem przy drzwiach pilnowałem go do czasu, aż przybędą po niego, ponieważ poleciłem, by zawiadomić o tym MO. Zabrała go straż

sowiecka z Czaplinka, zrobiono pierwszy protokół. Drugiego dnia złożyłem drugie zeznanie, zbadano włamanie. Za kilka dni znów przybył do wsi oficer sowiecki i upewnił nas, byśmy byli spokojni, bo żołnierz został ukarany na miejscu, a starszyna już nie powróci do Polski. Osadnicy przekonali się, że nie wojsko kradło, a poszczególni żołnierze.

Jako sprzątaczkę do szkoły wziąłem Niemkę. Usunąłem ją, gdy spotkałem jak paliła pewne książki niemieckie, które zabrałem z biblioteki po pastarze. Po niej pracę tę powierzyłem Niemcowi Doepke. Wśród pozostałych Niemców byli i przyjaciele Polaków, np. Doepkego żona w czasie wojny pomagała Polakom, o czym mówili sami wspomagani. Doepkowa była kucharką. Przygotowywała przyjęcia u Niemców w dni ich Geburstagu – urodzin. Wykorzystywała to i w określone miejsca kładła ciasto i co mogła zdobyć. O miejscu tym powiadała robotników. Dawała im również coś z odzieży i bielizny, bo jak sama mówiła, chodzili niektórzy prawie nagi. Warunki bytowe robotników zależały od pana. Dwóch takich draniów – panów wydałem w ręce UB. Jeden to ten, co z widłami zabraniał Polce wejść do obory. On właśnie oślepił robotnika Polaka, jako kalekę odesłano go do rodziny. Drugi Niemiec tak skatował robotnika, też Polaka, że wrócił do domu jako zupełnie niezdolny do pracy – uszkodzenie kręgosłupa.

Doepke był bezrobotnym, z zawodu zdun i murarz. Takim trudno było w owym czasie. Jako woźnemu osadnicy obowiązani byli dawać kolejno mleko, ziemniaki, to co mieli, potrzebne do wyżywienia. Nie wszyscy jednak spełniali to zobowiązanie. Aby zatrudnić Doepkego w szkole uzyskałem zgodę majora sowieckiego, zarządzającego majątkiem. Sołtys gdy dowiedział się, że Doepke jest wolny od pracy, u sowietów zażądał, by chodził do pracy do niego on lub jego żona, co sprzeczne było z ogólnymi zasadami, że gdy mąż pracuje, żona nie ma obowiązku. Na sprzeciw przysłał ORMÓ, a gdy i to nie pomogło, przysłał MO. Jednak nie ustąpiłem. To była tylko złośliwość. Miał tylu Niemców, którzy nie pracowali.

Broniłem i dzieci niemieckie przed prześladowaniem ze strony polskich dzieci. Tłumaczyłem to na zebraniach, zabroniłem dzieciom szkolnym. Uzasadniałem, że dzieci nie mogą być winne czynów rodziców. Niemcom, gdy mi za to dziękowali, starałem się wyjaśnić, że robię to dla niewinnych dzieci, a nie dla ich rodziców. Można było potem widzieć jak dzieci polskie i niemieckie razem się bawiły, a nawet oddalały się nad jezioro.

Doepke jeszcze przed przyjęciem go za woźnego przyniósł mi tom encyklopedii Mayera i pokazał mapę, gdzie zaznaczone były tereny Słowian w granicach Rzeszy, pokazał tereny przyłączone za czasów wojen szwedzkich i w czasie rozbiorów. On właśnie wskazał mi, gdzie jeszcze są kamienie graniczne z literami PD. Za granicą były pola zwane przez ludność „Polnische Feld”.

Zaczął się rok szkolny 1946/47. W szkole 55 dzieci. Uczyłem na dwie zmiany. Nadal niektóre dzieci przerabiały dwie klasy w roku. Jak to robiłem? Dziecko może i powinno przyspieszyć naukę, więc uczy się w danej klasie i gdy chce przerabia łatwiejsze lekcje z klasą wyższą. Wszyscy chcieli i przerabiali. Od półroczka przesuwam do wyższej i znów z niższą jeszcze przerabiam dodatkowo materiał niedostatecznie opanowany.

W roku nastąpiły poważne zmiany dla mnie i całej wsi. Coraz większe stawały się narzekania na poczynania sołtysa. Chciałem z nim o tym porozmawiać. W tym celu zaprosiłem go do siebie, dając do zrozumienia, że mam coś do wypicia, a wiedziałem, że dobrze popijał. Gdy przyszedł postawiłem z trudem zdobyte pół litra monopolówki i powoli przeszedłem na temat współpracy ze szkołą, o trudnościach wdów, coś niecoś o plotkach, że trzeba je ukrócić, bo „plamią” jego urząd. Wypił prawie sam całą zawartość, bo ja ze

wstrętem trochę wypilem. Gdy odszedł parę metrów od domu pogroził pięścią w stronę domu i wykrzyknął: „niedługo tu będziesz rządził ty skurwysynu okularniku”. Słyszała to i widziała córka siedząca za malinami w ogródku. Zaczęłam naprawdę bać się o życie. Z gąszczy starego cmentarza naprzeciw okien nie było trudno upolować mnie z karabinu, a nawet z pistoletu. Nie wychodziłem wieczorami, okiennice zamykałem o zmierzchu, i nie siedziałem przy biurku naprzeciw okna. Opisałem to wszystko do redakcji Zielony Sztandar. W krótkim czasie mój artykuł ukazał się na łamach otrzymanego numeru. Była jesień. Niedziela. Plucha. Godzina 22:00. Wpada posłaniec. Kierownika na zebranie, wszyscy już czekają, są ze starostwa. Zrozumiałem cel zebrania. Na sali już wszyscy, a wśród zebranych p. starosta Zakrzewski i wicestarosta Opel. Pan Opel trzymał w ręku gazetę, pokazał mi artykuł i zapytał czy to ja pisałem. Potwierdziłem. Zaczął czytać zarzuty. Pamiętam, że było ich osiem. W czasie czytania po każdym zarzucie zapytywał zebranych czy to prawda. Nie wiele, ale padały odpowiedzi – nie, ani jedna tak. Wszystkim zarzutem zaprzeczono. Zdziwiło mnie to, stali ci poszkodowani i milczeli. Jakie to były zarzuty:

1. Zbieranie podwójnej ilości masła niż w innych wsiach.
2. Zmuszanie Polaków do pracy u Niemki (odnowienie mieszkania).
3. Posyłanie żołnierzy sowieckich celowo tam, gdzie są „charosze doczki”, a dziewczęta uciekały oknem i nocowały poza domem.
4. Sprzedaż ropy przydzielonej bezpłatnie do omlotów.
5. Zabranie osadnikowi młodego konia i sprzedanie go poza wieś.

Pozostałych trzech nie pamiętam. Po zakończeniu czytania Opel zapytał mnie - no i co pan na to. Potwierdziłem zarzuty bez zastrzeżeń. Wybory sołtysa. Kto za Olżyńskim na jedną stronę, kto za nowym na drugą. 60 osób za Olżyńskim, 7 za nowym. Starosta odprowadził mnie na bok i powiedział: „Może ma pan rację, ale co zrobić, jeżeli tak wypowiedzieli zebrani”. Zostało mi tylko uciekać ze wsi lub wybrać sobie miejsce za drogą (był tam nowy cmentarz).



Główne wejście do szkoły.

Przez całą noc nie zmrzyłem oka. O świcie przyszedł Aniszkiewicz z propozycją, bym napisał wniosek do UB o przeprowadzenie śledztwa tu na miejscu, odnośnie opublikowanych zarzutów, a on to doręczy, bo jedzie do powiatu. Tak zrobiłem. Już tego dnia po południu komisja była we wsi. Dwudniowe śledztwo potwierdziło te osiem i wykryło więcej zarzutów. Sołtys do wsi nie wróci. Zabrano wówczas i dwóch Niemców, których wskazałem za znęcanie się nad Polakami. Dlaczego osadnicy głosowali za starym sołtysem? Olżyński już wcześniej rano wiedział o zebraniu i wyborach. Obchodził każdy dom i pytał za kim będą głosować, i przy tym uprzedzał kto za nim, będzie mu dobrze, kto przeciw to... i demonstrował pistoletem, a nawet we wsi oddał dwa strzały. Cel osiągnął.

Sprawą ważną dla wiejskiej szkoły był brak oświetlenia. Przewody do tutejszego transformatora nie wymagały napraw. Transformator też był

w dobrym stanie. Udałem się do placówki ZE w Czaplinku i tu dowiedziałem się, że cała trudność to brak pewności, że za zużytą energię w gospodarstwie majątku, zarząd tego będzie płacił. Poufnie dowiedziałem się od znajomego inne przeszkody, że udałoby się to przeprowadzić przez młyn lub chlew. Wpadłem na pomysł. Udałem się do zarządzającego majątkiem oficera i zaproponowałem mu, że będą mieli światło jeśli coś na to poświęcą. Zgodził się i pojechaliśmy do kierownika placówki w sprawie prywatnej do mieszkania. Worek mąki i baran podłączyły światło. Była to nieczysta droga do celu, lecz nie było innej, a światło było bardzo potrzebne w szkole, aby uruchomić kursy wieczorowe. Po spisie mogłem się zorientować ilu jest analfabetów, co nie było ściśle. Dokładne dane dało sprawdzenie umiejętności czytania i pisania. Pamiętam liczbę 24 do nauki. Była również 60-letnia D. jako dobrowolna uczennica. Uczylem przez parę lat jako korepetytor, teraz w szkole jednak nie wyobrażałem sobie, jak trudno uczyć dorosłych od a, b, c. W pierwszym dniu zapoznanie z podręcznikiem, planem i czasem zajęć. Pierwszy początek pomyślny. Gdy jednak przyszło czytanie zgłosek – wyrazów, pisanie ich, zaczęła się absencja. Do pomocy przybyli ormowcy. Codziennie jeden z nich był w szkole i nieobecnych sprawdzał. Miałem jednego uparciucha – kobietę około 35 lat – C. Tą kilka razy sprowadzano na lekcję. Uparła się jednak milczeć. Nie pomogły prośby, namawiania moje i sąsiadek. Przyprawiona pewnego razu po chwili siedzenia zerwała się z okrzykiem – „utopię się”. Wybiegła i pędem w stronę jeziora. Jej mąż – stróż nocny – był w owym czasie w sali. Nie utopi się, ja ją znam. Diabli nie śpią – pomyślałem – i wysłałem za nią jednego z uczniów. C. pochodziła nad jeziorem, a widząc, że ktoś za nią chodzi, wróciła do szkoły. Na jej upór stałem się i ja uparty. Wystarczy jeden wyłom, a kurs się rozleci. Razu pewnego zauważyłem, że C. podpowiada sąsiadce i robi to poprawnie. Udałem, że nie słyszę. Po lekcji zatrzymałem C. i przekonałem ją, że umie czytać, a tylko upór i fałszywy wstyd jej nie pozwala. Ustała i wtedy przekonałem się, że czyta lepiej od przeciętnej. Uczyla się słuchając innych. Gorzej było z pisaniem, ale i to z trudem oparowała na dostatecznie. C. z początku zwątpiła we własne możliwości, a potem fałszywy wstyd nie pozwalał jej się przyznać. Wyczułem szczerą radość uczących się, gdy zaczęła pierwszy raz czytać. Po drugim kursie czytała książki kl. III – IV, które jej córka przynosiła ze szkoły.

Młodzież pozaszkolna i członkowie ZMP przybywali na szkolenie rolnicze. Były to odrębne zagadnienia na temat uprawy gleby, nawożenia, doboru itd. W następnym roku rozpoczęła się systematyczna nauka – dwuletnie kursy rolnicze. Wieś ożywiła się, gdy ostatni Niemcy opuścili nasze tereny, żołnierze radzieccy „Burg” i naszą wieś. Ustały kradzieże, nie ustały jednak w okolicy nocne napady.

Na terenie Polski centralnej panowała opinia, że osadnicy na tutejszych ziemiach zastali mnóstwo wszelakiego dobra. Owszem, ale to pewne jednostki. Ogół osiedleńców zastawał to, co nie dało się ukryć, np. meble, narzędzia rolnicze. Większość mebli była uszkodzona, bez zamków, pokaleczone. Brak szuflad, a nawet i w maszynach brak drobnych lecz ważnych części. Niemcy wartościowsze rzeczy ukryli w ziemi, w kominach, w wodzie. Stawiali drugie ściany, między którymi był skład. W pobliskim lesie zakopano dużo naczyń porcelany. Najechała ciężarówka na zamaskowane miejsce i niewiele pozostało całych. Na cmentarzu zamiast trumny pod mogiłą zakopany był materiał pościelowy, bielizna stołowa. Po trzech latach zbutwiała. Przy domu, gdzie mieszkałem jest zakopany nowy motocykl NSU, na próżno będzie go szukał ten, kto go wazelinował i owijał papierem. A ile jeszcze leży ukrytych. Wysiedleńcy dobrze o tym wiedzą co

zrobili z wartościowymi rzeczami. Tereny te oczyszczali szabrownicy i rabusie jeszcze przed osiedleniem się innych na stałe zamieszkanie. We wsi Piaseczno osadnik znalazł za zamaskowaną ścianą skład wełny ubraniowej i grubszej na palta, lecz po dwóch latach zostało mu tylko na ubranie. Co z tym zrobił. Sztukę po sztuce sprzedawał handlarzom w Czaplinku, a pieniądze przepijał. Po przepiciu znalezionej, opuścił gospodarstwo. Jak czuły węch i słuch mieli szabrownicy, przytoczę fakt. Zakładałem podwyższenie w kościele przed ołtarzem w Siemczynie, zadziwiło mnie to, że krypta pod kościołem była świeżo zamurowana. Mój woźny Doepke mówił mi, że pod tym kościołem są zwłoki właściciela tutejszych dóbr. Podobno miała być przy nim drogocenna broń /?/. Żona moja, jak większość kobiet, w pociągu klepnęła o tym do innej kobiety. Rano doniesiono mi, że przy kościele wyłamano zamek w bocznych drzwiach, a przy ołtarzu skopano ziemię do metra głębokości. W pałacu w Siemczynie zniszczono stylowe muzealne wartości kominiki szukając skarbów. Splądrowano grobowce byłych rodzin tutejszego majątku. Hieny są wszędzie. Większość poszukiwań dokonywali przyjezdni poszukiwacze skarbów.

Wieś nasza zapewne pierwsza w powiecie pomyślała o bibliotece. Wieczory długie zmuszały do jakiegokolwiek zajęcia. Czasem ktoś chciał czytać. Ja byłem ubogi w książki beletrystyczne. Trzeba zatem było coś zaradzić. Z panem Aniszkiewiczem obeszlśmy wieś, sankami już Żeliszawie, za zbiórką na bibliotekę. Za zebrane fundusze zakupiłem 40 tomów powieści w prywatnej księgarni na ul. Żukowa w Szczecinku. Starczyło już to dla czterdziestu chętnych do czytania, a chętnych było wielu.

Druga biblioteka gminna miała początek w okresie nadawania tytułów własności. Jaki urząd taka gmina. Właśnie urząd gminy był sprawcą powstania biblioteki. W pewną niedzielę zauważyłem, że wiele osób związanych z urzędem gminy podąża do Piaseczna. Na drugi dzień krążyła wieść, jak w Piasecznie pito do późnego wieczoru, kto i kogo pobił. Przez ciekawość udałem się tam i oto nauczyciel – syn sekretarza gminy – z podbitym okiem, wyszedł z awantury, innym, jak się chwalił, dostało się lepiej. We wsi znów dalsze dane. Chłopi mieli polecenie składki od 200 – 400 zł zależnie od areалу. Za to przygotowano przyjęcie. Chłopów przy wręczaniu tytułu własności częstowano kielichem, a po wydaniu ostatniego tytułu, zaczęła się libacja, ale tylko władz. Pobito się za zaniżanie rangi pewnego urzędnika. Nie dawało mi to spokoju, że to wejdzie w zwyczaj, i że chłopą wysysają takie pijawki. Napisałem o tym do redakcji Rolnika Polskiego. Artykuł ukazał się 9.XI.1947r. Nr 19. W urzędzie gminy przy pierwszym spotkaniu robiono mi wymówki o opublikowanie wyczynów pracowników tutejszego urzędu. „Na wore szapka gore”. Nie pisałem o tutejszym urzędzie a tylko, że są takie formy połączone z libacją za składane przez chłopów pieniądze. Podałem wniosek, by w tym dniu zamiast na wódkę składano na bibliotekę. Od tego czasu tytuły wręczano w urzędzie i zbierano na bibliotekę. „Zamiast wódki biblioteka” tak brzmiał tytuł i tak się stało.

A tak była potrzebna oświata. Jeszcze wiercono, że dusza dziecka potrzebuje pokarmu. Tak. Matka kładła na grobie dziecka cukierki, ciastka, okruchy ciasta. Dzieci zbierały to i jadły. Zapewne matka wierzyła, że zjadała duszyczka. To fakt ze wsi Siemczyno. „Kocioł garnkowi przygania a sam smoli”, przysłowie to pasuje do nas. Jakie mnóstwo kawałów krążyło na temat braku cywilizacji u sowietów, jak było u nas np. w porównaniu do cywilizacji i techniki niemieckiej. Mam oryginalny chiński wazon – rzecz muzealna. Za cukierki dostałem go od dzieci, które na drodze bawiły się nim w piasku. Maszynkę do wydrążania pestek z wiśni syn przyniósł ze śmietnika. Chłopcy około 18 – 19 lat chcieli spowodować wybuch pocisku, potłukli termos. Dziewczyna w nocnej koszuli paradowała

do kościoła. Chłop włożył ciepłą czapkę – ocieplacz na garnek. Piszę to nie w celu ośmieszenia, ale pokazania jak potrzebna była nauka.

Przyjęte po Niemcach ruchomości były splacane. Spisy rozpoczęto jesienią 1946 r. Zakończono splaty w 1947-48 r. Jak to w naszej wsi przebiegało. Urzędnicy z Urzędu Likwidacyjnego sprawdzali listę uprzednio podanych przedmiotów ze stanem faktycznym. Nieuczciwi posiadacze, gdy mogli zdążyć, wartościowsze meble ukrywali w słomie, w komórkach. Przy spisie i ocenie wartości któremuś z panów podobał się szafkowy zegar, wyłączył to i zabiera naturalnie nie zaraz, lecz gdy będzie zbieranie. W międzyczasie są chętni do kupna, więc interes załatwiony. Zabrali nowy warsztat stolarski i wiele narzędzi stolarskich, odmówiono, abym zatrzymał to w szkole dla chłopców do prac ręcznych. Na drugi dzień udałem się do Inspektoratu i Urzędu Likwidacyjnego by odzyskać warsztat i niektóre narzędzia. Magazynier powiedział mi, że po przywiezieniu nikt z magazynu nie kupował. Owszem było kilka znanych mi narzędzi, brak było w całym magazynie warsztatu i wartościowszych rzeczy, zniknęły po drodze. Pan, który je zbierał był w terenie w tym czasie, a więcej tam nie chodziłem.

Po niemieckim stelmachu było dużo suchego materiału. Ze dwie fury porzniętych szprych i dzwon. Przybyło dwóch wojskowych, przedstawili sołtysowi dokumenty, że są z UL, interesuje ich tylko drewno. Ogłosili we wsi przez sołtysa, że kto chce kupić bale dębowe półgotowy materiał niech się zgłasza dziś, kupi i zabiera. Widziałem tych panów i zdziwiło mnie, że urzędnicy o złotych bransoletach, grube złote sygnety, zegarek pozłacany i to, że tanio sprzedają tak wartościowy materiał. Wymogłem na sołtysie, by zasięgnął z gminy informacji czy Urząd Gminy coś o tym wie. Owszem mieli upoważnienia. Za trzy-cztery dni owi panowie byli poszukiwani jako wyrafinowani złodzieje. Cenny materiał rozkupiono na... opał. W jakich warunkach dźwigało się państwo z ruin. Jak było okradane, ile ciemnych typów zajęło biurka. Jak mało czujna na różne machlojki była władza terenowa. Psioczono na ustrój, a władzy walono kłody pod nogi. A może i ja byłem wrogiem nowego ustroju? O tym właśnie chcę wspomnieć.

Pierwsze święto robotnicze obchodziłem ze szkołą w Czaplinku. Trzeciego maja na zakończenie dni oświaty zrobiłem akademię we wsi. W czasie akademii z sali ludzie zaczęli coraz liczniej wymykać się. Okazało się, że przez okno zaglądał pracownik UB. Na zaproszenie by wszedł, zobaczył program napisany i występy dzieci – odmówił. Nikt na salę nie wrócił. A mnie przestrzegali – źle będzie. Drugi raz zainteresowali się mną na walnym zebraniu delegatów GS w Szczecinku. Cel – wybór pierwszego Zarządu PZGS (Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni). Sprzeciwiłem się głosowaniu legitymacjami, ponieważ takie tutejsi członkowie GS jeszcze nie otrzymali. Drugi protest to zakwestionowanie listy kandydatów, na której do Rady Nadzorczej nie wpisano żadnego chłopca, a tylko mieszkańców Szczecinka, przeważnie kolejarzy. Listę uzgodniono z delegatami i wybory odbyły się. Skreślono również z listy kandydatów do Zarządu owego pana L. Stanisława, o którym już wspomniałem. Otóż na tym zebraniu ktoś podszedł do mnie z pytaniem kto i skąd jestem. Nie chciałem się tłumaczyć, bo znał mnie wójt B. i S. którzy ręczyli za delegatów naszego GS. Tym ciekawym był funkcjonariusz UB. Wkrótce po trzecim maja w nocy KBW otoczył dom i dokonano u mnie rewizji, żądając oddania pistoletu. Rewizja trwała około 4 godzin. O piątej rano otoczony przez ośmiu żołnierzy i KBW i jednego cywila z UB pojechałem za kratki. Bez przesłuchania i jakiegokolwiek rozmowy ze mną wyrzucono mnie po 16 dniach, bo nie chciałem wyjść żądając procesu. Chciałem wiedzieć za co siedziałem. Pistolet był pretekstem. Zaczęło się coś psuć

w moim systemie nerwowym. Były noce bez zmruczenia oka. Napadały mnie ataki drżenia – objawy febry. Lekceważyłem to, a nawet nie miałem czasu na rozmyślanie o tym. Posunąłem się jeszcze do czynów, które mogły mnie zakwalifikować do wrogów Polski Ludowej. Postawiłem we wsi krzyż, a wkrótce odebrałem Niemcom klucz od kościoła i ten po oczyszczeniu i pobieleniu przez tutejszych mieszkańców, został otwarty dla tutejszej ludności. Co mnie do tego skłoniło? Przeważająca część mieszkańców była wierząca i praktykująca. Słyszałem stałe wypowiedzi, że u nas w Polsce itd. Najwięcej odczuwali brak krzyża przy drodze. W porozumieniu z leśniczym wybrałem odpowiednią sosnę, u siebie na podwórku z pomocą górala Biernata złożyłem krzyż, który stanął we wsi. Do kościoła chodzili około 9 km do Czaplinka. Dzieci na naukę też tam. Po co to, gdy na miejscu jest kościół – budynek. Wystarczy tylko „wymienić boga”. Ja od lat gimnazjal-



Dzieci i młodzież szkolna z Siemczyna – 1948 r.

nych przestałem praktykować i jestem niewierzącym. Wyznaję jednak zasadę „Kościół złego nie naprawi – karczma dobrego nie popsuje”, a drugą z fizyki, że na siłę działa równa siła w kierunku przeciwnym. Ostrzegano mnie, że we wsi ktoś wypytywał o inicjatora postawienia krzyża i otwarcia kościoła.

Przyszedł czas wyborów do pierwszych władz ustawodawczych. W dniu 10.01.1947 r. otrzymałem z komisji wyborczej nr 14 w Czaplinku zawiadomienie, że na podstawie – tu artykuł i paragrafy, zostałem skreślony z listy wyborców. Podziało to na mnie jak wiadro zimnej wody. Jestem zwolniony z pracy w szkole i zaliczany w poczet zbrodniarzy i wrogów. Przeciwnik polityczny nie bywa pozbawiany praw, a ja nie byłem nim. Natychmiast zawiadomiłem Inspektorat Oświaty i Urząd Gminy, że szkoła jest od dziś bez nauczyciela i kierownika. W komisji prosiłem o wskazanie mi brzmienia art. 2 p. 12 ustawy z dnia 22 września 1946 r. Komisja nie знаła takowej lub nie chciała mi pokazać. Byłem wolny, ale poza prawem. Nie chciałem pisać odwołania, bo po co. Władze oświatowe powierzyły mi funkcję Gminnego Instruktora OD. Byłem radnym w gminie, członkiem Rady Nadzorczej w GS, na kursie LP w Słupsku starostą. Czy tam umiałem się maskować. Czy zastanawiałem się dokąd iść mieszkać i gdzie pracować, przybył woźny gminy w towarzystwie dyrektora tutejszego PGR pana Lipińskiego i ustnie przekazał mi przywrócenie prawa wyborczego. Żądałem pisemnego, lecz ten wyjaśnił, że robi to ustnie przy

świadku. Tak się zmieniałem w trzy doby. Zdawało się, że będę spokojny i pracą zajęty zapomniałem o kwiatach. Nagle dostaję wezwanie do MO w Czaplinku. Wprowadzono mnie do małego pokoju pustego poza biurkiem i taboretom na środku pokoju. Za biurkiem siedział znany mi funkcjonariusz UB. Groźnym głosem rozkazał mi siadać na taborecie. Zaczęło się badanie – po co chodzę do P. Odpowiedziałem, że kilka razy byłem u kolegi C. nauczyciela w tamtejszej szkole. Kłamstwo! Wybuchnął i znów to samo pytanie. Nie raziłoby samo pytanie, ale sposób. Na stole leżał pistolet, władza w półleżącej pozycji, podparty łokciem o stół, ołówkiem czy piórem pukał przez cały czas w ząbki, a pytania zadawał wolnym ironicznym głosem. Po dwóch czy trzech już tych samych pytaniach nerwy zaczęły działać, zacząłem drzeć. „Co zimno wam, a może rozpalimy w piecu” i znów to samo pytanie. Przystałem odpowiadać. Nakazał mi w końcu zgłosić się do UB w Szczecinku. Gdy zażądałem pisemnego polecenia, bo na nie zgłoszę się – odmówił. Po kilku dniach otrzymałem wezwanie do UB w Szczecinku. Tam znów wprowadzono mnie do pustego pokoju, gdzie stało tylko biurko i krzesło. Podano mi papier, pióro i poleciono cokolwiek napisać. Co? Zapytałem. Co chcę, by było ponad pół strony. Ów pan wyszedł, a ja usiadłem i oto co zobaczyłem. Szuflada trochę wysunięta, a na brzegu w niej leżał pistolet. Wybiegłem i żądałem by przyszedł ten, kto mi polecił tu pisać. Wszedł, udał zdziwionego i pistolet zabrał. Ja opisałem jak byłem badany w Czaplinku. Chcieli bym napisać co inne, ale stanowczo odmówiłem. Na takie głupoty straciłem dwa dni pracy i kosztą przejazdu do Szczecinka. Odczułem to na zdrowiu. Bywały noce, że aby usnąć robiłem coś przy biurku, aż usypiałem ze zmęczenia.

Rok ten zapisał się w moim życiu jako tragiczny, dzięki mojej łatwowierności i naiwności. Zgłosił się do mnie nieznany gość, pokazał legitymację UB i zapytał czy nie chciałbym pomóc w wykryciu bandytów, którzy grasują w tej okolicy. Sądzę, że każdy by pomógł, bo to i obowiązek obywatela. Wyraziłem zgodę. Aby jednak ułatwić telefoniczne informacje potrzebne jest hasło i pseudonim podającego daną informację. Zgodziłem się i z tym. Aby mieli pewność, że traktuję to poważnie, chciał pisemną zgodę. Zrobiłem i to. Bandyci zostali wykryci bez mojej wiedzy i pomocy. Czy działał z nimi, czy tylko u niego przebywali trudno powiedzieć, mam tu na myśli osadnika C. C., jego szwagier i brat zostali zatrzymani. Znaleziono krótką broń ukrytą w stodole. Po kilku dniach starszego C. zwolniono. Zatrzymano młodego i jego szwagra. Nie ujęto mieszkającego tu gajowego, który należał do tej bandy. Wyrok sądu w Szczecinie opiewał: szwagier C. 20 lat, drugi z bandy nietutejszy kara śmierci, młody C. wolny, jako że niepełnoletni i stał na straży, a nie wiedział w jakim celu inni wchodzili do mieszkań. Gospodarstwo C. podupadło, bo inwentarz został sprzedany przed sprawą. Ja byłem zadowolony, bo i mojego syna obrabował zbir na połowie drogi do Czaplinka. Zabrał rower, teczkę, pieniądze. Gdy syn za nim biegł do Czaplinka, zawrócił i pistoletem zagroził, by wrócił do domu, bo go zastrzelili. Nauczyciela w Czarnem Wielkim obrabowano ze wszystkiego co miało jakąś wartość. Nie wiedziałem, że moje zobowiązanie będzie wykorzystywane w innym celu. Po zlikwidowaniu bandy zgłosił się do mnie ów funkcjonariusz i żądał wykonania zadań, do wykonywania których nie byłem zdolny. Nie będę tu podawał zadań, które pamiętam, bo wszystkie żądały podsłuchiwania kolegów, przełożonych, sąsiadów, księdza. Nie dawano mi spokoju, choć żadnego zadania nie wykonałem. Byłem między młotem a kowadłem. A jak przekażą C., że ja ich wydałem i czeka mnie zemsta. A przecież o nich nic nie wiedziałem, ale podpis zaprzeczy. Doszło do tego, że przyjechał do mnie samochodem z drugim, jak mi przedstawił się ze Szczecina i zagrozili mi - „a gdybyśmy tak was np.

wieźli, a wy byście chcieli uciekać, co byśmy musieli zrobić?” Zastrzelić – odpowiedziałem. No właśnie” - potwierdził ów ze Szczecina. Odjechali, a ja nie wiedziałem już co robić. Trzeba ze wsi uciekać. Przed tą groźbą już mnie ostrzegła koleżanka M., że chcą mnie wykończyć, bo wezwano ją do C. i tam pracownik UB namawiał ją, by zeznała, że ja wrogo wyrażałem się o ustroju i partii. Gdy nie chciała, bo nie słyszała podobnych wyrażań, wtedy jej powiedzieli, że przecież i tak może takie zeznanie złożyć.

Już w ubiegłym roku złożyłem wniosek o przeniesienie, na co 4.VIII.1948 r. otrzymałem odpowiedź odmowną. Moje położenie pogarszało i to, że prowadziłem szkolenie ideologiczne w Ognisku Czaplinek, które odbywało się w sali szkolnej. Ja miałem notować nazwiska i wypowiedzi nielojalnych i przekazywać przez kierownika szkoły w Czaplinku Liczmańskiego, którego szkolenie nie obowiązywało. Co byłoby, gdyby kto z koleżeństwa sypnął jaki kawał, jakie mnożyły się, i powtarzali je wszyscy niezależnie od przekonań. A nuż Liczmański podsłuchuje pod drzwiami. Uprzedziłem koleżeństwo w szkoleniu - „tylko bez kawałów”. Zbyt dużo wspominał o sprawach wstydlivych i smutnych zarazem, co jednak nie przysłoniło tego co działo się w szkole i wsi.

Przez dwa lata byłem sam. Trzeci rok też rozpocząłem sam na 85 dzieci i pięć klas. Tego wymagało dobro szkoły i dzieci. Zbyt wiele było już dzieci do kl. piątej, a dochodzenie od 9 do 13 km do szkoły zbiorczej znaczyło przerwanie nauki, do tego nie mogłem dopuścić. Przyrzekano mi pomoc, lecz brak było nauczycieli. Wielu zawodowych nauczycieli przeszło do lepiej płatnych zawodów, a właściwie powiedzmy – prac. Wreszcie otrzymałem pomoc na jeden dzień, bo na drugi pomocnik wyjechał i nie wrócił. Ciągnąłem sam na trzy zmiany. Wieczorem kurs rolniczy. Należało zorganizować kursy uzupełniające podstawowe, ale już nie miałem sił. Dzieci, młodzież chciała się uczyć. Poprę to faktami. Zgłasza się do szkoły panienka lat 15, rozwinięta jak karmiąca matka. Do której klasy? Do czwartej. Tłumaczę, że jestem sam, dużo dzieci itp. Siostra jej starsza i L. nie ustępują. W końcu L. w płacz - „Ja się chcę uczyć” mówi z płaczem. Musiałbym nie mieć serca, by jej nie przyjąć. Przerobiła dwie klasy w jednym roku i ukończyła szkołę. Dziś pracuje jako kierowniczka po skończonych wyższych studiach. Uczniowie po 2-3 km przychodzili, by wspólnie przerabiać materiał. Coś ważnego musiało przeszkodzić, by ktoś nie przybył. A jak było z młodszymi? Podobnie. Muszę być na zebraniu gminnej rady. Chcę zwolnić drugą najliczniejszą. Niech pan nam co zada. Zadałem i poleciłem koleżance M. by je zwolniła. Tak cicho siedziały, że woźny zamknął drzwi na klucz. Był w korytarzu, ale nie słyszał, że dzieci są w sali.



Zabawa przed szkołą podczas przerwy.

A jak młodzież? Było koło ZMP, prowadził je Domka Tadeusz. Prosił, by na zebrania ich przychodzić z jakim tematem. Kilka takich pamiętam: darwinizm – pochodzenie zwierząt i człowieka, dla czego planety i gwiazdy nie spadają, gdzie tkwią początki wierzeń – religia. Pogadanki te wymagały przygotowania. W czasie

pogadanki była cisza, skupienie uwagi, ożywiona dyskusja. Nie wstydziałem się przyznać, że nie pamiętałem pewnych liczb, czy nie umiałem coś wyjaśnić. Mówiłem szczerze, że ja się też uczę, a wszystkiego nigdy się nie nauczę. Do organizowania kursów dla dorosłych nie władze mnie zmuszały, zmuszała młodzież.

Na rok 1948/49 było już 114 dzieci, a ja jestem sam na razie, bo mam solennie przyrzeczoną pomoc. Nie mogę ustąpić, by nie było szóstej klasy. Rok szkolny rozpoczynam sam na trzy zmiany, klasy łączone. Po paru tygodniach przybyła niekwalifikowana nauczycielka Mróz. Odetchnąłem. Będzie lżej i będę miał do kogo usta otworzyć, podzielić się troskami. M. wyraziła chęć mieszkania i stołowania u mnie. Pokoik był wolny. Zgodziłem się. Żona uważała ją za domownika, choć przychodziła tylko na posiłki. Pokazała jej złote kolczyki – prezent od dziadka. W owym czasie drugi pokoik tymczasowo zajęła poznana w czasie wojny literatka pani Ela Wachnowska Thun. Pani Wachnowska z matką starszą zatrzymała się do czasu otrzymania mieszkania w Szczecinie. Oto pewnego dnia żona nie znalazła pieniędzy w kredensie pokojowym. Ja też nie brałem. Ktoś zabrał. Dalsze poszukiwania wykazały brak mojej złotej obrączki, złotych kolczyków, zegarka kieszonkowego Omega, sztucznego jedwabiu na sukienkę córki. Starsza pani Wachnowska poinformowała nas, że dwa dni wstecz słyszała jak M. zeszła na dół i chodziła w stołowym pokoju, właśnie kiedy mnie i żony nie było w domu. Zgłosiłem to na MO. Rewizja nic nie wykazała. M. wysyłała dnia poprzedniego paczkę do rodziny. Miała to być rąbanka kupiona we wsi. W kilka dni po kradzieży wezwany zostałem do UB, gdzie oskarżono mnie o znęcanie się i oskarżenie naszej dziewczyny. Milicja badała czy słycać na górze w pokoju chód w dolnym pokoju. Okazało się, że tak. Przesiedziałem od rana do wieczora. Zwolniony nocowałem na dworcu z braku już pociągu w kierunku Szczecina. Na wyraźne polecenie władz bezpieczeństwa M. opuściła nasz dom i zamieszkała przy szkole. Kim była M.? W czasie okupacji jako przymusowa służąca u Niemki, której mieszkanie można było nazwać domem publicznym. M. u owej Niemki kradła. Była przez Niemców katowana, że pozostały blizny po biciu. Mdląłem z bólu, ale nic nie powiedziałam” - mówiła do mnie.. Koleżanka Mróz była inteligentna, złośliwa, uparta. Tylko łagodne postępowanie z nią odnosiło skutek. Po roku pracy odeszła z tej szkoły. Typ wędrownego pracownika. Zajęła szybko moje miejsce w gminnej radzie, gdzie była mile widziana i może za często otrzymywała wezwania na narady. Jak doszło do tej zmiany w radzie? Wybył z terenu członek rady. Należało uzupełnić radę wyborem nowego członka. My radni nic nie wiedzieliśmy, czy jest kto przygotowany. Okazało się, że brakujący radny już był zatwierdzony przez KP PPR, co oświadczył nam przewodniczący rady Sepiotek. Kto jest tym radnym - spytałem. „Wstańcie towarzyszu!” Spojrzeliśmy. W rogu sali siedział wybrany. Ja go trochę znałem, nie cieszył się najlepszą opinią. Alkohol, dwie kochanki poza żoną i częste na tym tle awantury między kochankami, czego dowodem były ślady pazurków na twarzy. Ponieważ wybór już był zatwierdzony podałem wniosek „by w protokóle wyborczym wpisać - rada przyjęła do wiadomości, że radnym został wybrany i zatwierdzony przez KP PPR obywatel X”. Przewodniczący bez sprzeciwu poddał wniosek pod głosowanie, który przeszedł przy jednym wstrzymującym się. Na zebraniu był obecny pierwszy sekretarz KP PPR, lecz nie zabierał głosu. Punkt następny to moja rezygnacja z funkcji radnego. Tę sprawę prowadził sekretarz KP. Zaczął od tego, że ponieważ mam dużo pracy w szkole... Proszę przeczytać uzasadnienie mojej rezygnacji, którą złożyłem przewodniczącemu. Żądali tego i inni. Wtedy przewodniczący wyjaśnił, że pismo to gdzieś zaginęło. Przed pół godziną leżało na stole przed przewodniczącym, które

ja widziałem. Rezygnację podtrzymałem ustnie i z rady ustąpiłem. Dlaczego tak szybko pismo zniknęło, należy się wyjaśnienie. Na wniosek tutejszego POP PPR przyjąłem na miejsce wysiedlonego Doepke, starszego bezrolnego Krzeszewskiego. Krzeszewski stopniowo zaczął wychowywać dzieci. Nie słuchajcie kierownika, mnie tu postawili to muszę go pilnować /?/ Na szczycie szkoły chciał namalować czerwoną gwiazdę. Podsluchiwał pod drzwiami na moich lekcjach. Tolerowałem to jako coś śmiesznego. Kradł drzewo ze szkoły. Też nie robiłem użytku. Otrząsał zielony owoc, który gotował i karmił świnie. Uprzedzałem go, że mogę go usunąć, jak będzie tak postępował. Ten mnie zwolni, kto mnie tu postawił – ze śmiechem odpowiedział. W końcu sierpnia, gdy byłem na konferencji w Szczecinku powiadomiono żonę, że woźny otrząsa jabłka i sprzedaje. Żona broniła, więc obrzucił ją stekiem obelg. Na drugi dzień, gdy wezwałem go do kancelarii w tej sprawie, i mnie obrzucił epitetami jak: skurwysyn, szabrownik. Pozostało mi tylko zwolnienie. Podałem do gminy wniosek o zwolnienie z uzasadnieniem. Woźny dostał miesięczne wypowiedzenie z pracy. Z mieszkania przy szkole wcześniej otrzymał wypowiedzenie z uwagi na to, że mieszkanie to gmina uznała dla mającego przybyć nauczyciela. Termin wypowiedzenia minął, a woźny przychodził nadal chociaż nie polecałem mu żadnego zajęcia. Otrzymałem z KG PPR pismo, że woźny zostanie w szkole i od decyzji tej nie odstąpią. Winę zaś ponoszę ja, bo taką opinię zebrano we wsi. Zawiadomiłem Inspektorat Oświaty i Urząd Gminy, że dotąd do szkoły nie wejdem, dopóki woźny nie zostanie zwolniony. Już w końcu sierpnia otrzymałem pismo od syna woźnego, oficera WP jak w liście zaznaczył, z żądaniem usprawiedliwienia się, dlaczego ojca wyrzucam z mieszkania, w przeciwnym razie sam się pofatyguję zająć tą sprawą. Do mieszkania woźnego puściłem ja, ale miał też poprzednie mieszkanie i często w nim sypiali, bo przy szkole było zimne. Inspektorat był w takim położeniu bezradnym, że przysłał mi 14-dniowy urlop, ale nie zajął stanowiska w tej sprawie. Po 14 dniach urlopu 20.X. przybył wysłannik z KP PPR i zapytał, czy zgodzę się zatrzymać nadal Krzeszewskiego, jeżeli mnie i żonę przeprosi. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że zrobi to publicznie na zabranie, bo publicznie mnie obrażał. Drugi warunek, to spełnianie swych obowiązków bez „wychowywania dzieci”. Przybył następnego zaraz dnia i tak się stało. Wyjaśnione zostało na tym zebraniu, że nikt nikogo we wsi nie widział i słyszał, by zasięgał opinii o mnie i woźnym. Przedstawiciel KP poznał słusność powiedzenia, że „mądry wróg mniej robi szkody, niż głupi przyjaciel”. Po roku Krzeszewski odszedł sam ze szkoły, jako „wtyczka” nie zdał egzaminu. Cz. wyszukał mu pracę w Szczecinku.



Michalina Szyszlak z d. Wasilewska.

Rok szkolny przebiegł bez większych zakłóceń. Koleżanka Mróz odeszła z tej szkoły do innej, a na jej miejsce przyszła doświadczona wieloletnia nauczycielka Wasilewska. Na rok szkolny 1949/50 było już 144 dzieci, a nauczycieli dwoje na siedem klas. Inspektorat nie chciał zatwierdzić klasy siódmej z braku nauczycieli. Dużo nauczycieli nadal odpływało do innych prac. Gdy przedstawiłem warunki uczęszczania do szkoły zbiorczej i to, że do czasu przysłania pomocy ja i koleżanka Wasilewska weźmiemy trzecią zmianę, uzyskałem ustną zgodę na podniesienie organizacji do pełnej podstawowej. Przed końcem roku przybył kolega Szyszlak.

Czy w ogóle Inspektorat nie przysyłał pomocy na tyle dzieci i klas? Owszem i o tych pokrótce wspomnę. Przybyła koleżanka X z Łubowa. Pierwszy dzień zamieszkanie u rodziny Biernat, zapoznanie ze szkołą, spółdzielnią uczniowską, kasą tej spółdzielni. Drugi dzień ból zęba, a więc do dentysty. Trzeci dzień zameldowanie, staranie o przydział opalu i kupno niezbędnych rzeczy. Aby to jednak szybciej mogła załatwić i jeszcze zacząć uczyć, prosiła mnie o rower. Dałem. Wieczór – nie wraca. Rano – nie ma. Szukałem. Nie była w ogóle w Urzędzie Gminy. Jeszcze nie melduję w MO. Po powrocie dowiaduję się o braku szydełkowego nakrycia u Biernatów, paru chusteczek nowych u koleżanki Wasilewskiej, w spółdzielni brak 500 zł. Zawiadomiłem matkę, która częściowo pokryła straty. Co stało się z córką. Próbowwała w parę dni po wyjeździe od nas na Śląsk, popełnić samobójstwo. Przybył kolega O., lecz po paru tygodniach przeniesiony został bliżej żony, czynnej nauczycielki. W lutym przybył starszy, z wyższym wykształceniem rolniczym kolega Miller. Ten uczył aż... cztery dni. Byłem na jednej lekcji pana Millera. Wykład w klasie szóstej zupełnie byłby odpowiedni na wyższej uczelni. Naukowe określenia i nazwy na lekcji przyrody tak męczyły dzieci, że objawiały to poziewaniem. Na uwagę, by w nauczaniu używać wyrazów zrozumiałych dla dzieci, a nowe dzieciom objaśniać otrzymałem odpowiedź „nie będę się po raz drugi uczył”. Na pamiątkę zostało zobowiązanie za stołowanie. Na tym nie koniec. Przybyła z Okonka młoda panienka z zawodu „uczyłam już katechizmu”. Zamieszkała u mnie. Przygotowałem ją do pierwszej lekcji – „Położenie i ukształtowanie Czechosłowacji”. Prosiła, ażebym był u niej na całej lekcji. Przed wejściem do klasy przeżegnała się. W swobodny sposób przedstawiłem ją dzieciom i zaczęła lekcję. Kropka w kropkę powtarzała zdania z podręcznika. Gdy zapomniała dalsze zdania, zaczęła zmieniać kolory, czerwień a potem biel. Czulem, że grozi katastrofa, więc ażeby niby chcąc coś dzieciom powiedzieć, aby mi pozwoliła, a sama usiadła. Dokończyłem tę lekcję tak, że dzieci nie zorientowały się co się stało. Panienkę rozboleła głowa. Jeszcze tego dnia wyjechała do mamy i zamiast niej przybył list z rezygnacją z pracy w szkolnictwie. Ostatni przybył kolega Szyszlak. Wiele lat był potem kierownikiem w tej szkole. Mickiewicz powiedziałaby tak: Takie były trudności, nauka w owe lata.



Siemczyńscy harcerze.

Jak mogliśmy we dwoje podołać pracy, aby wyniki nie były gorsze niż w szkołach z pełną obsadą, a że nie były gorsze mieliśmy na to dowody. Wyniki zawdzięczamy samym dzieciom. Nie znaleźliśmy w ogóle nieusprawiedliwionych nieobecności. Nie było wypadku wzywania rodzica, bo dziecko nie odrabia lekcji. Dzieci nie rozumiały, co to kara cielesna. Jediną karą to parominutowe stanie w kąciu, co było przeżyciem dziecka. Świadczyły o tym łzy. Dziś wspominam to jak przyjemny sen. Czy praca nasza ograniczała się tylko do pracy w czterech ścianach sali. Otóż nie. W tym roku sklepik uczniowski został przeorganizowany w Spółdzielnię Uczniowską. Miałem w tym dwa zasadnicze cele: przegotować już dzieci do pracy w spółdzielczości i poszanowania mienia społecznego. Drugi cel w szkole został osiągnięty. Nie zrezygnowałem ze sklepiku uczciwości. Towar dzieci ze stołu kupowały sobie same. Brały same resztę. Nie wolno samym brać było tylko klasie I i II. Tym kupowali starsi. Przez okres czterech lat w kasie były superaty z nie pobranych drobniejszych reszt. W sklepie naszym były również i artykuły nie szkolne, jak pasta do butów, zębów, szczoteczki do zębów, a nawet słodycze. Słodczy jednak długo nie mieliśmy, bo dzieci zamiast potrzebnych pomocy wydawały pieniądze na nie.

Zorganizowane było harcerstwo. Drużynową była koleżanka Wasilewska. Aby harcerze mogli występować jako organizacja i wyróżniać się, niezbędne było umundurowanie. Z tym jednak było bardzo trudno. Koleżanka udała się do Szczecina i tam z przedpłatą zamówiła ubranka w Spółdzielni. Jaka to była radość i duma. Wspomnę tu jak za ubranko „kupiłem” ucznia. Gdy dzieci rozbierały sobie ubranka, jeden chłopiec klasy drugiej pieścił sznury i błyszczące guziki. Widziałem jak to dziecko przeżywa, że to nie dla niego. Był on trochę leniwy i dużo w tyle za młodszym bratem tej samej klasy. „Gdybyś się dobrze uczył, to dałbym i tobie takie ubranie”. „Będę prosił pana, będę!” Słowo się rzekło. Nie mogę wobec dziecka nie dotrzymać słowa. Jak z tego wybrnąć. Muszę dać, ale kto zapłaci. Napisałem do ojca na kolonię list, w którym zaproponowałem mu kupno ubranka w tajemnicy przed dzieckiem, niech wierzy, że to ja mu je dałem. Ojciec wyraził zgodę. Chłopiec wobec kolegów przyrzekł, że będzie ładnie pisał i zawsze tak się nauczy czytać i wierszyka jak inne dzieci, a gdy nie dotrzyma słowa, ubranko odbiorę. Starał się w nauce i prześcignął w niej brata. Należał do najlepszych. Koleżanka poświęcała się teraz pracy z drużyną.

W święto 1 maja szkoła nasza upiększała w Czaplinku pochód pierwszomajowy. Na czele pochodu szedł harcerz ze sztandarem szkoły, bo i ten szkoła już miała wyhaftowany przez tutejsze matki. Obok sztandaru dwie krakowianki. Mieliśmy grupę osiem dziewcząt



Kółko teatralne „Ognisko”, w środku przewodnicząca kółka p. Folta.

w strojach krakowskich. Za trójką krakowianki, harcerze, zuchy i reszta. Grupę zamykało dwóch jeźdźców w mundurach straży przeciw ogniowej. Dumni byliśmy, że tak odświętnie mogliśmy czcić Święto Pracy.

Ja stale opracowywałem z dziećmi szkolnymi i młodzieżą występy na scenie. Weszło u nas w zwyczaj urządzania zabaw i przedstawień. Nietrudno to było przy harmonijnej

współpracy z ZMP, KGW i całego społeczeństwa. Z KGW najczęściej inicjatywy i współpracy dawały Polewska i Folta, ZMP prowadził Domka i Mazurkiewicz. Czystość na sali to sprawa kobiet. Ekspozyty do przedstawień i dekoracje to ZMP. Porządek i spokój to straż przeciw ogniowa. O zezwolenie starał się ten kto organizował - szkoła, ZMP czy KGW. Dochód szedł na cele organizatora. Utarło się przekonanie, że zabawy muszą być zakłócone przez krewkich uczestników. Nieprawda. U nas był jedyny wypadek próby przez leśniczego z P. Uspokoił go, mimo że pokazał legitymację, a potem i nóż. Więcej się nie pokazał, zapewne na skutek pisma do Nadleśnictwa i MO. Drugiego, który po kieliszku nie wiedział co robi, przetrzymano do rana w pustej piwnicy. Wyleczył się. Nasza wieś sama dbała o porządek i MO nie miało co tu robić, a sąd nazwę wsi znał z tego, że sędzia przybywał w ramach popularyzacji prawa.



Pochód 1-majowy w Czaplinku.

W ostatnim roku podjąłem się poważnej pracy – przygotowanie „Balladyny” Słowackiego na scenie. W owym czasie trudno było zdobyć utwór sceniczny, który odpowiadałby warunkom sceny, będących do dyspozycji aktorom. Próbowałem i sam co stworzyć, jak „Kodeks Jego Carskiej Mości”, „Niezwyciężeni tułacze”, „Ciotka”, to wymagało więcej chodzenia, do przeglądu a potem po zezwolenie. Robiłem i obrazy sceniczne jednoaktówki, był to opłatek z braku laku. Chciałem dać coś co wstrząśnie widzom, a jednocześnie będzie pięknie. Coś, co trzyma w napięciu do końca. To mogła dać „Balladyna”. Około trzy miesiące trwała nauka ról, próby, przygotowanie kostiumów. Aktorów dał mi los, czy przypadek. M. bez roli miał głos suchy i postawę starca. B. ładna jak różyczka warta płaczu gdy zginie. M. energiczna o bystrym oku, ta nadaje się na władczynię i morderczynię, a co najważniejsze bardzo pracowita.

Opuściłem sceny Chochlika, Skierki, Goplany, Grabca. Zezwolenie uzyskałem. Parę tygodni jak *Balladynę* wystawiono w Poznaniu – okłamałem urzędnika, gdy odmówił zezwolenia. Zastanowił się chwilę i dał. Przedstawienie udało się. M. tak grała z przejęciem, że bałem się, by rzeczywiście nie uderzyła Aliny sztyletem choć ten był drewniany, ale świecący jak stal. Ze sceny zeszła z rosą na twarzy. Na sali słychać było okrzyki grozy. Zakończenie – błyskawice, grzmoty i grom tak przeraziły, że kilka kobiet zerwało się do ucieczki. Dla tutejszej ludności było to wielkie duchowe przeżycie. Zawdzięczam to dzieciom, właściwie młodzieży w wieku 16 – 18 lat i to poważnie myślącej. To myślenie stawiało mnie czasem w kłopotliwym położeniu. Np. zwraca się do mnie uczeń Mowczun i pyta: „Panie kierowniku jak to jest, pan mówi, że głosowanie tajne, a nauczyciela z Rzepowa aresztowali za to, że wszedł za kurtynę”. Nie chciałem go przekonywać, bo nie udowodniłbym mu za co był aresztowany, wiem że przy mnie nikt za kurtynę nie wchodził. Mów tak jak cię uczę, jeżeli chcesz uczyć się dalej, a życie nauczy cię reszty. Dziś Mowczun jest inżynierem w Poznaniu.

Robiliśmy z dziećmi wycieczki, biwaki. Zwiedzaliśmy zakłady włókiennicze w Złocieniu, ruiny zamku w Starym Drawsku, browar w Połczyniu Zdroju. Biwaki całodniowe. Wymarsz o wschodzie słońca. Wspomnę więcej o jednej wycieczce dwudniowej – biwaku. Przygotowania dzieci robiły parę dni, tak że zaraz po obiedzie zbiórka. Zaopatrzeni w kotły, wiadro, menażki czy miski, toporki, łopatki saperskie, prowiant i namioty – koce. Cel – wzgórze wśród lasów w odległości około 7 km od wsi. U podnóża wzgórza pod lasem pusta leśniczówka, gdzie miał przed wejściem wojsk radzieckich powiesić się Niemiec, a duch jego błądzi teraz po lesie. Wszystko było przewidziane, kto i w jakim czasie miał swoje zadania. Na środku wzgórza flaga. Namioty, zwiedzanie terenu, przygotowanie kuchni polowej ziemnej, drzewa do kuchni, odbyło się planowo. Wieczorem apel, śpiew i sen. Na straży kolejno stało po dwóch uczniów. Nie było wyjątku dla dziewcząt. Ja nie spałem w swoim namiocie. Czuwałem. Usłyszałem szepty straży dziewczynek. „Dzik! Nie, to pewnie duch Niemca. O, idzie do nas. Gwiżdź!” Wychyliłem się z namiotu i ujrzałem jak jedna dziewczynka ostrożnie schodziła w stronę, zapewne stracha. Chciałem się ubrać, aż tu alarm. Gdy wybiegłem, już gromada uzbrojona w topory, łopatki i co popadło goniła w stronę lasu. Gdy doszedłem do stojących już pod lasem, opowiadano jak czworonóg, niby niedźwiedź, zerwał się na dwie nogi i uciekł do lasu. Chciałem się przekonać jak dzieci są odważne. Nie mówiłem im, że gajowy Wyroba obiecywał, że nocą zastraszy dzieci, co właśnie zrobił. To pewnie ukrywający się jeszcze w tutejszym lesie Niemiec. Musimy go ująć. Tyralierą w odstępach około 8 metrów zaczęliśmy lasem otaczać to miejsce. Dzieci szły odważnie, nawet dziewczynki wysuwały się do przodu. Jeden tylko chłopiec szedł przy mnie i na jakiś okrzyk chwycił mnie za ubranie. Kilka razy otaczaliśmy miejsce, gdzie stał ścigany z papierosem lub świeciły mu się oczy. Nie ujęliśmy nikogo. Nie mówiłem kto to był. Niech snują domysły. O wschodzie słońca pobudka, mycie, gimnastyka, przygotowania do śniadania. Cały dzień urozmaicony zabawami, wyścigami, rzutami do celu itp. Najsmaczniejszy był bigos, barszczyk i żurek. Potwierdzili to i rodzice, którzy przyjechali na paru furmankach. Powrót wieczorem.

Drugą lokalną uroczystością było złożenie przyrzeczenia przez harcerzy. Ta uroczystość odbyła się w parku przy pałacu. Przygotowano stos chrustu. Bufet na miejscu. Muzyka, bo i to przewidziane było dla dzieci i starszych. Przybyli goście – władze oświatowe i harcerstwa. Cały dzień był zajęty. Do południa przygotowanie, po południu przyrzeczenie, zawody, zabawy, tańce. Wieczorem, baśnie, śpiewy przy ognisku.

Wspomniałem o śpiewie. Do dziś, uczennice kiedyś, a dziś matki, śpiewają ludowe piosenki nauczone w szkole. Korzystałem ze śpiewnika Rudkowskiego. Zdaje się, że z przesyłki księdza Krepli pochodzi. Drugi śpiewnik to „Śpiewnik żołnierza Polskiego”. Otrzymałem go od powracającego z Berlina żołnierza. Odpoczywał przed szkołą. W rozmowie powiedziałem mu jakie będą trudności np. z podręcznikami. Ten zdjął plecak, wyjął ten śpiewnik i pamiętam jak zażartował: „Już tyle się z niego naśpiewałem, że dowódca kompanii krzyczał – „Te, Józek nie becz jak baran. Niech pan nauczy dzieci tych piosenek. Śpiewaliśmy je od Rosji do Berlina”. Gdy dziś biorę ten śpiewnik do ręki zdaje mi się, że dotykam potu, dymu, kurzu, krwi z pola walki i słucham, czy nie wyda głosu bomb, jęku konających. W nim zawarta jest golgota żołnierza.

We wsi z owego czasu została dla dzieci trwała pamiątka – las. „Nasz las” tak go nazywano. Była podobno tablica pozostawiona przez kolegę Szyszlaka „Las szkolny”. Jak do tego doszło? Dzień lasu. Coś należy zrobić. Widziałem odłóg bezpieczeństwa. Gleba nie rokowała, że będzie chętny ją uprawiać, a że był w pobliżu lasu, pomyślałem by go zalesić. Leśniczy wyznaczył miejsce do wyjęcia młodego samosiewu, dał nam narzędzia i pod jego nadzorem dzieci posadziły wybrane drzewka. Jak miło mi było słyszeć. Chodzimy już z dziećmi do naszego lasu, który sadziłem.

W budynku szkolnym były dwie sale lekcyjne. We dwoje mogliśmy uczyć, a co będzie, gdy przybędzie więcej nauczycieli, już teraz powinno być czterech minimum. Przez ostatni rok komasowaliśmy uczniom zajęcia, np. klasa szósta i siódma od lutego miała trzy dni w tygodniu tak, by w sumie była ilość godzin zgodnie z planem. Chodziło nam o to, by ułatwić dochodzenie od 2 do 4 km i wykorzystać i tak salę na dwie zmiany. Nie opuszczane były zajęcia takie jak WF, zajęcia rysunków i śpiew.

Złożyłem wniosek o przeniesienie szkoły do pałacu, aby szkoła miała właściwe warunki lokalowe, teren zdrowy wśród drzew parku i co nie mniejszej wagi, uchronienie pałacu przed dalszą dewastacją. Cóż, p. starosta sprzeciwił się temu.

„Tu mi włosy wyrosną, jak szkoła będzie w tym budynku”. Nie ustąpiłem. Wiedziałem, że już tu nie będę, ale chciałem sprawę szkoły wcześniej załatwić – chodziło o remont. Złożyłem do władz powiatowych wnioski o komisję celem zbadania stanu bezpieczeństwa budynku i wydania jasnego nakazu rozpoczęcia zajęć szkolnych w tym budynku, w przeciwnym razie lekcji nie rozpocznę, bo nie chcę ponosić odpowiedzialności za następstwa. Pismo złożyłem osobiście za pokwitowaniem odbioru na kopii. Komisja wkrótce zbadała stan i... w sierpniu ekipa remontowa zaczęła remont w pałacu. Do dziś szkoła ma tam siedzibę. Skończyła zajęcia i starsza młodzież klasy siódmej na kursie dla dorosłych.

O zwolnienie mnie z pracy złożyłem wniosek w maju. 23 maja otrzymałem odpowiedź odmowną. W początku lipca zawiozłem do inspektoratu klucze od szafy, pieczętki,



Sadzenie lasu 01.05.1950 r.

legitymację. Inspektor zagroził mi sprawą sądową, a gdy oświadczyłem, że jestem przygotowany na trzy lata więzienia zmienił ton i zaproponował wybór wolnej szkoły na terenie całego powiatu. Zgodziłem się. Ruszyłem na poszukiwanie, a było kilkanaście miejscowości. Pierwsza z wolnych w budynku o dwóch salach. Mieszkanie dla nauczyciela u chłopca na półpiętrze. Opał mogę złożyć w komórce obok opału chłopca. Idealne warunki ale zrezygnowałem.

Drugą szkoła w pobliżu Szczecinka w domu chłopca, czy chłop w budynku szkolnym. Chłop nie remontował, bo to budynek szkolny, gmina też nie, bo to chłopski. Nauczycielka mieszkała w starym budynku – pruski mur. Zimą w mieszkaniu siedziała w palcie i walonkach, dziury w ścianach na wylot. We wsi spotkałem chłopca, który o szkole tak się wyraził: „moje owce mają lepszy chlew jak ta szkoła”. W dość ładnym i nowym budynku przeprowadzono remont. Przed budynkiem stał bufet i szafy. Co tu będzie – spytałem. Sala. A ten bufet? A jak będą zabawy, to gdzie będziemy chodzić. Tu będzie i bufet. To mi wystarczyło. Tu dbają o szkołę. Tylko pracować w takiej wsi. Wreszcie trzecia w Chłopowie.

Pierwszego sierpnia opuszczałem Siemczyno. I jeszcze bym się zastanowił czy nie zostać, gdybym już w lipcu nie zaczął pracy w Chłopowie. Gdy samochód stał przed domem zauważyłem grupę dzieci na drodze. Do mnie przysła Polewska i prosiła bym został, bo w Inspektoracie powiedziano im, że odchodzę na własne żądanie, a nie tak jak ja mówiłem, że przenoszą mnie władze. Gdy powiedziałem, że nie mogę tu zostać, wtedy powiedziała: „I tak pan nie wyjedzie. Dzieci czekają i położą się na drodze, a samochód po nich nie pojedzie”. Tak, na to czekały, naturalnie namówione. Przekonałem Polewską i z żalem ją pożegnałem. Wyjeżdżając zegnałem wieś, rodzinę i przyjaciół. Pierwsze dni wiązały ludzi wspólnymi troskami, niepewnością jutra i ta więź Polaków wśród Niemców



Zakończenie roku szkolnego. Od lewej stoją: Alina Łosowska, Anatol Mowczun, Róża Bień, Józef Sobczyk, Danuta Salamon, Hubert Orzepowski, Irena Miszewska, Franciszek Gałązkiewicz, Emil Kolbusz. Siedzą w środku od lewej: Melania Kolbusz, Czesław Szyszlak, Michalina Szyszlak, Marianna Leszczyńska, Henryk Leszczyński. Na ziemi siedzą od lewej: Maria Szot, Waldemar Mikołajczyk, Czesława Turowska.

zacierała różne obyczaje – tworzyła rodzinę. Wśród dzieci czułem się jak wśród najbliższych, w tej rodzinie wsi. Wzajemne zrozumienie, chęć dzieci do pracy rozwijały uczucie przyjaźni – to byli moi najlepsi przyjaciele.

Współpraca z koleżanką Wasilewską tak się układała, że każde poczynanie nie było poleceniem, nakazem ale przyjacielską rozmową o potrzebie wykonania pewnej pracy. Tak „Wyrzciu” trzeba o tym pomyśleć i zrobić, lub – nikt za nas nie robi.

Był to okres w moim życiu najmiłszy i najsmutniejszy. W dniu pożegnania szkoły i dzieci mogłem przemówić tylko jedno słowo – żegnajcie!

Musiałem opuścić szkołę w Siemczynie, aby uwolnić się od najazdów do mnie ubowców i ich presji. Grożono mi zlikwidowaniem. Byłem pod „opieką” woźnego przyjaciela i zausznika Cz. Dziś jak zmora spadło ze mnie to ukrywanie krzywdy moralnej. Ja wiem jednak, że usiłowanie wciągnięcia mnie do partii miało na celu odebranie mi możliwości wyrażania swego zdania na pewne zagadnienia, a tym samym wyrzec się wyrażania swych sądów, a być robotem kierowanym przez kogoś. Jak żal mi zdrowia utraconego w samoobronie, które teraz szczególnie jest potrzebne. Mam cześć dla tych, którzy mieli odwagę przeciwstawiać się tyranii i wprost powiedzieć gorzką prawdę w oczy tym, którzy kłamstwem, obłudą i przemocą usiłowali wyrwać serca i własne myśli, a w miejsce tego wstawić mechanizm naśladowający.

Do napisania wspomnień skłoniła mnie chęć pozostawienia dzieciom i wnukom mojego postępowania. Okoliczności, które skłaniały mnie do tego, warunków w jakich zaczęliśmy pracę na terenach Ziemi Odzyskanych. Niech wyciągną wnioski z błędów jakie popełniłem i unikną ich, a jeżeli uznają w moim postępowaniu słuszne, niechaj mnie w tym naśladowają. Nie można być sędzią dla siebie.

*Henryk Leszczyński, sierpień 1973 r.
Zdjęcia i dokumenty dodał Kamil Poleć.*

2. PASJE MOJEGO ŻYCIA

*Nie można uciec od pracy, która jest powołaniem .
Julien Green*

WSTĘP



Waldemar Janusz.

Aby zrozumieć moją pasję, która w pełni rozwinęła się podczas 12 lat pracy w Czaplinku, należy cofnąć się do wczesnych lat dzieciennych i młodzieńczych.

Wiem, iż wielu moich przyjaciół i znajomych z Czaplinka zadawało sobie pytanie: - jak do tego doszło, że ten chłopak, prawie góral gdzieś z południa, znalazł się w Czaplinku? Mam nadzieję, że na to odpowiem. Urodziłem się w 1941 r. w Zagrobach-Zakrzewo k/Zambrowa woj. białostockie. W 1947 r. wraz z rodzicami przenieśliśmy się do miejscowości Dobra k/Sanoka (prawie Bieszczady), gdzie w 1954 r. ukończyłem szkołę podstawową. W latach 1954-59 byłem uczniem Technikum Rolniczo-Ląkarskiego w Przemyślu-Bakońcycach. Piękny stary Przemyśl – miasto, które wywarło ogromne wrażenie na niespełna 14-letnim chłopcu ze wsi. Zniszczony, ale piękny pałac Lubomirskich, w którym znajdowała się szkoła, był wymarzonym miejscem do nauki, a park, który go otaczał zachęcał do rekreacji i wypoczynku.

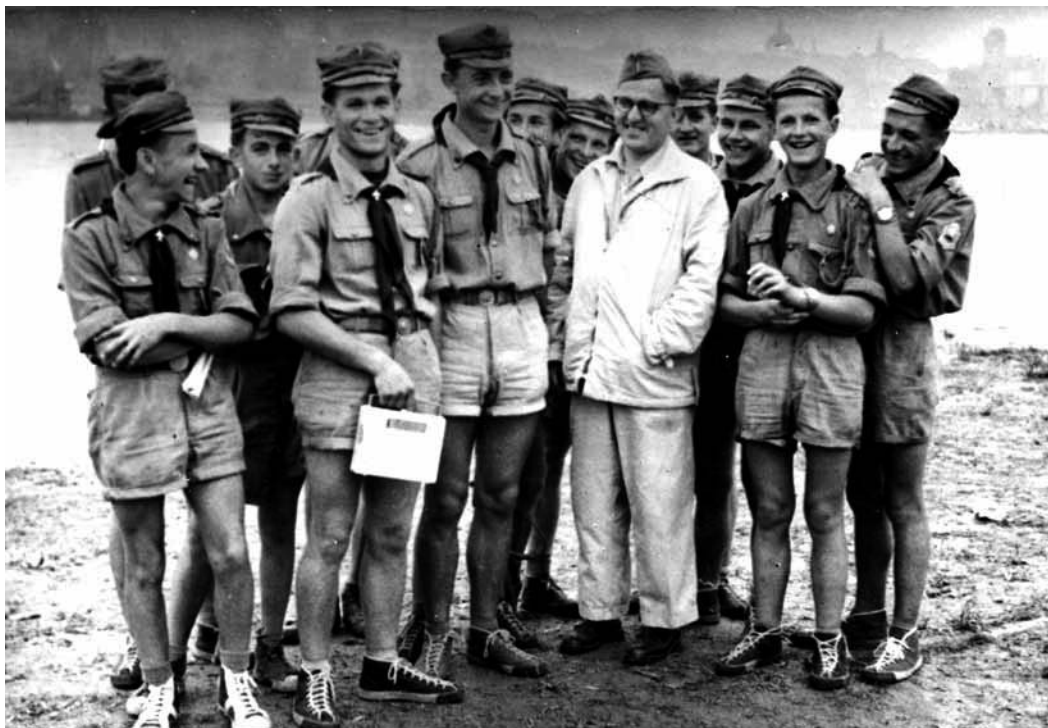
Tu właśnie wszystko się zaczęło. Pod okiem doświadczonych, wspaniałych młodych nauczycieli zdobywałem zwód, oraz mogłem realizować dodatkowe zainteresowania, z których wymienię dwa: sport i turystyka.

Szkoła w tym okresie nie posiadała sali gimnastycznej, nie było typowych boisk do gier sportowych i lekkiej atletyki, ale był fantastyczny zapał nauczycieli i wychowawców, którzy swoim zaangażowaniem potrafili skupić wokół siebie uczniów zainteresowanych zajęciami lekcyjnymi i pozalekcyjnymi z wychowania fizycznego. Miałem możliwość uprawiania wielu dyscyplin sportowych jak: piłka siatkowa, lekkoatletyka, tenis stołowy. W dyscyplinach tych przez kilka lat reprezentowałem szkołę.

W okresach wakacyjnych brałem udział w pieszych obozach wędrownych. Pierwszy obóz wędrowny w Beskid Sądecki, Pieniny i Tatry pamiętam do dzisiaj. Był rok 1955, od pierwszego dnia do ostatniego lał deszcz. Miałem jedną parę butów - tenisówki, które pod koniec wędrowki rozmokły i rozlały się. Do domu wróciłem boso. Chęć poznania i zwiedzenia kraju była tak wielka, że w następnych latach brałem udział we wszystkich obozach organizowanych przez szkołę. Zwiedziłem Mazury, wybrzeże Bałtyku od Krynicy Morskiej do Świnoujścia, Karkonosze, no i oczywiście Bieszczady. Już wtedy zrodziła się we mnie myśl, że jednak nie będę rolnikiem.

Nie wszystko potoczyło się po maturze zgodnie z moimi skrytymi myślami. Niezapomniany i bardzo mądry mój ojciec postawił na mnie i na rolnictwo. Pamiętam jak mnie przekonywał, zobacz mówił: „*PGR-y i Spółdzielnie Produkcyjne rosną jak grzyby po deszczu, dla rolnictwa idą dobre czasy, będziesz miał zapewnioną pracę i mieszkanie*”. Ja w tym czasie myślałem już zupełnie inaczej – kilka wakacyjnych praktyk w PGR-ach i Spółdzielniach Produkcyjnych pozwoliło mi krytycznie patrzeć na rozwijające się państwowe rolnictwo.

Po maturze jednak spełniłem wolę ojca i jesienią 1959 r. zostałem studentem Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Wytrzymałem tylko rok. Po roku zdałem egzamin do Wyższej



W szkole w Przemyślu. W środku W. Janusz.

Szkoły Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Tu zacząłem realizować to, co od wielu lat we mnie dojrzewało – będę nauczycielem wychowania fizycznego, takim, jakiego zapamiętałem z Technikum Rolniczo-Ląkarskiego w Przemyślu.

Droga do celu nie była jednak łatwa i prosta, zabrakło mi trochę szczęścia. W drugim roku nabawiłem się groźnej kontuzji, która na kilka lat wyeliminowała mnie z czynnego uprawiania sportu wyczynowego i studiowania na uczelni, gdzie głównym zadaniem był intensywny wysiłek fizyczny.

Kilka miesięcy leczenia oraz intensywna rehabilitacja, pozwoliły mi jeszcze w tym samym roku podjąć naukę w Studium Nauczycielskim w Koszalinie na nowo powstałym kierunku – wychowanie fizyczne z biologią. Mogłem leczyć kontuzję i studiować. Zaliczono mi większość przedmiotów praktycznych z WSWF w Poznaniu. Chodziłem na rehabilitację i zdobywałem upragniony zawód.

Tak więc z odległego południa Polski, po krótkich pobytach w Olsztynie i Poznaniu znalazłem się na północy kraju, na pięknej ziemi koszalińskiej, gdzie mogłem brać udział w obozach i rajdach, uprawiać ulubione dyscypliny sportowe.

Wyjazdy na zawody były doskonałą formą poznawania tej przepięknej ziemi, bogatej w malownicze jeziora, uzdrowiska nadmorskie i wspaniałe lasy. Tu poznałem uroczą pannę Krysię, studentkę wydziału biologii z chemią i pomyślałem: dość wędrowania, zostaję tutaj, zakładamy rodzinę i realizujemy nasze wspólne marzenia. Tak też się stało. Po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w 1964 r. zacząłem rozglądać się za pracą. W czerwcu pojechałem do Wałcza, gdyż dowiedziałem się, że jest praca w Zespole Szkół Zawodowych. Praca istotnie była, ale o mieszkaniu nie było mowy. Dla nas mieszkanie było chyba na równi ważne jak praca, gdyż w sierpniu spodziewaliśmy się dziecka. Wracając więc z Wałcza z bardzo smutną miną. Przed Czaplinkiem jednak przypomniałem

sobie, iż są tu wolne etaty dla nauczycieli. Wysiadłem z autobusu i pierwsze kroki skierowałem do Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Przyjął mnie dyrektor szkoły pan Waław Mirowicz i bardzo się ucieszył, że będzie miał nowego nauczyciela wychowania fizycznego, zapewnił mnie równocześnie, iż w ciągu 2-3 miesięcy otrzymamy mieszkanie. W mojej obecności zadzwonił do dyrektora Szkoły Podstawowej pana Stanisław Czapki i zapewnił go, iż od września będzie miał też nauczycielkę biologii i chemii. Pan Czapka miejsce dla żony zarezerwował, chociaż nie był zadowolony z tego, że do pracy zgłosi się ona dopiero po urlopie macierzyńskim.

Podpisanie umowy w połowie sierpnia było zwykłą formalnością, która zapoczątkowała chyba najważniejszy i najpiękniejszy okres w naszym życiu. Później pan dyrektor zaprezentował mój przyszły warsztat pracy. Tak jak przypuszczałem był on bardzo skromny: kilka sznurowanych piłek bez powietrza, parę starych dresów, złożonych gdzieś na poddaszu szkoły, duży i ładny teren przed szkołą, który spełniał rolę boiska sportowego i wreszcie śliczna, „nasza” jak się popularnie mówiło, zatoka j. Drawsko. Przy niej hangar i około dziesięciu bardzo starych i podniszczonych kajaków. To było wszystko, co miał do zaoferowania pan dyrektor. Ktoś mało odporny psychicznie mógłby się załamać, mnie to na szczęście nie dotyczyło, gdyż doskonale pamiętałem, jak w podobnych warunkach zorganizowane było wychowanie fizyczne, zajęcia pozalekcyjne i turystyka w mojej szkole w Przemyślu. Pan Mirowicz wielokrotnie obiecywał wszechstronną pomoc, jemu bardzo zależało, aby dziedzina, którą reprezentowałem była widoczna tak w szkole jak i w środowisku. Mnie też na tym zależało, dlatego wierzyłem dyrektorowi i byłem pewien, że w niedalekiej przyszłości będzie głośno o naszej szkole w środowisku.

CZAPLINEK LATA 1964-1976

Rozwój wychowania fizycznego w ZSZ.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego w życiu rozpoczęcia roku szkolnego, gdzie znalazłem się w roli nauczyciela. Młodzież stała przed szkołą prawie na baczność, nauczyciele z dyrektorem na krzesłach przed nimi, no i ja, gdzieś z boku, przestraszony i zestresowany. W pewnej chwili zostałem przedstawiony przez pana dyrektora, rozległy się nawet niewielkie brawa, co jeszcze bardziej mnie speszyło. Nikogo nie znam, żona w szpitalu w Koszalinie, może rodzi, a może jest już po wszystkim. Nagle otwiera się okno, z którego wychyla się głowa pani Gieni Żwirko (sekretarki) i ciepłym głosem prosi mnie do telefonu. Ruszam więc na bardzo miękkich nogach, nie mam pojęcia co usłyszę, a tu wiadomość – zostałem ojcem, urodziła mi się zdrowa, wspaniała córka Barbara (imię było wcześniej ustalone). Pierwsze gratulacje były od pani Gieni i na tym się skończyło. Musiałem wrócić na swoje miejsce, napięcie minęło, zostały tylko potężne wypieki na twarzy. Czekałem z niecierpliwością na zakończenie, aby podzielić się radością wiadomością. Ale z kim? Nikogo nie znam, a mnie chciało się krzyczeć z radości. Wreszcie koniec, wszyscy się rozchodzą, a ja stoję i czekam, ale na co? Po chwili podchodzi ktoś do mnie w ciemnych okularach, bardzo podobny do Zbyszka Cybulskiego i mówi: Wawer jestem, no wiesz mów mi Zdzichu, i pyta: co się stało. Mówię:



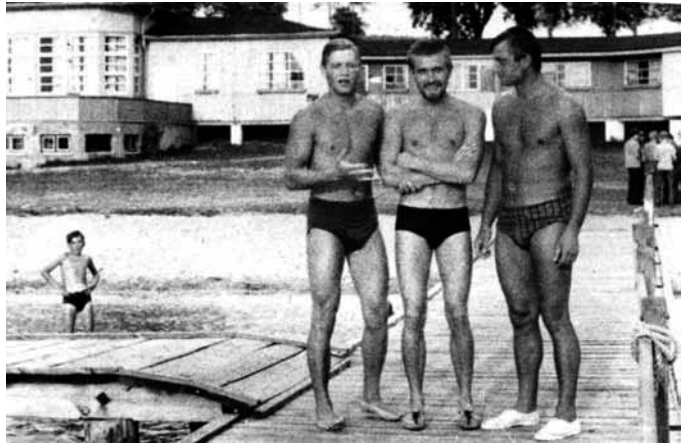
Rodzina Januszów.

nic, tylko urodziło mi się dziecko i nie mam się komu pochwalić.

Tak rozpoczęła się pierwsza znajomość i przyjaźń, która trwa do dnia dzisiejszego. Okazało się, że grono pedagogiczne jest bardzo młode, szybko więc znaleźliśmy wspólny język i wspólne zainteresowania. Tuż po uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego Zdzisiek Wawer, Tomek Romaniuk i Franek Fisahn zaproponowali mi wycieczkę po jeziorze Drawsko. Bardzo mnie to ucieszyło, gdyż była wspaniała pogoda, a ja chciałem jak najszybciej poznać okolicę.

Takich wycieczek we wrześniu i w październiku było dość dużo. Jezioro poznałem bardzo szybko, mogłem już myśleć o samodzielnym pływaniu z młodzieżą podczas zajęć pozalekcyjnych. Czekala na mnie jednak inna ważniejsza praca. Musiałem jak najszybciej zakupić najpotrzebniejszy sprzęt sportowy, aby można było w miarę normalnie zacząć prowadzić lekcje i inne zajęcia. Tak więc od pierwszych dni mojej pracy zawodowej systematycznie i planowo wzbogacałem swój warsztat pracy, mając zawsze niezbędną pomoc finansową ze strony dyrekcji szkoły. W pierwszym okresie zagospodarowaliśmy teren przy szkole, tak, aby przypominał boisko sportowe. Równocześnie remontowaliśmy posiadane kajaki, aby można było bezpiecznie prowadzić zajęcia na wodzie.

Pamiętam doskonale - była wtedy piękna słoneczna i długa jesień, ręk do pracy nie brakowało. Pomagali nauczyciele, pracowała młodzież. Wszyscy zdawali sobie sprawę, iż wykonywane prace przyczynią się do lepszego i ciekawszego uczestnictwa w szeroko pojętej kulturze fizycznej. W szybkim tempie powstało 60 metrowa bieżnia, dwie skocznie: jedna do skoku w dal, druga do skoku wzwyż;



1965 r. na plaży, z prawej W. Janusz.

dwie rzutnie: jedna do rzutu dyskiem, druga do pchnięcia kulą. Dzięki pomocy Urzędu Miasta w okresie późniejszym, na jednej części boiska położono płytę asfaltową, na której powstały dwa boiska do koszykówki, dwa do piłki siatkowej i jedno do piłki ręcznej.



Nauczyciele ZSZ. Od lewej W. Janusz, A. Rosiak, Z. Wawer.

W tym miejscu pragnę dodać, iż będąc od początku w bardzo dobrych układach koleżeńskich z nauczycielami warsztatów szkolnych, miałem zapewnioną fachową pomoc w naprawie, konserwacji i konstrukcji sprzętu sportowego i turystycznego. Niezastąpioną pomoc oferowali też niektórzy nauczyciele przedmiotów szkolnych, którzy widzieli pozytywny sens moich poczynań oraz wiedzieli, że te działania w niedalekiej przyszłości będą pozytywnie

promować szkołę tak w środowisku, powiecie, województwie, i w Polsce. Korzystając z naturalnych warunków i posiadanego sprzętu mogłem zaobserwować pozytywne nastawienie tak nauczycieli jak i uczniów do wprowadzanych niekonwencjonalnych form ruchowych do lekcji wychowania fizycznego, przede wszystkim zaś do zajęć pozalekcyjnych.

W miarę upływu czasu coraz bardziej odczuwaliśmy brak sali gimnastycznej. Inwestycja ta przekraczała możliwości finansowe, tak władz miejscowych jak i kuratorium w Koszalinie i była odkładana ciągle na lata późniejsze.

Brak sali zastępowaliśmy innymi formami ruchu, na początku w pełni to się udawało. Zakupiliśmy około 40 sztuk sanek oraz 15 par łyżew figurowych i 15 par hokejowych. W okresach zimowych sprzęt ten stanowił bezcenną wartość. Po kilku latach zrodził się pomysł zakupu rowerów. Nie było łatwo go zrealizować i nie chodziło tu tylko o pieniądze. Wreszcie udało się otrzymać dostawę 35 rowerów marki „Ukraina”, - cóż to była za radość, no i co to były za rowery! Pamiętam, że natychmiast zaczęliśmy planować wyjazdy do najdalszych i najpiękniejszych zakątków Polski – ale o tym później.

Równocześnie z rozwojem bazy sportowej umacniała się rola Szkolnego Klubu Sportowego. W końcówce lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych zanotowaliśmy wiele znaczących sukcesów sportowych. W organizowanych cyklicznie dniach sportu szkolnego, nigdy nie było problemu z ilością uczestników. Wyniki uzyskiwane przez naszą młodzież liczyły się bardzo tak w powiecie jak i w województwie. Braliśmy też znaczący udział w wielu zawodach sportowych organizowanych w Szczecinku. Z zadowoleniem przyjmowano fakt, iż „nasza” młodzież żyje sportem i dąży do osiągania coraz lepszych wyników. Mimo braku sali gimnastycznej i odpowiednich warunków do treningu, zespół siatkówki chłopców przez wiele lat zajmował czołowe miejsca w wojewódzkiej lidze szkół ponadpodstawowych. Zapał do pracy był niesamowity, trenowaliśmy w większości na boiskach przy internacie i szkole nie zawsze w sprzyjających warunkach. Czasami udostępniano nam możliwości korzystania z sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej, były to jednak godziny wieczorne. Mimo niesprzyjającej pory zajęć, nigdy nikogo nie musiałem do nich namawiać.

Kilku najlepszych siatkarzy z zespołu szkolnego przez wiele lat brało udział w rozgrywkach ligowych o mistrzostwo województwa seniorów w zespole LECH Czaplinek. Nazwiska Kazia Solarka i Staszka Pobrotyna były doskonale znane w środowisku siatkarskim. Przez wiele lat byłem grającym trenerem i zawodnikiem tego zespołu. Nigdy nie wygraliśmy tej rywalizacji, brak własnej sali powodował, iż wszystkie mecze odbywały się na boiskach przeciwników.

W zespole grało też wielu nauczycieli; byli to: Olek Mikołajczuk, Andrzej Rosiak, Franek Fisahn i Kazik Skonieczny. Satysfakcja z możliwości reprezentowania naszego miasta była tak duża, że mimo wielu przeciwności i wyrzeczeń, nikt z tego nie zrezygnował. Wiem, iż po moim wyjeździe z Czaplinka, tradycje siatkarskie trwały jeszcze przez długie lata, przynosząc miastu i środowisku wiele satysfakcji i splendoru, były też jednym z bardziej skutecznych czynników promujących to miasto.

Rozwój rekreacji i turystyki kwalifikowanej

Pojezierze Drawskie, to jedno z nielicznych miejsc w Polsce, w którym natura nie uległa jeszcze zbyt daleko posuniętym procesom urbanizacji.

Mam na myśli przede wszystkim lata, w których tu pracowałem (1964-1976). Doskonale pamiętam okres, kiedy podczas biwaków parzyliśmy herbatę na wodzie z jeziora,

a zupa nie różniła się od domowej. Nikt nie narzekał i nikomu nic się nie stało, nie było żadnych rewolucji. Przepięknym jeziorom towarzyszyły cudowne lasy i bardzo urozmaicony teren. Pływając kajakiem po zachodniej stronie jeziora, miałem uczucie, że pływam w górskich kanionach. Zastanawiałem się, jakie wrażenie zrobi ta wspaniała przyroda na moich uczniach, których jeszcze nie znałem. Zdawałem sobie sprawę, iż proces wychowania do turystyki nie jest łatwy. Aby osiągnąć właściwe cele poznawcze, potrzeba długiego procesu, potrzeba silnej woli, czasu, dużo samozaparcia, a przede wszystkim chęci poznania świata wraz z jego ujemnymi jak i dodatnimi czynnikami.

Byłem pewien, iż początki nie będą łatwe, że muszę najpierw przekonać młodzież, opiekunów i rodziców. Część młodzieży mieszkała w internacie, gdzie obowiązywał konkretny regulamin, którego należało przestrzegać. Ci, którzy mieszkali z rodzicami pomagali w pracach gospodarskich, no i jeszcze dochodziła nauka własna. Wszystkie te czynniki, o których piszę były w zasadzie rzeczą normalną, o tym doskonale wiedziałem, ale czas na uprawianie turystyki przez młodzież musiał się znaleźć, to było w programach nauczania i nie mogłem tego pominąć. Oportunistów nie było zbyt wielu, dlatego też w stosunkowo krótkim czasie zaczęliśmy wprowadzać wśród młodzieży zorganizowane formy wypożyczenia po zajęciach lekcyjnych oraz w dni wolne od nauki. W opisywanym okresie były to 2-3 godzinne spotkania wprowadzające młodzież w tematykę i problematykę tych zajęć, później stopniowo przygotowywaliśmy potrzebny sprzęt oraz prowadziliśmy naukę obchodzenia się i pływania kajakiem.

Sprawą, która stwarzała też pewien problem był nabór chętnych do udziału w tych zajęciach. Musiałem go szybko rozwiązać. Zacząłem od tego, iż ustaliłem pewne zasady, które uczeń musiał przestrzegać, aby mógł brać udział w zajęciach pozalekcyjnych.

Oto zasady, którymi się kierowałem:

1. Nie może mieć problemów z obowiązkową nauką.
2. Musi być zdyscyplinowany i nie może stwarzać problemów wychowawczych.
3. Posiada zgodę rodziców lub opiekunów na udział w zajęciach dodatkowych.
4. Jest zdrowy, sprawny fizycznie i posiada umiejętność pływania.

Do szkoły w tamtych latach uczęszczało średnio 400 uczniów, nie było więc trudno znaleźć około 30 osobową grupę, która odpowiadała by ustalonym zasadom.

Tak więc oprócz doskonalenia pływania i obchodzenia się z kajakiem dużą wagę zwracałem na przestrzeganie podstawowych zasad bezpieczeństwa na wodach otwartych. Wiele czasu poświęciłem ogólnym zasadom ratowania tonących oraz na udzielanie pierwszej pomocy. To w przyszłości pozytywnie procentowało. W ciągu wielu lat uprawiania turystyki kajakowej nie było nigdy jakiegokolwiek zagrożenia.

Podczas organizowania dłuższych wycieczek po jeziorze zawsze starałem się mieć kogoś z młodszych nauczycieli do pomocy. To również wiązało się z bezpieczeństwem. Nie było przypadku, aby ktoś mi odmówił.

Stopniowo kupowaliśmy namioty, śpiwory, materace oraz inny sprzęt potrzebny do biwakowania i rekreacji. Wiosną 1965 r. zgłosiliśmy chęć przynależności do Polskiego



Spływ kajakowy.

Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Oddział PPTK w Czaplinku przychylił się do naszej prośby i od tej pory staliśmy się pełnoprawnym członkiem towarzystwa, licząc na merytoryczną i praktyczną pomoc w uprawianiu turystyki kwalifikowanej. Od początku dobrze układała się współpraca z kierownikiem biura panią Henryką Piasecką, która nigdy nie odmówiła fachowej pomocy.

W sposób szczególny cenilem sobie znajomość z prezesem oddziału panem Andrzejem Kownackim. Przez wiele lat organizowaliśmy wspólnie wspaniałe imprezy turystyczne na terenie miasta i w okolicy. W dalszym ciągu dużą popularnością cieszyły się wycieczki po j. Drawsko. Zakupiliśmy dodatkowo kilka kajaków, co pozwoliło zaspokoić większą ilość uczniów chętnych do takich wypraw. Posiadany sprzęt pozwalał też na organizowanie biwaków z noclegami w namiotach. Dużym powodzeniem cieszyła się wyspa Bielawa i jej uroki.

W naszej grupie mieliśmy kilka osób szczególnie zainteresowanych łowieniem ryb, tak że każdą wolną chwilę na biwakach przeznaczali na wędkowanie. Ryb zawsze starczało dla wszystkich, jedni łowili, drudzy czyścili, trzeci smażyli i później wszyscy jedli.

Stopniowo jednak, w miarę upływu czasu, zaczęliśmy poważnie myśleć o urozmaiceniu naszej działalności i tu padła propozycja kupna rowerów. Nie było łatwo w ówczesnych czasach zrealizować takie marzenie, a jednak się udało. Już w roku 1968 mieliśmy 35 rowerów marki „UKRAINA”. W planach były dalekie wyprawy, więc rowery należało do tego przystosować. Chodziło przede wszystkim o duże i mocne bagażniki do przewożenia sprzętu biwakowego i rzeczy osobistych. Bagażniki na specjalne zamówienie skonstruowano i wykonano w warsztatach szkolnych. Były może niezbyt ładne, ale na tyle solidne, że wytrzymały ciężar około 25 kg. To w zupełności wystarczało i nie było nigdy awarii bagażnika.



Kolarze z ZSZ.

Rowerzy wykorzystywałem też podczas lekcji, aby dokładnie opracować technikę jazdy; wiązało się to z bezpieczeństwem jazdy na drogach publicznych. Dopiero w następnym etapie wybieraliśmy dalsze okolice, odbywało się to podczas zajęć pozalekcyjnych

lub w dni wolne i tak na zmianę, w zależności od zainteresowań: raz kajak raz rowery. Jeszcze w tym roku szkolnym wzięliśmy udział w rajdzie rowerowym z okazji wyzwolenia Czaplinka; było to 3 marca 1969 r. Ten rajd na stałe zapisał się w naszym kalendarzu imprez. Inną imprezą, również wpisaną na stałe do kalendarza był Ogólnopolski Rajd Szlakiem Zdobywców Wału Pomorskiego. Byliśmy jedyną grupą rowerową, budziliśmy ogólne zainteresowanie wśród kilku tysięcy uczestników. W kolejnych latach coraz to więcej zespołów zaczęło nas naśladować. Było nam bardzo miło.

Podczas wakacji w roku 1969 reprezentowaliśmy województwo koszalińskie na Ogólnopolskim Zlocie Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych w Toruniu. Była to jedna z największych i atrakcyjniejszych imprez, w których braliśmy udział. Mnie osobiście tak wielkie imprezy nie bardzo odpowiadały, za dużo w nich było chaosu, szumu i nieprzewidzianych sytuacji. Wolałem imprezy bardziej kameralne, dające poczucie większego bezpieczeństwa i wypoczynku.

Dla mnie najważniejszym zadaniem było zapewnić młodzieży psychiczny wypoczynek podczas wakacji, poznanie kraju i jego kultury, korzystać z różnorodnych form rekreacji oraz wpajać zasady turystyki kwalifikowanej. Jestem przekonany, że mi się to udało. Na rajdy i obozy jeździli ci uczniowie, którzy w ciągu roku wykazywali najczęściej inicjatywy w organizowaniu mniejszych form wypoczynku, byli zdyscyplinowani, swoją postawą prezentowali pozytywny stosunek do tego co robili.

Wszystkie obozy wakacyjne trwały około 2 tygodnie każdy. Normą był jeden obóz w roku. Jedynym odstępstwem od tej zasady był rok 1971. Było bardzo dużo chętnych do udziału w zorganizowanym wypoczynku. Dlatego też jedynym rozsądnym rozwiązaniem w tej sytuacji były dwa obozy: rajd rowerowy i spływ kajakowy.

W latach 1968-1975 zorganizowaliśmy podczas wakacji następujące formy wypoczynku:

- obóz pieszy Bieszczady,
- obóz rowerowy Pieniny i Tatry,
- obóz rowerowy po Ziemi Rzeszowskiej i Bieszczadach,
- obóz rowerowy wybrzeżem Bałtyku i dalej po Kotlinie Jeleniogórskiej i Karkonoszach oraz Kotlinie Kłodzkiej,
- cztery spływy kajakowe Drawą do Krzyża.

Obozy były częściowo finansowane przez Kuratorium Oświaty w Koszalinie ze środków na wypoczynek dzieci i młodzieży, część funduszy otrzymywaliśmy od szkoły oraz z wpłat własnych uczestników. Wpłaty własne – to były pieniądze zarobione przez członków SKTK podczas jesiennych wykopków ziemniaków w okolicznych PGR-ach. Oprócz opisanych wyżej form pracy z młodzieżą, byłem współorganizatorem wielu wycieczek autokarowych dla nauczycieli i uczniów. Wycieczki organizowaliśmy do najbardziej atrakcyjnych regionów Polski, jak: Mazury i Trójmiasto, Warszawa, Kraków i Zakopane oraz Kotlina Jeleniogórska i Karkonosze.

Pamiętam też okres krótkotrwałej „odwilży” na zachodniej granicy, w którym to udało się zorganizować dwie zbiorowe wycieczki do Berlina. Dużą pomoc w planowaniu i prowadzeniu powyższych imprez miałem od wspaniałej organizatorki Krysi Wójtowicz i zawsze chętnego do każdej pracy Zdzicha Wawra.

Często zadawano mi pytanie, czy nie boję się wypadków, które mogą zdarzyć się podczas każdej imprezy. Oczywiście, że się bałem. Wypadki były wkalkulowane w mój zawód, którego się wyuczyłem i który wykonywałem. Robiłem więc wszystko aby do

nich nie dopuścić. W ciągu wielu lat działalności w turystyce i sporcie miałem tylko dwa groźnie wyglądające wydarzenia, jednak po udzieleniu pierwszej pomocy medycznej uczniowie brali udział w imprezie do końca jej trwania. Pierwszy wypadek miał miejsce w Sobieszowie k/Jeleniej Góry na basenie kąpielowym. Był to skok na głowę. Ewa B. – doskonała pływaczka wiedziała, iż tak skakać w ogóle nie wolno, ale skoczyła. Na szczęście utraciła tylko kilka włosów i założono jej 3 szwy na górnej części czoła. Nic nie straciła na urodzie i na drugi dzień była już na trasie do Szklarskiej Poręby.

Drugi wypadek miał miejsce przy zjeździe rowerami nad zaporę wodną w Solinie. Było tam kilka niebezpiecznych serpentyn. Wszyscy wiedzieli, że rowery są mocno obciążone sprzętem i trzeba dobrze trzymać kierownicę, aby nie stracić równowagi. Piotrek Cz. też o tym dobrze wiedział, gdyż był jednym z lepszych kolarzy. Ale chciał być też ekwilibrystą rowerowym. Nie udało się, jego plecy zapoznały się z ostrym żwirkiem, którym posypany był asfalt. Trzeba było użyć sprzętu chirurgicznego, aby wydlubać żwir tkwiący w skórze na plecach. Po założeniu opatrunku i zastrzyku przeciwwężcowym Piotrek odpoczął nad Soliną jeden dzień i pojechał dalej, już z rękoma na kierownicy.



Rajd rowerowy.

Te dwie negatywne sytuacje, które opisałem, nie miały istotnego wpływu na dalsze poczynania, zwiększyły tylko uwagę na bezpieczeństwo, pozytywów było zdecydowanie więcej i to one decydowały o działalności, którą prowadziliśmy. Kończąc ten rozdział, nie mogę nie wspomnieć o moim serdecznym koleździe, który rozpoczął pracę w ZSZ w Czaplinku cztery lata po mnie jako nauczyciel przedmiotów zawodowych i wychowawca internatu. Nazywał się Andrzej Rosiak.

Mogę śmiało powiedzieć, że duży procent moich sukcesów w rozwoju sportu i turystyki w Czaplinku należy przypisać Andrzejowi. Mimo młodego wieku, bez stażu pracy z młodzieżą, doskonale dawał sobie radę w realizacji zadań, które mu powierzałem podczas wszystkich rajdów i obozów. Pragnę tu nadmienić, iż nie odbyła się żadna tego typu impreza, gdyby nie było dwóch opiekunów. Ja byłem z obowiązku, gdyż wykonywałem

swoją pracę, Andrzej był na ochotnika, gdyż tak chciał. Był przy tym rozumiany i bardzo lubiany przez młodzież. Szkoda, że tak szybko zmienił zawód. Wiele mu zawdzięczam. Byli jeszcze i inni, którzy mi pomagali jak: Tomek Romaniuk, Zdzisław Wawer czy Broniek Pałucki, jednak sprawy osobiste i rodzinne nie pozwoliły im na takie zaangażowanie, jakim cechował się Andrzej.

Mój stosunek do popularyzacji turystyki wśród młodzieży był na tyle znany, że w 1971 r. zostałem wybrany wiceprezesem Oddziału PTTK ds. młodzieży. Ten wybór pozwolił mi na podjęcie szerokiej współpracy w omawianej dziedzinie z miejscowym Liceum Ogólnokształcącym. W późniejszym okresie braliśmy udział w wielu imprezach turystycznych wspólnie, a wymiana doświadczeń pozwoliła na jeszcze efektywniejszą działalność.



Krystyna Janusz z córkami.

„RUMCAJSÓWKA”

Co to takiego było? I skąd ta dziwna nazwa? Było to niewielkie pomieszczenie w piwnicy szkoły, spełniające rolę magazynu rzeczy zbędnych. W ciągu wielu lat zostało zapełnione po brzegi różnymi niepotrzebnymi przedmiotami, które wg pewnej grupy ludzi tzw. „zbieraczy”, mogły się jeszcze do czegoś przydać. Przez lata jednak nie przydawały się do niczego, pomieszczenie zarosło pajęczyną i brudem i tak trwało.

W czyjej dokładnie głowie powstał pomysł zagospodarowania tego pomieszczenia inaczej, tego nie wiem. Miał tu powstać klub, który by służył szkolnym organizacjom młodzieżowym. Głównymi wykonawcami prac remontowych zostali członkowie Szkolnego Koła Turystyczno-Krajoznawczego, mnie wyznaczono kierownikiem robót. W tym też okresie zacząłem domyślać się, iż całe to przedsięwzięcie zrodziło się w którejś turystycznej głowie. W styczniu 1971 r. otrzymaliśmy oficjalną zgodę od dyrektora szkoły na rozpoczęcie prac. Młodzież bardzo pragnęła mieć swój własny miły i przytulny kąt, w którym w ciszy i spokoju mogłaby realizować w przyszłości swoje turystyczno-rekreacyjne plany. Dlatego też wszystkie, początkowo najbardziej „brudne roboty”, wykonywali z pełnym zapałem i uśmiechem na ustach. Były sytuacje podczas pierwszego sprzątnięcia i później podczas skuwania przedwojennych tynków, iż wielu moich uczniów i wychowawców nie mogłem rozpoznać.

Po skuciu tynku odsłoniły się wspaniałe czerwone cegły. W dalszej kolejności należało dokonać regeneracji uszkodzonych fug. Prace te trwały kilka tygodni, gdyż wymagały dużej cierpliwości i precyzji. Wreszcie sufit, ściany i podłoga były gotowe. Należało zatem wymyślić urządzenia i wyposażenie wnętrza. Pomysły rodziły się na bieżąco i często je zmieniano.

Powstał autentyczny kominek, zaprojektowany i ozdobiony elementami metalowymi przez Ludwika Taranowskiego, nauczyciela zawodu w warsztatach szkolnych. Kominek został podłączony do wyciągu wentylacyjnego i komina. No i wreszcie meble. Głównym projektantem i wykonawcą został Olek Mikołajczuk, nauczyciel przedmiotów zawodowych w zawodzie stolarz. Olek długo zastanawiał się nad tym projektem, nikt go nie popydzał, miało to być coś niezwykłego i oryginalnego. Wreszcie po kilku tygodniach

spotkał mnie i w tajemnicy powiedział: „wiesz Waldek, to będzie brzoza, ale nie pytaj mnie o nic więcej, bo jeszcze nie wiem”.



Rumcajsówka.

wspaniała „złota rączka” dokończył dzieła. Jego uczeń z klasy stolarskiej Józek Kaliniak na wykonanych meblach wyrysował wspaniałe pejzaże z terenów górskich, potem je wypalił i na koniec zamalował lakierem bezbarwnym, który miał chronić przed ścieraniem i zabrudzeniem. Końcowy efekt był znakomity. Było uroczyste otwarcie, zaproszeni goście, w kominku strzelały iskry palących się polan – atmosfera jak w bajce. Podziękowaniom i zachwytom nie było końca i ja tam byłem - miodu i wina nie piłem. Była kawa i herbata. Zbliżały się wakacje roku pańskiego 1971.

W 1976 r. po moim odejściu ze szkoły meble z „Rumcajsówki” trafiły na ważną wystawę do Kuratorium Oświaty w Koszalinie. Szkoły zawodowe prezentowały swoje osiągnięcia i dorobek. Jaki był los tego naszego dorobku? Nie wiem. Wiem tylko tyle, że mebelki bardzo podobały się ówczesnym prominentom.

Nazwę „Rumcajsówka” wymyśliła młodzież. Nigdy na ten temat z nimi nie dyskutowałem. Sama nazwa pochodziła od imienia pocziwego zbója Rumcajsa, który rozrabiał w lasach czechosłowackich i aktualnie występował w telewizyjnych dobranockach. Pamiętam, że był wielki i miał czarną brodę. Ja w tym czasie też miałem czarną i dość długą brodę i chyba trochę przypominałem tego Rumcajsa.

ZAKOŃCZENIE

Rok 1976 okazał się przełomowy w moim życiu i pracy zawodowej. Ukończyłem studia magisterskie w Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu – Filia w Gorzowie Wlkp. Jeszcze przed obroną pracy otrzymałem propozycję zatrudnienia w Katedrze Teorii i Metodyki Wychowania Fizycznego na stanowisku starszego asystenta. Propozycja była ciekawa, tym bardziej, że obiecano mi natychmiast mieszkanie w tzw. „nowym budownictwie”. Zdawałem sobie sprawę, iż jest to dla mnie duży awans społeczny jak i zawodowy, i jeśli odmówię drugi raz mi już nie zaproponują. Sprawę komplikowała trochę sytuacja, iż nie było w tym czasie odpowiedniej pracy dla żony, ale obiecano ją za rok.

Ustaliliśmy wspólnie z żoną, iż w ciągu tego roku w Gorzowie będę sam. W lipcu 1976 r. podpisałem umowę o pracę z uczelnią i od 1 października znalazłem się w nowej pracy, na nowym stanowisku.

Trochę żal było wyjeżdżać z Czaplinka, nawet łza się w oku kręciła, tylu dobrych znajomych, tak wielu przyjaciół, tyle rozpoczętej, a niedokończonej pracy. Zdecydowało jednak realne myślenie o przyszłości, oraz chęć sprawdzenia się w nowej sytuacji. Wielką radość sprawili mi dwaj moi uczniowie z Liceum Ogólnokształcącego w Czaplinku

– Leszek Cylkowski i Władek Kibitlewski, gdyż w tym samym dniu co ja pracę, oni rozpoczęli studia na AWF-ie. Miałem więc „trochę swojego Czaplinka” w Gorzowie. Podjętego kroku nie żałujemy, wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami. Pasję sportowo-turystyczną realizowałem nadal. Nowe środowisko szybko mnie zaakceptowało. Żona została zatrudniona w bardzo dobrej szkole i też mogła w pełni realizować swoje biologiczno-chemiczne talenty.

Podczas pracy dydaktycznej na uczelni realizowałem dwa przedmioty:

- gry i zabawy ruchowe na pierwszym roku studiów,
- metodyka nauczania wychowania fizycznego na trzecim roku studiów.

Umiejętne łączenie teorii z posiadaną wieloletnią praktyką pozwoliło mi osiągnąć znaczące sukcesy w nauczanych przedmiotach. Byłem też autorem, współautorem wielu poradników metodycznych dotyczących pracy nauczyciela wychowania fizycznego w trudnych warunkach, jak również sposobów realizacji zadań z kultury fizycznej podczas zajęć pozalekcyjnych.

Poza realizacją obowiązkowych zajęć z dydaktyki, brałem udział w zimowych i letnich obozach studenckich, na których uczyłem narciarstwa zjazdowego i biegowego, oraz prowadziłem zajęcia z turystyki kajakowej, i gier i zabaw terenowych. Byłem też organizatorem kilku wycieczek krajoznawczych dla pracowników dydaktycznych i administracyjnych uczelni.

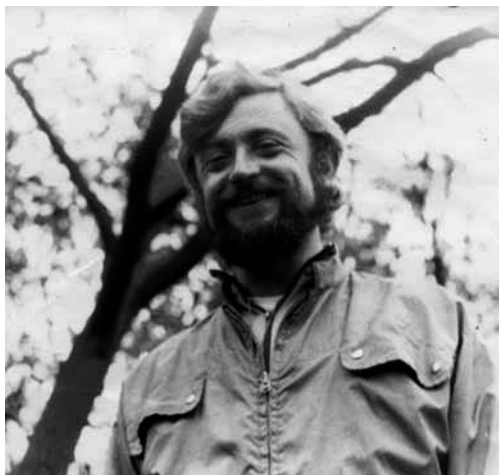
Od 1985 r. pracowałem na AWF-ie na pół etatu. Powodem tej zmiany było zatrudnienie mnie w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Gorzowie na stanowisku doradcy metodycznego ds. nauczycieli wychowania fizycznego. W roku 1990 powierzono mi funkcję kierownika zespołu doradców. Zwiększona ilość obowiązków nie pozwoliła mi na dalszą pracę w uczelni. Od tego więc roku pracowałem tylko w WOM-ie, obowiązkowe zaś pensum dydaktyczne realizowałem w Zespole Szkół Ekonomicznych w Gorzowie Wlkp. (2 godz. tygodniowo).

Praca na nowym stanowisku to kolejne wyzwanie, które stawiało przede mną nowe zadania. Nie obawiałem się ich, moje doświadczenie nabyte podczas kilkudziesięciu lat pracy w szkołach o różnych profilach, pozwalało na obiektywne spojrzenie na problemy nauczycieli.

Sytuacja w regionie też mi sprzyjała, gdyż w szkołach pracowali w większości absolwenci gorzowskiej AWF, do niedawna jeszcze moi uczniowie. Często organizowane przeze mnie różne formy doskonalenia traktowałem jak ciąg dalszy ćwiczeń i wykładów z uczelni. Oni to w pełni akceptowali, znając moje bogate doświadczenie.

Pracę zawodową definitywnie zakończyłem w 2004 r. W dalszym ciągu prowadzę dość intensywny tryb życia, który od poprzedniego różni się tym, że już nikogo nie nauczam, ani nie doradzam. Od dwudziestu lat jeżdżę z żoną po najpiękniejszych krajach Europy. Początkowo, szczególnie w latach dziewięćdziesiątych były to wycieczki autokarowe, obecnie zaś przez ostatnie 10 lat preferujemy samodzielną turystykę własnymi środkami lokomocji, zabierając ze sobą tylko nielicznych dobrych znajomych i przyjaciół. Zaczęliśmy szanować ciszę i spokój, a poza tym, to autokar nie wszędzie dojedzie.

W wielu krajach, które nas szczególnie urzekły byliśmy z żoną po kilka razy, dotyczy to przede wszystkim krajów skandynawskich – 5 razy, w Szwajcarii i we Włoszech po trzy razy. Żonę interesują zabytki kultury, ja natomiast kocham przyrodę: wysokie góry, lodowce, fiordy i jeziora. Każdy więc ma to, co pragnie. Do chwili obecnej zdrowie nam dopisuje, więc w dalszym ciągu możemy realizować swoje marzenia, towarzyszące nam od wczesnej młodości, prowadząc równocześnie zdrowy i aktywny tryb życia. (fot. 11)



Rumcajs.

Wychowaliśmy dwie córki: Barbarę rocznik 1964 i Jolanę rocznik 1970, obie ukończyły wyższe studia, pracują w swoich zawodach, nie wiedzą co to znaczy być bezrobotnym. Mamy też trzech wnuków: 21-letni Bartek – student, 15-letni Jacek – gimnazjalista oraz 1,5-roczny Kuba – maluch. Cieszy nas bardzo ich zdrowie i prawidłowy rozwój oraz to, że są blisko nas.

40 lat pracy zawodowej to długi okres w życiu człowieka. To, że byłem dobrze przygotowany do wykonywania zawodu potwierdzają opisane wyżej osiągnięcia. Pomocą zaś w ich realizacji była zawsze wielka chęć ustawicznego doskonalenia własnych

umiejętności i wiadomości w dziedzinach nierozzerwalnie związanych z szeroko pojętą kulturą fizyczną.

W początkowym okresie pracy zawodowej uzyskałem następujące uprawnienia:

- w roku 1964 – stopień ratownika wodnego, w tym samym roku ukończyłem kurs organizatorów turystyki powszechnej i kwalifikowanej,
- w roku 1965 – zdobyłem uprawnienia sędziego piłki siatkowej,
- w roku 1967 zostałem trenerem piłki siatkowej oraz instruktorem pływania,
- w roku 1973 uzyskałem uprawnienia sternika motorowodnego po wodach śródlądowych oraz patent polskiego żeglarza sportowego.

Z bardziej znaczących wyróżnień za pracę wymienię tylko kilka:

- rok 1969 – Srebrna Odznaka PTTK,
- rok 1973 – Złota Honorowa Odznaka LZS za wybitne zasługi w rozwoju kultury fizycznej i turystyki,
- rok 1974 – pieniężna nagroda Ministra Oświaty,
- rok 1977 – Złota Honorowa Odznaka PTTK,
- rok 1990 – zostałem odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Waldemar Janusz

3. TEN PRZEMARSZ PRZEZ CZAPLINEK

(Wspomnienia Andrzeja Doliny, ojca Hanny Krzywickiej z Oflagu IID Gross Born)

Po dostaniu się do niewoli przebywałem najpierw w oflagu IIA Prenzlau od 20.09.39 r. do lutego 1941 r., a potem od marca 1941 r. do końca 1943 r. w oflagu IIA k/Neubrandenburga. W końcu przewieziono nas w styczniu 1944 r. do oflagu IID Gross Born.

W kartce wysłanej do żony dnia 20.12.43 r. było zdanie: - Już 5-te Boże Narodzenie w rozłące i tęsknocie.

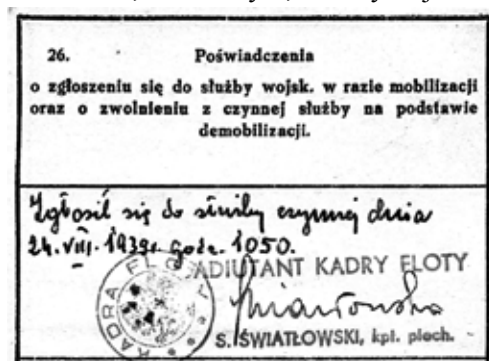
W następnej z dnia 10.01.1944 r. : - U nas wyjazd do nowego obozu.

Odbył się on po 10 stycznia w zamkniętych wagonach towarowych. Przyjechaliśmy do Gross Born, gdzie były drewniane baraki, a w nich trzypiętrowe drewniane prycze i przenośne żelazne piecyki. Urządzenie się w obozie trwało kilka dni. Był to obóz duży, składający się z kilkudziesięciu baraków. D-cą był płk Witold Morawski (W. Dzierżykraj-Morawski) dbający o to, by Niemcy wypełniali międzynarodowe przepisy dotyczące jeńców, i kierujący podziemną organizacją wojskową w obozie i okolicy.

Codziennie odbywały się w kompaniach apele na placu. Niemcy w ten sposób sprawdzali obecność wszystkich jeńców w obozie. Reszta czasu była wolna. Wypełniały go zajęcia organizowane we własnym zakresie, polegające na uczeniu się indywidualnie lub w zorganizowanych grupach. Np. nauczyciele mieli swoje studium nauczycielskie z wykładami, egzaminami i zaświadczeniami po zdanych egzaminach. Uczono się języków obcych, buchalterii, matematyki, motoryzacji i nauk społecznych.



Andrzej Dolina.



Fragment książeczki wojskowej z wpisem z 1939 r.

Artyści obozowi malowali obrazy, rysowali portrety, urządzali wystawy swoich prac. Literaci obozowi odczytywali swoje utwory, prowadzili gazetkę ścienną. Był też zorganizowany teatr obozowy, gdzie artyści, przeważnie amatorzy, przygotowywali sztuki i odgrywali ją na scenie w osobnym baraku. Z funduszy uzyskanych za bilety pokrywali koszty utrzymania teatru. W Gross Born, na przestrzeni lata i jesieni odegrano 2 sztuki: „Lato w Nohant” Iwazskiewicza i „Obronę Ksantypy” Morstina. Zespół tego teatru, jesz-

cze w Neubrandenburgu, odgrywał komedię Fredry „Damy i Huzary” - tak wspaniale przygotowaną, że Niemcy robili zdjęcia i sprzedawali jeńcom po 3 marki za sztukę.

Były też ugrupowania o zabarwieniu politycznym: lewicowe i prawicowe. Członkowie tych zespołów zwoływali zebrania z dyskusjami. Ja uczyłem się na zebraniach lewicowców.

Biblioteka zorganizowana przez Czerwony Krzyż wypożyczała jeńcom książki i podręczniki. W jednym z murowanych baraków był kaplica, gdzie koncentrowało się życie

religijne. Materiałem do wystroju kaplicy i teatralnych dekoracji były kartony po amerykańskich paczkach. Książ Dombek obowiązki swe spełniał gorliwie.

Na wolnych przestrzeniach między barakami amatorzy ogrodnictwa uprawiali warzywa i kwiaty. Był też obozowy sklepik o charakterze komisowym.

Niektórzy jeńcy - wrażliwi na zjawiska przyrody - wiązali swoje wewnętrzne rozterki z ptakami, zjawiającymi się na terenie obozu. Na pierwszym miejscu były wróble ćwierkające na obozowych drutach, nieświadome szalejącej, strasznej wojny wśród ludzkości. Miało się za ich świergotanie wdzięczność.



Andrzej Dolina w niewoli.

w swoim ptasim świecie, obok zgębionych straszną wojną ludzi.

Za drutami, przy kuchni, była piękna brzezina z białą pni i ciemnoczerwonymi gałązkami. Duża topola przy sąsiednim gospodarstwie, którą rysował kolega szkolny Władysław Żubicki, również jeńiec. Jeńcem tego obozu był profesor gimnazjalny z Jarosławia - gimnastyk Kazimierz Skarbkowski. Każdy mieszkaniec obozu przeżywał swój los jeńca, wśród zajęć, jakie sobie zorganizował, korzystając z różnorodnych zespołów. Niemców widział jako straszną, zbrodniczą siłę, działającą precyzyjnie w zabijaniu, której przeciwstawić się może tylko jeszcze większa siła.

Obozowe odżywianie z kuchni nie wystarczało do zachowania sił fizycznych. Szczególnie paskudna była suszona brukiew. Podstawą odżywiania były paczki krajowe i zagraniczne, zwłaszcza amerykańskie z pierwszorzędnymi artykułami żywnościowymi. One nas utrzymywały we względnej formie.

Wiadomości, co się dzieje w świecie, pochodziły z tajnego radia. Codziennie w jednym z baraków odczytywano w porze popołudniowej dane o sytuacji na frontach. Sami Niemcy twierdzili, że jeńcy kilka dni wcześniej wiedzą co się dzieje na świecie. Toteż często w niektórych barakach przeprowadzali rewizje. Radia jednak nie znaleźli.

W czasie zamachu na Hitlera w lipcu, zrobił się ruch w obozie. W tej jego części, gdzie była komenda obozu, odbył się nagle apel dla kilku kompanii, przed którymi przeprowadzano niemieckiego podoficera. Miał on kogoś wskazać. Nie wskazał nikogo. Wkrótce płk Morawskiego z kilku oficerami aresztowano i wywieziono w niewiadomym kierunku...

...Kiedy w czerwcu powstał drugi front na zachodzie, w obozie wzrosły nadzieje, że wojna skończy się prędzej. Jednak znów płynęły miesiące, a końca wojny nie było widać.

W październiku przybyli do obozu oficerowie z Powstania Warszawskiego. W karcie do żony z dnia 22.10.44 r. napisałem: - Przybyli do nas oficerowie z Powstania.

Przynieśli nam wiadomości o przebiegu, o klęsce, o „pomocy” udzielonej przez sojuszników, i gorycz przytłumiła nam oczekiwania końca wojny.

Mjr Sucharski opowiadał o obronie Westerplatte, o lęku przed śmiercią, a klęskę warszawską przeżywał bardzo, mimo że stan jego zdrowia był zły.

Toteż na Boże Narodzenie - szóste już za drutami, w wigilię nie czyniono żadnych przygotowań, jak to czyniono w poprzednich latach. Leżeliśmy na piętrowych pryczach w smętnym nastroju. Było to psychiczne oczekiwanie końca wojny. Do żony pod Radom na kartce napisałem w dniu 26.12.44 r.: - Święta spokojne i ciche. W Nowym Roku życzę Ci Marychno z całego serca lepszych dni i końca rozłąki.

W styczniu 1945 r. szosą koło obozu przesuwali się kolumny wozów, z uciekającą ludnością cywilną. Dawało to nam pewną smutną satysfakcję, że i na nich przyszedł ciężki czas. Chociaż to byli Niemcy, jednak wyobrażaliśmy sobie, na co narażają się starcy, dzieci i kobiety w styczniowe mrozy.

W drugiej połowie stycznia zapowiedziano wymarsz na zachód. Pozwolono szyc plecaki z sienników i szykować sanki. Część chorych oficerów została na miejscu pod opieką i dowództwem płk Mossora. Więcej niż połowa jednak wyruszyła z obozu rano 28 stycznia pod dowództwem płk. Izdebskiego. W pierwszych godzinach ciągnęli sanki, ale z upływem czasu nastąpiła odwilż i sanki porzucono. Niesiono plecaki i mniejsze walizki.

Wędrowaliśmy na trasie: Czaplinek, Złocieniec, Drawsko Pomorskie, Stargard, Szczecin, Neubrandenburg, Waren, Hagenow, stąd pociągiem przez Hamburg do Bremervörde, i obozu w Sandbostel za Łabę.

Wędrówka ta trwała od 28 stycznia do 24 marca - prawie dwa miesiące. Dziennie robiliśmy po kilkanaście kilometrów. Żartowaliśmy, że idziemy zdobyć Pomorze, i że Niemcy nie wyprowadzając nas na tygodniowe spacerki, w ciągu pięciu lat, w szóstym robią to ryczałtem w jednym marszu. Było to zarazem pokpiwanie z siebie, że już szósty rok jest się oderwanym od życia, i kładło się ciężarem na psychikę każdego z nas.

Noclegi odbywały się po wsiach, w stodołach lub oborach na sianie, lub słomie. Żywiono nas głównie ziemniakami i koniną z zabitych koni, gotując to w parnikach po gospodarstwach. Przed zaburzeniami żołądka broniła nas czekolada z UNR-owskich paczek, jeśli ktoś miał zaoszczędzone tabliczki. W czasie dziennych postojów rozpalano

małe ogniska i gotowano w menażkach ziemniaki, buraki, a nawet częściowo starte na miazgę ziarno. Po stodołach wytrępywano z kłosów żytnie ziarno, zsypywano do woreczków i na postojach ścierano je kamieniami na miazgę, jak za praocjów z epoki kamiennej. Niesiono to ze sobą, jak żelazne porcje, na wszelki wypadek, co się później bardzo przydało.

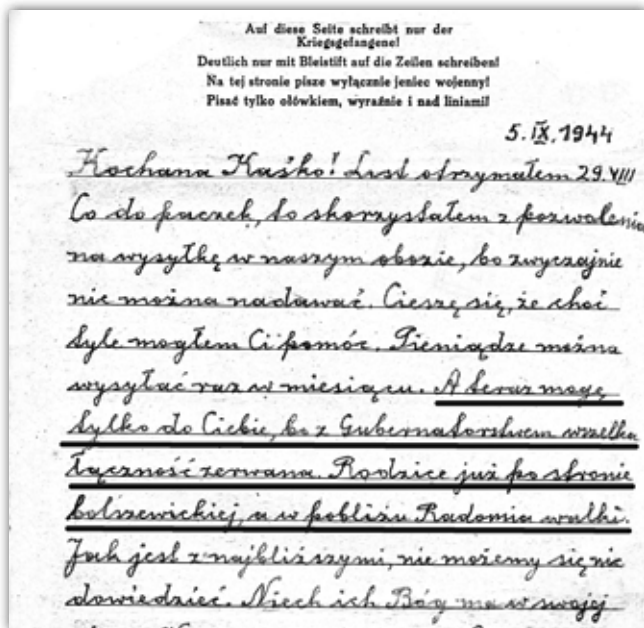
Po wsiach spotykaliśmy wywiezionych na roboty Polaków. Były to spotkania serdeczne. Dzielili się tym, czym sami dysponowali. Sił i nam, i im dodawała świadomość, że Niemiec przegrał wojnę. Nawet wachmani rozmawiający na osobności, w pojedynkę, a byli to ludzie starsi, z I wojny światowej, machali lekceważąco rękami, mówiąc „alles kaput”.



Andrzej Dolina w Oflagu IID Gross Born.



Przekaz pieniężny z Oflagu IID Gross Born.



Fragment listu z Gross Born z 05.09.1944 r.

ba niestety nie mieliśmy sami. Pamiętam w Neubrandenburgu, obok oflagu pracowali jeńcy radzieccy wiosną 1942 r., nasz żołnierz pochodzący z Radomia, nazwiskiem Friderich, rzucił papierosy jeńcowi, i za ten odruch ludzkiego współczucia został zastrzelony, kulą w plecy.

Przez te dwa dni naloty nie ustawały, budząc lęk, że samoloty zaatakują wagony. Pociąg nasz był jednak omijany i dziwił się, że lotnicy nie widzą go, chociaż przelatywali nisko nad nami. Po dwóch dniach ruszyliśmy za Łabę do stacji Bremervörde, skąd powędrowaliśmy do obozu w Sandbostel z drewnianymi barakami, położonego wśród wrzosowisk. Był to 24 marca 1945 r. Piętrowe łóżka były bez sienników, a jako posłanie służył wrzos z okolicznych wrzosowisk. W nocy panowanie obejmowały pluskwy i mimo zimna - pchły. Porcje żywności - głodowe, ważny był każdy kawałek ziemniaka. Młodzi powstańcy z Warszawy byli siłą pociągową do wywożenia nieczystości obozowych. Zakładali odpowiednie pasy na ramiona i plecy, i ciągnęli beczkowszy. Jeszcze jeden fakt świadczący o niemieckiej kulturze.

Z Sandbostel niewielka część więźniów wyruszyła 10 kwietnia do Lubeki. Szliśmy pieszo. Pogoda była piękna, ciepło. Pod Stade przewieziono nas przez Łabę statkiem. W Lubece zajęliśmy miejsce w betonowych garażach. Na betonowej posadzce była rozesłana wełna drzewna, a w wełnie wszelkie wszy. Sytuacja żywnościowa poprawiła się, bo w Lubece były amerykańskie paczki żywnościowe. Nabieraliśmy pewności, że wojna się kończy.

Dnia 2 maja na autostradzie pojawiły się czołgi angielskie. Pogoda była wspaniała. Obozowa komenda niemiecka, na czele z generałem, poszła do niewoli. Nasi żołnierze zabrali wachmanom broń i konwojowali Niemców. Anglicy od razu zaczęli bratać się z Niemcami. Oficerów niemieckich, którzy nas pilnowali, widzieliśmy paradujących w Lubece w pełnej gali i na wolności. Polacy stali się elementem kłopotliwym.

Rozmieszczono nas po kwaterach u rolników. Mieszkałem z trzema kolegami we wsi Alweslee w okolicach Lubeki. W punkcie rozdzielczym pobieraliśmy żywność, a gotowały nam gospodynie - Niemki. Jak gotowały i co, zależało od nich. Samopoczucie stawało się

Spotkaliśmy się z charakterystyczną postawą chłopca w wieku szkolnym. Gdy zwróciliśmy się do niego w czasie mrozu, maszerując przez wieś, aby przyniósł wody w menażce, pokazał nam na rów z zamrożoną wodą, że jest ona tam. Miało się uczucie, że spotkaliśmy gada, wychowanego, zgodnie z zasadami rasowej nienawiści.

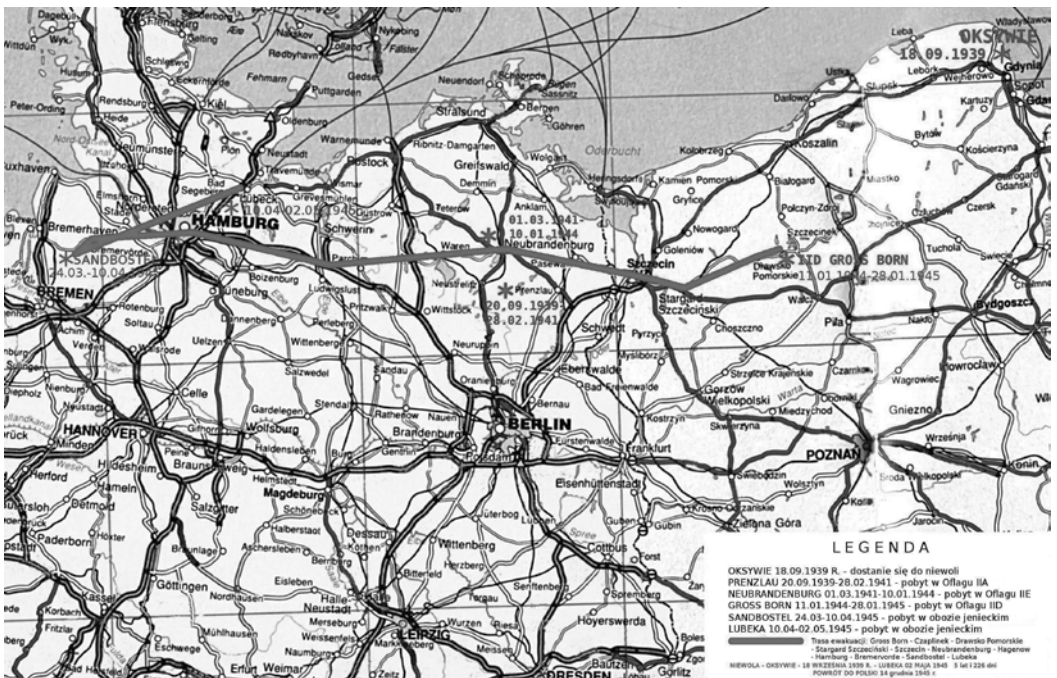
W Hamburgu trafiliśmy na wielki nalot i czekaliśmy w zamkniętych wagonach dwa dni, aż więźniowie z obozu koncentracyjnego, zreperują tory. Wyrzucane kawałki brukwi chwyтали łapczywie, a wachmani udawali, że tego nie widzą. Chle-

coraz gorsze. Czekaliśmy na powrót do kraju, do domu i dzieci. Statkiem angielskim z Lubeki przy płynęliśmy do Gdyni 14 grudnia 1945 r. ...

...Po kilkunastu latach znalazłem się znowu w Czaplinku, na szlaku naszego exodusu. Miasteczko tętniło życiem. Przypomniał mi się rok zakończenia wojny, a jeszcze marsz, nocleg w kościele na gołej posadzce, bo słomy było skąpo. Głódny żołądek, chłód i cudowny zimowy ranek, kiedy ustawiano nas na rynku do wymarszu. Miasteczko wymarłe, ulice były jednak odsnieżone, a ludności cywilnej nie było widać, snuły się tylko patrole volkstormu. Rozgrzewaliśmy się, jak kto umiał. Wychodziliśmy szosą na Złocieniec, a równoległe do drogi ciągnęło się długie jezioro z charakterystyczną kępą drzew w oddali. Przy brzegach leżał zepchnięty falami lód.



Kartka z Oflagu IID Gross Born z 22.10.1944 r.



Trasa marszu więźniów z Oflagu IID Gross Born.

Przypomniał mi się ten milczący marsz. Ten i ów przeżuwał ziarna żyta zdobyte na noclegu. Wlekleśmy na swoich barkach szósty rok niewoli, wyświechtane mundury, plecaki ze skromnym dobytkiem. Nogi w dziurawych butach ślizgały się na zaśnieżonej i wyślizganej jezdni. Rozgrzewaliśmy zgrabiałe ręce i pocieraliśmy twarze z kilkudniowym

zarostem. Wojna zbliżała się do finiszu, a my oddalaliśmy się od ziemi ojczystej, od rodzin i szliśmy w nieznaną, pod bomby aliantów. Wachmani trzymające „na pas broń” ćmili papierosy Juno i pocierali zaczerwienione nosy.

Ten przemarsz przez Czaplinek był jak Rubikon, który odgradził nas od dawnych ziem Wielkopolski - starostwa drahimskiego.

Z jaką przyjemnością włóczyłem się po Czaplinku, podziwiając malownicze uliczki, odświeżone elewacje domów, piękne jezioro, amfiteatr i zachwycąłem się roześmianą młodzieżą. Jakże zazdrościłem im tej beztroski i porównywałem z naszym samopoczuciem z owego okresu, kiedy przemijała nasza młodość. Oni byli wolni. Oby nigdy nie zaznali granic z drutu kolczastego i z faszystą na wieży strażniczej.

Wówczas nikła był nadzieja, że wrócę, i że będę miał możliwość odwiedzić miejscowość na szlaku jenieckiej wędrówki.

*Andrzej Dolina ppor. rez. III Bat. Morskiego - Kadra Floty,
wzięty do niewoli pod Gdynią, na Kępie Oksywskiej
dnia 18 września 1939 r.*

4. CHYBA ZNAJDZIE SIĘ JESZCZE JAKIŚ „KADŁUBEK” LUB „DŁUGOSZ”

Jeśli spojrzeć wstecz na minione 33 lata, to dzieliły się one na kilka okresów o różnym zabarwieniu i dynamice.

OKRES I – „PANTA REI”

Był to okres wielkich migracji ludności, a przede wszystkim szabrowników przemierzających Ziemię Odzyskaną we wszystkich kierunkach. O ile osadnicy faktycznie jechali ze skromnym dobytkiem, mieszczącym się nieraz w skromnej walizeczce lub tobołku, to szabrownicy jechali jak na wycieczkę licząc, że z walizkami będą wracać do domu. Wyjściowym punktem w zasadzie było Ministerstwo Przemysłu, mieszczące się na Pradze i ono kierowało w poszczególne rejony grupy operacyjne pod kierownictwem pełnomocników. Osadnicy ci stanowili załóżek przyszłej administracji, ze specjalnym ukierunkowaniem na zabezpieczenie zakładów przemysłowych i obiektów komunikacji. Największe powodzenie miały gorzelnie, gdyż okowita była obiegową walutą, za którą otrzymywało się artykuły pierwszej potrzeby, a niedostatek był wielki. W miarę posuwającego się frontu, grupy kierowane były do dalszych obwodów.

Jeżeli chodzi o Pomorze Zachodnie, to kierowane one były przez Poznań. Właśnie 10 kwietnia zaczęto montować grupy operacyjne w kierunku Pomorza Zachodniego. Dnia 13 wydano nam suchy prowiant (chleb i konserwę z krabów), załadowano na ciężarówki i w blaskach zachodzącego słońca jechaliśmy na Dworzec Gdański. W samochodach nawet śpiewano, bo już wszyscy mieli dość tego czekania, lecz widząc wagony bez szyb, którymi przelatywał mroźny wiatr już na postoju, miny ludziom zrzedły. Próbowano zasłaniać okna kocami, lub kurtkami, lecz wiatr pędzącego pociągu zrywał te zasłony i omiatał chłodem pasażerów. Noc była makabryczna. Jedni drzemali otulając się jak mogli, inni kręcili się w przejściach, aby rozgrzać się, a kto miał, to pociągał z butelki bimber. O ciepłej herbacie lub kawie nie było co marzyć. Poznań o świcie przywitał nas wypalonymi murami dworca, tak, że poczekalnią stały się tunele pod torami.



Orzeł Biały nad globem na czaplinecki rynku 1946 r.

Czekaliśmy na Poznaniaków, którzy mieli do nas dołączyć, a tymczasem korzystano ze skromnych posiłków wydawanych przez PCK, mieszczące się w barakach na peronach. To była pierwsza strawa otrzymana w drodze. Nocą ruszyliśmy do Chodzieży. Wagony były już lepsze, nawet miały szyby. W Chodzieży zakwaterowano nas początkowo w szkole, a potem przeniesiono na strzelnicę. Noce były zimne. Wielu spało w ubraniach, zachodziła obawa wszawicy.

Całe towarzystwo, liczące kilkaset osób podzieliło się na grupki i starało się we własnym zakresie zabić nudę oczekiwania na wyjazd. Największym powodzeniem cieszyła się restauracja, gdzie można było wypić *ersatz* – kawę i zjeść ciastko pieczone na amoniaku. Restaurator miał poważne kłopoty z wydawaniem reszty, gdyż, jeżeli ktoś dysponował

pieniężmi, to miał stuzłotowe banknoty, a brakowało bilonu. Restaurator przyjmował też bilon przedwojenny.

Powstałe grupki stopniowo ujawniały swoje oblicza. Członkowie PPR jechali po stanowiska i posady, PPS-owcy tworzyć spółdzielnie, osobne grupy to była inicjatywa prywatna i kombinatory – szabrownicy. Ci ostatni trzymali się osobno i całe wieczory naradzali się, opracowując plany jak i gdzie się ulokować, aby otworzyć sklep, lub obłowić się szabrem. Wśród tych grup było mało rolników, a gospodarstwa czekały i dewastowały się.

Gdzieś około piątego dnia pobytu w Chodzieży poszły pogłoski, że mamy wrócić do Poznania. Tejże nocy ubyło chyba z połowę tych pionierów. Członkowie PPR i PPS twar- do czekali. Były konflikty w restauracji, gdyż nie dla wszystkich starczało ciastek, były ostre dyskusje na pryczach, a dyskutanci, niejednokrotnie czochrając się pod pachami, obrzucali się inwektywami. Kobiet było mało.

Wreszcie, chyba ósmego dnia pobytu, zaczęto montować ekipy do Piły. Wielu jednak zrezygnowało i czekało dalej. Nas załadowano na samochody i w pochmurny dzień wy- jechaliśmy do Piły. Tu dopiero poznaliśmy, jak ciężkie boje toczono na tym szlaku. Piła przyjęła nas pustkami ulic, gruzami i pogorzeliškami, a tylko od czasu do czasu pokazy- wały się radzieckie patrole.

Zamieszkaliśmy w jednym z ocalałych budynków i codziennie chodziliśmy do Pełno- mocnika Maciejewskiego po skierowanie docelowe. Obsiadły nas wszy. Wody do mycia dostarczała nam rzeka, w której jeszcze pływały trupy hitlerowskich żołdaków. Wydawa- no nam chleb, który rozsypywał się przy krojeniu i zupeć na obiad. Czwartego dnia pobytu przyszła kolej i na nas. Załadowano nas na samochody. Dzień był pochmurny i wietrzny. Osobny samochód przeznaczono dla milicjantów.

Pełnomocnik na Pomorze Zachodnie ppłk Leonard Borkiewicz, w mundurze, jechał odkrytym Horschem. W Jastrowiu już mieliśmy słoneczną pogodę, niebo bezchmurne i solidny północny wiatr. W Szczecinku stanęliśmy koło Urzędu Repatriacyjnego. Mi- licjanci z Pełnomocnikiem pojechali dalej. W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym wrzało jak w ulu. W rozmowie z naczelnikiem dowiedziałem się, że Skierniewice de- klarowały 700-osobową grupę, lecz do Szczecinka dotarło nie więcej jak setka. Część rozproszyła się po drodze, a część wróciła na swoje śmiecie.

...Był to okres poszukiwania artykułów pierwszej potrzeby, walki z reakcją, rzeczy- wistą i urojoną, płynnością



Radni przed ratuszem 1947 r.

kadr administracyjnych, handlu wymiennego – monetą obiegową była gorzelanka z Miłkowa, Łysinina, Pławna i St. Drawska. Sześć restaura- cji oficjalnych nadawało ton miastu, niezależnie od tych niekoncesjonowanych. Był to okres przemożnych wpływów Łazara (PPS) i Trzcńskiego (PPR), pro- wadzących największe restauracje w mieście.

Gospodarstwa rolne indywidualne stale zmieniały użytkowników – dziś PUR obsadził rolnika, a za parę dni gospodarstwo stało puste, gdyż osadnik już ciągnął z szabrem w swoje strony. Państwowe Nieruchomości Ziemskie nie dysponowały ani kadrami, ani sprzętem w takiej ilości, aby sprostać wiosennym zasiewom. Był to okres walki z myszami, organizacja szkół, zbieranie pomocy naukowych. Życie de facto koncentrowało się w mieście. Giełdy odbywały się w restauracjach, gdzie też toczyły się polityczne dyskusje, z sakramentalnym oczekiwaniem na Andersa przez niektórych.

Powstają pierwsze drużyny harcerzy i drużyny piłkarskie. Organista zakłada chór, który nie tylko śpiewa w kościele. W tym okresie można byłoby uratować wiele dobytku, gdyby „centralacy” zdecydowali się na większy udział w akcji osiedleńczej, a nie siedzieli na 1,5 ha ziemi, wcale nie lepszej niż na ziemiach zachodnich. Zbyt mały wpływ miały partie na rolników, którym jak się okazało wystarczyły parcelowane majątki. A szkoda. Już kursowały pociągi w relacji Chojnice – Szczecinek.

OKRES II – REPATRIANCI

Jechali całymi tygodniami, wieźli skromny dobytek, nie zawsze w wagonach krytych. Korzystali z pomocy kolejarzy, częstując zabużańskim samogonem, szukali przy torach paszy dla wiezionego inwentarza, szukali pomocy w transportach wojsk radzieckich, aby tylko skrócić męczące dni podróży.

W maju do Czaplinka dotarły pierwsze transporty. Zasilili szeregi osadników wojskowych, rozpoczęli siewy i sadzenie ziemniaków – zboże mieli przeważnie swoje, a ziemniaki wybierali z ponemieckich kopców. Wymienili wielu urzędników w magistracie, zasilili szeregi nauczycieli, przywieźli wiele książek i podręczników – tak potrzebnych przy organizowaniu szkół. Za nimi wlokła się nostalgia, cała litania wątpliwości, dramaty wojenne i nadzieje, że wreszcie odnajdą swoich, gdyż wojna zbliża się ku końcowi. Jednak do likwidacji odłogów było jeszcze daleko. Minimalna ilość koni i jałowic duńskich z UNRRA dotarła do Czaplinka via Szczecinek.

Handlowano wszystkim. Urząd likwidacyjny zbierał od mieszkańców należności za mienie ponemieckie, a Komisarz Ziemi w Szczecinku wystawiał akty nadania dla rolników. Służby komunalne jeszcze nie działały, za domami rosły hałdy śmieci, zaczęto rozbierać nieobsadzone domy i wysyłać cegłę do Warszawy – pruskie mury nie nadawały się do tych celów.



Ul. Drahimska w latach czterdziestych.

Na siedmiu rejonach Czaplinka zniknęły ugory, gdyż osadnicy wojskowi i repatrianci uprawiali tyle, ile zdołali. Jedni i drudzy szybko znaleźli wspólny język – szczególnie

Restaurację nad jeziorem zamieniono na magazyn zbożowy – no i ściany zaczęły się rysować – wiadomo składowano niefachowo. Zabawy przeniesiono do Domu Ludowego przy ul. Słonecznej. Ukazały się już wykazy miejscowości Ziemi Odzyskanych z polskim nazewnictwem.

Trakcją konną dostarczano do tartaku dłużyce, ruszyła też torfownia w Małym Czarnem.

w piosenkach. Zabawy odbywały się bez incydentów, a śpiewano dużo i wszystko, co zapamiętali z czasów służby wojskowej. Kobiety nie zostawały w tyle.

Kawalerzyści np.:

*Kiedy ulani konie swoje poją
Wszystkie panienki bardzo się ich boją
Jedna, druga, oczkiem mruga
I ta czarna
I ta ruda
I ta gruba
I ta chuda
Mruga córka, mruga matka, mruga babka – hej!*

Artylerzyści nie zostają dłużni:

*Artyleria, artyleria
Za baterią mknie bateria
Pędzą konie niby smoki
Aż się wzbija kurz w obłoki...*

A piechota pospolicie zwana zającami:

*Ułan swoją ma kobyłę,
Saper swoją łopatkę ma
A ten lotnik – Boże miły!
Ciągłe się ku słońcu pcha.
Artyleria z armat swoich
Przed wszystkimi chwali się...
Nam – piechurom pozostały
Tylko nogi dwie.
Przy piechocie fajno jest
Drogą maszeruje się
Lewa wolna, prawa wolna,
Środkiem szosy śmiało wal
Kto nie służył przy piechocie,
Temu żal...*

Szła też „Oka”, „Katusza”, „Czerwone maki” i białe róże z rozmarynem. Nastąpiło wiele związków małżeńskich i chrztów. Ruszyły trzy dyliżanse dowożące pasażerów na dworzec. Powstała spółdzielnia spożywców i Samopomoc Chłopska.

Dziś, po 23 latach, zanikły piosenki żołnierskie, zanikły i ludowe, przywiezione przez Skierniewiczian. Czas płynie nieubłaganie. Młodzi, skołowani mocnym uderzeniem, wykrzykują dziwolągi muzyczne przy akompaniamencie gitar, a starszankowie, siedzący na ławkach w zachodzącym słońcu nad jeziorem, snują wspomnienia, czasem nucą coś pod nosem, bo nie wybyli się nostalgicznych wspomnień.

Oto Józef Zubiel – rocznik 1897 – były repatriant, nieodmiennie zaczyna rozmowę od wierszy, które mu



Okolo 1950 r. - dekoracja 1-majowa.

zostały z czasów szkolnych, i kiedy już wyśpiewa fragmenty „*Śpiewów historycznych*” Niemcewicza, wraca do swego rodzinnego miasta i zamykając powieki przed blaskiem zachodzącego słońca zaczyna:

„Żegnaj Wilno ukochane, drogie ponad świat
Tu się rodził, tu wychował, tu spędzenia młodych lat
Żegnaj groby babci, dziadka, sióstr i braci
Co ginęli, krew przeleli... a nam biednym mus wyjechać...
Żegnaj miasto ukochane, wszak widuję cię we śnie
Malowane twe widoki czy to w nocy, czy we dnie...

Kiedy wygłosi ten swój „*List repatriacyjny*”, to znak, że na dzisiaj zakończona pogaduszka. Nie każdy z repatriantów może tak wyśpiewać nostalgię, chociaż nie brakuje ich od okopów Św. Trójcy, aż po daleką Druję. A swoją drogą trudno nad Wilnem przejść do porządku:

Wilno –
Owiane legend czarem.
Wilno –
Kochane sercem całym.
Wilno –
I ten północny kraj.
Wilno –
Zabytków i pamiątek.
Wilno –
I wieszczów ten zakątek.
Wilno –
Z nad Wilii ziemski raj.
Wilno –
Przez wieszczów naszych opiewane.
Tak mało znane.
Wilno –
I jego cichy lud.
Wilno –
Prastara ludów tych stolica,
I jego śliczna okolica
I wielkich jezior cud.

P.S. *Choć rym dziadowski, rzecz oczywista*
„Ultrasi” krzykną: rewizjonista!
Tymczasem, rzecz jest całkiem jasna,
A czytający niech uwierzy,
„Miłemu Miastu”- mej młodości
Ten „poemacik” się należy.

Wielu repatriantów pierwszy raz odbyła podróż koleją, wielu też pierwszy raz miało możliwość oglądać kino. Kino, co prawda chyliło się ku ruinie, lecz frekwencja była duża. Największym powodzeniem cieszyły się filmy o tematyce wojennej. Kino nazywało się „Bałtyk”.

Połączenie komitetów PPR i PPS odbyło się sprawnie i spokojnie.

OKRES III – KOLEKTYWIZACJA

Skończyło się dla „prywaciarzy” „El Dorado” (mityczne „Złote miasto”) i jako pierwsi wyjechali restauratorzy Lazar i Trzciniński. Zaczęto gromadzić większe maszyny rolnicze i tworzyć Gminne Ośrodki Maszynowe, które miały przejąć usługi dla tworzących się spółdzielni produkcyjnych. Państwowe Nieruchomości Rolne zamieniły się w Państwowe Gospodarstwa Rolne. Mimo wysiłków GOM-owskich pracowników, aktywu PZPR oraz wprowadzeniu na pola traktorów „Ursus”, wielu rolników pozostawiło swoje gospodarstwa. Ci z centralnych województw uciekali w swoje strony, repatrianci i osadnicy wojskowi przenieśli się do miasta, lub przyjmowali gospodarstwa w mieście, aby uniknąć werbunku do spółdzielni produkcyjnych. Rozpoczął się handel mieszkaniami. Sprzedawała mieszkania inicjatywa prywatna i ci, dla których pobyt w mieście stał się kłopotliwy.

Zlikwidował się „Urząd Likwidacyjny”, jak też i komitet budowy domu kultury. Areły po opuszczonych gospodarstwach miały przejąć spółdzielnie, lecz w praktyce czyniły to Państwowe Gospodarstwa Rolne. Część jedna legła odłogiem, bo i regulacja, mimo pośpiechu nie nadążała z za potrzebami. W tych okolicznościach rosły zaległości podatkowe i funduszu gromadzkiego, a wydział finansowy nie był w stanie odnaleźć dłużników, bo i biura meldunkowe szwankowały.

Znowu nasiliła się migracja. Gminna Spółdzielnia wchłonęła Spółdzielnię Spożywców i rozszerzyła swoją działalność. Powstawały nowe sklepy, nie tylko w mieście, lecz i w sąsiednich wsiach. Kolektywizacja wsi spowodowała spadek pogłowia zwierząt, zmniejszyły się dostawy mleka i nastąpiły zakłócenia w produkcji roślinnej. Rozwiązane zostały drużyny harcerskie, a w to miejsce powołano Ochotnicze Hufce Pracy, które zjeżdżały się do PGR-ów pomagać w pracach polowych. Przemysł zaczął wchłaniać wiejską młodzież i rozpoczęło się starzenie się wsi.

Szkoły podstawowe i zawodowe pracowały normalnie, a dwa razy w roku wychodziły na pola na poszukiwania stonki ziemniaczanej. Likwidując stonkę likwidowano, przez nieświadomość, biedronkę, co spowodowało plagę mszyc.

Powstała Miejska Biblioteka Publiczna.

OKRES IV – STAGNACJA CZY STABILIZACJA?

Nastał spokój, skończyły się migracje ludności. Jeszcze niezupełnie zlikwidowano ugory. Chwasty rosły nie tylko na polach, lecz i między torami na stacji kolejowej. Tocząca się „zimna wojna” przyjmowana była przez większość mieszkańców spokojnie. Nie wykupywano towarów żywnościowych, tylko w sporadycznych wypadkach ktoś kupił więcej niż worek soli, czy cukru.



Od prawej T. Witczak, L. Witczak, E. Samsel, H. Samsel - ok. 1950 r.

Nie przeprowadzano remontów zabezpieczających domów, bo w mieście nic się nie działo. Budżety były skromne, zarobki niższe niż średnie wojewódzkie. Przybywało za to kobiet poszukujących pracy. Młodzież męska przeważnie urywała się do przemysłu.

PPTK zaczął reklamowanie regionu w prasie i to z dobrym efektem. Złocienieckie przedsiębiorstwo remontowo-budowlane wykorzystywało sumy budżetowe na remonty, lecz terminy nie były dotrzymywane, a jakość wykonanych prac najlepiej charakteryzowało powiedzonko: „Felek, leć po pieniądze, ja potrzymam piec”.



Na plaży miejskiej.

Za kulisami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej miastem rządili: dyrektor POM-u i dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Pierwszy dbał o to, aby jego ludzie dostali mieszkania, dzieci pracowników miejsca w żłobku i przedszkolu, a drugi nadzorował miejską korespondencję z władzami powiatu i województwa. Było cicho i spokojnie. Było mało skarg i zażaleń oraz anonimów. Miasto zatrzymało się w miejscu. Nawet „odwilż” nie wniosła do miasta nowych wiatrów, jak i zresztą w całym województwie. „Śpij spokojnie – ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej) czuwa!”. Rozleciał się niedoszły Dom Kultury, rozebrano kino „Bałtyk”, a seanse odbywają się w Domu Ludowym przy ul. Słonecznej.

Władze miejskie rozpoczęły zadrzewianie ulic i stadionu.

OKRES V – COŚ SIĘ DZIEJE

Lata 1957-1966 – to ruch młodzieżowy w mieście. Reaktywowało się ZHP – powstały drużyny harcerskie i zuchowe. Harcerze weszli do czynów społecznych. Ukazał się szereg reportaży w prasie o Czaplinku, z zaproszeniem na wczasy. W kioskach „Ruchu” stale brakuje gazet. Wielu rolników usiłuje powrócić na swoje gospodarstwa, lecz powstaje nowy problem regulacji gruntów. Likwiduje się spółdzielnie produkcyjne. Wielu rolników w rejonach zaczyna gospodarzyć na nowo. Wzrosło zapotrzebowanie na nawozy i nasiona. GS upłynnia remanenty wapna nawozowego. POM poszerza zakres usług i buduje biurowiec.

Zebrania organizacji społecznych i gospodarczych mają pełną frekwencję. GS dokonało po raz pierwszy podziału czystej nadwyżki. Ośrodek żeglarski pracuje na pełnych obrotach szkoląc harcerzy i młodzież niestowarzyszoną. Na teren miasta zaczęły zjeżdżać kolonie i obozy harcerskie. Zaroiło się od młodzieży w okolicznych lasach. Od jeziora Drawsko, wieczorami, a nieraz już o mroku, niosły się piosenki, aczkolwiek śpiewane unisono, to jednak godne zainteresowania. Obok „Białych żagli” słychać było „Morze, nasze morze”, rzadziej „Hymn Bałtyku” ze słowami:

*...Bo o twe wody szmaragdowe
Płynęła krew i nasze łzy...*

Miejscowi harcerze zadziwiali nieznaną dotąd piosenką:

*Niech żyje żeglarski nasz ród,
Gdy łódź nasza z portu wychodzi.
Nie straszna nam burza ni chłód.
Niech żyje żeglarski nasz ród.
Śpiewajmy, dopókiśmy młodzi,
Śpiewajmy, wszak jesteśmy młodzi.
Bo życie nasze takie cudne,
Beztroskie, miłe i nie nudne.
Nad nami wisi błękit nieba,
I czego więcej nam potrzeba...*

Natomiast kursanci z Ośrodka Żeglarskiego, wieczorami, przy ognisku próbowali śpiewać tak:

*Więc ducha ćwicz i ciało,
Abyś nie wyszedł z form.
Gdy zagrzmie pierwsze działo,
Zwiastując groźny sztorm.
A kiedy wódz rozkaże,
W bój pójdziem jak na bal.
My, polscy marynarze,
Strażnicy morskich fal...*

Dziatwa z ośrodka kolonijnego „Tamelu” śpiewała coś nowego:

*Dzień błękitny żegluję po niebie,
Idzie słońce drogą swą.
Twoja ziemia chce liczyć na ciebie,
Przecież rosteś razem z nią.
Kraj pięknieje, w którą spojrzysz stronę,
Kwitną kwiaty białe i czerwone.
A dookoła, jak Polska szeroka,
Płoną ognie młodych serc.*

Zabawy organizowane w Domu Ludowym są nadal huczne i pełne temperamentu i werwy. Lecz tańce zatracają swój narodowy charakter i coraz mniej starszego pokolenia. W czynie społecznym wybudowano kino i nazwano go, dla odmiany, „Piast”. Wielu obywateli uzupełnia wykształcenie w zaocznych szkołach średnich. W mieście w dalszym ciągu brak inżynierów, a z magistrów jest tylko mgr farmacji. Sensacją w mieście stał się telewizor zakupiony przez Gajaka. Ukazały się cztery prywatne samochody osobowe, w tym jedna taksówka. Przybywa następna fala repatriantów. Z dodatkowych

kredytów władze miejskie wyremontowały dwa bloki i tak powstała „Ambasada” i „Getto”, w których zamieszkali repatrianci. Przybywający turyści wnieśli w miasto inne wiatry i mieszkańcy zaczęli dochodzić do wniosku, że wreszcie od władz wojewódzkich coś się miastu należy. Czekano do wyborów.

OKRES VI – NARASTAJĄ KONFLIKTY

Rozpoczęły się ożywione dyskusje nad turystyką i modernizacją sklepów, rozbudową baz Geesowskich, a walne zgromadzenie przedstawicieli było wyjątkowo owocne. Rzecz niecodzienna – rolnicy podtrzymywali koncepcje PTTK. Od rewidenta dowiedziało się miasto, że spożycie alkoholu wynosi 19 l czystego alkoholu, lecz mydła zużywa się tylko 200 gram rocznie na mieszkańca. Równie gorąca była dyskusja wokół dystrybucji nawozów i wapna nawozowego. Domagano się materiałów budowlanych dla wsi.



Zabawa nad jeziorem - na akordeonie gra Feliks Kuźnicki.

Front Jedności Narodu poszedł w swoich postulatach jeszcze dalej i wysunął następujące potrzeby:

- budownictwo mieszkaniowe,
- regulacja brzegów jeziora,
- budowa szkoły,
- założenie szkoły średniej,
- rewindykację plaży i budynku kolonijnego na szkołę,
- wymianę sieci gazowej

Z tych postulatów zrealizowanych zostało:

- oddelegowano ze Szczecinka autobus MZK do przewozu pasażerów na dworzec PKP,
- Wydział GKIM w Koszalinie dostarczył dokumentację na regulację brzegów jeziora Drawsko,
- polecono wyburzyć dwie rudery dwukondygnacyjne przy ul. Bieruta (dzisiaj

- Sikorskiego) pod budownictwo mieszkaniowe,
- polecono przekazać zebrane fundusze na budowę szkoły do puli ogólnokrajowej,
 - zabroniono rewindykować plażę i budynek kolonijny, zastrzegając, że kosztami zostanie obciążony Przewodniczący PMRN,
 - nasilono kontrole Miejskiej Rady Narodowej,
 - zorganizowała się grupa niezadowolonych, kontrujących wszelkie poczynania MRN.

A mieszkańcy, starym zwyczajem, robili swoje: gościli na uroczystościach przedstawicieli Armii Radzieckiej, reaktywowali Społeczny Komitet Budowy Domu Kultury, zorganizowali zespół wokalny-muzyczny „13”, reaktywowali orkiestrę strażacką i przygotowali pomieszczenia dla kwatrowania turystów. Zadbano o ogródki przydomowe i przystąpiono do organizowania ogródków działkowych. Nastąpiła likwidacja śmietnisk, zmodernizowano tabor MPGiK. Dla lepszej komunikacji w relacji Wałcz-Kołobrzeg przebito ulicę Długą. W czynie społecznym załatano wyrwy w brzegu jeziora, oznakowano ulice, a GS zmodernizowało 7 sklepów. Oddano do użytku turystom camping, hangar dla PTTK oraz obiekt recepcyjno-sanitarny na plaży.

To były lata 1961-1964. Aktywność władz miejskich i poparcie społeczeństwa, stworzyły cały szereg kłopotów władzom, tak powiatowym jak i wojewódzkim, a tym samym zaczęły powstawać konflikty. Konflikty takie zaistniały też i w mieście – pomiędzy sekretarzem KM, jak i ówczesnym „burmistrzem”. Mieszkańcy zaczęli pojmować, że obietniczki władz to jak



Stoją przed kinem od prawej: J. Sieradz, F. Tancer, Z. Dyśkowski.

krokusy, które znikają w miarę topnienia śniegów. Do obciążenia kosztami arbitrażowymi Przewodniczącego PMRN nie doszło, gdyż zakłady „Tamel” same zrezygnowały z plaży (widzieli sprawę przegraną). Na polecenie Ministra Handlu Wewnętrznego WPHTO z Łodzi musiało przekazać budynek dla szkoły. Dzięki temu rozładowana została trójmianowość w szkole podstawowej.

OKRES VII – W MIARĘ JEDZENIA...

Konflikty wcale się nie zmniejszyły, mimo odejścia „burmistrza”. Przeciwnie wzrosły, gdyż pozostał jeszcze sekretarz KM PZPR „dictatore Dominikano”. Wbrew intencjom i stawianym przez władze powiatowe i wojewódzkie przeszkodom, w rocznicę wyzwolenia Czaplinka powołano honorowych obywateli, byłych oficerów 7 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty, z premierem Piotrem Jaroszewiczem na czele. Pobyt honorowych obywateli stworzył okazję, że miasto uzyskało możliwości zatrudnienia kobiet, gdyż powstał zakład przemysłowy „Kazel”. Ruszyło wreszcie dawno obiecywane budownictwo mieszkaniowe z puli Rad Narodowych. Ponadto wzrosły środki na remonty kapitalne domów.

W okresie panowania Marii Fiksińskiej - „Pani na Czaplinku” przystąpiono do zakładania kanalizacji i rozbudowy bazy strażackiej. Przez miasto przewalały się grupy rajdowiczów „Szlakiem walk o Wał Pomorski” i inne imprezy ogólnokrajowe o charakterze turystyczno-krajoznawczym. Mieszkańcy odpowiedzieli wznowieniem budowy ul. Dąbrowskiego, Domu Strażaka, zagospodarowaniem Ogródków Działkowych (woda, drogi, ogrodzenie). Zakończono budowę amfiteatru, na którym odbyły się festiwale „Małych Form Artystycznych”. Roboty kanalizacyjne upodobniły miasto do terenu, gdzie przebiegał długotrwały front bojowy. Potem przyszedł okres, kiedy miasto nazywano „Witaj smutku”, a były to lata 1968-1969.

I tak na przestrzeni lat 1965-1970 zmieniło się trzech przewodniczących PMRN. Wreszcie zaproponowano Miejskiej Radzie kandydata zamiejscowego, która została przyjęta. Jerzy Góralczyk pełni te obowiązki nadal, lecz już, jako Naczelnik Miasta. Miał niełatwy start, ale potrafił przekształcić miasto z „Witaj smutku” na Czaplinek. I chociaż z jednym z pracowników Urzędu Miasta – Mikołajem Chowańcem stanowili team hokeistów z Podhala – jak twierdzili żartownisie, to jednak rozkręcały się czyny społeczne i realizowane były inwestycje. Ludność otrzymała drugi żłobek i przedszkole, uregulowano ul. Polną, rozjazd na Szczecineckiej, otwarto przedłużoną ul. Dąbrowskiego.



Autobus miejski na pl. 7 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty.

Organizacje społeczne, życie kulturalne, w rzeczywistości robią jednak bokami. Wielu aktywistów przez 33 lata wyczerpało swoje inwencje i zapały, z niedobitków zrobiono „omnibusy”, a napływowy element inżynierów i magistrów nie przejmując pałeczki sztafetowej na tych odcinkach. Nastąpił okres stagnacji turystycznej przez ostateczną likwidację bazy noclegowej. Jednakże znając mieszkańców, można być pewnym, że nie tylko wrócą do życia kulturalnego, ale znajdzie się też sposób na renesans bazy noclegowej, bo przecież Zajazd „Czapla” zbankrutuje.

Tak wyglądałoby powszechnie znane „podsumowanie” 33 lat wyzwolonego Czaplinka. Polonistom i krytykom pozostaje napisać dalsze dzieje i lepiej. Zakończenia nie będzie i być nie może. A kto sprawy tego miasta będzie notował i zapiski zostawi potomnym?

Na podstawie: „Polska naszych dni” P. Kasprowic i W. Krzywicki

5. OPOWIADA LEŚNICZY LEON CHAMIER-CIEMIŃSKI.



Leon Ciemiński.

Zawierucha wojenna i związane z nią losy życiowe rzuciły mnie do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zdemobilizowany, po zakończeniu wojny, 18.06.1946 r. na własną prośbę powróciłem do zniszczonego kraju. W poszukiwaniu pracy udałem się do Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Bałtyckiego w Szczecinku.

Do pracy zostałem przyjęty 15.08.46 r. jako gajowy w Leśnictwie Kucharowo, podległy leśniczemu Julkowskiemu z Leśnictwa Mosina (Nadleśnictwo Szczecinek).

05.05.47 r. Dyrekcja Lasów Państwowych skierowała mnie do Warcina na kurs dla leśniczych, który trwał do 11.09.47 r. Po kursie dostałem pierwsze skierowanie: na stanowisko podleśniczego p.o. leśniczego do Nadleśnictwa Świdwin. Pracy tam jednak nie podjąłem – czasy wciąż niebezpieczne, a leśnictwo, które miałem objąć, było tuż przy lotnisku.

Następne skierowanie z DLP otrzymałem 20.11.47 r. do Nadleśnictwa Piława. Nadleśniczy Węgliński polecił mi udać się do leśniczego Adolfa Lecha w Leśnictwie Brzezinka, któremu podlegały dawniejsze tereny Leśnictwa Rakowo, Polne, Okole i częściowo Strzeszyn. W listopadzie sporządzono protokół przekazania Leśnictwa Polne, które przejąłem od leśniczego Adolfa Lecha w obecności gajowego Kazimierza Rozwadowskiego, zamieszkałego w Komorzu.

Tak więc leśnictwo przejąłem, ale osady dla leśniczego nie było. Z konieczności zamieszkałem w opuszczonym domu w Komorzu. Warunki były podłe, tym bardziej że zima. Wiosną 1948 r. w Polnem gospodarz opuszczał względnie przyzwoite mieszkanie. Po porozumieniu z sołtysiem i przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej w Kluczewie, otrzymałem zgodę na tymczasowe zamieszkanie w tym domu. Zwróciłem się więc do nadleśniczego, by dom wraz z budynkami gospodarczymi przeznaczyć na siedzibę Leśnictwa Polne. Odpowiednie starania doprowadziły do tego, że przekazano te zabudowania nadleśnictwu i tak powstała siedziba Leśnictwa Polne, która istnieje do dzisiaj.

W skład Leśnictwa Polne wchodziły byłe lasy prywatne: majątku Ziemiankowo, Kiełpino, Różana Góra, gromady Polne, Winna Góra, Sikory, Komorze, Drawsko, Nowa Wieś, Prosinko. Nie istniały żadne znaki graniczne, ani podziału przestrzennego na gruncie.

Najwięcej pracy było przy wycinaniu drzew spalonych przez pożar górny. Spalenisko znajdowało się przy drodze w kierunku Polne – Barwice. Powierzchnia w przybliżeniu 90-95 ha. Drzewostany w różnym wieku, od 25 do 100 lat. Osmolone, zaatakowane przez szkodniki wtórne. Były trudności, potknięcia, niepowodzenia w odnowieniu powierzchni... Otrzymałem polecenie zastosować siew ręczny siewnikiem, a glebę przygotować przez spulchnienie grabiami górnej warstwy w pasy. Niesprzyjające warunki atmosferyczne spowodowały złe wschody. Uprawa przepadła. Dopiero odnowienia wykonane tradycyjnym sposobem sadzenia sosny dały dobre wyniki.

Od 01.08.51 r. Leon Ciemiński został leśniczym w Strzeszynie, a od 01.07.55 r. do 30.09.64 r. pracował w Leśnictwie Rakowo. Również na stanowisku nadleśniczego nastąpiły zmiany, z dniem 01.04.51 r. przyszedł Władysław Szwed. Sprawował on pieczę nad nadleśnictwem przez 10 lat, do 20.03.61 r.

Za zgodą nadleśniczego Władysława Szweda, w sierpniu 1951 r. zostałem przeniesiony do Leśnictwa Strzeszyn. Następnie do Leśnictwa Rakowo. Przekazał mi je leśniczy Władysław Adamski.

W tym leśnictwie pozyskiwano najwięcej sortymentów, tak iglastych, jak i liściastych – począwszy od drobnicy użytkowej na zrębki, wiązanej z gałęzi świerkowych, a skończywszy na okleinie, karpinie przemysłowej i żywicy. Wszelkie prace wykonywane były ręcznymi narzędziami. Wywóz tylko konny. Powoli wkraczał postęp, zastosowano do pozyskania drewna piły mechaniczne, również wywóz i zrywkę wykonywano ciągnikami „Ursus”.

W 1964 r. leśniczy Leśnictwa Czaplinek Adolf Romanowski awansował na adiunkta do Nadleśnictwa Piława. Na polecenie nadleśniczego Jana Ścisła przejąłem to leśnictwo. Pracowałem zatem na dwóch leśnictwach. zwróciłem się do nadleśniczego z prośbą o pomoc w umożliwieniu mi skończenia nauki na wydziale zaocznym Technikum Leśnego w Nowej Woli. Byłem już na ostatnim roku. Nadleśniczy się zgodził. Przekazałem więc Leśnictwo Rakowo leśniczemu Włodzimierzowi Jabłońskiemu. Naukę zakończyłem w terminie. Z głową pełną nowych pomysłów i jeszcze większym zapałem przystąpiłem do pracy.

Od 01.10.64 r. do 31.12.75 r. Leon Ciemiński pracował w Leśnictwie Czaplinek, należącym do Nadleśnictwa Piława. Tymczasem 01.07.75 r. powstało Nadleśnictwo Czaplinek. 01.01.76 r. przyłączono do niego część Nadleśnictwa Piława. W ten sposób, bez swojego w tym udziału, Leon Ciemiński, będący dotąd leśniczym w Nadleśnictwie Piława, trafił z całym swoim leśnym gospodarstwem do Nadleśnictwa Czaplinek. Wkrótce zmieniono również nazwę jego leśnictwa „Czaplinek” na „Sikory”, żeby uniknąć powielenia nazw. W tym leśnictwie dotrwał do emerytury, czyli do 30.11.90 r. (pomimo reorganizacji Leśnictwo Sikory nadal pozostaje na terenie Nadleśnictwa Czaplinek). W tym czasie przełożonym pana Leona był mgr Jan Ścisło, który pełnił funkcję nadleśniczego w okresie od marca 1961 do końca 1992 r.

Reorganizacja w okręgu i nadleśnictwie wpłynęła na powiększenie Leśnictwa Czaplinek. Zlikwidowane zostało dawniejsze Leśnictwo Sikory. Leśniczym był Aleksander Kulik. Leśnictwo przyłączono częściowo do Czaplinka. Do granicy z leśniczówki było 21 km, za miejscowości Gonno Małe, Czarne Wielkie, pod Chłopowo. Część terenu nadleśnictwo przekazało Nadleśnictwu Połączyn Zdrój.

Trudno było zwerbować robotników z powodu tworzenia się Spółdzielni Produkcyjnych po wsiach i słabych zarobków w lesie. Mając 2,36 ha powierzchni szkółek, które w okresie wiosny wymagały pilnych prac, musiałem chodzić po domach i namawiać ludzi do pracy, by na tak rozległym terenie zdążyć z pracami na czas. Chętnych brakowało. Z tym było najwięcej zmartwienia.

01.01.76 r. nazwę leśnictwa zmieniono z „Czaplinek” na „Sikory”. Nie zmalowały przez to kłopoty, może zmieniły się – ale z innej przyczyny... Inwazja szkodnika, brudnicy mniszki, zniszczyła w leśnictwie drzewostany świerkowe. Usuwanie ich wymagało pośpiechu, by uzyskać pełnowartościowy surowiec. Stworzone zostały specjalne brygady. W Leśnictwie Sikory pozyskiwano 15-18 tys. m³ drewna rocznie. Żyliśmy zamartwiając się, co będzie z lasem. Nasz trud nie poszedł na marne, udało się nam w terminie usunąć szkody i wywieźć drewno z lasu. Tylko my jednak wiemy, ile to nas kosztowało; nieprzespane noce, wyrzeczenia, ciągle zamartwianie się. W wywozie pomógł transport mechaniczny. Zakończył się pierwszy etap zmagania, do końca było jednak daleko. Już

czekała nas następna pilna praca – odnowienie powierzchni pomniszkowych. Zastosowano przebudowę po byłych drzewostanach świerkowych. Sadzono głównie gatunki liściaste jak buk, dąb, z iglastych modrzew. Dużo kłopotu przysporzył samosiew brzozy. Jako gatunek w młodości szybko rosnący, zagłuszyła inne z takim trudem posadzone. Łaskawa była tylko dla modrzewia. Dodatkowym zmartwieniem była też zwierzyna. Buchtujące dziki wykopywały sadzonki, zwierzyna płowa ogryzała je, ale my, jak przystało na leśników, nie poddawaliśmy się. Powodzenia u zwierzyny nie miała tylko brzoza, co w efekcie doprowadziło do zagłuszenia przez nią powierzchni. Należało szybko wkroczyć do akcji i ratować posadzone gatunki, uzupełnić przerzedzone miejsca.

Praca leśnika nie kończy się nigdy. Dla mnie, pomimo różnych kolei losu, dobrych i złych, ta praca była przyjemna. W sumie w lasach przepracowałem 44 lata. Pracowałem do 67 roku życia. Mimo, że od wielu lat jestem na emeryturze i mieszkam w Czaplinku, chętnie i bardzo często zwiedzam tereny leśne, w których spędziłem długie lata życia. Często dumam nad swoim losem w głuszy lasu.

spisała Alicja Panasiuk

6. CZŁOWIECZY LOS

– *Chciałbym wiedzieć, co mi los wyznaczył,
– chciałbym poznać kartę swego życia.
Niech bym wiedział: ból i dno rozpacz,
Czy też laury zwycięskiego bycia...*

Sądę, że losem ludzkim często kieruje przypadek lub zbieg okoliczności. Tak było ze mną: po 25-ciu latach pracy w Sadowniczych Zakładach Doświadczalnych Instytutu Sadownictwa, ostatecznie, z Sudecczyny, przenieśliśmy się „w te pegeery”, do Czaplinka. Wiedziałem, że koszalińskie obsadza się sadami, zatem będzie potrzebowało dużo materiału szkółkarskiego. Dowiedziałem się, że sprzyjała też tej idei ówczesna „Polska Zjednoczona”, a nowy pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii, towarzysz Władysław Kozdra, już rzucił hasło: „Koszalińskie szumiące sadami”.

Dyrektor Kombinatu PGR Czaplinek, z tymczasową siedzibą w Piekarach, pan Jan Gąszcz, przywitał mnie otwarcie jako specjalistę produkcji drzewek, miał dla mnie etat specjalisty – szkółkarza. Obiecał kredyt na założenie szkółki, zaoferował mi 5-pokojowe mieszkanie w tzw. „agromieście” w Czaplinku, przydzielił kawałek przyzwoitego pola, ponad 40 ha pod szkółkę i obiecał nawet, że brygada budowlana uzbroi pole solidną siatką przeciwko intruzom i zającom. – Czego więcej chcieć?! Wszystko układało się pomyślnie. Przeszkoliłem młodą załogę. Nauczyłem kilka osób oczkowania, a także kilka osób do wiązania okulizacji. Praca toczyła się bez przeszkód 2 lata, ale kiedy rozpoczynaliśmy 3 rok produkcji szkółkarskiej, Ministerstwo Rolnictwa wydało zarządzenie, że w pasie nadmorskim zabrania się szkółkarskiej produkcji drzew ziarnkowych. Pod decyzją tą podpisał się „mój” profesor S. A. Pieniążek, dyrektor Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. W pasie 100 km od linii Bałtyku zabroniono lokalizować produkcję szkółkarską drzewek, jabłoni i grusz z uwagi na występującą tu groźną chorobę bakteryjną – zarazę ogniową (*Erwinia amylovora*), która jest roznoszona przez dzikie, przelotne ptactwo. Czaplinek natomiast, jak wiadomo, leży w prostej linii tylko 86 km od morza...

Pojechaliśmy z petycją do Warszawy, do profesora Pieniążka, który piastował wtedy stanowisko sekretarza V Wydziału PAN, licząc, że profesor uchylą ten przepis i zrobi wyjątek dla Czaplinka. Zapytałem profesora: - Czy przelotne ptactwo wie, co to jest 14 km brakujące nam w ominięciu tego, tak tragicznego przepisu?

- Ptactwo nie wie o tym zarządzeniu Ministerstwa – powiedział profesor - ale jeżeli szkółka w Czaplinku wyprodukuje i sprzeda okulanty jabłoni czy grusz pod duży sad produkcyjny, i w nim wystąpi zaraza ogniowa, to czy PGR w Czaplinku będzie w stanie płacić odszkodowanie właścicielowi tego sadu przez 35 lat ?

Wróciliśmy do domu z niczym, a szkółkę w Czaplinku trzeba było zlikwidować. Wcześniej jednak w 1980 r. dzięki właśnie profesorowi Pieniążkowi i dyrektorowi Janowi Gąszczowi wyjechaliśmy na praktyki do USA: Kazimierz Weber, kierownik Zakładu Ogrodniczego na 1 rok do stanu Waszyngton, i ja na 7 miesięcy do stanu Michigan.

Kiedy Kazimierz Weber wrócił, oświadczył dyrektorowi Gąszczowi, że rezygnuje z pracy w Kołomyście, bo „idzie na swoje”.

Dyrektor Gąszcz nie wyglądał na zmartwionego z tego powodu. - Ja mam kogoś na twoje zastępstwo - powiedział, a pokazując palcem na mnie rzekł: - Pan, panie Aleksandrze („w zasadzie prawda „), będzie kierownikiem Zakładu Ogrodniczego.

Nie zastanawiając się co mówię, powiedziałem krótko: - Nie chcę!

- Ach, nie chce pan. To jest moje polecenie służbowe.

Już wiedziałem, czym taka odmowa pachnie. Znów szukaj pracy, znów pakuj się, znów przeprowadzka z żoną i 4 dziećmi, znów aklimatyzacja w nowym miejscu...

Dyrektor pytał mnie dalej: - Czemu pan nie chce wziąć tej pracy?

- Bo w swoim życiu, jak dotąd, nigdy nie robiłem czegoś, w czego powodzenie nie wierzyłem. A sady w Kołomąacie nigdy nie dadzą godziwego plonu, bo ten sad jest założony na słabych glebach i w zastoisku mrozowym. Niemcy, którzy uchodzą za najlepszych ogrodników w Europie, nigdy tu sadów nie sadzili. Kwiaty na drzewach w tym sadzie będą przemarzać w czasie kwietniowych przymrozków, tym bardziej, że sad jest prowadzony na niskim pniju.

Dyrektor nie przyjął tego tłumaczenia i dodał na odchodnym: - Sad tu był, jest i będzie. I pan go nigdy nie wyrwie.

Cóż było robić? Zostałem.

A na dyrektorze wymusiłem jedynie to, że dostanę służbowe mieszkanie w Kołomąacie. Nie chciałem być kierownikiem od 7 do 15.

Sad rósł, szumiał jak tego chciał sekretarz Kozdra, ale godziwego plonu nie dawał. Zakład Ogrodniczy w Kołomąacie przynosił straty, a przechowalnia na owoce nigdy nie zapelniła się jabłkami aż po brzegi. Trzeba było szukać innych rozwiązań. Ruszyliśmy z truskawką. Na polu po zlikwidowanej szkółce założyliśmy plantację zblokowaną. Pierwsze zbiory truskawek eksportowaliśmy w stanie świeżym do Berlina, a gros zbioru schłodzonego w przechowalni owoców, pakowane do plastikowych beczek, wysyłaliśmy do Danii, do firmy „Orskov Frught” w Øure.

Tak zaczęły się nasze kontakty z Thomasem Orskovem. Początkowo pracowaliśmy z Duńczykami w spółce Agro-Czaplinek & Orskov Frught, a od 1 czerwca 1990 r. Duńczycy usamodzielnili się, zakładając swoją firmę Agrofreeze SA, w której powierzyli mi stanowisko polskiego Dyrektora. Przeciwna temu była tylko główna księgowa Orskov Frught – Anna Elsa R. Twierdziła, że Alex (tak nazywali mnie Duńczycy) nie nadaje się na dyrektora, bo on wszystkim się przejmuje. Miała rację.

- A skąd się wzięły moje 3 zawały serca? – pytam.



Pożegnanie A. Grzymały.

najdroższe owoce. A Helge mi tłumaczył: - Plantacji żadnym dachem przed deszczem nie uchronisz. To po co te nerwy?!

A tymczasem firma rozwijała się i dawała zyski. Dnia 27 stycznia 2003 r. poszedłem na emeryturę. Duńskie kierownictwo firmy pożegnało mnie ciepło i serdecznie, organizując na moją cześć przyjęcie dla całej załogi i obdarowując mnie prezentami.

Andrzej Grzymała

A Helge (duński dyrektor Agrofreeze) uczył mnie tak: - Choćby wszystko się w firmie waliło, to dyrektor ma zawsze pogodę ducha, musi chodzić w czystej, uprasowanej koszulce i mieć zawsze uśmiech na twarzy od ucha, do ucha.

Nie byłem dobrym uczniem. Kiedy dojrzywały pierwsze truskawki, a zanosilo się na deszcz, to ja chodziłem zmartwiony, że szara pleśń zaatakuję te najładniejsze,

7. PO DZIEJACH I KNIEJACH CZAPLINKA

Czaplinek - to zieleń lasów

złoto kłosów

błękit toni

kwiat jabłoni

cisza dookoła

ptactwo na jeziorach

lasy pełne zwierza

smaczna ryba świeża.

Z dzwonnicy drewnianej za kamiennym murem

Niesie wiatr echo Moniuszki muzyki

Arie z „Halki” i „Straszego Dworu”

Piękną „Pieśń do Matki” nucą tu słowiki...

– napisałam niegdyś.



Nina Czyż w pokoju myśliwskim.

W lipcu 1950 r. Nina i Józef Czyżowie przybyli do Czaplinka i rozpoczęli pracę jako pedagodzy, oraz czynnie włączyli się w pracę społeczną i działalność na rzecz środowiska. Minęło więc już 60 lat przeżytych tu właśnie w kochanym Czaplinku. Opisałam nasze dzieje w biografiiach mojej i męża, zawartych w I części książki „Czaplinek 1945-2009”. Teraz dorzucam garstkę wspomnień z naszej działalności w dziedzinach: myślistwo i kynologia, w których uzyskaliśmy spore sukcesy promujące naszą małą ojczyznę.

Józef Czyż był zamięłowanym i aktywnym myśliwym, i po pracy zawodowej poświęcał wiele czasu i trudu na rzecz Koła Łowieckiego „Myśliwiec” w Czaplinku. Propagował też myślistwo i ochronę środowiska wśród młodzieży. Organizował prelekcje w szkołach o ochronie środowiska. Organizował dla młodzieży akcje sadzenia drzew, dokarmiania zwierzyny i ptactwa, sprzątania lasu, usuwania kłusowniczych sideł itp. Przez piętnaście lat (1965-1980) był prezesem Koła Łowieckiego „Myśliwiec” w Czaplinku. To on zapoczątkował w Czaplinku polowania dla zagranicznych myśliwych tzw. „*polowania dewizowe*”. Ich przyjazdy na polowania do nas organizował wtedy warszawski „*Orbis*”, który wypożyczał im samochody i dawał tłumacza- pilota. Byli to myśliwi z Danii, Niemiec, Francji, Austrii i Majoriki. Wiosną, w maju, polowali na kozły, a zimą na dziki. Myśliwi mieszkali u nas w domu przy ul. Kościuszki. Mój mąż Józef organizował wyprawy łowieckie, preparował poroża, a ja zajmowałam się hotelarstwem i gastronomią, oraz urządzaniem po polowaniach towarzyskich spotkań przy „*biesiadnym stole*”. Znam w dostatecznym stopniu język niemiecki i mam poczucie humoru, aby spotkania te były udane. Dochód z tych polowań dzielony był między „*Orbis*”, Polski Związek Łowiecki i Koło Łowieckie w Czaplinku.



Suka Harda z Atosem i Aronem z hodowli N. i J. Czyżów.

Były to ciekawe, międzynarodowe spotkania towarzyskie. Zdarzało się, że przy naszym dużym, okrągłym stole zasiadali przedstawiciele różnych narodowości. Np. Hiszpan z Majorki ze swoją żoną Kubanką, Niemiec, my Polacy oraz Rosjanie – oficerowie z radzieckiego garnizonu w Bornem Sulinowie (mąż był biegłym sądowym od wypadków drogowych polsko-radzieckich, i z tego powodu znał kilku radzieckich oficerów). Stół zastawiony był różnorakimi polskimi i lokalnymi przysmakami, jak wędzona sielawa i węgorz, karp smażony, myśliwska sucha kielbasa (zrobiona przez Czyża i Sokólskiego), mój pasztet z dziczyzny, lubelska solona słonina, polskie jajka, marynowane grzyby, kiszone ogórki, wiejski chleb, domowe kompo-

ty. Rosjanie przywozili suszoną, soloną rybę bajkalską – „*tarań*” zawiniętą w gazetę „*Prawda*”, a też „*ikrę*” (kawior). Były także różne trunki: jak whisky, polska *Żubrówka*, radziecki koniak, francuski szampan i spirytus, a też piwo zagraniczne w puszkach, które było wtedy rarytasem.

Przy biesiadnym stole były rozmowy w różnych językach, ale głównie w „*migowym*”, czasami nawet burzliwe. Pamiętam jak kiedyś Hiszpan zaatakował Rosjan „*Po co wy tu jesteście w Polsce?*”, „*Raus aus Polen! Weg!*” (Precz z Polski!). Trzeba było użyć całego kunsztu dyplomacji, by przerwać dyskusje i załagodzić burzę. Pomógł śpiew „*Szła dziewczeczka do laseczka*”. Zakończyło się spotkanie uściskami dłoni, wymianą adresów, zaproszeniem, upominkami.

Najczęściej bywali u nas myśliwi z Danii (kilkunastu). Jeden z nich Ove Christiansen z Arhus przyjeżdżał przez 8 lat, trzykrotnie każdego roku. Inny, właściciel firmy paliwowej z Kopenhagi, był kilka razy. Było też: 3 Francuzów - właściciele hoteli w Paryżu, Niemcy - przemysłowcy z Bremy, Essen, Hanoweru, Koblencji i Kolonii (prof. medycyny). Myśliwy z Wiednia urządził nam koncert jodłowania. Wszyscy ci myśliwi zachwycali się naszym uroczym Czaplinkiem, podziwiali piękne knieje, fotografowali, filmowali. Organizowane były dla nich na polanach leśnych koło Karsna i Rzepowa ogniska z grillem. Kiedyś zaproszono ich nawet na zabawę strażacką w CzOK-u.

Były to ciekawe, międzynarodowe spotkania towarzyskie. Zdarzało się, że przy naszym dużym, okrągłym stole zasiadali przedstawiciele różnych narodowości. Np. Hiszpan z Majorki ze swoją żoną Kubanką, Niemiec, my Polacy oraz Rosjanie – oficerowie z radzieckiego garnizonu w Bornem Sulinowie (mąż był biegłym sądowym od wypadków drogowych polsko-radzieckich, i z tego powodu znał kilku radzieckich oficerów). Stół zastawiony był różnorakimi polskimi i lokalnymi przysmakami, jak wędzona sielawa i węgorz, karp smażony, myśliwska sucha kielbasa (zrobiona przez Czyża i Sokólskiego), mój pasztet z dziczyzny, lubelska solona słonina, polskie jajka, marynowane grzyby, kiszone ogórki, wiejski chleb, domowe kompo-



Józef Czyż z Atosem.

Większość z nich utrzymywała później z nami korespondencję, przysyłali zdjęcia, a Hiszpan z Majorki (właściciel fabryki obuwia) przysłał naszym kilku myśliwym i mnie wspaniałe skórzane buty „kozaki”. W tych polowaniach dewizowych brali udział z koła „Myśliwiec”: Józef Czyż, Jan Sokólski, Kazimierz Sieczko, Kazimierz Pupin, Jerzy i Leszek Uszakiewiczowie, lekarz weterynarii Jan Kołacz i inni. Za pracę łowiecką Józef Czyż otrzymał „Dyplom uznania za wieloletnią działalność dla Związku Łowieckiego”, oraz Brązowy Medal PZŁ.

Kilku z tych dewizowych myśliwych nabyło z naszej hodowli springer-spanieli szczeniaki, i później utrzymywali z nami kontakt, a także spotykaliśmy się na międzynarodowych wystawach psów rasowych w Poznaniu, Budapeszcie, Brnie.

A ta hodowla rozpoczęła się zupełnie przypadkowo. W 1969 r. byliśmy na międzynarodowej wystawie psów rasowych w Poznaniu, i bardzo nam się spodobały psy myśliwskie rasy springer-sapniel. Nie namyślając się wiele zamówiliśmy i rychło kupiliśmy suczkę – „Harda z Golecina”, której rodzicami byli: „Alma z Veselicka” z Czechosłowacji i „Greif von Tachernsee” z Niemiec. Zarejestrowaliśmy naszą suczkę w Związku Kynologicznym, i gdy podrosła zaprezentowaliśmy ją na kilku obowiązkowych wystawach, gdzie uzyskała ocenę doskonałą. Wtedy otrzymaliśmy zezwolenie na hodowlę. Ja dałam naszej hodowli nazwę: „Z uroczego Czaplinka”. Każde nasze szcenię wpisane miało w rodowodzie, prócz imienia, tę nazwę jako miejsce jego pochodzenia. W pierwszym miocie były dwa pieski, którym nadałam imiona „Atos” i „Aron”. Pierwszego zostawiliśmy sobie, a drugiego sprzedaliśmy koledze. Rychło nasz czarno-biały „Atos z uroczego Czaplinka” stał się chlubą właścicieli, naszego miasteczka, a nawet Polski, zdobywając wiele międzynarodowych i krajowych medali.



N. i J. Czyżowie z suką Gejszą na wystawie psów w Poznaniu.

Na wystawach kynologicznych oceniane są proporcje budowy danej rasy, cechy charakteru, ruch, zachowanie, temperament. Każda rasa ma swój wzorzec. Ojciec Atosa „Greif von Tachernsee” jest wymieniony jako taki wzorzec w książce L. Smyczyńskiego „Psy – rasy i wychowanie” (str. 360 wyd. 1980 r.). Jednak Atos, na jednej z międzynarodowych wystaw w Poznaniu, rywalizował z ojcem i zdobył pierwszeństwo i tytuł „Zwycięzca Polski”. Uczestniczyłam z Atosem w wystawach międzynarodowych w Poznaniu, Opolu, Brnie, Budapeszcie. Startował początkowo w klasie otwartej, potem w klasie championów. Zdobył najwyższe oceny i tytuły „Zwycięzca Polski” i „Zwycięzca Węgier”. Otrzymał też medal „CACIB” (Miss Europy). Byłam bardzo dumna, gdy w Budapeszcie stał na podium i był prezentowany jako „Das ist der beste Hund in Polen – Atos – aus wunderschönen Czaplinek in Pommern” (tłum.: „To jest najlepszy pies w Polsce – Atos – z uroczego Czaplinka na

Pomorzu”), a ja otrzymałam liczne gratulacje i symboliczne nagrody. Jeździłam do Budapesztu z Atosem dwukrotnie. Mieliśmy też zaproszenie ze Związku Kynologicznego do Innsbrucka na Igrzyska Olimpijskie, gdzie Atos miał na wystawie reprezentować Polskę, ale nie otrzymałam na czas paszportu, no i nie stać mnie było na opłacenie wysokich kosztów wyjazdu, więc nie pojechaliśmy.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA PSÓW NASZYCH W POLSCE POZNAŃ 25-26 X. 1975		ZWYCIĘZCA POLSKI POZNAŃ 1975	
		Nr katalogu <u>1061</u>	
		Sędzia <u>Przemysław Ścieński</u>	
NAZWA PSA	ATOS z uroczego CZAPLINKA		
PKR	W-CKIII-9071	NR KAT.	1061
RASA	Springer spaniel	PLEC	piaw
WŁAŚCICIEL	Józef Czyż		
KLASA	Championów		
OCENA	doskonała		
LOKATA	I		



POZNAŃ - 25-26 X. 1975 R.

Poznań 1975 r. - I miejsce i ocena doskonała Atosa.

Atos pływał w jeziorach, aportował myśliwym podczas polowań kaczki i piżmaki. Sprawnie pokonywał wysokie przeszkody, jak parkany i płoty – niczym Wałęsa. Często jeździliśmy na wystawy i Atos bardzo polubił podróże autem, autobusem i pociągiem. Był spokojny, wytrzymały, czysty. Bardzo głęboko przeżył nagłą śmierć swego pana – Józefa. Ten stres i wieloletni wysiłek podczas polowań spowodowały, że zaczął chorować na niewydolność krążenia - na serce. Żył 14 lat.

Siostra Atosa – „Gejsza z uroczego Czaplinka” również otrzymała wiele ocen doskonałych, złotych medali i tytuł CACIB championa w Budapeszcie. W karcie ocen wystawowych tak ją scharakteryzowano: „...smukła sylwetka, szlachetna głowa, migdałowe oczy, porusza się z wdziękiem i gracją tanecznym ruchem”. Była dobrą, troskliwą matką, wydała wartościowe potomstwo, m.in. miała synów „Romulus i Remus”. Żyła 9 lat. Nasze psy otrzymywały w większości oceny „doskonały”, złote medale, dyplomy i nagrody, których mam po każdym zbior.

O naszej hodowli springer-spanieli „Z uroczego Czaplinka” została napisana w 1989 r. przez jednego z sędziów kynologicznych z Poznania praca magisterska. Z naszej hodowli wiele psów kupili obcokrajowcy. Wiem, że znalazły się one w: Kijowie, Odessie, Moskwie, Smoleńsku, Władywostoku (kupili je oficerowie radzieccy z Bornego Sulinowa), Berlinie, Poczdamie, Arhus, Kopenhadze, Wiedniu.

Atos był też bardzo wartościowym psem użytkowym. W 1973 r. Józef Czyż odbył miesięczny kurs „Układanie psa myśliwskiego”, zorganizowany przez PZŁ w Sierpcu, a potem uczestniczył w tzw. „próbach polowych”. Na Konkursie Ogólnopolskim PZŁ w Czempiniu k/Poznania Atos zdał psią maturę – otrzymał Dyplom I stopnia, pierwszą lokatę za pracę psa myśliwskiego (za węch, trop zwierzyny, aport z wody, dyscyplinę, posłuszeństwo, współpracę z myśliwym).

Miał nie tylko piękny wygląd, ale miłe, wesołe usposobienie. Szczególnie przyjazny był dzieciom, pozwalał im targać się za długie uszy, głaskał łapą i lizał dzieci spotkane na spacerze. Wspaniale i dużo



Atos z trofeum.

To była inna forma promocji Czaplinka, dlatego też postanowiłam podzielić się wspomnieniami z tej mało popularnej dziedziny.

Dotąd uroki Czaplinka opiewałam w swojej poezji przez wiele lat, a dziś o nich piszę prozą, gdyż:

*Mój żagiel życia
wśród jezior toni
unoszą się długie już lata.
Kołysze miarowo w cichej ustroni
rytm mego serca
z tętnem miasta splata.
I wkrótce zniknie
w horyzontu dali
cichutko, bezszelestnie
lecz nim to nastąpi
będę w swoich wierszach
kochany Czaplinek wciąż sławić...*

Nina Czyż

8. JAK MOŻNA ZAMIENIĆ DUŻE, POWIATOWE MIASTO NA GRAJDOŁ?

(Wspomnienia Jana Sokólskiego.)

Zima tego roku powtórzyła swoje wybryki z lat 1945/46 i 1952/53. Śnieg sypał całym niewinnie w ostatnich dniach grudnia 1955 r., przy temperaturze -6°C , a w nocy -10°C . I tak narastały warstwy śniegu z dnia na dzień. I zdawało się, że w tutejszym klimacie zima długo się nie utrzyma. Jeszcze 8 stycznia 1956 r., przy temperaturze -6°C miarowo sypał śnieg, układając się równomiernie, gdyż dzień był bezwietrzny. O godzinie 16 na zachodzie lekko się przejaśniło, ba, nawet przebijał się pomarańczowy blask zachodzącego słońca. Szykowała się nielicha odwilż. Nocą jednak temperatura spadła do -23°C i nastąpiła klęska w komunikacji. Już od tygodnia autobusy i PKP miały poważne zakłócenia w rozkładach jazdy, a przy takim mrozie zablokowało zwrotnice i przewody grzewcze w wagonach. Koleiny i wyboje na zaśnieżonych drogach zamarzyły ostatecznie. Dwa „dylizanse” - trzeci wysiadł – ledwo przepychały się do dworca, a komunikacja autobusowa, i tak skromna, bo jeden kurs z Wałcza do Koszalina, ustała zupełnie. Na rynku gromadziły się grupy pasażerów oczekujących na możliwości wyjazdu, a na dworcu inne grupy „koczowników” oczekiwały na pociąg. Powstały trudności z opałem, w szczególności w instytucjach publicznych. Wagony z węglem nie docierały, a pospółka koksownicza z gazowni nie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb. Ruch w mieście ustał. Nikt nie przyjeżdżał w dnie targowe, nawet z rejonów podmiejskich. Było zimno. Stan ten trwał, z małymi wahaniami, do 2 marca. W pochmurny, wietrzny ranek 3 marca przybył jeszcze jeden obywatel, aby zamieszkać w miasteczku na długie lata. Z „Listów z miasteczka” przekazujemy jego wrażenia.

„Z autobusu wysiadła garstka pasażerów i rozpląnęła się w mroku. Stałem na rynku i rozglądałem się dookoła. W witrynach sklepów pląnęły skromne żarówki, gdzieś w zakamarkach ulic rzadkie latarnie rzucały, z każdym podmuchem wiatru, refleksy na ośnieżone dachy. Nad rynkiem rozpościł się całun nocy. Była godzina 6.20. Przewędrowałem w kilka minut dookoła rynku i dla rozgrzewki przewędrowałem w stronę odwrotną. Wiatr w gałęziach wysokich drzew zawodził nieprzerwanie i śnieg z każdego narożnika wylatywał tumanem. Nad Czaplinkiem szalała wiosenna zawierucha, tak charakterystyczna dla Pomorza Zachodniego. Rynek niewielki. Podkute buty filcowe głośno uderzały w pokryte lodem chodniki, a wiatr trzaskał frontowymi drzwiami domów.

Dookoła pustka. Gospoda zamknięta. Co tu robić? Od kogo tu się czegoś dowiedzieć i gdzie spędzić tych kilka godzin nim otworzą gospodę? Stałem w jednym z frontowych drzwi, gdzie nie było przeciągów i zapaliłem papierosa. Przede mną majaczyły zarysy kościoła, przysłaniane od czasu do czasu mgławicą miccionego śniegu. Z nieznaney mi strony, w przerwach szarpiącego drzewa wietrzyska, dolatywał daleki minorowy śpiew. W oknie kościoła zabłyśło nagle światło.

Wypaliłem papierosa i mając nadzieję, że w kościele będzie cieplej, zdeptałem niedopałek i ruszyłem przez rynek ku niemu. Oświetlony dwiema świecami ołtarz sprawiał niesamowite wrażenie swoją głębią. Mgliste kontury balkonów, ław i sylwetki modlących się nie nastrojały do kontemplacji. Widziałem w życiu niejedno, ciemności się nie obawiałem, lecz do kościoła wszedłem z pewnym ociąganiem się. Wysokie drzwi, kołyszące się w podmuchach wiatru i trzaskające od czasu do czasu. Każde trzaśnięcie uwielokrotniało

echem wewnątrz kościoła. Gdzieś u stóp ołtarza, głosy kobiece niemiłosiernie fałszowały wywodząc jakieś nabożne suplikacje. Kościół poza tym był pusty. Wiatr hulał bezkarnie po kościele i o ogrzaniu się nie mogło być mowy. W murach było zimno, zacząłem przytupywać dyskretnie nogami. Śpiew ciągnął się długo. Próbowiałem się modlić, lecz nie mogłem sobie przypomnieć kolejności modlitw i niespostrzeżenie zacząłem myśleć o sprawach świeckich.

W 1945 roku przejeżdżałem przez Czaplinek do Połczyna. W dolinie ostrzelano nas z prawej strony – kto i dlaczego – trudno zgadnąć. Jezioro odgradzało nas od niewidzialnych bandziorów. Obraz Czaplinka był tak niejasny, że nie potrafiłbym sobie uzmysłowić zmian. Po prostu, poza jeziorem, nie zapamiętałem nic. Bardziej mnie interesowało, jak się ułożą sprawy osobiste i zawodowe i jak długo pozostanę w tym miasteczku. W kwietniu minie jedenaście lat jak wędruję po Pomorzu.

Kościół tymczasem napełnił się o tyle, że kościelny uznał za stosowne pozapalać świece w bocznych ołtarzach. Spoglądałem po skromnym wyposażeniu i porównywałem z wystrojem kościołów wileńskich. Nie byłem świadom, że to jest świątynia protestancka. Opuściłem kościół, kiedy zdawało się, że zaczyna świtać. Zakręcił mną wiatr. Przytrzymując ręką „oprychówkę” skierowałem się do gospody. W tumanie śniegu stali przed gospodą dwaj obywatele. Jeden z gołą głową, obuty w filcówki, w gumowym płaszczu, dygotał na wietrze i nerwowo ćmił papierosa. Drugi czapkę obciągał na uszy, zacierał zziębnięte ręce i tupał nogami. Był niskiego wzrostu, a spod daszka wystawał mu czerwony nos. Coś tam do siebie urywkami rozmawiali, ale ja nic nie słyszałem. Wreszcie ten mniejszy zbliżył się i poprosił o 20 zł. Teraz wiedziałem, że obaj czekają na jeden głębszy. Był poniedziałek. W niedzielę wypili, albo za dużo, albo za mało i teraz muszą uzupełnić normę. Wbrew przekonaniu dałem te 20 zł., traktując jako rogatek, lub myto.

Kiedy jadłem śniadanie moi dłużnicy zabawiali się przy bufecie. Tymczasem na dworze wypogodziło się i pokazało się nawet słońce, aczkolwiek anemiczne i nieśmiałe, ale to już nie zawierucha i śnieżyca. Poszedłem obejrzeć przysze moje mieszkanie i biuro. Wicedyrektor mówił, że w mieszkaniu brakuje tylko mebli. W rzeczywistości było inaczej. W pokojach sterty gruzu i wapna, drzwi nie mają klamek, ani kluczy, brak światła. W gruzach walały się wymontowane kaloryfery. Okna od strony ulicy były otwarte, a w parapetach tkwiły 6-calowe gwoździe, którymi Mleczarnia mocowała transparenty.

Cały dzień wędrowałem, brodząc w śniegu od GS-u do POM-u, od MRN do Zespołu PGR. Przewodniczącego nie zastałem, w Zespole powiedział mi starszy pan – Harasimowicz: "Jeszcze mają czas". W POM-ie główny agronom nie miał czasu, może jutro – bo jedzie w teren.

Kiedy jadłem obiad w gospodzie, dwa stoliki dalej siedział agronom w towarzystwie kilku rolników. Jak mnie poinformował kelner, byli to przewodniczący spółdzielni produkcyjnych z Urazu, Piaseczna i Małego Czarnego. Gdzie miałem się podziąć? Siedziałem w gospodzie całe popołudnie, było ciepło i ciekawie. Oglądałem ludzi, z którymi trzeba będzie żyć. Moi poprzednicy z inspektoratu – jeden zmarł na gruźlicę, drugi uciekł do większego miasta.

Telefonicznie na dzień następny zamówiłem spotkanie z Niedzielą i Butryńskim – moimi pracownikami. Miałem wrócić do Walcza, lecz autobus nie przyszedł i zanocowałem w hotelu. Wieczór długi, sen nie przychodził. Myślałem o wielu sprawach związanych z moim pobytem w tym mieście. Przypominałem sobie, jak partnerzy od brydża nabijali się ze mnie przy grze. Jak można zamienić duże, powiatowe miasto na grajdoł. Najwięcej dokuczał mi kpt. T., były oficer 7 pp.

...Miesiąc marzec dobiega końca, a ja krążę między Walczem a Czaplinkiem nocując w hotelu, gdyż mieszkanie jeszcze w remoncie. Mieli zrobić na 15 grudnia 1955, a już zbliża się kwiecień i nic się nie robi. Interwencje w MPRB Złocieniec na razie bez skutku. O piętro niżej jest biuro mleczarni. Tam siedzą w płaszczach i rozgrzewają ręce przy elektrycznym grzejniku. Centralne ogrzewanie jest w proszku.

I co tu robić na czaplineckim bruku? W dzień to sprawy służbowe, ale wieczory i noce. Kino „Bałtyk” zostało rozebrane i niby jest w kapitalnym remoncie. Zastępczy lokal kinowy to dawny Gastahaus. Publiczność siedzi na parkowych ławkach w płaszczach i dygoce z zimna. Przez duże okna wdziera się wiatr i wydmuchuje ciepło wytworzone przez widzów. W gospodzie przynajmniej ciepło. Konsumenci w czapkach i płaszczach sączą piwo. Miał być budowany Dom Kultury, lecz Komitet się rozsypał, a jego prezes i inicjator budowy wyjechał do Bydgoszczy. Ciekawe, kto i kiedy rozliczy ten Komitet?

...Wczoraj wreszcie wprowadziłem się do mieszkania. Cóż, kiedy centralne ogrzewanie nieczynne. Mam służbowe łóżko, stół, cztery krzesła. Woda w miednicy i we wiadrze zamara. Spać jest dobrze, lecz gorzej wstawać i wdziewać zimną bieliznę. Szukam partnerów do brydża. Wreszcie zasiedliśmy do gry w czapkach, filcowych butach, zimowych kurtkach i rękawiczkach. Obok na maszynie elektrycznej gotujemy „kpiatok”, a elektryczne „słońce” pod stołem stara się ogrzać nas od spodu. Partnerzy: Jerzy Kuchta – księgowy mleczarni – człowiek tak samo nowy w Czaplinku, felczer Stefan Jurewicz – jeszcze uczy się brydża, no i Tadeusz Bubek – pracownik przemysłu terenowego. Odwiedziłem dwie zabawy w tartaku i w Domu Ludowym...

Mleczarnia w Czaplinku przechodziła różne koleje. Przejęta została od wojska radzieckiego w 1945 roku. Powołano zarząd w osobach: Ludwik Rymar, Marian Łuczak i Kazimierz Czyżyk. Powstaje Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska, a równolegle powstają takie same w Kluczewie i w Łubowie. Wszystkie podlegają Centrali w Szczecinie. Wiosną 1950 roku Spółdzielnia zostaje upaństwowiona, a kierownikiem zostaje mianowany Marian Łuczak. W styczniu 1955 roku zakład usamodzielnia się i nosi nazwę Zakład Mleczarski w Czaplinku. Oddziałami jego są mleczarnie w Kluczewie, Łubowie i Worowie. Zasięg działalności obejmuje północną część pow. waleckiego aż do Machlin, ze wszystkimi PGR-ami w tym rejonie – do Warniłęgu i Nowego Worowa, w kierunku Szczecinka aż po Kragi. Jednostką nadrzędną w tym czasie jest Zjednoczenie Przemysłu Mleczarskiego w Koszalinie. Wymieniony zostaje całkowicie przestarzały park maszynowy. Zakład zostaje rozbudowany. Jeszcze w tym roku następuje zmiana kierownictwa w mleczarni. Zostaje nim Waław Sapiński.

Reorganizacja gospodarcza w 1956 roku obejmuje również mleczarnie. Zostaje reaktywowana Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska z oddziałami w Kluczewie i Łubowie. W Kluczewie produkuje się sery twarde. Powołany zostaje nowy zarząd w osobach: Sylwester Dobraniecki, Marian Łuczak i Waław Sapiński. Ponieważ każdego roku zmieniali się zarządy toteż wiele osób odchodziło po rocznej kadencji. I tak byli to między innymi: A. Chrystianowicz z Łubowa, Paweł Orłowski z Silnowa, Jan Antoniewicz z Czaplinka, który to pełnił przez kilka lat funkcję kierownika mleczarni.

Na podstawie „Polska naszych dni”
Piotr Kasprowicz, Wiesław Krzywicki

X. BIBLIOGRAFIA I ŹRÓDŁA:

1. Archiwum Państwowe w Koszalinie, oddział w Szczecinku.
2. Archiwum Urzędu Miejskiego w Czaplinku.
3. Zachodniopomorska Składnica Akt Agencji Nieruchomości Rolnych w Szczecinie, Oddział w Nowogardzie (filia Łobez).
4. „Polska naszych dni – rzecz o Czaplinku” – Piotr Kasprzewicz i Wiesław Krzywicki, 1980 r.
5. „Kurier Czaplinecki” Nr 2-49 z lat 2006 - 2010, ISSN 1896-9518, wydawca Stowarzyszenie Przyjaciół Czaplinka.
6. „AVE”, miesięcznik Parafii Rzymskokatolickiej w Czaplinku, numery z lat 2000 – 2009.
7. „Grajdoł”, czasopismo Gminy Czaplinek, numery z lat 1990 – 2009.
8. „Biuletyn Informacyjny” Gminy Czaplinek, numery z lat 1996 – 2009.
9. Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Szczecinku 60 lat, pod red. A. Potockiego, A. Panasiuk „Nadleśnictwo Czaplinek”. Polskie Towarzystwo Leśne. Szczecinek 2005.
10. „LECH, UNIA, GWARDIA 65 lat piłki nożnej w Czaplinku”, praca zbiorowa pod redakcją Waława Mierzejewskiego. Czaplinek 2010 r.
11. „Czaplinek i Starostwo Drahimskie”, praca zbiorowa, Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Koszalin, 1985.
12. „Dzieje Ziemi Drawskiej” praca zbiorowa. Wydawnictwo Poznańskie 1972.
13. „Lustracja województw wielkopolskich i kujawskich 1564-1565”. Bydgoskie Towarzystwo Naukowe. Bydgoszcz 1961.
14. „Lustracja województw wielkopolskich i kujawskich 1628-1632”. Wrocław - Warszawa - Kraków, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk 1967.
15. „Tempelburg. Die Geschichte einer pommerschen Kleinstadt”, Lothar Raatz, 1983.
16. „Unser Pommernland”, zeszyt 5, Szczecin 1932.
17. Zbiór dokumentów Miejskiego Komitetu Polskiej Partii Socjalistycznej w Czaplinku z lat 1945–1948.
18. Zbiór dokumentów Pracowniczych Ogrodów Działkowych im. Adama Mickiewicza w Czaplinku.
19. Dokumentacja Koła Pszczelarzy w Czaplinku z lat 1970–2006.
20. Kronika Ochotniczej Straży Pożarnej w Czaplinku.
21. Zdjęcia i dokumenty z archiwów autorów.
22. F. Bahr “Das Goltzen-Schloss zu Heinrichsdorf, Unser Pommernland”. Szczecin 1932.
23. F. Bahr “Arendsburg, Unser Pommernland” F. von der Goltz “Die Familie der Grafen und Freiherren von der Goltz”. Strassburg 1885.
24. E. Prettin “Die Lebensgewohnheiten der Landbevölkerung in der Pommerschen Seenplatte vom Standpunkt der Hygiene”. Freiburg im Breisgau 1941.
25. G. Salinger “Zur Erinnerung und Gedenken. Die einstigen jüdischen Gemeinden Pommerns”. New York 2006.
26. I. Wyroba „Zostałem na tej ziemi, Wspomnienia chłopów z lat 1939–1948, Niewolniczy chleb”. Warszawa 1970.
27. K. Kalita „Historia sztuki, Architektura XVIII w. pałacu w Siemczynie”. Koszalin 1977.

28. Heimatkalender für Stadt und Land Neustettin.
29. A. Jasiński „Przełamanie Wału Pomorskiego”. Warszawa 1958.
30. J.J. Malczewski „Osiemnasty kołobrzeski”. Warszawa 1974.
31. J.J. Malczewski „Szesnasty kołobrzeski”. Warszawa 1982.
32. A. Stachura „Szósta pomorska: z dziejów 6 Pomorskiej Dywizji Piechoty 1944–1948. Warszawa 1981.
33. A. Karolewicz „Pałac w Siemczynie. Historia i legenda”. Czaplinek 2004.
34. Blum I. „Z dziejów Wojska Polskiego w latach 1945–1948”. Warszawa 1960.
35. Bukowski K. „Kolektywizacja wsi polskiej, na przykładzie pow. drawskiego w latach 1949–51”. Koszalin 2009.
36. Charakterystyka PGR w Czaplinku z roku 1985 i 1989.
37. Gawłowski K. „Narodziny i rozwój Państwowych Gospodarstw Rolnych w Polsce Ludowej. (w:) Wieś i rolnictwo w Polsce Ludowej. Poznań 1990”.
38. Golczewski K. „Pomorze Zachodnie na przełomie dwu epok 1944–46”. Poznań 1964.
39. Kasprowicz P. „Czaplinek moje miasto. (w:) Czaplinek i Starostwo Drahimskie. Zarys dziejów”. Koszalin 1985.
40. Królikowski St. „Rolnictwo i leśnictwo. (w:) Dzieje ziemi drawskiej”. Pod red. T. Gasztolda. Poznań 1972.
41. Machałek M. „Od ugoru do PGR-u. Poszukiwania nowego modelu gospodarki wiejskiej na Pomorzu Zachodnim”. Kwartalnik Pamięć i Przyszłość Nr 1/2008.
42. Ogrodowczyk A. „Pomorze przywrócone. Wkład Wojska Polskiego w przejęcie i zagospodarowanie Pomorza Zachodniego w latach 1945-1947”. Warszawa 1974.
43. Ramowy projekt planu gospodarczo-finansowego państwowego przedsiębiorstwa gospodarki rolnej w Starym Drawsku na rok gospodarczy 1986/87.
44. Regulamin Organizacyjny Przedsiębiorstwa PGR Czaplinek z lipca 1979 r.
45. Roszkowski J. „Czaplinek w Polsce Ludowej w latach 1945-82. (w:) Czaplinek i Starostwo Drahimskie. Zarys dziejów”. Koszalin 1985.
46. Sokolska T. „Finansowanie reprodukcji środków trwałych w Państwowych Gospodarstwach Rolnych na przykładzie Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Czaplinku”. Praca magisterska napisana na UMK. Toruń 1982.
47. Szczanowicz B. „Analiza gospodarki paszowej w PGR Czaplinek w roku gospodarczym 1979/80”. Praca magisterska pisana na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Szczecin 1981.
48. Szpak E. „Między osiedlem a zagrodą. Życie codzienne mieszkańców PGR-ów”. Warszawa 2005.

Lista darczyńców na cz. II książki „Czaplinek 1945-2009”

Antoniewiczowie Helena i Józef, Badek Elżbieta, Baranowska Małgorzata, Barszczewski Edward, Berczyński Tadeusz, Bielska Edit, Bieniek Bożenna, Bojarski Wiktor, Borowska Halina, Borys Henryk, Borys Urszula, Bubacz Bernard, Budzyńska Elna, Chamarczuk Stanisława, Chojecki Stanisław, Cogiel Andrzej, Czyż Nina, Daniuk Czesława, Daniuk Olga, Dębowska Krystyna, Dolega Olga, Dudor Anita, Dyśkowski Zygmunt, Folga Ewa, Gańska Krystyna, Giwojno Małgorzata, Głowińska Barbara, Godziemba-Czyżowie Jadwiga i Jacek, Gorbal Alicja, Górski Antoni, Grzegorzewska Irena, Grzelińska Krystyna, Grzybowicz Konstanty, Grzymała Aleksander, Handel Ryszard, Hojdys Jerzy, Jędrzejewski Mieczysław, Jurewicz Alfons, Jurkiewicz Marcin, Jurkiewicz Marta, Kalinowska Gabriela, Kaniewski Józef, Kapusta Krystyna, Karolczuk Dorota, Karolewicz Czesława, Karolewicz Jadwiga, Klimczak Irena, Konowalczyk Mariola, Korecka Anna, Kowalska Barbara, K ownacki Andrzej, Kudzin Waław, Kukulska Helena, Kusa Eugeniusz, Kuzio Mariusz, Lech Edward, Lewandowscy Helena i Henryk, Lewandowska Anna, Lutyńska Barbara, Łodziato Franciszek, Manikowska Halina, Marcewicz Janina, Margel Leonard, Marszałek Elwira, Mierzejewscy Iwona i Waldemar, Mierzejewski Waław, Molenda Ludwik, Mowczun Anatol, Nagórska Henryka, Niziołek Józef, Nowicka Maria, Okulewicz Mieczysław, Ozimek Barbara, Pierwieniecka Bronisława, Pokorski Józef, Polak Stanisław, Polakowie Genowefa i Ryszard, Puśledzka Danuta, Rehtziegel Maria, Rogowska Bożena, Romanowski Marian, Rycerski Robert, Salamon Artur, Sapiński Andrzej, Sepiotek Irena, Siara Danuta, Skalski W. Marek, Skowron Małgorzata, Skowron Maria, Słonina Krzysztof, Stefaniak Regina, Stroński Zbigniew, Stylski Wojciech, Sujecki Marian, Szczepaniak Ewa, Szczygieł Halina, Sztechmiller Edward, Szwajkowski Dariusz, Tarasewicz Stanisława, Todys Władysława i Jacek, Truskowski Mirosław, Trzeciak Czesław, Tynna Małgorzata, Ułaś Janina, Urlich Justyna, Wietrzyk Stefania, Wiśniewska Halina, Wiśniewski Marian, Wiśniewski Wojciech, Wodzyński Sławomir, Wolicki Jan, Woźniak Józef, Wójtowicz Krystyna, Zawadzka Józefa, Zimorodzka Barbara, Żurańska Bogumiła, Żwirko Janina, Żwirko Teresa.

— egzemplarz bezpłatny —



Ochotnicza
Straż Pożar.
w
Czaplínku